JEFFREY ARCHER

TO BYŁ CZŁOWIEK!

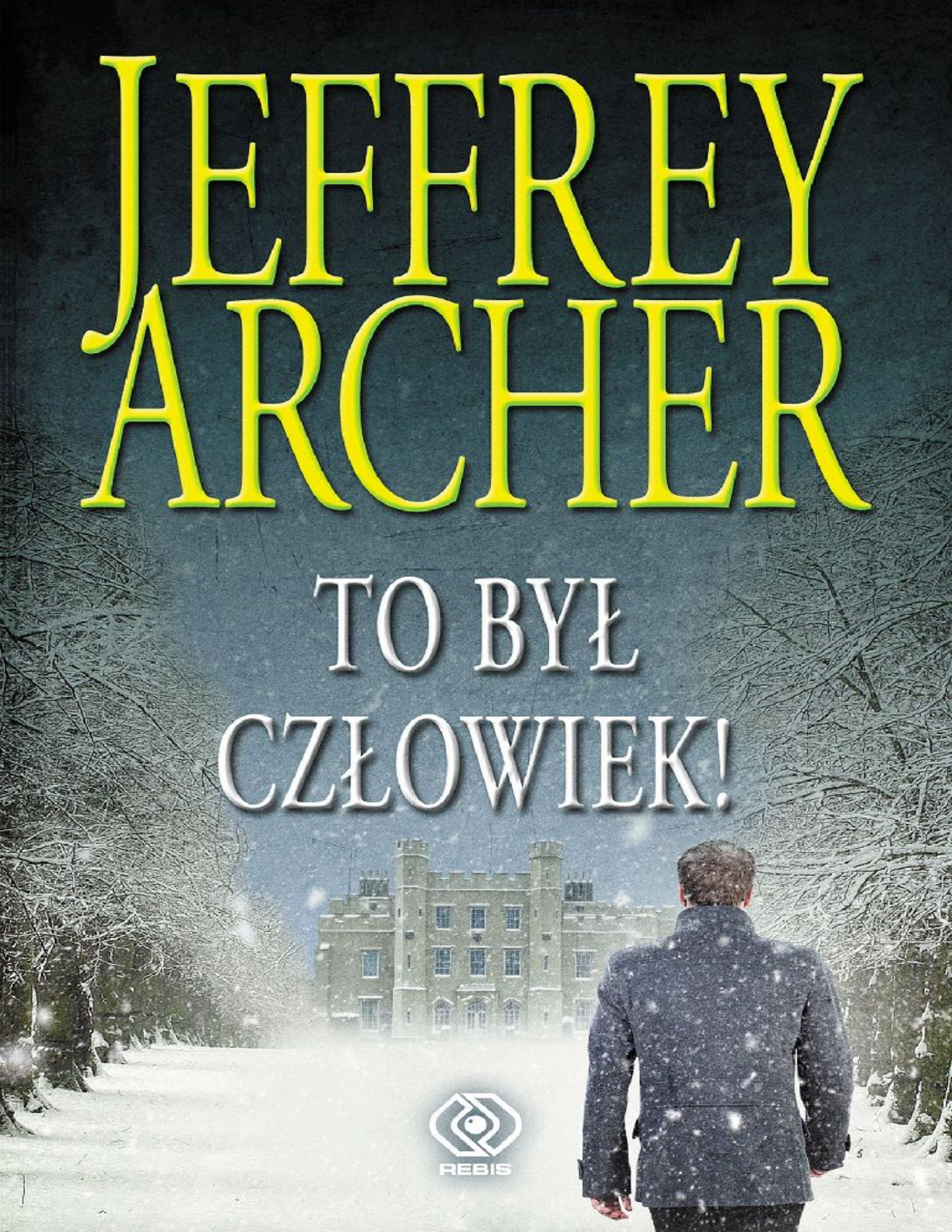

REBIS

JEFFREY ARCHER

KRONIKI CLIFTONÓW TOM VII

TO BYŁ CZŁOWIEK!

Przełożyli
Danuta Sękalska i Maciej Szymański

REBIS

Mojej pierwszej wnuczce poświęcam

Oto osoby, którym pragnę podziękować za bezcenne rady i pomoc
w zbieraniu materiałów:
Simon Bainbridge, sir Win Bischoff,
sir Victor Blank, dr Harry Brunjes, profesor Susan Collins,
Eileen Cooper, członkini Akademii Królewskiej, Wielce Szanowny
lord Fowler, członek Tajnej Rady,
Wielebny kanonik Michael Hampel, profesor Roger Kirby,
Allison Prince, Catherine Richards, Mari Roberts,
Susan Watt, Peter Watts i David Weeden

BARRINGTONOWIE

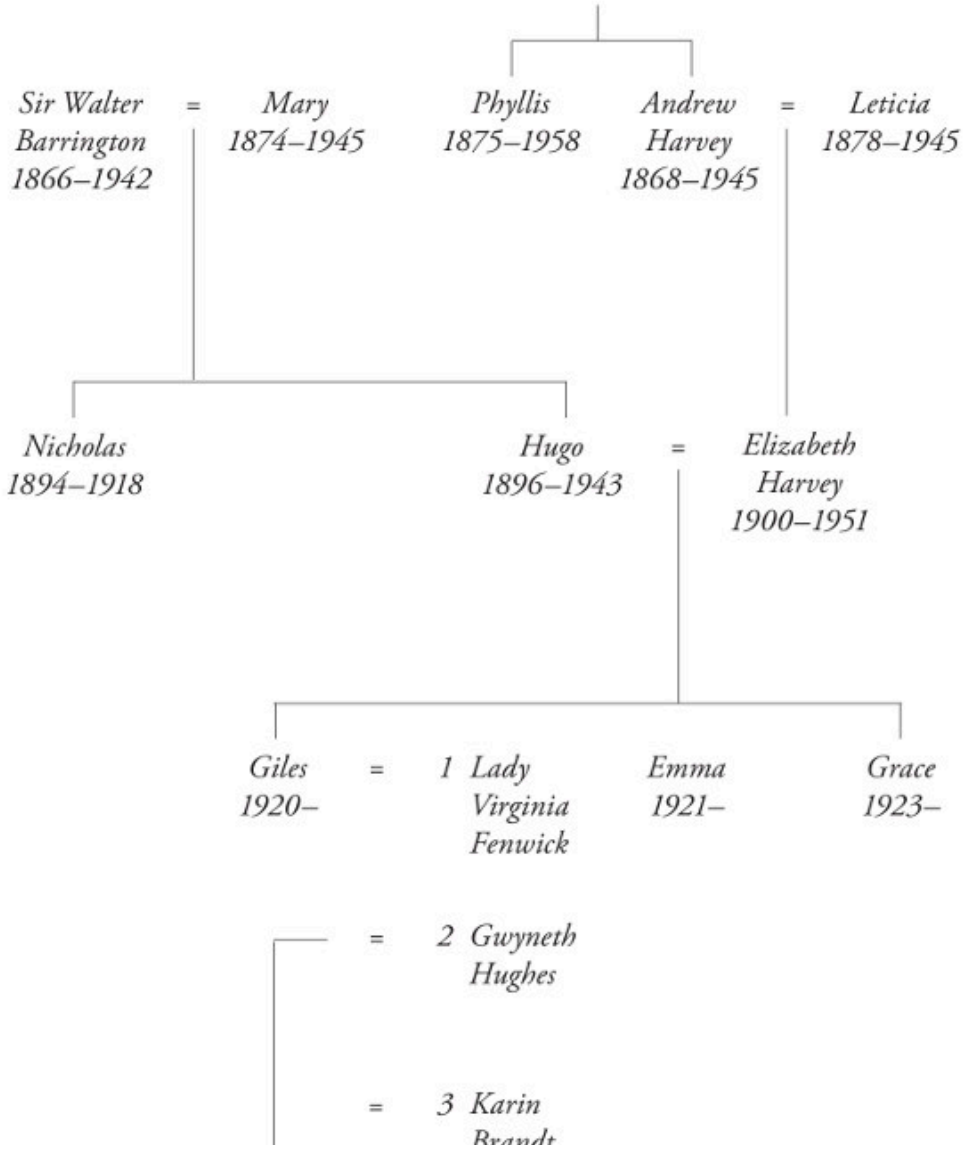

Walter
1964–1967

CLIFTONOWIE

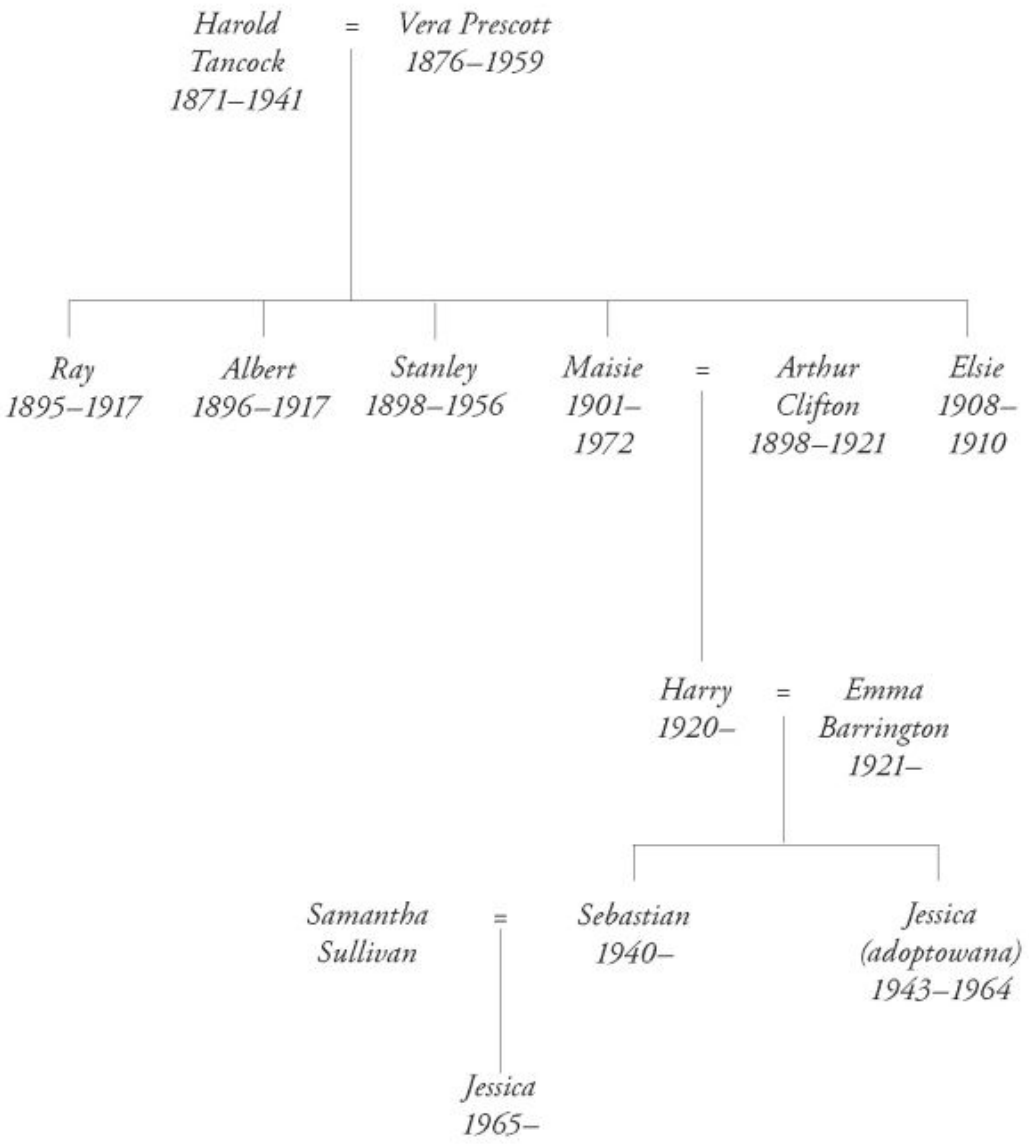

Prolog
1978

Emma zawsze przyglądała się bliżej każdemu statkowi, z którego rufy powiewała flaga kanadyjska. Potem sprawdzała nazwę na kadłubie i dopiero wtedy serce na powrót zaczynało jej bić normalnie.

Kiedy spojrzała tym razem, tętno podskoczyło jej prawie dwukrotnie i poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Spojrzała jeszcze raz; tej nazwy nigdy nie zapomni. Stała i obserwowała płynące ujściem rzeki dwa małe holowniki z czarnym dymem buchającym z kominów, pilotujące przerdzewiały, stary statek towarowy na jego ostatnie miejsce przeznaczenia.

Emma zmieniła kierunek, ale w drodze na teren złomowiska nie mogła odpędzić myśli o możliwych konsekwencjach próby odkrycia prawdy po tylu latach. Na pewno byłoby rozsądniej po prostu wrócić do biura, a nie grzebać w przeszłości... dalekiej przeszłości.

Ale nie odwróciła się i kiedy dotarła na plac, skierowała się prosto do biura głównego brygadzisty, jakby wykonywała zwykły

poranny obchód. Weszła do wagonu kolejowego i z ulgą stwierdziła, że nie ma Franka, jest tylko sekretarka, która pisała na maszynie. Wstała w chwili, gdy zobaczyła panią prezes.

– Niestety, nie ma tutaj pana Gibsona. Czy mam iść i go poszukać?

– Nie, to nie będzie konieczne – powiedziała Emma. Zerknęła na wielką tabelę rezerwacji i jej najgorsze obawy się potwierdziły. SS *Liść Klonu* miał być złomowany i prace miały się zacząć od wtorku za tydzień. To dawało jej przynajmniej trochę czasu, żeby zdecydować, czy zaalarmować Harry'ego, czy jak Nelson spojrzeć zasłoniętym okiem. Ale jeżeli Harry się dowie, że *Liść Klonu* wrócił na swój cmentarz, i zapyta, czy ona o tym wiedziała, to nie potrafi go okłamać.

– Jestem pewna, że pan Gibson wróci za kilka minut.

– Proszę się nie martwić, to nic ważnego. Ale czy zechce pani go poprosić, żeby wpadł do mnie, kiedy będzie przechodził koło mojego biura?

– Mam mu powiedzieć, o co chodzi?

– On będzie wiedział.

Karin patrzyła przez okno na uciekający krajobraz, gdy pociąg kontynuował podróż do Truro. Ale myślami błądziła gdzie indziej, próbując pogodzić się ze śmiercią baronessy.

Nie kontaktowała się z Cynthią od kilku miesięcy i MI6 nie podjął ani jednej próby zastąpienia jej jako zwierzchniczki Karin. Czy przestali się nią interesować? Od pewnego czasu Cynthia nie dawała jej nic ważnego do przekazania Pengelly'emu i ich spotkania w herbaciarni stawały się coraz rzadsze.

Pengelly napomknął, że niedługo spodziewa się wrócić do Moskwy. Karin nie mogła się tego doczekać. Miała dość oszukiwania Gilesa, jedynego mężczyzny, którego kochała, i była zmęczona jazdami do Kornwalii pod pozorem odwiedzania ojca. Pengelly nie był jej ojcem, tylko ojczymem. Czuła do niego odrazę i zamierzała go tylko wykorzystać do pomocy w ucieczce spod władzy pogardzanego reżimu, żeby się połączyć z mężczyzną, którego pokochała. Mężczyzną, który został jej kochankiem, mężem i najbliższym przyjacielem.

Karin było bardzo przykro, że nie może podać Gilesowi prawdziwego powodu tak częstych spotkań z baronessą w Izbie Lordów. Teraz, gdy Cynthia nie żyje, nie będzie już musiała żyć w kłamstwie. Ale kiedy Giles dowie się prawdy, czy uwierzy, że ona uciekła z Berlina Wschodniego pod rządami tyranii tylko dlatego, że chciała być z nim? Czy nie skłamała o jeden raz za dużo?

Gdy pociąg zajechał do Truro, pomodliła się w duchu, żeby to był ostatni raz.

– Ile lat pracujesz w firmie, Frank? – spytała Emma.

– Blisko czterdzieści, proszę pani. Służyłem pani ojcu, a przedtem pani dziadkowi.

– Więc słyszałeś tę historię z *Liściem Klonu*?

– To było przed moim czasem, proszę pani, ale wszyscy na placu o tym wiedzą, chociaż mało kto o tym mówi.

– Frank, chcę cię prosić o przysługę. Czy możesz zebrać małą grupę ludzi godnych zaufania?

– Mam dwóch braci i kuzyna, którzy nigdy nie pracowali u nikogo innego, tylko w firmie Barringtona.

– Powinni przyjść w niedzielę, kiedy teren złomowiska jest zamknięty. Zapłacę im dwa razy więcej, gotówką, i będzie premia motywacyjna za dwanaście miesięcy, ale tylko jeżeli nic nie usłyszę o pracy, którą wykonają tego dnia.

– To bardzo hojne, proszę pani – powiedział Frank, dotykając czapki z daszkiem.

– Kiedy będą mogli zacząć?

– W następną sobotę po południu. Plac będzie zamknięty do wtorku, w poniedziałek jest dzień wolny od pracy.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że nie spytałeś mnie, co chcę, żebyście zrobili?

– Nie ma potrzeby, proszę pani. A jeżeli znajdziemy w podwójnym dnie to, czego pani szuka, co potem?

– Proszę tylko o to, żeby szczątki Arthura Cliftona zostały po chrześcijańsku pochowane.

– A jeżeli nie znajdziemy niczego?

– Wtedy to będzie tajemnica, którą my pięcioro zabierzemy do grobu.

Ojczym Karin otworzył drzwi i przywitał ją z niezwykle serdecznym uśmiechem.

– Mam dobrą wiadomość, którą się podzielę z tobą – powiedział, kiedy weszła do domu – ale to musi trochę poczekać.

Czy możliwe, pomyślała Karin, że ten koszmar wreszcie się skończy? Wtem spostrzegła leżącego na stole kuchennym „Timesa", otwartego na stronie z nekrologami. Spojrzała na znajomą fotografię baronessy Forbes-Watson i pomyślała, czy to przypadek, czy też on specjalnie zostawił to na widocznym miejscu, żeby ją sprowokować.

Przy kawie nie rozmawiali o niczym ważnym, ale Karin nie mogła nie zauważyć trzech walizek stojących przy drzwiach, co wróżyło bliski wyjazd. Mimo to z każdą minutą coraz bardziej się denerwowała, gdyż Pengelly był zbyt odprężony i przyjazny jak na jej gust. Jakie było to stare wojskowe powiedzenie: „z kamaszy do domu”?

– Czas, żebyśmy porozmawiali o poważniejszych sprawach – powiedział, położywszy palec na ustach.

Wyszedł na korytarz i zdjął płaszcz z wieszaka przy drzwiach. Karin pomyślała o ucieczce, ale jeżeli to zrobi, a on jej tylko zamierza powiedzieć, że wraca do Moskwy, to się zdradzi. Pengelly pomógł jej włożyć płaszcz i wyszedł z nią na zewnątrz.

Zaskoczyło ją, gdy Pengelly schwycił ją mocno pod ramię i poprowadził niemal siłą przez opustoszałą ulicę. Zwykle brali się pod ręce, aby jakiś przechodzień pomyślał, że to ojciec z córką wybierają się na spacer – ale nie dzisiaj. Postanowiła, że jeżeli natkną się na kogoś, nawet na starego pułkownika, to się zatrzyma i odezwie się do niego, bo wiedziała, że Pengelly nie ośmieli się zaryzykować zdemaskowania przy świadku.

Pengelly nadal wesoło się przekomarzał. To było tak dla niego nietypowe, że Karin jeszcze bardziej się zaniepokoiła. Rozglądała się czujnie na wszystkie strony, ale widać nikt nie wybierał się na przechadzkę dla zdrowia tego ponurego, szarego dnia.

Gdy dotarli na skraj lasu, Pengelly jak zawsze rozejrzał się wokół, czy nikt za nimi nie idzie. Gdyby tak było, wróciliby tą samą drogą do domu. Ale nie tego popołudnia.

Wprawdzie była dopiero czwarta, ale światło słabło i ściemniało się z minuty na minutę. Schwycił ją jeszcze mocniej za ramię,

kiedy zeszli z drogi i wkroczyli na ścieżkę wiodącą do lasu. Jego głos zmienił się i dostosował do chłodnego wieczornego powietrza.

– Wiem, że ucieszysz się, Karin – nigdy tak jej nie nazywał – że zostałem awansowany i niedługo wrócę do Moskwy.

– Gratuluję, towarzyszu. Zasłużyliście na to.

Jego chwyt nie zelżał.

– Więc to będzie nasze ostatnie spotkanie – mówił dalej.

Czy ona może mieć nadzieję, że...

– Ale marszałek Koszewoj powierzył mi jeszcze ostatnie zadanie.

Pengelly nie wyjaśnił, niemal jakby chciał, żeby o tym bez pośpiechu pomyślała. Kiedy zagłębiali się w las, zrobiło się tak ciemno, że Karin ledwo widziała na metr przed sobą. Jednak Pengelly zdawał się wiedzieć, dokąd idzie, jakby przedtem przećwiczył każdy krok.

– Szef kontrwywiadu – powiedział spokojnie – w końcu odkrył zdrajcę w naszych szeregach, osobę, która od lat zdradzała ojczyznę. Mnie wybrano do wymierzenia odpowiedniej kary.

Jego uchwyt zelżał i Pengelly ją wypuścił. Pierwszym jej odruchem była ucieczka, ale on dobrze wybrał miejsce. Za nią była kępa drzew, na prawo nieczynna kopalnia, na lewo wąska ścieżka, której prawie nie było widać w ciemności, a nad Karin górowała sylwetka Pengelly'ego, który wyglądał na bardzo spokojnego i czujnego.

Wolno wyjął pistolet z kieszeni płaszcza i trzymał go groźnie u boku. Czy liczył na to, że ona rzuci się do ucieczki i trzeba będzie więcej kul, żeby ją zastrzelić? Ale ona stała w miejscu jak przykuta.

– Ty jesteś zdrajczynią – powiedział Pengelly – która wyrządziła dużo więcej złego naszej sprawie niż inni agenci w przeszłości. Dlatego musisz umrzeć śmiercią zdrajcy. – Spojrzał w stronę szybu kopalnianego. – Będę w Moskwie na długo przedtem, zanim odkryją, jeżeli kiedykolwiek, twoje ciało.

Podniósł broń wolno do poziomu oczu Karin. Zanim nacisnął spust, jej ostatnia myśl pobiegła do Gilesa.

Huk pojedynczego strzału odbił się echem w lesie i stado szpaków uleciało w powietrze, kiedy ciało Karin osunęło się na ziemię.

HARRY I EMMA CLIFTONOWIE
1978–1979

1

Numer Sześć nacisnął spust. Pocisk opuścił kulę z prędkością trzystu czterdziestu kilometrów na godzinę, trafiając w cel kilka centymetrów poniżej lewego obojczyka, ze skutkiem śmiertelnym.

Drugi pocisk utkwił w drzewie, parę metrów od miejsca upadku obu ciał. Kilka chwil później pięciu spadochroniarzy jednostki antyterrorystycznej przedarło się przez zarośla obok nieużywanej kopalni cyny i otoczyło obydwa ciała. Każdy z nich wypełniał swoje zadanie bez dyskusji i pytania, niczym znakomicie wyszkoleni mechanicy na punkcie serwisowym podczas wyścigu Formuły Pierwszej.

Numer Jeden, porucznik dowodzący jednostką, podniósł broń Pengelly'ego i włożył ją do plastikowej torby, podczas gdy Numer Pięć, lekarz, ukląkł przy kobiecie i próbował wyczuć jej puls: słaby, ale wciąż żyła. Musiała zemdleć na odgłos pierwszego strzału; dlatego ludzi postawionych przed plutonem egzekucyjnym często przywiązuje się do słupka.

Numery Dwa i Trzy, obaj kaprale, delikatnie ułożyli nieznajomą kobietę na noszach i poszli z nimi w stronę odległej o jakieś sto metrów polanki, gdzie czekał śmigłowiec z obracającymi się

z furkotem łopatkami. Kiedy nosze umocowano wewnątrz, Numer Pięć, medyk, wspiął się na pokład, dołączywszy do pacjentki. Gdy tylko zapiął pas bezpieczeństwa, śmigłowiec się uniósł. Lekarz ponownie zbadał puls kobiety; trochę bardziej miarowy.

Numer Cztery, sierżant i pułkowy czempion wagi ciężkiej, podniósł tymczasem drugie ciało i zarzucił je na ramię niczym worek kartofli. Sierżant potruchtał własnym tempem w kierunku przeciwnym niż koledzy. Ale przecież dobrze wiedział, dokąd zmierza.

Chwilę później pojawił się drugi śmigłowiec i zatoczył koło, rzucając szeroki snop światła na teren operacji. Numer Dwa i Trzy, nosiciele noszy, prędko dołączyli do Numeru Sześć, strzelca wyborowego, który zszedł z drzewa z karabinem przewieszonym przez ramię, i zaczęli szukać dwóch pocisków.

Pierwszy pocisk utkwił w ziemi w odległości zaledwie kilku metrów od miejsca, gdzie upadł Pengelly. Numer Sześć, który śledził tor lotu pocisku, znalazł go po kilku chwilach. Chociaż każdy żołnierz jednostki miał doświadczenie w odszukiwaniu śladów pozostawionych przez rykoszet i resztek prochu, znalezienie drugiego pocisku trwało trochę dłużej. Jeden z kaprali, pełniący dopiero swoją drugą misję, uniósł dłoń w chwili, gdy go spostrzegł. Wydłubał pocisk nożem z drzewa i podał Numerowi Jeden, który wrzucił go do innej plastikowej torby; ta pamiątka zostanie umieszczona w kantynie, gdzie nigdy nie odbywają się wieczory otwarte. Zadanie zostało wykonane.

Czterech mężczyzn przebiegło obok starej kopalni cyny w stronę polanki i dotarło tam w chwili, gdy lądował drugi śmigłowiec. Porucznik odczekał, aż jego ludzie dostaną się na pokład, a potem

usiadł przy pilocie i zapiął pas. Gdy śmigłowiec uniósł się w powietrze, nacisnął stoper.

– Dziewięć minut, czterdzieści trzy sekundy. Nieźle poszło! – zawołał, przekrzykując szum obracających się śmigieł; wcześniej zapewnił dowódcę, że operacja nie tylko się powiedzie, ale zakończy się przed upływem dziesięciu minut. Spojrzał na teren poniżej i uznał, że oprócz nielicznych śladów stóp, które zmyje pierwszy deszczyk, nic nie wskazuje na to, co się przed chwilą wydarzyło. Jeżeli ktoś z miejscowych spostrzegł dwa śmigłowce zmierzające w różnych kierunkach, nie zwrócił na nie uwagi. W końcu baza RAF Bodmin była odległa tylko o trzydzieści kilometrów i tutejsi mieszkańcy byli przyzwyczajeni do codziennych operacji.

Jeden z miejscowych dobrze jednak wiedział, co się dzieje. Emerytowany pułkownik Henson, kawaler Krzyża Wojennego, zatelefonował do bazy RAF Bodmin w parę chwil po tym, jak zobaczył, że Pengelly opuszcza domek, mocno trzymając córkę pod rękę. Wybrał numer, pod który polecono mu zadzwonić, jeśliby myślał, że kobiecie coś zagraża. Chociaż nie miał pojęcia, kim jest człowiek, który podnosi słuchawkę, wypowiedział tylko jedno słowo, „szarłat", zanim przerwano połączenie. Czterdzieści osiem sekund później para śmigłowców uniosła się w powietrze.

Dowódca podszedł do okna i patrzył, jak dwa śmigłowce Puma przelatują nad biurem i kierują się na południe. Chodził dookoła pokoju, co kilka sekund spoglądając na zegarek. Człowiek akcji, niechętnie uznał, że w wieku trzydziestu dziewięciu lat jest za stary na udział w tajnych operacjach. „A tym stać i z uległością czekać"[*].

Kiedy w końcu minęło dziesięć minut, wrócił do okna, ale dopiero trzy minuty później spostrzegł śmigłowiec zniżający się przez chmury. Odczekał kilka sekund, nim uznał, że może rozprostować zaciśnięte palce, bo gdyby w ślad za nim podążał następny, znaczyłoby to, że operacja się nie powiodła. Instrukcje z Londynu były wyraźne. Jeśli kobieta jest martwa, jej ciało należy przewieźć śmigłowcem do Truro i umieścić w prywatnym skrzydle szpitala, gdzie trzecia drużyna już została pouczona. Natomiast jeżeli przeżyła, ma zostać przewieziona do Londynu, gdzie zajmie się nią czwarta drużyna. Dowódca nie wiedział, jakie mają rozkazy, i nie miał pojęcia, kim jest ta kobieta; jego stopień nie uprawniał go do posiadania tej informacji.

Kiedy śmigłowiec wylądował, dowódca się nie poruszył. Otworzyły się drzwi i ze środka wyskoczył porucznik, zginając się wpół, jako że łopatki wciąż się obracały. Przebiegł kilka metrów, wyprostował się i ujrzawszy pułkownika w oknie, podniósł kciuk na znak sukcesu. Dowódca odetchnął z ulgą, powrócił do biurka i wybrał numer zanotowany w bloku biurowym. To będzie jego druga i ostatnia rozmowa z sekretarzem Gabinetu.

– Sir, tu pułkownik Dawes.

– Dobry wieczór, pułkowniku – powiedział sir Alan.

– Operacja „Szarłat” zakończona z powodzeniem, sir. Puma Jeden z powrotem w bazie. Puma Dwa w drodze na miejsce przeznaczenia.

– Dziękuję – powiedział sir Alan i odłożył słuchawkę. Nie było chwili do stracenia. Lada moment pojawi się następny gość. Jak gdyby był prorokiem, otworzyły się drzwi i sekretarka obwieściła:

– Lord Barrington.

– Giles – powiedział sir Alan, podnosząc się zza biurka i wymieniając uścisk ręki z przybyszem. – Czy mogę zaproponować panu herbatę albo kawę?

– Nie, dziękuję – odparł Giles, którego interesowało tylko jedno: dlaczego sekretarz Gabinetu chciał się z nim widzieć tak pilnie.

– Przepraszam, że wyciągnąłem pana z Izby – powiedział sir Alan – ale muszę porozmawiać z panem o sprawie prywatnej, zgodnie z zasadami Tajnej Rady.

Giles nie słyszał tych słów od czasu, kiedy był członkiem Gabinetu, ale nie trzeba mu było przypominać, że nigdy nie należy powtarzać, o czym on i sir Alan rozmawiają, chyba że w obecności osoby, która także jest członkiem Tajnej Rady Królewskiej.

Giles potaknął skinieniem głowy, a sir Alan powiedział:

– Może zacznę od tego, że pańska żona Karin nie jest córką Pengelly'ego.

Jedna rozbita szyba i po chwili sześciu mężczyzn było w środku. Nie wiedzieli dokładnie, czego szukają, ale gdy to ujrzeli, nie mieli wątpliwości. Major dowodzący drugą jednostką, zwaną zbieraczami śmieci, nie włączał stopera, bo mu się nie spieszyło. Jego ludzie byli nauczeni, żeby się nie spieszyć i żeby na pewno niczego nie przeoczyć. Nigdy nie mieli drugiej szansy.

W odróżnieniu od kolegów z pierwszej jednostki ubrani byli w dresy i mieli w rękach wielkie czarne plastikowe worki na śmieci. Był jeden wyjątek – Numer Cztery – ale on nie był stałym członkiem tej jednostki. Zaciągnięto wszystkie zasłony, zapalono światła i przystąpiono do przeszukania. Mężczyźni skrupulatnie

rewidowali każdy pokój, prędko, metodycznie, nic nie zostawiając przypadkowi. Po dwóch godzinach wypełnili osiem plastikowych worków. Nie zwracali uwagi na ciało, które Numer Cztery położył na dywanie we frontowym pokoju, chociaż jeden z nich przeszukał kieszenie trupa.

Na ostatku przejrzeli trzy walizki, które zostawiono przy drzwiach w przedpokoju – prawdziwy skarb. Ich zawartość wypełniła tylko jeden worek, ale mieścił on więcej informacji niż pozostałe siedem wzięte razem: terminarze, nazwiska, numery telefonów, adresy i poufne akta, które Pengelly niewątpliwie zamierzał zabrać do Moskwy.

Ta jednostka poświęciła potem kolejną godzinę na ponowne sprawdzenie, ale nie znalazła nic godnego zainteresowania; wszak to byli zawodowcy, których wyszkolono, żeby wykonali wszystko dokładnie za pierwszym razem. Kiedy dowódca jednostki był pewien, że nie można już nic więcej zrobić, sześciu mężczyzn wyszło przez tylne drzwi i udało się wypróbowanymi trasami z powrotem do składnicy. Został jedynie Numer Cztery. Ale on nie był zbieraczem śmieci, tylko burzycielem.

Gdy sierżant usłyszał, że zamykają się drzwi, zapalił papierosa, kilka razy się zaciągnął, a potem rzucił żarzący się niedopałek na dywan obok leżącego ciała i pokropił benzyną z zapalniczki dogasający ogienek. Po chwili buchnął niebieski płomień i podpalił dywan. Sierżant wiedział, że w małym drewnianym domu ogień prędko się rozszerzy, ale musiał się upewnić, więc został na miejscu, dopóki dym nie zmusił go do kaszlu. Wtedy wyszedł prędko z pokoju i skierował się do tylnych drzwi. Wyszedłszy z domku, obrócił się i zadowolony, że ogień się

rozprzestrzenia, puścił się biegiem do bazy. Nie miał zamiaru wzywać straży pożarnej.

Wszystkich dwunastu mężczyzn wróciło do koszar w różnym czasie i znów utworzyło zwartą jednostkę, gdy późnym wieczorem spotkali się w kantynie na drinka. Pułkownik dołączył do nich przy kolacji.

Sekretarz Gabinetu stał przy oknie w biurze na pierwszym piętrze i czekał, póki nie ujrzał Gilesa Barringtona wychodzącego z budynku Numer Dziesięć i podążającego zdecydowanym krokiem Downing Street w stronę Whitehallu. Potem sir Alan wrócił do biurka, usiadł i zaczął się zastanawiać nad następnym telefonem i nad tym, ile ma ujawnić.

Harry Clifton był w kuchni, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i gdy usłyszał słowa:

– Tu Numer Dziesięć, proszę nie odkładać słuchawki – uznał, że to premier dzwoni do Emmy. Nie pamiętał, czy jest w szpitalu, czy prezesuje zebraniu w Budynku Barringtona.

– Dzień dobry, panie Clifton, mówi Alan Redmayne. Czy to odpowiedni moment?

Harry o mało nie roześmiał się w głos. Miał ochotę odrzec, nie, sir Alanie, to nieodpowiedni moment, jestem w kuchni, robię sobie herbatę i nie mogę się zdecydować, czy wrzucić jedną kostkę cukru, czy dwie, więc może zadzwoni pan później? Ale zamiast tego wyłączył czajnik i powiedział:

– Oczywiście, sir Alanie. Jak mogę pomóc?

– Chciałem, żeby pan pierwszy się dowiedział, że John Pengelly nie stanowi już problemu, i chociaż utrzymywano to przed panem w tajemnicy, powinien pan wiedzieć, że pańskie obawy wobec

Karin Brandt były nieuzasadnione, choć zrozumiałe. Pengelly nie był jej ojcem, a ona przez ostatnie pięć lat była naszym najbardziej zaufanym tajnym agentem. Teraz, gdy Pengelly nie stanowi już problemu, ona dostanie obowiązkowy urlop płatny i nie planujemy, żeby wróciła do pracy.

Harry uznał, że „nie stanowi już problemu" to eufemizm oznaczający, że Pengelly został wyeliminowany, i chociaż było kilka pytań, które chciałby zadać sekretarzowi Gabinetu, zachował swoją opinię dla siebie. Wiedział, że jest mało prawdopodobne, aby człowiek, który nie dzielił się sekretami nawet z premierem, odpowiedział na nie.

– Dziękuję, sir Alanie. Czy jest jeszcze coś, o czymś powinienem wiedzieć?

– Tak. Pański szwagier również dowiedział się prawdy o swojej żonie, ale lord Barrington nie wie, że to pan przede wszystkim naprowadził nas na ślad Pengelly'ego. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby nigdy się nie dowiedział.

– Ale co mam mówić, gdyby kiedyś poruszył ten temat?

– Nie ma potrzeby, żeby pan cokolwiek mówił. W końcu on nie ma powodu podejrzewać, że będąc w Moskwie na konferencji pisarzy, natknął się pan na nazwisko Pengelly'ego, a ja go oczywiście nie uświadomiłem.

– Dziękuję, sir Alanie. To uprzejme z pańskiej strony, że zechciał mnie pan poinformować.

– To drobiazg. Przy okazji, moje gratulacje. Zasłużył pan.

Opuściwszy Numer Dziesięć, Giles szybko udał się do swojego domu na Smith Square. Czuł ulgę, że Markham ma tego dnia wolne, i gdy otworzył drzwi, od razu poszedł na górę do sypialni.

Zapalił nocną lampkę, zaciągnął zasłony i odrzucił narzutę. Chociaż było tylko kilka minut po szóstej, na Smith Square już zapalono latarnie.

Był w połowie schodów, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Zbiegł na dół, żeby je otworzyć, i za progiem ujrzał młodego człowieka. Za nim widać było nieoznakowaną czarną furgonetką z otwartymi tylnymi drzwiami. Mężczyzna wyciągnął rękę na powitanie.

– Doktor Weeden. Myślę, że pan nas oczekuje.

– Tak – odparł Giles, gdy z tyłu furgonetki wyłonili się dwaj mężczyźni i ostrożnie wyciągnęli z niej nosze.

– Proszę za mną – powiedział Giles, prowadząc ich po schodach do sypialni.

Dwaj sanitariusze unieśli nieprzytomną kobietę z noszy i położyli na łóżku. Giles okrył żonę, a sanitariusze wyszli bez słowa.

Lekarz zmierzył jej puls.

– Podałem jej środek uspokajający, więc będzie spać dwie godziny. Kiedy się obudzi, przez chwilę może sobie wyobrażać, że to był koszmarny sen, ale kiedy się zorientuje, że jest w znajomym otoczeniu, prędko dojdzie do siebie i przypomni sobie, co się wydarzyło. Będzie się z pewnością zastanawiać, jak dużo pan wie, zatem ma pan trochę czasu, żeby to przemyśleć.

– Już to zrobiłem – powiedział Giles i odprowadził doktora Weedena do drzwi. Mężczyźni drugi raz wymienili uścisk rąk, a potem lekarz wsiadł do czarnej furgonetki, nie obejrzawszy się za siebie.

Anonimowy pojazd okrążył wolno Smith Square, skręcił w prawo i włączył się w intensywny wieczorny ruch.

Kiedy furgonetka zniknęła Gilesowi z oczu, zamknął drzwi i pobiegł na górę. Przysunął sobie krzesło i usiadł przy śpiącej żonie.

Giles musiał zasnąć, bo następne, co zobaczył, to Karin siedzącą w łóżku i wpatrującą się w niego. Zamrugał, uśmiechnął się i wziął ją w ramiona.

– Już po wszystkim, kochanie. Jesteś teraz bezpieczna – zapewnił ją.

– Myślałam, że jeśli kiedyś się dowiesz, nigdy mi nie wybaczysz – powiedziała, tuląc się do niego.

– Nie ma nic do wybaczenia. Zapomnijmy o przeszłości i skoncentrujmy się na przyszłości.

– Ale ważne, żebym ci wszystko powiedziała – rzekła Karin. – Żadnych więcej sekretów.

– Alan Redmayne już mnie w pełni poinformował – próbował uspokoić ją Giles.

– Nie w pełni – powiedziała Karin, uwalniając się z jego objęć. – Nawet on nie wie o wszystkim, a ja nie mogę dłużej żyć w kłamstwie.

Giles spojrzał na nią z niepokojem.

– W istocie wykorzystałam cię, żeby wydostać się z Niemiec. Tak, lubiłam cię, ale kiedy byłam bezpieczna w Anglii, zamierzałam uciec od ciebie i od Pengelly'ego i rozpocząć nowe życie. I zrobiłabym to, gdybym cię nie pokochała.

Giles ujął jej rękę.

– Ale żebyś był ze mną, musiałam utrzymywać Pengelly'ego w przekonaniu, że dla niego pracuję. To Cynthia Forbes-Watson przybyła mi na ratunek.

– Mnie też – powiedział Giles. – Ale ja pokochałem cię po tej nocy, którą spędziliśmy razem w Berlinie. To nie moja wina, że tobie zajęło trochę więcej czasu, zanim pojęłaś, jaka jesteś szczęśliwa.

Karin wybuchnęła śmiechem i objęła go. Kiedy wypuściła go z objęć, Giles powiedział:

– Pójdę i zrobię ci herbaty.

Typowy Brytyjczyk, pomyślała Karin.

---

[*] John Milton, *O utracie wzroku*, przeł. Konstanty Piotrowski, 1851 (wszystkie przypisy tłumaczy).

2

– O której godzinie Jej Królewska Mość życzy sobie nas widzieć? – spytała Emma z szerokim uśmiechem, nie chcąc przyznać, jak dumna jest z męża i jak bardzo się cieszy na tę uroczystość. W przeciwieństwie do spotkania rady nadzorczej, któremu miała przewodniczyć pod koniec przyszłego tygodnia i które cały czas zaprzątało jej myśli.

– Między dziesiątą a jedenastą – powiedział Harry, sprawdziwszy zaproszenie.

– Czy pamiętałeś, żeby zamówić samochód?

– Tak, zamówiłem wczoraj po południu. I jeszcze potwierdziłem dziś z samego rana – dodał, gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi.

– To będzie Seb – rzuciła Emma. Spojrzała na zegarek. – I nawet jest punktualny.

– Nie sądzę, żeby mógł się spóźnić na tę okazję – zauważyła Karin.

Giles wstał ze swego miejsca przy stole nakrytym do śniadania, gdy tymczasem Markham otworzył drzwi i usunął się na bok, wpuszczając Jessicę, Seba i Samanthę w zaawansowanej ciąży.

– Czy całe towarzystwo jest po śniadaniu? – spytał Giles, pocałowawszy Samanthę w policzek.

– Tak, dziękujemy – odrzekł Seb, a tymczasem Jessica rzuciła się na stół, posmarowała grzankę masłem i schwyciła dżem.

– Widać nie wszyscy – rzekł Harry, uśmiechając się do wnuczki.

– Ile mam czasu? – zagadnęła Jessica między jednym kęsem a drugim.

– Najwyżej pięć minut – powiedziała kategorycznym tonem Emma. – Nie chcę przybyć do pałacu później niż o wpół do jedenastej, młoda damo.

Jessica posmarowała następną grzankę masłem.

– Giles – zwróciła się Emma do brata – to było uprzejme z twojej strony, że nas przenocowałeś, i przykro mi, że nie możesz do nas dołączyć.

– Tylko najbliższa rodzina, taka jest zasada – powiedział Giles. – I słusznie, inaczej potrzebowaliby stadionu piłkarskiego, żeby pomieścić wszystkich chętnych.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– To musi być nasz szofer – zauważyła Emma. Jeszcze raz sprawdziła, czy jedwabny krawat Harry'ego nie jest przekrzywiony, i zdjęła siwy włos z jego żakietu, a potem powiedziała: – Proszę za mną.

– Prezes to prezes – szepnął Giles, odprowadzając szwagra do drzwi.

Za nimi podążyli Seb i Samantha z zamykającą pochód Jessicą, teraz pałaszującą trzecią grzankę.

Gdy Emma wyszła na Smith Square, szofer otworzył tylne drzwi czarnej limuzyny. Emma zaprosiła swoją trzódkę do środka,

usiadłszy wcześniej razem z Harrym i Jessicą na tylnej kanapie. Samantha i Seb usiedli na dwóch rozkładanych siedzeniach naprzeciwko.

– Denerwujesz się, dziadziu? – spytała Jessica, gdy samochód ruszył i włączył się w poranny ruch pojazdów.

– Nie – odparł Harry. – Chyba że zamierzasz dokonać przewrotu w państwie.

– Nie podsuwaj jej pomysłów – rzucił Sebastian.

Minęli Izbę Gmin i wjechali na Parliament Square.

Nawet Jessica umilkła, kiedy samochód przejechał pod sklepieniem bramy budynku Admiralty Arch i ich oczom ukazał się pałac Buckingham. Kierowca powoli posuwał się aleją Mall, okrążył posąg królowej Wiktorii i zatrzymał się przed bramą pałacu. Opuścił szybę samochodu i powiedział do młodego oficera Gwardii:

– Pan Harry Clifton z rodziną.

Porucznik uśmiechnął się i odznaczył nazwisko w notesie.

– Proszę jechać pod sklepieniem i w lewo, a jeden z moich kolegów pokaże panu, gdzie zaparkować.

Kierowca zastosował się do polecenia i wjechał na olbrzymi dziedziniec, gdzie parkowały już rzędy aut.

– Proszę zaparkować obok niebieskiego forda po drugiej stronie – polecił inny oficer, pokazując przeciwną stronę dziedzińca. – A potem możecie się państwo udać do pałacu.

Gdy Harry wysiadł z samochodu, Emma jeszcze raz go obejrzała.

– Wiem, że nie uwierzysz – szepnęła – ale masz rozpięty rozporek.

Harry zaczerwienił się jak burak, zasunął zamek rozporka, a potem cała gromadka weszła po schodach do pałacu. Dwaj lokaje w liberii w złoto-czerwonych barwach dworu królewskiego stali wyprostowani na baczność u stóp szerokich, okrytych czerwonym dywanem schodów. Harry i Emma wolno wstępowali po stopniach, chłonąc atmosferę. Gdy stanęli na górze, powitało ich dwóch kolejnych dżentelmenów z personelu dworu królewskiego. Harry zauważył, że ranga wzrastała za każdym razem, kiedy ich zatrzymywano.

– Harry Clifton – przedstawił się, nim go zapytano.

– Dzień dobry panu – powiedział starszy rangą oficer. – Czy zechce mi pan towarzyszyć? Kolega zaprowadzi pańską rodzinę do Sali Tronowej.

– Powodzenia – szepnęła Emma do odchodzącego Harry'ego.

Rodzina wstąpiła na następne, już nie tak szerokie schody, które prowadziły do długiej galerii. Emma przystanęła, wszedłszy do sali o wysokim suficie, i podniosła wzrok na gęsto zawieszone obrazy, które widziała wcześniej tylko w albumach sztuki. Zwróciła się do Samanthy:

– Przypuszczam, że skoro jest mało prawdopodobne, żeby nas zaproszono ponownie, to pewno Jessica chciałaby się dowiedzieć więcej o kolekcji królewskiej.

– Ja też – odezwał się Sebastian.

– Liczni królowie i królowe Anglii – zaczęła Samantha – byli koneserami i kolekcjonerami sztuki, więc to jest tylko maleńki wybór kolekcji królewskiej, w rzeczywistości niebędącej własnością monarchini, ale narodu. Zwróćcie uwagę, że przede wszystkim w galerii obrazów znajdują się artyści brytyjscy

z początku dziewiętnastego wieku. Niezwykły, przedstawiający widok Wenecji obraz Turnera wisi naprzeciw znakomitego malowidła katedry w Lincoln pędzla jego starego rywala Constable'a. Ale jak widzicie, głównym akcentem galerii jest olbrzymi portret Karola I na koniu, namalowany przez van Dycka, który w owym czasie był dworskim artystą przebywającym w pałacu.

Jessica była tak oczarowana, że omal nie zapomniała, dlaczego tam są. Kiedy w końcu dotarli do Sali Tronowej, Emma żałowała, że nie wyruszyła wcześniej, gdyż dziesięć pierwszych rzędów było już zajętych. Szybko przemierzyła główne przejście, zajęła miejsce na końcu pierwszego wolnego rzędu i czekała, aż pozostali członkowie rodziny do niej dołączą. Gdy wszyscy usiedli, Jessica zaczęła się rozglądać po sali.

Ponad trzysta zgrabnych złotych foteli ustawionych w szesnastu rzędach rozdzielało szerokie przejście w środku. Z przodu sali znajdował się okryty czerwonym dywanem stopień, a powyżej duży, pusty tron, czekający na prawowitą użytkowniczkę. Szmer nerwowych rozmów ucichł sześć minut przed jedenastą, kiedy wysoki, wytworny mężczyzna w żakiecie i sztuczkowych spodniach wszedł do sali, zatrzymał się przed stopniem i zwrócił się do zgromadzonych.

– Dzień dobry, panie i panowie – zaczął. – Witam w pałacu Buckingham. Dzisiejsza inwestytura rozpocznie się za kilka minut. Pozwolę sobie przypomnieć, żebyście państwo nie fotografowali, i proszę nie wychodzić przed zakończeniem ceremonii.

Bez dalszych słów wyszedł tak dyskretnie, jak się zjawił.

Jessica otworzyła torebkę i wyjęła mały blok rysunkowy i ołówek.

– Babciu, on nic nie mówił o rysowaniu – szepnęła.

Z wybiciem jedenastej Jej Królewska Mość Elżbieta II wkroczyła do Sali Tronowej i wszyscy goście wstali. Stanęła na stopniu przed tronem, ale nic nie powiedziała. Ruch głową mistrza ceremonii i pierwszy odznaczany wszedł z drugiej strony sali. W ciągu następnej godziny mężczyźni i kobiety ze wszystkich stron Zjednoczonego Królestwa i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów otrzymywali odznaczenia od monarchini, która krótko rozmawiała z każdą z tych osób, dopóki na znak mistrza ceremonii ktoś następny nie zajął ich miejsca.

Jessica trzymała ołówek w pogotowiu, czekając na wejście dziadka. Kiedy Harry zbliżył się do królowej, mistrz ceremonii ustawił mały stołek przed Jej Królewską Mością i podał jej miecz. Jessica ani na chwilę nie przestawała rysować, uchwyciwszy scenę, gdy Harry ukląkł na jedno kolano i pochylił głowę. Królowa delikatnie dotknęła końcem miecza jego prawego ramienia, uniosła miecz, po czym położyła go na jego lewym ramieniu i powiedziała:

– Powstań, sir Harry.

– I co się wydarzyło, kiedy cię odprowadzono do Tower? – spytała Jessica, gdy wyjechali z pałacu i ruszyli z powrotem aleją Mall, żeby zawieźć Harry'ego kilkaset metrów dalej do jego ulubionej restauracji na uroczysty lunch.

– Najpierw zabrali nas wszystkich do sali oczekiwań, gdzie honorowy mistrz ceremonii zaznajomił nas z jej przebiegiem. Był nadzwyczaj uprzejmy i zalecił, że kiedy spotkamy się z królową,

powinniśmy schylić głowę w ukłonie – rzekł Harry, demonstrując ten ruch – a nie zgiąć się w pasie jak paź. Powiedział, że nie należy ściskać jej ręki, powinniśmy zwracać się do niej „Wasza Królewska Mość" i czekać, aż rozpocznie rozmowę. W żadnym razie nie należy zadawać jej pytań.

– Ale nudy – powiedziała Jessica. – Ja bym miała do niej mnóstwo pytań.

– A w odpowiedzi na pytanie, jakie mogłaby zadać – ciągnął Harry, nie zważając na słowa wnuczki – powinniśmy się do niej zwracać „ma'am", co się rymuje z „Sam". Gdy skończy się audiencja, mamy znów się ukłonić.

– Schyliwszy głowę – rzuciła Jessica.

– A potem cię oddalić.

– Ale co by się stało, gdybyś nie odszedł – drążyła Jessica – i zaczął zadawać jej pytania?

– Mistrz ceremonii bardzo grzecznie nas zapewnił, że gdybyśmy się ociągali, to polecono mu ściąć nam głowy.

Wszyscy z wyjątkiem Jessiki wybuchnęli śmiechem.

– Ja bym się nie ukłoniła i nie mówiła jej Wasza Królewska Mość.

– Jej Królewska Mość jest bardzo tolerancyjna wobec buntowników – odezwał się Sebastian, próbując skierować rozmowę na bezpieczniejszy grunt – i pogodziła się z tym, że Amerykanie w 1776 roku wymknęli się spod kontroli.

– To o czym ona mówiła? – zapytała Emma.

– Powiedziała mi, że bardzo lubi moje powieści, i zapytała, czy na najbliższe Boże Narodzenie ukaże się nowa historia z Williamem Warwickiem. Tak, odparłem, ale może ma'am nie

spodoba się moja następna książka, gdyż zamierzam uśmiercić Williama.

– I co ona na to? – spytał Sebastian.

– Przypomniała mi, co jej prapraprababka królowa Wiktoria powiedziała do Lewisa Carrolla po przeczytaniu *Alicji w krainie czarów*. Jednak zapewniłem ją, że moja następna książka nie będzie matematyczną rozprawą o Euklidesie.

– Jak na to zareagowała? – zapytała Samantha.

– Uśmiechnęła się na znak, że rozmowa została zakończona.

– Zatem jeżeli zamierzasz uśmiercić Williama Warwicka, to jaki będzie temat twojej kolejnej książki? – spytał Sebastian, gdy samochód zatrzymał się przed restauracją.

– Kiedyś, Seb, obiecałem twojej babce – odparł Harry, wysiadając z samochodu – że spróbuję napisać poważniejszą książkę, która, wedle jej słów, przetrwa listy bestsellerów i wytrzyma próbę czasu. Nie staję się coraz młodszy, więc kiedy wywiążę się z obecnej umowy, spróbuję się przekonać, czy jestem w stanie spełnić oczekiwania twojej babki.

– Czy masz jakiś pomysł, temat albo chociaż tytuł? – spytał Seb, gdy wchodzili do Le Caprice.

– Tak, tak i tak – odparł Harry. – I to wszystko, co jestem skłonny powiedzieć w tym momencie.

– Ale mnie powiesz, prawda, dziadziu? – spytała Jessica, wyciągając rysunek, który przedstawiał Harry'ego klęczącego przed królową dotykającą mieczem jego prawego ramienia.

Harry aż krzyknął ze zdumienia, a członkowie rodziny śmiali się i bili brawo. Już miał odpowiedzieć na pytanie dziewczyny, kiedy kierownik sali przybył mu na odsiecz.

– Sir Harry, pański stolik jest gotowy.

3

– Nigdy, nigdy, nigdy – powiedziała Emma. – Czy muszę ci przypominać, że sir Joshua założył Linię Żeglugową Barringtona w 1839 roku i w pierwszym roku osiągnął zysk w wysokości...

– Trzydziestu trzech funtów, czterech szylingów i dwóch pensów, co mi pierwszy raz powiedziałaś, kiedy miałem pięć lat – rzekł Sebastian. – Jednakże jest prawdą, że wprawdzie firma Barringtona wypracowała w zeszłym roku sporą dywidendę dla swoich udziałowców, ale jest nam coraz trudniej współzawodniczyć z takimi gigantami, jak Cunard oraz P and O.

– Ciekawa jestem, co by twój dziadek myślał o przejęciu firmy Barringtona przez jednego z jego zaciekłych rywali.

– Po wszystkim, co mi mówiono i co czytałem o tym wielkim człowieku – rzekł Seb, spoglądając na portret sir Waltera wiszący na ścianie z tyłu za matką – to wiem, że zanimby podjął ostateczną decyzję, rozważyłby, jakie ma możliwości, i zastanowił się, co byłoby najlepsze dla udziałowców.

– Nie chciałbym się wtrącać do rodzinnej sprzeczki – odezwał się admirał Summers – ale powinniśmy porozmawiać o tym, czy gra jest warta świeczki.

– To uczciwa oferta – stwierdził rzeczowo Sebastian – ale jestem pewien, że mogę skłonić Cunarda, żeby podnieśli tę kwotę o co najmniej dziesięć, a może i piętnaście procent. Mówiąc szczerze, byłoby to maksimum tego, na co możemy liczyć. Więc tak naprawdę musimy zdecydować, czy chcemy potraktować ich ofertę serio, czy też od ręki ją odrzucić.

– Zatem pora wysłuchać opinii członków rady nadzorczej – powiedziała Emma, rozejrzawszy się wokół stołu w sali posiedzeń.

– Oczywiście, pani prezes – odezwał się Philip Webster, księgowy spółki – możemy wszyscy wyrazić opinie o niewątpliwie najważniejszej decyzji w historii firmy. Jednak, skoro pani rodzina posiada większość udziałów, tylko wy przesądzicie o wyniku.

Inni członkowie rady skinęli głowami na znak zgody, mimo to wypowiadali swoje opinie przez następne czterdzieści minut, a wtedy Emma się zorientowała, że są podzieleni pół na pół.

– Dobrze – stwierdziła, kiedy jeden czy dwóch członków rady zaczęło się powtarzać. – Clive, sugeruję, że jako szef naszego działu PR powinieneś przygotować dwa oświadczenia prasowe pod rozwagę rady. Pierwsze ma być krótkie i na temat, niepozwalające wątpić Cunardowi, że chociaż pochlebia nam ich oferta, to Linia Żeglugowa Barringtona jest firmą rodzinną i nie jest na sprzedaż.

Admirał miał zadowoloną minę, natomiast Sebastian był nieporuszony.

– A drugie? – spytał Clive Bingham, zapisawszy słowa pani prezes.

– Rada nadzorcza odrzuca ofertę Cunarda jako uwłaczającą, a jeśli chodzi o nas, to wszystko zostaje po staremu.

– To może im nasunąć myśl, że interesuje cię tylko to, czy cena jest odpowiednia – wtrącił Seb.

– I co wydarzy się potem? – spytał admirał.

– Kurtyna pójdzie w górę i rozpocznie się pantomima – odparł Seb – ponieważ prezes Cunarda uświadomi sobie, że odtwórczyni głównej roli upuszcza tylko chusteczkę na podłogę, oczekując, że konkurent ją podniesie i rozpocznie stary jak świat rytuał zalotów zakończony prawdopodobnie propozycją, którą ona zechce przyjąć.

– Ile mamy czasu? – spytała Emma.

– W City będą wiedzieli, że odbywamy spotkanie rady nadzorczej w celu przedyskutowania sprawy przejęcia firmy, i będą oczekiwali odpowiedzi na ofertę Cunarda do końca urzędowania dziś wieczorem. Rynek poradzi sobie prawie ze wszystkim, z suszą, głodem, niespodziewanym wynikiem wyborów, nawet z zamachem stanu, ale nie z brakiem zdecydowania.

Emma otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę i upuściła ją na podłogę.

– Co myślisz o kazaniu? – zagadnął Harry.

– Bardzo interesujące – odparła Emma. – Ale wielebny Dodswell zawsze głosi dobre kazania – dodała, kiedy wyszli z przykościelnego cmentarza i skierowali się do Manor House.

– Porozmawiałbym o jego poglądach na temat niewiernego Tomasza, gdybym sądził, że słyszałaś chociaż jedno słowo.

– Uznałam jego podejście za fascynujące – zaprotestowała Emma.

– Nieprawda. On ani razu nie wspomniał o niewiernym Tomaszu i nie będę cię dalej wprawiał w zakłopotanie, pytając,

o czym mówił. Mam tylko nadzieję, że Pan Bóg potraktuje z wyrozumiałością twoje zaabsorbowanie możliwym przejęciem firmy.

Przeszli kilka kroków w milczeniu, zanim Emma powiedziała:

– To nie tym się martwię.

– Więc czym? – spytał Harry ze zdziwieniem. Emma wzięła go za rękę. – Tak źle?

– *Liść Klonu* wrócił do Bristolu i stoi na złomowisku. – Umilkła na chwilę. – Prace rozbiórkowe zaczną się we wtorek.

Szli przez pewien czas w milczeniu, po czym Harry spytał:

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie sądzę, żebyśmy mieli duży wybór, jeśli nie chcemy do końca życia się zastanawiać...

– To mogłoby ostatecznie odpowiedzieć na pytanie, które nas dręczy całe życie. Więc spróbuj jak najdyskretniej dowiedzieć się, czy jest coś w podwójnym dnie kadłuba.

– Prace mogą się zacząć natychmiast – przyznała Emma. – Ale nie chciałam dać ostatecznego pozwolenia bez twojego błogosławieństwa.

Clive Bingham był uszczęśliwiony kiedy Emma poprosiła, żeby dołączył do rady nadzorczej Linii Żeglugowej Barringtona, i chociaż nie było mu łatwo zająć miejsce ojca jako członka rady, to uważał, że spółka skorzystała z jego doświadczenia i wiedzy w dziedzinie PR, czego jej przedtem brakowało. Mimo to nie wątpił, co pomyślałby sir Walter Barrington o wstąpieniu eksperta od PR do rady nadzorczej: jak o handlarzu zaproszonym na uroczysty obiad.

Clive był dyrektorem własnej firmy PR w City z liczącym jedenaście osób personelem, który prowadził już kilka batalii związanych z przejęciem firm. Ale przyznał Sebowi, że to przejęcie spędza mu sen z powiek.

– Dlaczego? Nie ma nic niezwykłego w przejęciu firmy rodzinnej. Ostatnio zdarza się to bardzo często.

– Zgoda – rzekł Clive – ale tym razem to sprawa osobista. Twoja matka okazała mi zaufanie, zapraszając mnie do rady nadzorczej po rezygnacji mojego ojca, i szczerze mówiąc, to nie jest tak, jakbym informował prasę branżową o nowej trasie żeglugi na Bahamy albo o najnowszym programie lojalnościowym, ani nawet o zbudowaniu trzeciego liniowca. Jeśli teraz mi się nie powiedzie...

– Jak do tej pory twoje konferencje prasowe były perfekcyjne – powiedział Seb – a ostatnia oferta Cunarda jest prawie zaklepana. My to wiemy i oni to wiedzą, więc nie mogłeś wykonać bardziej profesjonalnej roboty.

– To uprzejme, co mówisz, Seb, ale ja się czuję jak biegacz na ostatniej prostej. Widzę taśmę, ale mam jeszcze jedną przeszkodę do wzięcia.

– I pokonasz ją w dobrym stylu.

Clive wahał się chwilę, zanim znowu się odezwał.

– Nie jestem przekonany, że twoja matka naprawdę chce dopuścić do tego przejęcia.

– Może się nie mylisz – powiedział Seb. – Jednak nie wziąłeś pod uwagę, że ona ma pewną rekompensatę.

– Mianowicie?

– Coraz bardziej pochłania ją praca prezeski szpitala, który, nie zapominaj, zatrudnia więcej ludzi i ma nawet większy budżet niż Linia Żeglugowa Barringtona, i co ważniejsze, nikt nie może go przejąć.

– Ale co myślą Giles i Grace? W końcu są udziałowcami większościowymi.

– Zostawili jej ostateczną decyzję, więc pewno dlatego spytała mnie, co myślę. A ja nie zostawiłem jej cienia wątpliwości, że jestem z natury bankierem, a nie człowiekiem morza i wolę być prezesem Farthings Kaufman niż spółki Barringtona. To na pewno nie było dla niej łatwe, ale w końcu uznała, że nie mogę pełnić obu tych funkcji. Gdybym tylko miał młodszego brata.

– Albo siostrę – rzekł Clive.

– Cii... bo Jessica zacznie coś kombinować.

– Ona ma tylko trzynaście lat.

– Nie sądzę, żeby to ją peszyło.

– Jak sobie radzi w nowej szkole?

– Jej nauczyciel malarstwa przyznał, że Jessica rozgłasza, zanim stanie się to zbyt oczywiste, że jedna dziewczyna w trzeciej klasie jest już lepszą artystką niż ona.

Kiedy w poniedziałek późnym wieczorem Emma wróciła ze złomowiska, wiedziała, że musi powiedzieć Harry'emu, co Frank Gibson i jego drużyna znaleźli, kiedy rozpruli podwójne dno kadłuba *Liścia Klonu*.

– Wyszło na jaw to, czego się zawsze najbardziej baliśmy – powiedziała, siadając naprzeciw Harry'ego. – A nawet gorzej.

– Gorzej? – powtórzył Harry.

Pochyliła głowę.

– Arthur wydrapał wiadomość na ścianie podwójnego dna. – Umilkła, ale nie mogła wydobyć więcej słów.

– Nie musisz mi mówić – powiedział Harry, ujmując jej dłoń.

– Muszę. W przeciwnym razie będziemy żyli w kłamstwie do końca życia. – Minęło trochę czasu, nim wydusiła: – Napisał: „Stan miał rację. Sir Hugo wiedział, że jestem tu uwięziony”... Więc mój ojciec zamordował twojego ojca – powiedziała, łkając.

– Tego nigdy nie będziemy pewni i może, kochanie, lepiej, żebyśmy nie byli... – rzekł Harry po dłuższej chwili.

– Ja nie chcę już wiedzieć. Ale ten biedak powinien przynajmniej mieć chrześcijański pogrzeb. Twoja matka oczekiwałaby tego.

– Pomówię na osobności z pastorem.

– Kto jeszcze powinien tam być?

– Tylko nas dwoje – powiedział Harry bez wahania. – Nic nie zyskamy, narażając Seba i Jessicę na cierpienie, jakie musieliśmy przeżywać przez tyle lat. I módlmy się, żeby to był koniec tej sprawy.

Emma spojrzała na męża.

– Widać nie słyszałeś o naukowcach z Cambridge, którzy pracują nad czymś, co się zwie DNA.

PRAWIE SIĘ ZDECYDOWALIŚMY, MÓWI
RZECZNIK SPÓŁKI BARRINGTONA

– Cholera – zaklął Clive, kiedy przeczytał tytuł w „Financial Timesie”. – Jak mogłem być tak głupi?

– Przestań się obwiniać – powiedział Seb. – Jest prawdą, że prawie się zdecydowaliśmy.

– Obaj to wiemy – rzekł Clive. – Ale szkoda, żeby Cunard to wiedział.

– Oni byli tego pewni na długo przedtem, zanim ujrzeli ten tytuł – zauważył Seb. – Szczerze mówiąc, będziemy mieli szczęście, jeśli uzyskamy jeszcze jeden punkt procentowy w tej transakcji. Podejrzewam, że osiągnęli górny pułap.

– Jednak twoja matka nie będzie specjalnie zadowolona – dodał Clive – i kto może mieć jej to za złe?

– Ona uzna, że to końcówka rozgrywki, a ja nie zamierzam wyprowadzać jej z błędu.

– Dziękuję za poparcie, Seb. Doceniam to.

– Drobiazg. Ty mi też pomogłeś, kiedy Sloane mianował się prezesem Farthings i wyrzucił mnie następnego dnia. Zapomniałeś, że tylko bank Kaufmana zaproponował mi pracę? A zresztą moją matkę może nawet ucieszył ten tytuł.

– Co masz na myśli?

– Wciąż nie jestem przekonany, że ona chce, żeby przejęcie zakończyło się sukcesem.

– Czy to zaszkodzi sprawie przejęcia? – spytała Emma, przeczytawszy artykuł.

– Może będziemy musieli poświęcić punkt albo dwa – odparł Seb. – Ale nie zapominaj mądrych słów Cedrica Hardcastle'a na temat przejęcia firm. Jeśli uzyskasz więcej, niż się spodziewałeś, a druga strona uważa, że wyszła lepiej na transakcji, to każdy odejdzie od stołu negocjacji zadowolony.

– Jak twoim zdaniem zareagują Giles i Grace?

– Wujek Giles spędza większość wolnego czasu, objeżdżając kraj i odwiedzając niepewne okręgi, gdzie zwycięstwo zależy od

niewielu głosów, licząc na to, że laburzyści wciąż mogą wygrać najbliższe wybory. Bo jeśli Margaret Thatcher zostanie następnym premierem, to on może nigdy więcej nie pełnić stanowiska rządowego.

– A Grace?

– Nie sądzę, żeby w życiu czytała „Financial Timesa", i na pewno nie będzie wiedziała, co zrobić z czekiem na dwadzieścia milionów funtów, jeśli się pamięta, że jej obecna pensja to około dwudziestu tysięcy rocznie.

– Będzie potrzebowała twojej pomocy i rady, Seb.

– Mamo, bądź pewna, że Farthings Kaufman zainwestuje kapitał doktor Barrington nadzwyczaj rozsądnie, biorąc pod uwagę fakt, że za kilka lat ona przejdzie na emeryturę i będzie liczyć na regularny dochód i mieszkanie.

– Może zamieszkać z nami w Somerset – powiedziała Emma. – Dawny domek Maisie będzie się dla niej idealnie nadawał.

– Ona jest zbyt dumna, żeby się na to zgodzić – rzekł Seb – i ty to wiesz, mamo. Już mi powiedziała, że rozgląda się za czymś w Cambridge, żeby być blisko przyjaciół.

– Ale po przejęciu naszej spółki będzie miała dość pieniędzy, żeby sobie kupić zamek.

– Założę się – powiedział Seb – że zamieszka w małym szeregowcu niedaleko dawnej uczelni.

– No, no, niewiele brakuje, żebyś został mędrcem – zauważyła Emma, zastanawiając się, czy podzielić się z synem swoim najnowszym kłopotem.

4

– Sześć miesięcy – powiedział Harry. – Ten cholerny facet powinien zostać powieszony i rozerwany końmi.

– O czym ty mówisz? – spytała spokojnie Emma, nalewając sobie drugą filiżankę herbaty.

– Ten opryszek, który uderzył pielęgniarkę na oddziale pomocy doraźnej, a potem zaatakował lekarza, został skazany tylko na sześć miesięcy.

– Doktor Hands – powiedziała Emma. – Wprawdzie zgadzam się z twoimi odczuciami, ale były też okoliczności łagodzące.

– Mianowicie? – spytał Harry.

– Kilka moich najlepszych pielęgniarek pochodzi z zagranicy i nie chce stanąć na miejscu dla świadka z obawy, że władze mogą odkryć, że ich papiery imigracyjne nie są, powiedzmy, w idealnym porządku.

– To nie powód, żeby nie dostrzegać takich rzeczy – powiedział Harry.

– Nie mamy specjalnie wyboru, jeśli publiczna służba zdrowia ma nie upaść.

– To nie zmienia faktu, że ten drab uderzył pielęgniarkę – Harry zajrzał znowu do artykułu – w sobotnią noc, kiedy był najwyraźniej pijany.

– Sobotnia noc to trop – powiedziała Emma – na który by wpadł William Warwick, gdyby przesłuchał siostrę przełożoną i odkrył, dlaczego włącza radio w każde sobotnie popołudnie o piątej.

Harry uniósł brwi.

– Żeby usłyszeć, jaki jest wynik meczu Bristol City albo Bristol Rovers, zależnie od tego, która drużyna gra tego dnia u siebie.

Harry nie przerywał.

– Jeżeli wygrają, oddział pomocy doraźnej będzie miał spokojną noc. Jeśli zremisują, będzie znośnie. Ale gdyby przegrali, nastąpi koszmar, ponieważ po prostu nie mamy dość personelu, żeby sobie dać radę.

– Tylko dlatego, że drużyna miejscowa przegra mecz piłki nożnej?

– Tak, ponieważ można zagwarantować, że kibice tej drużyny utopią smutek w alkoholu, a potem wdadzą się w bójki. Niektórzy, co za niespodzianka, wylądują na oddziale pomocy doraźnej, gdzie będą musieli wyczekiwać godzinami, zanim ktoś się nimi zajmie. Rezultat? Jeszcze więcej bójek wybucha w poczekalni i czasami pielęgniarka albo lekarz próbują interweniować.

– Nie macie ochroniarzy, żeby się z tym uporali?

– Obawiam się, że mamy ich za mało. I szpital nie ma odpowiednich środków, skoro siedemdziesiąt procent rocznego budżetu pochłaniają pensje, a rząd żąda cięcia wydatków, lecz nie jest skłonny do udzielenia subwencji. Więc możesz być pewien, że

staniemy przed tym samym problemem w następny sobotni wieczór, jeżeli Bristol Rovers przegra z Cardiff City.

– Czy pani Thatcher ma pomysł na rozwiązanie tego problemu?

– Podejrzewam, że ona by się zgodziła z tobą, kochanie. Powieszenie i rozerwanie końmi byłoby dla nich zbyt łagodną karą. Ale nie sądzę, żeby w następnym orędziu Partii Konserwatywnej zalecono taką strategię.

Doktor Richards zbadał pacjentowi tętno, 72 uderzenia na minutę, i odznaczył kolejną rubryczkę.

– I na koniec, sir Harry – powiedział lekarz, naciągając lateksowe rękawiczki – chcę panu zbadać prostatę.

– Hmm – mruknął po kilku chwilach. – Jest bardzo mały guzek. Powinniśmy go obserwować. Proszę się ubrać, sir Harry. W sumie jest pan w całkiem dobrej formie jak na człowieka zbliżającego się do sześćdziesiątki. To wiek, w którym wielu z nas myśli o przejściu na emeryturę.

– Nie ja – powiedział Harry. – Muszę jeszcze dostarczyć kolejną książkę z Williamem Warwickiem w roli głównej, a potem zasiądę do następnej powieści, której pisanie zajmie mi dwa lata. Więc muszę dożyć przynajmniej do siedemdziesiątki. Czy to jasne, doktorze?

– Siedemdziesiąt lat. Nie więcej niż opiewa kontrakt ze Stwórcą. Nie sądzę, żeby to był problem – dodał – o ile będzie pan nadal ćwiczył. – Sprawdził kartę pacjenta. – Kiedy ostatnio pana widziałem, sir Harry, przebiegał pan pięć kilometrów dwa razy w tygodniu i chodził pan osiem kilometrów trzy razy w tygodniu. Czy wciąż pan to robi?

– Tak, ale muszę przyznać, że przestałem sprawdzać czas.

– Czy wciąż stosuje pan tę praktykę pomiędzy dwugodzinnymi sesjami pisania?

– Każdego rana, pięć dni w tygodniu.

– Doskonale. W istocie to więcej, niż osiąga wielu moich młodszych pacjentów. Jeszcze dwa pytania. Przypuszczam, że pan nie pali.

– Nigdy.

– A ile pan zwykle pije dziennie?

– Kieliszek wina do kolacji, ale nie podczas lunchu. Wtedy bym spał po południu.

– Zatem, szczerze mówiąc, dożyje pan lekko do siedemdziesiątki, jeśli nie przejedzie pana autobus.

– Niewielka szansa, gdyż nasz lokalny autobus przyjeżdża do wioski dwa razy dziennie, chociaż Emma regularnie pisuje skargi do rady gminnej.

Doktor się uśmiechnął.

– To podobne do naszej pani prezes.

Doktor Richards zamknął teczkę, wstał zza biurka i wyprowadził Harry'ego z gabinetu lekarskiego.

– Jak się czuje lady Clifton? – zapytał, kiedy wędrowali korytarzem.

Emma nie cierpiała tytułu honorowego „lady", bo uważała, że nań nie zasługuje, i nalegała, aby wszyscy w szpitalu nadal zwracali się do niej per „pani Clifton" albo „pani prezes".

– Pan powinien mi powiedzieć – rzekł Harry.

– Nie jestem jej lekarzem – zaznaczył Richards – ale powiadam panu, że jest najlepszym prezesem, jakiego mieliśmy do tej pory,

i nie jestem pewien, kto będzie na tyle odważny, żeby zająć jej miejsce, kiedy ustąpi za rok.

Harry się uśmiechnął. Ile razy odwiedzał Królewski Szpital Bristolski, odczuwał szacunek i sympatię personelu dla Emmy.

– Jeżeli wygramy drugi raz tytuł najlepszego szpitala roku – dodał doktor Richards – z pewnością będzie to też jej zasługa.

Kiedy szli korytarzem, Harry minął dwie pielęgniarki, które miały przerwę na herbatę. Spostrzegł, że jedna z nich ma podbite oko i spuchnięty policzek, czego, mimo grubego makijażu, nie zdołała zamaskować. Doktor Richards zaprowadził Harry'ego do małego pokoju, w którym nie było nic poza łóżkiem i dwoma krzesłami.

– Proszę zdjąć marynarkę. Pielęgniarka zaraz do pana przyjdzie.

– Dziękuję – powiedział Harry. – Cieszę się, że się zobaczymy znowu za rok.

– Jak dostaniemy wszystkie wyniki badań z laboratorium, napiszę i podam je panu. Nie przypuszczam, żeby się specjalnie różniły od zeszłorocznych.

Harry zrzucił marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła, ściągnął buty i położył się na łóżku. Rozciągnął się, zamknął oczy i zaczął myśleć o następnym rozdziale *Williama Warwicka i sztuczki z trzema kartami*. Jak to możliwe, żeby podejrzany był jednocześnie w dwóch miejscach? Albo był w łóżku z żoną, albo jechał samochodem do Manchesteru. Więc gdzie? Lekarz zostawił otwarte drzwi i nagle Harry usłyszał, że ktoś mówi:

– Doktor Hands.

Gdzie on wcześniej słyszał to nazwisko?

– Czy poskarżysz się na niego siostrze przełożonej? – zapytał głos.

– Nie, ponieważ nie chcę stracić pracy – powiedział drugi głos.

– Więc temu staremu obleśnikowi znowu ujdzie to na sucho.

– Dopóki to słowo przeciw słowu, on nie ma się czego bać.

– Co tym razem zmalował?

Harry usiadł, wyjął notes i pióro z kieszeni marynarki i pilnie słuchał rozmowy, która toczyła się w korytarzu.

– Byłam w pralni na trzecim piętrze i wybierałam świeżą pościel, kiedy ktoś wszedł. Kiedy drzwi się zamknęły i usłyszałam trzask zamka, wiedziałam, że to może być tylko jedna osoba. Udawałam, że nic nie zauważyłam, podniosłam pościel i skierowałam się prosto do drzwi. Próbowałam je otworzyć, ale on złapał mnie i przylgnął do mnie. To było obrzydliwe. Myślałam, że zwymiotuję. Nikt nie musi o tym wiedzieć, powiedział, zabawimy się trochę. Próbowałam uderzyć go w genitalia, ale przycisnął mnie do ściany. Potem obrócił mnie i próbował całować.

– Co zrobiłaś?

– Ugryzłam go w język. Wrzasnął, wyzwał mnie od suk i uderzył w twarz. Ale to mi dało dosyć czasu, żeby otworzyć drzwi i uciec.

– Musisz złożyć na niego skargę. Czas, żeby tego drania wyrzucili ze szpitala.

– Niewielka szansa. Kiedy dziś rano zobaczyłam go na obchodzie, postraszył mnie, że jeśli otworzę usta, to będę musiała rozejrzeć się za inną pracą, a potem dodał – głos ściszył się

do szeptu – kiedy kobieta otwiera usta, to jest dobre tylko w jednej sytuacji.

– On jest nienormalny i nie powinno mu to ujść na sucho.

– Nie zapominaj, jaką ma silną pozycję. Przez niego chłopak Mandy stracił robotę, kiedy on powiedział policji, że widział, jak ją zaatakował, podczas gdy to on ją uderzył. Więc jaką miałabym szansę po tej macance w pralni? Nie, postanowiłam...

– Dzień dobry, sir Harry – powiedziała pielęgniarka, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. – Doktor Richards poprosił mnie, żebym pobrała panu krew i wysłała próbkę do laboratorium. Rutynowe badanie, więc proszę podwinąć rękaw.

– Sądzę, że tylko jedno z nas ma kwalifikacje na prezesa – zauważył Giles, nie kryjąc znaczącego uśmieszku.

– To nie jest śmieszne – powiedziała Emma. – Już przygotowałam program naszego spotkania, żebyśmy omówili wszystkie tematy warte dyskusji.

Wręczyła Gilesowi i Grace po jednym egzemplarzu i odczekała kilka chwil, żeby zastanowili się nad wymienionymi punktami, po czym przemówiła:

– Może powinnam zapoznać was z aktualnościami, zanim przejdziemy do pierwszego punktu.

Jej brat i siostra skinęli potakująco głowami.

– Rada nadzorcza zaakceptowała ostateczną ofertę Cunarda opiewającą na trzy funty czterdzieści jeden pensów za udział i przejęcie zostało sfinalizowane w piątkowe południe, dwudziestego szóstego lutego.

– To musiało być naprawdę bolesne – powiedział Giles z prawdziwym współczuciem.

– Muszę przyznać, że kiedy opróżniałam moje biuro, wciąż się zastanawiałam, czy postąpiłam słusznie. I cieszyłam się, że nikogo nie ma w pokoju, kiedy zdejmowałam portret dziadka, bo nie mogłam spojrzeć mu w oczy.

– Chętnie bym przyjął Waltera z powrotem do Barrington Hall – zaofiarował się Giles. – Jego portret by wisiał obok portretu babki w bibliotece.

– W istocie prezes Cunarda spytał, czy portret Waltera może zostać w sali posiedzeń rady nadzorczej obok wszystkich byłych prezesów.

– To robi wrażenie – rzekł Giles. – I jeszcze bardziej mnie przekonuje, że podjąłem słuszną decyzję, jak zainwestować część pieniędzy – dodał bez wyjaśnienia.

– A co z tobą, Emmo? – spytała Grace, zwracając się do siostry. – Przecież ty też zasłużyłaś na miejsce w sali posiedzeń rady nadzorczej.

– U Bryana Organa zamówiono mój portret – odparła Emma. – Zawiśnie naprzeciwko portretu naszego drogiego dziadka.

– A co mówi o tym Jessica? – spytał Giles.

– Poleciła go. Nawet zapytała, czy może być obecna podczas pozowania.

– Ona tak szybko dorasta.

– To już młoda dama – rzekła Emma. – I będę chciała zasięgnąć jej rady w innej sprawie – dodała, po czym wróciła do swojego programu. – Po podpisaniu końcowych dokumentów w sali posiedzeń rady nadzorczej odbyła się uroczystość przekazania firmy. W ciągu dwudziestu czterech godzin nazwa Linii

Żeglugowej Barringtona, która z dumą widniała nad bramą ponad sto lat, została zastąpiona nazwą Cunarda.

– Wiem, że minął tylko miesiąc – powiedział Giles – ale czy Cunard wypełnił zobowiązania wobec naszego personelu, zwłaszcza wobec tych osób, które pracują od dawna?

– Wypełnił co do joty – rzekła Emma. – Nikt nie został zwolniony, chociaż spora grupa weteranów skorzystała z wynegocjowanej przez Seba hojnej odprawy z tytułu redukcji oraz z bezpłatnego rejsu wycieczkowego na *Buckinghamie* albo *Balmoralu*, więc tu nie ma żadnych skarg. Jednak musimy przedyskutować naszą własną sytuację, i co dalej. Jak oboje wiecie, zaoferowano każdemu z nas rozliczenie gotówkowe w wysokości ponad dwudziestu milionów funtów albo do wyboru akcje Cunarda, co ma kilka zalet.

– Ile akcji proponują? – spytała Grace.

– Każdemu z nas siedemset dziesięć tysięcy, co w zeszłym roku przyniosło jako dywidendę dwieście czterdzieści sześć tysięcy siedemset siedemnaście funtów. A więc, czy któreś z was zdecydowało, co zrobić z pieniędzmi?

– Ja zdecydowałem – rzekł Giles. – Za radą Seba postanowiłem wziąć połowę w gotówce, którą Farthings Kaufman dla mnie zainwestuje, i drugą połowę w akcjach Cunarda. Ostatnio ich ceny trochę spadły, co, jak mówi Seb, po przejęciu nie jest rzeczą niezwykłą. Jednak zapewnił mnie, że spółka Cunarda to dobrze zarządzana firma z dobrymi notowaniami i spodziewa się, że jej akcje zaowocują dywidendami w wysokości trzech do czterech procent, a ich wartość będzie rosła z roku na rok o tę samą wysokość.

– To w istocie brzmi nader konserwatywnie – rzuciła Emma, drocząc się z bratem.

– Przez małe „k” – odciął się Giles. – Zgodziłem się również finansować pracownika zbierającego materiały dla Towarzystwa Fabiańskiego.

– Co za odważny gest – zauważyła Grace, nie kryjąc sarkazmu.

– A ty zdobyłaś się na coś bardziej radykalnego? – spytał Giles, odpłacając pięknym za nadobne.

– Mam nadzieję. W każdym razie dobrze się bawiłam.

Emma i Giles wlepili wzrok w siostrę niczym dwójka jej studentów czekających na odpowiedź.

– Zdeponowałam czek w banku w pełnej wysokości. Kiedy okazałam go dyrektorowi mojego banku, myślałam, że zemdleje. Następnego dnia Sebastian przyjechał do mnie do Cambridge i za jego radą odłożyłam pięć milionów na należności podatkowe i kolejne dziesięć na rachunek inwestycyjny w banku Farthings Kaufman, żeby rozdzielić tę kwotę między różnorodnymi firmami z tradycjami – powtarzam jego słowa. Zdeponowałam również milion funtów w banku Midland, co będzie aż nadto na zakup małego domu w pobliżu Cambridge i na gwarantowany dochód roczny w wysokości trzydziestu tysięcy funtów. O wiele więcej niż kiedykolwiek zarobiłam w ciągu moich lat jako nauczycielka uniwersytecka.

– A pozostałe cztery miliony?

– Darowałam milion na fundusz renowacji Newnham College, pół miliona na rzecz Fitzwilliam College, a dalsze pół miliona podzieliłam między kilkanaście organizacji charytatywnych,

którymi interesowałam się przez lata, ale nigdy w przeszłości nie mogłam ofiarować im więcej niż kilkaset funtów.

– Przez ciebie mam poczucie winy – przyznał Giles.

– Mam nadzieję, Giles. Ale ja wstąpiłam do Partii Pracy na długo przed tobą.

– Nierozliczone zostają jeszcze dwa miliony – wtrąciła Emma.

– Wiem, że to nie jest w moim stylu, ale wybrałam się na szalone zakupy z Jessicą.

– Mój Boże, na co ona to wydała? – spytała Emma. – Brylanty i torebki?

– Ależ skąd – powiedziała Grace z naciskiem. – Jeden Monet, Manet, dwa obrazy Picassa, jeden Pissarra i jeden Luciana Freuda, o którym ona mówi, że wchodzi w modę, jak również malowidło Bacona *Krzyczący papież*, którego kazania nie chciałabym usłyszeć. Poza tym model rzeźby Henry'ego Moore'a *Król i królowa*, którą od dawna podziwiałam wraz z dziełami Barbary Hepworth i Leona Underwooda. Jednak odmówiłam zakupu płótna Erica Gilla, bo mi powiedziano, że sypiał z własnymi córkami. Jessica tym się nie przejmuje – nie można odmówić komuś prawdziwego talentu, powtarza – ale ja postawiłam na swoim. Moim ostatnim zakupem był projekt okładki Petera Blake'a do płyty Beatlesów, który ofiarowałam Jessice w nagrodę za jej wiedzę i znawstwo. Dokładnie wiedziała, jakie galerie odwiedzić, i targowała się z marszandami jak straganiarz z East Endu. Nie wiedziałam, czy mam być z niej dumna, czy się za nią wstydzić. I muszę przyznać, że nie zdawałam sobie sprawy, że wydawanie pieniędzy może być tak wyczerpującym zajęciem.

Emma i Giles wybuchnęli śmiechem.

– Zawstydziłaś nas – powiedziała Emma. – Nie będę mogła się doczekać, żeby ujrzeć kolekcję tych dzieł. Ale gdzie je zaprezentujesz?

– Myślę, że znalazłam idealny dom w Trumpington, gdzie jest dosyć miejsca na ścianach, żeby powiesić te wszystkie obrazy, i duży ogród, w którym będzie można pokazać rzeźby. Więc w przyszłości to ja zaproszę was na weekend. Jeszcze nie sfinalizowałam umowy, ale napuściłam Sebastiana na biednych agentów od nieruchomości i powierzyłam mu sprawę dogadania ceny. Chociaż nie wierzę, żeby się sprawił lepiej niż Jessica – ona jest przekonana, że moja kolekcja dzieł sztuki okaże się bardziej lukratywną inwestycją niż papiery wartościowe; przypomniała ojcu, że ich nie można powiesić na ścianie. Próbował jej wytłumaczyć, jaka jest różnica między tym, jak się coś wycenia, a tym, jak się to ceni, ale to do niej nie trafiło.

– Brawo! – rzuciła Emma. – Mam tylko nadzieję, że został dla mnie jakiś obraz Moneta, bo ja też zamierzałam prosić Jessicę o radę, chociaż prawdę mówiąc, wciąż nie postanowiłam, co zrobić z moją fortuną. Spotkałam się trzykrotnie z Hakimem Bisharą i z Sebem, ale nadal nie mogę podjąć decyzji. Utraciwszy jedną prezesurę, koncentruję się na nowym rządowym pakiecie reform państwowej służby zdrowia i ich następstwach dla Królewskiego Szpitala Bristolskiego.

– Ten projekt ustawy nigdy nie zostanie uchwalony, jeżeli Margaret Thatcher wygra wybory – powiedział Giles.

– Święta racja! – zgodziła się Emma. – Ale ja muszę przygotować moich kolegów z rady nadzorczej na

konsekwencje, gdyby laburzyści powrócili do władzy. Nie chcę zrzucić na mojego następcę, kimkolwiek on czy ona mogą być, obowiązku ratowania sytuacji. – Zamilkła, a potem dodała: – Jeszcze jakaś sprawa?

Giles wyjął spod stołu okazałe modele *Buckinghama* i *Balmorala* wraz z butelką szampana.

– Najdroższa Emmo – rzekł. – Grace i ja będziemy twoimi dłużnikami do końca życia. Bez twojego kierownictwa, poświęcenia i zaangażowania nie znaleźlibyśmy się w tak uprzywilejowanej pozycji. Będziemy ci dozgonnie wdzięczni.

Trzy szklanki, w których zwykle trzymano wodę, Giles napełnił po brzegi szampanem, ale Emma nie mogła oderwać oczu od modeli dwóch statków.

– Dziękuję – powiedziała, unosząc szklankę. – Ale przyznaję, że rozkoszowałam się każdą chwilą i już żałuję, że nie jestem prezeską. Mam też dla was niespodziankę. Cunard zaprosił mnie do rady nadzorczej, więc ja też chcę wznieść toast.

Wstała i uniosła szklankę z szampanem.

– Za Joshuę Barringtona, która założył Linię Żeglugową Barringtona w 1839 roku i w pierwszym roku swojej prezesury osiągnął zysk trzydziestu trzech funtów, czterech szylingów i dwóch pensów, ale obiecał udziałowcom więcej.

Giles i Grace wznieśli szklanki.

– Za Joshuę Barringtona.

– Może nadszedł czas, żeby uczcić niedawne narodziny wnuka mojej siostry, Jake'a – rzekł Giles – który, jak się spodziewa Seb, zostanie w przyszłości prezesem Farthings Bank.

– Czy mierzę zbyt wysoko, mając nadzieję, że Jake będzie wolał robić coś bardziej interesującego, niż być bankierem? – powiedziała Grace.

5

– Jak wiarygodne jest pani źródło?

– Absolutnie wiarygodne. I ten człowiek spisał słowo w słowo to, co usłyszał.

– Pani prezes, nie będę udawać – przyznała przełożona pielęgniarek – że nie słyszałam wcześniej takich pogłosek, ale nigdy to się nie potwierdziło. Jedyna pielęgniarka, która złożyła oficjalną skargę, zrezygnowała tydzień później.

– Co możemy zrobić? – spytała Emma.

– Czy pani wie coś o tej pielęgniarce poza przypadkiem usłyszaną rozmową?

– Mogę powiedzieć, że do tej domniemanej napaści doszło w pralni na trzecim piętrze.

– To może ograniczyć liczbę pielęgniarek do kilku.

– I ona wcześniej była na porannym obchodzie z doktorem Handsem.

– Kiedy to było?

– Wczoraj.

– Więc prawdopodobnie wchodzą w grę dwie, najwyżej trzy pielęgniarki.

– I ona jest Antylką.

– Ach – rzekła przełożona pielęgniarek. – Zastanawiałam się, dlaczego Beverley ma podbite oko, i teraz wiem. Ale żebyśmy mogli wszcząć postępowanie o pogwałcenie etyki, ona musiałaby złożyć oficjalną skargę.

– Ile by to trwało?

– Od sześciu do dziewięciu miesięcy, ale nawet wtedy, skoro nie było żadnych świadków, nie widziałabym specjalnych szans.

– Zatem wracamy do punktu wyjścia i doktor Hands może dalej się zabawiać, a my nic z tym nie zrobimy.

– Obawiam się, że tak, pani prezes. Chyba że...

– Gratuluję udanego przejęcia – powiedziała Margaret Thatcher, gdy Emma uzyskała połączenie – chociaż nie wyobrażam sobie, żeby to była łatwa decyzja.

– Byłam rozdarta wewnętrznie – przyznała Emma. – Ale rada nadzorcza, moja rodzina i wszyscy profesjonalni doradcy byli jednomyślni i radzili, żeby przyjąć ofertę Cunarda.

– Więc jak wypełniasz czas, skoro nie jesteś już prezeską Spółki Barringtona?

– Mam jeszcze kilka miesięcy do przekazania prezesury Królewskiego Szpitala Bristolskiego, ale po wczorajszym wieczornym głosowaniu nad wotum nieufności dla rządu wygląda na to, że przez większość czasu będę objeżdżać West Country z misją ulokowania cię na Downing Street.

– Wolałabym, żebyś objeżdżała cały kraj, wykonując tę samą robotę – powiedziała pani Thatcher.

– Chyba nie rozumiem.

– Jeżeli włączysz telewizor, to ujrzysz premiera jadącego do pałacu Buckingham na spotkanie z królową. Callaghan poprosi ją o pozwolenie odroczenia sesji parlamentu w celu zwołania wyborów powszechnych.

– Czy data została ustalona?

– Czwartek trzeciego maja. I chcę, żebyś się zmierzyła ze swoim bratem.

– Co masz na myśli?

– Jak zapewne wiesz, on znowu został szefem laburzystowskiej kampanii na rzecz pozyskiwania niepewnych mandatów. Tych pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu kluczowych okręgów wyborczych, które przesądzą o wyniku wyborów. Myślę, że byłabyś idealną osobą, żeby robić to samo dla torysów.

– Ale Giles ma ogromne doświadczenie w kampaniach wyborczych. Jest wytrawnym politykiem...

– ...i nikt go nie zna lepiej niż ty.

– Musi być kilkanaście albo więcej osób, które o wiele bardziej nadają się do podjęcia takiego zadania.

– Ja stawiam na ciebie. I mam wrażenie, że twój brat nie będzie zadowolony, gdy się dowie, jakiego ma przeciwnika. – Nastało długie milczenie, po czym pani Thatcher dodała: – Przyjedź do Londynu i spotkaj się z przewodniczącym partii, Peterem Thorneycroftem. On już wszystko zorganizował, więc teraz potrzebny mi jest tylko koordynator, który napędzi stracha lokalnym przewodniczącym w tych okręgach wyborczych.

Teraz Emma już się nie wahała.

– Kiedy zaczynam?

– Jutro rano, o dziesiątej, w Centralnym Biurze – odparła przywódczyni opozycji.

– Pani prezes, chciała mnie pani widzieć.

– Tak, i przejdę od razu do rzeczy – powiedziała Emma, jeszcze zanim Hands zdążył usiąść. – Miałam kilka skarg od pielęgniarek na temat pana nieetycznego zachowania.

– Kilka? – spytał Hands, usiadłszy w fotelu z zadowoloną miną.

– W ciągu ubiegłego roku przełożona zbierała dowody i poprosiła mnie, żebym wszczęła formalne dochodzenie.

– Proszę bardzo – rzekł Hands. – Przekona się pani, że nic się do mnie nie przyklei i zostanę całkowicie uwolniony od zarzutów.

– Nic się nie przyklei? Myślę, że to niefortunny dobór słów, chyba że...

– Jeszcze słowo, lady Clifton, a polecę mojemu prawnikowi wystosować pozew o zniesławienie.

– Wątpię. Podobnie jak pan, dopilnowałam, żeby nie było żadnych świadków, i wprawdzie przyznaję, że może pan zostać oczyszczony ze wszystkich zarzutów, ale zamierzam zniszczyć pańską reputację i nigdy nie znajdzie pan pracy w tym kraju. Więc sugeruję...

– Czy pani mi grozi? Jeśli tak, to równie dobrze pani reputacja może lec w gruzach, gdy dochodzenie okaże się stratą czasu i pieniędzy – akurat w momencie, kiedy Królewski Szpital Bristolski znowu będzie miał szansę na zdobycie tytułu szpitala roku.

– Tak, wzięłam to pod uwagę – powiedziała Emma. – W przeszłości pana siła tkwiła w tym, że pańskie słowo ważyło przeciw słowu młodej pielęgniarki. Ale teraz nie będzie miał pan

do czynienia z przestraszoną młodą kobietą, tylko z prezeską szpitala. I tak, jestem skłonna postawić na szali moją reputację.

– Pani blefuje – rzucił Hands. – Za niecały rok pani odejdzie i na pewno nie będzie pani zależało, żeby tylko za tę jedyną rzecz ją zapamiętano.

– Znowu się pan myli, doktorze Hands. Kiedy zdemaskuję pana prawdziwe oblicze, to podejrzewam, że pańscy koledzy i szesnaście pielęgniarek, które złożyły pisemne oświadczenia – Emma klepnęła leżącą przed nią grubą teczkę, która zawierała tylko sprawozdanie rzeczoznawcy budowlanego – będą mi wdzięczni za interwencję, a panu będzie trudno dostać pracę nawet w jakimś peryferyjnym afrykańskim kraju.

Tym razem Hands zawahał się, zanim przemówił.

– Zaryzykuję. Jestem pewien, że nie ma pani dosyć dowodów, żeby wszcząć dochodzenie.

Emma pochyliła się do przodu, wybrała miejski numer telefonu i włączyła przycisk głośności. Po chwili oboje usłyszeli słowo:

– Redaktor.

– Dzień dobry, Reg. Emma Clifton.

– Którego mojego reportera chcesz dziś wziąć na cel, Emmo?

– Żadnego z twoich reporterów tym razem. Jednego z moich doktorów.

– Powiedz mi więcej.

– Zamierzam wszcząć dochodzenie w sprawie zachowania pewnego lekarza w szpitalu i myślałam, że będziesz chciał o tym usłyszeć, zanim gazety krajowe rozgłoszą tę historię.

– To miło z twojej strony, Emmo.

Hands zaczął gorączkowo machać do Emmy.

– Ale jeżeli to ma trafić do ostatniego wydania, to będę musiał natychmiast wysłać reportera do szpitala.

– Mam spotkanie o jedenastej – powiedziała Emma, zajrzawszy do terminarza – ale za chwilę do ciebie zadzwonię, czy mogę je przełożyć.

Gdy Emma odłożyła słuchawkę, spostrzegła, że na czole Handsa pojawiły się kropelki potu.

– Jeżeli mam odwołać spotkanie z reporterem „Bristol Evening News" – powiedziała, znów klepnąwszy teczkę – to spodziewam się, że zniknie pan z terenu szpitala do dwunastej. Jeżeli nie, to radzę panu kupić ostatnie dzisiejsze wydanie gazety, z którego się pan dowie, co myślę o takich lekarzach jak pan. Niech pan siedzi przy telefonie, bo czuję, że reporterzy zechcą usłyszeć pańską wersję tej opowieści.

Hands niepewnie wstał z fotela i bez słowa opuścił pokój. Kiedy zamknęły się drzwi, Emma wykręciła ten sam numer telefonu, na który miała oddzwonić.

– Dziękuję – powiedziała, gdy usłyszała głos w telefonie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł Harry. – O której zjawisz się w domu na kolację?

– Jeżeli zamierzasz spędzić następny miesiąc w Londynie – powiedział Harry, kiedy Emma przekazała mu wiadomość – to gdzie się zatrzymasz?

– U Gilesa. Dzięki temu będę mogła z bliska obserwować każdy jego ruch.

– A on twój. Ale nie wyobrażam sobie, żeby się zgodził na taki wygodny układ.

– Nie będzie miał wielkiego wyboru – rzekła Emma. – Najwyraźniej zapomniałeś, że mam tytuł własności domu numer dwadzieścia trzy na Smith Square. Więc jeżeli ktoś będzie się musiał rozejrzeć za tymczasowym miejscem zamieszkania, to Giles, nie ja.

GILES BARRINGTON
1979–1981

6

– Czy chcesz usłyszeć złą wiadomość? – spytał Giles, wchodząc do biura Griffa Haskinsa i opadając na krzesło naprzeciwko faceta, który zapalał czwartego papierosa tego ranka.

– Tony Benn został znaleziony pijany w burdelu?

– Gorzej. Moja siostra jest szefową kampanii konserwatystów na rzecz pozyskiwania niepewnych mandatów.

Wysłużony przedstawiciel laburzystów klapnął na fotel i przez pewien czas się nie odzywał.

– To groźny przeciwnik – w końcu wydukał. – I pomyśleć, że wyuczyłem ją wszystkiego. A zwłaszcza tego, jak walczyć o taki mandat.

– Co gorsza, podczas kampanii będzie mieszkać u mnie na Smith Square.

– To wyrzuć ją na ulicę – rzekł Griff takim tonem, jakby mówił serio.

– Nie mogę. Ona jest właścicielką domu. Ja zawsze byłem tylko najemcą.

Griff na moment umilkł, ale prędko doszedł do siebie.

– Więc musimy obrócić to na swoją korzyść. Gdyby Karin mogła się co rano dowiedzieć, jakie ona ma plany tego dnia, to zawsze byśmy ją wyprzedzali o krok.

– Świetny pomysł – powiedział Giles – z tym, że nie jestem pewien, po czyjej stronie jest moja żona.

– To wyrzuć ją na ulicę.

– Nie sądzę, żeby to nam przysporzyło głosów kobiet.

– Wobec tego musimy polegać na Markhamie. Każ mu podsłuchiwać jej telefony, otwierać jej listy, jeśli to konieczne.

– Markham głosuje na konserwatystów. Od zawsze.

– Nie ma w twoim domu nikogo, kto popiera Partię Pracy?

– Tylko Silvana, sprzątaczka. Ale ona nie mówi dobrze po angielsku i nie jestem pewien, czy ma prawo głosu.

– Zatem musisz mieć oczy i uszy otwarte, bo chcę znać zamierzenia twojej siostry w każdej minucie każdego dnia. Jakie okręgi obiera za cel, jacy czołowi torysi je odwiedzą i wszystko inne, czego zdołasz się dowiedzieć.

– Ona będzie tak samo interesować się tym, co ja planuję.

– Więc musimy ją karmić fałszywymi informacjami.

– Połapie się w mig.

– Możliwe, ale nie zapominaj, że masz o wiele większe doświadczenie, jeśli chodzi o walkę wyborczą. Ona będzie się wszystkiego uczyć i w dużej mierze polegać na moim odpowiedniku.

– Znasz go?

– To John Lacy – rzekł Griff. – Znam go lepiej niż własnego brata. Odgrywałem wobec niego rolę Kaina przez ponad trzydzieści lat. – Zdusił papierosa i zapalił następnego. –

Pierwszy raz zetknąłem się z Lacym w 1945, kiedy Attlee stanął naprzeciwko „Buldoga” – Churchilla, i jak rottweiler od tego czasu liże swoje rany.

– Więc potraktujmy Attlee’go jako inspirację i zróbmy to, co on Churchillowi.

– To prawdopodobnie jego ostatnie wybory – zauważył Griff, niemal jakby mówił do siebie.

– Nasze też – powiedział Giles – jeżeli przegramy.

– Skoro mieszka pani w tym samym domu co brat – powiedział Lacy – musimy to obrócić na naszą korzyść.

Emma rzuciła spojrzenie na swojego szefa sztabu siedzącego po drugiej stronie biurka i poczuła, że prędko pozna jego sposób rozumowania. Lacy był niewielkiego wzrostu i chociaż nigdy nie uprawiał żadnego sportu poza podszczuwaniem na Partię Pracy, na jego ciele nie było grama zbędnego tłuszczu. Był to człowiek, który uważał sen za luksus, na jaki nie może sobie pozwolić, nie uznawał przerwy na lunch, nigdy nie palił ani nie pił i porzucał partię tylko w niedzielne ranki, aby wielbić jedyną istotę, którą uważał za ważniejszą od swojego przywódcy. Rzadkie, siwe włosy sprawiały, że wyglądał staro na swój wiek, a przeszywające spojrzenie niebieskich oczu nigdy nie opuszczało rozmówcy.

– Co pan ma na myśli? – spytała Emma.

– Kiedy rano pani brat wyjdzie z domu, chcę od razu wiedzieć, jakie okręgi zamierza odwiedzić i który z ważniejszych polityków laburzystowskich będzie mu towarzyszył, tak aby nasi ludzie czekali na nich, gdy wysiądą z pociągu.

– To dość podstępne, czy nie?

– Zapewniam panią, lady Clifton...

– Emmo.

– Emmo. My nie zamierzamy wygrać konkursu na pieczenie ciast na kiermaszu w twojej wiosce, ale chcemy zwyciężyć w wyborach powszechnych. Stawka nie może być wyższa. Powinnaś patrzeć na każdego socjalistę jak na wroga, bo to jest totalna wojna. To my musimy sprawić, że za cztery tygodnie żaden z nich nie stanie do wyborów – dotyczy to też twojego brata.

– Trochę potrwa, zanim do tego przywyknę.

– Masz na to dwadzieścia cztery godziny. I nie zapominaj, że twój brat jest najlepszy, a Griff Haskins najgorszy, i do spółki tworzą groźny tandem.

– Więc od czego mam zacząć?

Lacy wstał zza biurka i podszedł do wielkiego wykresu przypiętego do ściany.

– Oto mamy sześćdziesiąt dwa niepewne mandaty, które musimy zdobyć, jeśli chcemy utworzyć następny rząd – powiedział, zanim Emma do niego dołączyła. – W każdym potrzebny jest tylko czteroprocentowy albo mniejszy zwrot, żeby zmienić barwy. Jeżeli obie główne partie zdobędą po trzydzieści jeden tych mandatów – klepnął planszę – wyłoni się parlament, w którym żadna nie będzie miała większości. Jeżeli któraś z nich uzyska jeszcze dziesięć mandatów, będzie miała większość dwudziestu. Oto jak ważne mamy zadanie.

– A co z pozostałymi sześciuset mandatami?

– Większość z nich została już rozdzielona na długo przed otwarciem urn wyborczych. Nas interesują tylko te mandaty, gdzie karty do głosowania są liczone, a nie ważone. Oczywiście mogą być jakieś niespodzianki, zawsze są, ale my nie mamy czasu,

żeby wybadać, jakie konkretnie. Musimy się skupić na sześćdziesięciu dwóch niepewnych mandatach poselskich, uzyskiwanych niewielką większością głosów, i zapewnić, żeby każdy z nich uzyskał konserwatywny poseł do parlamentu.

Emma przyjrzała się bliżej długiej liście mandatów, poczynając od najbardziej marginesowego w Basildon, z większością 22 głosów na korzyść laburzystów, gdzie wymagany zwrot wynosił 0,1 procent.

– Jeśli nie zdołamy tam wygrać – powiedział Lacy – to będziemy musieli ścierpieć następne pięć lat rządów laburzystów. – Wskazał palcem na dół wykresu. – Gravesend, wymagany zwrot 4,1 procent. Jeżeli taki będzie zwrot w całym kraju, to zagwarantuje konserwatystom przewagę trzydziestu mandatów.

– Co oznacza te siedem małych kwadracików przy każdym okręgu?

– Musimy każdy z nich odhaczyć przed dniem wyborów.

Emma zaczęła odczytywać tytuły: Kandydat, Wymagany Zwrot, Agent, Prezes, Kierowcy, Przybrany okręg, WP.

– Są jeszcze trzy mandaty bez kandydatów – powiedziała Emma, patrząc z niedowierzaniem na listę.

– Pojawią się pod koniec tygodnia, bo inaczej kandydat laburzystów nie miałby przeciwnika, a na to nie pozwolimy.

– A jeśli nie znajdziemy odpowiedniego kandydata w tak krótkim czasie?

– Znajdziemy kogoś – odparł Lacy – nawet gdyby to miał być wioskowy głupek, a jest już paru takich, co siedzą po naszej stronie Izby i niektórzy piastują pewne mandaty.

Emma się roześmiała i spojrzała na „przybrane okręgi”.

– Okręg z mandatem pewnym przejmie sąsiedni okręg z mandatem niepewnym – wytłumaczył Lacy – i zapewni pomoc doświadczonego agenta, agitatorów, a nawet fundusze, jeżeli będą potrzebne. Mamy fundusz rezerwowy z wystarczającym zasobem gotówki, żeby w każdej chwili zasilić okręg z mandatem niepewnym.

– Tak, uświadomiłam to sobie podczas ostatnich wyborów, kiedy pracowałam w West Country – powiedziała Emma. – Ale stwierdziłam, że niektóre okręgi są bardziej chętne do współpracy niż inne.

– I zobaczysz, że tak samo jest w całym kraju. Lokalni przewodniczący, którzy myślą, że wiedzą, jak prowadzić kampanię lepiej od nas, skarbnicy, którzy raczej przegrają wybory, niż rozstaną się choćby z jednym pensem ze swojego konta. Posłowie, którzy twierdzą, że mogą stracić swoje mandaty, chociaż mają przewagę dwudziestu tysięcy. Kiedy napotkamy takie problemy, będziesz musiała zatelefonować do przewodniczącego okręgu i je rozwiązać. Zwłaszcza że oni nie będą się liczyć z przedstawicielem, choćby wysokim rangą, i przede wszystkim dlatego, że każdy z nich wie, że masz wpływ na Matkę.

– Matkę?

– Przepraszam – powiedział Lacy. – To skrótowe określenie przywódczyni.

Emma się uśmiechnęła.

– A „WP”? – zapytała, pokazując najniższy wiersz.

– To nie „wiek podeszły” – rzekł Lacy – chociaż starzy ludzie mogą zdecydować o tym, kto wygra wybory, ponieważ, zakładając, że wyjdą z domu, to najpewniej zagłosują. A nawet jeżeli nie mogą

chodzić, to zapewnimy im samochód i kierowcę, żeby ich zawieźć do najbliższego punktu wyborczego. W młodości pomogłem nawet komuś na noszach dostać się do lokalu wyborczego. Dopiero kiedy dowiozłem go z powrotem do domu, powiedział mi, że głosował na laburzystów.

Emma usiłowała zachować powagę.

– Nie – rzekł Lacy. – WP oznacza wszelkie inne problemy, których może być kilka każdego dnia. Ale postaram się zapewnić, żebyś musiała rozwiązywać tylko te naprawdę trudne, bo większość czasu będziesz w podróży, natomiast ja będę tutaj, w naszej siedzibie głównej.

– Czy jest jakaś dobra wiadomość? – zagadnęła Emma, nadal studiując wykres.

– Tak. Możesz być pewna, że nasi przeciwnicy muszą się uporać z takimi samymi problemami jak my, i ciesz się, że nie mamy kwadraciku z napisem „Związki zawodowe". – Lacy zwrócił się do szefowej. – Słyszałem, że dobrze poznałaś metody Griffa Haskinsa, prawej ręki twojego brata. Znam go od lat, ale w gruncie rzeczy wcale go nie znam, więc jaki on jest w pracy?

– Absolutnie bezwzględny. Nie uwierzy nikomu na słowo, pracuje jak opętany i uważa, że wszyscy torysi to diabelskie nasienie.

– Ale oboje wiemy, że ma pewną wielką słabość.

– Owszem – przyznała Emma – ale on nigdy nie pije w trakcie kampanii. Nie tknie kieliszka, dopóki nie zostanie oddany ostatni głos w ostatnim okręgu, a wtedy, wygrana czy przegrana, zalewa się w trupa.

– Widzę, że w ostatnich badaniach opinii publicznej laburzyści prowadzą dwoma punktami procentowymi – powiedziała Karin, podnosząc głowę znad gazety.

– Proszę, nie mówmy przy śniadaniu o polityce – rzekł Giles. – A zwłaszcza nie wtedy, kiedy Emma jest w pokoju.

Karin uśmiechnęła się do szwagierki, siedzącej po drugiej stronie stołu.

– Czy zauważyłeś, że twoja była żona znowu trafiła na pierwsze strony gazet? – spytała Emma.

– Co teraz knuje?

– Wygląda na to, że lady Virginia zabiera czcigodnego Freddiego z ekskluzywnej prywatnej szkoły podstawowej w Szkocji. William Hickey daje do zrozumienia, że to dlatego, że znów jest w tarapatach finansowych.

– Nigdy nie sądziłem, że czytujesz „Express" – powiedział Giles.

– Siedemdziesiąt trzy procent czytelników tej gazety popiera Margaret Thatcher – rzekła Emma – i dlatego nie zawracam sobie głowy czytaniem „Mirror".

Gdy zadzwonił telefon, Giles natychmiast wstał od stołu i ignorując aparat na kredensie, wyszedł pospiesznie na korytarz, dokładnie zamknąwszy za sobą drzwi.

– Dokąd on się dziś wybiera? – wyszeptała Emma.

– Stawiam na piąty – rzekła Karin – chociaż chętnie ci powiem, że kierowca zawozi go na Paddington.

– Reading 3,7 procent, Bath 2,9 procent, Bristol Docklands 1,6 procent, Exeter 2,7 procent i Truro...

– To nie może być Truro – powiedziała Karin. – On ma spotkanie w Transport House dzisiaj o ósmej wieczorem, więc nie

mógłby zdążyć. – Umilkła, kiedy do pokoju wszedł Markham z następną porcją kawy.

– Z kim mój brat rozmawiał przez telefon? – spytała Emma od niechcenia.

– Z panem Denisem Healeyem.

– Ach, tak. I oni wybierają się do...

– Reading, milady – powiedział kamerdyner, dolewając Emmie kawy.

– Byłby z pana dobry szpieg – zauważyła Emma.

– Dziękuję, milady – powiedział Markham, sprzątnął talerze i wyszedł z pokoju.

– Skąd wiesz, że on nie jest szpiegiem? – szepnęła Karin.

7

Kiedy później Emma patrzyła wstecz, wydarzenia następnych dwudziestu ośmiu dni wydały się jej mglistym wspomnieniem. To były dni, które zaczynały się od wskoczenia do samochodu o szóstej każdego rana i ciągnęły się nieubłaganie do chwili, kiedy zapadała w sen, zwykle w pustym przedziale pociągu albo z tyłu samolotu około pierwszej w nocy.

Giles też podlegał podobnej rutynie: takie same środki transportu, takie same godziny, ale inne okręgi. Na tyle odległe, że nie mogli wzajemnie się szpiegować, a ich ścieżki rzadko się przecinały.

Badania opinii publicznej zgodnie pokazywały, że Partia Pracy jest o kilka punktów do przodu, a John Lacy uprzedził Emmę, że w ostatnim tygodniu kampanii elektorat skłania się do poparcia rządu u władzy. Emma nie miała tego poczucia, kiedy była na ulicach i werbowała wyborców, ale zastanawiała się, czy wyborcy nie byli po prostu uprzejmi, kiedy widzieli jej niebieską rozetkę, a ona ich pytała, czy będą głosować na konserwatystów. Ilekroć panią Thatcher, kiedy objeżdżała kraj, pytano o badania opinii publicznej, zawsze odpowiadała: „Lipne sondaże są dla

niepoważnych ludzi. Tylko ludzie serio będą głosować trzeciego maja".

Chociaż Emma i pani Thatcher rozmawiały ze sobą tylko raz w trakcie trwającej dwadzieścia osiem dni kampanii, Emma uznała, że albo przywódczyni partii jest świetną aktorką, albo rzeczywiście wierzy, że konserwatyści wygrają.

– Są dwa czynniki, których sondaże nie mogą uwzględnić – powiedziała Emmie. – Ilu ludzi nie chce przyznać, że będą głosować na kobietę premiera i ile żon nie mówi swoim mężom, że po raz pierwszy zagłosują na konserwatystów.

Zarówno Giles, jak i Emma byli w okręgu Bristol Docklands ostatniego dnia kampanii i gdy zegar wybił dziesiątą wieczór i oddano ostatni głos, żadne z nich nie miało pewności, jaki będzie ostateczny wynik. Oboje pospiesznie wrócili do Londynu pociągiem, ale nie jechali w tym samym przedziale.

John Lacy powiedział Emmie, że członkowie władz obu partii zgromadzą się w swoich siedzibach głównych – Centralnym Biurze konserwatystów i Transport House laburzystów, posterunkach politycznych usadowionych na różnych rogach Smith Square – gdzie będą czekać na rezultaty.

– Do drugiej w nocy – poinformował Lacy – trend będzie ustalony i prawdopodobnie się dowiemy, kto utworzy następny rząd. O czwartej rano światła będą jasno się paliły w jednym budynku i aż do świtu będzie trwało świętowanie.

– A w drugim? – spytała Emma.

– Światła zaczną przygasać około trzeciej, kiedy pokonani będą się udawać do domu i przygotowując się do przejęcia roli opozycji, zastanawiać, kogo obarczyć za to winą.

– Jak myślisz, jaki będzie wynik? – spytała Emma głównego przedstawiciela konserwatystów w przeddzień wyborów.

– Przepowiednie są dla frajerów i bukmacherów – rzucił Lacy. – Ale niezależnie od wyniku, praca z Boadiceą Bristolu była zaszczytem.

Gdy pociąg zajechał na Paddington, Emma wyskoczyła i złapała pierwszą wolną taksówkę. Wróciwszy na Smith Square, z ulgą stwierdziła, że Giles jeszcze się tam nie zjawił, ale czekał na nią Harry. Szybko wzięła prysznic i przebrała się, a potem obydwoje powędrowali na drugą stronę placu.

Była zdziwiona, że tylu ludzi ją poznaje. Niektórzy nawet klaskali, kiedy przechodziła, inni patrzyli na nią w ponurym milczeniu. Nagle zaczęto wiwatować i Emma obróciła się i ujrzała, jak brat wysiada z samochodu, macha do zwolenników swojej partii i znika w Transport House.

Emma wkroczyła do budynku, który dobrze poznała w ciągu zeszłego miesiąca, gdzie powitało ją kilku czołowych aparatczyków partyjnych, z którymi się zetknęła na szlaku kampanii. W każdym pokoju ludzie obsiedli telewizory; zwolennicy, działacze partyjni i personel Centralnego Biura zgodnie czekali na pierwsze wyniki. Ani śladu polityka. Wszyscy byli w swoich okręgach i czekali na wiadomość, czy nadal są posłami do parlamentu.

O pierwszej dwadzieścia trzy ogłoszono wynik w okręgu wyborczym Croydon Central, ze zwrotem 1,8 procent na korzyść konserwatystów. Rezultat powitano z powściągliwym aplauzem, bo wszyscy wiedzieli, że to oznacza parlament, w którym żadna

partia nie ma większości, i że Jim Callaghan będzie musiał wrócić do pałacu, gdzie zostanie zapytany, czy zdoła utworzyć rząd.

O pierwszej czterdzieści trzy aplauz był żywszy, kiedy konserwatyści przejęli Basildon, który według wykresu Emmy miał przewagę 30 głosów na ich korzyść. Potem wyniki zaczęły napływać obficie i często, podano też, że w okręgu Bristol Docklands odbywa się ponowne przeliczanie głosów.

Kiedy pani Thatcher przyjechała ze swojego okręgu Finchley tuż po trzeciej rano, w Transport House już gasły światła. Gdy wkroczyła do Centralnego Biura, sceptycy nagle przeobrazili się w wieloletnich zwolenników, a wieloletni zwolennicy czekali niecierpliwie, kiedy wejdą do jej pierwszego rządu.

Przywódczyni opozycji zatrzymała się w połowie schodów i wygłosiła krótką mowę dziękczynną. Emma poczuła wzruszenie, gdy jej nazwisko zostało chlubnie wymienione. Uścisnąwszy kilka wyciągniętych rąk, pani Thatcher opuściła budynek, tłumacząc, że czeka ją pracowity dzień. Emma zastanawiała się, czy ona w ogóle kładzie się spać.

Tuż po czwartej rano Emma ostatni raz wpadła do biura Johna Lacy'ego i ujrzała, że stoi on przy wykresie i nanosi ostatnie wyniki.

– Co przewidujesz? – zagadnęła, wlepiając wzrok w morze niebieskich kwadracików.

– Wygląda na przewagę ponad czterdziestu – odparł Lacy. – Aż nadto, żeby można było rządzić przez następne pięć lat.

– A nasze sześćdziesiąt dwa niepewne mandaty? – spytała Emma.

– Zdobyliśmy wszystkie z wyjątkiem trzech, ale trwa już trzecie przeliczanie głosów w Bristol Docklands, więc może będą tylko dwa.

– Myślę, że możemy pozwolić, żeby Gilesowi został ten jeden – wyszeptała Emma.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś ukrytym mięczakiem – rzekł Lacy.

Emma pomyślała o swoim bracie i o tym, jak on teraz musi się czuć.

– Dobranoc, John – powiedziała. – I dziękuję za wszystko. Do zobaczenia za pięć lat – dodała, wyszła z budynku i skierowała się na drugą stronę placu, do domu, gdzie zamierzała powrócić do realnego świata.

Emma zbudziła się kilka godzin później i ujrzała Harry'ego siedzącego przy łóżku z filiżanką herbaty w ręku.

– Kochanie, czy teraz, skoro wykonałaś swoją robotę, przyjdziesz do nas na śniadanie?

Emma ziewnęła i przeciągnęła się.

– To niezły pomysł, Harry Cliftonie, bo czas wrócić do pracy.

– To jaki plan na dziś?

– Muszę w te pędy wracać do Bristolu. Mam spotkanie z nowo mianowanym prezesem szpitala o trzeciej po południu, żeby omówić najważniejsze sprawy na przyszły rok.

– Czy jesteś zadowolona ze swojego następcy?

– Jak najbardziej. Simon Dawkins to administrator pierwszej klasy i był lojalnym zastępcą, więc spodziewam się, że przekazanie stanowiska pójdzie gładko.

– Zostawiam cię, żebyś się ubrała – powiedział Harry, podał jej filiżankę z herbatą i poszedł na dół, żeby dołączyć do Gilesa.

Giles siedział na drugim końcu stołu obłożony porannymi gazetami, które nie zawierały dobrych wiadomości. Na widok wchodzącego do pokoju szwagra uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia.

– Jak się czujesz? – zapytał Harry, kładąc w pocieszającym geście rękę na ramieniu najstarszego przyjaciela.

– Miewałem lepsze ranki – przyznał Giles, odsuwając gazety. – Ale nie mam na co się uskarżać. Służyłem jako minister przez dziewięć z ostatnich czternastu lat i powinienem mieć szansę objęcia stanowiska za pięć lat, bo nie wierzę, że ta kobieta się utrzyma.

Obaj mężczyźni wstali, kiedy Emma weszła do pokoju.

– Gratuluję, siostrzyczko – powiedział Giles. – Byłaś godną przeciwniczką i zasłużyłaś na zwycięstwo.

– Dziękuję, Giles – odparła, objąwszy brata, czego nie robiła przez ostatnie dwadzieścia osiem dni. – Więc co planujesz dzisiaj? – zapytała, siadając obok niego.

– Dziś rano muszę zdać mój urząd, żeby ta kobieta – powiedział, stuknąwszy palcem w fotografię na pierwszej stronie „Daily Express” – mogła utworzyć swoją pierwszą, i mam nadzieję ostatnią, administrację. Thatcher ma się stawić w pałacu o dziesiątej po błogosławieństwo od królowej, a potem zostanie odwieziona triumfalnie na Downing Street. Będziesz mogła to obejrzeć w telewizji, ale mam nadzieję, że mi wybaczysz, że do ciebie nie dołączę.

Gdy Emma skończyła się pakować, Harry ustawił walizki przy drzwiach frontowych, a potem wrócił do salonu do żony i nie zdziwił się, gdy ujrzał, że siedzi wpatrzona w telewizor. Nawet nie podniosła głowy, kiedy wszedł do pokoju.

Z pałacu Buckingham wyjeżdżały trzy czarne jaguary. Tłumy na chodnikach przed bramami pałacu machały i klaskały, kiedy samochody sunęły przez Mall do Whitehallu. Robin Day relacjonował na żywo.

– Nowa premier spędzi przedpołudnie na tworzeniu pierwszego Gabinetu. Jak się oczekuje, lord Carrington ma być ministrem spraw zagranicznych, Geoffrey Howe kanclerzem skarbu, a Leon Brittan ministrem spraw wewnętrznych. Jeżeli zaś chodzi o dalsze stanowiska, musimy poczekać i zobaczyć, kto zostanie mianowany. Nie sądzę, żeby było dużo niespodzianek, chociaż możecie być pewni, że znajdzie się kilku polityków, którzy będą tkwić przy telefonie i czekać na wezwanie z Numeru Dziesięć – dodał, kiedy trzy samochody wjechały w Downing Street.

Kiedy pani premier wysiadła z samochodu, znowu rozległy się brawa. Wygłosiła krótkie przemówienie, w którym zacytowała świętego Franciszka z Asyżu, a potem zniknęła w drzwiach budynku Numer Dziesięć.

– Lepiej ruszajmy – powiedział Harry – bo spóźnimy się na pociąg.

Emma spędziła popołudnie w towarzystwie Simona Dawkinsa, jej następcy w Królewskim Szpitalu Bristolskim, a przedtem opróżniła już drugie swoje biuro tego dnia. Wypełniła tylną kanapę samochodu i bagażnik rzeczami osobistymi, które się nagromadziły w ciągu minionych dziesięciu lat. Gdy ostatni raz

wolno odjeżdżała z terenu szpitala, nie obejrzała się do tyłu. Myślała już o spokojnej kolacji z Harrym w Manor House i o tym, że pierwszy raz od tygodni położy się do łóżka przed północą i pośpi dłużej niż cztery godziny.

Emma siedziała w szlafroku, oddając się rozkoszom późnego śniadania, kiedy zadzwonił telefon.

Harry podniósł słuchawkę stojącego na kredensie aparatu i słuchał przez chwilę, po czym zasłonił mikrofon i szepnął:

– To Numer Dziesięć.

Emma poderwała się i podjęła słuchawkę, przypuszczając, że po drugiej stronie będzie pani Thatcher.

– Dzwonię z Numeru Dziesięć – odezwał się oficjalny głos. – Premier chciałaby wiedzieć, czy mogłaby się pani z nią spotkać dzisiaj o dwunastej trzydzieści.

– Tak, oczywiście – powiedziała Emma bez zastanowienia.

– Kiedy? – spytał Harry, kiedy odłożyła słuchawkę.

– Dwunasta trzydzieści, Numer Dziesięć.

– To natychmiast się ubieraj, a ja wyprowadzę samochód. Musimy się pospieszyć, jeśli chcesz złapać pociąg o dziesiątej dziesięć.

Emma pobiegła na górę i dłużej niż zamierzała namyślała się, co na siebie włożyć. Wybrała prosty granatowy kostium i białą jedwabną bluzkę.

Harry rzucił:

– Wyglądasz znakomicie.

Harry ruszył szybko podjazdem i przejechał przez bramę, zadowolony, że unika porannego natężenia ruchu. Zahamował przed stacją Temple Meads tuż przed dziesiątą.

– Zadzwoń do mnie, jak tylko się z nią zobaczysz – zawołał za oddalającą się postacią, ale nie był pewien, czy Emma go słyszy.

Kiedy pociąg ruszył ze stacji, Emma się zastanawiała, dlaczego Margaret, jeśli chciała jej tylko podziękować, nie zrobiła tego przez telefon. Przejrzała poranne gazety, w których było pełno fotografii nowej premier i szczegółów o mianowanych przez nią wyższych urzędnikach. Rząd miał się spotkać pierwszy raz tego dnia o dziesiątej rano. Emma spojrzała na zegarek: piętnaście po dziesiątej.

Jedna z pierwszych wysiadła z pociągu i puściła się biegiem na postój taksówek. Kiedy dotarła do przodu kolejki i poleciła: „Downing Street Numer Dziesięć i muszę tam być przed dwunastą trzydzieści” – kierowca spojrzał na nią, jakby chciał jej powiedzieć: „Nabieraj innych frajerów”.

Kiedy taksówka wjechała w Whitehall i zatrzymała się na początku Downing Street, policjant zajrzał do tyłu, uśmiechnął się i zasalutował. Wóz wolno podjechał pod drzwi Numeru Dziesięć. Gdy Emma wyciągnęła portmonetkę, taksówkarz powiedział:

– Nic się nie należy, panienko. Głosowałem na torysów, więc ja stawiam. Przy okazji, życzę powodzenia.

Drzwi budynku Numer Dziesięć otworzyły się, zanim Emma zdążyła zastukać. Przestąpiła próg i ujrzała młodą kobietę, która na nią czekała.

– Dzień dobry, lady Clifton. Mam na imię Alison i jestem jedną z osobistych sekretarek pani premier. Wiem, że się pani spodziewa.

Emma w milczeniu podążyła za sekretarką na pierwsze piętro, gdzie stanęły przed jakimiś drzwiami. Sekretarka zapukała, otworzyła drzwi i usunęła się na bok. Emma weszła do środka i zobaczyła panią Thatcher rozmawiającą przez telefon.

– Porozmawiamy później, Willy, kiedy powiadomię cię o mojej decyzji. – Premier odłożyła słuchawkę. – Emmo – powiedziała, podnosząc się zza biurka. – Jak uprzejmie z twojej strony, że tak prędko wróciłaś do Londynu. Myślałam, że jeszcze jesteś w mieście.

– Nie ma problemu, pani premier.

– Przede wszystkim gratulacje z okazji zdobycia pięćdziesięciu dziewięciu spośród sześćdziesięciu dwóch niepewnych mandatów. To sukces! Chociaż spodziewam się, że twój brat będzie z ciebie kpił, że nie wygrałaś w Bristol Docklands.

– Następnym razem, pani premier.

– Ale to dopiero za pięć lat i mamy do tej pory dużo do zrobienia, dlatego chciałam się z tobą widzieć. Zapewne wiesz, że poprosiłam Patricka Jenkina, żeby objął stanowisko ministra zdrowia i oczywiście będzie mu potrzebny w Izbie Lordów wiceminister, który przeprowadzi nowy projekt ustawy o państwowej służbie zdrowia przez Izbę Wyższą i uczyni ustawę obowiązującym prawem. I nie wyobrażam sobie nikogo lepiej wykwalifikowanego do tego zadania. Ty masz duże doświadczenie z państwową służbą zdrowia, a lata w charakterze prezeski spółki publicznej czynią z ciebie idealną kandydatkę na to stanowisko. Więc mam nadzieję, że zechcesz dołączyć do rządu jako dożywotnia członkini Izby Lordów.

Emma zaniemówiła.

– To jest wspaniałe, Emmo, że nawet ci nie przyszło do głowy, że chciałam cię widzieć z tego powodu. Połowa moich ministrów uważa, że otrzymali akurat to, na co zasługują, natomiast druga połowa nie może ukryć rozczarowania. Przypuszczam, że jesteś jedyną osobą, która jest szczerze zaskoczona.

Emma bezwiednie skinęła głową.

– Więc pozwól, że ci powiem, co dalej. Gdy stąd wyjdziesz, na zewnątrz będzie czekał samochód, żeby cię zawieźć do Alexander Fleming House, gdzie cię oczekuje minister zdrowia. Wprowadzi cię szczegółowo w twoje obowiązki. Przede wszystkim zechce z tobą rozmawiać na temat nowego projektu ustawy o państwowej służbie zdrowia, którą chciałabym jak najszybciej, możliwie w ciągu roku, przeprowadzić przez obie Izby. Wysłuchaj Patricka Jenkina – to bystry polityk, tak samo jak dyrektor gabinetu ministra. Poleciłabym ci też zasięgnąć rady brata. Nie tylko był zdolnym ministrem, ale nikt nie wie lepiej od niego, jak funkcjonuje Izba Lordów.

– Ale on jest po drugiej stronie.

– W Izbie Lordów to nie jest dokładnie tak, jak się szybko przekonasz. Oni tam są o wiele bardziej cywilizowani i nie tak bardzo zainteresowani zdobywaniem punktów politycznych. I moja ostatnia rada – postaraj się, żeby ci to sprawiało frajdę.

– Pani premier, pochlebia mi, że w ogóle wzięła mnie pani pod uwagę, i muszę przyznać, że trochę mnie onieśmiela to wyzwanie.

– Niepotrzebnie. Byłaś moją pierwszą kandydatką na to stanowisko – powiedziała pani Thatcher. – Jeszcze jedno, Emmo. Jesteś jedną z garstki moich przyjaciół, którzy, jak mam nadzieję,

będą nadal mówić mi po imieniu, bo ja nie będę zawsze pełnić tego urzędu.

– Dziękuję, pani premier.

Emma podniosła się i uścisnęła dłoń nowej szefowej. Wychodząc z pokoju, zobaczyła Alison stojącą przy drzwiach.

– Gratuluję, pani minister. Samochód czeka, żeby zawieźć panią do ministerstwa.

Gdy schodziły schodami w dół, mijając fotografie byłych premierów, Emma próbowała oswoić się z tym, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku minut. Kiedy dotarła do holu, otworzyły się frontowe drzwi i do środka wszedł młody człowiek, którego poprowadziła do góry inna sekretarka. Emma była ciekawa, jakie Norman otrzyma stanowisko.

– Proszę za mną – powiedziała Alison, która otworzyła boczne drzwi wiodące do małego pokoju z biurkiem i telefonem. Emma nie wiedziała, o co chodzi, dopóki Alison nie zamknęła drzwi i nie dodała: – Pani premier pomyślała, że może przed objęciem nowego stanowiska zechce pani zatelefonować do męża.

8

Giles poświęcił przedpołudnie na przenoszenie dokumentów, teczek i rzeczy osobistych z jednego końca korytarza na drugi. Opuszczał przestronne, dobrze wyposażone biuro z widokiem na odległy o kilka kroków od Izby Parliament Square wraz ze świtą pracowników, których jedynym celem było spełnienie każdego jego wymagania.

Przeprowadził się w zamian do ciasnego pomieszczenia z jedną sekretarką, skąd miał pełnić takie samo stanowisko w opozycji. Jego upadek był bolesny i natychmiastowy. Nie mógł już dłużej liczyć na kadrę urzędników służby cywilnej, aby mu doradzali, układali mu terminarz i przygotowywali projekty przemówień. Ci sami urzędnicy służyli teraz innemu panu, który reprezentował inną partię, po to, żeby proces rządzenia przebiegał gładko. Taka jest demokracja.

Gdy zadzwonił telefon, Giles podniósł słuchawkę i usłyszał głos przywódcy opozycji.

– Giles, przewodniczę zebraniu Gabinetu Cieni w poniedziałek o dziesiątej w moim nowym biurze w Izbie Gmin. Mam nadzieję, że będziesz mógł wziąć w nim udział.

Jim Callaghan, nie mogąc już poprosić prywatnego sekretarza, żeby zwołał członków Gabinetu do budynku Numer Dziesięć, sam wykonywał telefony pierwszy raz od lat.

Gdyby stwierdzić, że kiedy następnego poniedziałku koledzy Gilesa zasiedli wokół stołu, wyglądali na zaszokowanych, byłoby to niedopowiedzenie. Wszyscy rozważali możliwość przegranej z tą kobietą, ale nie tak znaczną większością.

Jim Callaghan przewodniczył zebraniu, pośpiesznie nagryzmoliwszy porządek obrad na odwrocie koperty, co sekretarka przepisała na maszynie i teraz rozdawała tym kolegom, którzy przetrwali wyborczy odstrzał. Jedynym tematem, który zajmował umysły siedzących przy stole, było pytanie, kiedy Jim zrezygnuje jako przywódca Partii Pracy. To był pierwszy punkt porządku dnia. Kiedy okrzepną jako opozycja, powiedział kolegom, wtedy ustąpi miejsca nowemu przywódcy. Opozycja, która przez kilka następnych lat będzie przemierzała korytarz dla głosujących przeciw, występując przeciw rządowi, po to tylko, aby ponosić klęskę za klęską.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Giles uczynił coś, czego nie robił od lat. Poszedł na piechotę do domu – nie czekał na niego ministerialny samochód. Będzie mu brakowało Billa, któremu napisał kilka słów podziękowania, po czym dołączył do Karin, żeby zjeść lunch.

– Czy było strasznie? – zapytała go, kiedy wszedł do kuchni.

– Jak na stypie. Bo wszyscy wiemy, że nie możemy nic poradzić przez przynajmniej cztery lata. A wtedy ja będę miał sześćdziesiąt trzy lata – przypomniał jej – a nowy przywódca

partii, ktokolwiek to będzie, niewątpliwie będzie miał swojego kandydata na moje miejsce.

– Chyba że udzielisz poparcia człowiekowi, który zostanie następnym przywódcą – powiedziała Karin – a wtedy będziesz wciąż w najwyższym gremium.

– Według mnie Denis Healey jest jedynym wiarygodnym kandydatem na to stanowisko i jestem całkiem pewien, że partia opowie się za nim.

– Z kim się prawdopodobnie zmierzy? – spytała Karin, nalewając Gilesowi wina.

– Związki zawodowe będą popierać Michaela Foota, ale większość członków uświadomi sobie, że z jego lewicowym rodowodem partia nie będzie miała nadziei na zwycięstwo w następnych wyborach powszechnych. – Giles wychylił kieliszek wina. – Ale przez pewien czas nie musimy się o to martwić, więc mówmy o czymś ciekawszym, na przykład o tym, gdzie chciałabyś spędzić letnie wakacje.

– Musimy porozmawiać jeszcze o czymś innym, zanim to zdecydujemy – powiedziała Karin, tłukąc ziemniaki. – Wyborcy mogli cię odrzucić, ale znam kogoś, kto nadal potrzebuje twojej pomocy.

– O czym ty mówisz?

– Dziś rano dzwoniła Emma. Ma nadzieję, że będziesz chciał jej pomóc w nowej pracy.

– W nowej pracy?

– Nikt ci nie powiedział? Dostała nominację na wiceministra zdrowia i dołączy do ciebie w Izbie Lordów.

Karin czekała, jak mąż zareaguje.

– Jaka dumna byłaby nasza matka – brzmiały pierwsze słowa Gilesa. – Więc przynajmniej coś dobrego wynikło z tych wyborów. Na pewno będę mógł jej wskazać, jakich wybojów unikać, na których posłów zważać, których ignorować i jak zdobyć zaufanie Izby. Niełatwa sprawa nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach – powiedział, zagrzewając się do zadania. – Zatelefonuję do niej zaraz po lunchu i zaproponuję jej przechadzkę po Pałacu Westminsterskim podczas wakacji parlamentarnych.

– A jeżeli wybierzemy się w tym roku na wakacje do Szkocji – powiedziała Karin – to możemy zaprosić Harry'ego i Emmę. Pierwszy raz od lat nie będziesz bez przerwy odrywany przez urzędników twierdzących, że nastąpił kryzys, ani przez dziennikarzy, którzy powiedzą, panie ministrze, przepraszamy, że przeszkadzamy panu na wakacjach, ale...

– Dobry pomysł. Kiedy Emma zostanie przedstawiona w Izbie w październiku, jej nowi koledzy pomyślą, że spędziła tam już dziesięć lat.

– I jest jeszcze jedna sprawa, o której powinniśmy teraz podyskutować, skoro masz więcej czasu – powiedziała Karin, kładąc przed nim talerz z mięsem duszonym z jarzynami.

– Masz rację, kochanie – rzekł Giles, ujmując nóż i widelec. – Ale tym razem nie mówmy o tym, tylko zróbmy coś.

Lord Goodman podniósł się zza biurka, gdy sekretarka weszła do biura w towarzystwie potencjalnej klientki.

– To wielka przyjemność nareszcie spotkać się z panią, pani Grant – powiedział wybitny adwokat, gdy uścisnęli sobie ręce. – Proszę usiąść – dodał, wskazując wygodny fotel.

– Czy to prawda, że był pan prawnikiem premiera? – usiadłszy, spytała Ellie May.

– Tak – odparł Goodman. – Teraz służę panu Wilsonowi jako doradca prywatny.

– Czy znalazł pan czas, żeby przeczytać list i załączniki, które ostatnio panu wysłałam? – zapytała Ellie May, świadoma, że rozmowa towarzyska zostanie obciążona takimi samymi kosztami jak opinia prawnicza.

– Co do słowa – rzekł Goodman, klepnąwszy leżącą przed nim teczkę. – Mogę tylko żałować, że pani mąż nie zasięgnął mojej rady w czasie tego niefortunnego wydarzenia. Gdyby to zrobił, poradziłbym, żeby wezwał tę damę do przedstawienia dowodów.

– Zapotrzebowanie na prawników byłoby o wiele mniejsze, gdybyśmy wszyscy mieli zdolność przewidywania po fakcie. Mimo to, czy uważa pan, że istnieją wystarczające dowody przeciwko lady Virginii?

– Zdecydowanie tak, proszę pani. To jest, zakładając, że pan i pani Morton zgodzą się złożyć pod przysięgą pisemne oświadczenie, że czcigodny Freddie Fenwick jest ich potomkiem i że lady Virginia była tego świadoma w chwili narodzin dziecka.

– Wystarczy przedstawić im niezbędny dokument, to go podpiszą. A czy wtedy Cyrus może zażądać zwrotu pełnej sumy, jaką wypłacił tej szarlatance w ciągu minionych lat?

– Każdego centa plus odsetki i inne opłaty zasądzone przez sąd, oczywiście z moim honorarium włącznie.

– Więc radzi pan zaskarżyć tę jędzę?

– Z jednym zastrzeżeniem – powiedział Goodman, unosząc brwi.

– Adwokaci zawsze występują z jakimś zastrzeżeniem, na wypadek gdyby przegrali. Więc jakie to zastrzeżenie?

– Nie byłoby sensu skarżyć lady Virginii o tak wielką sumę, jeżeli nie posiada majątku o realnej wartości. Jedna gazeta – powiedział, otwierając grubą teczkę – podaje, że ona zabiera małego Freddiego z prywatnej szkoły podstawowej, bo nie może sobie dłużej pozwolić na czesne.

– Ale jak się dowiedziałam z pewnego źródła, ma dom na Onslow Square i mnóstwo służby do obsługi.

– Miała – sprostował Goodman. – Lady Virginia sprzedała dom kilka miesięcy temu i zwolniła cały personel.

Goodman otworzył inną teczkę i rzucił okiem na wycinki prasowe, a potem podał je klientce.

Po ich przeczytaniu Ellie May zapytała:

– Czy to zmienia pańską opinię?

– Nie, ale na początek zaleciłbym, żebyśmy wysłali lady Virginii list bez obliga z żądaniem zwrotu pełnej sumy i dali jej trzydzieści dni na odpowiedź. Trudno mi uwierzyć, że nie zechce raczej zawrzeć pewnego rodzaju porozumienia, niż ogłosić bankructwo, a nawet stanąć przed możliwością uwięzienia za oszustwo.

– A jeżeli ona nie zechce... bo mam takie wrażenie – powiedziała Ellie May.

– Będzie pani musiała zdecydować, czy uzyskać wystawienie nakazu sądowego czy nie, licząc się z możliwością, że nie uda się odzyskać ani pensa, a wtedy będzie pani musiała pokryć własne koszty adwokackie, które nie będą małe. – Goodman umilkł, a po

chwili dodał: – Zważywszy wszystko, doradzałbym cierpliwość. Oczywiście decyzja należy do pani. Ale, jak zwróciłem pani uwagę, to może dużo kosztować bez żadnej gwarancji zwrotu.

– Jeżeli ta jędza zbankrutuje, zostanie upokorzona i posiedzi w więzieniu, to będzie to warte każdego pensa.

Harry i Emma spędzili wraz z Gilesem i Karin dwa tygodnie w zamku Mulgelrie w Szkocji, siedzibie rodowej ich dziadka ze strony matki, i ilekroć dzwonił telefon, to niemal zawsze do Emmy, a kiedy nadeszły czerwone kuferki, Giles musiał przywyknąć, żeby ich nie otwierać.

Brat umiał doradzić świeżo upieczonej pani minister, jak postępować z urzędnikami, którzy zdawali się zapominać, że ona jest na wakacjach, oraz z publicystami politycznymi, którzy desperacko poszukiwali materiału do artykułu sierpniowego, kiedy parlament nie obraduje. A kiedy wybierali się na spacer na tereny polowań na kuraki, Giles odpowiadał na wszystkie niezliczone pytania siostry, dzieląc się z nią latami doświadczeń pracy ministra w Izbie Lordów, więc kiedy Emma wróciła do Londynu, czuła, że nie tyle była na wakacjach, co uczestniczyła w kilku seminariach dla zaawansowanych na temat administracji rządowej.

Gdy Emma i Harry odjechali, Giles z Karin zostali w Szkocji jeszcze dwa tygodnie. Giles miał też inne zadanie przed wyjazdem na konferencję partii w Brighton.

– Dziękuję, Archie, że zechciałeś się ze mną zobaczyć.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział dziesiąty hrabia Fenwick. – Nigdy nie zapomnę twojej życzliwości, kiedy

zająłem miejsce ojca w Izbie i miałem swoje pierwsze wystąpienie parlamentarne.

– Bardzo dobrze przyjęte – zauważył Giles. – Mimo że zaatakowałeś rząd.

– I zamierzam być równie krytyczny wobec konserwatystów, jeżeli ich polityka rolna będzie tak samo przestarzała jak wasza. Ale powiedz mi, Giles, czemu zawdzięczam ten zaszczyt, bo ty nigdy nie robiłeś wrażenia kogoś, kto lubi traci czas.

– Przyznaję – powiedział Giles, kiedy Archie podał mu sporą szklaneczkę whisky – że poszukuję informacji w sprawie rodzinnej.

– Czy przypadkiem nie chodzi o twoją byłą żonę Virginię?

– Trafiłeś. Mam nadzieję, że mi powiesz, co twoja siostra porabia ostatnio. Wytłumaczę później, dlaczego pytam.

– Chciałbym, ale nie mogę udawać, że jesteśmy blisko – rzekł Archie. – Jedyne, co wiem na pewno, to że Virginia znowu jest bez pensa, chociaż spełniam warunki testamentu ojca i wypłacam jej comiesięczną pensję. Ale to nawet w przybliżeniu nie wystarczy na uporanie się z jej obecnymi problemami.

Giles sączył swoją whisky.

– Czy jednym z tych problemów nie jest czcigodny Freddie Fenwick?

Archie nie odpowiedział od razu.

– Wiemy jedynie na pewno – rzekł w końcu – że Freddie nie jest synem Virginii i, co chyba bardziej interesujące, mój ojciec musiał to wiedzieć na długo przedtem, nim zostawił jej w testamencie jedyny zapis.

– Butelkę whisky Maker's Mark – podpowiedział Giles.

– Tak. To mnie intrygowało przez pewien czas – przyznał Archie – aż do wizyty pani Ellie May Grant z Baton Rouge w Luizjanie, która wytłumaczyła, że to ulubiona whisky jej męża. Potem dokładnie mi opowiedziała, co się stało podczas wizyty jej męża w Londynie, kiedy miał tego pecha, że spotkał Virginię. Ale wciąż nie mam pojęcia, dlaczego tak długo uchodziło jej to płazem.

– Więc pozwól mi dodać to, co wiem dzięki uprzejmości czcigodnego Haydena Rankina, gubernatora Luizjany i starego przyjaciela Cyrusa T. Granta III. Wydaje się, że kiedy Cyrus pierwszy i ostatni raz wybrał się do Londynu, Virginia zastawiła na niego misterną pułapkę, by go przekonać, że się jej oświadczył, mimo że zamierzał poślubić kogo innego – mianowicie Ellie May. Potem nabrała naiwnego faceta, udając, że jest w ciąży, i wmówiła mu, że jest ojcem dziecka. To wszystko, co wiem.

– Mogę cokolwiek dodać – rzekł Archie. – Pani Grant mnie poinformowała, że niedawno zatrudniła byłego kamerdynera Virginii i jego żonę, państwa Morton, którzy podpisali pod przysięgą oświadczenie, że Freddie jest ich dzieckiem, i dlatego comiesięczne wypłaty Cyrusa dla Virginii nagle się skończyły.

– Nic dziwnego, że nie ma pieniędzy. Czy Freddie wie, że Mortonowie są jego rodzicami?

– Nie, nigdy mnie nie pytał, a ja nigdy mu nie powiedziałem, gdyż on najwyraźniej uważa, że rodzice go porzucili – rzekł Archie. – Jest gorzej. Pani Grant ostatnio zwróciła się do lorda Goodmana, żeby w jej imieniu spróbował odzyskać całą sumę, z którą Cyrus się rozstał. A ponieważ miałem przyjemność

spotkać się z groźną panią Ellie May Grant, to mogę rzec, że moja siostra w końcu trafiła na godną siebie przeciwniczkę.

– Ale jak Virginia może... – Giles urwał, gdy otwarły się drzwi i do środka wpadł mały chłopiec.

– Freddie, czy ci nie mówiłem, że trzeba pukać, zwłaszcza kiedy mam gościa?

– Przepraszam – powiedział Freddie i prędko wykonał zwrot w tył, żeby wyjść.

– Zanim sobie pójdziesz, chcę, żebyś poznał wybitnego polityka.

Freddie się odwrócił.

– To jest lord Barrington, który do niedawna był przewodniczącym Izby Lordów.

– Jak się pan miewa, sir – powiedział Freddie, wyciągając rękę do Gilesa. Przyglądał mu się przez jakiś czas, a potem rzekł: – Czy pan nie był mężem mojej matki?

– Tak, byłem – odparł Giles. – I cieszę się, że cię w końcu poznałem.

– Ale nie jest pan moim ojcem, prawda? – zapytał Freddie po kolejnym długim milczeniu.

– Nie.

Na twarzy Freddiego odbił się wyraz rozczarowania.

– Wujek mówi, że pan jest wspaniałym politykiem, ale czy nie jest prawdą, że był pan kiedyś wielkim krykiecistą?

– Nigdy wielkim – powiedział Giles, próbując rozładować atmosferę. – I to było dawno temu.

– Ale zdobył pan setkę na stadionie Lorda.

– Niektórzy wciąż uważają, że to mój największy sukces.

– Pewnego dnia ja zdobędę setkę na stadionie Lorda – oznajmił Freddie.

– Mam nadzieję, że to zobaczę.

– W przyszłą sobotę może pan przyjść i zobaczyć, jak odbijam piłkę. To mecz dwóch drużyn, Zamek przeciw Wiosce, i zamierzam zdobyć zwycięski punkt.

– Freddie, nie sądzę...

– Niestety, muszę być w Brighton na konferencji Partii Pracy – powiedział Giles.

Freddie wyglądał na rozczarowanego.

– Chociaż muszę przyznać – ciągnął Giles – że o wiele bardziej wolałbym patrzeć, jak grasz w krykieta, niż wysłuchiwać niekończących się przemówień przywódców związków zawodowych, którzy będą powtarzali to samo, co w zeszłym roku.

– Czy pan nadal gra w krykieta?

– Tylko wtedy, kiedy Izba Lordów gra z Izbą Gmin i nikt nie widzi, jak bardzo nie jestem w formie.

– Forma jest chwilowa, klasa jest stała, mówi mój nauczyciel krykieta.

– Być może – powiedział Giles – ale ja mam prawie sześćdziesiąt lat i to jest mój wiek, a nie moja średnia odbić.

– W.G. Grace grał w reprezentacji Anglii, kiedy miał ponad pięćdziesiąt lat, więc może w przyszłości weźmie pan udział w naszym meczu?

– Freddie, musisz pamiętać, że lord Barrington jest bardzo zajętym człowiekiem.

– Ale nie tak zajętym, żeby nie przyjąć równie pochlebiającej propozycji.

– Dziękuję panu – powiedział Freddie. – Wyślę panu listę imprez sportowych. Muszę teraz iść – dodał. – Mam ćwiczyć wybijanie piłki z panem Lawriem, naszym kamerdynerem, który jest kapitanem drużyny Zamku.

Freddie wypadł z pokoju, zanim Giles mógł mu zadać następne pytanie.

– Przepraszam cię – powiedział Archie, kiedy zamknęły się drzwi – ale Freddie, zdaje się, nie rozumie, że inni ludzie mają własne życie.

– Czy on mieszka u ciebie? – spytał Giles.

– Tylko podczas wakacji, co, jak się obawiam, nie jest idealne, ponieważ teraz, gdy moje dziewczynki dorosły i opuściły dom, Freddie jest pozbawiony towarzystwa. Najbliższy dom jest odległy o kilka kilometrów i nie ma tam dzieci. Ale chociaż Virginia porzuciła biednego chłopca, nie jest on obciążeniem finansowym, ponieważ mój ojciec zostawił mu przynoszącą rocznie blisko sto tysięcy funtów dochodu gorzelnię Glen Fenwick, którą odziedziczy w dniu dwudziestu piątych urodzin. W istocie, whisky z Glen Fenwick właśnie teraz pijesz – powiedział Archie, napełniając Gilesowi szklaneczkę, a potem dodał: – Ale ostatnio moi prawnicy mnie ostrzegli, że Virginia ma chrapkę na gorzelnię i zasięga rady, czy może podważyć zapisy testamentu ojca.

– Nie pierwszy raz usiłuje to zrobić – powiedział Giles.

9

– Czy się denerwujesz?

– No pewno – przyznała Emma. – To mi przypomina mój pierwszy dzień w szkole – dodała, poprawiając długą, czerwoną szatę.

– Nie ma się czym denerwować – powiedział Giles. – Pomyśl sobie, że jesteś chrześcijanką w czasach Dioklecjana, która za chwilę ma wejść do Koloseum, gdzie kilka setek wygłodniałych lwów czeka niecierpliwie na arenie na pierwszy od tygodni posiłek.

– To raczej nie doda mi pewności siebie – rzekła Emma, gdy dwaj odźwierni w dworskich strojach otworzyli zachodnie drzwi, żeby troje parów weszło do Izby.

Baronessa Clifton z Chew Magna w hrabstwie Somerset po raz pierwszy wkroczyła do Izby. Z prawej strony miała lorda Belsteada, przewodniczącego Izby Lordów, też w długiej czerwonej szacie i w trójgraniastym kapeluszu. Z lewej – lorda Barringtona z Bristol Docklands, byłego przewodniczącego Izby. Pierwszy raz w długiej historii Izby Lordów nowy członek miał poparcie przywódców dwóch głównych partii politycznych.

Gdy Emma weszła do Izby, skierował się na nią wzrok tysiąca oczu z obu stron sali. Cała trójka uchyliła kapeluszy i ukłoniła się swoim kolegom. Potem przeszła koło ławy posłów niezależnych, w której siedzieli członkowie Izby niezwiązani z żadną partią polityczną, często zwani zacnymi i szacownymi. To oni mogą przesądzić o jakiejś spornej sprawie, decydując, w którym korytarzu oddać głos, powiedział Emmie Giles.

Szli dalej wzdłuż rządowej przedniej ławy, aż lord Belstead dotarł do mównicy. Sekretarz obrad przywitał nową członkinię Izby Lordów serdecznym uśmiechem i podał jej kartkę z wydrukowaną przysięgą wierności Koronie.

Emma objęła wzrokiem słowa, które powtarzała dzisiaj rano w kąpieli, przy śniadaniu, w samochodzie w drodze do Westminsteru i na koniec w ubieralni. Lecz nagle nie była to już tylko próba.

– Ja, Emma Elizabeth Clifton, przysięgam Wszechmogącemu Bogu, że będę wierna i lojalna wobec Jej Królewskiej Mości, jej potomków i następców, zgodnie z prawem, tak mi dopomóż Bóg.

Sekretarz obrad przewrócił stronicę wielkiej parlamentarnej Księgi Ślubowań z pergaminowymi stronicami, aby nowa członkini mogła dodać swoje nazwisko do listy. Podał jej pióro, ale podziękowała i wybrała inne, ofiarowane jej przez dziadka, lorda Harveya, z okazji chrztu, prawie sześćdziesiąt lat temu.

Po wpisaniu się na listę wzniosła wzrok na galerię dla gości honorowych, gdzie ujrzała Harry'ego, Karin, Sebastiana, Samanthę, Grace i Jessicę, uśmiechających się do niej z widoczną dumą. Odpowiedziała im uśmiechem, a kiedy opuściła wzrok,

zobaczyła reprezentantkę Izby Gmin stojącą przy barierce. Pani premier lekko się ukłoniła i Emma odwzajemniła ukłon.

Baronessa Clifton podążyła za bratem wzdłuż przedniej ławy, mimo fotela kanclerskiego, gdzie zasiadają lordowie prawa, aż dotarła do fotela spikera. Sekretarz Izby wystąpił do przodu i przedstawił nową panią par lordowi spikerowi.

– Witamy w Izbie, lady Clifton – powiedział lord spiker, serdecznie ściskając jej dłoń.

Ze wszystkich stron Izby zabrzmiały okrzyki tradycyjnego powitania parów:

– Racja, racja!

Potem Giles poprowadził siostrę koło tronu, skąd kilku siedzących na stopniach członków uśmiechało się do niej, gdy wychodziła przez wschodnie drzwi do Komnaty Książęcej. Kiedy znaleźli się poza Izbą Lordów, zdjęła trójgraniasty kapelusz i wydała długie westchnienie ulgi.

– Wyglądało na to, że spodobałaś się lwom – powiedział Giles, schylając się i całując siostrę w oba policzki – chociaż zauważyłem paru moich kolegów, którzy się oblizywali na myśl o twoim pierwszym pojawieniu się na mównicy.

– Niech się pani nie daje nabierać bratu – powiedział Belstead. – To on będzie oblizywał wargi, kiedy przyjdzie pora, żeby stawiła pani czoło opozycji.

– Ale nie wcześniej, niż jak wygłosisz mowę inauguracyjną, siostrzyczko. Jednak potem, muszę przyznać, będziesz obiektem krytyki.

– Więc co teraz? – spytała Emma.

– Herbata z rodziną na tarasie – przypomniał jej Giles.

– A gdy będzie pani wolna – rzekł Belstead – to proponuję, żeby wśliznęła się pani z powrotem do Izby i zajęła miejsce na końcu frontowej ławy. Radziłbym, żeby przez kilka następnych dni obserwowała pani, jak funkcjonuje Izba, przyzwyczajała się do naszych osobliwych zwyczajów i tradycji, zanim zdecyduje się pani wygłosić mowę inauguracyjną.

– To jedyna twoja mowa, kiedy nikt się nie ośmieli ci przerwać, a każdy, kto po tobie zabierze głos, będzie cię wychwalał, jakbyś była Cyceronem.

– A co potem?

– Musi być pani przygotowana na pierwsze pytania jako wiceminister zdrowia – rzekł Belstead – i nie zapominać, że w audytorium będzie kilku znamienitych przedstawicieli profesji medycznej.

– Kiedy nie będzie żadnych ceregieli – powiedział Giles. – I nie spodziewaj się braterskiej miłości, nawet od krewnych i znajomych. Okrzyki „racja, racja” będą dobiegać tylko z twojej strony Izby.

– I nie zawsze będzie mogła pani na nich liczyć – dorzucił Belstead z kpiącym uśmiechem.

– Jednak, siostrzyczko, witaj w Izbie Lordów. Przyznam, że pałam dumą, ilekroć któryś z moich kolegów parów mówi: „Czy wiedziałeś, że to siostra lorda Barringtona?”.

– Dziękuję ci, Giles – rzekła Emma. – Nie będę mogła się doczekać dnia, kiedy jeden z moich kolegów parów powie: „Czy wiedziałeś, że to brat lady Clifton?”.

Puk, puk, puk. Karin obudziła się pierwsza. Obróciła się na drugi bok, przypuszczając, że śni.

Puk, puk, puk. Trochę głośniej. Wolno wstała z łóżka i nie chcąc przeszkadzać Gilesowi, na palcach podeszła do okna. Puk, puk, puk, jeszcze głośniej.

– Czy to jest to, co myślę? – spytał zaspany głos.

– Zaraz się dowiem – odparła Karin, rozsuwając zasłony i spoglądając w dół na chodnik.

– Dobry Boże – powiedziała i wyszła z sypialni, zanim Giles mógł spytać, co się dzieje.

Karin zbiegła po schodach i prędko otworzyła frontowe drzwi, gdzie tuż za progiem kulił się, drżąc z zimna, mały chłopiec.

– Wejdź – wyszeptała.

Ale on nie bardzo chciał się ruszyć, dopóki go nie objęła i powiedziała:

– Nie wiem, jak ty, Freddie, ale ja bym się napiła gorącej czekolady. Wejdź do środka i tam się rozejrzymy.

Wziął ją za rękę i przemierzyli hol, a potem weszli do kuchni, akurat kiedy Giles ukazał się na podeście.

– Usiądź, Freddie – powiedziała Karin, wlewając mleko do rondelka. Giles dołączył do nich. – Jak się tu dostałeś? – spytała od niechcenia.

– Wsiadłem do pociągu w Edynburgu, ale nie zdawałem sobie sprawy, że zrobiło się tak późno, kiedy dojechałem do Londynu. Od ponad godziny siedziałem przed waszymi drzwiami – tłumaczył. – Nie chciałem was obudzić, ale zrobiło się dość zimno.

– Czy powiedziałeś dyrektorowi szkoły albo lordowi Fenwick, że się do nas wybierasz? – spytał Giles, gdy Karin otwierała pudełko z herbatnikami.

– Nie, wymknąłem się z kaplicy podczas nabożeństwa – przyznał.

Karin postawiła na stole przed niespodziewanym gościem kubek gorącej czekolady i talerz maślanych herbatników.

– Czy zawiadomiłeś kogoś, choćby przyjaciela, że zamierzasz nas odwiedzić?

– Nie mam wielu przyjaciół – przyznał Freddie, pijąc czekoladę. Spojrzał na Gilesa i dodał: – Proszę, niech pan mi nie każe wracać.

Giles nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– Będziemy się o to martwić rano – rzekła Karin. – Wypij czekoladę, a potem zaprowadzę cię do sypialni dla gości, żebyś się trochę przespał.

– Dziękuję, lady Barrington – powiedział Freddie. Dopił swoją czekoladę. – Bardzo przepraszam. Nie chciałem państwu robić kłopotów.

– Nie zrobiłeś – rzekła Karin. – Ale teraz smaruj do łóżka.

Wzięła chłopca za rękę i wyprowadziła go z kuchni.

– Dobranoc, lordzie Barrington – powiedział Freddie o wiele weselszym tonem.

Giles nastawił czajnik i zdjął z półki czajniczek do herbaty. Czekając, aż woda się zagotuje, podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer informacji i poprosił o podanie numeru szkoły Freddiego w Szkocji. Zanotował numer, a potem sprawdził, czy ma w notesie domowy numer Archiego Fenwicka. Uznał, że rozsądnie będzie zadzwonić w jedno i drugie miejsce o siódmej rano. Czajnik zaczął gwizdać, kiedy zjawiła się Karin.

– Zasnął, biedak, ledwo dotknął głową poduszki.

Giles nalał jej herbaty.

– Byłaś taka spokojna i dodawałaś otuchy. Ja nie bardzo wiedziałem, co mówić i co robić.

– Skąd mógłbyś wiedzieć? – rzekła Karin. – Nigdy ci się nie zdarzyło, żeby ktoś pukał do drzwi w środku nocy.

Kiedy baronessa Clifton z Chew Magna wstała, żeby wygłosić mowę inauguracyjną, w wypełnionej po brzegi Izbie Lordów zapadła cisza. Spojrzała do góry na galerię dla gości honorowych, gdzie ujrzała uśmiechających się do niej Harry'ego, Sebastiana, Samanthę i Grace – ale brakowało Jessiki. Emma była ciekawa, gdzie ona jest. Potem zwróciła uwagę na przednią ławę opozycji, gdzie siedział, ze skrzyżowanymi rękami, przewodniczący Izby Gabinetu Cieni. Mrugnął do niej.

– Milordowie – zaczęła drżącym głosem. – Musicie być zaskoczeni, widząc świeżo upieczoną minister, stojącą na mównicy i zwracającą się do was. Ale mogę was zapewnić, że nikt nie jest bardziej zaskoczony niż ja.

Po obu stronach Izby rozległ się śmiech, co pomogło Emmie się odprężyć.

– Lord Harvey z Gloucester siedział w tych ławach jakieś pięćdziesiąt lat temu, a lord Barrington z Bristol Docklands siedzi po drugiej stronie Izby jako przywódca opozycji. Przed sobą widzicie ich niedoskonałą wnuczkę i siostrę.

Pani premier zawdzięczam tę możliwość kontynuacji pracy w służbie zdrowia, tym razem nie jako członkini zarządu wspaniałego szpitala, jego wiceprezeska, a nawet prezeska, ale jako jedna z wiceministrów tego rządu. I pragnę, aby członkowie tej Izby nie wątpili, że zamierzam pełnić obecne obowiązki z taką

samą dokładnością i dyscypliną, jakiej usiłowałam przestrzegać w każdej sytuacji, zarówno na urzędzie publicznym, jak w życiu prywatnym.

Państwowa służba zdrowia, milordowie, znajduje się na rozdrożu, chociaż ja dokładnie wiem, w jakim kierunku chcę zmierzać. We mnie znajdziecie oddaną obrończynię chirurga, doktora, pielęgniarki i co najważniejsze – pacjenta. I gdy rozglądam się po tej Izbie, widzę tu kilka osób, które mogą potrzebować usług państwowej służby zdrowia w niezbyt odległej przyszłości.

Emma uważała to zdanie, dodane przez brata, za trochę ryzykowne, ale Giles zapewnił ją, że ich lordowskie moście, inaczej niż królowa Wiktoria, będą rozbawieni. Miał rację. Wybuchnęli śmiechem, a ona posłała z mównicy uśmiech przywódcy opozycji.

– I w tym celu, milordowie, będę nadal walczyć z arogancką biurokracją, lękiem przed innowacjami i zbyt wysoko opłacanymi i ocenianymi specjalnymi doradcami, którzy nigdy nie trzymali w ręku skalpela ani nie opróżnili basenu.

Izba zawyła z aprobatą.

– Ale co równie ważne – powiedziała Emma, zniżając głos – nigdy nie zapomnę mądrych słów mojego dziadka, lorda Harveya, gdy jako dziecko miałam czelność go spytać: „Po co jest Izba Lordów?”. „Żeby służyć – odparł – i trzymać tych łobuzów z Izby Gmin w szachu”.

To stwierdzenie wywołało owację z obu stron Izby.

– Więc pozwolę sobie zapewnić wasze lordowskie moście – zakończyła Emma – że to zawsze będzie moją mantrą, kiedy będę

podejmować decyzję w imieniu rządu, któremu służę. I na koniec, czy mogę podziękować Izbie za uprzejmość i pobłażliwość okazaną kobiecie do głębi świadomej, że nie jest godna stać na tej samej mównicy, co jej dziadek i brat.

Emma usiadła wśród przedłużających się wiwatów i wymachiwania programami obrad, a ci członkowie, którzy zastanawiali się, dlaczego tę kobietę wyniesiono na to stanowisko, nie mieli już wątpliwości, że Margaret Thatcher podjęła słuszną decyzję. Gdy zapanowała cisza, lord Barrington wstał ze swego miejsca w przedniej ławie opozycji i spojrzał dobrotliwie na siostrę, a potem zaczął zaimprowizowaną mowę. Emma się zastanawiała, czy będzie kiedyś do tego zdolna.

– Milordowie, mam nadzieję, że Izba będzie pobłażliwa, jeżeli dziś okażę braterską dumę. Kiedy z panią minister sprzeczaliśmy się jako dzieci, ja zawsze zwyciężałem, bo byłem większy i silniejszy. Jednak nasza matka powiedziała, że gdy oboje dorośniemy, to odkryję, że wygrałem walkę, ale nie spór.

Opozycja wybuchnęła śmiechem, a siedzący w ławach rządowych zawołali: „Racja, racja!”.

– Ale pozwolę sobie ostrzec moją szlachetną krewną – ciągnął Giles, tym razem poważnym tonem – że jej moment triumfu może być krótkotrwały, bo kiedy rząd przedstawi swój nowy projekt ustawy o służbie zdrowia, nie będzie mogła się spodziewać takiej samej pobłażliwości z tej strony Izby. Przeanalizujemy każde zdanie, każdą klauzulę projektu i nie muszę przypominać szlachetnej baronessie, że to Partia Pracy, gdy jej przywódcą był Clement Attlee, powołała państwową służbę zdrowia, a nie ta

nadęta zgraja torysów, którzy chwilowo siedzą w ławach rządowych.

Opozycja wzniosła wiwaty na cześć swojego przywódcy.

– Więc z przyjemnością gratuluję mojej szlachetnej krewnej niezwykłej mowy inauguracyjnej, ale radzę jej cieszyć się chwilą, bo kiedy następnym razem wróci do mównicy, ta strona Izby będzie na nią czekać, i zapewniam szlachetną baronessę, że nie będzie mogła dłużej liczyć na moją braterską pomoc. Przy tej sposobności będzie musiała wygrać zarówno walkę, jak i spór.

Siedzący w ławach opozycji mieli takie miny, jakby się nie mogli doczekać konfrontacji.

Emma się uśmiechnęła i pomyślała, ilu też ludzi w Izbie by uwierzyło, że duża część jej mowy została przygotowana przez tego samego szlachetnego lorda, który teraz wskazywał ją palcem. Nawet wysłuchał, jak ją wygłaszała poprzedniego wieczoru w kuchni na Smith Square. Żałowała tylko, że ich matka nie może siedzieć na galerii dla gości i patrzeć, jak znowu się sprzeczają.

Pan Sutcliffe, dyrektor szkoły w Grangemouth, był wdzięczny, że lady Barrington odwiozła Freddiego do Szkocji, i kiedy chłopiec z niechęcią wrócił do internatu, Sutcliffe spytał, czy może z nią zamienić kilka słów na osobności. Karin chętnie się zgodziła, bo obiecała Gilesowi, że spróbuje się dowiedzieć, jaki był powód ucieczki Freddiego.

Kiedy usiedli w gabinecie dyrektora, Sutcliffe nie tracił czasu, lecz od razu poruszył temat, który interesował ich oboje.

– Jestem raczej zadowolony, że nie ma tu pani męża, lady Barrington – zaczął – bo dzięki temu mogę być bardziej szczery co do Freddiego. Obawiam się, że chłopiec nigdy naprawdę się nie

zaadaptował od dnia, kiedy przybył, i boję się, że to wina jego matki.

– Jeżeli mówi pan o lady Virginii – powiedziała Karin – to jestem pewna, że pan wie, że nie jest jego matką.

– Tak też przypuszczałem – rzekł dyrektor – co tłumaczy, dlaczego ani razu nie odwiedziła Freddiego, od kiedy tu jest.

– I nigdy tego nie zrobi – zauważyła Karin – bo to nie służy jej celowi.

– I chociaż lord Fenwick robi wszystko, co w jego mocy, żeby pomóc – ciągnął Sutcliffe – to nie jest ojcem chłopca i obawiam się, że sytuacja się pogorszyła, gdy Freddie pierwszy raz spotkał pani męża.

– A ja myślałam, że to było udane spotkanie.

– Tak samo uważał Freddie. Przez kilka dni o niczym innym nie mówił. W gruncie rzeczy, kiedy wrócił na rozpoczęcie trymestru, był innym dzieckiem. Nie dręczył się już tym, że inne dzieci ciągle wytykały mu matkę, bo teraz zainspirował go mężczyzna, w którym chciałby widzieć ojca. Od tego dnia wertował gazety, szukając wzmianek o lordzie Barringtonie. Kiedy pani mąż zatelefonował z informacją, że Freddie jest u niego w Londynie, wcale nie byłem zdziwiony.

– Ale czy pan wie o tym, że Giles napisał do Freddiego, życząc mu sukcesu w meczu krykietowym Zamek kontra Wioska i prosząc, żeby dał mu znać, jak wypadł, ale nie dostał odpowiedzi.

– On cały czas nosi ten list przy sobie – odparł dyrektor szkoły – ale niestety trafił mu się kiks i jego drużyna dostała solidne lanie, co może tłumaczyć, dlaczego nie odpisał.

– Jaka szkoda – rzekła Karin. – Mogę pana zapewnić, że Giles o wiele częściej zalicza kiksy, niż zdobywa sto punktów na boisku i poza nim.

– Ale chłopiec nie może tego wiedzieć, a poza pani mężem jedyną osobą, do której mógłby się zwrócić o pomoc, jest lady Virginia. No i proszę, do czego go to doprowadziło.

– Czy mogę jakoś pomóc, bo bardzo chętnie to zrobię?

– Tak, lady Barrington. – Zamilkł. – Wiem, że od czasu do czasu wybieracie się państwo do Szkocji, i zastanawiam się, czy zechcielibyście zabrać Freddiego na wolny weekend.

– Dlaczego tylko weekend? Jeżeli Archie Fenwick się zgodzi, to Freddie może też spędzić z nami letnie wakacje w Mulgelrie.

– Muszę przyznać, że taki był pomysł lorda Fenwick. Opowiedział mi o przypadkowym spotkaniu z pani mężem.

– Ciekawe, czy było przypadkowe?

Dyrektor nie skomentował, tylko dodał:

– Jak pani myśli, jak lord Barrington zareaguje na moją prośbę?

– Zdradzę panu mały sekret – rzekła Karin. – On już wybrał boisko do krykieta.

– Więc może pani powiedzieć mężowi, że Freddie prawdopodobnie zostanie najmłodszym w naszych dziejach zawodnikiem pierwszej szkolnej jedenastki.

– Giles będzie zachwycony. Ale czy mogę mieć skromną prośbę, panie dyrektorze?

– Ależ tak, lady Barrington.

– Czy przed moim powrotem do Londynu pozwoli mi pan powiedzieć Freddiemu, co postanowiliśmy?

10

Kiedy James Callaghan na dorocznej konferencji w Blackpool wygłosił swoje ostatnie przemówienie jako przywódca Partii Pracy, Giles dobrze wiedział, że jeżeli poprze niewłaściwego kandydata na następcę, to unicestwi własną karierę polityczną.

Gdy czterech byłych ministrów rządowych – posłów Izby Gmin wysunęło swoje kandydatury, Giles nie miał wątpliwości, że tylko dwaj naprawdę się liczą. W prawym narożniku stanął Denis Healey, który piastował stanowisko ministra skarbu za rządów Callaghana i Harolda Wilsona i podobnie jak Giles został odznaczony w drugiej wojnie światowej. W lewym narożniku stał Michael Foot, zapewne najznakomitszy mówca w Izbie Gmin od śmierci Winstona Churchilla. Chociaż jego ministerialna kariera nie dorównywała karierze Healeya, to cieszył się poparciem najpotężniejszych związków zawodowych, reprezentowanych w Izbie przez dziewięćdziesięciu jeden płacących składki członków.

Giles usiłował odpędzić myśl, że gdyby dziesięć lat temu zdecydował się kandydować w wyborach uzupełniających w Bristol Docklands, a nie przyjął propozycji Harolda Wilsona,

który zaofiarował mu stanowisko w Izbie Wyższej, to też mógłby być poważnym kandydatem na przywódcę partii. Jednak uznawał, że wybór właściwego momentu w polityce jest decydujący i że przynajmniej kilkunastu jego rówieśników również mogłoby wystąpić z wiarygodnym scenariuszem, zgodnie z którym zostaliby przywódcami partii i wkrótce potem trafiliby na Downing Street Numer Dziesięć.

Giles uważał, że jest tylko jeden kandydat, który może zdołałby zwyciężyć panią Thatcher w następnych wyborach powszechnych, i miał nadzieję, że większość jego kolegów w Izbie Niższej też na to wpadła. Pełniąc stanowiska w rządzie i opozycji przez ponad trzydzieści lat, wiedział, że w polityce można coś osiągnąć, tylko jeśli się siedzi w ławach rządowych, a nie spędza bezowocne lata w opozycji, odnosząc jedynie sporadyczne, ciche zwycięstwo.

Decyzja o tym, kto powinien przewodzić partii, zostanie podjęta przez 269 jej członków zasiadających w Izbie Gmin. Nikt inny nie będzie mógł głosować. Kiedy zatem Callaghan ogłosił, że ustępuje, Giles rzadko opuszczał korytarze władzy przed zgaszeniem świateł każdego wieczoru po ostatnim głosowaniu. W ciągu dnia przez niezliczone godziny wędrował po tych korytarzach, wychwalając zalety swojego kandydata, a wieczorami przesiadywał w Barze u Anny, kupując duże piwa i usiłując przekonać wahających się kolegów w Izbie Gmin, że konserwatyści się modlą, aby laburzyści wybrali Michaela Foota, a nie Denisa Healeya.

Modły torysów zostały wysłuchane, gdy w drugiej turze głosowania Foot zwyciężył Healeya stosunkiem 139 do 129 głosów. Niektórzy koledzy Gilesa w Izbie Gmin otwarcie przyznali, że

chętnie przetrwają jakiś okres w opozycji, jeśli tylko nowy przywódca będzie podzielał ich lewicową ideologię.

Następnego dnia Emma powiedziała Gilesowi przy śniadaniu, że kiedy Margaret Thatcher usłyszała tę wiadomość, otworzyła butelkę szampana i wzniosła toast za 139 laburzystów, którzy zagwarantowali, że zostanie pod Numerem Dziesięć na Downing Street w dającej się przewidzieć przyszłości.

W obu partiach od dawna kultywuje się tradycję, że jeśli zostaje wybrany nowy przywódca, to każdy urzędujący deputowany z przedniej ławy natychmiast składa rezygnację, a potem czeka na zaproszenie do nowej drużyny. Gdy Giles napisał list z rezygnacją, nie tracił czasu, żeby czekać na wiadomość, którego ministra będzie „cieniem", bo wiedział, że telefon nigdy nie zadzwoni. W następny poniedziałek otrzymał krótki, ręcznie napisany liścik od nowego przywódcy z podziękowaniem za długoletnią służbę partii.

Następnego dnia Giles wyprowadził się z biura przywódcy opozycji w Izbie Lordów na pierwszym piętrze, aby zrobić miejsce swojemu nowo namaszczonemu następcy. Gdy siedział samotnie w jeszcze mniejszym, pozbawionym okien pokoju gdzieś w suterenie, usiłował pogodzić się z faktem, że jego kariera posła z przedniej ławy dobiegła końca i może się spodziewać tylko lat w politycznym niebycie gdzieś w tylnych ławach. Tego wieczoru przy kolacji przypomniał Karin, że zaledwie dziesięć głosów przypieczętowało jego los.

– Pięć, jeśli się zastanowić – powiedziała.

SEBASTIAN CLIFTON
1981

11

– Przepraszam.

– Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia? – Jessica rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Sebastian objął córkę ramieniem.

– Obiecuję, że wrócę na czas, żeby zabrać ciebie i matkę na uroczystą kolację.

– Pamiętam, kiedy ostatni raz to obiecałeś, a potem odleciałeś do innego kraju. Wtedy przynajmniej po to, żeby pomóc niewinnemu człowiekowi, a nie jak teraz oszustowi.

– Desmond Mellor może przyjmować odwiedzających tylko w sobotnie popołudnie między drugą a trzecią, więc nie miałem dużego wyboru.

– Mogłeś mu powiedzieć: spływaj.

– Obiecuję, że będę z powrotem o piątej. Najpóźniej o szóstej. A ponieważ to twoje urodziny, możesz wybrać restaurację.

– A tymczasem powinnam zajmować się Jakiem, a jak mama wróci, wytłumaczyć jej, dlaczego cię nie ma. Mogę sobie wyobrazić bardziej ekscytujące sposoby spędzenia urodzin.

– Wynagrodzę ci to – powiedział Seb. – Obiecuję.

– Tylko nie zapominaj, tato, że to oszust.

Kiedy Sebastian przebijał się przez zakorkowane przedpołudniem ulice, żeby wyjechać z Londynu, nie mógł odpędzić myśli, że córka ma rację. Nie dość, że prawdopodobnie będzie to daremna podróż, ale przede wszystkim nie powinien mieć nic wspólnego z tym człowiekiem.

Powinien był zabrać Jessicę na lunch w Ponte Vecchio, żeby uczcić jej szesnaste urodziny, a nie zmierzać do więzienia w Kent, aby odwiedzić człowieka, którym gardzi. Wiedział jednak, że jeśli się nie dowie, dlaczego Desmond Mellor chce się z nim tak pilnie zobaczyć, to wciąż będzie go dręczyć ciekawość. Tylko jedno było pewne: Jessica zażąda szczegółowej relacji, dlaczego ten przeklęty facet chciał go widzieć.

Do miejsca przeznaczenia było jeszcze kilkanaście kilometrów, kiedy Seb spostrzegł pierwsze drogowskazy do Ford Open. Pomijano słowo „więzienie", żeby nie urazić miejscowych. Przy szlabanie z małej budki wyszedł strażnik i zapytał Seba o nazwisko. Kiedy słowo „Clifton" odfajkowano w nieodłącznym notatniku, szlaban się uniósł i Seba skierowano na spłacheć gołej ziemi, który w soboty służył jako parking.

Seb zaparkował samochód i skierował się do recepcji, gdzie inny funkcjonariusz więzienny spytał go o nazwisko. Ale teraz poproszono go również o okazanie dowodu tożsamości. Wyciągnął prawo jazdy – następny haczyk w kolejnym notatniku – i został poinstruowany, żeby umieścić wszystkie wartościowe rzeczy, w tym portfel, zegarek, obrączkę i drobne monety, w schowku. Dyżurny strażnik stanowczo mu przykazał, żeby w żadnym wypadku nie zabierał pieniędzy na teren spotkań. Wskazał

ogłoszenie na ścianie, ostrzegające odwiedzających, że każdy przyłapany na posiadaniu gotówki w więzieniu zostanie skazany na sześć miesięcy odsiadki.

– Proszę wybaczyć, że pytam – powiedział strażnik – ale czy odwiedza pan więzienie pierwszy raz?

– Nie – odparł Seb.

– To wie pan o kuponach, na wypadek gdyby pana przyjaciel chciał filiżankę herbaty albo kanapkę.

To nie jest mój przyjaciel, chciał powiedzieć Seb, wręczając jednofuntowy banknot za dziesięć kuponów.

– Przy powrocie oddamy panu resztę.

Seb podziękował, zamknął schowek i wsadził do kieszeni klucz i kupony. Kiedy wszedł do poczekalni, inny strażnik podał mu mały krążek z wyrytym numerem 18.

– Proszę czekać, aż zostanie wywołany ten numer – powiedział.

Seb siedział na plastikowym krześle w pokoju pełnym ludzi, którzy robili wrażenie, jakby to były ich codzienne zajęcia. Rozejrzał się wokół i zobaczył żony, narzeczone, rodziców, nawet małe dzieci, które miały kącik zabaw; wszyscy obecni nie mieli ze sobą nic wspólnego poza tym, że ich krewny, przyjaciel lub kochanek siedział za kratami. Seb podejrzewał, że jest jedyną osobą, która odwiedza kogoś, kogo nawet nie lubi.

– Numery jeden do pięć – oznajmił głośnik.

Kilku stałych odwiedzających poderwało się i prędko wyszło z pokoju, najwyraźniej nie chcąc zmarnować ani jednej minuty z przydzielonej godziny. Jeden z nich zostawił „Daily Mail” i Seb przerzucił gazetę dla zabicia czasu. Niezliczone fotografie księcia Karola i lady Diany Spencer, gawędzących na

garden party w Norfolk; Diana wyglądała na nadzwyczaj zadowoloną, natomiast książę miał taką minę, jakby otwierał elektrownię.

– Numery sześć do dziesięć – zachrypiał głośnik i kolejna grupa szybko opuściła poczekalnię.

Seb odwrócił stronę gazety. Margaret Thatcher obiecywała wprowadzenie ustaw, które miały się uporać z dzikimi strajkami. Michael Foot nazwał te środki drakońskimi i określił jej politykę jako pracę dla swojaków, a nie dla szaraków.

– Numery jedenaście do piętnaście.

Seb spojrzał na zegar: dwanaście po drugiej. W takim tempie to będzie miał szczęście, jeżeli pobędzie z Mellorem dłużej niż czterdzieści minut, chociaż podejrzewał, że facet dobrze się przygotował i nie zmarnuje czasu. Spojrzał na ostatnią stronę gazety i zobaczył tam stare zdjęcie Muhammada Alego, który wskazywał palcem reporterów i mówił: „Jego pięść nie trafi w to, czego oko nie zobaczy". Seb był ciekaw, kto jest autorem tych błyskotliwych słów – może sam były mistrz?

– Numery szesnaście do dwadzieścia.

Seb wolno się podniósł i dołączył do grupy kilkunastu odwiedzających, którzy już biegli za strażnikiem podążającym do wnętrza więzienia. Zostali zatrzymani i przeszukani, zanim pozwolono im wejść do sali widzeń.

Sebastian wkroczył do wielkiego, kwadratowego pomieszczenia wypełnionego mnóstwem stolików, przy czym każdy okalały cztery krzesła, jedno czerwone i trzy niebieskie. Rozejrzał się wokół, ale nie zauważył Mellora, dopóki ten nie uniósł ręki. Tak

bardzo przytył, że Seb z trudem go poznał. Jeszcze zanim usiadł, Mellor wskazał na kantynę po drugiej stronie sali i powiedział:

– Czy może mi pan przynieść filiżankę herbaty i batonik Kit-Kat.

Seb stanął w niewielkiej kolejce do lady, gdzie podał większość kuponów za dwie filiżanki herbaty i dwa batoniki. Kiedy wrócił do stolika, postawił jedną filiżankę i obydwa czekoladowe batoniki przed starym przeciwnikiem.

– A zatem, dlaczego chciał pan się ze mną widzieć? – spytał Seb, nie bawiąc się w drobne uprzejmości.

– To długa historia, ale nie spodziewam się, że pana zaskoczy. – Mellor pociągnął łyk herbaty, usunął opakowanie z batonika i mówił: – Kiedy policja odkryła, że Sloane i ja doprowadziliśmy do aresztowania pańskiego przyjaciela Hakima Bishary, Sloane wystąpił jako świadek koronny i wrobił mnie. Zostałem skazany na dwa lata za próbę wpłynięcia na wymiar sprawiedliwości, a on wymigał się od kary. Nie dość tego, kiedy już byłem w kiciu, on przejął kontrolę nad Mellor Travel. Dowodził, że jest jedynym człowiekiem, który może ocalić firmę, kiedy jej prezes siedzi w więzieniu, i zamydlił udziałowcom oczy.

– Ale jako udziałowiec większościowy powinien pan wciąż sprawować całkowitą kontrolę.

– Nie w przypadku spółki publicznej, jak mógł się pan przekonać, kiedy przymknięto Bisharę. Nawet nie przysyłają mi protokołów z posiedzeń rady nadzorczej. Ale Sloane nie zdaje sobie sprawy, że mam tam kogoś, dzięki komu jestem dobrze poinformowany.

– Jima Knowlesa?

– Nie. Ten drań opuścił mnie w chwili, gdy mnie aresztowano, i nawet zaproponował Sloane'a na prezesa. W zamian Knowles został jego zastępcą za wygórowaną pensję.

– Milutki układzik – rzekł Seb. – Musiał pan jednak zasięgnąć rady prawników.

– I to najlepszych. Ale tamci są ostrożni i uważają, żeby nie naruszyć prawa, więc nie mogę na to wiele poradzić. Pan za to może.

Seb popijał herbatę, a Mellor rozerwał opakowanie następnego batonika.

– Co ma pan na myśli? – spytał Seb.

– Jak pan zauważył, panie Clifton, ja nadal jestem większościowym udziałowcem firmy Mellor Travel, ale podejrzewam, że do czasu, gdy wyjdę na wolność, te akcje będą miały wartość papieru, na którym zostały wydrukowane. Jednak gdybym je sprzedał panu za jednego funta...

– Gdzie jest haczyk?

– Nie ma żadnego haczyka, chociaż w przeszłości były między nami nieporozumienia. Moim jedynym celem jest zemsta – chcę, żeby Adrian Sloane i Jim Knowles zostali usunięci z rady nadzorczej i żeby firma była prowadzona jak należy, a nie wyobrażam sobie nikogo, kto by lepiej niż pan nadawał się do tego zadania.

– A czego by pan oczekiwał w zamian? – Seb zawiesił głos i patrząc Mellorowi w oczy, dodał: – Kiedy wyjdzie pan z więzienia.

Zadzwonił dzwonek uprzedzający, że zostało im dziesięć minut.

– Może to nie będzie tak prędko – rzekł Mellor, przełamując na pół paluszek czekoladowy. – Mam następne zarzuty, o czym pan nawet nie wie.

Seb nie naciskał. Czas uciekał, a on miał więcej pytań, na które musiał usłyszeć odpowiedź, aby rozważyć propozycję Mellora.

– Ale w końcu pan wyjdzie.

– I wtedy będę oczekiwał, że otrzymam z powrotem moje pięćdziesiąt jeden procent udziałów Mellor Travel, również za jednego funta.

– Więc co z tego będzie miał Farthings?

– Tym razem może pan mianować prezesa, wyznaczyć radę nadzorczą i kierować spółką. Farthings może też pobierać sowite wynagrodzenie awansem za swoje usługi, jednocześnie inkasując dwadzieścia procent rocznych zysków Mellor Travel, co, jak myślę, uzna pan za więcej niż uczciwą ofertę. Będzie też pan miał dodatkową przyjemność usunięcia drugi raz Adriana Sloane'a ze stanowiska prezesa. W zamian poproszę tylko o kopię protokołu każdego posiedzenia rady nadzorczej i o spotkanie z panem raz na kwartał.

Dzwonek zadzwonił drugi raz. Pięć minut.

– Przemyślę to i kiedy podejmę decyzję, zatelefonuję do pana.

– Nie może pan do mnie zatelefonować, panie Clifton. Więźniowie nie mogą odbierać telefonów. Zadzwonię do pana do banku w piątek o dziesiątej rano, co powinno panu dać aż nadto czasu na podjęcie decyzji.

Dzwonek zadzwonił trzeci raz.

Jessica spojrzała na zegarek, kiedy ojciec wszedł do holu i powiesił płaszcz.

– Ledwo zdążyłeś – powiedziała, niechętnie całując go w policzek.

Sebastian się uśmiechnął.

– Więc gdzie chcesz pójść na kolację, młoda damo?

– Do Baru u Harry'ego.

– W Londynie czy w Wenecji? – zapytał, kiedy przeszli do salonu.

– Tym razem w Londynie.

– Nie sądzę, żeby mi się udało tak nagle zarezerwować stolik.

– Już to zrobiłam.

– Jakżeby nie. Jeszcze o czymś powinienem wiedzieć? – zapytał, nalewając sobie mocnej whisky.

– Nie chodzi o to, co powinieneś wiedzieć – skarciła go Jessica – ale o to, o czym zapomniałeś.

– Nie, nie zapomniałem. – I niczym magik, Seb wyczarował podarunek z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Czy to jest to, o czym myślę? – spytała Jessica, pierwszy raz się uśmiechając.

– Hm, z pewnością to jest to, o czym napomykałaś przez kilka ostatnich tygodni.

Jessica zarzuciła ojcu ręce na szyję.

– Dziękuję, tato – powiedziała, rozrywając opakowanie i otwierając małe, płaskie pudełeczko.

– Czy przywróciłaś mnie do łask? – spytał Seb, kiedy Jessica założyła na przegub zegarek Warhol Swatch.

– Tylko jeżeli pamiętałeś o prezencie dla mamy.

– Ale to nie są jej urodziny – powiedział Seb. – Dopiero za przynajmniej dwa miesiące.

– Wiem o tym, tato, ale jutro jest rocznica waszego ślubu – przypominam, na wypadek gdybyś zapomniał.

– Ratunku! Tak, zapomniałem.

– Na szczęście ja pamiętałam – powiedziała Jessica, pokazując leżące na stole pięknie zapakowane pudełko z przymocowaną kartką.

– Co jest w środku?

– Buty od Rayne'a. Mama zauważyła je na King's Road w zeszłym tygodniu, ale uznała, że są zbyt drogie. Musisz tylko napisać coś na kartce.

Usłyszeli, jak otwierają się frontowe drzwi, i Seb szybko napisał: „Niezapomniany rok. Kocham. Seb".

– Jak zdołałaś za nie zapłacić? – szepnął, włożywszy pióro z powrotem do kieszeni.

– Oczywiście twoją kartą kredytową.

– Boże, ratuj twojego męża – powiedział Seb, kiedy weszła Samantha.

– Zobacz, co tata dał mi na urodziny! – oznajmiła Jessica, wyciągając rękę.

– Jaki uroczy prezent – rzekła Samantha, podziwiając zegarek z Zupą Campbella.

– Mam też coś dla ciebie, kochanie – powiedział Seb, sięgnąwszy po pudełko ze stołu z nadzieją, że atrament wysechł. – Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy – dodał, biorąc Samanthę w objęcia.

Samantha wyjrzała zza ramienia Seba i mrugnęła do córki.

Arnold Hardcastle po raz trzeci w tym tygodniu odwiedził Hakima i Sebastiana w biurze prezesa.

– Czy miałeś dość czasu, żeby się zastanowić nad propozycją Mellora? – spytał Hakim, kiedy doradca prawny banku usiadł naprzeciwko.

– Z całą pewnością – powiedział Arnold – i bez wątpienia to jest uczciwa oferta, ale muszę spytać, dlaczego Mellor akurat tobie przekazuje tę spółkę.

– Ponieważ nienawidzi Adriana Sloane'a jeszcze bardziej niż my? – podsunął Seb. – Nie zapominaj, że to przez Sloane'a bank wymknął mu się z rąk.

– Są inne banki w City – zauważył Arnold.

– Ale w żadnym nie są tak dobrze zorientowani jak my, jak działa Sloane – odpowiedział Hakim. – Czy skontaktowałeś się z prawnikami Mellora, żeby się dowiedzieć, czy uważają, że ten interes jest realny?

– Wystarczająco realny – rzekł Arnold. – Chociaż ich starszy wspólnik przyznał, że tak samo łamie sobie nad tym głowę jak my. Myślę, że najlepiej to określił, kiedy zasugerował, że pewnie chodzi o to, że z dwojga złego lepsze to, które się zna.

– Kiedy Mellor może zostać zwolniony? – zapytał Seb.

– Nie tak prędko – rzekł Arnold – ponieważ ma kolejne zarzuty.

– Kolejne zarzuty? – spytał Hakim.

– Obracanie fałszywymi pieniędzmi. I jeszcze zarzut oszukańczej operacji.

– Nie wierzę, że Mellor mógłby zrobić coś tak głupiego, zwłaszcza kiedy już był w areszcie policyjnym.

– Jak człowiek jest zamknięty w celi więziennej cały dzień – odezwał się Arnold – to podejrzewam, że może być trochę

otumaniony, zwłaszcza że myśli tylko o tym, jak się zemścić na człowieku, który go tam wpakował.

– Muszę przyznać – powiedział Hakim – że gdybyście wy dwaj nie czuwali nade mną, kiedy byłem w więzieniu, to Bóg wie, do czego mógłbym się posunąć.

– Ja wciąż nie jestem przekonany – rzekł Seb. – To wydaje się za łatwe. Nie zapominajcie, że gdyby Mellor połknął gwóźdź, wydaliłby korkociąg.

– Więc może powinniśmy odstąpić od tego interesu – podsunął Arnold.

– I pozwolić Sloane'owi na wykorzystanie stanowiska i bogacenie się z minuty na minutę? – przypomniał Seb.

– Słuszna uwaga – rzekł Hakim. – I chociaż nigdy nie miałem się za człowieka mściwego, to wcale bym się nie martwił, gdyby Sloane został ostatecznie unieszkodliwiony. Ale może Seb i ja bierzemy to zbyt osobiście i powinniśmy po prostu oceniać tę transakcję pod względem merytorycznym. Co myślisz, Arnoldzie?

– Bez wątpienia w normalnych okolicznościach byłby to korzystny układ dla banku, ale po waszych doświadczeniach z Mellorem może rozsądnie byłoby poinformować Komisję Etyki Banku Anglii, że zastanawiamy się, czy wchodzić w interesy z kimś, kto siedzi w więzieniu. Jeżeli nie będą mieli zastrzeżeń, to dlaczego się nie zgodzić?

– To z pewnością jest superbezpieczne rozwiązanie – podsumował Hakim. – Zrób tak, Arnoldzie, i daj mi znać, jak tylko ich wysondujesz.

– I nie muszę wam przypominać – odezwał się Seb – że Mellor będzie do mnie telefonował o dziesiątej rano w piątek.

– Upewnij się, że nie dzwoni na twój koszt – rzekł Hakim.

Siedzieli na skraju baru, żeby nikt nie słyszał, co mówią.

– Jak o tym pomyśleć – powiedział Knowles – to zadziwiające, że wylądowałeś na stanowisku prezesa przedsiębiorstwa podróżniczego. Nigdy nie zauważyłem, żebyś wyjeżdżał na wakacje.

– Nie przepadam za cudzoziemcami – rzekł Sloane. – Nie można im ufać. – Barman nalał mu do kieliszka ginu. – A zresztą nie umiem pływać, a wylegiwanie się na plaży i opalanie na brąz mnie nie bawi. Wolę zostać w Anglii i polować przez kilka dni albo wędrować samotnie po wzgórzach. Wiesz, nie sądzę, żebym dużo dłużej tkwił w biznesie podróżniczym.

– Czy to jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Dostałem jedną czy dwie oferty na Mellor Travel, dzięki czemu obydwaj moglibyśmy przejść na emeryturę.

– Ale Mellor wciąż posiada pięćdziesiąt jeden procent udziałów spółki, więc zostałby głównym beneficjentem.

– Ja nie zamierzam sprzedawać firmy – rzekł Sloane – tylko jej aktywa. Wysysanie aktywów to nowa gra w City i jak Mellor się kapnie, co kombinujemy, nie będzie już spółki, której mógłby prezesować, tylko wydmuszka.

– Ale kiedy wyjdzie z więzienia...

– Ja na długo przedtem zniknę bez śladu i zamieszkam tam, gdzie nie ma układu o ekstradycji z Wielką Brytanią.

– A co ze mną? Mam płacić za wszystkie winy?

– Nie, nie – odejdziesz w proteście z rady nadzorczej. Ale dopiero wtedy, gdy na twoim szwajcarskim rachunku zostanie zdeponowana odpowiednio duża suma.

– Ile czasu będziesz potrzebował na zawarcie tej transakcji?

– Nie ma pośpiechu. Nieobecny prezes nigdzie się nie wybiera w przewidywalnej przyszłości, a tymczasem nasz plan emerytalny powinien być gotów.

– Mówi się, że Thomas Cook and Co. są zainteresowani przejęciem spółki.

– Nic z tego, póki jestem prezesem – rzekł Sloane.

– Na jedynce jest jakiś pan Mellor – powiedziała Rachel, wiedząc, że przeszkadza Sebowi w porannym spotkaniu z dyrektorem działu walutowego banku.

Seb spojrzał na zegarek. Dziesiąta.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym odebrał telefon? – spytał, położywszy dłoń na mikrofonie słuchawki.

– Nie krępuj się – odparł Victor Kaufman, dobrze wiedząc, kto dzwoni.

– Połącz go, Rachel. Dzień dobry, panie Mellor, tu Sebastian Clifton.

– Czy podjął pan decyzję, panie Clifton?

– Tak, podjąłem i mogę pana zapewnić, że Farthings potraktował pana ofertę bardzo poważnie. Jednakże, po dłuższym rozważeniu, rada nadzorcza uznała, że bank nie chce się angażować w tego rodzaju interesy i z tego powodu...

Połączenie zostało przerwane.

12

Desmond Mellor leżał godzinami na cienkim materacu z końskiego włosia, z głową opartą na poduszce twardej jak kamień. Patrzył w sufit i usiłował wymyślić, co ma zrobić, skoro Clifton odrzucił jego propozycję. Myśl o tym, że Adrian Sloane go okrada i jednocześnie niszczy jego firmę, doprowadzała go do szału.

Otworzyły się drzwi celi i chociaż dzieliło go od Mellora tylko parę kroków, strażnik wrzasnął:

– Spacerniak!

Każdego popołudnia o tej porze więźniów wypuszczano z cel na godzinę i pozwalano im spacerować dokoła dziedzińca, wykonywać ćwiczenia fizyczne i spotykać się z kumplami, żeby przed wyjściem z więzienia mogli zaplanować następne przestępstwo.

Mellor zwykle szukał towarzystwa osób wcześniej niekaranych, niemających zamiaru powrócić do życia przestępczego. Rozbawiło go, kiedy podczas okrążania spacerniaka wpadł na pierwszego w życiu absolwenta Eton (marihuana) i magistra Oksfordu (oszustwo). Ale nie dziś. Już podjął decyzję, z kim musi zamienić słowo na osobności.

Mellor okrążył spacerniak dwa razy, zanim spostrzegł chodzącego samotnie kilka kroków przed nim Nasha. Ale przecież niewielu więźniów miało ochotę spędzić godzinną przerwę na ćwiczenia fizyczne w towarzystwie zawodowego mordercy, który prawdopodobnie przesiedzi resztę życia w więzieniu i chyba specjalnie się nie przejął, że tkwił kilka dni w izolatce za zaatakowanie kumpla z celi, który go zirytował. Ostatnią ofiarą Nasha był kuchcik, który nie nałożył mu kopiatej porcji frytek i skończył z przysmażoną ręką.

Podczas następnego okrążenia Mellor powtórzył sobie przygotowany tekst, po czym zrównał się z Nashem, chociaż proste powitanie: „Odwal się" omal go nie otrzeźwiło. Gdyby nie był tak zdesperowany, prędko by poszedł dalej.

– Potrzebuję rady.

– To weź sobie adwokata.

– Adwokat byłby nieprzydatny do mojego celu.

Nash przyjrzał mu się bliżej.

– Lepiej, żeby to nie była podpucha, bo jeśliś jest pieprzonym kapusiem, to spędzisz resztę wyroku w więziennym szpitalu. Czy jasno się wyrażam?

– Aż nadto – powiedział Mellor, który nagle zrozumiał, co znaczy określenie „twardziel", ale było za późno, żeby odejść. – Hipotetycznie mówiąc... – dodał.

– Co u kurwy nędzy?

– Ile bierze płatny zabójca?

– Jakeś szpicel policyjny – rzekł Nash – to utłukę cię za darmo.

– Jestem biznesmenem – powiedział Mellor. Chociaż serce waliło mu jak szalone, to już się nie bał. – Potrzebuję usługi

zawodowca.

Nash zwrócił się do niego twarzą.

– Zależy, jakiej usługi. Jak w każdym dobrze zarządzanym biznesie nasze ceny są konkurencyjne – dodał z bladym uśmiechem, odsłaniając trzy zęby, które mu pozostały. – Jeśli chcesz tylko komuś napędzić stracha, złamać rękę, nogę, to wybulisz patyka. Dwa patyki, jeżeli ktoś ma koneksje, i dużo więcej, jak ma ochronę.

– On nie ma żadnych ważnych koneksji ani ochrony.

– To ułatwia sprawę. A o co ci chodzi?

– Chcę, żebyś komuś przetrącił kark – powiedział cicho Mellor.

Nash pierwszy raz wyglądał na zainteresowanego.

– Ale to nigdy nie może być ze mną skojarzone.

– Za kogo mnie bierzesz, za jakiegoś pieprzonego amatora?

– Jeśli jesteś taki dobry, to jak tu trafiłeś? – powiedział Mellor, stawiając na szalę swoje życie.

Zawsze dręcz drania – uczył go staruszek i za chwilę się dowie, czy to była słuszna rada.

– Dobra, dobra – rzucił Nash. – Ale nie będzie tanio. Klawisze nigdy nie spuszczają mnie z pieprzonych oczu. Czytają moje listy, zanim je sam zobaczę, i podsłuchują moje telefony – warknął – chociaż ja wiem, jak to obejść. Mogę coś zorganizować tylko w czasie odwiedzin. Jestem cały czas pod obserwacją kamer, a teraz zatrudnili cholernego eksperta czytającego z ruchu warg.

– Chcesz powiedzieć, że to niemożliwe?

– Nie. Drogie. I nie wydarzy się jutro rano.

– A cena?

– Dziesięć patyków z góry, drugie dziesięć w dniu pogrzebu.

Mellor był zdziwiony, że życie człowieka jest warte tak mało, chociaż wolał nie myśleć o konsekwencjach, gdyby nie zdołał uiścić drugiej płatności.

– Ruszaj – powiedział kategorycznie Nash – bo klawisze zrobią się podejrzliwi. Jak przed wyjściem ze spacerniaka zawiążesz sznurówki, będę wiedział, żeś mówił poważnie. Inaczej nie zawracaj mi więcej głowy.

Mellor przyspieszył i zrównał się z kieszonkowcem, który mógł niezauważenie zdjąć człowiekowi z ręki zegarek. Showman w kiciu, fachura w życiu. Johnny Cwaniak mógł zarobić rocznie sto tysięcy bez podatku i rzadko kiedy wymierzano mu karę dłuższą niż sześć miesięcy.

Zabrzmiała syrena na znak, że pora wracać do cel. Mellor przykląkł na jedno kolano i poprawił sznurówkę.

Lady Virginii wizyty w Belmarsh, więzieniu o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa, nigdy nie sprawiały przyjemności. Było tu tak inaczej niż w więzieniu otwartym Ford, gdzie panowała o wiele swobodniejsza atmosfera i gdzie w sobotnie popołudnie piło się herbatę z ciasteczkami. Ale kiedy Mellora oskarżono o drugie, poważniejsze przestępstwo, został przeniesiony z Ogrodu Anglii do Piekielnych Błot, jak recydywiści zwali to więzienie.

Szczególną odrazą napełniało Virginię przeszukiwanie pod kątem narkotyków, przeprowadzane przez strażniczkę herod-babę w miejscach, o których nigdy by nie pomyślała, oraz oczekiwanie, kiedy okratowane wrota się zamkną i otworzą, żeby posunąć się o kilka kroków. Panował nieustanny hałas, jakby to był spęd zespołów rockowych. Kiedy ją w końcu wprowadzono do wielkiego,

białego, pozbawionego okien pomieszczenia, spojrzała do góry i zobaczyła strażników przyglądających się odwiedzającym z kolistego balkonu, podczas gdy kamery monitorujące cały czas były w ruchu. Ale co najgorsze, musiała otrzeć się nie tylko o klasę robotniczą, ale i o bractwo kryminalistów.

Jednak możliwość zarobienia dodatkowych pieniędzy z pewnością łagodziła upokorzenie, chociaż nawet Mellor nie będzie w stanie jej pomóc w najnowszych kłopotach.

Tego ranka Virginia dostała list, starannie sformułowany list, od starszego wspólnika Goodmana Derricka. Grzecznie, ale stanowczo żądał zwrotu w ciągu trzydziestu dni mniej więcej dwóch milionów funtów uzyskanych pod fałszywymi pozorami, w przeciwnym wypadku nie będzie miał wyboru i wystąpi w imieniu swojej klientki o nakaz sądowy.

Virginia nie miała dwóch tysięcy funtów, nie mówiąc o dwóch milionach. Natychmiast zadzwoniła do swojego adwokata i poprosiła go o umówienie z radcą królewskim sir Edwardem Makepeace'em z nadzieją, że on znajdzie rozwiązanie problemu. Nie była optymistką. Może nadszedł czas, żeby w końcu przyjąć zaproszenie dalekiego kuzyna na ranczo w Argentynie. Regularnie przypominał jej swoją propozycję podczas corocznych wizyt w Cowdray Park, gdzie pojawiał się w towarzystwie stada koni do gry w polo i paczki przystojnych młodych mężczyzn. I konie, i młodzi mężczyźni zmieniali się z każdą wizytą. Tylko jedno było gorsze od spędzenia kilku lat na ranczu w Argentynie – spędzenie kilku lat w takim miejscu jak to.

Virginia zaparkowała swojego morrisa minora między rolls-royce'em a austinem A-40 i skierowała się do recepcji.

Mellor siedział samotnie w sali widzeń. Uciekały cenne minuty, kiedy czekał na Virginię. Nigdy nie była punktualna, ale ponieważ nikt inny go nie odwiedzał, nie mógł się skarżyć.

Rozejrzał się wokół i jego wzrok spoczął na Nashu, który siedział naprzeciwko tlenionej blondynki z mocno uszminkowanymi na czerwono ustami, ubranej w białą koszulkę bez stanika pod spodem i w czarną skórzaną minispódniczkę. Jak bardzo Mellor musiał być zdesperowany, że miał na nią chętkę.

Przyglądał się im uważnie, tak jak strażnicy z balkonu. Wydawało się, że nie mówią do siebie, ale po chwili zdał sobie sprawę, że fakt, iż nie poruszają wargami, nie oznacza, że nie rozmawiają. Większość ludzi wzięłaby ich za parę małżeńską, ale skoro Nash był gejem, musiały ich łączyć wyłącznie interesy. Mellor wiedział, czyje interesy są przedmiotem ich rozmowy.

Podniósł głowę, kiedy przy jego stoliku pojawiła się Virginia z filiżanką herbaty i batonem czekoladowym. Przypomniał sobie, że Sebastian kupił mu dwa batony.

– Coś nowego w sprawie daty twojego procesu? – zagadnęła Virginia, siadając naprzeciw niego.

– Zawarłem układ – powiedział Mellor. – Zgodziłem się przyznać do winy w sprawie lżejszego zarzutu w zamian za krótszy wyrok – kolejne cztery lata, w sumie będzie sześć. Przy dobrym zachowaniu wyjdę za trzy lata.

– Nie tak długo – zauważyła Virginia, starając się o optymistyczny ton.

– Wystarczająco długo, żeby Sloane wycisnął z mojej firmy ostatniego pensa. Jak wyjdę, nie zostanie mi nic oprócz szyldu nad frontowymi drzwiami.

– Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Tak, i dlatego chciałem cię widzieć. Muszę mieć dziesięć tysięcy funtów, szybko. Testament mojej matki został ostatecznie potwierdzony i chociaż zostawiła mi wszystko, to miała tylko jedną rzecz o pewnej wartości, bliźniak w Salford. Miejscowy agent nieruchomości zdołał go sprzedać za dwanaście patyków i poleciłem mu wystawić czek na twoje nazwisko. Trzeba, żeby ktoś jak najszybciej go podjął.

– Wybiorę się do Salford we wtorek – rzekła Virginia, gdyż w poniedziałek rano miała jeszcze ważniejsze spotkanie. – Ale co mam zrobić z tymi pieniędzmi?

Mellor odczekał, aż kamera się od nich oddali, po czym powiedział:

– Chcę, żebyś przekazała dziesięć tysięcy komuś, kto ma ze mną wspólne interesy.

– Jak go rozpoznam?

– Ją – odparł Mellor. – Spójrz ode mnie w lewo, to zobaczysz blondynkę, która rozmawia z facetem wyglądającym na boksera wagi ciężkiej.

Virginia spojrzała na prawo od siebie i nie mogła nie zauważyć dwu postaci, które wyglądały jak statyści w *Lotnej brygadzie*.

– Widzisz ją?

Virginia skinęła głową.

– Spotkasz ją w Muzeum Nauki i Techniki. Będzie czekała przy Rakiecie Stevensona na parterze. Zadzwonię i podam ci szczegóły, jak tylko je ustalę.

To będzie pierwsza wizyta Virginii w Muzeum Nauki i Techniki.

13

– Lady Virginio, na początek pozwolę sobie przypomnieć pani, że relacje między prawnikiem i jego klientem są święte, więc cokolwiek mi pani powie o tej sprawie, nie może wyjść i nie wyjdzie poza ten pokój. Jednak jest równie godne podkreślenia – ciągnął sir Edward Makepeace – że jeśli nie będzie pani ze mną całkowicie szczera, nie będę mógł pani doradzić wedle moich najlepszych umiejętności.

Ładnie powiedziane, pomyślała Virginia, siadając i przygotowując się na serię pytań, na które nie chciałaby odpowiadać.

– Moje pierwsze pytanie jest całkiem proste. Czy jest pani matką czcigodnego Fredericka Archibalda Iaina Bruce'a Fenwicka?

– Nie, nie jestem.

– Czy rodzicami tego dziecka, jak stwierdzono w liście Goodmana Derricka, są państwo Morton, pani dawny kamerdyner i jego żona?

– Tak.

– A zatem i porozumienie, i alimenty, jakie pani otrzymywała od pana Cyrusa T. Granta III – radca królewski się zawahał – były bezpodstawne?

– Zgadza się.

– Zatem będzie także właściwe zasugerować, że żądanie pana Granta – sir Edward sprawdził sumę w liście lorda Goodmana – o zwrot dwóch milionów funtów jest zarówno sprawiedliwe, jak i uzasadnione?

– Obawiam się, że tak.

– Biorąc to pod uwagę, muszę zapytać, czy ma pani dwa miliony funtów, żeby zapłacić panu Grantowi, co by mu oszczędziło starań o uzyskanie nakazu sądowego i zapobiegło rozgłosowi, jaki by to bez wątpienia pociągnęło?

– Nie, nie mam, sir Edwardzie. Właśnie dlatego zwracam się do pana o radę. Chciałam się dowiedzieć, czy mam jakieś możliwości.

– Czy jest pani w stanie zapłacić dostatecznie dużą sumę, żebym spróbował doprowadzić do ugody?

– To nie wchodzi w grę, sir Edwardzie. Ja nie mam dwóch tysięcy funtów, a co dopiero dwóch milionów.

– Lady Virginio, jestem wdzięczny za pani szczere odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Ale w tych okolicznościach byłoby z mojej strony bezcelowe grać na czas i próbować opóźniać postępowanie sądowe, ponieważ lord Goodman jest przebiegłym starym wygą i przejrzy moje zamiary. Tak czy owak, niefortunną pani sytuację pogorszyłby fakt, że musiałaby pani ponieść dodatkowe wydatki związane z pokryciem kosztów adwokackich obu stron. A sędzia może wydać decyzję, że wszystkie rachunki adwokackie mają pierwszeństwo.

– Więc co pan radzi?

– Przykro mi, proszę pani, ale mamy tylko dwie możliwości. Mogę zdać się na ich łaskawość, lecz nie wierzę, żeby to wzbudziło współczucie.

– A drugie wyjście?

– Może pani ogłosić bankructwo. Wtedy druga strona zda sobie sprawę, że wystawianie sądowego nakazu zapłaty dwóch milionów funtów byłoby kompletną stratą czasu i pieniędzy, chyba że jedynym celem pana Granta jest publiczne upokorzenie pani. – Prawnik umilkł i czekał na odpowiedź klientki.

– Dziękuję, sir Edwardzie, za pańską radę – powiedziała w końcu Virginia – i jestem pewna, że pan zrozumie, że potrzebuję trochę czasu, by się zastanowić nad swoim położeniem.

– Oczywiście, milady. Jednak byłoby niedbalstwem z mojej strony, gdybym pani nie przypomniał, że list Goodmana Derricka nosi datę trzynastego marca, i jeżeli nie odpowiemy na niego przed trzynastym kwietnia, to może pani być pewna, że oni nie zawahają się urzeczywistnić swojej groźby.

– Sir Edwardzie, czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Czy mam rację, zakładając, że nakaz sądowy musi być doręczony osobie wskazanej w pozwie?

– Zgadza się, lady Virginio. Chyba że poleci mi pani przyjąć go w jej imieniu.

Następnego dnia rano podczas podróży na północ Virginia rozważała radę znamienitego adwokata. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji Salford, postanowiła wydać część z dwunastu tysięcy

funtów, które miała otrzymać, na bilet w jedną stronę do Buenos Aires.

Gdy wysiadła z taksówki przed biurem agencji nieruchomości, skupiła się na tym, co ma teraz robić, i zastanowiła się, ile pieniędzy powinna zgromadzić przed wyjazdem do Argentyny. Nie zdziwiła się, że gdy podała recepcjonistce swoje nazwisko, natychmiast wprowadzono ją do gabinetu starszego wspólnika.

Mężczyzna, który najwyraźniej włożył na tę okazję najlepszy niedzielny garnitur, poderwał się zza biurka i przedstawił nazwiskiem Ron Wilks. Poczekał, aż Virginia usiądzie, zanim zajął swoje miejsce. Bez dalszych słów otworzył leżącą przed nim teczkę, wyjął z niej czek opiewający na 11 400 funtów i podał Virginii. Złożyła go, schowała do torebki i zamierzała odejść, kiedy się zorientowała, że pan Wilks chce jeszcze coś powiedzieć.

– Pan Mellor w trakcie krótkiej rozmowy telefonicznej, którą udało mi się z nim przeprowadzić – rzekł, starając się nie okazać zakłopotania – nie poinformował mnie, co powinienem zrobić z całym dobytkiem jego matki, który usunęliśmy z domu i umieściliśmy w przechowalni.

– Czy to ma jakąś wartość?

– Miejscowy handlarz używanymi rzeczami zaproponował za całość czterysta funtów.

– Wezmę je.

Agent otworzył książeczkę czekową i spytał:

– Czy ten czek też ma być wystawiony na lady Virginię Fenwick?

– Tak.

– Oczywiście to nie obejmuje obrazów – zaznaczył Wilks, podając czek.

– Obrazów?

– Wydaje się, że matka pana Mellora od kilku lat kolekcjonowała obrazy miejscowego artysty, i niedawno skontaktował się ze mną londyński marszand i powiedział, że jest zainteresowany ich kupnem. Pan Kalman z Crane Kalman Gallery.

– To interesujące – powiedziała Virginia i zanotowała nazwisko człowieka, zastanawiając się tylko, czy ma dosyć czasu, żeby się z nim skontaktować.

W podróży powrotnej do King's Cross obmyśliła plany na kilka najbliższych dni. Najpierw musi się pozbyć wszystkich kosztowności, jakie jeszcze posiada, i wybrać się na lotnisko Heathrow, zanim ktoś z jej wierzycieli zorientuje się, że, jak mówi jej przyjaciel Bofie Bridgwater, zamierza dać dyla. Jeżeli chodzi o Desmonda Mellora, to kiedy wyjdzie z więzienia, ona będzie dla niego najmniejszym problemem i z pewnością daruje sobie ściganie jej po świecie za kilka tysięcy funtów.

Virginia była wdzięczna sir Edwardowi za jego rady. W końcu jak doręczą jej nakaz sądowy, jeśli nikt nie będzie wiedział, gdzie ona jest? Żeby zmylić ślady, już oznajmiła Bofiemu, że spędzi kilka tygodni na południu Francji. Nie pomyślała o tym, co się stanie z Freddiem. Przecież nie był jej dzieckiem.

Wkrótce po powrocie do mieszkania Virginia z radością odebrała telefon od dalekiego kuzyna z potwierdzeniem, że na lotnisku będzie na nią czekał szofer, który ją zawiezie do jego wiejskiej posiadłości. Podobało się jej słowo szofer i posiadłość.

Kiedy Virginia zrealizowała czeki Mellora, zlikwidowała swój rachunek bankowy i kupiła bilet w jedną stronę do Buenos Aires, rozpoczęła długi proces pakowania. Prędko się przekonała, że bez wielu rzeczy, a zwłaszcza butów, nie mogłaby żyć, więc niechętnie uznała, że musi kupić następną dużą walizę. Krótki spacer do Harrodsa zazwyczaj rozwiązywał większość jej problemów i dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem. Udało jej się znaleźć kufer z wgnieceniem na boku i zgodziła się go wziąć za pół ceny. Młody sprzedawca nie zauważył wcześniej tej wady.

– Proszę dziś przed południem dostarczyć kufer do mnie do domu w Chelsea – poleciła nieszczęsnemu sprzedawcy.

Portier w zielonym płaszczu otworzył drzwi i dotknął daszka czapki, gdy Virginia wychodziła na Brompton Road.

– Taksówka, proszę pani?

Już chciała powiedzieć tak, kiedy po drugiej stronie ulicy spostrzegła galerię sztuki. Crane Kalman. Skąd ona zna to nazwisko? Nagle sobie przypomniała.

– Nie, dziękuję.

Podniosła dłoń w rękawiczce, żeby wstrzymać ruch, kiedy przecinała Brompton Road, ciekawa, czy dostanie jeszcze dwieście albo trzysta funtów za stare obrazy pani Mellor. Gdy weszła do galerii, zadźwięczał dzwonek i podbiegł do niej niski mężczyzna o gęstych, sztywnych włosach.

– Jak mogę pani pomóc? – zapytał, zdradzając środkowoeuropejski akcent.

– Byłam ostatnio w Salford i...

– Ach tak, pewnie jest pani lady Virginią Fenwick. Dzwonił pan Wilks i powiedział, że może pani tu zajrzeć, gdyby była pani

zainteresowana sprzedażą kolekcji zmarłej pani Mellor.

– Ile jest pan skłonny zaproponować? – spytała Virginia, która nie miała chwili do stracenia.

– W ciągu wielu lat – powiedział pan Kalman, któremu wyraźnie nigdzie się nie spieszyło – pani Mellor nabyła jedenaście obrazów olejnych i dwadzieścia trzy rysunki od miejscowego poborcy czynszu. Może pani nie wiedziała, że była przyjaciółką artysty? I mam powody, aby uważać...

– Ile? – powtórzył Virginia, wiedząc, jak niewiele ma czasu przed wyruszeniem na Heathrow.

– Uważam, że sto osiemdziesiąt to będzie uczciwa cena.

– Dwieście i umowa stoi.

Kalman wahał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Zgodziłbym się, milady, i nawet bym podniósł do dwustu trzydziestu, gdyby mogła mi pani powiedzieć, gdzie jest brakujący obraz.

– Brakujący obraz?

– Mam spis wszystkich prac, jakie artysta sprzedał albo ofiarował pani Mellor, ale nie mogę umiejscowić obrazu *Mill Lane. Krajobraz przemysłowy*, który dała synowi, i ciekaw jestem, czy pani wie, gdzie on jest.

Virginia dobrze wiedziała, gdzie jest obraz, ale nie miała czasu, żeby pojechać do Bristolu i zabrać go z biura Mellora. Jednak wystarczy jeden telefon do jego sekretarki, żeby płótno zostało natychmiast wysłane do galerii.

– Zgadzam się na dwieście trzydzieści i dopilnuję, żeby obraz został panu dostarczony w ciągu najbliższych dni.

– Dziękuję, milady – rzekł Kalman. Wrócił do biurka, wypisał czek i podał go Virginii.

Virginia złożyła czek, schowała do torebki i obdarzyła właściciela galerii przymilnym uśmiechem, a potem obróciła się na pięcie, wyszła z powrotem na Brompton Road i zatrzymała taksówkę.

– Coutts na Strandzie – poleciła kierowcy.

Zastanawiała się, jak spędzi ostatni wieczór w Londynie – Bofie sugerował U Annabeli – kiedy taksówkarz zatrzymał się przed bankiem.

– Proszę tu poczekać – powiedziała – to nie powinno potrwać długo.

Wkroczyła do holu banku, pospiesznie podeszła do jednego z kasjerów, wyjęła czek i położyła go na ladzie.

– Chciałabym go zrealizować.

– Oczywiście, proszę pani – rzekł kasjer, wstrzymując oddech. – Przypuszczam, że chciałaby pani zdeponować pełną sumę na swoim rachunku?

– Nie, proszę o gotówkę – powiedziała Virginia – najlepiej po pięć funtów.

– Nie jestem pewien, czy to będzie możliwe – wyjąkał kasjer.

– Dlaczego? – spytała Virginia.

– Nie mam dwustu trzydziestu tysięcy funtów w gotówce, milady.

– Chce złożyć propozycję? – zdziwiła się Ellie May. – Ale ja myślałam, że ona nie ma ani pensa.

– Ja też tak myślałem – przyznał lord Goodman. – Z pewnego źródła słyszałem, że ojciec ją wydziedziczył i jej jedynym

dochodem jest comiesięczna skromna kwota przekazywana jej przez brata.

– Ile proponuje?

– Milion funtów płatnych w ciągu dziesięciu lat w dziesięciu równych ratach w wysokości stu tysięcy funtów.

– Ale ona ukradła dwa miliony mojemu mężowi – powiedziała Ellie May. – Niech idzie do diabła.

– Rozumiem pani uczucia, pani Grant, ale kiedy otrzymałem ten list, postanowiłem odbyć nieoficjalną rozmowę z radcą królewskim sir Edwardem Makepeace'em, który reprezentuje rodzinę Fenwicków od wielu lat. Wyraźnie dał do zrozumienia, że ta propozycja oznacza pełne i całkowite rozstrzygnięcie sprawy i że, aby go zacytować, to oferta ostateczna i bezwarunkowa. Dodał, że jeśli pani odrzuci tę propozycję, to dostał polecenie, aby przyjąć nakaz sądowy w imieniu lady Virginii.

– On blefuje.

– Mogę panią zapewnić, że sir Edward nie blefuje.

– Więc co pana zdaniem powinnam zrobić?

– Mogę zrozumieć, dlaczego chciałaby pani zwrotu całej sumy. Jednakże, jeżeli pójdziemy tą drogą, to rozstrzygnięcie tej sprawy może zająć kilka lat, a jak teraz wiemy, lady Virginia ma dostatecznie dużo pieniędzy, żeby opłacać adwokata, więc może skończyć się na tym, że nie uzyska pani nic oprócz wysokiego rachunku za koszty adwokackie. Nie jestem przekonany, że lady Virginia wykłada własne pieniądze – podejrzewam, że nakłoniła brata, dziesiątego hrabiego, żeby ją poratował finansowo. Jednak nawet lord Fenwick ma ograniczone możliwości. – Goodman

zawahał się. – No i musimy rozważyć wszystkie inne aspekty tej sprawy.

– Na przykład? – spytała Ellie May.

– Gdyby sprawa znalazła się w sądzie, lady Virginia zostałaby zrujnowana finansowo i możliwe, że skończyłaby w więzieniu.

– Nic by mnie bardziej nie ucieszyło.

– Jednocześnie ucierpiałaby też reputacja pani męża.

– Jak to możliwe, skoro jest niewinny?

– Pani Grant, najwidoczniej pani nie wie, jakie spustoszenie sieje prasa brytyjska.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Więc zapewniam panią, że ta historia będzie bez końca opisywana w brukowcach, i obawiam się, że pani mąż nie zostanie przedstawiony jako osoba bez skazy. Gazety odmalują go jako naiwnego głupca i rogacza.

– Co jest tylko prawdą – rzuciła pogardliwie Ellie May.

– Możliwe, pani Grant, ale czy pani chce, żeby dowiedział się o tym cały świat?

– To jaki mam wybór? – zapytała.

– Według mojej głęboko przemyślanej opinii powinna pani pójść na ugodę, chociaż to trudne do przełknięcia. Radzę, żeby przyjęła pani ofertę miliona funtów, wróciła do Ameryki i zapomniała o tej nieprzyjemnej sprawie. Sugerowałbym wszakże jeden warunek: jeżeli lady Virginia nie uiści którejś z dziesięciu płatności, nadal będzie zobowiązana pokryć pełną sumę. – Lord Goodman czekał na odpowiedź Ellie May, ale ona milczała. – Jednakże jest pani moją klientką i naturalnie będę się stosował do pani poleceń, niezależnie od tego, jakie one będą.

– Mój nieżyjący już szkocki dziadek, Duncan Campbell, często mówił: „Lepszy dolar w banku, dziewczyno, niż obietnica posagu”.

– Czy przypadkiem nie był prawnikiem? – spytał Goodman.

– To cholernie dobra oferta – powiedział Knowles.

– Może trochę za dobra – rzekł Sloane.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jak wiesz, Jim, jestem z natury podejrzliwy. Mellor może tkwić w więzieniu, ale to nie znaczy, że przez cały dzień leży na pryczy i użala się nad sobą. Nie zapominaj, że w Belmarsh siedzą czołowi przestępcy w tym kraju i chętnie będą doradzać facetowi, który, jak myślą, ma forsę.

– Ale tak jak on, wszyscy siedzą pod kluczem.

– To prawda, ale pamiętaj, że Mellor próbował mnie już raz wrobić – i niemal mu się udało.

– Ale ten gość Sorkin wysyła po nas swój prywatny odrzutowiec, żebyśmy spędzili weekend na jego jachcie na Cap Ferrat. Czego więcej można chcieć?

– Nienawidzę samolotów i nie ufam ludziom, którzy posiadają jachty. Co więcej, nikt w City nigdy nie natknął się na Conrada Sorkina.

– Zawsze mogę się wybrać sam.

– Absolutnie nie – zaprotestował Sloane. – Polecimy obaj. Ale jeżeli bodaj przez sekundę wyczuję, że Sorkin nie jest tym, za kogo się podaje, to wrócimy następnym samolotem, ale nie jego prywatnym odrzutowcem.

Kiedy Virginia dostała od swojego adwokata list z potwierdzeniem, że pani Ellie May Grant przyjęła jej ofertę, nie

była pewna, jak zareagować. W końcu, mając do dyspozycji 230 tysięcy funtów, mogła wieść dostatecznie komfortowe życie, jeżdżąc po Europie i zatrzymując się u przyjaciół. Ale przyznała Bofiemu, że tęskniłaby do Londynu, do Ascot, Wimbledonu, Glyndebourne, do królewskiej garden party, koncertów promenadowych, klubu U Annabeli i Baru u Harry'ego, zwłaszcza kiedy wszyscy jej kumple z kontynentu wyruszą do Londynu na sezon.

Chociaż zdeponowała czek na 230 tysięcy funtów w banku Couttsa, wiedziała, że jeśli dochowa umowy, pieniądze się wyczerpią w ciągu dwóch lat, i zastanawiała się, czy po prostu nie opóźnia nieuchronnej wyprawy do Argentyny. Ale z drugiej strony, może coś się wydarzy w międzyczasie, a zresztą ostateczną decyzję musi podjąć dopiero trzynastego kwietnia.

Kilka razy zmieniała zdanie, zanim trzynastego kwietnia niechętnie przekazała adwokatowi pierwsze sto tysięcy funtów; jednocześnie spłaciła wszystkie drobne długi, pożyczki i rachunki adwokackie. Na bieżącym rachunku zostało jej sto czternaście tysięcy funtów. Brat nadal wpłacał jej co miesiąc dwa tysiące funtów, sumę, która spadła z czterech tysięcy, kiedy przestała zajmować się Freddiem. Virginia nie przeczytała klauzuli pisanej drobnym druczkiem w testamencie ojca. Podejrzewała, że gdyby Archie kiedyś się dowiedział o jej niespodziewanej fortunie, to by jej nie przysyłał ani pensa.

Następnego ranka wybrała się do banku i zrealizowała czek opiewający na dziesięć tysięcy funtów. Umieściła pieniądze w torbie sklepu Swan i Edgar, jak polecił Mellor, powędrowała z powrotem na Strand i zatrzymała taksówkę. Nie miała pojęcia,

gdzie jest Muzeum Nauki i Techniki, ale była pewna, że taksówkarz wie. Dwadzieścia minut później stała przed okazałym wiktoriańskim budynkiem na Exhibition Road.

Wkroczyła do muzeum i podeszła do informacji, gdzie młoda kobieta wskazała jej kierunek do Rakiety Stephensona. Virginia przemierzyła salę poświęconą energii, dział badań przestrzeni kosmicznej i weszła do części przedstawiającej technologiczne osiągnięcia ludzkości, nie rzuciwszy nawet okiem na niezwykłe okazy wokół.

Spostrzegła tlenioną blondynkę, stojącą obok starego silnika parowego, który otaczała gromadka dzieci. Kobiety nawet na siebie nie spojrzały. Virginia po prostu położyła obok tamtej torbę, odwróciła się i tak prędko jak weszła do muzeum, tak wyszła.

Dwadzieścia minut później siedziała w Barze u Harry'ego, popijając wytrawne martini. Siedzący samotnie przy barze przystojny młody człowiek uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem.

Gdy w następną niedzielę Virginia odwiedziła Belmarsh, z ulgą odkryła, że Desmond Mellor nawet nie wiedział, że jego matka miała kolekcję sztuki, i najwyraźniej nigdy nie słyszał o L.S. Lowrym. Wysyłał starszej pani co miesiąc niewielką kwotę, ale przyznał, że od kilku lat nie odwiedzał Salford.

– Sprzedałam różne jej drobiazgi za czterysta funtów – powiedziała mu Virginia. – Co mam zrobić z tymi pieniędzmi?

– Potraktuj to jako premię. Usłyszałem dziś rano, że przekazanie forsy przeszło gładko, za co jestem wdzięczny.

Zerknął na drugą stronę sali na Nasha, który odbywał comiesięczne spotkanie z tlenioną blondynką. Ani razu nie

spojrzeli w jego kierunku

14

Adrian Sloane niechętnie przyznał, że podróż na południe Francji samolotem Learjet to przyjemność, do jakiej mógłby przywyknąć. Jim Knowles zgodził się z nim. Młoda stewardesa, która nie wyglądała na osobę obeznaną z bezpieczeństwem lotu, nalała im następny kieliszek szampana.

– Nie odprężaj się ani na moment – ostrzegł Sloane, nie przyjmując szampana. – Wciąż nie wiemy, czego Sorkin się spodziewa za swoje pieniądze.

– Czym się martwić – rzekł Knowles – skoro cena jest jak należy?

Kiedy samolot kołował na lotnisku nicejskim na Lazurowym Wybrzeżu, Sloane wyjrzał przez okno i spostrzegł czekającego na nich bentleya continentala. Usiedli z tyłu – żadnej kontroli paszportowej, kolejek, cła. Było jasne, że Conrad Sorkin wie, komu dać w łapę.

Port był pełen stojących ciasno błyszczących jachtów. Tylko jeden miał własny dok i właśnie tam zatrzymał się bentley. Szykownie ubrany marynarz otworzył tylne drzwi, a dwaj inni wyjęli bagaże z bagażnika. Gdy Sloane szedł do góry szerokim

trapem, zauważył panamską flagę lekko łopocącą na wietrze na rufie jachtu. Kiedy stanęli na pokładzie, oficer w białym mundurze przytknął palce do czapki i przedstawił się jako główny steward.

– Witajcie na pokładzie – powiedział z wykwintnym angielskim akcentem. – Zaprowadzę panów do kabin. Kolacja zostanie podana o ósmej na górnym pokładzie, ale proszę mnie wezwać, jeżeli wcześniej czegoś będzie potrzeba.

Pierwszą rzeczą, którą zauważył Sloane, wszedłszy do prywatnej kabiny, była czarna aktówka leżąca na środku podwójnego łóżka. Niepewnie ją otworzył i ujrzał rzędy starannie poukładanych banknotów pięćdziesięciofuntowych. Usiadł na brzegu łóżka i powoli je przeliczył. Dwadzieścia tysięcy funtów – jeden procent oferowanej ceny, zaliczka? Zamknął aktówką i wepchnął ją pod łóżko.

Sloane wyszedł z kabiny i bez pukania wkroczył do sąsiedniej. Knowles liczył swoje pieniądze.

– Ile? – spytał Sloane.

– Dziesięć tysięcy.

Tylko pół procent. Sloane się uśmiechnął. Sorkin wybadał sytuację i już się zorientował, z którym z nich dobije interesu.

Sloane wrócił do swojej kabiny, rozebrał się i wziął prysznic; potem położył się i zamknął oczy. Nie zainteresował się butelką szampana w kubełku z lodem przy łóżku. Musiał się skoncentrować. Przecież to będzie interes, który nie tylko przesądzi, kiedy przejdzie na emeryturę, ale i zdecyduje o jej wysokości.

Za pięć ósma ktoś lekko zapukał do drzwi. Sloane spojrzał w lustro i poprawił muszkę, a potem otworzył drzwi, za którymi czekał steward.

– Pan Sorkin ma nadzieję, że pan i pan Knowles wypijecie z nim drinka – powiedział, prowadząc ich obu szerokimi schodami.

Gospodarz stał na górnym pokładzie, czekając na gości. Przedstawił się i zaproponował im kieliszek szampana. Conrad Sorkin wyglądał całkiem inaczej, niż go sobie wyobrażał Sloane: wysoki, elegancki, ze swobodną pewnością siebie, efektem sukcesu albo wychowania. Mówił z lekkim południowoafrykańskim akcentem i prędko sprawił, że goście poczuli się swobodnie. Trudno odgadnąć jego wiek, pomyślał Sloane, może pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat. Zadał kilka starannie sformułowanych pytań i dowiedział się, że Sorkin urodził się w Kapsztadzie, a kształcił w Stanfordzie. Jednak stojące na kredensie małe popiersie Napoleona z brązu ujawniało prawdopodobną słabość.

– Więc gdzie pan teraz mieszka? – spytał Sloane, bawiąc się kieliszkiem.

– Ten statek jest moim domem. Posiada wszystko, czego potrzebuję, i ma jeszcze tę zaletę, że nie muszę płacić podatków.

– Czy to nie stanowi pewnego ograniczenia? – zapytał Knowles.

– Nie, wręcz odwrotnie. Dosłownie korzystam z najlepszej strony każdego ze światów. Mogę odwiedzać każdy port, jaki wybiorę, i jeśli nie zatrzymuję się w nim dłużej niż trzydzieści dni, władze się mną nie interesują. I myślę, że będzie uczciwie powiedzieć, że ten statek ma wszystko, co może oferować duże

miasto, włącznie z szefem kuchni, którego skradłem z Savoyu. A więc, panowie, idziemy na kolację?

Sloane zajął miejsce po prawej stronie gospodarza. Usłyszał, że pracuje silnik.

– Poprosiłem kapitana, żeby wolno opłynął zatokę. Myślę, że panowie uznacie światła portu nicejskiego za olśniewający widok – powiedział Sorkin.

Kelner napełnił im kieliszki białym winem, a drugi postawił przed nimi łososia peklowanego w soli morskiej.

Sorkin przechwalał się, że flądra i stek z wołowiny z rasy Angus zostały dostarczone z Grimsby i Aberdeen na kilka godzin przed wylądowaniem ich samolotu. Sloane musiał przyznać, że taką kolację mógłby jeść w jednej z najlepszych restauracji w Londynie, a wino było tak doskonałe, że pragnął, by wciąż mu dopełniano kieliszek. Jednak ograniczył się do kilku, bo czekał, aż Sorkin coś wspomni o powodzie, dla którego tu przybyli.

Kiedy sprzątnięto talerze po ostatnim daniu i podano brandy, porto i cygara, obsługa dyskretnie się wycofała.

– Czy przejdziemy do interesów? – rzekł Sorkin, zapalając cygaro i kilkakrotnie wypuszczając dym.

Sloane pociągnął łyk porto, a Knowles nalał sobie brandy.

– Jak widzę – powiedział Sorkin – obecnie sprawujecie kontrolę nad spółką, która posiada poważne aktywa, i chociaż pan Mellor nadal ma pięćdziesiąt jeden procent udziałów, to siedząc w więzieniu, nie może mieć wpływu na żadne decyzje rady nadzorczej.

– Widzę, że dobrze się pan przygotował – zauważył Sloane, pyknąwszy z cygara. – Ale jakimi konkretnymi aktywami jest pan

zainteresowany, panie Sorkin?

– Proszę mi mówić Conrad. Chcę wyraźnie powiedzieć, że nie interesuje mnie kupno Mellor Travel. Jednak spółka ma czterdzieści dwie agencje podróży dobrze usytuowane na głównych ulicach w Zjednoczonym Królestwie. Te nieruchomości mają wartość księgową poniżej dwóch milionów. Ale gdybyśmy je wystawili na sprzedaż osobno, to oceniam ich rzeczywistą wartość na sześć, może nawet siedem milionów.

– Ale – przerwał mu Sloane – gdybyśmy się mieli pozbyć naszych największych aktywów, Mellor Travel stałoby się zaledwie wydmuszką i nie byłoby w stanie prowadzić swojej podstawowej działalności. Jestem pewien, że zdajesz sobie sprawę, że Thomas Cook już nam zaproponował dwa miliony i dał wyraźnie do zrozumienia, że nie będzie zwalniał personelu ani pozbywał się nieruchomości.

– I te dwa miliony zostaną przekazane spółce, która będzie zarządzana przez Cooka, dopóki Desmond Mellor nie wyjdzie z więzienia, więc obaj możecie liczyć co najwyżej na przyzwoitą odprawę. Dlatego jestem skłonny zaoferować tyle samo co Cook, ale z subtelną różnicą. Moje dwa miliony zostaną zdeponowane w banku i w mieście, które wybierzecie.

– Ale Bank Anglii... – zaczął Sloane.

– Adrianie, Bank Anglii jest potężną instytucją, ale mógłbym wymienić dwadzieścia trzy kraje, w których nie może podejmować kroków prawnych ani nie posiada nawet z nimi umów dwustronnych. Ty masz jedynie przekonać radę nadzorczą, żeby przyjęła moją ofertę, a nie Cooka. Ponieważ spółka ma tylko pięciu członków rady nadzorczej i jeden z nich nie może

uczestniczyć w jej posiedzeniach, nie powinno to być trudne do osiągnięcia przed zwolnieniem Mellora – co, jak rozumiem, nie nastąpi szybko.

– Jesteś dobrze poinformowany – zauważył Sloane.

– Powiedzmy, że mamy kontakty we właściwych miejscach i informacje z pierwszej ręki, dzięki czemu wyprzedzam swoich rywali.

– Gdybym miał przyjąć twoje warunki – rzekł Sloane – to powiedz, czy gotówka w mojej kabinie to zadatek na te dwa miliony, jakie oferujesz?

Knowles zmarszczył brwi.

– Ależ skąd – powiedział Sorkin. – Potraktuj to jako dowód moich poważnych zamiarów.

Sloane wypił porto i czekał, aż napełnią mu kieliszek, a potem rzekł:

– Conradzie, za dwa tygodnie mamy posiedzenie rady nadzorczej i możesz być pewien, że ja i moi koledzy potraktujemy twoją ofertę bardzo poważnie.

Prezes Mellor Travel rozparł się wygodnie i po raz pierwszy się odprężył, rozkoszując się trunkiem, przekonany, że wybadał Sorkina i że te dwa miliony powinny być traktowane jako stawka wyjściowa. Już zdecydował, na jaką sumę się zgodzi, ale poczeka do śniadania, żeby wykonać następny ruch.

Knowles wyglądał na rozczarowanego, świadom, że Sloane będzie się domagał większej sumy. Popełnił taki sam błąd, kiedy Hakim Bishara wystąpił z ofertą na Farthings, i skończyło się na tym, że stracili okazję. Knowles nie zamierzał mu pozwolić drugi raz na taki sam błąd. W końcu uważał, że oferta Sorkina jest

bardzo hojna i nie należy okazywać chciwości. A to była największa słabość Sloane'a.

– Chyba pójdę spać – powiedział Sloane, powoli podnosząc się z krzesła, gdyż czuł, że już nic więcej nie osiągnie tego wieczoru. – Dobranoc, Conradzie, prześpię się z twoją propozycją. Porozmawiamy jutro rano.

– Nie będę mógł się doczekać – rzekł Sorkin, gdy Sloane chwiejnym krokiem skierował się do drzwi.

Knowles nie ruszył się z miejsca, żeby mu towarzyszyć, co zirytowało Sloane'a, ale nie zareagował.

Sloane musiał trzymać się poręczy, gdy zstępował na dół zejściówką. Ucieszył się, że na dolnym pokładzie czeka na niego steward, gdyż nie był pewien, czy trafi do kabiny. Może nie powinien pić tak dużo porto po tych wspaniałych winach. Ale kiedy znów podadzą mu trzeci czy może czwarty kieliszek wina Taylor's 24?

Zachwiał się, kiedy stanął na najniższym stopniu, i steward prędko pospieszył mu na ratunek, delikatnie obejmując go ramieniem. Sloane zatoczył się ku relingowi i wychylił się za burtę, mając nadzieję, że nie zwymiotuje, gdyż zdawał sobie sprawę, że zostanie to doniesione Sorkinowi. Odetchnąwszy świeżym powietrzem, poczuł się trochę lepiej. Pomyślał, że chciałby wrócić do kabiny i się położyć, gdy objęły go w pasie dwa silne ramiona i uniosły jednym płynnym ruchem. Obrócił się i próbował zaprotestować, ale ujrzał tylko uśmiechniętego stewarda, który bezceremonialnie wyrzucił go za burtę.

Po chwili przy stewardzie pojawił się Sorkin. Żaden z nich się nie odezwał, kiedy prezes Mellor Travel po raz trzeci zniknął pod

falami.

– Skąd wiedziałeś, że on nie umie pływać?

– Poufna informacja od kogoś, kto parał się twoją robotą – odparł Sorkin. Odwrócił się i dodał: – Znajdziesz swoje dwadzieścia patyków w kabinie Sloane'a pod łóżkiem.

Nash się schylił i zawiązał sznurówkę buta na znak, że Mellor ma podejść.

Mellor okrążył dwukrotnie spacerniak, zanim przy nim stanął. Nie chciał, żeby obserwujący ich klawisze nabrali podejrzeń.

– Robota wykonana. Nie trzeba wysyłać kwiatów na pogrzeb.

– Czemu nie?

– Został pochowany w morzu. – Po przejściu kilku metrów Nash dodał: – Dotrzymaliśmy umowy, teraz pora na ciebie.

– To żaden problem – powiedział Mellor z nadzieją, że Nash nie zauważył, że oblał się potem.

Telefonował dwa tygodnie wcześniej do agencji nieruchomości w Bristolu i dowiedział się, że jego dawne mieszkanie na Broad Street wciąż nie jest sprzedane – nie ma popytu, wyjaśnił pan Carter, ale gdyby obniżyć cenę, to jest pewien, że dobiłby targu. Mellor obniżył cenę i złożono ofertę, ale nabywca nie chciał zawrzeć umowy, dopóki nie zobaczy raportu rzeczoznawcy budowlanego – a jego sporządzenie potrwa kolejne dwa tygodnie.

Przynajmniej problem ze Sloane'em został rozwiązany. Mellor napisze do Knowlesa i poprosi, żeby go jak najszybciej odwiedził. Z pewnością dogada się z nim teraz, skoro Sloane już nie rządzi.

Kilka metrów dalej zapytał:

– Kiedy i gdzie?

Miał nadzieję, że powiedział to z przekonaniem.

– W następny czwartek. Podam ci szczegóły po niedzielnej wizycie Tracie. Dopilnuj, żeby ta miła lady Virginia nie zapomniała wziąć ze sobą tej torby od Swana i Edgara.

Mellor wycofał się i dołączył do Johnny'ego Cwaniaka, który był jak nigdy wesolutki, ale przecież zostało mu tylko dziewiętnaście dni do odsiadki.

15

– Nie sądzę, żebyś miała na zbyciu dziesięć tysięcy funtów – zasugerował Mellor.

Virginia zastanawiała się, czy żartuje, ale w jego oczach dostrzegła rozpacz.

– Mam krótkotrwały problem z gotówką – wyjaśnił – który zostanie rozwiązany, jeżeli będę miał trochę więcej czasu. Ale pilnie potrzebuję dziesięciu tysięcy. – Rzucił spojrzenie na drugą stronę pełnej ludzi sali, gdzie Nash był zagłębiony w rozmowie z jedynym odwiedzającym go gościem. – Bardzo pilnie.

Virginia pomyślała o stu jedenastu tysiącach funtów, które nadal były na jej bieżącym rachunku, i słodko się uśmiechnęła.

– Desmondzie, nikt nie wie lepiej niż ty, że jestem biedna jak mysz kościelna. Brat mi przysyła dwa tysiące miesięcznie, z czego z trudem można przeżyć, a jedynym moim skromnym dochodem są drobne pieniądze, jakie dostałam niedawno po sprzedaży domu twojej matki. Przypuszczam, że mogłabym ci dać tysiąc i może za miesiąc drugi tysiąc.

– To miło z twojej strony, Virginio, ale wtedy będzie za późno.

– Czy masz jakieś aktywa, które mógłbyś wyłożyć jako zabezpieczenie? – zapytała Virginia. Znajome słowa, które słyszała od dyrektora banku, kiedy miała debet.

– Moja była żona otrzymała nasz dom na wsi w ramach ugody rozwodowej. Wystawiłem na sprzedaż moje mieszkanie w Bristolu. Jest warte około dwudziestu tysięcy i chociaż ktoś złożył ofertę, jeszcze nie zawarto umowy.

– A co z Adrianem Sloane'em? Dla niego nie byłaby to wysoka suma.

– To już niemożliwe – powiedział Mellor, nie wdając się w tłumaczenia.

– A Jim Knowles?

Mellor się zastanowił.

– Przypuszczam, że Jim zechciałby pomóc, gdybym zaproponował mieszkanie jako zabezpieczenie i miałby coś z tego.

– Na przykład?

– Stanowisko prezesa spółki, gotówkę, cokolwiek by chciał.

– Skontaktuję się z nim, jak tylko dotrę do domu, i dowiem się, czy zechce pomóc.

– Dziękuję ci, Virginio. I oczywiście ty też coś dostaniesz.

Mellor znowu spojrzał na Nasha, który, jak wiedział, otrzymuje instrukcje, gdzie ma być dostarczona druga rata. Nigdy dwa razy to samo miejsce i nigdy ta sama osoba, wytłumaczył mu Nash.

– Ale ja muszę mieć te dziesięć tysięcy przed czwartkiem – zaznaczył Mellor, odwracając się do Virginii. – I nie mogę ci nawet powiedzieć, jakie byłyby konsekwencje, gdybyś zawiodła.

– Jak często wolno ci telefonować?

– Raz w tygodniu, ale tylko przez trzy minuty, i nie zapominaj, że klawisze słuchają każdego słowa.

– Zadzwoń do mnie we wtorek po południu około piątej. Do tej pory powinnam się spotkać z Knowlesem i zrobię, co będę mogła, żeby go nakłonić.

– Wszystko jest umówione na czwartek – oznajmił Nash, kiedy Mellor dołączył do niego na spacerniaku.

– Gdzie i kiedy? – zapytał Mellor, nie chcąc się przyznać, że nie ma pieniędzy.

– Trafalgar Square, między fontannami, godzina dwunasta.

– Zrozumiałem.

– Czy to będzie ta sama pani z torbą?

– Tak – rzekł Mellor, mając nadzieję, że Virginia nie tylko zdobyła pieniądze, ale zechce znowu podjąć się roli pośredniczki.

Nash przyjrzał mu się bliżej.

– Chyba pomyślałeś o konsekwencjach niewpłacenia drugiej raty?

– Nie ma problemu – rzekł Mellor, który prawie o niczym innym nie myślał przez cały zeszły tydzień. Został z tyłu i wędrował sam, modląc się, karmiąc się nadzieją, że Virginia przekonała Knowlesa, aby pożyczył mu dziesięć tysięcy. Spojrzał na zegarek. Za pięć godzin będzie wiedział.

– Jim Knowles – odezwał się głos w słuchawce.

– Jim, dzwoni Virginia Fenwick.

– Virginio, co u ciebie? Tak długo się nie odzywałaś.

– Za długo. Ale ci to wynagrodzę.

– Co masz na myśli?

– Mam drobną propozycję, która może cię zainteresuje. Masz czas na wspólny lunch?

We wtorek o piątej po południu Virginia siedziała przy telefonie, dobrze wiedząc, że ma tylko trzy minuty na wygłoszenie dobrze przygotowanego tekstu. Zaznaczyła kilka ważnych punktów, żeby na pewno nie pominąć czegoś istotnego. Kiedy zadzwonił telefon, natychmiast podniosła słuchawkę.

– 7784.

– Halo, kochanie, tu Priscilla. Pomyślałam, że zadzwonię, żeby się dowiedzieć, czy będziesz miała czas w czwartek, żeby spotkać się na lunchu.

– Nie teraz – powiedziała Virginia, rzucając słuchawkę.

Telefon zadzwonił po kilku sekundach.

– 7784 – powtórzyła.

– Tu Desmond. Czy ci się udało... – Widocznie nie chciał tracić ani sekundy.

Virginia spojrzała na pierwszy zakreślony punkt.

– Tak. Knowles zgodził się pożyczyć dziesięć tysięcy pod zabezpieczenie mieszkania w Bristolu.

– Dzięki Bogu – rzekł Mellor, wydając głośne westchnienie ulgi, które wyraźnie słyszała.

– Ale gdybyś nie oddał mu pełnej sumy w ciągu trzydziestu dni, domaga się dodatkowego zabezpieczenia.

– Jakiego?

– Twoich udziałów w Mellor Travel.

– Ale one są warte około półtora miliona.

– Tak albo nie, jeśli pamiętam dokładnie jego słowa.

Mellor zamilkł na chwilę, świadom, że jego trzy minuty szybko mijają.

– Nie mam wyboru. Powiedz temu draniowi, że przyjmuję jego warunki i oddam mu forsę, jak tylko mieszkanie zostanie sprzedane.

– Natychmiast przekażę tę wiadomość, ale on nie wyda tych pieniędzy, dopóki nie ujrzy twojego podpisu na dokumencie przelewającym prawa własności udziałów na niego, gdybyś nie zwrócił mu długu w ciągu trzydziestu dni.

– Ale jak ja to zdążę podpisać? – spytał Mellor, a w jego głosie znowu brzmiała rozpacz.

– Nie martw się. Jego prawnicy przygotowali treść dokumentu, który zostanie dostarczony do więzienia dziś wieczorem. Dopilnuj tylko, żeby ktoś na niego czekał.

– Zaadresuj kopertę na nazwisko pana Gravesa. To jest strażnik mojego piętra i już mi wyświadczył kilka przysług, więc można mu zaufać. Jeśli ma dzisiaj służbę, zdołam to natychmiast zwrócić.

Virginia zanotowała nazwisko, a potem znów spojrzała w swoje notatki.

– Gdzie i kiedy mam dostarczyć pieniądze?

– W czwartek o dwunastej, na Trafalgar Square. Twój kontakt będzie stał między fontannami. Pamiętaj, nie spóźnij się.

– Czy to będzie ta sama kobieta?

– Nie, szukaj łysego mężczyzny w średnim wieku, ubranego w granatową marynarkę i dżinsy.

Virginia zanotowała te słowa.

– Jesteś brylantem – powiedział Mellor. – Nie wiem, jak ci dziękować.

– Czy coś jeszcze mogę zrobić?

– Nie, ale wyślę ci list, który chciałbym, żebyś...

Połączenie się przerwało.

Graves odłożył słuchawkę telefonu w swoim biurze i czekał na instrukcje.

– Musisz pan być na służbie, kiedy dziś wieczór dostarczą dokument do bramy więzienia.

– Żaden problem. Niewielu strażników zgłasza się na nocną zmianę.

– I ważne, żeby Mellor podpisał umowę, a pan poświadczył jego podpis.

– A co potem?

– Jak pan skończysz służbę, weź pan umowę i dostarcz pod adres, który Mellor wypisze na kopercie. I pamiętaj pan, że masz jeszcze jedną robotę, zanim dostaniesz forsę.

Graves zmarszczył brwi.

– Lepiej wracajcie do celi, bo jeszcze ktoś zauważy, że was tam nie ma – powiedział strażnik, próbując przywrócić swój autorytet.

– Jak każesz, szefie – rzekł Nash.

Wymknął się z biura i skierował z powrotem do celi.

Gdy Virginia wstała następnego ranka, znalazła na wycieraczce wielką kopertą. Nie chciała wiedzieć, kto ją dostarczył i kiedy. Spojrzała na zegarek: czternaście po dziewiątej. Knowles nie odbierze jej przed dziesiątą, więc ma wystarczająco dużo czasu.

Otworzyła kopertę i wyjęła dokument, prędko odwracając go na ostatnią stronę, żeby sprawdzić, czy jest tam podpis Mellora. Uśmiechnęła się, widząc, że jego przyjaciel, pan Graves, poświadczył podpis. Virginia wsunęła umowę z powrotem do koperty, wyszła ze swojego małego mieszkania w Chelsea i skierowała się do sklepu w Pimlico, który sprawdziła poprzedniego dnia.

Młody człowiek za ladą zrobił dwie kopie dokumentu i zażądał za to dwóch funtów oraz dwudziestu pensów za dużą szarą kopertę. Dwadzieścia minut później była w swoim mieszkaniu i czytała poranną gazetę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Knowles pocałował ją w oba policzki, jakby byli starymi przyjaciółmi, ale kiedy zamienił jedną szarą kopertę na drugą, natychmiast wyszedł. Virginia wróciła do salonu, rozerwała nową kopertę i policzyła pieniądze. Piętnaście tysięcy, jak uzgodniono. Nieźle, jak na pracę jednego poranka. Teraz musi tylko zdecydować, czy dostarczyć czy nie dziesięć tysięcy łysemu mężczyźnie w granatowej marynarce i dżinsach, który będzie na nią czekał na Trafalgar Square.

Kiedy Virginia przybyła do banku, udała się prosto do biura dyrektora. Pan Leigh wstał w chwili, gdy weszła do pokoju. Bez słowa wyjęła pięć celofanowych pakietów oraz egzemplarz trzystronicowego dokumentu z torby od Swana i Edgara i położyła na biurku.

– Proszę zapisać pięć tysięcy funtów na dobro mojego rachunku i dołączyć ten dokument do moich papierów osobistych.

Pan Leigh lekko się skłonił i właśnie chciał spytać... ale ona już opuściła pokój.

Virginia wyszła z banku prosto na Strand i wolno podążyła w stronę Trafalgar Square. Postanowiła wykonać polecenie Mellora, zwłaszcza że pamiętała, co mówił o poważnych konsekwencjach nieoddania pieniędzy, a nie chciała, żeby człowiekowi, który był jedynym źródłem jej dochodów, stała się krzywda.

Zatrzymała się przed kościołem St Martin in the Fields i mocno trzymając torbę od Swana i Edgara, czekała, aż światła zmienią się na czerwone, zanim przekroczyła ulicę. Stado spłoszonych gołębi wzbiło się w powietrze, gdy weszła na plac i skierowała się ku fontannom.

Jakieś dziecko podskakiwało w wodzie, matka błagała je, żeby stamtąd wyszło. Z tyłu za nimi stał łysy mężczyzna w koszuli rozpiętej pod szyją, ciemnogranatowej marynarce i dżinsach; wzrok miał wbity w Virginię. Podeszła do niego i podała torbę na zakupy. Nawet nie zajrzał do środka, tylko się odwrócił i przepadł w tłumie turystów.

Virginia odetchnęła z ulgą. Operacja przebiegła gładko i Virginia już myślała o lunchu z Priscillą. Skierowała się w stronę National Gallery i zatrzymała taksówkę, natomiast łysy mężczyzna kroczył w przeciwnym kierunku. Nie mógł nie zauważyć srebrnoszarego bentleya zaparkowanego przed South Africa House. Gdy podszedł do samochodu, opuściła się przyciemniona szyba i ukazała się ręka. Mężczyzna podał plastikową torbę i czekał.

Conrad Sorkin sprawdził dziesięć celofanowych pakiecików, po czym wręczył jeden z nich posłańcowi.

– Dziękuję, panie Graves. Proszę zawiadomić pana Nasha, że lady Virginia się nie zjawiła.

16

Sześciu mężczyzn siedziało naprzeciw siebie, szykując się do walki, chociaż, prawdę mówiąc, wszyscy byli po tej samej stronie. Trzech z nich reprezentowało Farthings Kaufman, a pozostałych trzech firmę Thomas Cook Ltd., należącą do najstarszych klientów banku.

Hakim Bishara, prezes banku Farthings Kaufman, siedział przy stole z Sebastianem Cliftonem, dyrektorem naczelnym, po swojej prawej stronie i zatrudnionym w banku prawnikiem, Arnoldem Hardcastle'em, po lewej. Naprzeciw Hakima siedział Ray Brook, prezes firmy Cooka, który miał po prawej stronie jej dyrektora, Briana Dawsona, a po lewej Naynesha Desaia, prawnego doradcę.

– Pozwolę sobie zacząć to spotkanie od przywitania was wszystkich – rzekł Hakim. – Czy mogę powiedzieć, jak nam miło reprezentować Cooka w staraniach o przejęcie Mellor Travel Ltd.? Niestety, mało prawdopodobne, aby było to obopólnie uzgodnione przejęcie. W istocie będzie to raczej wojna na całego, w dodatku krwawa. Ale zapewniam was, dżentelmeni, że zwyciężymy. Teraz

poproszę Sebastiana Cliftona, który od kilku tygodni pracuje nad tym projektem, żeby zorientował nas w sytuacji.

– Dziękuję, panie prezesie – powiedział Seb, otwierając leżącą przed nim grubą teczkę. – Zacznę od oceny naszej obecnej sytuacji. Firma Cooka od pewnego czasu wyraża zainteresowanie nabyciem spółki Mellor Travel, która posiada pewne aktywa, wnoszące jej wartość dodatkową. Szczególnie czterdzieści dwa sklepy usytuowane na głównych ulicach, niektóre w miastach, gdzie Cook jest nieobecny albo gdzie jego dotychczasowa lokalizacja nie jest równie korzystna jak ta jego konkurentów. Mellor Travel ma również pierwszorzędny, dobrze wyszkolony personel, chociaż w ubiegłym roku jego część uznała za konieczne zwolnienie się z firmy.

– Kilku zatrudniło się u nas – wtrącił Brook.

– Może czas wspomnieć o panu Desmondzie Mellorze – ciągnął Seb. – On jest jak słoń w pokoju, nie da się go ignorować. Chociaż nie jest już prezesem spółki, zachował pięćdziesiąt jeden procent udziałów. Zatem przejęcie będzie prawie niemożliwe bez jego błogosławieństwa.

– Rozumiem, że w przeszłości miał pan do czynienia z panem Mellorem – rzekł Dawson, zdejmując okulary. – Jak wyglądają wasze obecne stosunki?

– Chyba nie mogą być gorsze – przyznał Seb. – Obydwaj zasiadaliśmy w radzie nadzorczej Linii Żeglugowej Barringtona w czasie, kiedy moja matka była jej prezeską. Mellor nie tylko próbował usunąć ją z rady nadzorczej, ale kiedy mu się to nie udało, usiłował przejąć spółkę, używając taktyki, która została uznana za niedopuszczalną przez komisję do spraw przejęć i fuzji.

Moja matka zwyciężyła i kierowała Linią Żeglugową Barringtona przez kilka dalszych lat, aż do chwili, kiedy spółkę kupił Cunard.

– Zaprosiliśmy pańską matkę do naszej rady nadzorczej – rzekł Brook – ale niestety pani Thatcher nas przebiła.

– Nie wiedziałem o tym – powiedział Seb.

– Ale pamięta pan, że kiedy Barrington zwodował *Buckinghama*, a potem *Balmorala*, pani Clifton mianowała Cooka swoim uprzywilejowanym przedstawicielem od rezerwacji. Nigdy nie mieliśmy lepszego partnera, nawet jeśli musieliśmy się przyzwyczaić do jej telefonów o szóstej rano albo o dziesiątej wieczorem.

– Panowie też? – spytał Seb, szczerząc zęby w uśmiechu. – Jednak muszę się do czegoś przyznać. Zanim skontaktowaliście się z nami w sprawie przejęcia, na jego prośbę odwiedziłem Desmonda Mellora w więzieniu.

Jessica z radością narysowałaby zdumione twarze trzech mężczyzn siedzących naprzeciw ojca.

– Co gorsza, Mellor zaproponował mi wtedy sprzedaż pięćdziesięciu jeden procent udziałów spółki za jednego funta.

– Czego chciał w zamian? – spytał Brook.

– Że jeśli wyjdzie z więzienia, oddamy mu te pięćdziesiąt jeden procent udziałów też za jednego funta.

– Niezbyt kusząca propozycja – zauważył Dawson. – Chociaż wtedy musiała być atrakcyjna.

– Ale nie dość atrakcyjna – wtrącił Hakim – skoro po jej przyjęciu miałoby się do czynienia z takimi szujami, jak Sloane i Knowles, którzy moim zdaniem powinni siedzieć w tej samej celi co Mellor.

– To było stwierdzenie nieoficjalne – powiedział kategorycznie Arnold – i nie odzwierciedla poglądów banku.

– Zgadzam się z tobą, Hakimie – rzekł Brook. – Tylko raz spotkałem Adriana Sloane'a i wystarczyło mi. Jednak zapytam pana, panie Clifton, czy jest szansa, że Mellor ponowi swoją ofertę?

– To wydaje się nieprawdopodobne, chociaż chętnie go wysonduję, jeżeli się zgodzi mnie widzieć.

– Więc sprawdźmy jak najszybciej, czy to możliwe – powiedział Dawson.

– Ale nawet gdyby Mellor zgodził się z tobą zobaczyć – powiedział Arnold – to ostrzegam, że młyny władzy mielą o wiele wolniej w służbie więziennej niż w Whitehallu.

– Ale pamiętam, że ty i Seb odwiedziliście mnie w Belmarsh natychmiast – rzekł Hakim.

– To były wizyty prawnika – powiedział Arnold – niepodlegające restrykcjom więziennym. – Nie zapominaj, że byłeś moim klientem.

– Więc jeśli Mellor się zgodzi, żebyś go reprezentował – zauważył Hakim – to moglibyśmy obejść biurokrację.

– Ale dlaczego mielibyśmy to robić? – spytał Dawson.

– Ponieważ Barry Hammond – rzekł Sebastian – prywatny detektyw wynajęty przez Farthings, odkrył, że to Sloane wrobił Mellora. Dlatego Mellor wylądował w więzieniu i gdy już nie stanowił przeszkody, Sloane z pomocą swojego przyjaciela Knowlesa mianował się prezesem spółki Mellor Travel, która od tej pory nie wykazała zysku ani nie wypłaciła dywidendy. Więc

możliwe, że Mellor może być tak zdesperowany, że uzna nas za mniejsze zło.

– Skoro to drużyna miejscowa – powiedział Brook – to czego zdołał się pan dowiedzieć o naszych rywalach?

– Że są nawet gorsi – odparł Seb. – Ze spółką Sorkin International niełatwo będzie się zmierzyć. Ich siedziba główna jest zarejestrowana w Panamie i chociaż podają numer biura, nikt nigdy nie odbiera telefonów.

– Czy sam Conrad Sorkin mieszka w Panamie? – spytał Dawson.

– Nie. Spędza większość czasu na jachcie, który ustawicznie jest w ruchu. Sorkin uznany jest za persona non grata w siedmiu krajach, ale niestety Zjednoczone Królestwo do nich nie należy. W każdym razie wydaje się, że posługuje się skorumpowanymi prawnikami, uśpionymi spółkami, a nawet fałszywym nazwiskiem, żeby zawsze przechytrzyć prawo.

– Idealny kompan dla Sloane'a i Knowlesa – zauważył Brook.

– Zgadzam się – rzekł Seb – i jak pan wie, Sorkin niedawno zaoferował tak jak my dwa miliony za Mellor Travel. Jednak wątpię, żebyśmy byli traktowani na równych prawach.

– Ale Sorkin na pewno nie może wszcząć na całego operacji przejęcia bez poparcia Mellora – stwierdził prawnik Cooka.

– Nie musi – rzekł Hakim – bo nie jesteśmy przekonani, że taki jest jego cel, co wyjaśni Seb.

– Jestem całkiem pewien, że Sorkina nie interesuje spółka – powiedział Seb – tylko czterdzieści dwa sklepy i biura, które mają wartość księgową poniżej dwóch milionów funtów, podczas gdy

mój analityk zajmujący się nieruchomościami ocenił, że są warte ponad pięć milionów.

– Więc o to idzie gra? – rzekł Dawson.

– Myślę, że pan Sorkin chętnie sprzeda te nieruchomości bez konsultowania się z Mellorem – zauważył Arnold – i nie będzie się przejmował łamaniem prawa, bo podejrzewam, że zniknie bez śladu, nim policja go dopadnie.

– Czy możemy coś zrobić, żeby mu przeszkodzić? – spytał Brook.

– Tak – odparł Seb. – Dopaść pięćdziesiąt jeden procent Mellora i wyrzucić Sloane'a.

Gdy następnego ranka na wycieraczkę wpadła koperta, Virginia poznała charakter pisma i otworzyła ją, żeby w środku znaleźć drugą kopertę z nazwiskiem panny Kelly Mellor, ale bez adresu, tylko z karteczką:

„Proszę, dopilnuj, żeby Kelly to dostała. To bardzo ważne. Desmond".

Virginia natychmiast otworzyła drugą kopertę i zaczęła czytać list, jaki Desmond napisał do córki:

„Kochana Kelly..."

Sebastian chciał już wejść do windy, kiedy zobaczył Arnolda Hardcastle'a biegnącego ku niemu korytarzem.

– Czy nie masz żony i rodziny, żeby iść do domu?

– Dobra wiadomość – rzekł Arnold, ignorując uwagę Seba. – Mellor nie tylko zgodził się z nami spotkać, ale chce, żeby spotkanie odbyło się jak najprędzej.

– Doskonale. Hakim będzie uradowany.

– Rozmawiałem już z naczelnikiem więzienia, który się zgodził, że spotkanie w sprawach prawnych może się odbyć w więzieniu jutro o dwunastej.

– Hakim będzie chciał tam być.

– Boże broń – rzekł Arnold. – Prawdopodobnie by udusił faceta, i kto mógłby go winić? Nie, ty powinieneś reprezentować Farthings. W końcu to ciebie chciał widzieć, kiedy wyszedł z pierwotną propozycją. Sugerowałbym też, żeby obecny był Ray Brook, aby Mellor zdał sobie sprawę, że to poważna oferta. Jeden prezes do drugiego. To na nim zrobi wrażenie.

– To ma sens – zgodził się Seb.

– Czy masz już coś zaplanowane na jutrzejsze przedpołu-dnie?

– Jeżeli tak – odparł Seb, otwierając kieszonkowy terminarz – to zaraz odwołam.

Virginia skontaktowała się z matką Kelly Mellor, ale nie okazała się ona chętna do pomocy. Prawdopodobnie myślała, że Virginia to ostatnia przyjaciółka Mellora. Jednak wyjawiła, że kiedy ostatnio córka się odezwała, była gdzieś w Chicago, ale przyznała, że straciła z nią kontakt.

Nazajutrz o godzinie jedenastej Sebastian, Arnold i Ray Brook wsiedli do taksówki i Seb polecił kierowcy zawieźć ich do Więzienia Jej Królewskiej Mości Belmarsh. Taksiarz nie miał zadowolonej miny.

– Mała szansa na pasażera z powrotem – wyjaśnił Arnold.

– Czemu tak wcześnie? – spytał Brook.

– Dowie się pan, kiedy się pan tam znajdzie – odparł Arnold.

W drodze do więzienia trzej panowie omawiali taktykę i zgodzili się, że przede wszystkim należy uspokoić Mellora i dać mu odczuć, że są po jego stronie.

– Wymieniajmy często nazwiska Sloane'a i Knowlesa – rzekł Seb – bo jestem pewien, że będzie wolał mieć do czynienia z nami, a nie z nimi.

– Nie sądzę, że zgodziłby się nas zobaczyć – powiedział Brook, gdy taksówka wyjechała z miasta i skierowała się na wschód – gdybyśmy nie mieli szans.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed olbrzymią, złowrogą, zieloną bramą więzienia Belmarsh, każdy z mężczyzn znał rolę, jaką miał odegrać. Arnold zacznie pertraktacje i spróbuje przekonać Mellora, że są przyzwoitymi ludźmi, i gdy Seb uzna, że nadszedł właściwy moment, zaproponuje półtora miliona za jego udziały. Brook potwierdzi, że pieniądze zostaną zdeponowane na rachunku Mellora w chwili, gdy podpisze przelanie praw własności udziałów, i że, jako premia, Sloane i Knowles zostaną wyrzuceni przed zakończeniem urzędowania tego dnia. Seb poczuł przypływ pewności siebie.

Kiedy wszyscy trzej weszli do więzienia, zostali zaprowadzeni pod eskortą na portiernię i dokładnie przeszukani. Scyzoryk na breloczku został Brookowi natychmiast zabrany. Prezes Cook Travel może odwiedził prawie wszystkie kraje świata, ale było jasne, że nigdy wcześniej jego stopa nie stanęła w więzieniu. Zostawili wszystkie przedmioty wartościowe, nawet paski do spodni, u sierżanta w recepcji i w towarzystwie dwóch strażników przecięli plac i skierowali się do Bloku A.

Przeszli przez kilka okratowanych bram, otwieranych i zamykanych za nimi, aż znaleźli się w specjalnym pomieszczeniu do rozmów z prawnikami na pierwszym piętrze. Zegar na ścianie pokazywał za pięć dwunastą. Brook nie musiał już pytać, dlaczego wyruszyli tak wcześnie.

Jeden ze strażników na służbie otworzył drzwi i wpuścił trzech mężczyzn do prostokątnej sali o szklanych ścianach. Chociaż zostawiono ich samych, dwóch strażników zajęło stanowiska na zewnątrz, patrząc do środka. Byli tutaj, żeby dopilnować, aby nikt nie przekazał więźniowi narkotyków, broni lub pieniędzy. Nic nie mogło sprawić klawiszom większej przyjemności niż zaaresztowanie prawnika.

Trzech gości usiadło przy kwadratowym stoliku w środku pomieszczenia, zostawiwszy jedno wolne krzesło dla Mellora. Arnold otworzył aktówkę i wyjął tekturową teczkę. Wyciągnął certyfikat przelewu udziałów oraz trzystronicowy dokument i jeszcze raz sprawdził jego sformułowania, po czym położył je na stole. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za godzinę, kiedy wyjdą z więzienia, w podsumowaniu umowy będą dwa podpisy.

Seb nie mógł się powstrzymać przed spoglądaniem na zegar na ścianie, świadom, że będą mieli tylko godzinę na zawarcie umowy i podpisanie wszystkich niezbędnych prawnych dokumentów. W chwili, gdy wskazówka minutowa osiągnęła dwunastą, mężczyzna w zielonej muszce, koszuli w paski i tweedowej marynarce wszedł do pokoju. Arnold natychmiast wstał i powiedział:

– Dzień dobry, panie naczelniku.

– Dzień dobry, panie Hardcastle. Przykro mi pana poinformować, że spotkanie nie może się odbyć.

– Dlaczego? – spytał Seb, zrywając się z miejsca.

– Kiedy strażnik skrzydła otworzył celę Mellora dzisiaj o szóstej rano, stwierdził, że łóżko jest przewrócone, a on się powiesił, używając prześcieradła jako stryczka.

Seb opadł z powrotem na krzesło.

Naczelnik umilkł, żeby oswoili się z wiadomością, a potem rzeczowo stwierdził:

– Niestety, tu, w Belmarsh, samobójstwa są na porządku dziennym.

Kiedy Virginia przeczytała wzmiankę o samobójstwie Mellora na stronie jedenastej „Evening Standard", najpierw pomyślała, że wyschło kolejne źródło dochodów. Ale potem wpadła jej do głowy inna myśl.

17

– Tak rzadko zdarza się w dzisiejszych czasach zgromadzić całą rodzinę podczas weekendu – powiedziała Emma, kiedy po kolacji przeszli do salonu.

– I wszyscy wiemy, kto ponosi za to winę – rzekł Sebastian. – Mam tylko nadzieję, że wciąż cieszy cię twoja praca.

– Cieszy to nie jest właściwe słowo. Ale nie ma dnia, żebym nie myślała, jak mi się poszczęściło i jak przypadkowe spotkanie z Margaret Thatcher zmieniło całe moje życie.

– Jak to jest, kiedy się pracuje z panią premier? – spytała Samantha, nalewając sobie kawy.

– Szczerze mówiąc, nie widuję jej tak często, ale kiedy już się spotykamy, to ona dobrze wie, czym akurat się zajmuję.

– A czym się zajmujesz? – zagadnął Sebastian, usiadłszy na sofie przy żonie.

– Nowy projekt ustawy o państwowej służbie zdrowia za chwilę wyjdzie z Izby Gmin i trafi do Izby Lordów. Moim zadaniem będzie przeprowadzenie go w Izbie klauzula po klauzuli, przed odesłaniem go z powrotem do Izby Gmin z niewieloma, mam nadzieję, poprawkami opozycji.

– To nie będzie łatwe, skoro Giles spróbuje podstawiać ci nogę na każdym kroku – zauważyła Grace – chociaż spodziewam się, że go przyłapiesz na szczegółach.

– Możliwe, ale on wciąż jest jednym z najlepszych dyskutantów w obu izbach, mimo że został zepchnięty do tylnych ław.

– Czy stracił nadzieję wejścia do Gabinetu Cieni? – spytała Samantha.

– Chyba odpowiedź brzmi „tak", bo Michael Foot nie mógł być zadowolony z jego krytycznych uwag na temat incydentu z kurtką roboczą.

– Pojawienie się w Niedzielę Pamięci pod pomnikiem ku czci poległych na wojnie w kurtce roboczej dowodzi pewnego braku rozumu politycznego – zauważył Seb.

– Szkoda, że Giles nie trzymał buzi na kłódkę – powiedziała Grace, gdy Emma podała jej kawę.

– Strata przedniej ławy jest dla nas korzystna – stwierdził Seb. – Od kiedy Giles dołączył do rady nadzorczej Farthings, otworzył drzwi, do których nie mieliśmy kluczy.

– Członkostwo w radzie nadzorczej banku w City też nie przysporzyło mu sympatii Michaela Foota – rzekła Emma. – Więc nie przypuszczam, żebyśmy go ujrzeli na przedniej ławie, dopóki Partia Pracy nie będzie miała nowego przywódcy.

– I może nawet wtedy też nie – zauważył Seb. – Boję się, że następne pokolenie uzna Gilesa trochę za dinozaura i, cytując Trockiego, wyrzuci go na śmietnik historii.

– Dinozaura nie da się wcisnąć do kubła na śmieci – odezwał się Harry ze swojego fotela w rogu, gdzie nikt inny nie śmiałby usiąść.

Rodzina wybuchnęła śmiechem.

– Dość polityki – powiedziała Emma, zwracając się do Samanthy. – Chcę wiedzieć, co porabia Jessica i dlaczego nie spędza z nami weekendu.

– Myślę, że ma chłopaka – odparła Sam.

– Czy nie jest trochę za młoda? – spytał Harry.

– Dwudziestego skończy szesnaście lat – Seb przypomniał ojcu.

– Poznaliście go?

– Nie. W gruncie rzeczy nie mamy nawet prawa o nim wiedzieć – odpowiedział Seb. – Ale kiedy któregoś dnia porządkowałem jej pokój, zobaczyłem na ścianie przy jej łóżku, gdzie zwykle wisiał plakat zespołu Duran Duran, rysunek przedstawiający przystojnego młodego człowieka.

– Wciąż tęsknię za moją córką – powiedział smętnie Harry.

– Czasem z wielką przyjemnością bym ci odstąpił moją – rzekł Seb. – W zeszłym tygodniu przyłapałem ją, jak próbowała wymknąć się z domu w minispódniczce, wysokich obcasach i z uszminkowanymi na różowo ustami. Odesłałem ją do góry, kazałem zmyć szminkę i się przebrać. Zamknęła się w pokoju i od tej pory się do mnie nie odzywa.

– Co wiesz o tym chłopcu? – zapytał Harry.

– Chyba na imię ma Steve i wiemy, że jest kapitanem szkolnej drużyny piłki nożnej – wytłumaczyła Sam. – Więc podejrzewam, że Jessica czeka w długiej kolejce.

– Nie sądzę, żeby Jessica stała w kolejkach – wtrąciła Grace.

– A mój wnuczek? – zapytała Emma.

– Jake teraz chodzi i nie upada – powiedziała Sam – i przez większość czasu wędruje do najbliższego wyjścia, więc urwis

z niego. Na razie zawiesiłam na kołku pomysł powrotu do pracy, bo nie wyobrażam sobie oddania malucha pod opiekę niani.

– Podziwiam cię za to – rzekła Emma. – Czasami się zastanawiam, czy nie powinnam była podjąć takiej samej decyzji.

– Zgadzam się – powiedział Seb, wsparty o marmurowy kominek. – Jestem klasycznym przykładem kogoś, kto był wychowywany w warunkach deprywacji i skończył jako osobnik zdeprawowany.

– Gee, Officer Krupke – rzucił Harry.

– Nie miałem pojęcia, tato, że jesteś na bieżąco – powiedział Seb.

– Zabrałem twoją matkę na *West Side Story* w bristolskim Old Vicu z okazji rocznicy naszego ślubu. A jeżeli tego nie widziałeś, to powinieneś zobaczyć.

– Widziałem – rzekł Seb. – Farthings Kaufman jest największym sponsorem tego musicalu.

– Nigdy nie uważałem cię za anioła – skomentował Harry. – I z pewnością nie zauważyłem żadnej o tym wzmianki w twoim ostatnim sprawozdaniu o stanie portfolio.

– Włożyłem w to przedstawienie pół miliona z pieniędzy naszych klientów, ale uznałem, że to za wysokie ryzyko dla rodziny, chociaż ja sam się w to bawiłem.

– Więc jesteśmy stratni – zauważyła Grace.

– Mea culpa – przyznał Seb. – Uzyskaliście 7,9 procent rocznego zwrotu z kapitału, podczas gdy inni moi klienci osiągnęli 8,4 procent. *West Side Story* okazało się przebojem, jak mówi amerykański producent, który co kwartał przysyła mi czek.

– To może uwzględnisz nas przy następnym musicalu – powiedziała Emma.

– Nie będzie następnego musicalu, mamo. Nie trzeba było robić specjalnego rozeznania, żeby odkryć, że miałem szczęście nowicjusza. Siedem z dziesięciu widowisk na West Endzie przynosi stratę inwestorom. Jedno na dziesięć wychodzi na czysto, jedno przynosi godziwy zysk i tylko jedno na sto daje dwukrotny zwrot, i zwykle nie można w to wejść. Więc postanowiłem porzucić show-biznes, póki jestem do przodu.

– Aaron Guinzburg mi mówi, że następnym wielkim przebojem będzie *Sklepik z horrorami* – powiedział Harry.

– Farthings nie będzie inwestował w horrory – rzekł Seb.

– Dlaczego nie? – spytała Emma. – W końcu próbowałeś zainwestować w Mellor Travel.

– Nadal próbuję – przyznał Sebastian.

– To w co zainwestowałeś? – zagadnęła Emma.

– W korporację Imperial Chemical Industries, w holenderski koncern Shell, linie lotnicze British Airways i przedsiębiorstwo żeglugowe Cunard. Jedynym ryzykiem, jakie podjąłem w waszym imieniu, był zakup niewielu akcji nowego przedsiębiorstwa autobusowego Stagecoach i ucieszy cię wiadomość, że jednym z jego założycieli jest kobieta.

– I już wykazali niezły zysk – wtrącił Harry.

– Zastanawiam się też nad kupnem sporego portfela akcji spółki Thomas Cook, ale tylko jeśli uda się nam przejąć Mellor Travel.

– Nigdy specjalnie nie przepadałam za Desmondem Mellorem – przyznała Emma. – Ale żal mi było człowieka, gdy się

dowiedziałam, że popełnił samobójstwo.

– Barry Hammond nie jest przekonany, że to było samobójstwo.

– Ja też nie – rzekł Harry. – Gdyby William Warwick zajmował się tą sprawą, toby wytknął, że było za dużo przypadków.

– Na przykład? – spytał Seb, którego zawsze fascynował sposób myślenia ojca.

– Po pierwsze, Mellora znajdują powieszonego w celi w trakcie batalii o przejęcie jego firmy. Jednocześnie Adrian Sloane, jej prezes, ginie bez śladu.

– Nie wiedziałam o tym – zauważyła Emma.

– Miałaś ważniejsze sprawy na głowie niż czytanie „Bristol Evening Post" i prawdę mówiąc, też nie wiedziałbym o Mellorze, gdyby lokalne szmatławce nie miały obsesji na tym punkcie. Typowy tytuł to: „Bristolski biznesmen popełnia samobójstwo w więzieniu o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa". A kiedy prezes Mellor Travel jest proszony o wygłoszenie oświadczenia w imieniu spółki, słyszymy tylko, że „nie udało się z nim porozmawiać". Jeszcze bardziej zastanawiające jest to, że Jim Knowles, nazywany tymczasowym prezesem, zapewnia zaniepokojonych udziałowców, że „pracujemy normalnie" i że wkrótce ogłosi ekscytującą wiadomość. Trzy nieprawdopodobne zbiegi okoliczności i na pewno William Warwick chciałby wytropić Adriana Sloane'a, na wypadek gdyby mógł rzucić światło na tajemniczą śmierć Mellora.

– Ale naczelnik Belmarsh był przekonany, że to samobójstwo – rzekł Sebastian.

– Naczelnicy więzienni zawsze tak mówią, jeśli na ich terytorium zdarzy się śmierć – powiedział Harry. – To o wiele

wygodniejsze niż morderstwo, które by oznaczało wszczęcie śledztwa przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, co by zajęło prawie rok, zanim ogłoszono by werdykt. Nie, w tej sprawie czegoś brakuje, chociaż nie zgłębiłem jeszcze czego.

– Nie czego – rzekł Seb – tylko kogo. Mianowicie Conrada Sorkina.

– Kto to? – spytała Grace.

– Podejrzany typ, międzynarodowy biznesmen, który, jak dotąd przypuszczałem, współdziałał ze Sloane'em.

– Czy Sorkin kieruje firmą podróżniczą? – spytała Emma. – Jeżeli tak, to nigdy się z nim nie zetknęłam.

– Nie, Sorkina nie interesuje Mellor Travel. On chce położyć łapę na sklepach i biurach posiadanych przez spółkę, tak żeby osiągnąć szybki zysk.

– To jeden fragment układanki, o którym nie wiedziałem – rzekł Harry. – Ale może wyjaśnić inny zbieg okoliczności, który nie daje mi spokoju, mianowicie rolę odegraną w tej sprawie przez niejakiego pana Alana Cartera.

Wszyscy w pokoju z natężeniem utkwili wzrok w Harrym, nie chcąc przerywać pisarzowi.

– Alan Carter to lokalny agent nieruchomości, który do tego czasu odgrywał tylko drobną rolę w tej historii. Ale według mnie jego świadectwo może się okazać decydujące. – Harry nalał sobie następną porcję kawy, upił łyk, a potem ciągnął: – Jak dotąd Carter zasłużył tylko na sporadyczną wzmiankę w „Bristol Evening News", na przykład kiedy powiedział reporterowi zajmującemu się przestępczością, że bristolskie mieszkanie Mellora było wystawione na sprzedaż. Uznałem, że zrobił to po

prostu dla darmowej reklamy swojej firmy i żeby uzyskać lepszą cenę za nieruchomość klienta. Nie ma w tym nic złego. Ale jego drugie oświadczenie, uczynione w kilka dni po śmierci Mellora, uznałem za o wiele bardziej intrygujące.

– Przewróć stronę, przewróć stronę – zażądał Seb.

– Carter oznajmił dziennikarzowi, bez wyjaśnienia, że mieszkanie Mellora zostało sprzedane, ale że został poinstruowany przez swojego klienta, żeby złożyć część pieniędzy w depozycie. Chciałbym wiedzieć, jaką część polecono mu zatrzymać i dlaczego nie przekazał pełnej kwoty wykonawcom testamentu Mellora i pozwolił im zdecydować, kto ma prawo do tych pieniędzy.

– Czy myślisz, że Carter pracuje w sobotnie przedpołudnie? – spytał Seb.

– To jest zawsze najbardziej pracowite przedpołudnie dla agenta nieruchomości – rzekł Harry. – Ale nie takie pytanie powinieneś mi zadać, Seb.

– Czasem jesteś irytujący – rzuciła Emma.

– Zgadzam się – rzekł Seb.

– Więc jakie Seb powinien zadać pytanie? – zagadnęła Grace.

– Kto jest najbliższym krewnym Mellora.

Następnego ranka pięć przed dziewiątą Sebastian stał przed biurem Hudsona i Jonesa na ulicy Handlowej. Trzech agentów siedziało już za biurkami, czekając na pierwszych klientów.

Gdy otwarto drzwi, zgrabny napis na jednym z biurek informował, który z agentów to Alan Carter. Seb usiadł naprzeciwko młodego mężczyzny w garniturze w prążki, białej

koszuli i zielonym jedwabnym krawacie. Carter przyjaźnie uśmiechnął się do Seba.

– Czy pan chce kupić, czy sprzedać, a może jedno i drugie, panie...

– Clifton.

– Czy przypadkiem nie jest pan spokrewniony z lady Clifton?

– Jest moją matką.

– Zatem mam nadzieję, że przekaże jej pan moje najlepsze życzenia.

– Pan ją zna?

– Tylko jako prezeskę Królewskiego Szpitala Bristolskiego. Moja żona miała raka piersi i spotkała lady Clifton na oddziale podczas jej tygodniowych obchodów.

– W każdą środę rano, między dziesiątą a dwunastą – rzekł Seb. – Mówiła, że dzięki temu mogła się dowiedzieć, co naprawdę myślą pacjenci i personel.

– Mogę panu powiedzieć coś jeszcze – oznajmił Carter. – Kiedy mojego syna zrzucono z roweru i skręcił kostkę, ona znowu była obecna, tym razem na oddziale urazowym, gdzie przyglądała się wszystkiemu, co się dzieje.

– To musiało być w piątek po południu, między czwartą a szóstą.

– To mnie nie zdziwiło, ale zaskoczyło mnie, kiedy podeszła do mojej żony, żeby zamienić z nią parę słów, i nawet pamiętała jej imię. Więc niech pan tylko powie, czego pan chce, panie Clifton, ponieważ jestem pańskim człowiekiem.

– Obawiam się, że nie chcę nic kupić ani sprzedać, ale potrzebuję informacji.

– Jeżeli będę mógł, pomogę.

– Bank, który reprezentuję, jest obecnie zaangażowany w operację przejęcia Mellor Travel i zainteresowała mnie pańska wypowiedź dla miejscowej prasy na temat sprzedaży mieszkania pana Desmonda Mellora na Broad Street.

– Która z moich wielu wypowiedzi? – spytał Carter, wyraźnie zadowolony z okazanego mu zainteresowania.

– Powiedział pan reporterowi „Evening News", że zatrzymał pan część dochodu ze sprzedaży mieszkania, nie przekazując pełnej kwoty wykonawcom testamentu pana Mellora, co zaintrygowało mojego ojca.

– Bystry facet, ten pański ojciec. Czego nie można powiedzieć o reporterze, który nie pociągnął mnie za język.

– Hm, ja chciałbym pociągnąć pana za język.

– A gdybym panu pomógł, panie Clifton, czy byłoby to z korzyścią dla pana matki?

– Pośrednio, tak. Jeżeli mojemu bankowi uda się przejąć Mellor Travel, to moi rodzice skorzystają na tej transakcji, ponieważ ja zarządzam ich portfelem akcji.

– Tak żeby jedno mogło dalej pisać, a drugie kierować państwową służbą zdrowia?

– Coś w tym rodzaju.

– Między nami mówiąc – wyszeptał Carter, przechylając się konspiracyjnie przez biurko – od początku myślałem, że to dziwny interes. Klient, który może telefonować tylko raz w tygodniu i jest ograniczony do trzech minut, bo telefonuje z więzienia, już jako taki stanowi wyzwanie.

– Tak przypuszczam.

– Proszę pana, jego pierwsze polecenie było dość proste. Chciał wystawić swoje mieszkanie na sprzedaż z zastrzeżeniem, że cała transakcja musi zostać zakończona w ciągu trzydziestu dni.

Seb wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki książeczkę czekową i na odwrocie napisał „30 dni".

– Zatelefonował tydzień później i zwrócił się z prośbą, która mnie zdziwiła, bo myślałem, że jest bogatym człowiekiem.

Seb trzymał pióro w pogotowiu.

– Zapytał, czy mogę mu udzielić krótkoterminowej pożyczki dziesięciu tysięcy funtów zabezpieczonej na nieruchomości, ponieważ pilnie potrzebuje gotówki. Zacząłem mu tłumaczyć, że to jest niezgodne z polityką firmy, ale połączenie się przerwało.

Seb zanotował „10 000 funtów" i podkreślił to.

– Dwa tygodnie później mogłem mu powiedzieć, że znalazłem kupca na mieszkanie, który zdeponował u adwokata dziesięć procent ceny ofertowej, ale nie chce zawrzeć ostatecznej umowy, dopóki nie zobaczy raportu rzeczoznawcy. Pan Mellor zwrócił się z jeszcze dziwniejszą prośbą.

Seb wpatrywał się w agenta, łowiąc każde jego słowo.

– Kiedy mieszkanie zostanie sprzedane, miałem przekazać pierwsze dziesięć tysięcy funtów jego przyjaciółce z Londynu, ale dopiero po przedstawieniu dokumentu prawnego podpisanego przez niego, poświadczonego przez pana Gravesa, datowanego dwunastego maja 1981 roku.

Seb zapisał „przyjaciółka, 10 000 funtów, dokument prawny podpisany przez Mellora/Gravesa" i datę.

– Pozostała suma – ciągnął Carter – po potrąceniu naszych opłat, miała być zdeponowana na jego rachunku osobistym

w banku Nat West na Queen Street.

Seb dodał „Nat West Queen Street” do rosnącej listy.

– W końcu pozbyłem się tego mieszkania, ale dopiero po sporej obniżce ceny. Wtedy wykonałem co do joty polecenia pana Mellora.

– Czy nadal ma pan ten dokument? – spytał Seb, który czuł, jak mocno bije mu serce.

– Nie. Ale pewna dama zatelefonowała tu do biura i kiedy potwierdziłem, że trzymam dziesięć tysięcy w depozycie, wydawała się bardzo zainteresowana, dopóki nie dodałem, że nie mogę wydać pieniędzy, jeżeli nie okaże mi dokumentu podpisanego przez pana Mellora. Spytała, czy wystarczy kopia, ale powiedziałem, że muszę widzieć oryginał, aby przekazać te dziesięć tysięcy.

– Co na to powiedziała?

– Prawdę mówiąc, straciła opanowanie i zaczęła mi grozić. Powiedziała, że będę miał do czynienia z jej prawnikiem, jeżeli nie wręczę jej pieniędzy. Ale byłem stanowczy, proszę pana, i od tamtego czasu się nie odezwała.

– Całkiem słusznie.

– Cieszę się, że pan się zgadza, ponieważ kilka dni później wydarzyła się najdziwniejsza rzecz.

Seb uniósł brwi.

– Pewien miejscowy biznesmen pojawił się późnym popołudniem, akurat gdy mieliśmy zamykać biuro, i okazał oryginalny dokument, więc nie miałem wyboru i musiałem mu oddać te dziesięć tysięcy.

Seb zanotował „miejscowy biznesmen”. Musiał się teraz zgodzić z ojcem – Carter posiadał kilka klocków tej układanki. Jednak potrzebował odpowiedzi na jeszcze jedno pytanie.

– Jak się nazywa ta kobieta?

– Nie, panie Clinton – rzekł Carter po chwili wahania. – Myślę, że już i tak daleko się posunąłem. Mogę panu tylko powiedzieć, że to była dama jak pańska matka, ale niepodobna do pańskiej matki, bo wątpię, żeby zapamiętała moje imię.

Seb napisał „dama” na odwrocie książeczki czekowej, po czym podniósł się z miejsca.

– Dziękuję – powiedział, ściskając rękę panu Carterowi. – Był pan nadzwyczaj pomocny i przekażę mojej matce pana uprzejme uwagi.

– Cała przyjemność po mojej stronie, tylko mi przykro, że nie mogę podać panu nazwiska tej pani.

– Drobiazg – powiedział Seb. – Ale gdyby lady Virginia znów do pana zadzwoniła, proszę przekazać jej moje najlepsze życzenia.

18

Sebastian położył książeczkę czekową na stole przed sobą. Hakim Bishara, Arnold Hardcastle i Giles Barrington byli wyraźnie zaintrygowani, ale nic nie mówili.

– Spędziłem weekend w Somerset z rodzicami – powiedział Seb – i odkryłem, że mój ojciec niezwykle się interesuje śmiercią Desmonda Mellora. I podobnie jak Barry Hammond nie jest przekonany, że to było samobójstwo, a kiedy uzna się to za prawdopodobne, otwiera się kilka możliwości.

Trzej siedzący wokół stołu mężczyźni słuchali w skupieniu.

– Ojciec mi poradził, żebym w sobotę rano odwiedził agencję nieruchomości i porozmawiał z człowiekiem, który zajmował się sprzedażą bristolskiego mieszkania Mellora.

Seb spojrzał na długą listę ważnych punktów, które spisał na odwrocie książeczki czekowej podczas spotkania z Carterem. Po dwudziestu minutach skończył swoją opowieść i wytłumaczył uważnym słuchaczom, dlaczego myśli, że wspomniana dama to lady Virginia Fenwick, a lokalny biznesmen to nikt inny jak Jim Knowles.

– Ale jak ci dwoje mogli się spotkać? – spytał Giles. – Oni raczej nie bywają w tych samych kręgach.

– Zetknął ich z sobą Mellor – zasugerował Arnold.

– A połączył pieniądz – dodał Hakim – bo ta kobieta nie traciłaby czasu na żadnego z nich, gdyby nie widziała w tym korzyści.

– Ale to wciąż nie tłumaczy, dlaczego Mellor potrzebował tak szybko dziesięciu tysięcy gotówką – zauważył Giles. – Przecież był bardzo bogatym człowiekiem.

– Miał aktywa – rzekł Hakim – ale niekoniecznie gotówkę.

– Przez ostatnie dwa dni próbowałem to zrozumieć – powiedział Seb – ale oczywiście to mój ojciec wpadł na najbardziej prawdopodobne rozwiązanie. Uważa, że jeśli Mellor potrzebował pilnie takiej gotówki, to nie trzeba spoglądać poza więzienie. Zastanawiał się też, czy tajemnicze zniknięcie Adriana Sloane'a nie miało z tym coś wspólnego.

– Może Mellorowi grożono – podsunął Arnold. – To nie jest rzadkością, kiedy się uważa, że więzień ma pieniądze.

– Możliwe – rzekł Hakim – ale jeżeli on pilnie potrzebował pożyczki dziesięciu tysięcy funtów, to musiał zaproponować coś jako zabezpieczenie.

– Jak swoje mieszkanie w Bristolu – zasugerował Arnold.

– Ale nie zostało sprzedane w porę, żeby rozwiązać problem z brakiem gotówki, więc musiał znaleźć coś innego.

– Swoje udziały w Mellor Travel? – rzucił Giles.

– To wydaje się nieprawdopodobne – powiedział Hakim. – One są warte co najmniej półtora miliona, a on potrzebował tylko dziesięciu tysięcy.

– To zależy, na ile był zdesperowany – zauważył Giles.

– Dlatego jestem przekonany, że groził mu inny więzień – rzekł Arnold.

– Ale czemu miałby się zwrócić do Virginii – spekulował Giles – skoro to ona liczyła na jego pomoc finansową, a nie odwrotnie?

– Musiała być pośredniczką – rzekł Seb – i mój ojciec sugeruje, że dlatego wmieszany w to został Knowles.

– A kiedy sobie uświadomił, że może mu wpaść do kieszeni pięćdziesiąt jeden procent udziałów Mellor Travel, gdyby Mellor nie zdołał zapłacić dziesięciu tysięcy w ciągu trzydziestu dni...

– I dlatego mój ojciec jest przekonany, że to nie było samobójstwo, ale morderstwo – podsumował Seb.

– Jim Knowles to może jest i kawał drania – powiedział Arnold – ale nie wierzę, że posunął się do morderstwa.

– Podejrzewam, że tu na scenę wkracza Sorkin – oznajmił Seb.

– Jest jeszcze coś, co mogę wam powiedzieć z mojego doświadczenia – rzekł Arnold. – Płatni mordercy zwykle liczą sobie około dziesięciu tysięcy i na pewno jest ich kilku w Belmarsh.

Nastało długie milczenie, które przerwał Hakim.

– Więc gdyby Sorkin położył łapę na udziałach, to przy nieobecności Mellora spółka wpadłaby w jego ręce. I z pewnością nie ma szans, żebyśmy coś wydobyli od Knowlesa albo Sloane'a.

– To następna zagadka – odezwał się Seb. – Od ponad miesiąca nie ma śladu Sloane'a. Nie mogę uwierzyć, żeby zwiał na parę dni przed szansą zgarnięcia całej puli.

– Zgadzam się – powiedział Hakim. – Jednak podejrzewam, że jest jedna osoba, która mogłaby odpowiedzieć na wszystkie nasze

pytania.

– Lady Virginia Fenwick – stwierdził Sebastian. – Musimy tylko ustalić, kto się z nią skontaktuje.

– Zawsze możemy ciągnąć zapałki, żeby zobaczyć, kto ma się podjąć tego ryzykownego zadania.

– Nie ma potrzeby – rzekł Hakim. – Jest tylko jedna osoba, która może to załatwić. – Obrócił się i uśmiechnął do Gilesa.

– Ale ja nie rozmawiałem z Virginią od prawie trzydziestu lat – zaprotestował Giles – i trudno uwierzyć, że ona zechce mnie widzieć.

– Chyba że zaproponowałbyś jej coś, czemu się nie oprze – powiedział Seb. – W końcu wiemy, że Mellor był skłonny zapłacić dziesięć tysięcy funtów, żeby dostać z powrotem ten dokument, więc musisz się tylko dowiedzieć, ile zechce Virginia za przekazanie ci kopii.

– Skąd możemy wiedzieć, że ona ma kopię? – spytał Arnold.

– To kolejna informacja przekazana uprzejmie przez pana Cartera – rzekł Seb.

– Powstaje pytanie – zauważył Hakim – kto ma oryginał?

– Knowles – stwierdził Seb bez wahania. – Nie zapominaj, że to on odebrał te dziesięć tysięcy od Cartera.

– Ale w czyim imieniu? – spytał Arnold.

– Kręcimy się w kółko – uznał Hakim – które lady Virginia na pewno wyprostuje. – Obrócił się znów i uśmiechnął do Gilesa.

Giles przez dłuższy czas się zastanawiał, w jaki sposób zwrócić się do Virginii. List sugerujący spotkanie byłby stratą czasu, gdyż z dawnego doświadczenia wiedział, że często mijało kilka dni, zanim otwierała pocztę, a nawet gdyby to zrobiła,

najprawdopodobniej nie zawracałaby sobie głowy, żeby mu odpowiedzieć. Kiedy ostatnio do niej zatelefonował, rzuciła słuchawkę, zanim miał szansę powiedzieć drugie zdanie. A gdyby pojawił się niezapowiedziany, mogłoby się skończyć spoliczkowaniem albo zatrzaśnięciem mu drzwi przed nosem, albo jednym i drugim. To Karin wpadła na rozwiązanie.

– Tę kobietę interesuje tylko jedno – powiedziała – więc musisz ją przekupić.

Posłaniec z DHL doręczył kopertę z napisem „Pilne i prywatne" do mieszkania Virginii w Chelsea następnego dnia rano i nie odchodził, dopóki nie pokwitowała odbioru. W ciągu godziny zatelefonowała do Gilesa.

– Czy to jakiś żart? – zapytała.

– Skądże. Chciałem tylko się upewnić, że zwrócę twoją uwagę.

– Cóż, udało ci się. Zatem co muszę zrobić, żeby cię nakłonić do wypisania czeku.

– Dostarcz mi kopię dokumentu, który chciał zobaczyć pan Carter przed wydaniem dziesięciu tysięcy funtów.

Virginia odezwała się po długim milczeniu:

– Dziesięć tysięcy nie wystarczy, bo dobrze wiem, dlaczego tak ci zależy na tym dokumencie.

– Ile?

– Dwadzieścia tysięcy.

– Upoważniono mnie, żebym podniósł najwyżej do piętnastu tysięcy – powiedział Giles tonem, jak miał nadzieję, przekonującym.

Znowu długie milczenie.

– Jak otrzymam czek na piętnaście tysięcy funtów, wyślę ci kopię dokumentu.

– Nie sądzę, Virginio. Wręczę ci czek, jak mi dasz kopię dokumentu.

Virginia znowu umilkła, aż wreszcie powiedziała:

– Kiedy i gdzie?

Następnego dnia, za piętnaście trzecia po południu, Giles pchnął obrotowe drzwi i wszedł do hotelu Ritza. Udał się prosto do Sali Palmowej i wybrał stolik, z którego mógł dostrzec Virginię, w chwili gdy się pojawi.

Dla zabicia czasu przerzucił strony „Evening Standard", ale i tak co chwila podnosił głowę i spoglądał na zegarek. Wiedział, że Virginia nie będzie punktualna, zwłaszcza po tym, jak ją sprowokował, ale był też pewien, że nie przyjdzie zbyt późno, bo Coutts zamykał się o piątej, a ona będzie chciała zrealizować czek przed pójściem do domu.

Kiedy jedenaście po trzeciej Virginia wkroczyła do herbaciarni, Gilesa zamurowało. Nikt by nie uznał za prawdopodobne, że ta elegancka kobieta przekroczyła sześćdziesiątkę. W istocie kilku mężczyzn odprowadzało ją spojrzeniem, kiedy „najklawsza sztuka w spelunie", by zacytować Bogarta, wolno szła na spotkanie z byłym mężem.

Giles wstał na powitanie. Kiedy się pochylił, żeby pocałować ją w oba policzki, delikatny zapach gardenii wzbudził wiele wspomnień.

– Tak dawno się nie widzieliśmy, mój drogi – powiedziała miękko, siadając naprzeciw niego. Po nieznacznej przerwie dodała: – A ty tak bardzo przytyłeś.

Czar prysł i Giles szybko sobie przypomniał, dlaczego do niej nie tęskni.

– Przejdźmy od razu do interesu – ciągnęła, otwierając torebkę i wyjmując kopertę. – Dam ci to, po co przyszedłeś, ale dopiero jak mi wręczysz mój czek.

– Muszę zobaczyć dokument, zanim będę skłonny rozstać się z pieniędzmi.

– Musisz mi zaufać, mój drogi.

Giles stłumił uśmiech.

– Bo jeżeli pozwolę ci go przeczytać, możesz uznać, że nie musisz mi już płacić.

Giles nie mógł zaprzeczyć jej logice.

– Może zgodzimy się na kompromis – zasugerował. – Pokażesz mi ostatnią stronę dokumentu z podpisem Mellora i datą, a ja pokażę ci czek.

Virginia chwilę się namyślała, a potem rzuciła:

– Najpierw chcę zobaczyć pieniądze.

Giles wyjął czek na piętnaście tysięcy funtów z wewnętrznej kieszeni marynarki i jej pokazał.

– Nie podpisałeś go.

– Podpiszę, jak tylko zobaczę podpis Mellora.

Virginia powoli otworzyła kopertę, wyjęła z niej cienki plik – dokument prawny – i odwróciła go na trzecią stronę. Giles przechylił się i obejrzał podpis Mellora poświadczony przez Colina Gravesa, wyższego rangą strażnika więziennego, datowany 12 maja 1981 roku.

Położył czek na stole, podpisał go i podsunął Virginii. Wahała się chwilę, uśmiechnęła się figlarnie, wsunęła dokument

z powrotem do koperty i podała Gilesowi. Umieścił go w teczce, a potem od niechcenia spytał:

– Skoro ty masz tylko odbitkę, to kto ma oryginał?

– To cię będzie kosztowało dalsze pięć tysięcy.

Giles wypisał drugi czek i jej podał.

– Ale tu jest tylko tysiąc – zaprotestowała Virginia.

– Dlatego że myślę, że już wiem, kto to jest. Jedyna zagadka, to jak dostał to w swoje ręce.

– Powiedz mi nazwisko i jeśli się pomylisz, podrę ten czek i możesz wtedy wypisać następny na pięć tysięcy.

– Jim Knowles zabrał go od Cartera w imieniu Conrada Sorkina.

Drugi czek dołączył do pierwszego w torebce Virginii i chociaż Giles naciskał ją, było oczywiste, że ona nie zamierza mu powiedzieć, jak oryginał trafił w ręce Sorkina, zwłaszcza że, tak jak on, podejrzewała, że Desmond nie popełnił samobójstwa, i nie chciała być w to zamieszana.

– Napijesz się herbaty? – zaproponował Giles, mając nadzieję, że odmówi, i będzie mógł wrócić do banku, gdzie czekali na niego pozostali trzej towarzysze.

– Jaki miły pomysł – powiedziała Virginia. – Przypominają się dawne czasy.

Giles przywołał kelnera i zamówił herbatę dla dwóch osób, ale bez ciastek. Zastanawiał się, o czym mają rozmawiać, kiedy Virginia rozwiązała ten problem.

– Myślę, że mam jeszcze coś, co byś chciał dostać – powiedziała z takim samym figlarnym uśmiechem.

Giles nie był na to przygotowany. Usiadł wygodnie, udawał odprężonego, zastanawiając się, czy Virginia bawi się jego kosztem, czy rzeczywiście ma coś ciekawego do zaoferowania.

Zjawił się kelner i postawił na środku stołu dzbanek z herbatą i zestaw cieniutkich jak opłatek kanapek.

Virginia podniosła dzbanek.

– Mogę nalać ci herbaty? Z mlekiem i bez cukru, jeżeli dobrze pamiętam.

– Dziękuję – rzekł Giles.

Nalała im obojgu po filiżance herbaty. Giles czekał niecierpliwie, podczas gdy ona dolała odrobinę mleka, wrzuciła dwie kostki cukru i dopiero wtedy przemówiła:

– Taka szkoda, że koroner uznał, że biedny Desmond umarł, nie pozostawiwszy testamentu.

Upiła łyk herbaty.

– Earl Grey – zauważyła, a potem dodała: – Będzie trudno udowodnić, że jest inaczej, przed dwunastym czerwca, kiedy spółka dostanie się w ręce tego miłego pana Sorkina, który za jedyne dziesięć tysięcy funtów nabędzie uprawnień do pięćdziesięciu jeden procent udziałów Mellor Travel, a te, jak oceniam, są warte przynajmniej półtora miliona, a może więcej.

– Rada nadzorcza Farthings już rozważała ten problem – powiedział Giles – i kwestię, kto może zostać uznany przez sąd za najbliższego krewnego Mellora. Arnold Hardcastle stwierdził, że przy dwóch byłych żonach i jednej córce, z którą stracił kontakt, i dwojgu pasierbów batalia prawna może potrwać lata.

– Zgadzam się – rzekła Virginia, pociągając znowu łyk herbaty. – O ile, oczywiście, ktoś nie znajdzie testamentu.

Giles patrzył z niedowierzaniem, gdy Virginia znowu otworzyła torebkę i wyjęła z niej wąską, manilową kopertę, którą podsunęła mu pod oczy. Przyjrzał się starannemu, kaligraficznemu pismu, które głosiło: „Testament Desmonda Mellora” z 12 maja 1981 roku.

– Ile? – spytał Giles.

19

Sebastian wysiadł z samolotu i dołączył do innych pasażerów, podążających do najbardziej ruchliwego terminalu na świecie. Ponieważ miał tylko torbę podróżną, skierował się wprost do stanowiska odprawy celnej. Urzędnik podstemplował mu paszport, uśmiechnął się i powiedział:

– Witamy w Ameryce, panie Clifton.

Sebastian wyszedł z lotniska i stanął w długiej kolejce do taksówek. Już zdecydował, że uda się od razu do ostatniego znanego adresu Kelly Mellor w South Side w Chicago, który Virginia podała dopiero po wyłudzeniu następnych pięciu tysięcy funtów od Gilesa. Prezes uważał, że gdyby Kelly tam mieszkała, to ta informacja byłaby warta każdego pensa, ponieważ zależało mu, aby spadkobierczyni Desmonda Mellora jak najszybciej przybyła do Anglii. Wszystko musiało być gotowe na rozstrzygające posiedzenie rady nadzorczej za dziesięć dni, kiedy zapadnie decyzja, czy Thomas Cook, czy Sorkin International przejmie Mellor Travel, a obecność Kelly Mellor może się okazać decydująca.

Usiadł z tyłu żółtej taksówki i podał kierowcy adres. Taksiarz przyjrzał się Sebowi. Odwiedzał tę dzielnicę mniej więcej raz w miesiącu – i tak za często.

Seb oparł się wygodnie i rozmyślał o tym, co się zdarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Giles wrócił do banku tuż po piątej, uzbrojony nie tylko w kopię dokumentu prawnego, z którego wynikało, że Mellor zaryzykował utratę 51 procent udziałów spółki za zaledwie dziesięć tysięcy funtów, ale dodatkowo z jedynym listem, jaki Mellor kiedykolwiek napisał do swojej córki, wręczonym przez Virginię. Bez wątpienia uzyskanym po groźbie, że jeżeli Giles nie zapłaci, to ona go spali na jego oczach. Nadpalony dolny prawy róg świadczył o tym, że Giles nie przestał się targować do chwili, gdy Virginia zapaliła zapałkę.

– Musimy działać szybko – powiedział Hakim. – Zostało tylko jedenaście dni do najbliższego posiedzenia rady nadzorczej Mellor Travel, na którym zostanie podjęta decyzja, kto przejmie spółkę.

Tym razem prezes poruczył Sebastianowi zadanie nie do pozazdroszczenia: miał się udać do Chicago i przywieźć do Londynu jedyną osobę, która mogła nie dopuścić do przejęcia Mellor Travel przez Sorkina, chociaż był też plan B.

Seb wsiadł do pierwszego samolotu odlatującego z Heathrow do Chicago i do czasu, kiedy samolot wylądował na lotnisku O'Hare, przemyślał każdy możliwy scenariusz – z wyjątkiem jednego. Nie mógł właściwie być pewien, czy córka Mellora mieszka przy Taft Road pod numerem 1532, ponieważ nie miał sposobu, żeby się z nią skontaktować i uprzedzić, że przybywa, chociaż był przekonany, że jeśli tam jest, to gdy usłyszy jego propozycję, poczuje się, jakby wygrała los na loterii.

Gdy wjechali w Taft Road, wyjrzał przez okno samochodu i natychmiast pojął, dlaczego taksówki nie jeżdżą tam nocą, szukając klientów. Rząd za rzędem walących się drewnianych domów, od lat nietkniętych pędzlem, w których nikomu się nie chciało zamykać drzwi na dwa spusty, bo nie było tam nic, co warto by skraść.

Kiedy taksówka podjechała pod numer 1532, Sebastian poczuł się pewniej. Półtora miliona funtów z pewnością na zawsze zmieni życie Kelly Mellor. Spojrzał na zegarek; tuż po szóstej po południu. Teraz mógł liczyć tylko na to, że ją zastanie. Taksówka prędko odjechała, zanim zdążył dać kierowcy napiwek.

Seb powędrował krótką dróżką pomiędzy dwoma marnymi spłachetkami trawy, których nawet najbardziej kreatywny agent nieruchomości nie mógłby nazwać ogródkiem. Zapukał do drzwi, cofnął się o krok i czekał. Po chwili drzwi zostały otwarte przez osobę, która nie mogła być Kelly Mellor, bo wyglądała na pięć albo sześć lat.

– Cześć, jestem Sebastian. A ty kim jesteś?

– Kto pyta? – rzucił ktoś niskim, szorstkim głosem.

Seb spojrzał na przysadzistego, muskularnego mężczyznę, który wyłonił się z cienia. Miał na sobie brudny podkoszulek z nadrukiem „Marciano” i levisy, które wyglądały, jakby ich nie zdejmował przez miesiąc. Wytatuowany wąż wił się wzdłuż każdego umięśnionego ramienia.

– Nazywam się Sebastian Clifton. Chciałem się dowiedzieć, czy mieszka tutaj Kelly Mellor.

– Pan z fiskusa?

– Nie – odparł Seb, tłumiąc śmiech.

– To może z tych pieprzonych Służb Ochrony Dziecka?

– Nie. – Sebowi już nie chciało się śmiać, bo zauważył na ramionku dziewczynki ślad sińca. – Przyleciałem z Anglii, żeby zawiadomić Kelly, że jej ojciec umarł i zapisał jej w testamencie trochę pieniędzy.

– Ile?

– Jestem upoważniony do ujawnienia szczegółów tylko najbliższej rodzinie pana Mellora.

– Jak to jest szwindel – powiedział mężczyzna, zaciskając pięść – to rozkwaszę ci tę twoją ładną buźkę.

Seb ani drgnął.

Bez dalszych słów mężczyzna odwrócił się i rzekł:

– Chodź pan za mną.

Gdy Seb wszedł do domu, od razu uderzył go smród: do połowy opróżnione tace z fast foodem, niedopałki i puste puszki po piwie zawalały mały pokój umeblowany dwoma krzesłami nie do pary, sofą i najnowszym magnetowidem. Sebastian nie usiadł, ale uśmiechnął się do dziewczynki, która stała teraz w kącie i wpatrywała się w niego.

– Kelly! – wrzasnął mężczyzna z całych sił, nie obejrzawszy się. Nie spuszczał wzroku z Seba.

Po chwili ukazała się kobieta w szlafroku z wyhaftowanym napisem „The Majestic Hotel”. Wyglądała na wyniszczoną, chociaż Seb wiedział, że ma tylko dwadzieścia kilka lat. Ale niewątpliwie była matką dziewczynki i miała jeszcze coś innego wspólnego z dzieckiem – kilka siniaków, a na własny rachunek podbite oko, czego nie mógł ukryć gruby makijaż.

– Ten gość gada, że twój stary umarł i zostawił ci trochę forsy, ale nie chce mi powiedzieć ile.

Seb zauważył, że mężczyzna wciąż ma zaciśniętą prawą pięść. Widział, że Kelly za bardzo się boi, żeby się odezwać. Spoglądała bez przerwy na drzwi, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że powinien jak najprędzej wyjść.

– Ile? – powtórzył mężczyzna.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów – powiedział Seb, uznawszy, że suma półtora milionów funtów zostanie przyjęta z niedowierzaniem i sprawi, że nie będzie mógł się pozbyć faceta.

– Pięćdziesiąt patyków? Dawaj.

– To nie takie proste.

– Jak to jest kant – rzucił mężczyzna – to lepiej, żebyś nigdy nie wysiadł z tego samolotu.

Seb się dziwił, że nie czuje strachu. Był pewien, że dopóki ten drab myśli, że dorwie psim swędem łatwą forsę, ma nad nim przewagę.

– To nie jest kant – spokojnie powiedział. – Ale ponieważ to jest taka duża suma, Kelly musi pojechać ze mną do Anglii i podpisać dokumenty prawne, żebyśmy mogli przekazać jej spadek.

W istocie Seb miał wszystkie potrzebne dokumenty w torbie podróżnej, na wypadek gdyby Kelly nie chciała wracać do Anglii, plan B. Potrzebny był tylko podpis i świadek, żeby mógł jej wręczyć przekaz bankowy na pełną sumę w zamian za 51 procent udziałów Mellor Travel. Ale teraz, kiedy spotkał partnera Kelly, to odpadało. Sebastian porzucił plany A, B i C i teraz gorączkowo myślał.

– Ona nigdzie się beze mnie nie ruszy – oznajmił mężczyzna.

– W porządku – rzekł Seb. – Tylko musi pan zapłacić za bilet lotniczy do Londynu.

– Nie wierzę w ani jedno twoje pieprzone słowo – rzucił mężczyzna, schwycił nóż do steków i zaczął się zbliżać do Seba.

Po raz pierwszy Seb się przestraszył, ale nie ruszył się z miejsca, a nawet zaryzykował:

– To mi nie robi różnicy – powiedział, patrząc prosto na Kelly. – Jeżeli ona nie chce tych pieniędzy, to automatycznie dostanie je jej młodsza siostra. – Zawahał się przez chwilę. – Maureen.

Seb ani na moment nie spuszczał z Kelly wzroku.

– Nie wiedziałem, że masz siostrę – warknął mężczyzna, obracając się do Kelly i rzucając jej gniewne spojrzenie.

Seb dał Kelly znak prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy.

– Ja, ja nie widziałam jej od lat, Richie. Nawet nie wiedziałam, że jeszcze żyje.

Powiedziała mu wszystko, co potrzebował wiedzieć.

– Maureen jest pełna życia – rzekł Seb. – I ma nadzieję, że Kelly nie wróci do Anglii.

– To lepiej niech się zastanowi – powiedział Richie. – Tylko dopilnuj, żeby ta dziwka wróciła z moją forsą – dodał i ściskał tak mocno rękę dziewczynki, że aż wybuchnęła płaczem – bo jak nie, to więcej nie zobaczy Cindy. To co teraz?

– Mój samolot odlatuje do Londynu jutro rano o dziesiątej i mogę podjechać po Kelly około ósmej.

– Pięćset dolarów mnie przekona, że pan tu wrócisz – rzekł Richie, wymachując nożem Sebowi przed nosem.

– Nie mam tyle przy sobie – powiedział Seb, wyciągając portfel. – Ale mogę panu dać wszystko, co mam.

Podał mężczyźnie ponad 345 dolarów, które prędko zniknęły w tylnej kieszeni dżinsów.

– Przyjadę po panią jutro o ósmej rano – rzekł Seb.

Kelly skinęła głową, ale się nie odezwała. Seb uśmiechnął się do dziewczynki i wyszedł bez pożegnania.

Gdy znalazł się na ulicy, ruszył w długą wędrówkę do swojego hotelu w centrum miasta, zdając sobie sprawę, że minie trochę czasu, zanim znajdzie taksówkę. Zaklął. Gdyby tylko wiedział, że Kelly ma córkę.

Sebastian obudził się o drugiej w nocy, kiedy w Londynie była ósma rano. Chociaż zamknął oczy, wiedział, że nie zaśnie, gdyż znajdował się na innym kontynencie i zegar w jego organizmie odliczał czas inaczej. A zresztą nie mógł przestać myśleć o tym, jak to się stało, że Kelly Mellor żyje w takich warunkach i z takim mężczyzną. Musi chodzić o dziecko.

Kiedy zegar na pobliskiej wieży kościelnej wybił trzecią, Seb zatelefonował do Hakima do banku i szczegółowo mu opowiedział o swoim spotkaniu z Richiem, Kelly i Cindy.

– To przykre, jeżeli będzie musiała wrócić do Chicago, skoro chce być z córką – brzmiały pierwsze słowa Hakima.

– Żadna matka nie chciałaby zostawić dziecka z takim potworem – powiedział Seb. – W gruncie rzeczy nie jestem nawet pewien, czy jak tam wrócę, ona nie zmieni zdania i nie zechce zostawić córki.

– Zastanawiam się, czy nie pozwoliłby jej zabrać córeczki, gdybyś dał mu tysiąc dolarów w gotówce.

– Nie sądzę. Ale może dwadzieścia pięć tysięcy by go przekonało.

– Sam zdecyduj, jaki będzie plan C – rzekł Hakim. – Ale pamiętaj, na wszelki wypadek miej przy sobie tysiąc dolarów – dodał, odkładając słuchawkę.

Seb wziął długi, gorący prysznic, ogolił się, ubrał, a potem zszedł na dół i dołączył do innych rannych ptaszków na śniadanie. Przeglądając kartę dań, uświadomił sobie, że zapomniał, jak dużo Amerykanin może zjeść z samego rana. Grzecznie odmówił propozycji podania gofrów w syropie klonowym, jajecznicy, kiełbaski, bekonu i smażonych ziemniaków w plasterkach, a poprosił o muesli i gotowane jajko.

Wymeldował się z hotelu tuż po wpół do ósmej. Portier przywołał taksówkę i znowu kierowca zrobił zdziwioną minę, gdy Seb podał mu adres.

– Zabieram kogoś – wytłumaczył – a potem pojedziemy na lotnisko.

Taksówka zajechała pod numer 1532 przy ulicy Taft kilka minut przed ósmą i rzuciwszy okiem na dom, taksówkarz zostawił włączony silnik. Seb postanowił siedzieć spokojnie w wozie prawie do ósmej, żeby nie zezłościć Richiego bardziej niż to konieczne. Ale nie zauważył, że dwie pary oczu wyglądają z nadzieją przez okno, a po chwili otworzyły się drzwi domu i wybiegła z nich w podskokach mała dziewczynka. Jej matka cicho zamknęła drzwi i też puściła się biegiem.

Pochyliła się i prędko otworzyła tylne drzwi taksówki, żeby obie mogły wskoczyć do środka. Kelly zatrzasnęła drzwi i krzyknęła:

– Jedźmy, jedźmy, na miły Bóg, jedźmy!

Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z drzwi domu. Kierowca z ochotą posłuchał jej polecenia.

Gdy skręcili za róg i skierowali się na lotnisko, Kelly głęboko odetchnęła z ulgą, ale nie przestała tulić córeczki. Upłynęło trochę czasu, zanim doszła do siebie na tyle, by powiedzieć:

– Richie wrócił dopiero o drugiej w nocy i był tak pijany, że z trudem trzymał się na nogach. Padł na łóżko i od razu zasnął. Prawdopodobnie nie wstanie do południa.

– A wtedy pani i Cindy będziecie w połowie drogi nad Atlantykiem.

– I, panie Clifton, jedno jest pewne. Nie wrócimy tu – oznajmiła, wciąż tuląc córeczkę. – Nie mogę się doczekać, kiedy znów zobaczę Bristol. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów to aż za dużo, żeby kupić sobie własne mieszkanko, znaleźć pracę i posłać Cindy do przyzwoitej szkoły.

– To nie jest pięćdziesiąt tysięcy – powiedział cicho Seb.

Kelly wpadła w popłoch, przejął ją strach na myśl, że może wrócić na ulicę Taft z pustymi rękami. Seb wyjął z teczki kopertę zaadresowaną do panny Kelly Mellor i jej podał.

Rozdarła ją i wyjęła list. W miarę czytania jej oczy otwierały się coraz szerzej z niedowierzania.

Więzienie Jej Królewskiej Mości Belmarsh
Londyn
12 maja 1981

Kochana Kelly,

To pierwszy list, jaki piszę do Ciebie, i boję się, że może być ostatni. Myśl o śmierci sprawiła, że się opamiętałem. Jest za późno, żeby ci wynagrodzić, że byłem beznadziejnym ojcem, ale przynajmniej chcę ci umożliwić lepsze życie niż to, jakie prowadziłem.

Kierując się tą myślą, postanowiłem zostawić ci wszystkie moje dobra doczesne w nadziei, że z czasem zdołasz mi wybaczyć. Pierwszy przyznam, że moje życie nie było nienaganne, nic podobnego, ale przynajmniej ten drobny gest pozwoli mi opuścić ten świat z poczuciem, że dla odmiany zrobiłem coś przyzwoitego. Jeżeli masz dzieci, Kelly, to koniecznie zapewnij im możliwości, jakich ja Tobie nie dałem.

Twój,
Desmond Mellor (AZ2178)

Poświadczył Colin Graves, starszy strażnik więzienny.

PS Możesz uznać za dziwne, że list do córki podpisuję imieniem i nazwiskiem i na świadka powołuję strażnika więziennego. Robię to po to, żeby ten list został uznany za mój testament.

List upadł na podłogę taksówki, ale tylko dlatego, że Kelly zemdlała.

20

– Dzisiaj rada nadzorcza musi zdecydować – powiedział prezes – kto wprowadzi Mellor Travel w dwudziesty pierwszy wiek. Dwie bardzo szacowne firmy, Sorkin International i Thomas Cook, oferują po dwa miliony funtów za naszą spółkę, ale to my przesądzimy, która z nich najbardziej odpowiada naszym obecnym potrzebom. W tym momencie powinienem wspomnieć – ciągnął Knowles – że napisałem zarówno do pana Sorkina, jak i pana Brooka z firmy Thomas Cook, i zaprosiłem ich, żeby wystąpili przed naszą radą, abyśmy mogli ocenić ich oferty pod względem merytorycznym. Pan Brook nie odpowiedział na moje zaproszenie. Tłumaczcie to, jak chcecie. – Knowles nie dodał, że chociaż podpisał list do Brooka przed tygodniem, to wysłał go dopiero wczoraj. – Natomiast pan Sorkin nie tylko odpowiedział natychmiast, ale przerwał swoje pilne zajęcia, żeby być dziś z nami, i rano zdeponował dwa miliony funtów w naszym banku na dowód swoich intencji.

Knowles się uśmiechnął, ale wszak już mu obiecano, że następny milion zostanie przelany na konto numerowane w banku Pieter & Cie w Genewie, do podjęcia, gdy Conrad

Sorkin obejmie kontrolę nad spółką. Knowles nie wiedział, że Sorkin nigdy nie zamierzał zapłacić dwóch milionów za spółkę. Za kilka godzin zostanie właścicielem pięćdziesięciu jeden procent udziałów Mellor Travel i wszyscy siedzący wokół stołu w sali posiedzeń rady nadzorczej, z Knowlesem włącznie, zostaną bez pracy, a Knowles może się pożegnać ze swoim milionem, bo nie będzie już prezesem.

– A więc – ciągnął Knowles – chciałbym teraz poprosić pana Sorkina, żeby przedstawił radzie nadzorczej, jak widzi przyszłość Mellor Travel, jeżeli zaakceptujemy jego ofertę przejęcia.

Sorkin ubrany w świetnie skrojony ciemnoszary garnitur, białą koszulę i szkarłatno-żółty krawat Marylebone Cricket Club, którego nie miał prawa nosić, wstał z miejsca na drugim końcu stołu.

– Panie prezesie, na początek powiem panom trochę o filozofii mojej firmy. Po pierwsze i najistotniejsze, Sorkin International wierzy w ludzi i dlatego najważniejsi są jej pracownicy, począwszy od herbaciarki, a skończywszy na dyrektorze naczelnym. Nade wszystko wierzę w lojalność i ciągłość, i mogę zapewnić członków rady nadzorczej, że nikt obecnie zatrudniony w Mellor Travel nie powinien się obawiać, że straci pracę. Uważam siebie wyłącznie za strażnika spółki, który pracuje niestrudzenie w imieniu jej udziałowców. Więc zapewniam was na samym początku, że jeżeli Sorkin International będzie mieć to szczęście i przejmie Mellor Travel, możecie oczekiwać szybkiego powiększenia liczby zatrudnionych, ponieważ zamierzam zatrudnić więcej, nie mniej personelu i mam nadzieję, że we właściwym czasie to Mellor Travel złoży ofertę przejęcia firmy Thomasa Cooka, nie na odwrót.

To oczywiście będzie wymagać zainwestowania wielkiego kapitału, do czego chętnie się przed panami zobowiązuję. Ale moja spółka będzie też wymagać mocnej i godnej zaufania ręki u rumpla. Parafrazując Oscara Wilde'a: „Stratę jednego z prezesów można uznać za nieszczęście. Utrata obojga wygląda na niedbalstwo...".

Knowles ucieszył się, widząc, że kilku członków rady się uśmiecha.

– Mając to na uwadze – ciągnął Sorkin – myślę, że jest ważne, aby okazać zaufanie nie tylko waszemu prezesowi, ale całej radzie. Więc stwierdzam wyraźnie, że jeżeli dzisiaj wybierzecie panowie moją firmę, aby przejęła Mellor Travel, to poproszę Jima Knowlesa, żeby był dalej prezesem, i będę prosił każdego z was o pozostanie w radzie nadzorczej.

Tym razem nie uśmiechał się tylko jeden członek rady nadzorczej.

– Więc pracujmy razem i prędko doprowadźmy spółkę do dawnego stanu, a potem cieszmy się jej rozwojem, tak aby Mellor International była przedmiotem zazdrości branży podróżniczej całego świata. Pozwólcie, panowie, że zakończę stwierdzeniem, że mam nadzieję, iż uznacie mnie za właściwą osobę, która wprowadzi spółkę w następne stulecie.

Sorkin usiadł wśród okrzyków „Racja, racja!", a jeden z członków rady nadzorczej nawet poklepał go po plecach.

– Panowie – rzekł Knowles – skoro prezes firmy Thomasa Cooka się nie zjawił, więc może powinniśmy przejść do następnego punktu i zdecydować, która spółka powinna przejąć Mellor

Travel, Sorkin International czy Thomas Cook. Teraz poproszę naszego głównego księgowego o przeprowadzenie głosowania.

Pan Arkwright wolno podniósł się z miejsca i powiedział:

– Proszę członków rady, którzy chcą oddać głos na rzecz spółki Sorkin International, o podniesienie...

Drzwi sali posiedzeń rady nadzorczej gwałtownie się otworzyły i do środka weszło trzech mężczyzn i kobieta.

– Co to za najście? – spytał Knowles, podrywając się z miejsca. – To jest poufne posiedzenie rady nadzorczej i nie macie prawa tutaj być.

– Myślę, że uzna pan, że mamy takie prawo – pierwszy odezwał się Arnold Hardcastle. – Jak pan wie, panie Knowles, jestem reprezentantem prawnym banku Farthings Kaufman i dzisiaj towarzyszą mi pan Sebastian Clifton, dyrektor naczelny banku, oraz pan Ray Brook, prezes spółki Thomasa Cooka, który dopiero dzisiaj rano otrzymał zaproszenie na to spotkanie.

– A ta młoda kobieta? – spytał Knowles, nie ukrywając sarkazmu. – Kto ją zaprosił?

– Ona nie otrzymała zaproszenia – powiedział Hardcastle. – Ale panna Mellor sama wytłumaczy radzie nadzorczej, dlaczego tu jest.

Knowles padł na krzesło niby powalony ciosem boksera wagi ciężkiej.

Sebastian posłał Kelly krzepiący uśmiech. Podczas niezliczonych godzin zeszłego tygodnia przygotowywał swoją protegowaną na ten moment. Okazała się pojętną uczennicą. Już nie była tym nędznie odzianym stworzeniem z sińcem pod okiem – teraz młoda kobieta stojąca przed radą nadzorczą

przejawiała pewność siebie osoby w pełni świadomej swojej siły jako większościowego udziałowca Mellor Travel. Mało kto by w niej poznał tę samą osobę, którą Sebastian spotkał w Chicago zaledwie kilka dni wcześniej.

Seb prędko się przekonał, jaka Kelly jest inteligentna, i z chwilą, gdy uwolniła się z pęt ulicy Taft numer 1532, od razu pojęła wagę posiadania pięćdziesięciu jeden procent udziałów spółki ojca. W dniu posiedzenia rady nadzorczej była bardziej niż gotowa do odegrania swojej roli w uzyskaniu prawa przysługującego jej z tytułu urodzenia.

Conrad Sorkin wstał wolno z miejsca i z pewnością nie wyglądał na zastraszonego. Ale Seb podejrzewał, że bywał w przeszłości w o wiele gorszych opałach. Utkwił wzrok w Kelly, jakby wyzywając ją, żeby przemówiła.

– Panie Sorkin – powiedziała z miłym uśmiechem – nazywam się Kelly Mellor i jestem córką zmarłego Desmonda Kevina Mellora, który w testamencie zostawił mi wszystkie swoje dobra doczesne.

– Panno Mellor – rzekł Sorkin. – Jestem zmuszony podkreślić, że nadal posiadam pięćdziesiąt jeden procent udziałów spółki, które nabyłem zgodnie z prawem od pani ojca.

– Gdyby to nawet było prawdą, panie Sorkin – powiedziała Kelly bez zachęty ze strony Seba – to jeżeli oddam panu dziesięć tysięcy funtów dziś przed zakończeniem urzędowania, to te udziały automatycznie wrócą do mnie.

Hardcastle wystąpił do przodu, otworzył teczkę i wyjął z niej paszport swojej klientki, testament Mellora i bankowe polecenie

wypłaty dziesięciu tysięcy funtów. Położył dokumenty na stole przed Sorkinem, który je zignorował.

– Przed zakończeniem urzędowania, jeżeli wolno mi powtórzyć pani słowa, panno Mellor – rzekł Sorkin. – A ponieważ banki zamykają drzwi za dwanaście minut – tu spojrzał na zegarek – to sądzę, że przekona się pani, że jej czek nie zostanie rozliczony przed poniedziałkiem rano, a do tego czasu umowa będzie nieważna i to ja będę właścicielem Mellor Travel, nie pani.

– Gdyby zechciał pan przyjrzeć się dokładniej – jak na zawołanie odezwał się Arnold – to stwierdzi pan, że nie przedstawiliśmy czeku, ale bankowe polecenie wypłaty, czyli prawny środek płatniczy, który pozwala pannie Mellor jako dziedziczce ojca żądać zwrotu należnego jej spadku.

Jeden czy dwóch członków rady nadzorczej wyglądało na wyraźnie zaniepokojonych.

Sorkin natychmiast odparował cios.

– Widać nie jest pan świadom, panie Hardcastle, że ja już uzyskałem aprobatę rady nadzorczej, żeby przejąć spółkę, co pan Knowles potwierdzi.

Knowles rzucił Sorkinowi nerwowe spojrzenie.

– Tak, głosowanie już się odbyło i obecnie Sorkin International sprawuje kontrolę nad Mellor Travel.

– Chyba czas, żeby pan sobie poszedł, panie Clifton, zanim zrobi pan z siebie jeszcze większego głupca.

Seb chciał zaprotestować, ale wiedział, że jeżeli rada zagłosowała za przejęciem spółki przez firmę Sorkin International, to on musi się podporządkować tej decyzji, i chociaż Kelly wciąż posiada pięćdziesiąt jeden procent udziałów,

to z chwilą, gdy Sorkin wyprzeda aktywa spółki, udziały będą bezwartościowe.

Arnold wkładał dokumenty z powrotem do teczki, gdy odezwał się pojedynczy głos:

– Nie było żadnego głosowania.

Wszyscy utkwili wzrok w jednym z członków rady nadzorczej, który do tej pory milczał. Sebastian przypomniał sobie, że Mellor mu powiedział, kiedy go odwiedził w więzieniu, że ma w radzie jednego przyjaciela.

– Właśnie mieliśmy przystąpić do głosowania, kiedy przyszliście – powiedział Andy Dobbs. – I mogę pana zapewnić, panie Clifton, że może byłbym jedynym, który by poparł Thomasa Cooka.

– Ja też bym to zrobił – odezwał się drugi członek rady nadzorczej.

Knowles obrzucił rozpaczliwym spojrzeniem stół posiedzeń, oczekując poparcia, ale było widać, że nawet jego starannie dobrani, skorumpowani kompani się od niego odwracają.

– Dziękuję wam, panowie – powiedział Sebastian. – Może czas, żeby pan sobie poszedł, panie Sorkin. Czy też chce pan, żebym poddał to pod głosowanie?

– Odpieprz się, wyniosły palancie – rzucił Sorkin. – Mnie nie tak łatwo zastraszyć.

– Ja nikogo nie straszę – rzekł Seb. – Wręcz odwrotnie, staram się pomóc. Jak pan bez wątpienia wie, dziś jest dwunasty czerwca, co oznacza, że jest pan rezydentem tego kraju od dwudziestu dziewięciu dni. Więc jeżeli nie odpłynie pan od wybrzeży do dwunastej w nocy, będzie pan podlegał

brytyjskiemu opodatkowaniu, czego, jak jestem pewien, wolałby pan uniknąć.

– Nie strasz mnie pan, panie Clifton. Moi adwokaci bez trudu sobie poradzą z taką kreaturą jak pan.

– Być może. Ale byłoby mądrze ich przestrzec, że zamierzam poinformować władze podatkowe o pańskiej obecności w Bristolu, więc proszę się nie zdziwić, jeśli policja wejdzie na pokład pańskiego jachtu minutę po północy i go zajmie.

– Nie ośmielą się.

– Nie sądzę, żeby pan chciał narażać się na to ryzyko, gdyż wiem również, że Scotland Yard wszczął śledztwo w sprawie podejrzanej śmierci Desmonda Mellora, podczas kiedy władze francuskie, które ostatnio znalazły ciało wyrzucone przez fale na wybrzeżu Nicei i przypuszczają, że to zwłoki Adriana Sloane'a, wydały nakaz aresztowania pana.

– Nie będą w stanie niczego mi udowodnić.

– Możliwe. Ale czuję, że pan Knowles zechce pomóc Interpolowi w śledztwie. To znaczy, jeżeli nie będzie chciał spędzić reszty swojego życia w tej samej celi co pan.

Knowles, który wyraźnie zbladł, osunął się bezwładnie na krzesło.

– Gdybym był tobą, Clifton, tobym się martwił o własne życie – rzucił Sorkin.

– To głupia groźba w obliczu tylu świadków – powiedział Seb – zwłaszcza że jeden z nich to radca królewski, który notuje każde pana słowo.

Sorkin spojrzał na Arnolda Hardcastle'a i zamilkł.

– Prawdę mówiąc, myślę, że czas, żeby pan, jak ongiś pański bohater Napoleon, pośpiesznie się wycofał.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, aż wreszcie Sorkin rzucił kontrakt na stół, podjął przekaz bankowy i chciał wyjść z pokoju, kiedy Kelly znów wysunęła się do przodu i powiedziała:

– Zanim pan wyjdzie, panie Sorkin, zapytam, ile chciałby mi pan zaproponować za moje pięćdziesiąt jeden procent udziałów Mellor Travel?

Wszyscy odwrócili się, żeby spojrzeć na nową szefową spółki, i Sebastian nie mógł ukryć zdumienia. Tego nie było w ich przygotowanym wspólnie scenariuszu. Kelly utkwiła wzrok w Sorkinie i czekała na odpowiedź.

– Byłbym skłonny zapłacić trzy miliony funtów za pani udziały – rzekł spokojnie Sorkin, zdając sobie sprawę, że wciąż może sporo zyskać, teraz kiedy Knowles nie dostanie swojego miliona.

Wydawało się, że Kelly rozważa jego propozycję, aż w końcu powiedziała:

– Jestem wdzięczna za pańską ofertę, ale zważywszy wszystko, chyba wolę załatwiać interesy z bankiem Farthings Kaufman.

Sebastian uśmiechnął się do Kelly i odetchnął z ulgą.

– I skoro przed północą musi się pan znaleźć poza wodami terytorialnymi, nie będę pana dłużej zatrzymywać.

– Dziwka – rzucił Sorkin, mijając ją w drodze do wyjścia z sali posiedzeń.

Sądząc z uśmiechu Kelly, tę obelgę potraktowała jak komplement.

Knowles odczekał, aż Sorkin zatrzaśnie za sobą drzwi, a potem przemówił:

– Panno Mellor, właśnie mieliśmy zacząć głosować. Czy więc mogę poprosić głównego księgowego, żeby...

– To już nie będzie konieczne – powiedziała Kelly, zabierając umowę, którą Sorkin zostawił na stole. – Ponieważ jestem teraz większościową udziałowczynią, to ja będę decydować o przyszłości spółki.

Doskonale powiedziane, pomyślał Sebastian. Sam bym tego lepiej nie ujął.

– Pierwszą moją decyzją jako nowej właścicielki jest zwolnienie pana, panie Knowles, wraz z wszystkimi członkami rady. Proponuję, żebyście panowie wyszli natychmiast.

Seb nie mógł powściągnąć uśmiechu, kiedy Knowles i pozostali członkowie rady nadzorczej pozbierali papiery i cicho wyszli z pokoju.

– Dobra robota – powiedział, gdy ostatni z nich odszedł.

– Dziękuję panu, panie Clifton – rzekła Kelly. – I chcę powiedzieć, jak bardzo doceniam to wszystko, co zrobiliście pan i pański zespół z Farthings Kaufman, żeby to stało się możliwe.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Pozwolę sobie zapytać – kontynuowała Kelly – czy jeśli pan Sorkin był skłonny proponować mi trzy miliony za moje udziały, to Thomas Cook wyrówna tę ofertę?

Tego też nie było we wspólnie przygotowanym tekście, pomyślał Seb. Zanim zdążył zareagować, Ray Brook zachichotał i powiedział:

– Umowa stoi, młoda damo.

– Dziękuję – rzekła Kelly, obróciła się do prawnika banku i dodała: – Panie Hardcastle, zostawiam panu papierkową robotę i proszę mnie zawiadomić z chwilą, gdy otrzyma pan trzy miliony.

– Myślę, że to dla nas sygnał, żebyśmy sobie poszli – powiedział prezes Cooka, niezdolny powstrzymać szerokiego uśmiechu.

Trzej mężczyźni opuścili salę posiedzeń rady nadzorczej i zamknęli drzwi.

Kelly przez kilka chwil siedziała u szczytu stołu, a potem podjęła słuchawkę stojącego przed nią telefonu i wykręciła numer, pod który dzwoniła każdego wieczoru przez ostatnie dwa tygodnie.

Kiedy usłyszała znajomy głos, powiedziała:

– Wszystko przebiegło zgodnie z planem, Virginio.

LADY VIRGINIA FENWICK
1981–1982

21

– Nie wiem, jak ci dziękować – powiedziała Kelly. – Gdybyś nie napisała do mnie i nie uprzedziła, że pan Clifton do mnie jedzie, nigdy bym się nie dowiedziała, że nie był przyjacielem mojego ojca.

– To drobnostka – rzekła Virginia.

– A potem te niekończące się rozmowy na koszt rozmówcy. Musiałaś wydać fortunę...

– Uważałam, że ważne, żebyś znała prawdę o Farthings, a zwłaszcza o tym, jak Sebastian Clifton traktował w przeszłości twojego ojca.

– Ale on zawsze wydawał się taki miły.

– Dziwisz się, skoro w grę wchodzi tyle milionów? I musisz pamiętać, że dla niego zawsze był ważniejszy Thomas Cook, nie ty.

– I jaki miałaś świetny pomysł, żeby się dowiedzieć, ile Sorkin jest gotów zapłacić za moje udziały, a potem skłonić Cooka, żeby zapłacił tyle samo.

– Twój ojciec był nie tylko moim bliskim przyjacielem, ale w ciągu lat dużo mnie nauczył, jak prowadzić interesy.

– Ale nie musiałaś mi pożyczać dwudziestu tysięcy funtów przed sfinalizowaniem sprzedaży.

– Myślałam, że to ci pomoże przetrwać.

– Uczyniłaś więcej, o wiele więcej – powiedziała Kelly. – Muszę zwrócić ci każdego pensa, którego ci jestem winna.

– Nie ma pośpiechu – stwierdziła Virginia, która wciąż miała ponad dwieście tysięcy funtów na rachunku bieżącym i już wyczekiwała następnego przypływu gotówki. – Kelly, moja droga, ważniejsze jest, jak się wiedzie małej Cindy.

– Nigdy nie była tak szczęśliwa. Uwielbia swoją nową szkołę i ma już kilka serdecznych przyjaciółek.

– Naprawdę ci zazdroszczę. Zawsze chciałam mieć dziecko, ale teraz jest na to za późno. Może się zgodzisz, żebym była przyszywaną babką.

– Nie wyobrażam sobie nikogo bardziej odpowiedniego, kto by pokierował Cindy w okresie kształtującym osobowość – powiedziała Kelly, która wahała się chwilę, po czym dodała: – Ale jest coś innego, o czym muszę z tobą pomówić i co sprawia, że czuję się trochę winna.

– Moja droga, nie ma żadnego powodu, żebyś się czuła winna. Wręcz przeciwnie, ja nigdy nie będę w stanie odwdzięczyć się twojemu ojcu za życzliwość, jaką mi okazywał przez te wszystkie lata.

– A teraz ja powinnam ci się odwdzięczyć za twoją życzliwość, bo wiem, że byliście z moim ojcem nie tylko bliskimi przyjaciółmi, ale wspólnikami w interesach, i dlatego muszę ci zadać kłopotliwe pytanie. – Kelly znów się zawahała, ale tym razem Virginia nie

przyszła jej z pomocą. – Jaki procent ci płacił, kiedy sfinalizowałaś transakcję?

Na to pytanie Virginia była dobrze przygotowana.

– Desmond był hojnym człowiekiem – powiedziała – i zawsze wypłacał mi dwadzieścia pięć tysięcy funtów wynagrodzenia i dziesięć procent ostatecznej sumy plus wydatki, jakie poniosłam na jego rzecz. Ale nie ma potrzeby, żebyś ty...

– Ależ jak najbardziej jest. Potraktuję cię tak samo jak mój ojciec i zaraz po sfinalizowaniu umowy z Thomasem Cookiem otrzymasz pełną zapłatę.

– Nie ma pośpiechu, kochanie – rzekła Virginia. – Dla mnie o wiele ważniejsza jest twoja przyjaźń.

Pięć tygodni później Kelly otrzymała od Thomasa Cooka czek na trzy miliony funtów i natychmiast przesłała Virginii czek na 345 tysięcy funtów, w tym zwrot pożyczki, wynagrodzenie i dziesięć procent od kwoty trzech milionów.

Virginia nie zażądała od Kelly zwrotu za poniesione wydatki. W końcu nie zainwestowała dużo, żeby odszukać swoją zdobycz. Kilka rozmów telefonicznych, a kiedy Kelly przybyła do Anglii, dwa posiłki w restauracji, gdzie nikt nie mógł ich rozpoznać. Jedynym poważnym kosztem było wynajęcie prywatnego detektywa w Chicago, żeby odnaleźć zaginioną Kelly Mellor. Ściśle mówiąc, detektyw pierwszy raz natknął się na Cindy Mellor w jej szkole i kiedy matka przyszła po córkę, wręczył jej dwa listy. Przeczytawszy je, Kelly zadzwoniła tego samego popołudnia z budki telefonicznej na koszt rozmówcy. Kiedy więc Giles skontaktował się z Virginią, ta dobrze wiedziała, o co mu chodzi.

Rachunek na dwa tysiące dolarów wystawiony przez detektywa został z naddatkiem pokryty przez Farthings w zamian za kopię testamentu Desmonda Mellora i adres, pod którym odnaleźli jego najbliższą krewną. Również Sebastian Clifton oszczędził jej wydatków na podróż do Chicago, przywożąc Kelly Mellor do Anglii i przygotowując ją do konfrontacji z Sorkinem, a w końcu płacąc Kelly podwójnie za pięćdziesiąt jeden procent udziałów spółki. Virginia zdecydowała, że tym razem może sobie pozwolić na wspaniałomyślne darowanie kosztów wydatków, pewna, że Kelly wkrótce przejmie rolę ojca jako źródło dochodów.

– Niech zrozumiem, co pani proponuje, lady Virginio – powiedział sir Edward Makepeace. – Chce pani, żebym zgłosił się do adwokatów Cyrusa T. Granta i zaproponował, że zamiast wpłacać rocznie sto tysięcy funtów przez następnych dziewięć lat, jest pani skłonna zamknąć sprawę, wpłacając jednorazowo pięćset tysięcy funtów?

– Jako pełne i ostateczne zaspokojenie roszczenia.

– Skontaktuję się z lordem Goodmanem i dam pani znać, co on myśli o pani propozycji.

Minął miesiąc, zanim Cyrus T. Grant III w zamian za pięćset tysięcy funtów zgodził się zamknąć sprawę jako pełne i ostateczne zaspokojenie roszczenia, i to tylko ze względu na ustawiczne nalegania Ellie May.

– Jak powiadał mój dziadek – przypominała mu – lepszy dolar w banku niż obietnica posagu.

Minął kolejny miesiąc, nim Virginia otrzymała rachunek od sir Edwarda Makepeace'a na sumę dwóch tysięcy trzystu funtów, który uregulowała natychmiast, gdyż nigdy nie mogła być pewna, kiedy znów będzie potrzebować jego porady.

Jeden z niewielu listów, jakie otwarła podczas następnych tygodni, nadesłał Coutts z informacją, że na jej bieżącym rachunku wciąż znajduje się czterdzieści jeden tysięcy funtów. Martwy Desmond Mellor okazywał się o wiele bardziej hojny niż żywy.

Kiedy zegary cofnięto o godzinę i zaczęła spadać temperatura, Virginia zaczęła myśleć o zimowych wakacjach. Trudno jej było wybrać między willą na południu Francji a królewskim apartamentem w hotelu Sandy Lane na Barbadosie. Może zawiadomi tego młodego człowieka, którego spotkała niedawno U Annabeli, żeby to on wybrał. Myślała o Albercie, kiedy otworzyła następny list, a ten prędko sprawił, że porzuciła myśl o wakacjach. Gdy ochłonęła z szoku, odszukała numer dyrektora swojego banku i umówiła się następnego dnia na spotkanie z panem Leigh.

– Sto osiemdziesiąt pięć tysięcy funtów? – zaprotestowała Virginia.

– Zgadza się, milady – rzekł pan Leigh po przeczytaniu listu od inspektora podatkowego Jej Królewskiej Mości.

– Jak to możliwe?

– Zakładam, milady, że słyszała pani o podatku od zysków kapitałowych?

– Słyszałam, ale nigdy bliżej się z nim nie zaznajomiłam.

– Cóż, boję się, że będzie pani musiała – powiedział Leigh – bo fiskus się domaga trzydziestu procent od dwustu trzydziestu tysięcy funtów zysku po sprzedaży przez panią obrazów Lowry'ego, trzystu tysięcy funtów prowizji i dwudziestu pięciu tysięcy funtów wynagrodzenia po pomyślnym przejęciu Mellor Travel.

– Ale czy fiskus nie zdaje sobie sprawy, że ja nie mam stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów? Wyzbyłam się prawie każdego pensa, żeby oddać dług Cyrusowi.

– Inspektor podatkowy Jej Królewskiej Mości nie zważa na czyjeś problemy osobiste – rzucił bezużyteczną uwagę pan Leigh. – Jego interesuje tylko, jakie człowiek ma dochody i ile wydaje.

– Co się stanie, jeżeli nie odpowiem na ten list?

– Jeżeli nie odpowie pani fiskusowi w ciągu trzydziestu dni, to zaczną naliczać karne odsetki do dnia, kiedy pani zapłaci.

– A jeżeli nie będę mogła?

– Postawią panią przed sądem, ogłoszą panią bankrutem i skonfiskują pani majątek.

– Kto by pomyślał – powiedziała Virginia – że fiskus okaże się gorszy od tej dziwki Ellie May Grant.

Virginia mogła liczyć na jedyną osobę, która rozwiązałaby jej kłopot z fiskusem, chociaż nie miała z nią kontaktu od kilku miesięcy. „Nawał pracy" – wytłumaczy. Nie sądziła, żeby trudno było przekonać Kelly do zainwestowania dwustu tysięcy funtów w interes, który nie może się nie udać.

Powróciwszy do domu po spotkaniu z panem Leigh, Virginia przez jakiś czas szukała listu od Kelly sprzed kilku tygodni, który pozostawiła bez odpowiedzi, czego teraz żałowała. Mimo to,

pomyślała, spojrzawszy na adres u góry papieru listowego, tym bardziej należy złożyć niespodziewaną wizytę w The Little Gables przy Lodge Lane w Nailsea koło Bristolu.

Następnego ranka Virginia wstała przed słońcem, co było niezwykłym wydarzeniem, ale prawdę mówiąc, w ogóle nie spała. Wyruszyła do West Country tuż po dziewiątej i podczas długiej jazdy powtarzała sobie zdania, jakie wypowie do Kelly o życiowej okazji, z której byłoby głupotą nie skorzystać.

Minęła tablicę z napisem „Nailsea" tuż przed dwunastą w południe i zatrzymała się, żeby spytać starszego pana o drogę do Lodge Lane. Kiedy zajechała przed dom Kelly, upadła na duchu, ujrzawszy na trawniku tablicę z napisem „Na sprzedaż". Pomyślała, że Kelly przenosi się do większego domu. Powędrowała podjazdem i zapukała do frontowych drzwi. Po chwili otwarł je młody człowiek, który uśmiechnął się z oczekiwaniem.

– Pani Campion?

– Nie, nie jestem panią Campion. Jestem lady Virginia Fenwick.

– Przepraszam, lady Fenwick.

– Nie jestem też lady Fenwick. Jestem córką hrabiego, nie żoną para dożywotniego. Może pan do mnie mówić „lady Virginio".

– Oczywiście – powiedział i ponownie przeprosił. – Jak mogę pani pomóc, lady Virginio?

– Na początek niech pan powie, kim pan jest.

– Agent nieruchomości Neil Osborne. Zajmuję się sprzedażą tej posiadłości. Czy pani jest zainteresowana kupnem?

– Na pewno nie. Po prostu odwiedzam moją starą przyjaciółkę Kelly Mellor. Czy ona wciąż tu mieszka?

– Nie, wyprowadziła się niedługo po tym, jak poleciła nam wystawić dom na sprzedaż.

– Przeprowadziła się gdzieś tu blisko?

– Do Perth.

– W Szkocji?

– Nie, w Australii.

To uciszyło na moment Virginię i pozwoliło młodemu człowiekowi dokończyć drugie zdanie.

– Mogę tylko pani powiedzieć, lady Virginio, że Kelly poleciła nam przekazać dochód ze sprzedaży na wspólny rachunek bankowy w Perth.

– Wspólny rachunek bankowy?

– Tak. Spotkałem Barry'ego tylko raz, wkrótce potem, jak się zaręczyli. To całkiem sympatyczny facet – dodał Osborne, spojrzawszy ponad ramieniem Virginii. – Czy państwo Campion? – zagadnął młodą parę, zbliżającą się podjazdem.

Gdy Virginia dostała drugi list od inspektora podatkowego, uświadomiła sobie, że jest tylko jedna osoba, do której może się zwrócić, chociaż nie był to ktoś, kto by uwierzył w opowieść o interesie, który nie może zakończyć się klapą.

Wybrała weekend, kiedy czcigodny Freddie Fenwick będzie w szkole z internatem, a bratowa, kobieta, za którą Virginia nigdy nie przepadała i sądziła, że odwzajemnia to uczucie, pojedzie odwiedzić starą ciotkę w Dumfries.

Virginia nie wybrała wagonu z miejscami do spania, co było jej zdaniem mylnym określeniem, bo nigdy nie mogła spać dłużej niż godzinę, kiedy pociąg stukotał na zwrotnicach. Zamiast tego postanowiła pojechać do Szkocji w ciągu dnia, co da jej dość czasu

na dopracowanie planu i przygotowanie się na kłopotliwe pytania, jakie może jej zadać brat. W końcu, kiedy zadzwoniła do niego, żeby powiedzieć, że potrzebuje jego rady i chce się z nim pilnie zobaczyć, wiedziała, że on uzna słowo „rada" za – również – mylne określenie, chociaż sama uważała, że suma stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów może wydać się bratu zbyt wygórowana, chyba że zechce poprzeć jej roszczenie...

Archie wysłał po nią na stację Edinburgh Waverley samochód, jeżeli można określić tym mianem zdezelowanego vauxhalla kombi z 1975 roku. Jaśnie pani jechała do Fenwick Hall jedynie w towarzystwie woni labradorów i zużytych nabojów, ani razu nie odezwawszy się do szofera.

Prowadząc lady Virginię do sypialni dla gości, kamerdyner poinformował ją, że jego lordowska mość jest na polowaniu, ale ma wrócić na kolację. Virginia niespiesznie się rozpakowała – w czasach jej ojca zajmowała się tym pokojówka – a potem wzięła ciepłą kąpiel, którą musiała sobie sama przygotować. Ubrała się na kolację i naostrzyła pazurki, szykując się na potyczkę.

Kolacja przebiegła dość spokojnie, ale do chwili, gdy podano kawę i służący odeszli, brat i siostra nie rozmawiali o niczym ważnym.

– Jestem pewien, Virginio, że nie przemierzyłaś takiego szmatu drogi tylko po to, żeby się dowiedzieć, jak się miewa rodzina – rzekł Archie, nalewając sobie brandy. – Więc powiedz mi, jaki jest prawdziwy powód twojej wizyty.

Virginia postawiła filiżankę z kawą, zaczerpnęła powietrza i powiedziała:

– Poważnie się zastanawiam nad podważeniem testamentu ojca.

Po wyrazie twarzy brata było widać, że ta dobrze przygotowana, inaugurująca rozmowę wypowiedź nie jest dla niego zaskoczeniem.

– Na jakiej podstawie? – zapytał spokojnie.

– Na takiej, że ojciec obiecał mi zostawić gorzelnię Glen Fenwick łącznie z jej rocznym zyskiem około stu tysięcy funtów, co by mi umożliwiło życie w komforcie po kres moich dni.

– Ale jak dobrze wiesz, Virginio, w testamencie ojciec zapisał gorzelnię Freddiemu, którego opuściłaś kilka lat temu, przerzucając na mnie odpowiedzialność wychowywania swojego syna.

– On nie jest moim synem, jak dobrze wiesz. Jest ni mniej, ni więcej tylko potomkiem mojego byłego kamerdynera i jego żony. Więc absolutnie nie może rościć sobie prawa do majątku naszego ojca.

Virginia przyglądała się bratu, ciekawa, jak zareaguje na bombę, którą mu zasunęła, ale znów ani cień zaskoczenia nie pojawił się na jego twarzy.

Archie schylił się i pogłaskał Wellingtona, który spał koło niego.

– Ja nie tylko wiem, że Freddie nie jest twoim synem, ale to zostało potwierdzone bez wątpienia dzięki wizycie pani Ellie May Grant, która opowiedziała mi szczegółowo o komedii, jaką odegrałaś, kiedy kilkanaście lat temu jej narzeczony przebywał w hotelu Ritz, i o twoich późniejszych pretensjach, że jesteś w ciąży i że Cyrus jest ojcem Freddiego.

– Czemu ta kobieta chciała się z tobą widzieć? – spytała Virginia, troszkę zbita z tropu.

– Żeby się dowiedzieć, czy byłbym skłonny zwrócić część pieniędzy, jakie ty oszukańczo wyłudziłaś od jej męża w ciągu ubiegłych dziesięciu lat.

– Mogłeś jej zaproponować dochód z gorzelni do chwili pokrycia długu, co by rozwiązało wszystkie moje problemy.

– Jak dobrze wiesz, Virginio, nie mam do tego prawa. Ojciec zostawił gorzelnię Freddiemu i zastrzegł, że mam nią zarządzać do czasu, gdy chłopiec osiągnie dwudziesty piąty rok życia, kiedy automatycznie stanie się jego własnością.

– Ale teraz, gdy wiesz, że Freddie nie jest moim synem, to z pewnością poprzesz moje twierdzenie, że we wcześniejszym testamencie, który oboje widzieliśmy, zapisał gorzelnię mnie.

– Lecz potem zmienił zdanie. I dopiero kiedy pani Grant powiedziała mi, jaka jest ulubiona whisky jej męża, zdałem sobie sprawę, co znaczy, że ojciec zapisał ci w testamencie tylko butelkę Maker's Mark, co by sugerowało, że też wiedział, że Freddie nie jest twoim synem.

– Mam zapłacić podatek w wysokości stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów – wyrwało się Virginii – ale nie mam z czego.

– Przykro mi to słyszeć – rzekł Archie. – Ale sądząc z mojego doświadczenia, fiskus nie żąda stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów, jeżeli człowiek nie osiągnął zysku kapitałowego – zastanowił się przez chwilę – rzędu pół miliona.

– Wydałam wszystko co do pensa, żeby zaspokoić roszczenie Cyrusa, i nic mi nie zostało.

– Virginio, nawet gdybym chciał ci pomóc, to na pewno nie dysponuję takimi sumami. Każdego pensa, jakiego zarobię, reinwestuję w posiadłość, która w zeszłym roku osiągnęła próg rentowności i, jak widzisz, nie żyjemy na wysokiej stopie. W gruncie rzeczy, jeżeli będę zmuszony do dalszych cięć, to następne będzie twoje uposażenie. Jest ironią losu, że Freddie wyszedł lepiej na testamencie naszego ojca niż któreś z nas.

– Ale to wszystko by się zmieniło, gdyby gorzelnia dostała się w moje ręce. – Virginia pochyliła się do przodu i spojrzała z nadzieją na brata. – Jeżeli mnie poprzesz, Archie, podzielę się z tobą pół na pół.

– Nie ma mowy, Virginio. Najwyraźniej takie było życzenie ojca i w tymże testamencie polecił mi dopilnować, żeby zostało spełnione. I zamierzam to uczynić.

– Ależ z pewnością więzy krwi mają pierwszeństwo przed...

– Przed dotrzymaniem słowa? Nie, Virginio, nie mają, i muszę cię ostrzec, że jeśli będziesz na tyle nierozważna i podważysz testament ojca, i sprawa znajdzie się w sądzie, to nie zawaham się i poprę prawo Freddiego, ponieważ ojciec tego ode mnie oczekiwał.

W drodze powrotnej do Londynu Virginia doszła do wniosku, że znowu będzie musiała skontaktować się ze swoim dalekim kuzynem w Argentynie – i to dosyć pilnie.

Nazajutrz Virginia dostała ostateczne upomnienie od inspektora podatkowego Jej Królewskiej Mości, które zmięła i wrzuciła do najbliższego kosza na śmieci. Po południu z niechęcią zastanawiała się nad rezerwacją biletu w klasie turystycznej do Buenos Aires i nawet zaczęła się pakować, rozmyślając o wszystkim, czego będzie jej brak, gdy znajdzie się

na wygnaniu, jak klubu U Annabeli, przyjaciółki Priscilli, Bofiego, a nawet „Daily Mail". Jakoś wątpiła, czy „Buenos Aires Herald" będzie równie atrakcyjna.

Zaczęła czytać relacje Nigela Dempstera, żeby się dowiedzieć, co porabiają przyjaciele. Główne miejsce na jego szpalcie zajmowała fotografia kobiety, której Virginia nie cierpiała, chociaż wiadomość o jej śmierci nie ścisnęła żalem jej serca.

Z *wielkim smutkiem* – donosił Dempster – *dowiedziałem się o śmierci Lavinii, księżnej Hertford, która tak była wielbiona za urodę, wdzięk i poczucie humoru*. Nie opisywałeś jej w ten sposób, kiedy żyła, pomyślała Virginia. *Będzie jej bardzo brakowało jej licznym przyjaciołom* – którzy wszyscy zmieściliby się w budce telefonicznej. Ale ponieważ była tak bogata i wpływowa, wszyscy jej się kłaniali i płaszczyli się przed nią. *Nabożeństwo żałobne zostanie odprawione w St Albans Abbey, obecna będzie księżniczka Małgorzata, jedna z najstarszych przyjaciółek księżnej. Księżna zostawiła syna, lorda Clarence'a, dwie córki, lady Alice i lady Camillę, oraz oddanego męża, trzynastego księcia Hertford. Pogrzeb odbędzie się w…*

Virginia otworzyła terminarz, zaznaczyła datę i znów się rozpakowała.

22

Co prawda Virginia nie miała pensa przy duszy, jednak nikt, kto widział ją wchodzącą tego ranka do kościoła katedralnego w St Albans, nie mógłby w to uwierzyć. Miała na sobie czarną jedwabną suknię, broszę wysadzaną perłami, dar babki, i czarną torebkę domu mody Hermès, za którą jeszcze nie zapłaciła.

Weszła przez zachodnie drzwi kilka minut przed rozpoczęciem nabożeństwa i stwierdziła, że kościół jest pełen ludzi. Rozejrzała się wokół po zgromadzonych, obawiając się, że zajmie miejsce z tyłu, niezauważona, gdy wtem spostrzegła wysokiego mężczyznę we fraku z laską mistrza ceremonii. Uśmiechnęła się do niego serdecznie, ale on jej najwyraźniej nie poznał.

– Jestem lady Virginią Fenwick – szepnęła. – Bliską przyjaciółką rodziny.

– Oczywiście, milady. Proszę za mną.

Virginia szła z mężczyzną nawą, mijając rzędy żałobników, którzy znali swoje miejsce. Była uszczęśliwiona, kiedy jej przewodnik znalazł miejsce w piątym rzędzie, bezpośrednio za rodziną, co idealnie zgadzało się z pierwszą częścią jej planu. Udając, że studiuje porządek nabożeństwa, rozejrzała się wokół,

żeby sprawdzić, kto siedzi w pobliżu. Poznała książąt Norfolku, Westminsteru i Marlborough wraz z kilkoma parami dziedzicznymi, którzy wszyscy byli przyjaciółmi jej nieżyjącego ojca. Zerknęła do tyłu i zobaczyła Bofiego Bridgwatera siedzącego kilka rzędów za nią, ale nie zareagowała na jego przesadny ukłon.

Zagrzmiały organy, obwieszczając paradę zacnych i szacownych, których statecznie wiódł nawą mistrz ceremonii. Za burmistrzem Hertfordu podążał szeryf i reprezentant Korony; wszystkim wskazano miejsca w trzecim rzędzie. Po chwili pojawił się za nimi się lord Barrington z Bristol Docklands, były przewodniczący Izby Lordów.

Virginia odwróciła się, gdy Giles przechodził koło niej. Nie chciała, żeby jej były mąż wiedział, że ona tu jest. Nie pasował do jej dobrze opracowanego planu. Giles usiadł na zarezerwowanym dla niego miejscu w drugim rzędzie.

Po chwili zgromadzeni wstali jak jeden mąż, kiedy trumna ozdobiona białymi liliami zaczęła powoli się przesuwać nawą ku prezbiterium. Niesiona była na ramionach sześciu gwardzistów z Pierwszego Batalionu Gwardii z Coldstream, pułku, w którym książę służył jako major w czasie drugiej wojny światowej, a teraz miał tytuł oficerski pułkownika honorowego.

Trzynasty książę Hertford, za nim jego syn i dwie córki szli za trumną, a potem usiedli w pierwszym rzędzie, podczas gdy trumna została umieszczona na marach w prezbiterium. Nabożeństwo odprawił biskup Hertfordu, który w mowie pogrzebowej przypomniał obecnym, jak świątobliwą osobą była zmarła księżna, podkreślając jej niestrudzoną pracę jako protektorki Domu Doktora Barnardo i prezeski Związku Matek.

Biskup na koniec wyraził szczere wyrazy współczucia księciu i jego rodzinie oraz dodał, że ma nadzieję, że z pomocą Wszechmocnego Boga pogodzą się ze stratą.

Wraz z niewielką moją pomocą, pomyślała Virginia.

Kiedy nabożeństwo się skończyło, Virginia dołączyła do doborowej grupy żałobników uczestniczących w pogrzebie, a potem uprosiła, żeby ją podwieziono do zamku na przyjęcie, na które nie była zaproszona. Gdy tam przybyła, przystanęła u stóp schodów, przez chwilę podziwiając budowlę w stylu Jakuba I niby przyszły nabywca.

W czasie nabożeństwa i pogrzebu Virginia stała spokojnie, ale z chwilą, gdy weszła do zamku i kamerdyner oznajmił: „Lady Virginia Fenwick", zrobiła się nader ruchliwa.

– Jak miło z twojej strony, Virginio, że zadałaś sobie tyle trudu i wybrałaś się do Hertfordshire – powiedział książę, pochylając się, żeby ucałować ją w oba policzki. – Wiem, że Lavinia by to doceniła.

Virginia chciała powiedzieć, że za nic w świecie nie opuściłaby tej okazji, ale ograniczyła się do słów:

– Tak dobra, kochana osoba. Wszystkim będzie jej brakowało.

– Jak miło, że to mówisz, Virginio – rzekł książę, nie puszczając jej ręki. – Mam nadzieję, że będziemy w kontakcie.

Nie musisz się o to martwić, pomyślała Virginia.

– Nic by mi nie sprawiło większej przyjemności, wasza książęca mość – powiedziała, lekko dygając.

– Jaśnie oświecony książę Westminsteru – zaanonsował kamerdyner.

Virginia przeszła do głównej sali zamkowej i gdy ślepia łosi i dzików spoglądały na nią ze ścian powyżej, jej oczy przeszukiwały wnętrze, tropiąc trzy osoby, z którymi chciała się zobaczyć, i człowieka, którego pragnęła uniknąć. Odrzuciła kilka propozycji podania kanapek i wina, dobrze wiedząc, że jej czas jest ograniczony i że ma zadanie do wykonania.

Zatrzymała się, żeby zamienić kilka słów z Milesem Norfolkiem, chociaż to był tylko przystanek w drodze do startu. I nagle go spostrzegła; opierał się o kominek w stylu Adamów i gawędził ze starszym panem, którego nie znała. Zostawiła Milesa i zaczęła posuwać się w tym kierunku, a w chwili, gdy starszy pan się odwrócił, żeby porozmawiać z innym gościem, niczym wiązka laserowa dopadła swego celu.

– Clarence. Może mnie nie pamiętasz.

– Trudno cię nie zapamiętać, lady Virginio – zaryzykował. – Ojciec zawsze tak ciepło mówi o tobie.

– Jakie to miłe z jego strony – zagruchała Virginia. – Czy wciąż pełnisz służbę u Niebieskich Królewskich?

– Tak, istotnie, ale niestety wkrótce będę stacjonował za morzem. Przykro mi, że wyjeżdżam za granicę tuż po śmierci matki.

– Ale książę będzie miał wsparcie ze strony twoich sióstr.

– Niestety, nie. Camilla poślubiła hodowcę owiec w Nowej Zelandii. Sto tysięcy akrów, wyobrażasz sobie? Za kilka dni wracają do Christchurch.

– To niefortunne i w rezultacie Alice musi przejąć tę poważną odpowiedzialność.

– I w tym sęk. L'Oreal proponuje jej wysokie stanowisko w Nowym Jorku. Wiem, że zamierza odrzucić tę propozycję, ale papa nalega, żeby nie traciła takiej złotej okazji.

– To typowe dla twojego ojca. Ale, Clarence, gdybyś myślał, że to mogłoby pomóc, to ja chętnie tu wpadnę i zobaczę się z nim od czasu do czasu.

– To by mi zdjęło ciężar z serca, lady Virginio. Ale muszę cię ostrzec, staruszek może być trudny. Czasem myślę, że ma nie siedemdziesiąt, ale siedem lat.

– To wyzwanie mi odpowiada – rzekła Virginia. – Nie mam w tej chwili zbyt dużo zajęć, a towarzystwo twojego ojca zawsze sprawiało mi przyjemność. Może od czasu do czasu napiszę ci kilka słów i dam znać, jak on się miewa.

– To bardzo ładnie z twojej strony, lady Virginio. Mam tylko nadzieję, że tata nie będzie dla ciebie ciężarem.

– Diablo dobrze się spisałeś, Clarence – oznajmił korpulentny mężczyzna, który do nich podszedł. – Starsza pani byłaby z ciebie dumna.

– Dziękuję, wujku Percy – rzekł Clarence, a Virginia się wymknęła, żeby kontynuować trójstronny atak. Pocisk zmienił kierunek i zmierzał do drugiego celu.

– Alice, gratuluję ci nowego stanowiska i muszę powiedzieć, że zgadzam się z twoim ojcem. Nie powinnaś stracić tak wspaniałej okazji.

– Jak uprzejmie z twojej strony, że tak mówisz – odrzekła Alice, nie całkiem pewna, z kim rozmawia. – Ale ja wciąż nie zdecydowałam, czy przyjąć tę propozycję.

– Dlaczego nie, moja droga? Przecież możesz nie mieć drugiej takiej szansy.

– Myślę, że masz rację. Ale już czuję się winna, że zostawię papę, żeby radził sobie sam.

– Niepotrzebnie, moja droga, wierz mi. Będzie nas tu sporo, żeby dopilnować, aby miał zajęcia. Więc jedź i pokaż tym Jankesom, z jakiego kruszcu jesteśmy wytopieni, my, Brytyjczycy.

– Wiem, że on tego chce – rzekła Alice – ale nie mogę znieść myśli, że zostanie sam zaraz po śmierci drogiej mamy.

– O to nie musisz się martwić – powiedziała Virginia, która ucieszyła się, widząc Gilesa żegnającego się z księciem.

Virginia serdecznie uścisnęła Alice, po czym wyruszyła na poszukiwanie swojej ostatniej ofiary. Nie było trudno znaleźć matkę, ojca i trójkę małych dzieci, ale tym razem Virginii nie powitano z takim samym entuzjazmem.

– Witam, jestem... – zaczęła Virginia.

– Dobrze wiem, kim pani jest – powiedziała lady Camilla i zanim Virginia zdołała wygłosić następne starannie przygotowane zdanie, ta odwróciła się do niej plecami i zaczęła rozmawiać z dawną szkolną przyjaciółką, nie robiąc nic, żeby wciągnąć Virginię do pogawędki.

Virginia prędko odeszła, zanim ktoś mógł zauważyć afront. Dwa zdobyte punkty spośród trzech to nie był zły wynik, zwłaszcza że jedyna nieprzychylna osoba mieszkała po drugiej stronie świata. Virginia nie widziała sensu pozostawania tu dłużej, więc podążyła wprost do księcia, żeby się z nim pożegnać... jak na razie.

– Spędziłam bardzo miły czas, odnawiając znajomość z twoimi uroczymi dziećmi – powiedziała.

Zastanawiała się, czy on wie, jak rzadko je widywała w czasie ostatnich dwudziestu lat, zwłaszcza ze względu na starania zmarłej księżnej, żeby je trzymać z dala od niej.

– I jestem pewien, że ucieszyły się, widząc cię znów – rzekł książę. – Mam nadzieję, że ja też cię zobaczę, i to w niezbyt dalekiej przyszłości – dodał – jeżeli nie masz nic lepszego do roboty.

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności. Będę czekała, kiedy się odezwiesz – powiedziała, gdy zaczęła się za nią ustawiać mała kolejka.

– Moja rodzina będzie mogła zostać ze mną jeszcze tylko kilka dni – szepnął książę. – Czy kiedy się rozjadą w różne strony świata, mogę do ciebie zatelefonować?

– Będę czekała, Perry – tym imieniem tylko zmarła księżna i najbliżsi jego przyjaciele zwracali się do księcia Hertford.

Gdy Camilla zobaczyła, że Virginia odchodzi, nie tracąc czasu, podeszła do brata.

– Widziałam, jak rozmawiałeś z tą straszną kobietą, Virginią Fenwick, prawda?

– Owszem – rzekł Clarence. – Wydaje się całkiem miłą osobą i obiecała, że będzie miała tatę na oku pod waszą nieobecność.

– Założyłabym się, że tak. Gdyby coś miało mnie powstrzymać przed powrotem do Nowej Zelandii, to myśl, że ta kobieta zastawi sidła na tatę.

– Ależ ona nie mogła być bardziej uprzejma.

– Nie daj się nabrać choć na chwilę tej wytrawnej aktorce.

– Dlaczego jesteś nastawiona przeciwko niej, Camillo, kiedy ona chce tylko pomóc?

– Bo nasza droga mama zawsze umiała o każdym rzec jakieś dobre słowo, a o lady Virginii miała dwa: podstępna dziwka.

– Ile mam czasu? – spytała Virginia.

– Urząd skarbowy da pani nie więcej niż dziewięćdziesiąt dni przed wszczęciem postępowania.

– Więc ile mam czasu? – powtórzyła Virginia.

Pan Leigh przewrócił kilka stron terminarza, a potem odparł:

– Ostatni dzień płatności, jeżeli nie chce pani, żeby obciążono panią niebotycznymi odsetkami, to dwudziesty pierwszy grudnia.

– Dziękuję – powiedziała Virginia i bez dalszych słów wyszła z gabinetu dyrektora banku.

Mogła się tylko zastanawiać, ile czasu minie, nim książę się odezwie, bo jeżeli nieprędko, to ona spędzi Boże Narodzenie w Buenos Aires.

23

Virginia nie musiała czekać długo na telefon księcia i na zaproszenie na pierwszą randkę. A z pewnością tak myślała o wspólnym wieczorze w restauracji Mosimanna. Była skromna, kokieteryjna, prawiła pochlebstwa, dzięki czemu on poczuł się dwadzieścia lat młodszy, a przynajmniej tak powiedział, kiedy podwiózł ją do jej mieszkania w Chelsea i ucałował w oba policzki. To stosowne, jak na pierwszą randkę, pomyślała Virginia. Nie zaprosiła lubego na kawę z kilku powodów, zwłaszcza że nie mógłby nie zauważyć, że po obrazach zostały tylko haki.

Książę zatelefonował następnego ranka i zaprosił Virginię na drugą randkę.

– Zdobyłem bilety na *Czego nie widać* z Paulem Eddingtonem i myślę, że potem możemy pójść na kolację.

– Jak miło z twojej strony, Perry. Ale niestety tego wieczoru muszę uczestniczyć w koncercie na cele dobroczynne – powiedziała, patrząc na pustą stronę w terminarzu. – Jestem za to wolna w czwartek wieczorem.

Potem w jej karnecie widniało tylko jedno imię.

Virginia dziwiła się, że tak jest jej miła rola towarzyszki księcia, jego powierniczki i przyjaciółki, i prędko przywykła do stylu życia, do którego, jak zawsze uważała, miała pełne prawo. Jednak musiała przyjąć do wiadomości, że fiskus kategorycznie domaga się swego, dokładnie mówiąc, swoich stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów, i że jeżeli nie zapłaci, to idylla skończy się z hukiem, jak uderzenie pociągu w kozioł oporowy.

Zastanawiała się, czy nie poprosić Perry'ego o pożyczkę na pokrycie podatku, ale uznała, że to trochę za prędko, a jeżeli on pomyśli, że to jedyny powód, dla którego okazała mu zainteresowanie, to ich znajomość z pewnością skończy się tak szybko, jak się zaczęła.

Podczas kilku następnych tygodni książę obsypywał ją kwiatami, strojami, nawet biżuterią, i chociaż zastanawiała się, czy nie zwrócić prezentów do wytwornych sklepów na Bond Street, to otrzymana w zamian gotówka nie uczyniłaby najmniejszej szczerby w kwocie podatku. Tak czy owak, było tylko kwestią czasu, kiedy książę się dowie o jej zamiarach.

Jednakże, gdy po chłodnym listopadzie nadszedł mroźny grudzień, Virginia wpadła w rozpacz i uznała, że nie ma wyboru i musi wyznać Perry'emu prawdę, nie bacząc na konsekwencje.

Na moment wyjawienia prawdy wybrała jego siedemdziesiąte urodziny podczas uroczystej kolacji w Le Gavroche. Dobrze się przygotowała, gdyż wydała większość swojej miesięcznej pensji na prezent dla Perry'ego, na który nie bardzo mogła sobie pozwolić. Zamówiła u Cartiera złote spinki do mankietów z wyrytym herbem Hertford. Musi wybrać odpowiedni moment, żeby mu je

ofiarować, a potem wytłumaczyć, dlaczego wyjedzie do Buenos Aires na początku nowego roku.

W czasie kolacji, która składała się głównie z szampana z dobrego rocznika, książę nieco się rozkleił i zaczął mówić o „przekroczeniu linii mety", co było eufemizmem w jego ustach oznaczającym śmierć.

– Nie bądź niemądry, Perry – zganiła go Virginia. – Jeszcze przez wiele lat nie będziesz musiał myśleć o czymś tak smutnym, zwłaszcza jeżeli ja będę miała na to jakiś wpływ. I nie zapominaj, że obiecałam twoim dzieciom, że pomogę ci zachować formę.

– I zrobiłaś więcej, niż obiecałaś, moja duszko. W gruncie rzeczy nie wiem, jakbym przetrwał bez ciebie – dodał, biorąc ją za rękę.

Virginia przywykła do drobnych oznak afektu księcia, nawet do tego, że pod stołem dotyka jej uda. Tego wieczoru jego ręka tam spoczywała, gdy kierownik sali otwierał kolejną butelkę szampana. Virginia tym razem piła bardzo niewiele, gdyż musiała być absolutnie trzeźwa, wygłaszając swoistą prośbę o złagodzenie kary. Wybrała ten moment do ofiarowania księciu prezentu urodzinowego.

Powoli rozpakował pakiecik i otworzył skórzane pudełeczko.

– Moja droga Virginio, jak miło z twojej strony. Nigdy w życiu nie dostałem prezentu świadczącego o takiej życzliwości. – Przechylił się przez stolik i pocałował ją delikatnie w usta.

– Perry, tak się cieszę, że ci się podoba. Bo jest prawie niemożliwe znaleźć coś dla człowieka, który ma wszystko.

– Nie całkiem wszystko, moje kochanie – odparł, wciąż trzymając jej rękę.

Virginia uznała, że nigdy nie będzie lepszej chwili, żeby mu powiedzieć o kłopotach z fiskusem.

– Perry, jest coś, o co muszę cię zapytać.

– Wiem – odrzekł.

Virginia się zdziwiła.

– Chcesz spytać, czy u ciebie, czy u mnie?

Virginia zachichotała jak uczennica, ale nadal była skupiona, chociaż nagle sobie uświadomiła, że powinna raczej kiedy indziej poinformować księcia o bliskim wyjeździe, bo może trochę później nadarzy się dużo lepsza okazja, żeby poruszyć swoją sprawę.

Książę podniósł rękę i po chwili stanął przy nim kierownik sali ze srebrną tacą, na której leżał pojedynczy świstek papieru. Virginia zwykła sprawdzać szczegółowo każdy rachunek, zanim książę wypisał czek. Zdarzało się, że w restauracji doliczano dodatkowe danie albo nawet butelkę wina, jeżeli gość wypił trochę za dużo.

Ten pomysł zaświtał jej w głowie, kiedy otworzyła rachunek i zobaczyła kwotę osiemnastu i pół funta. Ale czy może zaryzykować? Musiała przyznać, że taka złota okazja raczej nie trafi się drugi raz. Poczekała, aż kelner naleje księciu drugi kieliszek porto Taylor, a potem oznajmiła:

– Rachunek się zgadza, Perry. Czy mam wypisać czek, gdy ty będziesz delektować się porto?

– Dobry pomysł, dziewczyno – rzekł książę, wyjmując książeczkę czekową i podając ją Virginii. – Pamiętaj, dodaj hojny napiwek – powiedział, dopijając trunek. – To był pamiętny wieczór.

Virginia wypisała kwotę 185 000, przesuwając przecinek i dodając dwa zera. Postawiła datę 3 grudnia 1982, a potem położyła czek przed księciem. Niepewnie podpisał tuż poniżej miejsca, gdzie palec Virginii zasłaniał zera. Gdy odszedł, żeby „wydać pensa", kolejny z jego częstych eufemizmów, oznaczający skorzystanie z toalety, Virginia włożyła czek do torebki, wyjęła swoją książeczkę czekową i wypisała właściwą kwotę. Podała czek kierownikowi sali tuż przed powrotem Perry'ego.

– Dziś są urodziny księcia – wyjaśniła – więc ja płacę.

Marco nie poskarżył się, że zapomniała dodać hojny napiwek, co proponował książę.

Kiedy usiedli z tyłu rolls-royce'a księcia, on natychmiast objął Virginię i pocałował ją; pocałunek mężczyzny, który liczył na więcej.

Gdy zatrzymali się przed domem księcia na Eaton Square, szofer obiegł dokoła samochód, żeby otworzyć tylne drzwi, co dało Virginii dość czasu na wygładzenie sukienki, a księciu na zapięcie marynarki. Książę wprowadził Virginię do domu, gdzie czekał kamerdyner, jakby to było samo południe, a nie północ.

– Dobry wieczór, wasza książęca mość – powiedział, zabierając okrycia. – Czy podać jak zwykle brandy i cygaro?

– Nie dziś wieczór, Lomax – odparł książę.

Wziął Virginię za rękę, powiódł w górę szerokimi schodami i wprowadził ją do pokoju, do którego jeszcze nie zachodziła. Sypialnia była wielkości całego jej mieszkania, środek zajmowało antyczne dębowe łoże z baldachimem, ozdobione rodowym herbem z zawołaniem „Zawsze baczni".

Virginia chciała coś powiedzieć na temat obrazu Constable'a wiszącego nad kominkiem w stylu Adamów, kiedy poczuła, że suwak z tyłu jej sukni został niezdarnie zsunięty. Pozwoliła sukni opaść na podłogę i zaczęła rozpinać pasek spodni księcia, posuwając się razem z nim chwiejnie w stronę łóżka. Nie pamiętała, kiedy ostatnio z kimś się kochała, i miała nadzieję, że tak samo jest w wypadku Perry'ego.

Zachowywał się jak uczeń na pierwszej randce, głaszcząc ją i niezdarnie obmacując, najwyraźniej pragnąc, żeby przejęła inicjatywę, co chętnie uczyniła.

– To najlepszy prezent urodzinowy, na jaki mogłem liczyć – rzekł, kiedy tętno wróciło mu do normy.

– Ja też – powiedziała Virginia, ale on nie usłyszał, bo już spał.

Gdy Virginia obudziła się następnego ranka, dopiero po chwili sobie przypomniała, gdzie jest. Zaczęła się zastanawiać nad konsekwencjami wydarzeń poprzedniego wieczoru. Już zdecydowała, że przedstawi czek na sto osiemdziesiąt pięć tysięcy funtów do realizacji dopiero 23 grudnia, pewna, że nie zostanie rozliczony przed Bożym Narodzeniem, a może i przed Nowym Rokiem.

Jednak istniało prawdopodobieństwo, że ktoś z banku uzna za swój obowiązek ostrzec księcia o tak dużej wypłacie. Istniała też możliwość – chociaż Virginia uznała, że to mało prawdopodobne – że czek okaże się bez pokrycia. Gdyby doszło do którejś z tych katastrof, wybierze się na Heathrow, a nie do zamku książąt Hertford, ponieważ to nie inspektor podatkowy Jej Królewskiej Mości będzie ją ścigał, ale zawsze baczny książę. I podejrzewała, że jego córka Camilla będzie podążać tuż za nim.

Książę już poprosił Virginię, żeby spędziła święta Bożego Narodzenia w jego posiadłości w Hertford. Dopiero wtedy przyjęła zaproszenie, gdy się dowiedziała, że Camilla z rodziną nie przybędzie z Nowej Zelandii, gdyż uznali, że dwie wyprawy do Anglii w ciągu kilku miesięcy to zbędna rozrzutność.

W ostatnich tygodniach Virginia regularnie pisywała do Clarence'a i Alice, informując ich na bieżąco, co porabia ojciec, albo raczej przedstawiając im własną wersję. Oboje odpisywali, że bardzo się cieszą, że spędzi z nimi święta w zamku. Perspektywa, że w ostatniej chwili będzie musiała pospiesznie uciekać i spędzi Nowy Rok z dalekim kuzynem w Buenos Aires, nie wydawała się równie pociągająca.

Kiedy książę w końcu się zbudził, dobrze wiedział, gdzie jest. Obrócił się uradowany, że Virginia nie odeszła. Wziął ją w ramiona i za drugim razem kochali się o wiele dłużej. Virginia nabrała pewności, że to nie będzie przygoda na jedną noc.

– Czemu nie wprowadzisz się do mnie? – zaproponował książę, gdy Virginia poprawiała mu krawat.

– Nie jestem pewna, Perry, czy to byłoby mądre, zwłaszcza że dzieci w święta Bożego Narodzenia zatrzymają się w zamku. Może na początku nowego roku, kiedy odjadą?

– Cóż, mieszkaj u mnie przynajmniej do ich przyjazdu, dobrze?

Virginia chętnie spełniła tę prośbę, ale zostawiała tylko jedną zmianę ubrania na Eaton Square, świadoma, że może w każdej chwili będzie musiała się pakować. Tego dnia rano, kiedy Clarence wylądował na Heathrow, niechętnie powróciła do swojego mieszkanka w Chelsea, gdzie prędko zrozumiała, jak bardzo tęskni nie tylko do nowego stylu życia, ale i do Perry'ego.

JESSICA CLIFTON
1982–1984

24

– Dziwię się, tato, że nie przewidziałeś, co w trawie piszczy – powiedziała Jessica, dołączywszy do ojca na śniadanie.

– A ty oczywiście przewidziałaś – rzekł Sebastian. Jake w swoim wysokim krześle zaczął stukać łyżeczką, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Nie interesuje mnie twoja opinia, młody człowieku.

– On się po prostu szykuje do przejęcia stanowiska prezesa Farthings Kaufman.

– Miałem nadzieję, że to ja zostanę następnym prezesem.

– Nie, jeśli lady Virginia nie przestanie cię kołować.

– Chyba zapominasz, młoda damo, że Virginia miała uprzywilejowaną pozycję. Regularnie odwiedzała Mellora w więzieniu i teraz wiemy, że nie tylko czytała list, który napisał do córki, ale nawiązała z nią kontakt na długo przedtem, nim mój samolot wylądował w Chicago.

– Ale ty miałeś przedtem szansę objąć kontrolę nad firmą za jednego funta i ją odrzuciłeś.

– Wtedy, jeżeli dobrze pamiętam, byłaś przeciwna nawet temu, żebym odwiedził Mellora w więzieniu, i wyraziłaś bardzo jasno

swoje stanowisko.

– Właśnie! – powiedziała Samantha, podnosząc łyżeczkę, którą Jake rzucił na podłogę.

– Powinieneś zdawać sobie sprawę, że jeżeli Virginii trafi się jakaś szansa zarobienia pieniędzy na boku – naciskała Jessica, ignorując matkę – to nie można jej ufać.

– Czy mogę spytać, kiedy na to wszystko wpadłaś? Podczas jednych z tych zajęć z ekonomii przed małą maturą?

– Nie musiała – powiedziała Samantha, kładąc na stole koszyczek z grzankami. – Przez ostatnie sześć miesięcy przysłuchiwała się naszym rozmowom przy śniadaniu. To tylko przewidywanie po fakcie, więc panuj nad sobą, Seb.

– Plus odrobina kobiecej intuicji – upierała się Jessica.

– Hm, na wypadek gdybyś tego nie zauważyła, młoda damo, Thomas Cook przejął Mellor Travel i mimo twoich wątpliwości kurs akcji spółki wciąż idzie w górę.

– Ale musieli zapłacić o wiele więcej, niż początkowo zamierzałeś. I chciałabym wiedzieć – ciągnęła Jessica – ile dodatkowych pieniędzy trafiło do kieszeni Virginii.

Sebastian tego nie wiedział, chociaż podejrzewał, że więcej niż dostał bank, ale posłuchał rady Samanthy i nie dał się sprowokować.

– Niezły profit jak na kilka więziennych wizyt – rzuciła, odchodząc, Jessica, uścisnąwszy mocno Jake'a.

Samantha uśmiechnęła się, gdy córka wyszła z pokoju. Wkrótce po urodzeniu Jake'a powiedziała Sebowi, że niepokoi się, jak Jessica zareaguje na pojawienie się braciszka, skoro tak długo stanowiła centrum uwagi. Ale wszystko przybrało pomyślny obrót;

Jake od razu stał się ośrodkiem życia Jessiki. Chętnie się nim opiekowała, ilekroć rodzice chcieli wyjść wieczorem, a w weekendy obwoziła go w wózku po St James's Park i potem układała go do snu. Podstarzałe matrony przemawiały do Jake'a pieszczotliwie, niepewne, czy Jessica jest troskliwą starszą siostrą, czy młodą samotną matką.

Jessica prędko zaadaptowała się w przybranym kraju, przemówiwszy w końcu rodzicom do rozsądku, i teraz cieszyła się nie tylko z ich szczęścia, ale i z posiadania małego braciszka. Uwielbiała swoją nową, wielopokoleniową rodzinę. Tatę, który był tolerancyjny, miły i zabawny, dziadka, który był mądry, troskliwy i działał inspirująco, babkę, którą prasa często nazywała „Boadiceą Bristolu", co Jessice nasuwało myśl, że Boadicea musiała być superbabką.

Jednak adaptacja w nowej szkole nie przebiegała tak gładko. Niektóre dziewczynki nazywały ją Jankeską, inne mniej wspaniałomyślnie patyczakiem. Jessica doszła do wniosku, że mafia połączona z Ku-Klux-Klanem mogłaby się dużo nauczyć o metodach zastraszania od uczennic Żeńskiej Szkoły im. św. Pawła, i pod koniec swojego pierwszego roku miała tylko jedną bliską przyjaciółkę, Claire Taylor, która dzieliła z nią większość zainteresowań, również chłopcami.

Na ostatnim roku w szkole św. Pawła Jessica plasowała się pośrodku klasy, regularnie wyprzedzana przez Claire w każdym przedmiocie z wyjątkiem zajęć plastycznych, gdzie jej pozycja była niepodważalna. Podczas gdy większość jej koleżanek z niepokojem liczyła na miejsce na uniwersytecie, nikt nie wątpił, dokąd się wybiera Jessica.

Jessica jednak zwierzyła się Claire z obawy, że gdy się dostanie do Szkoły Sztuk Pięknych Slade'a, to może odkryć, że Avril Perkins, druga z kolei w zajęciach plastycznych, miała rację, kiedy rzuciła usłyszaną przez nią uwagę, że jest tylko dużą rybą w małym stawie, a wrzucona do oceanu niewątpliwie zniknie bez śladu.

Claire radziła jej puścić mimo uszu słowa tej lizuski, ale podczas ostatniego trymestru Jessica wciąż się zastanawiała, czy nie ma ona racji.

Kiedy na uroczystości rozdania nagród dyrektorka szkoły obwieściła, że Jessice przyznano stypendium Gainsborough na naukę w Szkole Sztuk Pięknych Slade'a, Jessica wydawała się jedyną zaskoczoną osobą na sali. I ucieszyła się jak ze swojego sukcesu, że Claire zaproponowano miejsce na wydziale anglistyki w University College. Jednak wiadomość, że Avril Perkins też się dostała do szkoły Slade'a, nie sprawiła jej przyjemności.

– Panie Clifton, prezes chciałby zamienić z panem kilka słów.

Sebastian przestał podpisywać listy, podniósł głowę i ujrzał sekretarkę szefa stojącą w drzwiach.

– Myślałem, że jest w Kopenhadze.

– Wrócił dzisiaj rano pierwszym samolotem – oznajmiła Angela – i jak tylko wszedł do biura, powiedział, że chce się z panem widzieć.

– To brzmi poważnie – rzekł Sebastian, unosząc brwi, ale Angela nie zareagowała.

– Mogę tylko panu powiedzieć, że usunął z terminarza wszystkie przedpołudniowe spotkania.

– Może chce mnie wyrzucić – powiedział Seb, próbując skłonić Angelę do niedyskrecji.

– Nie sądzę, bo to zwykle zajmuje mu tylko dwie minuty.

– Żadnej wskazówki? – szepnął Sebastian, kiedy opuścili jego biuro i szli korytarzem.

– Skłonna jestem tylko powiedzieć – rzekła Angela – że nie można było nie zauważyć, że w zeszłym miesiącu pan Bishara latał do Kopenhagi sześć razy. A nuż za chwilę się pan dowie dlaczego – dodała i zapukała do drzwi prezesa.

– Przejął Lego czy Carlsberga? – spytał Seb, kiedy Angela otworzyła drzwi i stanęła z boku, żeby go przepuścić.

– Dzień dobry, prezesie – powiedział Seb.

Z tajemniczej miny Hakima Bishary nie mógł wywnioskować, czy wiadomość jest dobra czy zła.

– Dzień dobry, Sebastianie.

Pierwsza wskazówka, pomyślał Seb. Prezes mówił do niego po imieniu tylko wtedy, kiedy chciał rozmawiać o czymś poważnym.

– Siadaj.

Druga wskazówka. To nie będzie krótkie spotkanie.

– Sebastian, chciałem, żebyś pierwszy się dowiedział, że w sobotę się ożeniłem.

Seb rozważał wiele powodów, dla których prezes chce go zobaczyć, ale nie pomyślał o ślubie, i rzec, że był zaskoczony, byłoby niedopowiedzeniem. Przez chwilę nie wiedział, co mówić. Hakim rozparł się w fotelu i napawał się niezwykłym milczeniem dyrektora naczelnego.

– Czy znam tę panią? – zapytał w końcu Seb.

– Nie, ale widziałeś ją z daleka.

Sebastian postanowił podjąć grę.

– W Londynie?

– Tak.

– W City?

– Tak – powtórzył Hakim – ale idziesz złym tropem.

– Czy ona jest bankierem?

– Nie, architektem krajobrazu.

– Więc musiała pracować przy jednym z naszych projektów – zasugerował Seb.

– Tak i nie.

– Czy była po naszej stronie, czy przeciw?

– Ani jedno, ani drugie – rzekł Hakim. – Nazwałbym ją neutralną, ale nie pomocną.

Po kolejnym długim milczeniu Sebastian powiedział:

– O Boże, to kobieta, która była świadkiem na twoim procesie. Pani, hmm, pani...

– Bergström.

– Ale ona była głównym świadkiem oskarżenia i pamiętam, że wszyscy żałowali, że pan Carman ją odszukał.

– Wszyscy oprócz mnie – rzekł Hakim. – W więzieniu przez niekończące się noce żałowałem, że nie odezwałem się do niej, kiedy siedzieliśmy koło siebie podczas lotu z Lagos. I w kilka dni po wyjściu na wolność poleciałem do Kopenhagi.

– Hakimie, nigdy nie myślałem, że jesteś romantykiem, i podejrzewam, że większość naszych kolegów w City byłaby tego samego zdania. Czy mogę zapytać, co pan Bergström ma do powiedzenia o twojej propozycji przejęcia?

– Nie wsiadłbym do samolotu, gdyby był jakiś pan Bergström. Barry Hammond ustalił w ciągu zaledwie dwóch dni, że mąż Kristiny umarł na atak serca w wieku pięćdziesięciu dwóch lat.

– Nie mów mi, że był bankierem.

– Kierownikiem wydziału kredytów w Kopenhaskim Banku Królewskim.

– Oni o mało nie upadli dwa lata temu.

– Obawiam się, że za jego kadencji – powiedział cicho Hakim.

– Więc pani Bergström...

– Pani Bishara.

– Przeprowadzi się do Londynu?

– Nie natychmiast. Ma dwoje dzieci, które jeszcze chodzą do szkoły, i nie chce skomplikować im życia, więc musiałem zawrzeć umowę.

– W czym zwykle jesteś dobry.

– Nie w sprawach osobistych. Zawsze cię o tym uprzedzałem. Zamierzamy mieszkać w Kopenhadze przez następne dwa lata, dopóki Inge i Aksel nie pójdą na uniwersytet. Potem Kristina zgodziła się przenieść do Anglii.

– W międzyczasie będziesz mieszkał w samolocie.

– Nic podobnego. Kristina wyraźnie mi powiedziała, że nie chce, żeby jej drugi mąż umarł na atak serca. To dlatego chciałem cię widzieć, Sebastianie. Chcę, żebyś przejął stanowisko prezesa banku.

Tym razem Sebastian zapadł w o wiele dłuższe milczenie, co Hakim znów wykorzystał.

– Zamierzam zwołać posiedzenie rady nadzorczej na początku przyszłego tygodnia, żeby poinformować członków o swojej decyzji.

Zaproponuję, żebyś zastąpił mnie na stanowisku prezesa, natomiast ja zostanę szefem rady nadzorczej banku. Musisz tylko zdecydować, kto będzie dyrektorem naczelnym.

Seb nie musiał się nad tym długo zastanawiać, ale czekał na opinię Hakima.

– Przypuszczam, że zechcesz przyjąć Victora Kaufmana na swoje stanowisko – rzekł Hakim. – W końcu to jeden z twoich najstarszych przyjaciół i jest właścicielem dwudziestu pięciu procent kapitału akcyjnego banku.

– To go nie kwalifikuje do zarządzania codziennymi operacjami poważnej instytucji finansowej. My kierujemy bankiem, Hakimie, a nie lokalnym klubem sportowym.

– Czy to znaczy, że myślisz o innym kandydacie?

– Moim pierwszym wyborem byłby John Ashley – powiedział Seb bez wahania.

– Ale on jest w tym banku tylko od dwóch lat. Jest zielony.

– Pamiętaj, czym się legitymuje – przypomniał mu Seb. – Ukończył Manchester Grammar School, London School of Economics i był stypendystą Harvard Business School. I nie zapominaj, ile musieliśmy zapłacić, żeby go przyciągnąć z Chase Manhattan. I ile czasu upłynie, zanim jeden z naszych rywali zaproponuje mu sporą sumkę na dzień dobry? Przypuszczam, że raczej niewiele, zwłaszcza gdyby Victor został dyrektorem naczelnym Farthings. Nie, Hakimie, jeżeli chcesz, żebym był prezesem banku, mianowanie Johna Ashleya na to stanowisko jest warunkiem umowy.

– Gratuluję – powiedziała Jessica.

– Kto to jest prezes? – zapytał Jake.

– Ktoś, kto zarządza wszystkim i wszystkimi, podobnie jak dyrektorka szkoły – odpowiedziała mu siostra.

– Nigdy tak o tym nie myślałem – przyznał Sebastian, a Samantha wybuchnęła śmiechem.

Jessica obeszła stół dookoła i uścisnęła ojca.

– Gratuluję – powtórzyła.

– Hakim jest za młody, żeby rezygnować ze swojego stanowiska – powiedziała Samantha, ścinając czubek jajka dla Jake'a.

– Zgadzam się – przyznał Seb – ale on się zakochał.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jeżeli jesteś prezesem banku i się zakochałeś, to musisz zrezygnować.

– To nie jest przymusowe – rzekł Seb ze śmiechem – ale banki na ogół wolą, żeby prezesi mieszkali w tym samym kraju, a ta kobieta mieszka w Kopenhadze.

– To dlaczego nie przeniesie się do Anglii? – spytała Jessica.

– Kristina Bergström jest wziętym architektem krajobrazu o międzynarodowej renomie, ale ma dwójkę dzieci z pierwszego małżeństwa i nie chce ich przenosić, dopóki uczą się w szkole.

– Ale jak Hakim wypełni wolny czas, skoro ma energię dziesięciu facetów?

– Zamierza otworzyć nową filię Farthings w Kopenhadze i firma Kristiny będzie jego pierwszym klientem. Już się zgodziła, że jak dzieci skończą szkołę, to tutaj otworzy firmę.

– A gdy Hakim wróci, to czy przejmie na powrót funkcję prezesa?

– Nie. Wyraźnie określił swoje stanowisko. Pierwszego września Hakim zostanie szefem rady nadzorczej Farthings Kaufman, a ja

w nowym roku przejmę funkcję prezesa, natomiast John Ashley zostanie dyrektorem naczelnym.

– Czy powiedziałeś Victorowi? – spytała Samantha.

– Nie, myślę, że poczekam, aż to będzie oficjalna wiadomość.

– Chciałabym być muchą na ścianie podczas tego spotkania – rzekła Samantha. – Czy spotkałeś się kiedy z panią Bergström?

– Nie, widziałem ją tylko na miejscu dla świadka, kiedy składała zeznanie na procesie Hakima. Ponieważ on był wtedy w areszcie, to musiała być miłość od pierwszego wejrzenia.

– Mężczyźni często zakochują się od pierwszego wejrzenia – oznajmiła Jessica, która do tej pory milczała. – Kobiety rzadko.

– Jessico, jesteśmy ci oboje wdzięczni za tak gruntowną wiedzę o miłości – powiedział Seb – jak również za twoją orientację w makroekonomii.

– To nie jest moja opinia – odparła Jessica – tylko D.H. Lawrence'a. To cytat z książki *Kochanek lady Chatterley*, która wprawdzie nie była zadaną lekturą w szkole św. Pawła, ale Claire uznała, że powinnam ją przeczytać.

Sebastian i Samantha wymienili się spojrzeniami.

– Może to jest odpowiednia chwila – rzekła Jessica – żeby wam powiedzieć, że zamierzam się wyprowadzić.

– Nie, nie, nie – wtrącił się Jake.

Wprawdzie Seb zgodziłby się z synem, ale nie przerywał córce.

– Znalazłyśmy z Claire małe mieszkanie tuż przy Gower Street, bardzo blisko szkoły Slade'a.

– Wydaje się idealne – odezwała się Samantha. – Kiedy nas opuścisz?

– Za jakieś dwa tygodnie. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, tato.

– Oczywiście to jest w porządku – powiedziała Samantha.

– Nie, nie, nie – powtórzył Jake, celując łyżeczką w Jessicę.

– Przestań, Jake – powiedziała matka.

25

– Dzisiaj rysowanie z natury jest odwołane – oznajmił profesor Howard.

W sali rozległ się pomruk, a wtedy profesor dodał:

– Nasz model znów się nie pojawił.

Dwanaścioro studentów i studentek zaczęło pakować swój ekwipunek, kiedy młody mężczyzna, którego Jessica nigdy wcześniej nie widziała, wstał z miejsca, poszedł na środek sali, rozebrał się i usiadł na podium. Rozległy się oklaski i pierwszoroczni studenci powrócili do sztalug i zabrali się do pracy.

Paulo Reinaldo był pierwszym nagim mężczyzną, którego widziała Jessica, i nie mogła oderwać od niego wzroku. Jest jak grecki bóg, pomyślała. Nie, brazylijski. Naszkicowała węglem kontur jego ciała kilkoma szerokimi ruchami, która to czynność zajęła innym studentom o wiele więcej czasu i nie przyniosła takich samych rezultatów. Następnie skupiła się na jego głowie, którą oddała bardziej szczegółowo. Długie kędzierzawe włosy, które chciałaby przeczesać palcami. Zmierzyła oczami jego ciało i żałowała, że nie jest rzeźbiarką. Prężyły się

mięśnie jego torsu, a nogi wyglądały, jakby były stworzone do maratonu. Próbowała się skoncentrować, kiedy nauczyciel spojrzał jej przez ramię.

– Uchwyciłaś podobieństwo – powiedział profesor Howard. – To imponujące. Ale musisz zwracać uwagę na cień i perspektywę i nigdy nie zapominaj, że mniej znaczy więcej. Czy widziałaś kiedy rysunki Bonnarda przedstawiające jego żonę wychodzącą z kąpieli?

– Nie.

– Znajdziesz kilka znakomitych przykładów w bibliotece akademii. Są dowodem, jeżeli potrzeba dowodu, że gdy chcesz się dowiedzieć, jak wielki jest artysta, to powinnaś przyjrzeć się przygotowawczym rysunkom, zanim zobaczysz jego arcydzieła. Przy okazji, staraj się specjalnie nie okazywać, jak bardzo ten model ci się podoba.

W następnym tygodniu Jessica nie natknęła się na Paula. Nigdy nie było go w bibliotece i wydawało się, że nie uczęszcza na wykłady. Wzięła sobie do serca uwagi profesora Howarda i nie próbowała dowiedzieć się więcej o Paulu od innych studentów. Ale ilekroć wymieniano jego imię, milkła i nastawiała uszu.

– To syn brazylijskiego przemysłowca – powiedziała studentka z wyższego roku. – Ojciec chciał, żeby pojechał do Londynu i między innymi wyszlifował swój angielski.

– Myślę, że on chce tu pobyć tylko dwa lata, a potem wrócić do Rio i założyć klub nocny – rzuciła druga.

Trzecia dodała dość cierpko:

– On chodzi tylko na zajęcia z rysunku figuratywnego, żeby wytropić następną ofiarę.

– Chyba jesteś dobrze poinformowana – odezwała się Avril Perkins.

– Powinnam być. Przespałam się z nim sześć razy, zanim mnie rzucił – powiedziała od niechcenia dziewczyna. – Tak spędza większość czasu poza wieczorami.

– A co robi wieczorami? – spytała Jessica, niezdolna dłużej milczeć.

– Zapamiętale studiuje angielskie kluby nocne zamiast angielskich akwarel. Powiedział mi, że to prawdziwy powód jego pobytu tutaj. Ale mówił mi też, że do końca pierwszego roku studiów zamierza przespać się z każdą studentką szkoły Slade'a.

Wszystkie się roześmiały oprócz Jessiki, która miała nadzieję, że będzie jego nową ofiarą.

Kiedy w następny czwartek Jessica przyszła na zajęcia z rysunku z natury, po obu stronach Paula siedziały już dziewczyny. Jedną z nich była Avril Perkins. Jessica usiadła na wprost niego na przeciwnym skraju półkola studentów, usiłując się skupić na modelu, kobiecie w średnim wieku, która wyglądała na znudzoną i zimną, w przeciwieństwie do Avril.

Spojrzenie Jessiki w końcu wróciło do Paula; zobaczyła, że jedną ręką rysuje, a drugą trzyma na udzie Avril.

Gdy profesor Howard zaproponował przedpołudniową przerwę, Jessica poczekała, aż Avril wyjdzie, a potem przeszła się wzdłuż półkola rysunków, udając, że przygląda się szkicom studentów. Rysunek Paula nie był zły, był okropny. Zastanawiała się, jakim cudem ten facet dostał się do szkoły Slade'a

– Niezły – powiedziała Jessica, wciąż patrząc na rysunek.

– Zgadzam się – rzekł Paulo. – Jest straszny i ty to wiesz, bo jesteś o wiele lepsza od każdego z nas.

Czy to flirt, czy on naprawdę wierzy w to, co powiedział? Jessice było wszystko jedno.

– Czy chciałabyś pójść ze mną dziś wieczór na drinka? – zapytał.

– Tak, proszę – odparła, natychmiast żałując tego „proszę".

– Wpadnę po ciebie koło dziesiątej i powłóczymy się po klubach.

Jessica popędziła prosto do domu po ostatnich zajęciach i przez godzinę zastanawiała się, jak się ubrać na pożegnanie dziewictwa, przez cały czas zasięgając rady Claire. W końcu włożyła różową skórzaną minispódniczkę, własność Claire, górę z wzorem w panterkę, swoją własność, czarne wzorzyste pończochy i wysokie złote obcasy.

– Wyglądam jak dziwka! – zawołała Jessica, przejrzawszy się w lustrze.

– Wierz mi – orzekła Claire – że jeśli masz nadzieję zaliczyć numer, to jest idealny strój.

Jessica skapitulowała wobec ponadprzeciętnej znajomości przedmiotu Claire.

Gdy Paulo zjawił się z półgodzinnym opóźnieniem (widać to też było w modzie), dwie rzeczy zaskoczyły Jessicę. Czy możliwe, żeby ktoś był tak urodziwy i posiadał ferrari?

– Powiedz mu, że jutro wieczór jestem do wzięcia – szepnęła Claire, kiedy wychodzili z mieszkania.

Trzecią niespodzianką było ujmujące i eleganckie zachowanie Paula. Wcale nie rzucił się na nią z miejsca, jak twierdziły koleżanki. W istocie nie mógł być bardziej troskliwy. Otworzył jej

nawet drzwi samochodu i po drodze na West End mówił o tym, jakie ona robi wrażenie w szkole Slade'a. Jessica już żałowała swojego stroju i próbowała naciągnąć spódniczkę na kolana.

Kiedy Paulo zaparkował samochód przed klubem U Annabeli, portier zabrał kluczyki i odprowadził auto. Zeszli po schodach do słabo oświetlonego klubu nocnego, gdzie prędko się okazało, że Paulo jest stałym gościem; kierownik sali podszedł do nich, przywitał Paula po imieniu i zaprowadził ich do dyskretnego stolika w rogu.

Gdy wybrali dwie potrawy z największej karty dań, jaką Jessica w życiu widziała, prawie książki, wydawało się, że Paulo chce się o niej wszystkiego dowiedzieć. Chociaż sama nie poruszyła tego tematu, okazało się, że Paulo dobrze wie, kim są jej dziadkowie, i przyznał, że zawsze odkłada najnowszą powieść z Williamem Warwickiem na długi lot do Rio.

Gdy zjedli posiłek, Paulo zapalił papierosa i jej też zaproponował. Odmówiła, ale od czasu do czasu zaciągała się jego papierosem. Nie smakował jak papierosy, które paliła wcześniej. Po kawie Paulo poprowadził ją na zatłoczony parkiet, gdzie było całkiem ciemno. Prędko pojęła, że w odróżnieniu od rysowania taniec jest umiejętnością, którą Paulo opanował po mistrzowsku. Zauważyła też, że kilka innych kobiet przestało zwracać uwagę na swoich partnerów. Jednak dopiero kiedy po przebojach Chaki Khan zagrano *Hello* Lionela Richie, ręka Paula powędrowała poniżej jej talii. Nie opierała się.

Ich pierwszy pocałunek był trochę niezdarny, ale po drugim pragnęła tylko pójść z Paulem do domu, chociaż już się pogodziła z myślą, że prawdopodobnie nie znajdzie się w menu następnego

wieczoru. Wyszli z klubu dopiero po pierwszej w nocy i gdy już byli w samochodzie, Jessice zaimponowało, że Paulo kieruje ferrari jedną ręką, a drugą przesuwa po jej udzie. Jechali cały czas na pierwszym biegu.

To była noc dalszych niespodzianek. Jego mieszkanie na Knightsbridge było stylowe i eleganckie, pełne obrazów i antyków, które chętnie by podziwiała, ale on wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni, gdzie przywitał ją widok największego łoża, jakie widziała w życiu. Czarna jedwabna narzuta była już odrzucona.

Paulo wziął ją w ramiona i Jessica odkryła kolejny jego talent: jednoczesne rozbieranie kobiety i obsypywanie jej pocałunkami.

– Jesteś taka piękna – powiedział, zręcznie uwolniwszy ją z bluzki i spódniczki.

Chciała odpowiedzieć, ale on już ukląkł i znowu ją całował, tym razem po udach, nie w usta. Padli na łóżko i gdy otworzyła oczy, on był już nagi. Jak to zrobił, pomyślała. Leżała i czekała na to, co według Claire miało teraz nastąpić. Kiedy Paulo ją posiadł, Jessica chciała krzyknąć, ale nie z przyjemności, tylko z bólu. Po kilku chwilach wycofał się, padł na drugą stronę łóżka i mruknął: „Byłaś fantastyczna” – co nasunęło jej wątpliwość, czy można mu wierzyć we wszystko, co jej szeptał tego wieczoru.

Czekała, żeby ją objął i powiedział jej więcej kłamstw, ale on odwrócił się tyłem i po chwili mocno spał. Kiedy Jessica usłyszała, że Paulo miarowo oddycha, wyśliznęła się z pościeli, powędrowała na paluszkach do łazienki i nie zapalała światła, dopóki nie zamknęła drzwi. Przez pewien czas doprowadzała się do porządku; zauważyła, że wciąż ma na sobie czarne pończochy. Gdy

wróci do domu, Claire bez wątpienia jej wyjaśni, jakie to ma znaczenie. Wróciła do sypialni, niepewna, czy Paulo nie obudził się i ma nadzieję, że ona pójdzie do domu. Podjęła swoje porzucone ciuszki i prędko się ubrała, wymknęła się z sypialni i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Jessica nawet nie przystanęła, żeby podziwiać obrazy, bo chciała jak najszybciej opuścić mieszkanie, obawiając się, że Paulo może się zbudzić i zechcieć, żeby przeżyła ten koszmar jeszcze raz. Na palcach przemierzyła korytarz i zjechała windą na parter.

– Czy zamówić panience taksówkę? – grzecznie spytał portier. Najwyraźniej nie był zaskoczony widokiem skąpo odzianej młodej kobiety, która zjawiła się w holu o trzeciej nad ranem.

– Nie, dziękuję – odparła Jessica, rzucając ostatnie spojrzenie na ferrari. Zdjęła pantofle na wysokich obcasach i wyruszyła w daleką drogę do swojego małego mieszkania.

26

Jessica była niezmiernie zaskoczona, kiedy Paulo zaprosił ją na drugą randkę. Przypuszczała, że już zajął się kolejną dziewczyną, ale potem przypomniała sobie studentkę, która twierdziła, że spał z nią pół tuzina razy, zanim ją rzucił.

Powiedziała Claire, że lubi być obwożona w ferrari, jeść kolację U Annabeli, kosztować szampana klasy *premier cru,* a nawet wyznała przyjaciółce, że odpowiada jej towarzystwo Paula i jest mu wdzięczna, że pozbawił ją dziewictwa, chociaż to doznanie wcale jej nie oszołomiło.

– Będzie lepiej – zapewniła ją Claire – i spójrzmy prawdzie w oczy: nie każda z nas przed utratą dziewictwa jest pojona winem i karmiona kolacją przez brazylijskiego boga. Jestem pewna, że pamiętasz moje doświadczenie za szkolną szatnią do krykieta z Brianem, łowcą wykluczeń z drugiej jedenastki. Byłoby przyjemniej, gdyby zdjął ochraniacze.

Jedyne, co się zmieniło w czasie drugiej randki, to klub nocny. Zamiast U Annabeli odwiedzili Trampa i Jessica czuła się o wiele swobodniej wśród młodszych ludzi. Wrócili z Paulem do jego

mieszkania około drugiej nad ranem i tym razem Jessica nie wyszła, kiedy zasnął.

Obudziła się rano, gdy Paulo delikatnie całował jej piersi, a długo potem, jak się kochali, trzymał ją w ramionach. Kiedy Jessica spojrzała na zegarek na stoliku przy łóżku, krzyknęła: „Ratunku!", wyskoczyła z pościeli i wzięła krótki prysznic. Paulo najwyraźniej nie dbał o śniadanie, więc pocałowała go w policzek i zostawiła w łóżku. Podczas zajęć z martwej natury Jessica doszła do wniosku, że nie może się skupić, bo myślami wciąż wraca do Paula. Czy się zakochała?

Profesor Howard zmarszczył brwi, kiedy przyjrzał się jej rysunkowi przedstawiającemu misę pomarańcz, i nawet się upewnił, czy to Jessica tam siedzi. Chociaż jej rysunek wciąż był lepszy od rysunków innych studentów, nauczyciel nie przestawał marszczyć brwi.

W trakcie tygodnia Jessica odwiedziła trzy inne kluby nocne, gdzie za każdym razem Paulo był witany jako stały bywalec. W ciągu następnych tygodni Jessica miała coraz większą ochotę palić jego ulubione papierosy, których chyba nie wyjmował z pudełka, i polubiła brandy Alexanders, która zawsze pojawiała się, kiedy opróżnili drugą butelkę wina.

W miarę upływu miesięcy Jessica pojawiała się w szkole Slade'a coraz później, od czasu do czasu opuszczała ćwiczenia i wykłady, a później całe dni. Nie spostrzegła, że oddala się od swojego starego świata i staje się częścią świata Paula.

Gdy pod koniec trymestru przyszedł pierwszy list, powinno to stanowić poważne ostrzeżenie, ale Paulo przekonał Jessicę, żeby go zignorowała.

– Dostałem takie trzy w pierwszym trymestrze – powiedział. – Po jakimś czasie po prostu przestali je przysyłać.

Jessica postanowiła, że wróci do realnego świata, kiedy Paulo się nią znudzi, co, jak się obawiała, nastąpi niedługo, gdyż przekroczyła zwyczajowe pół tuzina randek. Jednak zaczynała się zastanawiać, czy to będzie możliwe. Niewiele brakowało, aby tak się stało, kiedy na wykładzie o sztuce angielskiej akwareli zapadła w sen. Gdy się obudziła, inni studenci już wychodzili z auli. Uznała, że zamiast wracać do siebie, uda się prosto do mieszkania Paula.

Pojechała autobusem do Knightsbridge, a potem biegła cały czas aż na Lancelot Place. Portier otworzył drzwi jedną ręką, a drugą przytknął do czapki, gdy wsiadała do windy. Gdy dotarła na czwarte piętro, lekko zastukała do drzwi Paula, które otworzyła jego brazylijska pokojówka. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale Jessica przemknęła koło niej i skierowała się do sypialni. Ściągała z siebie ubranie, znacząc częściami garderoby podłogę, ale kiedy weszła do pokoju, stanęła jak wryta. Paulo był w łóżku i palił hasz z Avril Perkins.

Jessica wiedziała, że w tym momencie powinna obrócić się na pięcie, wyjść i nie oglądać się za siebie, ale uświadomiła sobie, że wolno ku nim podąża. Paulo wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy wgramoliła się do łóżka. Odsunął na bok Avril, objął Jessicę i zdjął jedyną część garderoby, którą jeszcze miała na sobie.

Następny list, który Jessica dostała ze szkoły Slade'a, nosił podpis dyrektora, a słowa „drugie ostrzeżenie" były grubo podkreślone.

Pan Knight wytknął Jessice, że opuściła sześć ostatnich lekcji rysunku i przez ponad miesiąc nie uczęszczała na wykłady. Jeżeli tak będzie dalej, pisał, rada musi się zastanowić, czy nie odebrać jej stypendium. Gdy Paulo podpalił list, Jessica wybuchnęła śmiechem.

W następnym trymestrze Jessica zaczęła w ciągu dnia sypiać w mieszkaniu Paula, a kiedy się budziła, przeważnie odwiedzała z nim kluby nocne. W tych rzadkich okazjach, kiedy wpadali do szkoły Slade'a, tylko nieliczni ich poznawali. Jessica przywykła do łańcuszka różnych dziewcząt, pojawiających się i znikających w ciągu dnia, ale tylko ona spędzała z Paulem noce.

Trzeciego listu, który profesor Howard wręczył osobiście Jessice podczas jednej z rzadkich okazji, kiedy wstała na czas, żeby zdążyć na poranne zajęcia z rysunku, nie można było ignorować. Dyrektor informował ją, że ponieważ przyłapano ją, jak paliła marihuanę na terenie szkoły, cofnięto jej stypendium i dostanie je inny student. Dodał, że na razie może zachować prawa studentki, ale tylko jeśli będzie uczęszczać na zajęcia i jej prace zdecydowanie się poprawią.

Profesor Howard ostrzegł ją, że jeśli ma nadzieję skończyć szkołę i dostać się na studia magisterskie w Akademii Królewskiej, musi zgromadzić portfolio prac do oceny przez egzaminatorów, a czas ucieka.

Kiedy po południu Jessica wróciła do domu, nie pokazała listu Claire, która rzadko opuszczała wykłady i miała stałego chłopaka, Darrena, traktującego posiłek w pizzerii jak ucztę.

Kiedy Jessica odwiedzała rodziców albo dziadków, co zdarzało się coraz rzadziej, zawsze była skromnie ubrana i nigdy nie paliła

ani nie piła w ich obecności.

Nie wspominała o swoim kochanku ani o podwójnym życiu, które wiodła, i była zadowolona, że Paulo nigdy nie wyrażał chęci poznania jej rodziny. Jeżeli jedno z rodziców poruszało temat Akademii Królewskiej, zapewniała, że profesor Howard jest zadowolony z jej postępów i jest pewien, że akademia zaproponuje jej miejsce w przyszłym roku.

Z początkiem drugiego roku w szkole sztuk pięknych Jessica prowadziła podwójne życie. Ani jedno, ani drugie w realnym świecie. To mogłoby tak trwać, gdyby nie natknęła się na lady Virginię Fenwick.

Jessica stała przy barze klubu U Annabeli, lecz nagle obróciła się w tej samej chwili co siedząca do niej tyłem starsza kobieta, i rozlała trochę szampana na jej rękaw.

– Co ta młodzież dziś wyprawia? – zauważyła Virginia, kiedy Jessica nawet nie zadała sobie trudu, żeby ją przeprosić.

– Nie tylko młodzież – powiedział książę. – Jeden z ostatnio mianowanych przez tę Thatcher parów dożywotnich miał czelność zwrócić się do mnie po imieniu.

– I co będzie dalej, Perry? – zagadnęła Virginia, gdy kierownik sali zaprowadził ich do tego co zwykle stolika. – Mario, czy przypadkiem wiesz, kim jest ta młoda kobieta, która stoi przy barze?

– Nazywa się Jessica Clifton, milady.

– Naprawdę? A ten młody człowiek, który jej towarzyszy?

– Pan Paulo Reinaldo, jeden z naszych stałych gości.

W ciągu następnych kilku minut Virginia odpowiadała tylko monosylabami na słowa księcia. Rzadko spuszczała z oczu stolik

po drugiej stronie sali.

Wreszcie wstała, mówiąc księciu, że musi pójść do kibelka, a potem odwołała Maria na stronę i wsunęła mu banknot dziesięciofuntowy. Ponieważ nie uważano jej za hojną, Mario uznał, że to nie może być za usługi już wyświadczone, tylko za przyszłe. Kiedy jaśnie pani wróciła do księcia i powiedziała, że czas się zbierać do domu, wiedziała wszystko, czego potrzebowała, o Paulu Reinaldzie i tę jedyną rzecz, którą chciała wiedzieć o Jessice Clifton.

Gdy Paulo zabrał Jessicę do Annabeli, żeby uczcić jej dziewiętnaste urodziny, żadne z nich nie zauważyło siedzących we wnęce starszych państwa.

Virginia i książę zwykle opuszczali klub około jedenastej, ale nie tej nocy. W istocie książę zdrzemnął się po trzecim kieliszku courvoisiera, mimo że kilkakrotnie sugerował, że chyba powinni wracać do domu.

– Jeszcze nie, kochanie – powtarzała Virginia bez wyjaśnienia.

W chwili gdy Paulo poprosił o rachunek, Virginia jak pocisk wystrzeliła z miejsca i pospieszyła do kabiny telefonicznej dyskretnie ulokowanej w korytarzu. Miała już numer telefonu i nazwisko policjanta, który, jak ją zapewniono, będzie na służbie. Wolno wybrała numer i prawie natychmiast uzyskała połączenie.

– Główny inspektor Mullins.

– Panie inspektorze, nazywam się lady Virginia Fenwick i chcę zgłosić niebezpieczny incydent samochodowy. Myślę, że kierowca musiał być pijany, bo omal nie uderzył w naszego rolls-royce'a, kiedy wyprzedzał nas lewym pasem.

– Czy może pani opisać ten samochód?

– To było żółte ferrari i jestem niemal pewna, że kierowca nie jest Anglikiem.

– Czy przypadkiem nie zanotowała pani numeru rejestracyjnego?

Virginia spojrzała na karteluszek, który miała w ręku.

– A786 CLC.

– I gdzie doszło do tego zdarzenia?

– Mój szofer objeżdżał Berkeley Square, kiedy ferrari skręciło w prawo Piccadilly i pojechało w stronę Chelsea.

– Dziękuję pani. Natychmiast się tym zajmę.

Virginia odwiesiła słuchawkę w chwili, gdy Paulo i Jessica przechodzili koło niej korytarzem. Stała w cieniu, kiedy młodzi pięli się schodami w górę, żeby wyjść na Berkeley Square. Portier w liberii podał Paulowi kluczyki do samochodu i otrzymał pięć funtów. Paulo usiadł za kierownicą, wrzucił bieg i przyspieszył, jakby był na pierwszej linii startu w wyścigach w Monte Carlo. Pokonał zaledwie kilkaset metrów, gdy w lusterku wstecznym spostrzegł samochód policyjny.

– Zgub ich – rzuciła Jessica. – To tylko zdezelowana sierra.

Paulo wrzucił trzeci bieg i zaczął się przemykać między wolno jadącymi samochodami. Jessica wykrzykiwała sprośności i dopingowała Paula, aż usłyszała syrenę. Obejrzała się do tyłu i zobaczyła, że pojazdy zjeżdżają na bok, żeby przepuścić samochód policyjny.

Paulo zerknął w lusterko wsteczne, gdy światła przed nim zmieniły się na czerwone. Zignorował je, skręcił w prawo i o mało nie uderzył w autobus, kiedy gnał Piccadilly. Gdy zbliżał się do

Hyde Park Corner, ścigały go dwa samochody i Jessica przylgnęła do deski rozdzielczej, żałując, że go podpuszczała.

Gdy zakręcił wokół Hyde Park Corner i wypadł na Brompton Road, sforsował następne czerwone światła i wtedy ujrzał przed sobą trzeci wóz policyjny. Wcisnął hamulec, ale było za późno i uderzył czołowo w samochód policyjny.

Jessica nie spędziła dziewiętnastych urodzin w ramionach kochanka w jego luksusowym mieszkaniu na Knightsbridge, ale samotnie, na cienkim, poplamionym uryną materacu z pianki w celi numer trzy posterunku policji przy Savile Row.

27

Następnego ranka tuż przed siódmą Samanthę zbudził telefon głównego inspektora Mullinsa. Nie musiała budzić Seba, który golił się w łazience. Gdy usłyszał pełen niepokoju głos żony, odłożył maszynkę do golenia i prędko wrócił do sypialni. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział Sam płaczącą.

Taksówka zatrzymała się przed posterunkiem policji przy Savile Row tuż po wpół do ósmej. Gdy Sebastian i Sam wysiedli, zaatakowały ich błyski fleszy i wykrzykiwane pytania, co przypomniało Sebowi czas, kiedy Hakim miał proces w Old Bailey. Nie mógł zrozumieć, kto zaalarmował prasę tak wcześnie rano.

– Czy pana córka to narkomanka?! – wrzasnął ktoś.

– Czy ona prowadziła samochód?! – krzyknął ktoś inny.

– Czy uczestniczyła w orgii?! – jeszcze inny.

Seb przypomniał sobie złotą zasadę Gilesa, jak zachować się wobec zgrai pismaków: jeśli nie masz nic do powiedzenia, nic nie mów.

Na posterunku Seb podał w recepcji dyżurnemu sierżantowi swoje nazwisko.

– Zaprowadź państwa Cliftonów do celi numer trzy – polecił sierżant młodemu posterunkowemu – i powiadom głównego inspektora, że przybyli.

Posterunkowy poprowadził ich korytarzem i stromymi schodami w dół do sutereny. Wetknął wielki klucz do zamka ciężkich drzwi, otworzył je, a potem usunął się na bok, żeby wpuścić Seba i Sam do środka.

Sebastian wlepił wzrok w niechlujnie wyglądającą, skuloną w kącie łóżka dziewczynę z zapłakaną twarzą, usmarowaną tuszem do rzęs. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to jego córka. Samantha prędko przemierzyła celę, usiadła przy Jessice i ją objęła.

– Już dobrze, kochanie, jesteśmy tu oboje.

Chociaż Jessica wytrzeźwiała, czuć było od niej woń niestrawionego alkoholu i marihuany. Po kilku chwilach przyszedł do nich policjant prowadzący sprawę, który przedstawił się jako główny inspektor Mullins i wyjaśnił, dlaczego córka Cliftonów spędziła noc w celi policyjnej. Potem zapytał, czy któreś z nich zna pana Paula Reinalda.

– Nie – odpowiedzieli oboje zdecydowanie.

– Córka państwa była z panem Reinaldem, kiedy zaaresztowaliśmy go dzisiaj rano. Oskarżyliśmy go o jazdę po pijanemu i o posiadanie trzech uncji marihuany.

Seb usiłował zachować spokój.

– A czy moja córka, panie inspektorze, też została oskarżona?

– Nie, proszę pana, i chociaż była wtedy pijana i podejrzewamy, że paliła marihuanę, a potem zaatakowała policjanta, nie

będziemy przedstawiać zarzutów. – Zawiesił głos. – Tym razem – dodał.

– Jestem niezmiernie wdzięczna – powiedziała Samantha.

– Gdzie jest ten młody człowiek? – zapytał Sebastian.

– Przed południem stanie przed sędzią pokoju na Bow Street.

– Panie inspektorze, czy moja córka jest wolna i może wyjść? – spytała cicho Samantha.

– Tak, pani Clifton. Przykro mi z powodu dziennikarzy. Ktoś musiał dać im cynk, ale mogę państwa zapewnić, że nie my.

Seb delikatnie wziął Jessicę pod rękę i wyprowadził ją z celi, potem w górę po wydeptanych schodach i z posterunku policji na Savile Row, gdzie znów oślepił ich błysk fleszy i ogłuszyły wywrzaskiwane pytania. Seb wsadził żonę i córkę do taksówki, zamknął drzwi i polecił kierowcy ruszać.

Jessica siedziała skulona między rodzicami i nie podniosła głowy nawet wtedy, gdy taksówka zakręciła za rogiem i dziennikarze zniknęli z oczu.

Gdy zajechali do domu przy Lennox Gardens, czekała na nich inna grupa fotografów i dziennikarzy. Te same pytania, ale wciąż żadnych odpowiedzi. Kiedy znaleźli się bezpiecznie w środku, Seb zaprowadził Jessicę do salonu i zanim zdążyła usiąść, zażądał prawdy i tylko prawdy.

– I nie oszczędzaj nas, bo nie wątpię, że przeczytamy o każdym skandalicznym szczególe w późniejszym wydaniu „Evening Standard”.

Pewna siebie młoda kobieta, która opuściła klub nocny po świętowaniu urodzin, przeistoczyła się w jąkającą się, płaczliwą dziewiętnastolatkę odpowiadającą na pytania drżącym,

niepewnym głosem, jakiego nigdy wcześniej rodzice u niej nie słyszeli. Popadając co chwila w zakłopotane milczenie, Jessica opisywała, jak pierwszy raz spotkała Paula i jak ją zauroczył wdziękiem, wyrafinowaniem i nade wszystko, przyznała, niewyczerpanym strumieniem pieniędzy. Wprawdzie powiedziała rodzicom wszystko, lecz ani razu nie zrzuciła winy na kochanka i nawet spytała, czy pozwolą jej spotkać się z nim jeszcze raz.

– W jakim celu? – spytał Sebastian.

– Żeby się pożegnać. – Zawahała się. – I podziękować.

– Nie sądzę, żeby to było mądre, skoro prasa będzie deptać mu po piętach, licząc, że właśnie tak postąpisz. Ale jeżeli napiszesz do niego list, dopilnuję, żeby go otrzymał.

– Dziękuję.

– Jessico, musisz spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że fatalnie zawiodłaś nas oboje. Jednak jest pewne, że rozwodząc się nad tym, nic się nie zyska. To już przeszłość i tylko ty możesz zdecydować, co chcesz zrobić ze swoją przyszłością.

Jessica spojrzała na rodziców, ale się nie odezwała.

– Moim zdaniem masz dwie możliwości do wyboru – rzekł Seb. – Możesz wrócić do domu i zobaczyć, czy uda ci się pozbierać, albo odejść i wrócić do tamtego życia.

– Tak mi przykro – powiedziała Jessica. Łzy płynęły jej po policzkach. – Wiem, że to, co zrobiłam, jest niewybaczalne. Nie chcę wracać i obiecuję, że zrobię wszystko, żeby wam to zrekompensować, jeżeli dacie mi szansę.

– Oczywiście, że tak – zapewniła ją Samantha – ale nie mogę ręczyć za szkołę Slade'a.

Dwie godziny później Sebastian wyszedł z domu, żeby kupić wczesne wydanie „Evening Standard”. Tytuł krzyczał do niego z afisza z daleka, zanim dotarł do kiosku z gazetami.

WNUCZKA PANI MINISTER ZDROWIA
ZAMIESZANA W SKANDAL NARKOTYKOWY

Czytał artykuł, powoli idąc do domu. Zawierał prawie wszystkie szczegóły, o których wcześniej opowiedziała Jessica. Noc spędzona w celi policyjnej, szampan, marihuana, dwie butelki drogiego wina, a potem brandy Alexanders wypite U Annabeli na Mayfair. Pościg policji, który zakończył się zderzeniem czołowym wartego sto tysięcy funtów ferrari z samochodem policyjnym, i nawet sugestia seksu we czworo.

Paulo Reinaldo zasłużył tylko na pobieżną wzmiankę, ale przecież reporter zadbał przede wszystkim o to, żeby baronessa Emma Clifton, wiceminister zdrowia, sir Harry Clifton, popularny autor i aktywista walczący o prawa obywatelskie, lord Barrington, były przewodniczący Izby Lordów, i Sebastian Clifton, prezes czołowego banku w City – żeby oni wszyscy zostali wymienieni, mimo że spali mocnym snem w czasie, gdy aresztowano Jessicę Clifton.

Sebastian ciężko westchnął. Mógł mieć tylko nadzieję, że jego ukochana córka potraktuje to jako doświadczenie na przyszłość i z czasem nie tylko stanie na nogi, ale się umocni. Dopiero kiedy dotarł do ostatniego akapitu, pojął, że to nie będzie możliwe.

Virginia też kupiła wczesne wydanie „Evening Standard” i nie mogła powstrzymać uśmiechu, czytając każde słowo artykułu

opublikowanego na prawach wyłączności. Dobrze wydane dziesięć funtów, pomyślała. Rozczarowała się tylko, że Paulo Reinaldo przyznał się do winy i dostał grzywnę w wysokości pięciuset funtów po zapewnieniu sędziego, że w najbliższych dniach powróci do Brazylii.

Ale znów się uśmiechnęła, kiedy dotarła do końca artykułu. Gerald Knight, dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych Slade'a, oświadczył reporterowi, że nie miał wyboru i musiał usunąć zarówno pana Paula Reinalda, jak i pannę Jessicę Clifton z uczelni. Dodał, że w wypadku panny Clifton uczynił to niechętnie, gdyż była nadzwyczaj utalentowaną studentką.

– To wielka przyjemność, pani doktor Barrington, w końcu panią spotkać. Od dawna panią podziwiam.

– To miłe z pańskiej strony, sir Jamesie, ale ja nie miałam pojęcia, że pan w ogóle o mnie słyszał.

– Pani uczyła moją żonę Helen, kiedy studiowała w Cambridge – powiedział sir James, kiedy usiedli przy kominku.

– Zechce mi pan przypomnieć jej panieńskie nazwisko?

– Helen Prentice. Poznaliśmy się, kiedy studiowałem prawo w Trinity.

– A, tak, pamiętam Helen. Grała na wiolonczeli w orkiestrze kolegium. Czy wciąż gra?

– Tylko podczas weekendów, kiedy nikt nie słucha.

Oboje się roześmiali.

– Proszę jej przekazać moje najlepsze życzenia.

– Z przyjemnością, doktor Barrington. Ale przyznam, że żadne z nas nie mogło dociec, czemu pani chciała mnie widzieć, chyba że prowadzi pani powszechnie znane zbiórki pieniędzy, a wobec tego

powinienem pani przypomnieć, że British Petroleum ostatnio podwyższyło roczną donację na fundusz stypendialny Newnham College.

Grace uśmiechnęła się.

– To niewłaściwy trop, sir Jamesie. Ja nie chciałam się spotkać z prezesem BP, ale z rektorem Szkoły Sztuk Pięknych Slade'a.

– Nadal nie rozumiem.

– Proszę spróbować nie myśleć o mnie jako o Grace Barrington, ale jako osobie spokrewnionej z kilkoma Cliftonami, a szczególnie z moją cioteczną wnuczką Jessicą, za którą pragnę się wstawić.

Sir James Neville, do tej pory serdeczny i swobodny, prędko sposępniał.

– Doktor Barrington, obawiam się, że nawet gdyby była pani Porcją, pani prośba nie zostałaby wysłuchana. Rada jednogłośnie głosowała za usunięciem panny Clifton ze szkoły Slade'a. Nie dość, że była pijana i pod wpływem narkotyków, kiedy ją aresztowano, ale będąc w areszcie, zaatakowała policjanta. Ja osobiście uznałem, że miała szczęście, że nie postawiono jej zarzutów ani nie wymierzono kary pozbawienia wolności.

– Ale na tym polega istota sprawy, sir Jamesie. Nie postawiono jej zarzutów ani nie została skazana.

– Jeżeli dobrze pamiętam, ten młody człowiek, który prowadził wtedy samochód, został oskarżony, ukarany wysoką grzywną i deportowany.

– To starszy od niej i o wiele bardziej wyrobiony osobnik, którym Jessica była niestety zauroczona.

– Możliwe, doktor Barrington. Ale czy pani też wie, że stypendium panny Clifton zostało anulowane na początku tego

roku, kiedy przyłapano ją, jak paliła marihuanę na terenie szkoły?

– Tak, wiem, sir Jamesie. Jessica powiedziała mi o wszystkim, co się wydarzyło w zeszłym roku, i mogę pana zapewnić, że głęboko żałuje swojego postępowania, ale jeżeli pan przywróci jej prawa studenta, nie zawiedzie pana drugi raz.

– Kto za to może zaręczyć?

– Ja.

Sir James zawahał się, po czym powiedział:

– Obawiam się, że to nie wchodzi w grę, doktor Barrington. Czy panna Clifton wspomniała również, że w ostatnim trymestrze była tylko na trzech wykładach i na siedmiu zajęciach i w tym czasie jej prace, które były uprzednio doskonałe, stały się nie do przyjęcia?

– Tak, mówiła o tym.

– A gdy jej promotor, profesor Howard, zwrócił jej uwagę, powiedziała mu, przepraszam za słowo, żeby się odpieprzył?

– A pan nigdy, sir Jamesie, nie uciekał się do takiego języka?

– Nie wtedy, kiedy zwracałem się do mojego tutora, i wątpię, żeby pani cioteczna wnuczka tak się odzywała do pani, doktor Barrington, albo do kogoś innego z rodziny.

– Więc nigdy się pan nie spotkał z tym, żeby student się buntował przeciwko dopuszczalnemu – pańskim i moim zdaniem – zachowaniu? Przecież sam pan ma syna i dwie córki.

To na chwilę uciszyło sir Jamesa, co pozwoliło Grace kontynuować:

– Miałam przywilej uczenia przez lata wielu utalentowanych kobiet, ale rzadko spotykałam kogoś równie zdolnego jak moja

cioteczna wnuczka.

– Talent nie usprawiedliwia lekceważenia zasad obowiązujących w szkole, przy jednoczesnym oczekiwaniu, aby inni zachowywali się przyzwoicie, co dyrektor wyraźnie podkreślił w sprawozdaniu z tej nieszczęsnej sprawy.

– W tym samym sprawozdaniu profesor Howard zwrócił się do rady w imieniu Jessiki, i jeżeli dobrze pamiętam jego słowa, powiedział, że ona ma rzadko spotykany talent, który powinno się kultywować, a nie deptać.

– Zanim podjęliśmy decyzję, rada wnikliwie rozważyła słowa profesora Howarda, ale obawiam się, że rozgłos towarzyszący okolicznościom nie zostawił nam wyboru...

– Sir Jamesie, to nie Jessice trzeba przypisywać rozgłos towarzyszący okolicznościom, ale mojej siostrze Emmie, mojemu szwagrowi Harry'emu i nawet mojemu bratu Gilesowi Barringtonowi.

– Możliwe, doktor Barrington, ale przywilej wzrastania w tak niezwykłej rodzinie nakłada dodatkową odpowiedzialność.

– Więc gdyby Jessica była córką samotnej matki, porzuconą przez ojca, to pańskie stanowisko mogłoby być inne?

Sir James gniewnie podniósł się z miejsca.

– Przepraszam, doktor Barrington, ale nie widzę celu w przedłużaniu tej dyskusji. Rada podjęła decyzję, a ja nie mam kompetencji, żeby ją uchylić.

– Niechętnie pana skoryguję, sir Jamesie – powiedziała Grace, nie wstając z fotela – ale myślę, że gdyby pan dokładnie sprawdził statut szkoły Slade'a, toby się pan przekonał, że przepis 73b pozwala panu właśnie to uczynić.

– Nie przypominam sobie przepisu 73b – oznajmił sir James, z powrotem opadając na fotel – ale mam wrażenie, że pani mnie oświeci.

– Rektor jest uprawniony – powiedziała spokojnie Grace – do uchylenia decyzji rady, jeżeli uzna, że były okoliczności łagodzące, których nie wzięto pod uwagę.

– Jakie mianowicie? – spytał sir James, z trudem ukrywając irytację.

– Może czas przypomnieć panu o innym studencie, który nie był tak uprzywilejowany jak Jessica Clifton. Ten młody człowiek, gdy był studentem w Cambridge, wziął bez pozwolenia motocykl swojego opiekuna naukowego i w środku nocy wybrał się na przejażdżkę. Kiedy został zatrzymany przez policję za nadmierną prędkość, oświadczył, że ma pozwolenie właściciela.

– To był niewinny psikus.

– A kiedy następnego ranka stanął przed sędzią pokoju, nie postawiono mu zarzutów, ale polecono zwrócić motocykl właścicielowi i przeprosić go. I szczęśliwie, jako że młody człowiek nie był synem ministra, incydent nie zasłużył nawet na drobną wzmiankę w „Cambridge Evening News".

– To niezupełnie sprawiedliwe, doktor Barrington.

– A kiedy student zwrócił motocykl opiekunowi naukowemu i przeprosił, nie został wydalony z uczelni ani nawet zawieszony w prawach studenta, bo jego tutor to był kulturalny facet i dobrze wiedział, że tego młodego człowieka dzieli tylko kilka tygodni od egzaminów końcowych.

– To poniżej pasa, doktor Barrington.

– Nie mogę się nie zgodzić – rzekła Grace. – Ale myślę, że warto wspomnieć, że ów młody człowiek ukończył studia z wyróżnieniem i później został prezesem BP, rektorem Szkoły Sztuk Pięknych Slade'a, człowiekiem obdarzonym tytułem honorowym.

Sir James pochylił głowę.

– Przepraszam za tę taktykę, sir Jamesie, i mam nadzieję, że mi pan wybaczy, kiedy dama Jessica Clifton, członkini Akademii Królewskiej, zostanie mianowana jej rektorem.

– Powiedz mi, dziadku – poprosiła Jessica – czy kiedyś zrobiłeś z siebie kompletnego głupca?

– Czy chodzi ci o ten tydzień, czy poprzedni? – spytał Harry.

– Ja mówię poważnie. Chodzi mi o to, kiedy byłeś młody.

– To tak dawno temu, że nawet nie pamiętam – rzekł Harry.

Jessica milczała, czekając odpowiedzi na swoje pytanie.

– A co myślisz o oskarżeniu o morderstwo? – w końcu powiedział. – Czy to się liczy?

– Ale byłeś niewinny i to był straszny błąd.

– Sędzia tak nie myślał, bo skazał mnie na cztery lata więzienia, a jeżeli dobrze pamiętam, ty siedziałaś tylko jedną noc.

Jessica się skrzywiła i nic nie powiedziała.

– A potem jeszcze zdarzyło się, że nie posłuchałem rozkazów i poradziłem niemieckiemu generałowi, żeby złożył broń i się poddał, kiedy miałem tylko pistolet i irlandzkiego kaprala do pomocy.

– I Amerykanie dali ci order za tę akcję.

– Ale właśnie w tym rzecz, Jessie. Często na wojnie obwołują cię bohaterem za czyn, za który by cię zaaresztowano albo zastrzelono w czasach pokoju.

– Czy myślisz, że ojciec kiedyś mi przebaczy?

– Nie ma powodu, żeby tego nie uczynił. On zrobił coś o wiele gorszego w twoim wieku i dlatego twoja matka zostawiła go i wróciła do Ameryki.

– Ona mi powiedziała, że się od siebie oddalili.

– To prawda, ale ci nie powiedziała dlaczego. I muszą ci podziękować za to, że ich połączyłaś.

– A komu ja muszę podziękować?

– Swojej ciotecznej babce Grace, jeżeli pytasz, kto ci umożliwił powrót we wrześniu do szkoły Slade'a.

– Myślałam, że to ty interweniowałeś albo babka.

– Nie. Chociaż ona mi nie podziękuje za to, że ci powiedziałem, lecz wiedz, że Grace połączyła siły z profesorem Howardem, co dowodzi, że kiedy dwoje ludzi współpracuje, mogą stać się armią.

– Jak mogę im podziękować?

– Udowadniając, że mieli rację. Co mi nasuwa pytanie, czy robisz postępy.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Czy byłeś kiedy pewien, jaki kształt przybierze twoja książka?

– Nie, na koniec zostawiam tę opinię krytykom i czytelnikom.

– Więc myślę, że tak samo będzie ze mną. Czy chciałbyś wyrazić szczerą opinię o mojej ostatniej pracy?

– Spróbuję – rzekł Harry, mając nadzieję, że nie będzie musiał udawać.

– Więc teraz jest najlepszy moment – powiedziała Jessica, chwytając go za rękę i wyprowadzając z biblioteki. – To było uprzejme z twojej strony, że mi pozwoliłeś tu przyjechać na lato

i sprawdzić, czy zdołam się pozbierać – dodała, kiedy szli w górę schodami.

– I udało się?

– Mam nadzieję, że to mi właśnie powiesz – rzuciła Jessica, otwierając drzwi do dawnego pokoju do zabawy i usuwając się na bok.

Harry niepewnie wszedł do środka i zobaczył całe rzędy wstępnych rysunków rozrzuconych na podłodze. Nie przygotowały go bynajmniej na widok wielkiego płótna na sztalugach na środku pokoju. Spojrzał na obraz przedstawiający Manor House, który, jak mu się wydawało, tak dobrze znał. Trawnik, ogród różany, jeziorko, budowla ogrodowa, olbrzymie dęby, które zamykały horyzont. Kolory były nie takie, ale wszystko razem...

Kiedy Jessica nie mogła już dłużej wytrzymać, spytała:

– I jak? Powiedz coś, dziadku.

– Mam tylko nadzieję, że moja ostatnia książka jest w połowie tak dobra.

28

– Ale to jest rodzinna tradycja – upierała się Emma.

– Czy nie możemy zrobić sobie rocznej przerwy? – zakpił Sebastian.

– Nic podobnego. Obiecałam twojemu pradziadkowi, że święta Bożego Narodzenia rodzina zawsze będzie spędzać razem, a w sylwestra wypowiemy nasze postanowienia na nowy rok. Więc kto zacznie w tym roku?

– Mój ojciec był jeszcze gorszy – powiedziała Samantha. – Kazał nam spisywać postanowienia, a rok później musieliśmy je odczytywać, żeby wszystkim przypomnieć, cośmy głupio naobiecywali.

– Zawsze lubiłam twojego ojca – stwierdziła Emma. – A może ty zaczniesz?

– O tej porze w przyszłym roku – rzekła Samantha – będę pracować.

– Ale ty już pracujesz – powiedziała Emma. – Wychowujesz przyszłego prezesa Farthings Kaufman.

– Nie sądzę – rzekł Seb, spoglądając na syna, który sprowadzał model concorde'a na podłogę. – Myślę, że on zamierza zostać

oblatywaczem.

– Więc musi zostać prezesem British Airways – rzuciła Emma.

– Może nie będzie chciał być prezesem niczego – zauważyła Grace.

– Gdybyś miała wybór, Sam – odezwał się Harry – to gdzie byś chciała pracować?

– Staram się o pracę w Instytucie Courtaulda, w dziale badań. Godziny są elastyczne, a teraz, kiedy Jake pójdzie do przedszkola, to byłoby idealne.

– Bardziej praktycznych członków naszej rodziny – odezwał się Sebastian – może zainteresować informacja, że zatrudnienie niani będzie kosztowało więcej niż Sam ma nadzieję zarobić jako badaczka w Instytucie Courtaulda.

– Sensowna dystrybucja dóbr – rzekła Grace. – Dwie osoby wykonujące pracę, na której im zależy, i obie odpowiednio opłacane.

– Jakie jest twoje noworoczne postanowienie, ciociu Grace? – spytał Sebastian.

– Zdecydowałam, że przejdę wcześniej na emeryturę i opuszczę uniwersytet pod koniec roku akademickiego.

– Dołącz do nas w Izbie Lordów – powiedział Giles. – Przydadzą się nam twoja mądrość i rozsądek.

– Dziękuję ci – rzekła Grace – ale dwoje Barringtonów w Izbie Wyższej to dość. W każdym razie, podobnie jak Samantha, rozglądam się za nową pracą.

– Czy wolno mi spytać jaką? – zagadnął Harry.

– Staram się o posadę nauczycielki w miejscowej państwowej szkole średniej w nadziei, że pomogę kilku zdolnym

dziewczynkom dostać się do Cambridge, które inaczej mogłyby uznać to za niemożliwe.

– Czemu nie chłopcom?

– Jest ich już w Cambridge dostatecznie dużo.

– Wszystkich nas zawstydzasz, ciociu Grace – powiedział Sebastian.

– A ty, Seb, jakie masz plany w tym roku? – odcięła się Grace. – Poza zarabianiem coraz więcej pieniędzy?

– Miejmy nadzieję, że masz rację, bo prawdę mówiąc, moi klienci, do których ty należysz, tego będą ode mnie oczekiwać.

– Właśnie! – rzuciła Emma.

– Twoja kolej, Jessico – powiedziała Grace. – Mam nadzieję, że planujesz coś bardziej interesującego niż prezesurę banku.

Nikt nie musiał przypominać, jakie postanowienie podjęła Jessica rok wcześniej: „zasłużyć na zaufanie, którym mnie darzy babka cioteczna, i jak najlepiej wykorzystać daną mi drugą szansę".

– Postanawiam zdobyć stypendium na studia w Akademii Królewskiej.

– Brawo! – powiedziała Emma.

– To nie wystarczy – odezwała się Grace. – Wszyscy wiemy, że to osiągniesz. Podnieś wyżej poprzeczkę, młoda damo.

Jessica wahała się chwilę, a potem powiedziała:

– Zdobędę Founder's Prize.

– To już lepiej – oceniła Grace. – I wszyscy stawimy się, kiedy będziesz odbierać nagrodę.

– Twoja kolej, mamo – Sebastian pospieszył córce na ratunek.

– Zamierzam chodzić na gimnastykę i zrzucić trzy kilogramy.

– Ależ to było twoje zeszłoroczne postanowienie!

– Wiem – powiedziała Emma. – Teraz muszę zrzucić dwa razy tyle.

– Ja też – rzekł Giles – ale w odróżnieniu od Emmy przynajmniej zrealizowałem zeszłoroczne postanowienie.

– Przypomnisz nam? – spytał Harry.

– Przysiągłem, że powrócę do przedniej ławy i dostanę ambitną tekę ministerialną, skoro Michael Foot w końcu zrezygnował i utorował drogę komuś, kto chce zamieszkać pod Numerem Dziesięć na Downing Street.

– I co zdecydował pan Kinnock? Którego ministra będziesz „cieniem" w Gabinecie Cieni? – zagadnęła Grace.

Giles nie mógł się powstrzymać od szerokiego uśmiechu.

– Nie – rzuciła Emma. – Nie ośmielisz się! Przypuszczam, że odmówiłeś.

– Nie mogłem się oprzeć tej propozycji – powiedział Giles. – Więc moje noworoczne postanowienie brzmi: irytować, dręczyć i stwarzać jak najwięcej problemów rządowi, a szczególnie ministrowi zdrowia.

– Jesteś szczur! – rzuciła Emma.

– Nie, siostrzyczko. Uczciwie mówiąc, jestem szczurołapem.

– Przerwa! – rzekł Harry ze śmiechem. – Zanim rzucicie się do bitki, kto następny?

– Może Freddie? – podsunęła Karin.

To były jego pierwsze święta Bożego Narodzenia w Manor House i Jessica matkowała mu jak jedynakowi, podczas gdy Jake nie odstępował na krok nowego przyjaciela.

– Moje noworoczne postanowienie – powiedział Freddie – będzie takie samo w tym roku i w następnych latach, póki go nie zrealizuję. – Freddie nie miał takiego zamiaru, ale przykuł uwagę wszystkich. – Zdobędę setkę na stadionie Lorda i postaram się dorównać mojemu ojcu.

Giles się odwrócił, nie chcąc speszyć chłopca.

– A jak to osiągniesz, to co dalej? – spytał Harry, widząc, że jego najbliższy przyjaciel jest bliski łez.

– Dwie setki, sir Harry – powiedział Freddie bez wahania.

– Nietrudno odgadnąć, co będziesz chciał zrobić w następnym roku, jak już to osiągniesz – zauważyła Grace.

Wszyscy się roześmiali.

– Teraz twoja kolej, Karin – powiedziała Emma.

– Postanowiłam biec w Maratonie Londyńskim i zebrać pieniądze dla imigrantów, którzy chcą studiować na uniwersytecie.

– Jaki to dystans? – spytała Samantha.

– Trochę ponad dwadzieścia sześć mil.

– Dobrze, że to ty, a nie ja. Zapisz, że deklaruję pięć funtów za milę.

– Jesteś hojna, Sam – powiedziała Karin.

– Ja też się zgłaszam – odezwał się Sebastian.

– I ja – dodał Giles.

– Dziękuję ci, ale nie dziękuję wam – powiedziała Karin, wyjmując notes z kieszeni. – Już zapisałam Samanthę na pięć funtów za milę, ale pozostali będą musieli dać taką samą część swoich dochodów.

– Ratunku! – westchnął Sebastian.

– Z tobą policzymy się na końcu – powiedziała Karin, uśmiechnąwszy się do Seba, i spojrzała na listę. – Grace ma wpłacić dwadzieścia pięć funtów za milę, Emma i Harry po pięćdziesiąt funtów, Giles sto funtów. A Sebastianowi jako prezesowi banku wyznaczam tysiąc funtów za milę. W sumie to będzie – znów zajrzała do notesu – trzydzieści jeden tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt funtów.

– Czy mogę zgłosić apel w imieniu studentki malarstwa, imigrantki z Nowego Świata, która nie jest pewna, kim są jej rodzice, i niestety straciła stypendium?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Co więcej, Freddie, Jake i ja chcielibyśmy ofiarować po dziesięć funtów za milę.

– Ale to będzie cię kosztowało siedemset osiemdziesiąt funtów – powiedział jej ojciec. – Więc muszę spytać, jak zamierzasz to zapłacić.

– W banku potrzebują portretu prezesa, który zawiśnie w sali posiedzeń rady nadzorczej – odparła Jessica. – Zgadnij, u kogo zamówią obraz i ile jej zapłacą?

Harry się uśmiechnął, rad, że wnuczka odzyskała swój prześmiewczy ton i cierpki humor.

– Czy mam tu coś do powiedzenia? – spytał Seb.

– Na pewno nie – rzekła Jessica. – Bo inaczej jaki sens być ojcem?

– Brawo, Karin – powiedziała Grace. – Wszyscy cię podziwiamy.

– Zaraz, poczekajcie – odezwał się Seb. – Do umowy trzeba włączyć dodatkową klauzulę. Jeżeli Karin nie ukończy maratonu, nie wpłacimy ani pensa.

– Zgoda – powiedziała Karin. – I dziękuję wam wszystkim.

– Kto jeszcze został? – spytała Emma.

Oczy wszystkich zwróciły się na Harry'ego, który nie oparł się pokusie i kazał im czekać jeszcze parę chwil.

– Dawno temu była taka niezwykła stara kobieta, która tuż przed śmiercią napisała list do syna, sugerując, że nadszedł czas, żeby napisał tę powieść, o której tak często jej opowiadał. – Na moment umilkł. – Cóż, matko – powiedział, spoglądając w niebo – ten czas nadszedł. Nie mam już wymówki, żeby opóźniać spełnienie twojego życzenia, ponieważ skończyłem ostatnią książkę z cyklu opowieści o Williamie Warwicku.

– O ile oczywiście twój niegodziwy wydawca – wtrąciła Emma, zainteresowana tematem – nie zaproponuje swojemu uległemu autorowi jeszcze wyższej zaliczki, której ten nie potrafi się oprzeć.

– Z radością mogę ci powiedzieć, że to nie będzie możliwe – rzekł Harry.

– A to czemu? – spytał Seb.

– Właśnie wysłałem ostateczny tekst Aaronowi Guinzburgowi i on niedługo się przekona, że uśmierciłem Williama Warwicka.

Wszystkich zamurowało, z wyjątkiem Gilesa, który powiedział:

– To nie przeszkodziło sir Arthurowi Conan Doyle'owi przywrócić Sherlocka Holmesa do życia po tym, jak oddani czytelnicy uznali, że Moriarty zrzucił go z wierzchołka klifu.

– To samo przyszło mi do głowy – rzekł Harry – więc zakończyłem książkę pogrzebem Williama Warwicka i sceną, jak jego żona i dzieci stojące nad grobem patrzą na trumnę opuszczaną w głąb ziemi. O ile pamiętam, do tej pory tylko jedna osoba powstała z martwych.

To uciszyło nawet Gilesa.

– Czy możesz nam coś opowiedzieć o następnej powieści? – spytała Karin, która, jak wszyscy, pierwszy raz usłyszała o śmierci Williama Warwicka.

I znowu Harry odczekał, aż wszyscy, nawet Jake, wbiją w niego pytający wzrok.

– Miejscem akcji będzie jedno z radzieckich państw satelitarnych, prawdopodobnie Ukraina. Akcja pierwszego rozdziału zacznie się na przedmieściu Kijowa, gdzie rodzina składająca się z matki, ojca i dziecka będzie jadła kolację.

– Chłopak czy dziewczynka? – spytała Jessica.

– Chłopak.

– Wiek?

– Jeszcze nie zdecydowałem. Piętnaście, może szesnaście lat. Wiem tylko, że rodzina świętuje urodziny chłopca i w trakcie kolacji, która nie jest żadną ucztą, czytelnik się dowie o kłopotach, jakich doświadczają pod władzą opresyjnego reżimu, gdyż ojciec, przywódca związkowy, jest uważany za wichrzyciela, dysydenta, człowieka, który ośmiela się podważać autorytet państwa.

– Gdyby urodził się w tym kraju – powiedział Giles – zostałby przywódcą opozycji.

– Ale w swoim kraju – ciągnął opowieść Harry – jest traktowany jak ktoś wyjęty spod prawa, jak pospolity przestępca.

– I co się dzieje dalej? – spytała Jessica.

– Chłopiec właśnie zamierza rozpakować swój jedyny prezent, kiedy przed domem zatrzymuje się z piskiem opon wojskowa ciężarówka, grupa żołnierzy wyłamuje drzwi, wywleka ojca na ulicę i strzela do niego na oczach żony i dziecka.

– Zabijasz bohatera w pierwszym rozdziale? – zapytała z niedowierzaniem Emma.

– To będzie opowieść o dziecku – powiedziała Grace – nie o ojcu.

– I o matce – rzekł Harry – bo to inteligentna, przedsiębiorcza kobieta, która już rozumie, że jeżeli nie uciekną z kraju, to wkrótce buntujący się syn zechce się zemścić i nieuchronnie spotka go taki sam los jak ojca.

– Więc dokąd uciekają? – zapytała Jessica.

– Matka nie może się zdecydować, czy do Ameryki, czy do Anglii.

– Jak podejmują decyzję?

– Rzucają monetę.

Cała rodzina nie spuszczała wzroku z opowiadającego.

– I jak rozwija się akcja? – spytał Seb.

– Śledzimy, co przydarza się matce i dziecku, rozdział za rozdziałem. W pierwszym rozdziale uciekają do Ameryki. W drugim do Anglii. Zatem macie dwie paralelne i bardzo różne opowieści rozgrywające się w tym samym czasie.

– Ojej! – westchnęła Jessica. – I co dzieje się potem?

– Chciałbym wiedzieć – powiedział Harry. – Ale podejmuję noworoczne postanowienie, że się dowiem.

29

– Za dziesięć minut start – odezwał się głośnik.

Karin uparcie ćwiczyła bieg w miejscu, usiłując wprowadzić się w trans, który wytrawni biegacze nazywają „stanem przepływu". Trenowała godzinami, nawet biegła w półmaratonie, ale nagle poczuła się bardzo samotnie na linii startowej.

– Pięć minut – powiedział głos przeznaczenia.

Karin spojrzała na stoper, niedawny prezent od Gilesa. 0.00. Wysforuj się jak najbardziej do przodu, aby w wyścigu nie tracić czasu i dystansu, poradził jej Freddie. Karin nigdy nie uważała maratonu za wyścig, miała tylko nadzieję ukończyć go z czasem poniżej czterech godzin. W tej chwili miała nadzieję, że w ogóle go ukończy.

– Jedna minuta – zabrzmiał głos startera.

Karin znajdowała się w jedenastym rzędzie, ale ponieważ w maratonie brało udział ponad osiem tysięcy biegaczy, uważała, że to wystarczająco blisko przodu.

– Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden! – wykrzyczeli chórem biegacze, zanim głośnik ryknął złowieszczo.

Karin wcisnęła przycisk stopera i wystartowała, porwana entuzjastyczną falą biegaczy.

Każdą milę znaczyła przecinająca drogę gruba niebieska linia i Karin przebiegła pierwszą milę w niespełna osiem minut. Gdy wpadła w stały rytm, zaczęła dostrzegać tłumy po obu stronach trasy maratonu – jedni wznosili okrzyki, inni klaskali, jeszcze inni wpatrywali się z niedowierzaniem w masę ludzkich ciał wszelkich kształtów i wielkości, mijających ich z różną szybkością.

Karin odbiegła myślami od maratonu. Myślała o Gilesie, który wcześnie rano przywiózł ją do małej wioski namiotowej, żeby się zarejestrowała, a teraz wystaje gdzieś na zimnie, czekając, aż ona się pojawi między innymi zawodnikami. Potem jej myśli pobiegły do jej pierwszej wizyty w Izbie Lordów, gdzie przysłuchiwała się, jak minister zdrowia odpowiada z mównicy na pytania. Emma dobrze sobie radziła i zdaniem Gilesa prędko odnalazła właściwy rytm. Gdy Karin minęła półmetek, miała nadzieję, że też biegnie właściwym rytmem, chociaż pogodziła się z myślą, że zwycięzca przekracza już linię mety.

Giles uprzedził rodzinę, że jest mało prawdopodobne, aby Karin przebiegła trasę maratonu w czasie krótszym niż cztery godziny, więc wszyscy wstali wcześnie rano, żeby znaleźć miejsce, gdzie ich na pewno zobaczy. Poprzedniego wieczoru Freddie na klęczkach przygotowywał plakat, którym chciał rozśmieszyć Karin, kiedy będzie ich mijała chwiejnym krokiem.

Gdy Giles, podrzuciwszy żonę do namiotu w Greenwich Park, gdzie rejestrowano biegaczy o nazwiskach od A do D, powrócił na Smith Square, poprowadził swoją grupkę kibiców na tyły budynku

Ministerstwa Finansów i znalazł miejsce w pierwszym rzędzie za barierą na Parliament Square, naprzeciwko posągu Winstona Churchilla.

Karin zbliżała się teraz do momentu zwanego przez wszystkich maratończyków ścianą. Zwykle następował między 17 a 20 milą i często słyszała, że wtedy opada biegaczy pokusa, aby przekonać siebie, że jeśli się wycofają, to nikt nie zauważy. Wszyscy zauważą. Mogą nic nie powiedzieć, ale Sebastian wyraźnie stwierdził, że nie da ani pensa, jeśli ona nie przekroczy mety. Umowa obowiązuje, przypomniał. Ale wydawało się, że biegnie coraz wolniej i wolniej, i kiedy spostrzegła znak ograniczenia szybkości do 30 mil na godzinę, nie poprawiło to jej nastroju.

Ale coś, możliwe, że strach przed porażką, kazało jej biec dalej i udawała, że nie zauważyła, kiedy wyprzedziła ją skrzynka na listy, a po kilku minutach wielbłąd. Mówiła sobie: dalej, dalej, dalej. Nogi zaś nalegały: stop, stop, stop. Kiedy minęła linię oznaczającą dwudziestą milę, tłum zgotował owację, ale nie jej, tylko ciągnikowi, który wolno przetoczył się obok.

Gdy Karin ujrzała w dali Tower of London, zaczęła wierzyć, że może się jej uda. Spojrzała na zegarek: 3 godziny 32 minuty. Czy uda się jej przebiec całą trasę w niespełna cztery godziny?

Kiedy skręciła z Embankment i minęła Big Bena, rozległ się głośny, przeciągły okrzyk. Spojrzała tam i zobaczyła Gilesa, Harry'ego i Emmę, którzy zapamiętale do niej machali, a Freddie uniósł wysoko plakat, który ogłaszał: BIEGNIJ DALEJ, MYŚLĘ, ŻE JESTEŚ NA TRZECIM MIEJSCU!

Karin jakoś udało się podnieść rękę w podzięce, ale w chwili gdy skręciła w Mall, z trudem stawiała stopy jedna przed drugą.

Kiedy od mety dzieliła ją jedna czwarta mili, dotarło do jej świadomości, że trybuny po obu stronach ulicy są szczelnie wypełnione, tłumy wznoszą gromkie okrzyki, a ekipy telewizji BBC filmują ją, gdy biegnie do tyłu szybciej niż do przodu.

Podniosła głowę i spojrzała na zegar cyfrowy ponad metą, odliczający nieustępliwie czas. Trzy godziny 57 minut, i nagle zaczęła się interesować sekundami, 31, 32, 33... Ostatnim, herkulesowym wysiłkiem próbowała przyspieszyć. Gdy w końcu minęła metę, niby mistrz olimpijski uniosła wysoko w górę ramiona. Po kilku krokach osunęła się na ziemię.

Po chwili asystent biegu w bluzie Czerwonego Krzyża klęczał przy niej z butelką wody w jednej ręce i z błyszczącą srebrną peleryną w drugiej.

– Staraj się ruszać – powiedział, wieszając jej medal na szyi.

Karin zaczęła wolno, bardzo wolno iść, ale podniósł ją na duchu widok biegnącego do niej z daleka z rozpostartymi ramionami Freddiego i podążającego parę kroków za nim Gilesa.

– Gratulacje! – krzyknął Freddie, jeszcze nim do niej dobiegł. – Trzy godziny, pięćdziesiąt dziewięć minut i jedenaście sekund. Jestem pewien, że w przyszłym roku spiszesz się lepiej.

– Nie będzie żadnego przyszłego roku – powiedziała Karin z przekonaniem. – Nawet gdyby Sebastian zaoferował mi milion funtów.

LADY VIRGINIA FENWICK
1983–1986

30

Virginia wyprowadziła się ze swojego mieszkania w Chelsea i przeniosła do miejskiej rezydencji księcia na Eaton Square w dniu, gdy kierowca odwiózł Clarence'a i Alice na lotnisko Heathrow, skąd jedno poleciało na wschód, a drugie na zachód.

Wprawdzie wciąż była trochę niespokojna, ale stopniowo nabierała coraz większej pewności, że się jej upiecze, do czasu, gdy udali się razem na wieś, żeby spędzić długi weekend w zamku książąt Hertford.

Kiedy książę był na polowaniu, pan Moxton, zarządca majątku, zostawił jej notatkę z prośbą o spotkanie na osobności.

– Przepraszam, że poruszę ten temat – powiedział, kiedy Virginia wezwała go do salonu – ale chciałbym zapytać, czy sto osiemdziesiąt pięć tysięcy funtów, które książę pani dał, było prezentem czy pożyczką?

– Czy to jakaś różnica? – spytała ostrym tonem Virginia.

– Tylko dla celów podatkowych, milady.

– Co byłoby bardziej praktyczne? – spytała łagodniejszym tonem.

– Pożyczka – rzekł Moxton, któremu Virginia nie zaproponowała, żeby usiadł – bo wtedy nie ma zobowiązań podatkowych. Gdyby to był prezent, nałożono by na panią podatek w wysokości około stu tysięcy funtów.

– A nie chcemy tego – powiedziała Virginia. – Kiedy powinnam zwrócić tę pożyczkę?

– Powiedzmy za pięć lat? A wtedy oczywiście mogłaby zostać sprolongowana.

– Oczywiście.

– Jednak, co mało prawdopodobne, gdyby książę wcześniej zmarł, byłaby pani zobowiązana do zwrotu pełnej sumy.

– Więc muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby książę żył co najmniej pięć lat.

– Myślę, że to byłoby najlepsze dla wszystkich, milady – powiedział Moxton, niepewny, czy powinien się roześmiać. – Czy mogę też zapytać, czy w przyszłości będą dalsze pożyczki tego rodzaju?

– Na pewno nie, Moxton. To była sprawa jednorazowa i wiem, że książę by wolał, żeby o tym więcej nie wspominać.

– Oczywiście, milady. Przygotuję stosowny dokument, przedstawię go pani do podpisu i wszystko będzie załatwione.

Mijały tygodnie, potem miesiące i Virginia nabierała przekonania, że książę nie wie o tym, co uzgodniła z Moxtonem, a nawet jeżeli wiedział, to nigdy o tym nie wspomniał. Kiedy zbliżały się siedemdziesiąte pierwsze urodziny księcia, Virginia była gotowa do realizacji następnego etapu swojego planu.

Gdyby 1983 był rokiem przestępnym, problem rozwiązałby się sam. Ale nie był, a Virginia nie miała ochoty czekać.

Mieszkała z księciem na Eaton Square blisko rok i kiedy skończył się formalny okres żałoby, zamierzała po prostu zostać księżną Hertford. Istniała tylko jedna przeszkoda, mianowicie sam książę, który wydawał się całkiem zadowolony z obecnego stanu rzeczy i nigdy nie poruszył tematu małżeństwa. Należało to rozstrzygnąć. Ale jak?

Virginia zastanawiała się nad możliwymi rozwiązaniami. Mogła się wyprowadzić z Eaton Square i wrócić na Chelsea, pozbawiając Perry'ego swojego towarzystwa i, co ważniejsze, pożycia seksualnego już nie tak regularnego jak kiedyś, i mieć nadzieję, że to poskutkuje. Jednak bała się, że przy zaledwie dwu tysiącach funtów zasiłku od brata na utrzymanie podda się o wiele wcześniej niż Perry. Mogłaby sama zaproponować małżeństwo, ale nie zniosłaby upokorzenia, gdyby on odmówił. Albo po prostu mogłaby od niego odejść, co było nie do pomyślenia.

Kiedy przy lunchu omawiała ten problem z Bofiem Bridgwaterem i Priscillą Bingham, Bofie wpadł na proste rozwiązanie, które bez wątpienia zmusiłoby księcia do podjęcia pozytywnej lub negatywnej decyzji.

– Ale to może odnieść odwrotny skutek – rzekła Virginia – i potem znów wpadnę w tarapaty finansowe.

– Może to i racja – przyznał Bofie. – Ale prawdę mówiąc, moja droga, nie masz dużego wyboru, chyba że zamierzasz tak trwać do chwili pogrzebu księcia, na którym wystąpisz jako stara przyjaciółka.

– Nie, zapewniam cię, że nie taki jest mój plan. Gdybym na to pozwoliła, to lady Camilla Hertford ruszyłaby do ataku, żądając pełnego zwrotu stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów. Nie,

jeżeli mam zaryzykować wszystko jednym rzutem kostki, musi się to stać przed Bożym Narodzeniem.

– Dlaczego Boże Narodzenie jest takie ważne? – zagadnęła Priscilla.

– Ponieważ Camilla ma przylecieć z Nowej Zelandii i już napisała do Perry'ego z ostrzeżeniem, że jeżeli „ta kobieta" będzie wśród gości, to ani ona, ani jej mąż, ani wnuki Perry'ego, za którymi on przepada, nie wsiądą do samolotu.

– To ona tak cię nie cierpi?

– Nawet bardziej niż jej nieżyjąca matka, jeżeli to możliwe. Więc jeśli zamierzamy coś z tym zrobić, czas mi nie sprzyja.

– Wobec tego lepiej wykonam ten telefon – powiedział Bofie.

– „Daily Mail".

– Czy może mnie pani połączyć z Nigelem Dempsterem?

– Kto dzwoni?

– Lord Bridgwater.

– Bofie, miło cię słyszeć – odezwał się w telefonie drugi głos. – Co się szykuje?

– Nigel, miałem telefon od Williama Hickeya z „Expressu". Oczywiście odmówiłem rozmowy.

– Jestem ci wdzięczny, Bofie.

– Cóż, jeżeli ta historia ma wyjść na jaw, to wolę, żeby to było w twojej rubryce.

– Strzelaj.

Dempster zanotował każde słowo Bofiego i był nieco zaskoczony, bo zawsze w swojej kronice pisał o lordzie Bridgwaterze jako o „zdeklarowanym kawalerze". Ale nie ulegało kwestii, że ta

wyłącznie dla niego przeznaczona wiadomość pochodzi z pierwszej ręki.

Gdy tylko następnego dnia rano „Daily Mail” spadła na wycieraczkę, Virginia natychmiast ją podniosła. Nie zwróciła uwagi na widniejący na pierwszej stronie tytuł „Rozwód?” nad fotografią Roda i Alany Stewartów i prędko odszukała kronikę Dempstera, gdzie zobaczyła nagłówek „Małżeństwo?” nad niezbyt pochlebnym zdjęciem lady Virginii Fenwick z Bofiem w Monte Carlo.

Po przeczytaniu najważniejszej informacji Dempstera Virginia pożałowała, że pozwoliła tak pohasać Bofiemu. „Bliski przyjaciel rodziny (kod źródła informacji) powiedział mi, że lord Bridgwater ma nadzieję wkrótce ogłosić zaręczyny z lady Virginią Fenwick, jedyną córką nieżyjącego lorda Fenwick. To być może zaskoczy moich stałych czytelników, bo zaledwie w zeszłym tygodniu widziano lady Virginię pod rękę z księciem Hertford na gonitwie przełajowej z przeszkodami. Nie przeocz tego”.

Virginia drugi raz przeczytała artykuł, bojąc się, że Bofie przedobrzył, bo nie trzeba było czytać między wierszami, żeby pojąć, że Dempster nie wierzył w ani jedno słowo. Będzie musiała zatelefonować do Perry’ego i powiedzieć mu, że to kompletne bzdury. W końcu wszyscy wiedzieli, że Bofie jest gejem.

Po kilku filiżankach kawy i wielu wahaniach Virginia w końcu podjęła słuchawkę i wykręciła numer Perry’ego na Eaton Square. Akurat zaczął dzwonić, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Rezydencja księcia Hertford – odezwał się w telefonie głos, który od razu rozpoznała.

– Tu lady Virginia, Lomax. Chciałabym rozmawiać z...

Pukanie do drzwi nie ustawało.

– Obawiam się, że jego książęcej mości nie ma w domu, milady – powiedział kamerdyner.

– Czy wiesz, kiedy wróci?

– Nie, milady. Wyszedł w pośpiechu rano i nie zostawił żadnych poleceń. Czy mam mu przekazać, że pani telefonowała?

– Nie, dziękuję – rzuciła Virginia, odkładając słuchawkę.

Pukanie nie ustawało, całkiem jak łomotanie poborcy czynszu, który wie, że jesteś w środku.

Virginia podeszła do drzwi oszołomiona, wyobrażając sobie, że Perry wyjechał z kraju bez niej, pierwszy raz od ponad roku. Potrzebowała czasu na zastanowienie, ale najpierw musi się pozbyć nieproszonego gościa, który dobija się do drzwi.

Otworzyła je i już chciała wyprosić intruza, gdy ujrzała Perry'ego, który klęczał na jednym kolanie.

– Tylko mi nie mów, moja duszko, że się spóźniłem – powiedział, rzucając jej rozpaczliwe spojrzenie.

– Oczywiście, że nie, Perry, ale wstań.

– Nie wstanę, dopóki nie powiesz, że mnie poślubisz.

– Oczywiście, że tak, kochany. Już powiedziałam Bofiemu, że jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu, ale on nie chce słyszeć o odmowie – rzekła, pomagając księciu się podnieść.

– Nie chcę zwlekać, moja duszko – powiedział. – Widzę już metę, więc lepiej się pospieszmy.

– Dobrze rozumiem, jak się czujesz – rzekła Virginia. – Ale czy nie sądzisz, że powinieneś porozmawiać z dziećmi, zanim podejmiesz tak ważną decyzję?

– Nic podobnego. Ojcowie nie proszą dzieci o pozwolenie na zawarcie małżeństwa. A zresztą jestem pewien, że będą zachwycone.

Trzy tygodnie później, dzięki informacji od przyjaciela rodziny, Nigel Dempster zamieścił na prawach wyłączności fotografię księcia i księżnej Hertford wychodzących w ulewnym deszczu z urzędu stanu cywilnego w Chelsea. „Szczęśliwa para – pisał Dempster – spędzi miesiąc miodowy w posiadłości księcia w pobliżu Cortony i zamierza wrócić do zamku książąt Hertford, żeby świętować Boże Narodzenie w gronie rodziny.

31

Święta Bożego Narodzenia z rodziną księcia były mroźne wewnątrz, jak i na zewnątrz zamku. Nawet Clarence i Alice byli wyraźnie skonsternowani, że ojciec się ożenił, nie informując ich, a Camilla nie pozwoliła nikomu – rodzinie ani personelowi – wątpić, co myśli o uzurpatorce.

Ilekroć Virginia wchodziła do pokoju, Camilla wychodziła z mężem i dwójką dzieci, które podążały w ślad za nimi. Jednak Virginia wciąż miała przewagę nad pozostałą rodziną: był jeden pokój, do którego nikt z nich nie mógł wejść i gdzie ona królowała przez osiem godzin w ciągu doby.

Podczas gdy Virginia urabiała męża nocą, w dzień pracowała nad Clarence'em i Alice, przyjąwszy do wiadomości, że Camilli nie przekabaci, chociaż nie całkiem skapitulowała wobec jej męża i dzieci.

W obecności każdego z członków rodziny Virginia starała się okazać, że jest troskliwa, opiekuńcza i szczerze oddana księciu, dbała o każdą jego potrzebę. Pod koniec pierwszego tygodnia lody zaczęły topnieć i ku jej radości w wigilię Bożego Narodzenia Clarence i Alice wybrali się z nimi na poranny spacer po

posiadłości. Byli zaskoczeni, widząc, jak bardzo Virginii zależy, żeby utrzymać majątek w dobrym stanie.

– Przecież musimy dopilnować – powiedziała Clarence'owi – żebyś po wyjściu z wojska przejął kwitnące gospodarstwo, a nie chylącą się ku upadkowi ruinę.

– Więc muszę sobie znaleźć tak sumienną żonę jak ty, Virginio – odparł.

Jedna przeszkoda wzięta, zostały jeszcze dwie.

Następna uległa Alice. Gdy rozpakowała swój prezent bożonarodzeniowy i znalazła ostatnią powieść Grahama Greene'a *Dziesiąty człowiek*, zapytała:

– Skąd wiedziałaś, że to mój ulubiony pisarz?

– Mój też – powiedziała Virginia, która zauważywszy na stoliku nocnym Alice zaczytany egzemplarz w miękkiej oprawie, prędko przeczytała trzy książki pióra Greene'a. – Nie dziwię się, że podzielamy ten gust, i chociaż *Koniec romansu* jest doskonały, to moją ulubioną jest *W Brighton*.

– Trudno się dziwić – powiedziała Camilla. – Przecież ty i ten typek Pinkie Brown macie ze sobą tyle wspólnego.

Alice zmarszczyła brwi, chociaż książę najwyraźniej nie miał pojęcia, o czym one rozmawiają. Dwie przeszkody wzięte, została jedna.

Gdy wnuki księcia rozpakowały bożonarodzeniowe prezenty, wykrzyknęły z radością. Zegarek Star Trek dla Tristana i lalka Barbie dla Kitty, zakupione przez Virginię wkrótce potem, gdy odkryła, że Camilla odmówiła prośbie dzieci i zamiast tego podarowała im *Shorter Oxford Dictionary* i igielnik.

Najtrudniej było zdecydować się na prezent dla Camilli, aż Virginia natknęła się na fotografię, na której Camilla gra na flecie w szkolnej orkiestrze, a kucharz wspomniał, że podobno jaśnie pani myśli o tym, żeby znowu zacząć grać na tym instrumencie. W końcu człowiek ma mnóstwo wolnego czasu, kiedy do najbliższego miasta jest sto pięćdziesiąt kilometrów.

Gdy Camilla rozpakowała prezent i ujrzała lśniący instrument, odebrało jej mowę. Virginia uznała, że jej miesięczny zasiłek został dobrze wydany. To się potwierdziło, kiedy podszedł do niej Tristan, powiedział: „Dziękuję, babko" i ją pocałował.

Pod koniec drugiego tygodnia zarówno Clarence, jak i Alice zgadzali się, że papa miał szczęście, że znalazł taki skarb, i chociaż Camilla była odmiennego zdania, już nie opuszczała pokoju, kiedy wchodziła Virginia.

W dniu wyjazdu rodziny Virginia przygotowała suchy prowiant i lemoniadę dla dzieci na podróż samolotem i zanim wszyscy wsiedli do czekającego samochodu, każdy pocałował ją na pożegnanie z wyjątkiem Camilli, która podała jej rękę. Kiedy prowadzony przez szofera rolls-royce oddalał się długim podjazdem w drodze do Heathrow, Virginia nie przestawała machać, aż znikł z oczu.

– To twój absolutny triumf – powiedział książę, gdy wracali do zamku. – Byłaś wspaniała, moja duszko. Myślę, że pod koniec nawet Camilla zaczęła się do ciebie przekonywać.

– Dziękuję ci, Perry – rzekła Virginia, biorąc go pod rękę. – Ale rozumiem uczucia Camilli. Ja też bym tak się czuła, gdyby ktoś chciał zająć miejsce mojej matki.

– Jesteś tak wielkoduszna, Virginio. Ale obawiam się, że nie mogę już odkładać rozmowy z tobą na pewien temat, który poruszyła Camilla.

Virginia zamarła. Jakim sposobem Camilla dowiedziała się o pożyczce, kiedy ona kazała Moxtonowi wyjechać na święta dzień przed przyjazdem rodziny i nie wracać wcześniej niż dzień po ich wyjeździe?

– Przykro mi, że muszę poruszyć tak bolesny temat – powiedział książę – ale ja nie staję się młodszy i muszę myśleć o przyszłości, zwłaszcza o twojej, moja duszko.

Virginia nie odezwała się, bo sama o tym już myślała. Poza tym Desmond Mellor ją nauczył, że kiedy masz nadzieję dobić targu, staraj się, żeby to druga strona wyszła z ofertą.

– Ta linia mety i tak dalej – dodał książę. – Więc postanowiłem włączyć kodycyl do mojego testamentu, żebyś nie musiała się niczym martwić, kiedy odejdę.

– Martwi mnie tylko to – powiedziała Virginia – że jak odejdziesz, zostanę sama. Wiem, Perry, że to samolubne, ale gdybym mogła wybierać, umarłabym przed tobą. Nie znoszę myśli, że mogłabym żyć bez ciebie.

Udało się jej nawet uronić łzę.

– Że też spotkało mnie takie szczęście – rzekł książę.

– To mnie przytrafiło się szczęście – powiedziała miękko Virginia.

– Moja duszko, zanim wezwę adwokata i zrobię pierwszy ruch, chciałbym ci uświadomić, co mógłbym ci zostawić. Oczywiście będzie twoja dożywotnia siedziba wdowy, Dower House, na terenie posiadłości, będziesz też otrzymywać pięć tysięcy funtów

miesięcznie, ale jeżeli jest coś szczególnego, na czym ci zależy, po prostu mi powiedz.

– Jesteś bardzo troskliwy, Perry. Nic mi w tej chwili nie przychodzi do głowy. Może jakaś mała pamiątka, która by mi ciebie przypominała?

W istocie Virginia dużo myślała o tej sprawie, gdyż chodziło o zapewnienie sobie emerytury. Nie trzeba jej było przypominać, jakie poniosła straty przy dwóch testamentach, i nie zamierzała do tego dopuścić trzeci raz.

Musiała zrobić dokładne rozeznanie, zanim poinformuje Perry'ego, o jaką jej chodzi pamiątkę. Znała odpowiedniego człowieka, który mógł jej doradzić w tej sprawie, ale nie mogła go zaprosić do zamku podczas obecności księcia. Jednak problem rozwiąże się za dwa tygodnie, kiedy Perry uda się do Londynu na doroczny zjazd pułkowy, wydarzenie, którego nigdy nie opuszczał, jako honorowy dowódca pułku miał być bowiem gospodarzem uroczystej kolacji.

32

Virginia towarzyszyła Perry'emu w krótkiej podróży do pobliskiej stacji.

– Chciałabym pojechać z tobą – powiedziała, kiedy razem wyszli na peron.

– To nie miałoby sensu. Spędzę tylko noc w mieście i wrócę jutro po południu.

– I wtedy zobaczysz mnie, jak czekam na peronie.

– Nie musisz – powiedział, kiedy pociąg wjechał na stację.

– Chcę być tutaj, kiedy wrócisz – obiecała, gdy książę wsiadał do wagonu pierwszej klasy.

– To miłe, moja duszko.

– Do widzenia – zawołała Virginia i pomachała Perry'emu, gdy pociąg ruszył w podróż do Londynu. Potem prędko wyszła ze stacji, szukając innego mężczyzny.

– Czy pan Poltimore? – spytała młodego człowieka, który stał na chodniku i wyglądał na zagubionego. Blond włosy sięgały mu prawie ramion, na sobie miał budrysówkę, w ręku trzymał walizeczkę.

– Tak, wasza książęca mość – powiedział, lekko się skłoniwszy. – Nie spodziewałem się, że pani po mnie przyjedzie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekła Virginia, a tymczasem szofer otworzył im tylne drzwi.

W drodze powrotnej do zamku Virginia wytłumaczyła, czemu zaprosiła historyka sztuki z domu aukcyjnego Sotheby's, żeby przyjechał i obejrzał kolekcję książąt Hertford.

– Od pewnego czasu książę się niepokoi, że przeoczył coś wartościowego, co powinno być ubezpieczone. Mamy oczywiście pełny inwentarz, ale ponieważ mój mąż niespecjalnie się interesuje pamiątkami rodowymi, pomyślałam, że byłoby sensownie uaktualnić spis. W końcu nikt z nas nie robi się coraz młodszy.

– Nie mogłem się doczekać, kiedy ujrzę tę kolekcję – powiedział Poltimore. – To zawsze jest coś szczególnego, gdy można obejrzeć zbiór nieudostępniony publiczności. Oczywiście wiem o obrazie zamku Hertford pędzla Constable'a i o arcydziele Turnera przedstawiającym plac św. Marka, ale aż się palę, żeby zobaczyć, jakie jeszcze są tu skarby.

Ja też, pomyślała Virginia, ale nie przerywała młodemu człowiekowi entuzjastycznego potoku słów.

– Nie trzeba było specjalnych badań, żeby odkryć, że to trzeci książę, który w osiemnastym wieku dużo podróżował po kontynencie – ciągnął Poltimore – zgromadził tak świetny zbiór.

– Ale on nie mógł nabyć Turnera ani Constable'a – powiedziała Virginia.

– Nie, to był siódmy książę. On również zamówił u Gainsborough portret Catherine, księżnej Hertford.

– Zobaczy go pan w holu – powiedziała Virginia, która bardzo dokładnie przestudiowała inwentarz i uznała, że książę nigdy by się nie zgodził rozstać z żadną pamiątką rodową. Jednak miała nadzieję, że podczas ubiegłych trzystu lat coś mogło zostać niezauważone.

Po przyjeździe do zamku Virginia nie traciła czasu i zaprowadziła człowieka z domu aukcyjnego prosto do biblioteki, gdzie wręczyła mu trzy grube, oprawne w skórę tomiska zatytułowane *Kolekcja książąt Hertford*.

– Zostawiam pana, żeby zajął się pan pracą, panie Poltimore. Proszę się nie krępować i rozejrzeć po zamku, pamiętając, że pańskim głównym celem jest znaleźć coś, co przeoczyliśmy.

– Nie mogę się doczekać – rzekł Poltimore, otwierając pierwszy tom.

Odwróciwszy się, by wyjść, Virginia oznajmiła:

– Panie Poltimore, przebieramy się do kolacji, która będzie podana punktualnie o ósmej.

– Zdołałem sprawdzić prawie wszystko, co jest wymienione w inwentarzu – powiedział Poltimore przy kieliszku sherry przed kolacją – i mogę potwierdzić, że wszystko wydaje się w porządku. Jednak myślę, że obecna wycena dla celów ubezpieczenia jest dużo poniżej prawdziwej wartości kolekcji.

– Trudno się dziwić – zauważyła Virginia – Wątpię, czy wielu arystokratów mogłoby sobie pozwolić na ubezpieczenie swojego majątku według obecnej wartości. Pamiętam, że ojciec kiedyś mi powiedział, że gdyby obrazy rodowe trafiły na rynek, nie byłby w stanie ich odkupić. Czy natknął się pan na coś ważnego, co nie zostało uwzględnione w inwentarzu?

– Jak dotychczas, nie. Ale nie miałem jeszcze okazji sprawdzić dwóch górnych pięter, co zrobię zaraz z rana.

– Tam są głównie mieszkania służby – powiedziała Virginia, usiłując ukryć rozczarowanie. – Nie myślę, żeby znalazł pan tam coś godnego uwagi. Ale może pan obejrzeć, skoro pan tu jest.

Zabrzmiał gong i Virginia poprowadziła gościa do jadalni.

– Lomax, gdzie jest pan Poltimore? – zapytała Virginia kamerdynera, kiedy następnego ranka zeszła na śniadanie.

– Wcześnie zjadł śniadanie i kiedy go ostatnio widziałem, był na samej górze i spisywał obrazy wiszące na półpiętrze.

Virginia po śniadaniu udała się do biblioteki i zaczęła ponownie sprawdzać inwentarz, ciekawa, czy gdzieś może być jakieś pomniejsze arcydzieło, do którego książę nie jest szczególnie przywiązany i byłby skłonny się z nim rozstać. Kiedy jednak przejrzała zaktualizowane wyceny Poltimore'a, nie znalazła nic, co umożliwiłoby jej dalsze życie w stylu, jaki uważała za godny księżnej. Po prostu musi dopilnować, żeby jej miesięczna pensja została podniesiona z pięciu tysięcy funtów do dziesięciu, aby nie przymierać głodem. Nie poprawiło jej nastroju, kiedy Poltimore powiedział jej przy lunchu, że nie znalazł niczego naprawdę wartościowego na dwóch górnych piętrach.

– Trudno się dziwić, skoro to są pomieszczenia dla służby – zauważyła Virginia.

– Ale natknąłem się na rysunek Tiepola i akwarelę sir Williama Russella Flinta i te pozycje powinno się dodać inwentarza.

– Jestem ogromnie wdzięczna – powiedziała Virginia. – Mam tylko nadzieję, że pan nie uważa tej wizyty za stratę czasu.

– Ależ skąd, wasza książęca mość. To było nadzwyczaj przyjemne doświadczenie i gdyby książę kiedyś zechciał sprzedać coś z kolekcji, bylibyśmy zaszczyceni, mogąc go reprezentować.

– Nie mogę sobie wyobrazić okoliczności, w których by to się stało – powiedziała Virginia – ale gdyby do tego doszło, natychmiast się z panem skontaktuję.

– Dziękuję. Starczy mi jeszcze czasu – rzekł, spojrzawszy na zegarek – żeby przed wyjazdem sprawdzić niski parter.

– Nie wyobrażam sobie, żeby pan coś znalazł pod schodami – powiedziała Virginia – oprócz kilku starych naczyń i antycznego pieca kuchennego, który książę powinien był wymienić lata temu.

Poltimore grzecznie się zaśmiał, a potem przełknął ostatni kęs puddingu

– Samochód będzie czekał, żeby zawieźć pana na stację o drugiej czterdzieści – rzuciła Virginia – co do panu mnóstwo czas, żeby złapać pociąg odjeżdżający pięć po trzeciej do Londynu.

Virginia rozmawiała z ogrodnikiem o założeniu nowego klombu fuksji, kiedy spostrzegła biegnącego ku niej Poltimore'a. Poczekała, aż złapie oddech.

– Myślę – powiedział – że znalazłem coś naprawdę godnego uwagi, ale żeby mieć pewność, muszę to omówić z kierownikiem naszego działu chińskiego.

– Działu chińskiego?

– Omal ich nie przeoczyłem, były ukryte w kącie korytarza na parterze, blisko pokoju kredensowego.

– Czego pan omal nie przeoczył? – spytała Virginia, usiłując nie okazać zniecierpliwienia.

– Dwu dużych biało-niebieskich waz. Sprawdziłem znaki na podstawie i myślę, że wazy mogą pochodzić z okresu dynastii Ming.

Virginia spytała od niechcenia:

– Czy są na tyle wartościowe, żeby dodać je do inwentarza?

– Absolutnie tak, jeżeli się okaże, że to oryginały. Podobną parę, ale o wiele mniejszych rozmiarów, wystawiono na aukcji w Nowym Jorku dwa lata temu i cena ostateczna wyniosła ponad milion dolarów. Sfotografowałem je – ciągnął swoją opowieść Poltimore – a zwłaszcza te charakterystyczne znaki na podstawie, które pokażę naszemu chińskiemu ekspertowi, gdy tylko wrócę na Bond Street. Napiszę, żeby dać pani znać, jaka jest jego opinia.

– Wolałabym, żeby pan do mnie zatelefonował – powiedziała Virginia. – Nie chciałabym, żeby książę robił sobie duże nadzieje, a potem się przekonał, że to był fałszywy alarm.

– Zadzwonię do pani jutro – obiecał Poltimore.

– Dobrze, wobec tego mamy to uzgodnione – powiedziała Virginia, kiedy pojawił się lokaj z walizką, którą umieścił w bagażniku samochodu.

– Teraz się pożegnam, wasza książęca mość.

– Jeszcze nie, panie Poltimore – rzekła Virginia i usiadła koło niego w samochodzie. Poczekała, aż ruszyli podjazdem, i dopiero wtedy szepnęła: – Gdyby książę zdecydował się sprzedać te wazy, jakby pan radził to załatwić?

– Jeżeli nasz ekspert potwierdzi, że pochodzą z epoki Ming, to doradzimy państwu, jak najlepiej sprzedać okazy o takim znaczeniu historycznym.

– Chciałabym, gdyby to było możliwe, sprzedać je przy minimalnym rozgłosie i maksymalnej dyskrecji.

– Oczywiście, wasza książęca mość – powiedział Poltimore. – Ale powinienem podkreślić, że jeżeli z wazami łączono by nazwisko księcia Hertford, można by się spodziewać o wiele wyższej ceny. Jestem pewien, że zdaje sobie pani sprawę, że kiedy odkrycie o takim potencjalnym znaczeniu trafia na aukcję, liczą się dwie kwestie: pochodzenie i czas, kiedy okaz ostatnio pojawił się na rynku. Tak więc nazwisko książąt Hertford plus trzysta lat historii – to marzenie licytatora.

– Tak, rozumiem, że to by sprawiło różnicę – zgodziła się Virginia – ale ze względów osobistych książę wolałby zapewne zachować anonimowość.

– Cokolwiek księstwo postanowią, my zastosujemy się do księstwa życzeń – rzekł Poltimore, gdy samochód zajechał pod dworzec.

Szofer otworzył drzwi, żeby księżna mogła wysiąść.

– Będę czekała na wiadomość, panie Poltimore – powiedziała Virginia, kiedy pociąg zajechał na stację.

– Zatelefonuję natychmiast, gdy się czegoś dowiem, i niezależnie od tego, co państwo zdecydują, zapewniam, że dom aukcyjny Sotheby's z przyjemnością usłuży państwu z najwyższą dyskrecją.

Poltimore lekko się skłonił i wsiadł do pociągu.

Virginia nie wróciła do samochodu, lecz przeszła przez kładkę dla pieszych na peron numer dwa i musiała czekać tylko kilka minut, zanim nadjechał pociąg z Londynu. Kiedy zamachała do księcia, nagrodził ją szerokim uśmiechem.

– Miło, że przyszłaś mnie przywitać, moja duszko – powiedział i schylił się, żeby ją pocałować.

– Nie bądź niemądry, Perry. Nie mogłam się doczekać, kiedy cię zobaczę.

– Czy zdarzyło się coś ciekawego, kiedy mnie nie było? – spytał książę, podając bilet naczelnikowi stacji.

– Obsadziłam klomb fuksjami, które zakwitną latem, ale prawdę mówiąc, o wiele bardziej chciałabym usłyszeć, co się wydarzyło podczas kolacji pułkowej.

Poltimore dotrzymał słowa i zadzwonił następnego dnia po południu, żeby powiadomić Virginię, że pan Li Wong, chiński ekspert w Sotheby's, obejrzał zdjęcia waz, a szczególnie charakterystycznych znaków na podstawach, i uznał, że na pewno pochodzą z czasów dynastii Ming. Jednak podkreślił, że musiałby je zbadać osobiście, żeby wydać ostateczną opinię.

Li pojawił się dwa tygodnie później, kiedy książę pojechał na doroczne badanie do swojego lekarza na Harley Street. Ekspert nie musiał nocować, gdyż wystarczyło kilka minut, żeby się przekonał, że wazy są dziełami geniusza i wzbudzą ogólnoświatowe zainteresowanie kolekcjonerów chińskiej sztuki. Był w stanie również potwierdzić odkrycie informacją ze świata nauki.

Spędził dzień w British Museum i natknął się na wzmiankę, z której wynikało, że na początku dziewiętnastego wieku czwarty książę Hertford udał się w imieniu rządu Jego Królewskiej Mości z misją dyplomatyczną do Pekinu i dwie wazy były prawdopodobnie darem cesarza Jiaqinga dla upamiętnienia tej

okazji. Li więcej niż raz przypominał księżnej, że taki dowód historyczny doda znacznej wartości tym okazom. Dwie wazy z epoki Ming, dar cesarza dla księcia, który reprezentował króla, zelektryzują świat aukcji.

Li był wyraźnie rozczarowany, gdy Virginia mu powiedziała, że gdyby książę miał się rozstać z wazami, to z całą pewnością nie chciałby, żeby świat się dowiedział, że wyprzedaje pamiątki rodowe.

– Może książę by się zgodził na zwykłe określenie: „własność pewnego arystokraty”? – podsunął ekspert.

– To nader satysfakcjonujący kompromis – zgodziła się księżna, która nie odprowadziła pana Li na stację, skoro on zajedzie bezpiecznie do Londynu na długo przedtem, zanim książę wsiądzie do pociągu do Hertford.

Gdy Virginia pukała do drzwi gabinetu księcia, przypomniała sobie, jak wezwał ją ojciec, żeby palnąć kazanie na temat jej nagannego zachowania. Ale nie dzisiaj. Za chwilę miała się dowiedzieć o drobniejszych szczegółach testamentu Perry’ego.

Przy śniadaniu Perry ją poprosił, żeby przyszła do gabinetu około jedenastej, ponieważ o dziesiątej spotka się ze swoim adwokatem, by przedyskutować treść testamentu, a szczególnie sformułowanie proponowanego kodycylu. Przypomniał Virginii, że wciąż mu nie powiedziała, czy chciałaby coś zachować na pamiątkę.

Kiedy weszła do gabinetu męża, Perry i adwokat natychmiast wstali i nie usiedli, dopóki nie zajęła miejsca pośród nich.

– Nie mogłaś lepiej trafić – powiedział książę – ponieważ właśnie uzgodniłem sformułowanie nowego, dotyczącego ciebie

kodycylu, który pan Blatchford włączy do testamentu.

Virginia pochyliła głowę.

– Obawiam się, proszę pana – rzekł książę – że to wszystko trochę przygnębia moją żonę, ale zdołałem ją przekonać, że należy załatwiać takie sprawy, jeżeli nie chcemy mieć fiskusa na karku.

Blatchford z rozwagą kiwnął głową.

– Może by pan zechciał zapoznać księżnę ze szczegółami, żebyśmy nigdy więcej nie musieli wracać do tego tematu.

– Oczywiście, wasza książęca mość – powiedział stary adwokat, który wyglądał, jakby miał umrzeć przed Perrym. – Po zgonie księcia – ciągnął – dostanie pani dom na terenie posiadłości i odpowiednią służbę do pomocy. Będzie pani także otrzymywać comiesięczne uposażenie w wysokości pięciu tysięcy funtów.

– Czy to wystarczy, moja duszko? – przerwał książę adwokatowi.

– Aż nadto, mój kochany – powiedziała cicho Virginia. – Nie zapominaj, że mój drogi brat nadal przysyła mi co miesiąc zapomogę, której nigdy nie jestem w stanie wydać.

– Rozumiem – kontynuował Blatchford swój wywód – że książę poprosił, żeby pani wybrała jakiś przedmiot, który by go przypominał. Ciekaw jestem, czy pani na coś się zdecydowała.

Dopiero po dłuższej chwili Virginia podniosła głowę i powiedziała:

– Perry ma laskę, która będzie mi go przypominała, kiedy wybiorę się na wieczorny spacer po ogrodzie.

– Z pewnością byś wolała coś ważniejszego niż to, co, moja duszko?

– Nie, to aż nadto wystarczające, mój kochany. – Virginia milczała przez pewien czas, a potem dodała: – Chociaż muszę wyznać, że pod schodami są dwie gromadzące kurz stare wazy, którymi zawsze się zachwycałam, ale to tylko gdybyś chciał się z nimi rozstać. – Virginia wstrzymała oddech.

– Nie ma o nich żadnej wzmianki w rodowym inwentarzu – powiedział Blatchford – więc z pańskim pozwoleniem, wasza książęca mość, dodam laskę i dwie wazy do kodycylu, a wtedy książę będzie mógł poświadczyć ostateczną formę testamentu.

– Oczywiście, oczywiście – potwierdził książę, który nie był pod schodami od dzieciństwa.

– Dziękuję ci, Perry – rzekła Virginia – Jesteś tak wspaniałomyślny. A skoro pan tutaj jest, panie Blatchford, czy mogę spytać o pana radę w innej sprawie?

– Oczywiście, wasza książęca mość.

– Może ja też powinnam pomyśleć o sporządzeniu testamentu?

– Bardzo mądrze, jeżeli mogę tak powiedzieć, wasza książęca mość. Z przyjemnością go dla pani przygotuję. Może umówimy się przy innej okazji?

– To nie będzie konieczne, proszę pana. Zamierzam zostawić wszystko, co posiadam, mojemu ukochanemu mężowi.

33

Dwadzieścia minut później karetka z wyciem syreny zatrzymała się przed bramą zamku.

Dwaj prowadzeni przez Virginię sanitariusze szli za nią pospiesznie do sypialni księcia. Ułożyli go delikatnie na noszach i powoli znieśli na dół schodami. Virginia trzymała Perry'ego za rękę, a on z trudem się uśmiechnął, gdy wnosili go do karetki.

Virginia wsiadła do środka, spoczęła na ławce blisko męża i przez cały czas, kiedy karetka gnała przez wiejską okolicę, nie wypuszczała jego ręki. Po dwudziestu minutach dojechali do wiejskiego szpitala.

Czekali na nich lekarz, dwie pielęgniarki i trzech sanitariuszy. Księcia przeniesiono na wózek, który wtoczono przez otwarte drzwi do osobnej sali, którą przygotowano naprędce.

Trzej doktorzy, którzy go zbadali, doszli do tego samego wniosku: lekki atak serca. Mimo tej diagnozy starszy specjalista uparł się, że książę powinien zostać w szpitalu w celu dalszych badań.

Virginia co rano odwiedzała Perry'ego i chociaż powtarzał jej, że jest zdrów jak ryba, lekarze nie chcieli go wypuścić, dopóki nie

byli przekonali, że całkiem doszedł do siebie, a Virginia nie oświadczyła w obecności siostry przełożonej, że będzie co do joty wypełniać ich polecenia.

Następnego dnia Virginia zatelefonowała do dzieci księcia i powtórzyła opinię lekarzy, że ojciec przebył lekki atak serca i że jeżeli będzie wykonywał ćwiczenia i uważał z dietą, to nie ma powodu przypuszczać, że nie przeżyje jeszcze wiele lat. Virginia podkreśliła, że zdaniem lekarzy nie jest konieczne, żeby spieszyli się z przyjazdem, więc spodziewa się ich w święta Bożego Narodzenia.

Dieta składająca się z arbuza, gotowanej ryby i zielonej sałaty bez sosu nie poprawiła nastroju księcia, i kiedy w końcu zwolniono go po tygodniu, siostra przełożona przedstawiła Virginii listę potraw dozwolonych i zabronionych: należy unikać cukru, węglowodanów, smażonych potraw, wolno wypić tylko jeden kieliszek wina przy kolacji – ale nie należy potem pić brandy ani palić cygar. Równie ważne, wytłumaczyła, żeby książę spacerował godzinę dziennie na świeżym powietrzu. Siostra przełożona dała Virginii zestaw diety zalecanej przez szpital i Virginia obiecała, że wręczy go kucharce, gdy tylko wrócą do domu.

Kucharka nigdy nie ujrzała tego zestawu diety i na początek dnia podawała księciu, jak zwykle, miskę owsianki z brązowym cukrem, jajka sadzone, kiełbaski, fasolkę w sosie pomidorowym (jego ulubioną) przyprawioną sosem HP. Do tego grzankę z białego chleba z masłem i dżemem z owoców cytrusowych i gorącą kawę z dwiema łyżeczkami cukru. Potem książę udawał się do gabinetu czytać „Timesa”; na oparciu fotela czekała paczka papierosów „Silk Cut”. Około wpół do dwunastej

kamerdyner przynosił księciu kubek gorącej czekolady i na wypadek gdyby zgłodniał, kawałek ciasta kawowego, co dodawało księciu energii aż do lunchu.

Lunch składał się z ryby, jak zaleciła siostra przełożona. Jednak to nie była ryba z wody, lecz panierowana i smażona, a do tego wielka miska frytek. Pudding czekoladowy – siostra przełożona nie wspominała o czekoladzie – rzadko spotykał się z odmową księcia, a potem znowu następowała kawa i pierwsze cygaro tego dnia.

Virginia pozwalała księciu na popołudniową sjestę, później budziła go i prowadziła na długi spacer wokół posiadłości, żeby nabrał apetytu na następny posiłek. Kiedy książę przebrał się do kolacji, wypijał kieliszek, może dwa, sherry przed pójściem do jadalni, gdzie Virginia ze szczególnym zainteresowaniem wybierała odpowiednie wina do posiłku. Kucharka dobrze wiedziała, że książę przepada za krwistym befsztykiem z polędwicy z pieczonymi ziemniakami i wszystkimi dodatkami. Uważała przy tym, że jej obowiązkiem jest sprawiać przyjemność księciu, i czyż nie sięgał zawsze po drugą porcję?

Po kolacji kamerdyner obowiązkowo nalewał księciu kieliszek brandy i przycinał mu hawańskie cygaro, po czym podawał ogień. Kiedy w końcu księstwo udawali się na spoczynek, Virginia robiła, co mogła, żeby podniecić księcia, i chociaż rzadko odnosiła powodzenie, zawsze zasypiał wyczerpany.

Virginia niewolniczo trzymała się ustalonej praktyki, spełniając najmniejszy kaprys księcia, przy czym wobec innych udawała troskliwą, opiekuńczą i oddaną. Nie zwracała księciu uwagi,

kiedy nie mógł dopiąć guzików spodni albo ucinał sobie popołudniami długie drzemki, i mówiła każdemu, kto pytał:

– Nigdy nie widziałam go w lepszej formie i nie zdziwię się, jeśli dożyje setki – chociaż niezupełnie to miała na myśli.

Virginia poświęciła sporo czasu, przygotowując się do siedemdziesiątych drugich urodzin Perry'ego. To specjalna okazja, jak tłumaczyła wszystkim, kiedy książę powinien sobie, chociaż raz, pofolgować.

Spożywszy sute śniadanie, Perry wybrał się z kolegami na polowanie na bażanty; pod pachą dzierżył ulubioną śrutówkę firmy Purdey, do tylnej kieszeni spodni wetknął butelkę whisky. Tego rana był w szczytowej formie i ustrzelił dwadzieścia jeden ptaków, zanim wrócił wyczerpany do zamku.

Nastrój mu się poprawił na widok perliczki, kiełbasek, cebuli, smażonych ziemniaków i sosjerki z gęstym sosem. „Czy potrzeba człowiekowi czegoś więcej?" – pytał swoich kompanów. W pełni się zgodzili i ustawicznie wznosili toasty za jego zdrowie. Ostatni z nich siedział do zmroku, kiedy księcia już zmorzył sen.

– Tak o mnie dbasz, moja duszko – westchnął, kiedy Virginia go obudziła, żeby się przebrał do kolacji. – Jestem nadzwyczaj szczęśliwym człowiekiem.

– Cóż, przecież to jest specjalna okazja, kochanie – powiedziała Virginia, wręczając mu prezent urodzinowy.

Oczy mu rozbłysły, kiedy zerwał opakowanie i ujrzał pudełko cygar Romeo y Julieta.

– Ulubione cygara Churchilla – stwierdził.

– A on żył ponad dziewięćdziesiąt lat – przypomniała Virginia.

Podczas kolacji książę wyglądał na trochę zmęczonego. Jednak udało mu się skończyć budyń, a potem wypił kieliszek brandy i zapalił pierwsze ulubione cygaro Churchilla. Kiedy tuż po północy w końcu weszli na schody prowadzące do sypialni, książę musiał trzymać się poręczy, stawiając z trudem każdy krok, a drugą ręką opierał się mocno na Virginii.

Gdy wreszcie dotarli do sypialni, zrobił tylko kilka kroków i padł na łóżko. Virginia zaczęła go powoli rozbierać, ale zasnął, zanim zdjęła mu buty.

Kiedy już go rozebrała i położyła się przy nim, chrapał spokojnie. Virginia nigdy nie widziała, żeby był tak zadowolony. Zgasiła światło.

Virginia obudziła się następnego ranka i kiedy się obróciła na drugą stronę, ujrzała, że książę wciąż się uśmiecha. Rozsunęła zasłony, wróciła do łóżka i bliżej przyjrzała się księciu. Wydało się jej, że jest zbyt blady. Chciała sprawdzić mu puls, ale nie mogła się go doszukać. Usiadła na skraju łóżka i głęboko się zastanowiła, co ma robić.

Najpierw usunęła wszelkie ślady cygara i brandy, na ich miejsce stawiając miseczkę z orzechami i karafkę z wodą i plasterkiem cytryny. Otworzyła okno, żeby wpuścić świeże powietrze, potem skontrolowała ponownie pokój i usiadła przed toaletką, sprawdziła makijaż i zebrała myśli.

Odczekała kilka chwil, a potem nabrała tchu i przeszywająco krzyknęła. Później pospieszyła do drzwi i pierwszy raz, odkąd poślubiła Perry'ego, opuściła sypialnię w szlafroku. Zbiegła szerokimi schodami i gdy zobaczyła Lomaksa, urywanym głosem poleciła:

– Wezwij karetkę. Książę znowu miał atak serca.

Kamerdyner natychmiast podniósł słuchawkę telefonu znajdującego się w holu.

Doktor Ainsley przyjechał po trzydziestu minutach. Virginia zdążyła się ubrać i czekała na niego w holu. Poszła z nim do sypialni. Nie musiał długo badać księcia, nim powiedział księżnej wdowie to, o czym już wiedziała.

Virginia wybuchnęła płaczem i nikt nie był w stanie jej pocieszyć. Jednak zdołała wysłać telegram do Clarence'a, Alice i Camilli, ale przedtem poleciła kamerdynerowi zabrać dwie niebiesko-białe wazy z korytarza służby i postawić je w sypialni księcia. Lomaksa zastanowiło to żądanie i wieczorem powiedział gospodyni:

– Ona nie jest sobą, biedactwo.

Jeszcze bardziej zdumiony był szofer, kiedy mu kazano zabrać wazy do Londynu i zostawić w Sotheby's po drodze na Heathrow, gdzie miał zabrać Clarence'a i przywieźć go do zamku.

Księżna wdowa ubrała się na czarno, w czym było jej do twarzy, i po lekkim śniadaniu przeczytała w „Timesie" nekrolog księcia, obfitujący w pochwały, ale ubogi w dokonania. Jedno zdanie wszakże pobudziło ją do uśmiechu: „Trzynasty książę Hertford umarł spokojnie we śnie".

34

Virginia długo się zastanawiała, jak powinna się zachowywać w ciągu następnych dni. Kiedy rodzina rozjedzie się po pogrzebie, zamierzała przeprowadzić radykalne zmiany w zamku książąt Hertford.

Czternasty książę przybył jako pierwszy z rodziny i Virginia stała na najwyższym stopniu, żeby go powitać. Gdy wchodził po schodach, lekko dygnęła, żeby zaznaczyć nowy porządek.

– Virginio, jaka to smutna okoliczność dla nas wszystkich – powiedział Clarence. – Ale przynajmniej jest dla mnie pociechą, że wiem, że byłaś przy nim do końca.

– To tak uprzejme z twojej strony, Clarence. Co za błoga ulga, że mój drogi Perry nie cierpiał, gdy umierał.

– Tak, poczułem ulgę, gdy usłyszałem, że tata umarł spokojnie we śnie. Dziękujmy Bogu choć za to.

– Mam nadzieję, że wkrótce do niego dołączę – rzekła Virginia – bo, jak królowa Wiktoria, będę opłakiwać mojego drogiego męża aż do śmierci.

Zjawili się kamerdyner i dwaj lokaje i zaczęli wynosić bagaże z samochodu.

– Na razie umieszczę cię w twoim dawnym pokoju – oznajmiła Virginia. – Ale oczywiście przeniosę się do Dower House, jak tylko mój drogi Perry zostanie pochowany.

– Nie ma pośpiechu – powiedział Clarence. – Po pogrzebie wracam do pułku, a zresztą będziemy oczekiwać, że pod moją nieobecność będziesz trzymać rękę na pulsie.

– Chętnie zrobię, co będę mogła. Porozmawiajmy o tym, co masz na myśli, gdy się rozpakujesz i coś zjesz.

Książę spóźnił się kilka minut na lunch i przeprosił, tłumacząc, że telefonowało kilka osób z prośbą o pilne spotkanie.

Virginia mogła się tylko zastanawiać, kto dzwonił, ale zadowoliła się, mówiąc:

– Myślę, że pogrzeb powinien odbyć się w czwartek, ale tylko jeżeli to zaakceptujesz.

– Z przyjemnością zastosuję się do twoich życzeń – rzekł książę. – Może też pomyślisz o porządku nabożeństwa i zasugerujesz, kogo po pogrzebie należy zaprosić na przyjęcie.

– Już zaczęłam sporządzać listę. Dam ci ją trochę później.

– Dziękuję, Virginio. Wiedziałem, że mogę na tobie polegać. Mam kilka spotkań tego popołudnia, więc liczę na twoją obecność, kiedy przybędzie Alice.

– Oczywiście. A kiedy spodziewasz się Camilli z rodziną?

– Późnym wieczorem, ale skoro będę w gabinecie ojca...

– Twoim gabinecie – cicho powiedziała Virginia.

– Minie trochę czasu, zanim do tego przywyknę. Czy będziesz tak miła i dasz mi znać, kiedy przybędzie Alice?

Virginia przygotowywała listę gości, których chciałaby widzieć po pogrzebie na przyjęciu dla wąskiego grona, jak i tych, których

nie życzyłaby sobie oglądać, gdy przed zamkiem zatrzymała się taksówka i wysiadła z niej Alice. Znowu Virginia ustawiła się na najwyższym stopniu schodów.

– Biedna Virginio – brzmiały pierwsze słowa Alice, kiedy się przywitały. – Jak to znosisz?

– Niedobrze. Ale wszyscy są tak mili i wyrozumiali, co jest wielkim pocieszeniem.

– To oczywiste – powiedziała Alice. – W końcu byłaś jego opoką i pokrewną duszą.

– To bardzo miło z twojej strony, że tak mówisz – rzekła Virginia, prowadząc Alice schodami do pokoju gościnnego, który dla niej przeznaczyła. – Zawiadomię Clarence'a, że już jesteś.

Zeszła na dół i bez pukania wkroczyła do gabinetu księcia, gdzie Clarence był pogrążony w rozmowie z administratorem majątku, Moxtonem. Obydwaj mężczyźni natychmiast wstali na jej widok.

– Prosiłeś mnie, żebym ci powiedziała, kiedy przybędzie Alice. Umieściłam ją w pokoju Carlyle'a. Mam nadzieję, że będziesz mógł wypić z nami herbatę za około pół godziny.

– To nie będzie możliwe – rzekł książę, lekko się skłoniwszy, wyraźnie niezadowolony, że mu przeszkodzono, co Virginię trochę speszyło.

Wyszła bez słowa i wróciła do salonu, gdzie Montgomery, stary labrador Perry'ego, siadł i zaczął machać ogonem. Usiadła blisko otwartych drzwi, dzięki czemu mogła obserwować korytarz i widzieć, kto wchodzi i wychodzi. Zamierzała porozmawiać z Clarence'em o zastąpieniu Moxtona kimś innym w bliskiej przyszłości.

Następną osobą, która weszła do gabinetu księcia, był kamerdyner, który przebywał tam czterdzieści minut. Później zniknął pod schodami, żeby po chwili się pojawić w towarzystwie kucharki, której Virginia nie widywała przedtem na parterze.

Upłynęło znowu dwadzieścia minut, zanim pojawiła się kucharka i czmychnęła schodami w dół. Virginia mogła się tylko zastanawiać, dlaczego tak długo to trwało, chyba że omawiali zestaw dań na przyjęcie, zadanie, które, jak sądziła Virginia, książę jej pozostawi.

Myśli Virginii przerwało głośne pukanie do frontowych drzwi, ale zanim zdążyła zareagować, pojawił się Lomax i je otworzył.

– Dzień dobry, doktorze Ainsley – powiedział. – Jego książęca mość pana oczekuje.

Kiedy przemierzali hol, Moxton wyszedł z gabinetu, wymienił uścisk dłoni z doktorem i prędko wyszedł z zamku. Chociaż nie mógł nie zauważyć Virginii stojącej w drzwiach salonu, nie pozdrowił jej. Wyrzuci go, jak tylko książę wróci do pułku.

Virginia ucieszyła się na widok Alice schodzącej po schodach i pospiesznie wyszła z salonu, żeby do niej podejść.

– Odwiedzimy twojego brata? – spytała, nie czekając na odpowiedź. – Wiem, że nie może się ciebie doczekać – dodała, otwierając drzwi gabinetu i wchodząc bez pukania. I znowu obaj mężczyźni wstali.

– Alice właśnie zeszła na dół, i pamiętam, że chciałeś ją bezzwłocznie zobaczyć.

– Oczywiście – rzekł Clarence, uścisnąwszy siostrę. – To cudownie, że cię widzę.

– Myślałam, że moglibyśmy wszyscy wypić herbatę w salonie.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, Virginio – powiedział Clarence – ale chciałbym spędzić kilka chwil tylko z siostrą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Na twarzy Alice odmalowało się zdziwienie kąśliwym tonem brata, a Virginia wahała się przez moment, aż wreszcie rzuciła:

– Tak, oczywiście – i wyszła do salonu.

Tym razem Montgomery nawet nie podniósł łba.

Doktor Ainsley opuścił gabinet dwadzieścia minut później i też wyszedł, nie próbując złożyć wyrazów uszanowania pogrążonej w smutku wdowie. Virginia cierpliwie czekała, kiedy książę wezwie ją do gabinetu, ale nic takiego nie nastąpiło i gdy służąca, której imienia nigdy nie pamiętała, zaczęła zapalać światła w całym zamku, uznała, że czas przebrać się do kolacji. Dopiero co wyszła z wanny, kiedy usłyszała, że podjazdem sunie samochód. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak Clarence wita Camillę z rodziną. Prędko się ubrała i gdy po kilku chwilach otworzyła drzwi sypialni, zobaczyła kamerdynera i dwójkę dzieci zmierzających do apartamentu narożnego, którego im nie przeznaczyła.

– Gdzie jest wasza matka? – spytała Virginia.

Dzieci się odwróciły, ale to Lomax odpowiedział:

– Książę poprosił lady Camillę i jej męża, żeby przyszli do niego do gabinetu, i zażądał, żeby nikt im nie przeszkadzał.

Virginia zamknęła drzwi. Nie pamiętała, żeby Lomax zwracał się kiedy do niej tak bezceremonialnie. Usiłowała się skupić na makijażu, ale nie potrafiła przestać się zastanawiać, o czym oni rozmawiają w dawnym gabinecie księcia. Doszła do wniosku, że wszystko się wyda przy kolacji.

Pół godziny później Virginia zeszła w dół szerokimi schodami, przecięła hol i wkroczyła do salonu, żeby zobaczyć, że nikogo tam nie ma. Usiadła i czekała, ale nikt się nie pojawił. Gdy o ósmej zabrzmiał gong, udała się do sali jadalnej, gdzie stół nakryto dla jednej osoby.

– Gdzie jest reszta rodziny? – spytała, gdy zjawił się Lomax z małą wazą zupy.

– Jego książęca mość, lady Camilla i lady Alice spożywają lekką kolację w bibliotece – rzucił kamerdyner bez dalszych wyjaśnień.

Virginię przebiegł dreszcz, chociaż ogień płonął w kominku.

– A dzieci?

– Już jadły, a ponieważ były zmęczone po długiej podróży, poszły od razu spać.

Ogarnęło ją złe przeczucie i usiłowała sobie wmówić, że nie ma się czym martwić, ale niespecjalnie jej się to udało. Poczekała, aż zegar w holu wybił dziewiątą, po czym opuściła jadalnię i wolno poszła schodami do swojego pokoju. Rozebrała się i położyła do łóżka, ale nie zasnęła. Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotnie.

Virginia poczuła ulgę, gdy nazajutrz Clarence i Alice dołączyli do niej na śniadanie, ale przekonała się, że rozmowa była sztywna i oficjalna, jakby ona była obcą we własnym domu.

– Prawie skończyłam przygotowywać porządek nabożeństwa – zadeklarowała Virginia – i myślę...

– Nie ma potrzeby, żebyś traciła na to czas – przerwał jej Clarence. – Widziałem się o dziesiątej z biskupem i on mi powiedział, że jakiś czas temu uzgodnił z moim ojcem wszystkie szczegóły ceremonii pogrzebowej.

– I czy zgodził się ze mną, że czwartek...

– Nie – powiedział Clarence tak samo stanowczo. – On doradza piątek, co będzie wygodniejsze dla przyjaciół ojca, którzy przyjadą z Londynu.

Virginia po chwili wahania spytała:

– A lista gości? Czy chcecie zobaczyć moje propozycje?

– Ustaliliśmy ostateczną listę wczoraj wieczorem – odezwała się Alice. – Ale powiedz mi, jeżeli chcesz dodać jakieś jedno czy dwa nazwiska.

– Czy nie ma nic, w czym mogłabym pomóc? – spytała Virginia, starając się ukryć rozpacz.

– Nie, dziękuję – rzekł Clarence. – Już i tak zrobiłaś dość. – Zwinął serwetkę i wstał. – Przepraszam. Nie mogę się spóźnić na spotkanie z biskupem. – Wyszedł bez dalszych słów.

– Ja też muszę iść – powiedziała Alice. – Mam dużo pracy, jeżeli wszystko ma być gotowe w piątek.

Po śniadaniu Virginia wybrała się na spacer po posiadłości, usiłując pojąć, co spowodowało tak nagłą zmianę nastawienia rodziny księcia. Pewne pocieszenie czerpała z faktu, że dysponuje Dower House, pięcioma tysiącami funtów miesięcznie i dwiema wazami z epoki Ming, które, jak potwierdził Li Wong, są warte co najmniej milion. Przestała się uśmiechać, gdy ujrzała Camillę i jej męża wychodzących z biura administratora majątku.

Virginia samotnie spożyła lunch i postanowiła wybrać się do miasta i kupić nowe stroje, ponieważ zamierzała zrzucić wdowie szaty w chwili, gdy wszyscy wyjadą. Kiedy wróciła wieczorem do zamku, spod drzwi gabinetu sączyło się światło i odniosła wrażenie, że słyszy piskliwy głos Camilli.

Virginia zjadła kolację samotnie w swoim pokoju, dręcząc się nieustannie jedną myślą. Zaczęła żałować, że Perry nie żyje.

Katedra St Albans Abbey była już wypełniona, kiedy wkroczyła do niej Virginia. Mistrz ceremonii powiódł księżnę wdowę nawą do miejsca w drugim rzędzie. Nie czuła się na siłach protestować, gdy patrzyło na nią tysiąc oczu.

Kiedy zegar katedry wybił pierwsze z jedenastu uderzeń, zagrzmiały organy i zgromadzeni wstali jak jeden mąż. Trumna ozdobiona odznaczeniami i medalami przemierzała wolno nawę niesiona na ramionach sześciu gwardzistów z pułku z Coldstream w asyście najbliższej rodziny. Gdy została ustawiona na marach, książę, jego dwie siostry i wnuki zajęli miejsce w pierwszym rzędzie. Nie odwrócili się.

Virginia odbierała nabożeństwo jak przez mgłę, wciąż zachodząc w głowę, dlaczego rodzina Perry'ego ją bojkotuje. Podczas ceremonii pogrzebowej odprawianej na terenie katedry mogła tylko wystąpić do przodu i wrzucić łopatę ziemi na trumnę, po czym cofnęła się do szeregu. Gdy rodzina i kilku bliskich przyjaciół opuściło grób, musiała uprosić Percy'ego, wujka księcia, żeby ją podwiózł do zamku; Percy przyjął do wiadomości jej tłumaczenie, że ją przeoczono, ale przecież wszyscy są w ogromnym stresie.

W czasie przyjęcia Virginia rozmawiała z gośćmi; wielu było miłych i wyrażało jej współczucie, natomiast inni odwracali się, kiedy się do nich zbliżała. Jednak największy afront ją spotkał, kiedy ostatni gość odszedł i Clarence przemówił do niej pierwszy raz w tym dniu.

– Gdy byłaś na nabożeństwie – powiedział – wszystkie twoje rzeczy zostały spakowane i przeniesione do Dower House. Samochód czeka, żeby cię tam natychmiast odwieźć. Jutro o jedenastej rano w moim gabinecie odbędzie się spotkanie rodziny i mam nadzieję, że będziesz obecna. Są ważne sprawy, które chciałbym z tobą omówić – dodał, przypominając Virginii jej ojca.

Bez dalszych słów książę zbliżył się do frontowych drzwi, otworzył je i czekał, żeby Virginia wyszła, rozpoczynając pierwszy dzień wygnania.

35

Następnego dnia Virginia wstała wcześnie rano i niespiesznie obejrzała Dower House, który się okazał dość wielki jak dla samotnej osoby. Służba Virginii składała się z pomocnika kamerdynera, pokojówki i kucharki i liczyła nie mniej i nie więcej osób, niż Perry określił w testamencie.

Za dziesięć jedenasta podjechał samochód, żeby zabrać ją do zamku, który jeszcze kilka dni temu stanowił jej wyłączne włości.

Frontowe drzwi zamku otworzyły się, gdy samochód się zatrzymał, i rzuciwszy niedbale: „Dzień dobry, wasza książęca mość", kamerdyner poprowadził ją do dawnego gabinetu męża. Lomax delikatnie zapukał do drzwi, otworzył je i usunął się na bok, wpuszczając księżnę wdowę.

– Dzień dobry – powiedział Clarence, podnosząc się zza biurka. Poczekał, aż Virginia zajmie jedyne wolne krzesło.

Virginia uśmiechnęła się do sióstr, ale nie odwzajemniły uśmiechu.

– Dziękuję, że przybyłaś – rzekł Clarence, jakby miała jakiś wybór. – Uznaliśmy, że byłoby sensowne poinformować cię, co zaplanowaliśmy na przyszłość.

Virginia odniosła wrażenie, że chciał powiedzieć: „twoją przyszłość”.

– To uprzejme z waszej strony – powiedziała.

– Zamierzam za kilka dni zgłosić się z powrotem do pułku i wrócę dopiero przed świętami Bożego Narodzenia. Alice odlatuje do Nowego Jorku w poniedziałek.

– Więc kto będzie zarządzał majątkiem? – spytała Virginia z nadzieją, że wreszcie poszli po rozum do głowy.

– Powierzyłem ten obowiązek Shane’owi i Camilli – z błogosławieństwem ojca, mógłbym dodać, gdyż on pogodził się z tym, że zawsze chciałem być żołnierzem i nigdy nie nadawałem się na rolnika. Shane, Camilla i dzieci zamieszkają w zamku, spełniając inne życzenie mojego ojca.

– To bardzo rozsądne – rzekła Virginia. – Mam nadzieję, że pozwolisz mi, żebym pomogła, przynajmniej w okresie przejściowym?

– To nie będzie konieczne – odezwała się po raz pierwszy Camilla. – Dostaliśmy dobrą ofertę kupna naszej farmy w Nowej Zelandii i mój mąż poleci tam, żeby sfinalizować sprzedaż i załatwić inne osobiste sprawy, a potem wróci, żeby przejąć zarządzanie majątkiem. Do jego powrotu będę doglądać spraw z pomocą pana Moxtona.

– Po prostu myślałam...

– Nie ma potrzeby – powiedziała Camilla. – Pomyśleliśmy o wszystkim.

– I obawiam się, Virginio, że jest jeszcze inna kwestia, o której muszę wspomnieć – rzekł Clarence.

Virginia poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Pan Moxton zwrócił mi uwagę, że ojciec bez mojej wiedzy udzielił ci pożyczki w wysokości stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów. Na szczęście Moxton miał tyle zdrowego rozsądku, żeby nadać temu formalny charakter – powiedział Clarence, otwierając na trzeciej stronie dokument, który Virginia, jak pamiętała, podpisała. Nagle pożałowała, że nie poświęciła trochę więcej czasu i nie przeczytała dwu pierwszych stron.

– Pożyczka została udzielona na pięć lat z pięcioprocentowymi odsetkami składanymi. Gdyby mój ojciec umarł przed upływem tego czasu, to pełna kwota powinna zostać zwrócona w ciągu dwudziestu ośmiu dni. Poradziłem się księgowego i on mi napisał – Clarence spojrzał na list leżący na biurku – że wraz z narosłymi odsetkami jesteś obecnie winna dwieście dziewięć tysięcy sto czterdzieści pięć funtów. Zatem muszę zapytać cię, Virginio, czy masz wystarczające fundusze, żeby zwrócić tę sumę.

– Ale Perry mi powiedział, że jeżeli umrze przede mną – dokładnie pamiętam jego słowa – dług pójdzie w niepamięć.

– Czy masz na to jakiś dowód? – spytała Camilla.

– Nie. Ale on dał mi słowo, co z pewnością powinno wystarczyć.

– Nie mówimy o jego słowach – powiedziała Camilla – tylko o twoich.

– A jeżeli to zrobił – rzekł Clarence – to na pewno nie powiadomił Moxtona o takiej ugodzie. Nie ma o tym wzmianki w pierwotnej umowie, którą mój ojciec też podpisał.

Clarence obrócił dokument, żeby Virginia zobaczyła podpis, który dobrze znała.

– Będę musiała skonsultować się z moimi adwokatami – wyjąkała, niezdolna wymyślić coś innego.

– Już konsultowaliśmy się z naszymi – odezwała się Alice – i pan Blatchford potwierdził, że w testamencie ojca nie ma słowa o takim darze, jedynie o uposażeniu pięciu tysięcy funtów miesięcznie, wrzoścowej lasce i dwu porcelanowych wazach.

Virginia stłumiła uśmiech.

– W razie gdybyś nie była w stanie zwrócić pożyczki – ciągnął Clarence – nasz księgowy zaproponował kompromis, który, jak mam nadzieję, zaakceptujesz. – Znów zajrzał do listu. – Jeżeli wstrzymamy twoje miesięczne uposażenie pięciu tysięcy funtów, pełna suma zostanie spłacona w ciągu około czterech lat, a po tym czasie uposażenie będzie przywrócone.

– Jednak gdybyś umarła w ciągu najbliższych czterech lat – wtrąciła Camilla – to zapewniam cię, że dług pójdzie w niepamięć.

Virginia przez chwilę milczała, a potem palnęła:

– Ale z czego ja będę żyć?

– Ojciec mi kilka razy mówił – odezwał się Clarence – że twój brat wypłaca ci co miesiąc hojne uposażenie, którego, jak kiedyś powiedziałaś, nigdy nie jesteś w stanie wydać, więc przypuszczałem...

– Przestał mi płacić w dniu, kiedy poślubiłam twojego ojca.

– Więc musimy mieć nadzieję, że kiedy się zapozna z twoją obecną sytuacją, zechce ci przywrócić ten zasiłek, w przeciwnym wypadku będziesz musiała korzystać ze swojego sporego majątku, o którym też wspominałaś mojemu ojcu. Oczywiście, gdybyś zdołała spłacić pożyczkę w ciągu dwudziestu ośmiu dni, cały problem byłby rozwiązany.

Virginia pochyliła głowę i wybuchnęła płaczem, ale gdy w końcu podniosła wzrok, było widać, że na żadnym z rodzeństwa nie wywarło to wrażenia.

– Przypuszczam, że to dobra okazja, żeby omówić pewne sprawy domowe – powiedziała Camilla. – Jak wyjaśnił mój brat, mój mąż podejmie się zarządzania majątkiem i nasza rodzina zamieszka w zamku. Clarence i Alice będą tu czasem przyjeżdżać, ale podczas nieobecności brata ja będę panią zamku książąt Hertford. – Camilla poczekała, aż jej słowa dotrą do świadomości obecnych, a potem kontynuowała: – Chcę wyraźnie powiedzieć, żeby w przyszłości nie było nieporozumień, że nie będziesz tu w żadnym czasie mile widziana, co dotyczy także Bożego Narodzenia i innych świąt. Nie będziesz też próbowała kontaktować się ani z moimi dziećmi, ani z nikim z zamkowej służby. Przekazałam wyraźnie moje życzenia panu Lomaksowi.

Virginia spojrzała na Clarence'a, potem na Alice, ale było oczywiste, że rodzina działa jednomyślnie.

– Jeśli nie masz żadnego pytania dotyczącego przyszłych ustaleń – powiedział Clarence – to nie mamy ci nic więcej do dodania.

Virginia wstała i wyszła z pokoju, ze wszystkich sił starając się zachować godność. Przeszła powoli przez hall do frontowych drzwi otwartych przez kamerdynera. Nie pozdrowił jej, kiedy ostatni raz wychodziła z zamku. Usłyszała tylko odgłos zamykanych drzwi.

Inne drzwi już otworzono, aby mogła pojechać do Dower House. Gdy wysiadła, udała się wprost do gabinetu, podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer w Londynie. Przywitał ją pierwszy przyjazny głos tego dnia.

– Jak miło słyszeć waszą książęcą mość. W czym mogę pomóc?

– Panie Poltimore, chciałabym jak najszybciej spotkać się z panem, ponieważ zmieniłam zdanie.

36

– Nie mam wątpliwości – powiedział Poltimore – że podjęła pani mądrą decyzję. Ale czy mogę zapytać, co spowodowało tę zmianę zdania?

– Mój zmarły mąż by nie chciał, żeby ktoś myślał, że on wyprzedaje rodowe pamiątki.

– A nowy książę? – spytał Poltimore. – Co on myśli?

– Prawdę mówiąc, Clarence nie odróżniłby porcelany z epoki Ming od zwykłego fajansu.

Poltimore nie wiedział, czy wypada mu się roześmiać, więc po prostu powiedział:

– Wasza książęca mość, zanim zgodzi się pani oddać wazy pod młotek licytatora, zapewne chciałaby pani wiedzieć, że pewien marszand z Chicago zaproponował mi za nie siedemset tysięcy funtów i jestem pewien, że mógłbym podwyższyć tę kwotę do miliona z okładem. I przypuszczam, że można by to tak załatwić, żeby nikt się nawet nie dowiedział o tej transakcji.

– Ale z pewnością marszand by po prostu sprzedał moje wazy jednemu ze swoich klientów.

– Osiągając jednocześnie znaczny zysk, dlatego jestem pewien, że na aukcji uzyskają o wiele wyższą cenę.

– Ale musi być niewielka szansa, że jeśli wazy trafią na aukcję, ten sam marszand może je dostać za mniej niż milion.

– To mało prawdopodobne przy okazach o takim znaczeniu. I mimo to nadal uważam, że warto podjąć to ryzyko, ponieważ już się skontaktowałem z kilkoma głównymi kolekcjonerami w tej dziedzinie i wszyscy, w tym dyrektor Chińskiego Muzeum Narodowego w Pekinie, okazali duże zainteresowanie.

– Przekonał mnie pan – powiedziała Virginia. – Więc co teraz powinnam zrobić?

– Kiedy podpisze pani dokument przekazania, my zajmiemy się resztą. Akurat zdążymy na jesienną licytację, która jest zawsze najbardziej popularna w roku, a ja już zasugerowałem, żeby zamieścić fotografię waz z Hertford na okładce katalogu. Zapewniam, że nasi klienci nie będą mieli wątpliwości, że uważamy je za niezwykle ważne okazy.

– Czy mogę o czymś wspomnieć w absolutnym sekrecie, panie Poltimore?

– Oczywiście, księżno.

– Ogromnie mi zależy, żeby przed aukcją było minimum rozgłosu, ale maksimum potem.

– Z tym nie powinno być problemu, zwłaszcza że wszyscy krytycy sztuki z gazet ogólnokrajowych będą obecni na aukcji. A jeżeli wazy osiągną cenę, jaką przewidujemy, prasa się szeroko o tym rozpisze, więc może być pani pewna, że następnego dnia rano wszyscy będą wiedzieć o pani sukcesie.

– Nie obchodzą mnie wszyscy – powiedziała Virginia – tylko jedna osoba w jednej szczególnej rodzinie.

– Pozłacana jędza – rzuciła Virginia.

– Aż tak? – spytała Priscilla Bingham, gdy ze stolika sprzątnięto talerzyki deserowe.

– Gorzej. Przybiera pozę księżnej, ale jest tylko żoną nadętego hodowcy owiec z antypodów.

– I mówisz, że jest drugą córką?

– Tak. Ale zachowuje się, jakby była panią zamku książąt Hertford.

– Czy to by się nie zmieniło, gdyby książę się ożenił i zdecydował się odebrać rodowe gniazdo?

– To mało prawdopodobne. Clarence jest poślubiony wojsku i ma nadzieję zostać następnym dowódcą pułku.

– Jak przed nim jego ojciec.

– On w niczym nie przypomina ojca – powiedziała Virginia. – Gdyby Perry żył, nigdy by nie pozwolił tak mnie upokorzyć. Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. – Wyjęła z torebki nowo wydany katalog i podała przyjaciółce.

– Czy to są te dwie wazy, o których mi mówiłaś? – spytała Priscilla, patrząc z zachwytem na okładkę.

– Tak, to one. I zobaczysz, ile dostanę, jeżeli spojrzysz na stronę z czterdziestą trzecią pozycją.

Priscilla przerzuciła katalog i gdy znalazła stronę z pozycją numer 43, dwie wazy Ming, circa 1462, spojrzała na wycenę. Otworzyła usta, ale nie wypowiedziała słowa.

– Jakiż książę był wspaniałomyślny – w końcu rzuciła.

– On nie miał pojęcia, ile one są warte – powiedziała Virginia – w przeciwnym wypadku nigdy by się z nimi nie rozstał.

– Ale na pewno rodzina się dowie na długo przed aukcją.

– To raczej niemożliwe. Clarence zaszył się gdzieś na Borneo, Alice jest w Nowym Jorku i kupczy perfumami, a Camilla nie wystawia nosa z zamku, jeśli nie musi.

– Myślałam, że chcesz, żeby się dowiedzieli.

– Dopiero po aukcji, kiedy przekażę czek do banku.

– Ale nawet wtedy mogą o tym nie usłyszeć.

– Pan Poltimore, który prowadzi aukcję, mówił mi, że dostał już telefony od czołowych recenzentów sztuki, więc następnego ranka można się spodziewać licznych artykułów w prasie. Wtedy właśnie się dowiedzą, ale będzie już za późno, bo ja ulokuję pieniądze w banku. Priscillo, mam nadzieję, że przyjdziesz na aukcję w przyszły czwartek wieczorem, a potem zjesz ze mną kolację U Annabeli, żeby uczcić tę okazję. Zamówiłam nawet ulubiony stolik Perry'ego. Będzie jak dawniej.

– Jak dawniej – powtórzyła Priscilla, gdy zjawił się kelner i podał kawę. – To mi przypomina, czy kiedy odzywa się do ciebie twój były mąż po tym twoim wyczynie z Mellor Travel?

– Jeżeli myślisz o Gilesie, to pierwszy raz od lat przysłał mi kartkę z okazji świąt Bożego Narodzenia, ale nie odwzajemniłam mu się tym samym.

– Widzę, że jest z powrotem w przedniej ławie.

– Tak, zajmuje pozycję przeciwko swojej siostrze. Ale jest takim mięczakiem, że sądzę, że regularnie jej odpuszcza – rzuciła Virginia, pociągnąwszy łyk kawy.

– I teraz ona jest baronessą.

– Ma tytuł dożywotniego para – powiedziała Virginia. – Tak czy owak, tylko dlatego dostała się do Izby Lordów, że popierała Margaret Thatcher, kiedy ta starała się o przywództwo partii torysów. Po tym wszystkim człowiek ma ochotę głosować na laburzystów.

– Bądźmy sprawiedliwi, Virginio, wszyscy dziennikarze się zgadzają, że ona dobrze się sprawdza jako minister zdrowia.

– Lepiej by się zajęła zdrowiem własnej rodziny. Popijawy, narkotyki, troje w łóżku, obrażanie policji i wnuczka, która trafia do więzienia.

– Tylko na jedną noc – przypomniała Priscilla. – I w następnym trymestrze wróciła do szkoły Slade'a.

– Ktoś musiał pociągnąć za bardzo długie sznurki, żeby jej to umożliwić – rzekła Virginia.

– Prawdopodobnie twój były mąż – podsunęła Priscilla. – Jest w opozycji, ale podejrzewam, że ma duże wpływy.

– A jak miewa się twój mąż? – zagadnęła Virginia, chcąc zmienić temat. – Mam nadzieję, że u niego wszystko w porządku – dodała, z nadzieją, że usłyszy, że jest inaczej.

– On ciągle produkuje sto tysięcy słoików pasty rybnej tygodniowo, dzięki czemu żyję jak księżna, chociaż nią nie jestem.

– A czy twój syn wciąż się zajmuje public relations w banku Farthings Kaufman? – spytała Virginia, ignorując kąśliwą uwagę.

– Tak. W istocie Clive ma nadzieję, że wkrótce zaproszą go do rady nadzorczej.

– To chyba także dzięki temu, że Robert jest starym przyjacielem prezesa.

– A co u twojego syna? – spytała Priscilla, odpowiadając ciosem na cios.

– Freddie nie jest moim synem, jak dobrze wiesz. Ostatnio słyszałam, że uciekł ze szkoły, co by rozwiązało wszystkie moje problemy, ale niestety po kilku dniach wrócił.

– To kto się nim zajmuje podczas wakacji?

– Mój brat Archie żyjący z dochodów z gorzelni, którą ojciec mnie obiecał.

– Nie najgorzej sobie radzisz, księżno – zauważyła Priscilla, spojrzawszy na katalog Sotheby's.

– Może masz rację, ale muszę dopilnować, że to ja będę się śmiać ostatnia – powiedziała Virginia, kiedy stanął przy nich kelner, niepewny, której z pań podać rachunek.

Chociaż Virginia zaprosiła Priscillę na lunch, miała przykrą świadomość, że jeżeli wypisze czek, to możliwe, że nie będzie honorowany. Ale to wszystko miało się zmienić.

– Następnym razem moja kolej – powiedziała Virginia. – U Annabeli w czwartek wieczorem? – dodała, patrząc w drugą stronę.

Gdy Priscilla Bingham wróciła do domu w Boltons, zostawiła katalog domu aukcyjnego Sotheby's na stoliku w holu.

– Wspaniałe – rzekł Bob, spojrzawszy na okładkę. – Czy chcesz przystąpić do licytacji?

– Dobry pomysł – odparła Priscilla – ale musiałbyś sprzedać strasznie dużo rybiej pasty, żebyśmy mogli się na to porwać.

– To dlaczego tym się interesujesz?

– Należą do Virginii i ona musi wystawić je na sprzedaż, bo rodzina książąt Hertford znalazła sposób, żeby podstępnie

pozbawić ją miesięcznego uposażenia.

– Wolałbym usłyszeć ich relację, zanim wydam opinię na ten temat – powiedział Bob i przekartkował katalog, szukając pozycji 43. Cicho gwizdnął, gdy zobaczył wycenę. – Jestem zaskoczony, że rodzina chciała się ich pozbyć.

– Nie chcieli. Książę zapisał je Virginii w testamencie, nie mając pojęcia, ile są warte.

Bob zacisnął usta, ale się nie odezwał.

– Przy okazji – rzekła Priscilla – czy wybieramy się dziś wieczór do teatru?

– Tak – odparł Bob. – Mamy bilety na *Upiora w operze* i kurtyna idzie w górę o wpół do ósmej.

– Więc mam jeszcze czas, żeby się przebrać – powiedziała Priscilla i udała się na górę.

Bob poczekał, aż zniknie w sypialni, a potem zabrał katalog i poszedł do swojego gabinetu. Usiadł przy biurku, przyjrzał się pozycji numer 43 i niespiesznie przestudiował pochodzenie obu waz. Zrozumiał, dlaczego przypisuje się im takie znaczenie. Wysunął dolną szufladę biurka, wyjął dużą szarą kopertę i włożył do niej katalog. Napisał na kopercie dużymi literami:

KSIĄŻĘ HERTFORD
ZAMEK KSIĄŻĄT HERTFORD
HERTFORDSHIRE

Wrzucił kopertę do skrzynki pocztowej na rogu i wrócił do domu, zanim Priscilla wyszła z kąpieli.

37

– Sprzedane! Za sto dwadzieścia tysięcy funtów – ogłosił Poltimore i uderzył z hukiem młotkiem. – Pozycja numer trzydzieści dziewięć – powiedział, przechodząc do następnej strony katalogu. – Biała ślubna miseczka z jadeitu z czasów panowania cesarza Qianlonga. Czy mogę na początek podać cenę dziesięciu tysięcy funtów?

Poltimore podniósł głowę i zobaczył wchodzącą na salę księżnę wdowę Hertford w towarzystwie damy, której nie znał. Asystent licytatora poprowadził je głównym przejściem i chociaż hala aukcyjna była zatłoczona, wskazano im dwa wolne miejsca blisko przodu, z których prędko, zanim panie zdążyły usiąść, zdjęto kartki z napisem „zarezerwowane".

Virginii sprawił przyjemność szmer głosów wywołany jej przybyciem. Chociaż licytacja rozpoczęła się o godzinie siódmej, pan Poltimore powiedział jej, że nie ma potrzeby, aby przychodziła przed siódmą czterdzieści pięć, gdyż nie przewidywał, żeby pozycja numer czterdzieści trzy poszła pod młotek przed ósmą piętnaście, a może nawet ósmą trzydzieści.

Usiadły z Priscillą w piątym rzędzie, gdzie, jak zapewnił Poltimore, były najlepsze miejsca w sali, podobnie jak te dla specjalnych gości na widowni teatru na West Endzie. Ponieważ Virginii nie interesowała jadeitowa miseczka ślubna z okresu panowania cesarza Qianlonga, usiłowała się zorientować, co się dzieje wokół, i miała nadzieję, że nie rzuca się zbytnio w oczy, że pierwszy raz uczestniczy w ważnej aukcji.

– Jakie to ekscytujące – powiedziała, ściskając rękę Priscilli i patrząc z podziwem na mężczyzn w smokingach, najwyraźniej udających się na jakieś uroczystości po zakończeniu aukcji, i na innych, którzy mieli na sobie szykowne garnitury i kolorowe krawaty. Ale najbardziej fascynowały ją kobiety w kreacjach od projektantów mody uzupełnionych najnowszymi dodatkami. Dla nich był to bardziej pokaz mody niż aukcja; każda starała się prześcignąć tę drugą, jakby to była premiera nowej sztuki. Priscilla powiedziała jej, że czasem o ostatecznej cenie decydują właśnie te kobiety, które często planują, że jakiś szczególny okaz zabiorą tego wieczoru do domu, a z kolei niektórzy mężczyźni będą licytowali coraz wyżej tylko po to, żeby zaimponować kobietom, z którymi byli – a czasami kobiecie, z którą nie byli.

Sala była duża, miała kształt kwadratu i Virginia nie dostrzegła ani jednego wolnego miejsca. Oceniła, że w pomieszczeniu wypełnionym przez kolekcjonerów, marszandów i zwyczajnych ciekawskich musi być około czterystu potencjalnych klientów. Kilka osób musiało stać z tyłu.

Na wprost niej stał pan Poltimore na półkolistym podium, skąd miał doskonały widok na swoje ofiary. Z tyłu za podium widać było grupkę osób z kierownictwa, ekspertów w swoich

dziedzinach, którzy mieli pomagać i doradzać licytatorowi, podczas gdy inni notowali, kto jest nabywcą, i zapisywali wylicytowaną cenę. Po prawej stronie Poltimore'a, ściśnięta za odgradzającym sznurem, tłoczyła się grupa mężczyzn i kobiet z otwartymi notesami i piórami w pogotowiu; Virginia doszła do wniosku, że to dziennikarze.

– Sprzedane! Za dwadzieścia dwa tysiące funtów – obwieścił Poltimore. – Pozycja numer czterdzieści, ważna polichromowana, rzeźbiona drewniana figurka siedzącego luohana, mniej więcej z roku tysiąc czterechsetnego. Mam ofertę stu tysięcy funtów.

Aukcja wyraźnie się rozkręcała i Virginia była zachwycona, kiedy luohan został sprzedany za dwieście czterdzieści tysięcy funtów – czterdzieści tysięcy powyżej wysokiej wyceny.

– Pozycja numer czterdzieści jeden, rzadki okaz – model lwa z celadonu.

Virginii nie interesował lew, uniesiony przez portiera, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Spojrzała na prawo i zauważyła po raz pierwszy długi stół na lekkim podwyższeniu, na którym znajdowało się kilkanaście białych aparatów telefonicznych; przy każdym siedział ktoś z personelu Sotheby's. Poltimore jej wyjaśnił, że reprezentują zagranicznych klientów bądź tych, którzy nie chcą być widziani w sali aukcyjnej, chociaż czasami siedzą dyskretnie między publicznością. Trzy osoby z personelu, osłaniając rękami słuchawkę, prowadziły rozmowy telefoniczne, natomiast pozostałe dziewięć telefonów stało bezczynnie, bo jak Virginii, tych klientów nie interesował mały lew z jadeitu. Virginia była ciekawa, ile zadzwoni telefonów, gdy Poltimore ogłosi licytację pozycji numer czterdzieści trzy.

– Pozycja numer czterdzieści dwa. Wyjątkowo rzadka, emaliowana żółta waza typu Yuhuchunping z motywem kwiatowym. Zdobiła kiedyś pałac cesarski. Mam ofertę stu tysięcy funtów.

Virgina czuła, jak jej bije serce, świadoma, że następną pozycją będą jej dwie wazy Ming. Kiedy pozycja numer czterdzieści dwa została sprzedana za dwieście sześćdziesiąt tysięcy funtów, na sali rozbrzmiał gwar oczekiwania. Poltimore spojrzał na księżną i dobrodusznie się uśmiechnął, a dwaj asystenci ustawili na oddzielnych podstawach po obu jego stronach wspaniałe wazy.

– Pozycja numer czterdzieści trzy. Dwie unikatowe wazy z okresu dynastii Ming, rok mniej więcej tysiąc czterysta sześćdziesiąt dwa, dar cesarza Jiaqinga dla czwartego księcia Hertford na początku dziewiętnastego wieku. Wazy są w idealnym stanie i są własnością pewnej angielskiej utytułowanej damy.

Virginia rozpromieniła się, gdy dziennikarze zaczęli gorączkowo notować.

– Mam ofertę – zapadła cisza, jakiej jeszcze do tej pory nie było – trzystu tysięcy funtów. – Ciszę zastąpiły stłumione okrzyki, a Poltimore lekko się odchylił i rozejrzał wokół. – Czy dostanę trzysta pięćdziesiąt?

Virginii czekanie wydawało się wiecznością, chociaż trwało zaledwie kilka sekund.

– Dziękuję panu – powiedział Poltimore, skinąwszy licytantowi siedzącemu z tyłu sali.

Virginia chciała się obejrzeć, ale jakoś się powstrzymała.

– Czterysta tysięcy – rzucił Poltimore, zwracając wzrok na lewo ku długiemu rzędowi telefonów, gdzie ośmiu przedstawicieli personelu informowało swoich klientów, jak przebiega licytacja.

– Czterysta tysięcy – powtórzył, gdy szykownie ubrana młoda kobieta przy jednym z telefonów podniosła rękę.

– Mam ofertę telefoniczną czterystu tysięcy funtów – rzucił Poltimore i natychmiast zwrócił uwagę na pana siedzącego z tyłu. – Czterysta pięćdziesiąt tysięcy – mruknął i znów spojrzał w stronę telefonów. – Ręka młodej kobiety natychmiast wystrzeliła w górę. Poltimore skinął głową. – Mam pięćset tysięcy – oznajmił i zwrócił się do mężczyzny z tyłu sali, lecz ten potrząsnął głową. – Czekam na ofertę pięciuset pięćdziesięciu tysięcy – powiedział Poltimore, omiatając spojrzeniem salę. – Pięćset pięćdziesiąt tysięcy funtów – powtórzył.

Virginia zaczęła żałować, że nie przyjęła oferty marszanda z Chicago, ale Poltimore obwieścił:

– Pięćset pięćdziesiąt. – I głośniej dodał: – Mam nowego licytanta. – Spojrzał na dyrektora Chińskiego Muzeum Narodowego. Kiedy odwrócił się w stronę telefonów, ręka młodej kobiety już była w górze. – Sześćset tysięcy – rzucił Poltimore i znów popatrzył na dyrektora, który z ożywieniem rozmawiał z mężczyzną siedzącym z prawej strony, a w końcu spojrzał w górę i lekko skinął głową. – Sześćset pięćdziesiąt tysięcy – ogłosił Poltimore, ponownie utkwiwszy wzrok w młodej kobiecie przy telefonie. Tym razem trwało trochę dłużej, nim w końcu podniosła rękę. – Siedemset tysięcy funtów – zażądał Poltimore, mając świadomość, że byłby to światowy rekord za sprzedany na aukcji okaz chińskiej sztuki.

Dziennikarze pisali bardziej gorączkowo niż kiedykolwiek, świadomi, że czytelnicy lubią rekordy światowe.

– Siedemset tysięcy – wyszeptał Poltimore tonem pełnym szacunku, próbując skusić dyrektora, ale nie przynaglając go, jako że ten kontynuował rozmowę ze swoim kolegą. – Siedemset tysięcy? – zaproponował, jakby to była bagatela.

Jakieś zamieszanie z tyłu sali zwróciło jego uwagę. Starał się je zignorować, ale rozproszył go widok dwojga ludzi przepychających się przez tłum, gdy tymczasem dyrektor muzeum podniósł rękę.

– Mam ofertę siedmiuset tysięcy – rzekł Poltimore, rzucając spojrzenie ku telefonom, ale nie mógł dłużej ignorować mężczyzny i kobiety kroczących ku niemu przejściem. Beznadziejna sprawa, chciałby im powiedzieć, przecież wszystkie miejsca są zajęte. – Siedemset pięćdziesiąt tysięcy – podsunął dyrektorowi, przypuszczając, że mężczyzna i kobieta zawrócą, ale oni się nie zatrzymali. – Mam ofertę siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy – ogłosił Poltimore i po kolejnym potwierdzającym geście dyrektora odwrócił się z powrotem do młodej kobiety przy telefonie. Usiłował się nie rozpraszać, zakładając, że zjawią się pracownicy ochrony i grzecznie wyprowadzą denerwującą parę ludzi. Patrzył z nadzieją na kobietę przy telefonie, kiedy władczy głos obwieścił kategorycznie:

– Przedstawiam panu nakaz sądowy uniemożliwiający licytację hertfordzkich waz Ming.

Mężczyzna podał dokument panu Poltimore akurat w chwili, gdy młoda kobieta przy telefonie podniosła rękę.

– Mam ofertę ośmiuset tysięcy – powiedział Poltimore prawie szeptem, a w tej chwili z grupy ekspertów stojących za podium

wystąpił szykownie ubrany mężczyzna, wziął dokument, usunął czerwoną tasiemkę i zapoznał się z treścią. – Osiemset pięćdziesiąt tysięcy funtów? – zaproponował Poltimore, a tymczasem niektóre osoby w pierwszym rzędzie zaczęły rozmawiać między sobą o tym, co przed chwilą usłyszały.

Gdy pogłoski dotarły do chińskiego dyrektora, rozmawiali prawie wszyscy w sali z wyjątkiem Virginii. Ona patrzyła tylko w milczeniu na mężczyznę i kobietę stojących na podium.

– Mark – odezwał się głos zza pleców prowadzącego aukcję.

Poltimore odwrócił się, pochylił, w skupieniu wysłuchał porady prawnika zatrudnionego w domu aukcyjnym Sotheby's, a potem wyprostował się i oznajmił z całą powagą, na jaką mógł się zdobyć:

– Panie i panowie, z przykrością muszę poinformować, że pozycja numer czterdzieści trzy zostaje wycofana z aukcji.

Jego słowa wywołały okrzyki niedowierzania i głośną wrzawę.

– Pozycja numer czterdzieści cztery – powiedział Poltimore, niezbity z tropu. – Czarna, glazurowana miseczka w cętki z czasów dynastii Song – ale nikt nie okazał najmniejszego zainteresowania dynastią Song.

Odgrodzeni sznurem dziennikarze próbowali desperacko uciec i dowiedzieć się, dlaczego pozycja numer czterdzieści trzy została wycofana z aukcji, dobrze wiedząc, że artykuł, który, jak liczyli, zajmie dwie szpalty na stronie poświęconej sztuce, teraz nadaje się na pierwszą stronę. Jak na złość, eksperci Sotheby's zachowywali się jak chińscy mandaryni, milczeli jak grób.

Grupa fotografów zerwała się z uwięzi i prędko otoczyła księżną. Gdy zaczęły błyskać flesze, Virginia zwróciła się

po pociechę do Priscilli, ale przyjaciółki już tam nie było. Lady Virginia odwróciła się do tyłu i stanęła twarzą twarz z lady Camillą; dwie królowe na szachownicy. Jedna z nich za chwilę miała zostać pobita, natomiast druga, kobieta, która nigdy nie opuszczała zamku, jeśli nie musiała, uśmiechnęła się rozbrajająco do przeciwniczki i szepnęła:

– Szach-mat!

38

– Klauzula zachowania arystokratycznego dziedzictwa.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – powiedziała Virginia, spojrzawszy na siedzącego za biurkiem radcę królewskiego.

– To dość popularna klauzula – wyjaśnił sir Edward – często włączana jako zabezpieczenie do testamentu członków bogatych rodzin, żeby chronić z pokolenia na pokolenie ich majątek.

– Ale mąż zostawił mnie te wazy – zaprotestowała Virginia.

– Rzeczywiście. Ale tylko, tu cytuję odpowiednie zdanie w jego testamencie, jako podarunek do końca pani życia, po czym mają powrócić do obecnej posiadłości księcia.

– Ale sądzono, że one nie mają żadnej wartości – powiedziała Virginia. – Przecież od pokoleń poniewierały się pod schodami.

– Może i tak było, księżno, ta szczególna klauzula przewiduje jednak, że to dotyczy każdego podarunku o wartości powyżej dziesięciu tysięcy funtów.

– Nadal nie wiem, o czym pan mówi – powiedziała Virginia, doprowadzona do rozpaczy.

– Więc pozwolę sobie wytłumaczyć. Klauzula tego rodzaju często bywa włączana, żeby zapewnić, aby majątki arystokratów

nie zostały rozproszone przez kobiety spoza rodu. Zdarza się to, kiedy członek rodziny się rozwodzi, a była żona rości sobie pretensje do cennej biżuterii, dzieł sztuki, a nawet do nieruchomości. Na przykład, w pani wypadku, pozwala się pani mieszkać do końca życia w Dower House w majątku książąt Hertford. Jednak w akcie własności nadal figuruje nazwisko księcia i po pani zgonie dom automatycznie powróci do majątku rodziny.

– I to również ma zastosowanie do moich dwu waz?

– Obawiam się, że tak – odparł starszy pan – gdyż są one bez wątpienia warte więcej niż dziesięć tysięcy funtów.

– Gdybym tylko pozbyła się ich po cichu – powiedziała ze smutkiem Virginia – bez wiedzy księcia, nikt by się nie dowiedział.

– Popełniłaby pani przestępstwo – rzekł sir Edward – gdyż uznano by, że znała pani prawdziwą wartość waz.

– Ale oni nigdy by się o tym nie dowiedzieli... – powiedziała Virginia, tak jakby mówiła sama do siebie. – To jak oni na to wpadli?

– Trafne pytanie – zauważył sir Edward. – Spytałem prawnego reprezentanta książąt Hertford, dlaczego nie ostrzegli pani przed odnośną klauzulą w testamencie zmarłego księcia, jak tylko się dowiedzieli o licytacji. Gdyby to zrobili, oszczędziliby kłopotliwej sytuacji obu stronom, nie mówiąc o drastycznych tytułach, które pojawiły się w gazetach następnego dnia.

– I dlaczego tak nie postąpili?

– Zdaje się, że ktoś wysłał rodzinie katalog Sotheby's, który wtedy nie wzbudził żadnego zainteresowania, gdyż nikt z nich nie

rozpoznał waz, chociaż widniały na okładce.

– Więc jak na to wpadli? – powtórzyła Virginia.

– Najwyraźniej to siostrzeniec księcia, Tristan, podniósł alarm. Widać w czasie szkolnych wakacji lubi się przemykać na dół do kuchni. Zdawało mu się, że rozpoznał wazy na okładce katalogu i powiedział matce, kiedy je ostatnio widział. Lady Camilla zawiadomiła prawnika rodziny, pana Blatchforda, który nie tracąc czasu, uzyskał nakaz sądowy uniemożliwiający sprzedaż. Wtedy wsiedli w pierwszy pociąg do Londynu i przybyli, by zacytować pana Blatchforda, w samą porę.

– Co by się stało, gdyby przybyli już po zakończeniu licytacji?

– Wtedy rodzina stanęłaby przed ciekawym dylematem. Książę miałby do wyboru dwie możliwości. Mógłby albo pozwolić na kontynuowanie licytacji i odebrać pieniądze, albo zaskarżyć panią o zwrot pełnej kwoty, a według mojej opinii w takim wypadku sędzia nie miałby wyboru i musiałby zawyrokować na korzyść książąt Hertford i mógłby nawet przekazać sprawę prokuratorowi generalnemu do decyzji, czy popełniła pani przestępstwo karne.

– Ale ja nie wiedziałam o klauzuli zachowania arystokratycznego dziedzictwa – zaprotestowała Virginia.

– Nieznajomość prawa nie zwalnia od odpowiedzialności – powiedział twardo sir Edward. – A zresztą podejrzewam, że sędziemu trudno byłoby uwierzyć, że nie wybrała pani tych waz z najwyższą starannością i że pani nie wiedziała, ile są warte. Muszę panią przestrzec, że taka jest również opinia pana Blatchforda.

– Więc wazy muszą zostać zwrócone księciu?

– Jak na ironię, nie. Rodzina książąt Hertford też musi się stosować zarówno do litery prawa, jak i do ducha testamentu pani zmarłego męża, zatem wazy zostaną pani odesłane, żeby cieszyła się pani nimi do końca życia. Jednak pan Blatchford poinformował mnie, że jeśli zwróci je pani w ciągu dwudziestu ośmiu dni, rodzina nie będzie podejmować wobec pani dalszych kroków prawnych, co uważam za wspaniałomyślne w tych okolicznościach.

– Ale dlaczego oni chcą mieć wazy teraz, skoro i tak je w końcu dostaną?

– Sugerowałbym, wasza książęca mość, że możliwość zainkasowania miliona funtów jest odpowiedzią na pani pytanie. O ile wiem, pan Poltimore już się skontaktował z księciem i poinformował go, że ma na oku nabywcę w Chicago.

– Czy ten człowiek jest wyzuty z zasad?

– Mimo wszystko radzę pani zwrócić wazy do dziewiętnastego października, jeżeli nie chce pani kolejnego długiego i kosztownego procesu.

– Sir Edwardzie, oczywiście zastosuję się do pańskiej rady – powiedziała Virginia, rozumiejąc, że nie ma wyboru. – Proszę zapewnić pana Blatchforda, że zwrócę wazy Clarence'owi do dziewiętnastego października.

Sir Edward i pan Blatchford zawarli porozumienie, że dwie wazy z czasów dynastii Ming zostaną zwrócone czternastemu księciu Hertford do jego domu na Eaton Square nie później niż dziewiętnastego października. W zamian Clarence podpisał prawnie wiążącą umowę, że nie podejmie wobec Virginii, księżnej

wdowy Hertford, dalszych kroków, oraz zgodził się pokryć poniesione przez nią koszty prawne tej operacji.

Dziewiętnastego października Virginia spotkała się z Bofiem Bridgwaterem w Mark's Club, gdzie spędzili dużo czasu i zjedli suto zakrapiany lunch. Wróciła do domu w Chelsea dopiero przed czwartą, kiedy na placu zapalono już światła.

Usiadła sama w pokoju wychodzącym na ulicę i wbiła wzrok w dwie wazy. Chociaż posiadała je tylko przez kilka miesięcy, z każdym dniem coraz bardziej rozumiała, dlaczego uważano je za dzieła geniusza. Musiała przyznać, choćby tylko przed sobą, że będzie ich jej brakowało. Jednak myśl o kolejnej sądowej batalii i o wygórowanym honorarium sir Edwarda natychmiast sprowadziła ją do realnego świata.

To Bofie zwrócił jej uwagę tuż potem, jak otworzyli drugą butelkę merlota, na znaczenie słów „nie później niż" i Virginię rozśmieszyło, że przynajmniej trochę się zabawi kosztem Clarence'a.

Po lekkiej kolacji wylegiwała się w pienistej kąpieli, głęboko się zastanawiając nad tym, co powinna włożyć na tę okazję, gdyż niewątpliwie będzie to finałowe przedstawienie. Zdecydowała się na czerń, kolor, który tak lubił jej zmarły mąż, szczególnie kiedy ją odprowadzał na Eaton Square po wieczorze U Annabeli.

Virginia się nie spieszyła, wiedząc, że musi wybrać idealny moment, zanim opadnie kurtyna. Za dwadzieścia dwunasta wyszła z mieszkania i przywołała taksówkę. Wytłumaczyła kierowcy, że będzie potrzebować pomocy w umieszczeniu z tyłu dwu wielkich waz. Okazał się nadzwyczaj uczynny i gdy Virginia usadowiła się na tylnym siedzeniu, zapytał:

– Gdzie jedziemy, proszę pani?

– Eaton Square trzydzieści dwa. I czy może pan jechać wolno, bo nie chciałabym, żeby wazy się uszkodziły.

– Oczywiście, proszę pani.

Virginia siedziała na brzeżku kanapy z rękami na krawędzi waz, a tymczasem taksiarz pokonywał krótki dystans od Chelsea do Eaton Square na pierwszym biegu.

Kiedy w końcu taksówka zatrzymała się przed domem numer 32, Virginię ogarnęły wspomnienia chwil spędzonych z Perrym, i uświadomiła sobie, jak bardzo go jej brak. Taksówkarz wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i ustawił wazy na najwyższym stopniu? – powiedziała, wysiadłszy z taksówki. Poczekała, aż kierowca spełni jej prośbę, po czym dodała: – Jeżeli pan może zaczekać, to za kilka chwil odwiezie mnie pan z powrotem do domu.

– Oczywiście, proszę pani.

Virginia spojrzała na zegarek: za dziewięć dwunasta. Dotrzymała słowa. Nacisnęła dzwonek i poczekała, aż na trzecim piętrze zapaliło się światło. Po chwili w oknie pojawiła się znajoma twarz. Virginia uśmiechnęła się do Clarence'a, który otworzył okno i wyjrzał do niej.

– Czy to ty, Virginio? – spytał, starając się nie okazać irytacji.

– To na pewno ja, mój drogi. Właśnie zwracam wazy. – Znów spojrzała na zegarek. – Jak widzisz, za siedem minut będzie północ, więc dotrzymuję słowa.

Zapaliło się drugie światło i z innego okna wychyliła się Camilla i powiedziała:

– W ostatniej chwili.

Virginia uśmiechnęła się słodko do pasierbicy. Już miała wrócić do taksówki, ale zatrzymała się na chwilę, żeby ostatni raz spojrzeć na wazy. Potem się schyliła i mobilizując wszystkie siły, podniosła jedną z nich wysoko nad głową niczym olimpijski ciężarowiec. Przez moment tak ją trzymała, a potem pozwoliła, żeby wyśliznęła się jej z palców. Kunsztowny, pięćsetletni okaz sztuki narodowej spadał, podskakując po kamiennych schodach, aż w końcu roztrzaskał się na sto kawałeczków.

W całym domu zaczęły zapalać się światła i słowa „pieprzona suka" należały do łagodniejszych, które padły z ust Camilli.

Zagrzewając się do dzieła, Virginia postąpiła o krok do przodu, jakby wywołana oklaskami przed kurtynę. Ujęła drugą wazę i jak pierwszą podniosła ją wysoko nad głową. Usłyszała, że z tyłu otwierają się drzwi.

– Proszę, nie! – krzyknął Clarence, skacząc z wyciągniętymi ramionami, ale Virginia już wypuściła wazę i drugie niezastąpione chińskie arcydzieło rozpadło się nawet na więcej kawałeczków niż pierwsze.

Virginia wolno zeszła ze schodów, ostrożnie stąpając przez mozaikę niebieskiej i białej rozbitej porcelany, po czym wsiadła do czekającej taksówki.

Gdy taksówkarz ruszył z powrotem w stronę Chelsea, spojrzał w lusterko wsteczne na uśmiechającą się pasażerkę. Virginia ani razu się nie obejrzała, żeby zobaczyć rzeź, ponieważ tym razem przeczytała dokument prawny klauzula po klauzuli i nie było tam wzmianki o tym, w jakim stanie powinny być dwie wazy z czasów

dynastii Ming, kiedy zostaną zwrócone „nie później niż w dniu 19 października”.

Kiedy taksówka skręciła z Eaton Square, zegar na pobliskim kościele wybił dwunastą.

SEBASTIAN CLIFTON
1984–1986

39

– Pan prezes chciał mnie widzieć?

– Zaczekasz chwilę, Victorze? Muszę tylko podpisać ten czek. Właściwie mógłbyś go kontrasygnować.

– Dla kogo to?

– Dla Karin Barrington, za triumf w Maratonie Londyńskim.

– Słusznie – rzekł Victor, wyjmując pióro, by złożyć zamaszysty podpis. – Fantastyczny wynik. Nie wydaje mi się, żebym dał radę w tydzień, a co tu mówić o czasie poniżej czterech godzin.

– A ja raczej nie będę próbował – odparł Seb. – Ale nie dlatego chciałem się z tobą zobaczyć. – Jego ton zmienił się, gdy tylko skończyła się pogawędka o niczym, specjalność Anglików. – Chciałbym, żebyś wykonał krok naprzód i wziął na siebie większą odpowiedzialność.

Victor uśmiechnął się, jakby wiedział, co szef zamierza mu zaproponować.

– Chcę, żebyś został wiceprezesem banku, moją prawą ręką.

Kaufman nawet nie próbował ukryć rozczarowania, a Seb nie był zaskoczony. Miał tylko nadzieję, że zdoła przekonać przyjaciela – jeśli nie od razu, to może za jakiś czas.

– Kto zatem będzie dyrektorem naczelnym?

– Złożę propozycję Johnowi Ashleyowi.

– Przecież pracuje tu ledwie dwa lata. I podobno Barclays chce mu zaoferować posadę szefa biura bliskowschodniego.

– Też o tym słyszałem i utwierdziłem się w przekonaniu, że nie możemy sobie pozwolić na to, by go stracić.

– Wobec tego zrób go wiceprezesem – odparował Victor podniesionym głosem. Sebastian nie miał przekonującej odpowiedzi na tę propozycję. – Tylko że nie miałoby to wielkiego sensu, bo dobrze wiesz, że uznałby tę posadę za zasłonę dymną i po prostu jej nie przyjął.

– Nie tak to widzę – odparł Seb. – Uważam, że to nie tylko awans, ale i wskazanie na ciebie jako mojego naturalnego następcę.

– Akurat. Zapomniałeś, że jesteśmy rówieśnikami? Nie, Seb, jeśli Ashley zostanie dyrektorem naczelnym, wszyscy uznają, że to jego wyznaczyłeś na swego następcę, nie mnie.

– Ale to ty będziesz kierował wymianą zagraniczną, jednym z najbardziej lukratywnych departamentów tego banku.

– Podlegając zwierzchnictwu dyrektora naczelnego, jeśli pamiętasz.

– Dopilnuję, żebyś podlegał wyłącznie mnie.

– Wszyscy będą doskonale wiedzieli, że to tylko nagroda pocieszenia. Jeżeli nie ufasz mi na tyle, żeby mnie mianować naczelnym, to nie mam wyboru: zwolnię się.

– To ostatnia rzecz, której bym sobie życzył – odparł Sebastian, lecz jego najdawniejszy przyjaciel w milczeniu zebrał papiery i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Nieźle poszło – mruknął Seb.

– Odkładałeś to na później od lat – stwierdziła Karin, przeczytawszy list.

– Ale teraz mam ponad sześćdziesiątkę na karku – zaprotestował Giles.

– To tylko Zamek kontra Wioska – przypomniała mu – a nie Anglia przeciwko Indiom Zachodnim. Poza tym wiecznie mi powtarzałeś, jak bardzo chciałbyś mi pokazać swój popisowy cover drive.

– W czasach mojej świetności, nie na stare lata!

– Co więcej – ciągnęła Karin, ignorując ten wybuch – dałeś słowo Freddiemu. – Tym razem Giles nie zaprotestował. – Spójrzmy prawdzie w oczy: skoro ja mogę przebiec maraton, to ty z pewnością dasz radę zagrać w prowincjonalnym meczu krykieta. – Te słowa ostatecznie uciszyły jej męża.

Rad nie rad, Giles raz jeszcze przeczytał list i z jękiem zasiadł za biurkiem. Sięgnął po czystą kartkę, zdjął zatyczkę z pióra i zaczął pisać:

Drogi Freddie,
Z ogromną przyjemnością dołączę do Twojej drużyny, by...

– Czyż nie są wspaniałe? – zagadnął młody mężczyzna podziwiający siedem rysunków nagrodzonych Founder's Prize.

– Tak pan uważa? – odpowiedziała młoda kobieta.

– O, tak! I cóż za inteligentne nawiązanie do siedmiu etapów w życiu kobiety.

– To akurat przegapiłam. – Kobieta popatrzyła nań nieco uważniej. Jego ubranie zdradzało, że zapomniał spojrzeć w lustro, nim wyszedł rano do pracy. Nic do niczego nie pasowało: elegancka marynarka z tkaniny Harris Tweed, błękitna koszula, zielony krawat, szare spodnie i brązowe buty. Jednakże ciepło i entuzjazm tego mężczyzny wobec dokonań młodej artystki były wręcz zaraźliwe.

– Jak pani widzi – kontynuował z rosnącym zapałem – tematem pracy jest maratonka, a ściślej siedem faz jej biegu. Pierwszy rysunek przedstawia linię startu: kobieta się rozgrzewa, jest nieco wystraszona, ale i czujna. Dalej – ciągnął, wskazując na drugi rysunek – widzimy piątą milę. Biegaczka jest pełna wiary we własne siły. Gdy jednak dociera do dziesiątej mili – dodał, przesuwając się ku trzeciemu rysunkowi – pojawiają się pierwsze oznaki cierpienia.

– A co z czwartym? – spytała kobieta, przyglądając się bacznie pracy zatytułowanej *Ściana*.

– Proszę tylko spojrzeć na wyraz twarzy zawodniczki. Nie ma wątpliwości, że to faza zwątpienia. Czy zdoła ukończyć ten bieg?

Kobieta skinęła głową.

– Na piątym rysunku rusza się ostatkiem sił, przebiegając obok, jak możemy się domyślać, dopingującej ją rodziny. Unosi rękę, by ich pozdrowić, lecz i w tym geście, nakreślonym przez autorkę jedną delikatną linią, widać niemal nadludzki wysiłek. – Mężczyzna wskazał na szóstą ilustrację, z emfazą kontynuując wykład: – A oto i linia mety; widzimy ramiona uniesione w triumfie. Lecz oto chwilę później, na ostatnim rysunku, kobieta pada na ziemię wyczerpana. Dała z siebie wszystko, a nagrodą

jest medal zawieszony na jej szyi. Proszę zauważyć barwy – żółć i zieleń – którymi autorka upiększyła wstążkę. To jedyny kolorowy akcent na wszystkich siedmiu rysunkach. Genialne.

– Pan pewnie też jest artystą?

– Niestety nie – odparł, uśmiechając się ciepło. – Wydawało mi się, że jestem blisko, gdy za czasów szkolnych zdobyłem nagrodę w konkursie. Postanowiłem wtedy zdawać do szkoły Slade'a, ale nie przyjęli mnie.

– Istnieją i inne akademie sztuki.

– Owszem, i do większości próbowałem się dostać: Goldsmiths, Chelsea, Manchester. Pojechałem na rozmowę nawet do Glasgow, z identycznym skutkiem.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Otóż w końcu zdobyłem się na odwagę i spytałem jednego z członków komisji egzaminacyjnej, dlaczego mi się nie udaje.

– Jaka była odpowiedź?

– „Pańskie wyniki na poziomie A były imponujące" – młodzieniec chwycił się za klapy marynarki, a jego głos brzmiał teraz o dwadzieścia lat starzej – „i niewątpliwie ma pan w sobie pasję oraz wielkie pokłady energii i entuzjazmu, lecz niestety czegoś tu brakuje". „Czego?", spytałem. „Talentu", padła odpowiedź.

– Jakie to okrutne!

– Nie bardzo. Ot, trzeźwa ocena. Mój rozmówca zapytał mnie następnie, czy nie zastanawiałem się nad karierą nauczyciela. Poczułem się tak, jakby wcierał mi sól w ranę, bo przypomniały mi się słowa George'a Bernarda Shawa: „Kto umie, ten to robi,

kto nie umie, naucza". Z czasem jednak uświadomiłem sobie, że miał rację.

– Został pan więc nauczycielem?

– Tak jest. Wykładałem historię sztuki w King's, a ostatnio jestem nauczycielem w szkole średniej w Peckham. Tam, jak mi się zdaje, jestem przynajmniej lepszym artystą niż moi uczniowie. No, niż większość z nich – dodał z uśmiechem.

Roześmiała się.

– Co zatem sprowadza pana do Slade'a?

– Bywam na wystawach prac studentów w nadziei, że wypatrzę kogoś z autentycznym talentem, żeby wzbogacić własną kolekcję. Robię to od lat, mam więc prace Craigiego Aitchisona, Mary Fedden, a nawet szkic ołówkowy Hockneya, ale teraz wiem, że bardzo bym chciał kupić też tych siedem rysunków.

– A kto panu broni?

– Brak mi odwagi, żeby spytać, ile kosztują. Autorka właśnie zdobyła Founder's Prize, więc jestem prawie pewny, że nie stać mnie na nie.

– Jak pan sądzi, ile mogą być warte?

– Nie wiem, ale oddałbym wszystko, co mam, żeby je zdobyć.

– A ile pan ma?

– Gdy po raz ostatni zaglądałem na konto, miałem nieco ponad trzysta funtów.

– W takim razie ma pan szczęście, bo jak się pan za chwilę przekona, wyceniono je na dwieście pięćdziesiąt.

– Chodźmy zatem sprawdzić, czy się pani nie myli, zanim ktoś mi je sprzątnie sprzed nosa. A przy okazji – dodał, gdy ruszyli

w stronę kontuaru – nazywam się Richard Langley, ale przyjaciele mówią na mnie Rick.

– Cześć, Rick – odrzekła, gdy podali sobie ręce. – Jestem Jessica Clifton, ale przyjaciele mówią na mnie Jessie.

40

– Jeżeli mocno obciągniesz sweter – powiedziała Karin – nikt nie zauważy, że nie udało ci się zapiąć guzika.

– Nie grałem od dwudziestu lat – przypomniał jej Giles, wciągając brzuch, by podjąć ostatnią, bohaterską próbę dopięcia spodni do krykieta, pożyczonych od Archiego Fenwicka.

Karin parsknęła śmiechem, gdy guzik wystrzelił nagle i wylądował u jej stóp.

– Na pewno wszystko będzie dobrze, kochanie, tylko pamiętaj, żeby nie biegać za piłką, bo to się może skończyć katastrofą.

Giles właśnie sposobił się do riposty, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział, prędko stawiając stopę na niesfornym guziku.

Freddie w nienagannie białym stroju do krykieta wkroczył do pokoju.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale mamy zmianę planów.

Giles jakby odetchnął z ulgą, bo przyszło mu na myśl, że może wypadł z drużyny.

– Lokaj, nasz kapitan, wycofał się w ostatniej chwili – naciągnął mięsień dwugłowy. Jako że grał pan w Oksfordzie

przeciwko Cambridge, pomyślałem, że jest pan idealnym kandydatem na jego miejsce.

– Ależ ja nawet nie znam pozostałych zawodników – zaprotestował Giles.

– Bez obaw, wprowadzę pana. Sam wziąłbym na siebie to zadanie, ale nie jestem pewny, czy umiałbym dobrze rozstawić drużynę. Czy będzie pan gotowy do rzutu za dziesięć minut? Jeszcze raz przepraszam za najście, lady Barrington – dodał Freddie, zanim w pośpiechu zniknął za progiem.

– Jak sądzisz, czy kiedykolwiek powie po prostu „Karin”? – spytała, gdy zamknął za sobą drzwi.

– Krok za krokiem – odparł Giles.

Gdy Giles po raz pierwszy ujrzał owalną polanę tkwiącą niczym klejnot pośród zamkowych terenów, przyszło mu na myśl, że trudno o bardziej idylliczną scenerię meczu krykietowego. Okoliczne wzgórza porastał dziki las, a tych parę płaskich akrów trawy Bóg z całą pewnością umyślił sobie na boisko, nawet jeśli pogoda pozwalała korzystać z nich ledwie przez kilka tygodni w roku.

Freddie przedstawił Gilesa Hamishowi Munro, miejscowemu policjantowi i kapitanowi drużyny Wioski w jednej osobie. Czterdziestoletni funkcjonariusz wyglądał na zdrowego chłopa i z całą pewnością nie miał kłopotów z dopinaniem spodni.

Tuż przed czternastą dwaj kapitanowie wyszli razem na boisko. Giles rozpoczął procedurę, której nie wykonywał od lat. Zaciągnął się powietrzem i spojrzał w niebo. Wedle szkockich standardów dzień był dość ciepły, a nad błękitnym horyzontem dryfowało ledwie kilka chmurek. Nie padało i – dzięki Bogu – nawet nie

zanosiło się na deszcz. Giles przyjrzał się murawie i pomyślał, że jej soczysta zieleń powinna sprzyjać szybkiej grze. Wreszcie popatrzył na tłumek kibiców. Było ich więcej, niż się spodziewał – lecz przecież chodziło o lokalne derby. W sumie za liną otaczającą pole walki zgromadziło się może dwieście osób.

Giles uścisnął dłoń kapitana drużyny przeciwnej.

– Pan wybiera, panie Munro – powiedział, rzucając wysoko jednofuntówkę.

– Łebki – zadeklarował Munro, po czym obaj pochylili się nad leżącą w trawie monetą.

– Proszę decydować – rzekł Giles, spoglądając na podobiznę królowej.

– Uderzamy – odparł bez wahania Munro i czym prędzej wrócił do pawilonu, by rozmówić się ze swoją ekipą.

Kilka minut później odezwał się dzwon i dwaj sędziowie w długich, białych kurtkach wyszli z namiotu, niespiesznie kierując się ku boisku. Archie Fenwick i wielebny Sandy McDonald byli gwarantami uczciwej walki.

Wkrótce i Giles podążył ich śladem, wiodąc za sobą drużynę wojowników, których nawet nie znał. Kierując się podszeptami Freddiego, wyznaczył atakujących, po czym rzucił piłkę Hectorowi Brice'owi, drugiemu miotającemu ekipy Zamku, który stał już na murawie, szukając dobrego oparcia dla stóp w odległości dwudziestu metrów od bramki.

Dwaj odbijający drużyny Wioski zbliżali się truchtem do swoich pozycji, nieco nonszalancko rozgrzewając stawy barkowe krążeniem ramion. Listonosz spytał jeszcze o porządek zmian, a gdy dał znak pastorowi, ten zawołał:

– Grać!

Wioskowi zaczęli w niezłym tempie, zdobywając 32 punkty, zanim Ben Atkins, zarządca zamkowego gospodarstwa, trafił w bramkę. Kolejne dwie bramki zdobył Hector i po piętnastu seriach wynik brzmiał 64/3. Gdy miejsce przed bramką zajmowała czwarta para odbijających – restaurator Finn Reedie i Hamish Munro – Freddie zaproponował, by Giles zastąpił rzucającego. Kapitan właściwie nie brał pod uwagę takiej ewentualności; nawet w młodości rzadko go proszono, żeby wystąpił w tej roli.

W pierwszej serii oddał jedenaście punktów – w tym dwa po bardzo niecelnych rzutach – zanim zasugerował Freddiemu zmianę, ale chłopak nawet nie chciał o niej słyszeć. W drugim oddał siedem, ale przynajmniej trafiał, a w trzecim sam siebie zaskoczył, trafiając w bramkę mimo wysiłków właściciela pubu. Zaraz potem dopisało mu szczęście, bo w dyskusyjnych okolicznościach sędzia zadecydował, że Reedie został wyautowany, bo bronił nogą.

– Noga przed bramką? Raczej noga przed pawilonem – mruczał restaurator, w drodze na ławkę mijając hrabiego Fenwick.

Drużyna Wioski zdobyła dotąd szesnaście punktów, przy czterech wykluczonych pałkarzach. Pierwszy miotający konsekwentnie podkręcał piłki; Gilesa stać było jedynie na niezbyt mocne zagrania. O 16.30 drużyna Wioski schodziła na herbatę, zdobywszy 237 punktów przy siedmiu wykluczonych. Hamish Munro najwyraźniej uważał, że mecz jest już rozstrzygnięty, bo deklarował, czyli ogłosił zakończenie pierwszej połowy, przed wykorzystaniem wszystkich pałkarzy.

Gorącą herbatę i zimną lemoniadę podano w wielkim namiocie. W jadłospisie znalazły się kanapki z rzeżuchą, kiełbaski w cieście, babeczki z dżemem oraz rożki z owocami. Freddie prawie nie jadł, zajęty notowaniem porządku pałkarzy w protokole meczu. Giles spojrzał ponad jego ramieniem i przeraził się, zobaczywszy swoje nazwisko u szczytu listy.

– Na pewno chcesz, żebym zaczynał?

– Oczywiście, proszę pana. Przecież zaczynał pan i dla Oksfordu, i dla MCC.

Wkładając ochraniacze, Giles pożałował, że zjadł tyle rożków. Kilka chwil później ruszył na boisko w asyście Bena Atkinsa. Zajął pozycję na pierwszym słupku bramki i rozejrzał się, próbując emanować pewnością siebie, której w ogóle nie czuł. W końcu znieruchomiał, czekając na pierwszy rzut Rossa Walkera, miejscowego rzeźnika. Piłka śmignęła z niezłą prędkością i trafiła prosto w ochraniacz na nodze Gilesa, blokujący drogę do środkowego słupka.

– I co wy na to! – wrzasnął rzeźnik, pewny sukcesu, i podskoczył wysoko.

Giles pomyślał, że trzeba będzie jakoś przeżyć to upokorzenie: został wyautowany, nie zdobywszy punktu, zatem, jak mawiali gracze, wracał do pawilonu ze złotą kaczką.

– Bez autu – zawyrokował dziesiąty hrabia Fenwick, oszczędzając mu wstydu.

Rzucający nawet nie próbował ukryć rozczarowania werdyktem, ale w milczeniu zaczął polerować piłkę o nogawkę spodni, szykując się do kolejnego zagrania. Rozpędził się i rzucił po raz drugi. Giles w porę nachylił kij i ledwie musnął piłkę krawędzią,

tak że przemknęła tuż obok bramki i potoczyła się żwawo aż do granicy boiska. Szczęśliwie zdobyte przez Gilesa cztery punkty sprawiły, że rzeźnik wściekł się jeszcze bardziej. Kolejny rzut był już mocno niecelny. O dziwo, Giles jakoś dotrwał do końca serii.

Zarządca zamkowego gospodarstwa okazał się niezłym, choć dość wolno punktującym odbijającym. Razem przetrwali 28 biegów, zanim pan Atkins dał się wyautować dość słabym rzutem rzeźnika. Do Gilesa dołączył wtedy oborowy, który – choć repertuarem uderzeń godnym jego życiowego powołania – jakoś zdołał w krótkim czasie zdobyć 30 punktów. Skończyło się na 79 punktach przy dwóch straconych bramkach. Oborowego zastąpił główny ogrodnik, który najwyraźniej grywał tylko raz w roku i może dlatego nadal mieli 79 punktów, tyle że przy trzech straconych.

Przez kolejne pół godziny oddali jeszcze trzy bramki, ale Giles jakimś cudem radził sobie całkiem nieźle. Zgromadzili 136 punktów przy sześciu wyautowanych odbijających, gdy czcigodny Freddie, witany ciepłymi oklaskami publiczności, dołączał do kapitana w pitchu.

– Potrzebna nam jeszcze setka – stwierdził Giles, spoglądając na tablicę wyników. – Czasu mamy pod dostatkiem, więc bądź cierpliwy i próbuj punktować tylko ze słabszych rzutów. Reedie i Walker są już zmęczeni. Nie spiesz się i przede wszystkim nie oddaj im bramki za darmo.

Freddie wykonał instrukcje kapitana co do joty. Giles szybko zorientował się, że chłopak nie próżnował na treningach w szkole, a co ważniejsze, miał to, co specjaliści nazywają „okiem”. Razem dość szybko pokonali granicę 200 punktów, za co połowa

publiczności nagrodziła ich dzikim aplauzem – kibice uwierzyli, że Zamek po raz pierwszy od lat może zwyciężyć w lokalnym starciu.

Giles zaczął podzielać ich optymizm, gdy kolejny raz udało mu się wybić piłkę daleko za granicę pola i złamać granicę siedemdziesięciu punktów. Kilka serii później na polu gry znowu pojawił się rzeźnik – już nie tak nonszalancki i pewny siebie jak w pierwszej połowie. Wziął długi rozbieg i w piekielnie mocny rzut włożył cały zapas sportowej złości. Giles zbytnio się wychylił, źle skalkulował tempo i usłyszał za plecami złowieszczy stukot rozpadającej się bramki. Tym razem sędzia nie mógł przyjść mu z pomocą. Giles zszedł z boiska i pomaszerował do pawilonu, żegnany gromkimi brawami, z siedemdziesięcioma czterema punktami na koncie. Jak wyjaśnił Karin, gdy usiadł na trawie i zabrał się do odpinania ochraniaczy, drużyna potrzebowała jeszcze 28 biegów, by zwyciężyć, a zostały jej już tylko trzy serie.

Do Freddiego dołączył teraz na murawie szofer jego lordowskiej mości – jegomość, który uważał, że pierwszy bieg to bieg najzupełniej wystarczający. Chłopak wiedział, jakie są możliwości jego partnera, i dlatego robił wszystko, co było w jego mocy, by jak najdłużej pozostać w grze. I całkiem nieźle mu szło, ale tylko do czasu, aż szofer widząc piłkę wysoko odbitą od ziemi, cofnął się odruchowo i nogą przewrócił słupki. Po tym wyczynie nawet nie czekał na decyzję sędziego – po prostu ruszył w stronę pawilonu.

Do zwycięstwa brakowało Zamkowi jeszcze czternastu biegów, gdy do Freddiego dołączył drugi ogrodnik (pół etatu). Udało mu się przetrwać pierwszy rzut rzeźnika, ale tylko dlatego, że nie trafił w piłkę. W ostatnim podaniu tej serii nie miał już tyle

szczęścia: odbił prosto w ręce kapitana drużyny Wioski, ustawionego na prawej flance. Przeciwnicy aż podskoczyli z radości, wiedząc doskonale, że od zwycięstwa – i zatrzymania trofeum – dzieli ich już tylko jedna bramka.

I chyba nic nie mogło ich ucieszyć bardziej, niż widok Hectora Brice'a, który stanął z kijem, by bronić bramki w ostatniej akcji tej serii, doskonale bowiem pamiętali, jak krótko wytrwał na polu gry w poprzednim sezonie.

– Cokolwiek pan zrobi, proszę nie biec za jeden punkt.

Kapitan Wioski był starym spryciarzem i specjalnie rozstawił zawodników szeroko, kusząc Brice'a nadzieją na udany bieg. Rzeźnik rzucił piłkę bardzo mocno i drugi miotający odbił ją z trudem, a potem odprowadził wzrokiem, gdy wolno potoczyła się w lewo. Miał wielką ochotę pobiec, powalczyć o punkt, ale pozostał na miejscu – podobnie jak Freddie na drugim końcu pitchu.

Chłopak był dobrej myśli, gdy w przedostatniej serii meczu znowu stanął naprzeciwko rzucającego z drużyny Wioski. Z pierwszego podania zdobył cztery punkty, z trzeciego dwa, a z piątego jeden. Teraz Hector musiał obronić jeden rzut, a wtedy Freddie ponownie stanąłby do walki z rzeźnikiem w ostatniej serii. Piłka leciała wolno i zaskakująco wysoko odbiła się od ziemi, po czym przeleciała nad odbijającym i nad bramką, by wpaść prosto w rękawice łowcy wykluczeń. Kibice na leżakach odetchnęli z ulgą; kibice Wioski wydali jęk zawodu.

– Ostatnia seria – obwieścił wielebny.

Giles zerknął na tablicę.

– Do zwycięstwa potrzebujemy siedmiu punktów – powiedział, ale Karin pominęła tę uwagę milczeniem: zestresowana, ukryła

twarz w dłoniach, nie chcąc już patrzeć na to, co się dzieje na boisku.

Rzeźnik wytarł odrapaną piłkę o nogawkę pokrytą czerwonymi plamami lakieru, sposobiąc się do decydującej rozgrywki. Nabrał sporej prędkości i rzucił mocno, prosto we Freddiego. Odbita piłka nieznacznie zmieniła kierunek i wpadła w ręce pierwszego slipa, ale ten ją upuścił.

Spośród wszystkich słów, którymi rzeźnik skomentował ten fakt, tylko epitet „maślane paluchy" nadawał się do powtórzenia w obecności osoby duchownej.

Jeśli Zamkowi mieli zwyciężyć, Freddie musiał teraz zdobyć siedem biegów z pięciu ostatnich podań.

– Spokojnie – szepnął Giles. – Na pewno trafi się jedna dobra piłka do uderzenia. Zachowaj spokój i skup się.

Drugi rzut ledwie zmieścił się w polu, ale dobrze odbity dał Zamkowi dwa punkty. Pozostało pięć do zdobycia, ale w zaledwie czterech podaniach. Trzecie sędzia śmiało mógł uznać za niecelne, ułatwiając Freddiemu zadanie, ale najwyraźniej nie dostrzegł nieprawidłowości.

Czwartą piłkę chłopak trafił dość pewnie i pomyślał, że zdążyłby przebiec długość pitchu za jeden punkt, zanim złapie ją przeciwnik stojący na dalekim obwodzie pola, ale nie chciał ryzykować, w takim momencie powierzając obronę bramki swemu słabszemu zmiennikowi. Czekając na piąty rzut, nerwowo zabębnił kijem o ziemię. Nie spuszczał z oka rzeźnika, który zbliżał się błyskawicznie, jak drapieżny ptak atakujący ofiarę. Podanie było bardzo szybkie, ale piłka dość wcześnie odbiła się od ziemi i Freddie zyskał czas, by się odchylić i wybić ją wysoko

w powietrze. Impet uderzenia był taki, że piłka bezpiecznie minęła linę wyznaczającą granicę pola gry, a to oznaczało kolejne cztery punkty. Kibice Zamku zerwali się z radosnymi okrzykami na ustach, ale po chwili opanowali emocje i umilkli w oczekiwaniu na ostatnie podanie.

Możliwe były wszystkie wyniki: i zwycięstwo, i przegrana, i remis.

Freddie nie musiał patrzeć na tablicę wyników, żeby wiedzieć, że potrzebuje jednego punktu, by doprowadzić do remisu, a co najmniej dwóch, by dać drużynie zwycięstwo. Rzeźnik nieprzyjaźnie łypnął na niego okiem, a potem nabrał szybkości i włożył w ostatni rzut całą energię, jaka mu jeszcze pozostała. Piłka i tym razem odbiła się wcześnie, a Freddie poczuł się pewnie i dał krok do przodu, szykując się do wysokiego uderzenia. Niestety, niewłaściwie ocenił jej prędkość: piłka minimalnie minęła gotowy do odbicia kij i musnęła ochraniacz na tułowiu chłopaka.

Wszyscy zawodnicy Wioski i połowa kibiców skoczyli naraz w górę, wrzeszcząc:

– I co wy na to?!

Freddie spojrzał z nadzieją na pastora, który po bardzo krótkim wahaniu uniósł palec.

Chłopak ze zwieszoną głową ruszył w stronę pawilonu, odprowadzany gromkimi brawami widzów. Zdobył osiemdziesiąt siedem punktów, ale Zamek przegrał mecz.

– Krykiet bywa okrutną grą – zauważyła Karin.

– Ale kształtuje charakter – odparł Giles. – Przeczuwam, że młody Freddie nigdy nie zapomni tych zawodów.

Chłopak zniknął tymczasem w namiocie i opadł ciężko na ławkę w dalekim końcu szatni. Choć zewsząd dobiegały okrzyki: „Świetny mecz, chłopcze”, „A to pech, proszę pana” oraz „Pięknie grałeś, młodzieńcze”, wciąż nie podnosił głowy, bo tak naprawdę słyszał jedynie głosy z sąsiedniego pomieszczenia – głównie toasty wznoszone między kolejkami piwa z beczki ofiarowanej przez restauratora.

Giles zaszedł do szatni chwilę później i przysiadł się do przygnębionego Freddiego.

– Przed nami jeszcze jedno zadanie – powiedział, gdy chłopak w końcu uniósł głowę. – Musimy pójść do ich szatni i pogratulować kapitanowi drużyny przeciwnej zwycięskiego meczu.

Freddie jakby się zawahał, ale wstał i bez słowa ruszył za Gilesem. Gdy weszli do szatni Wioski, zapadła cisza. Freddie podszedł do policjanta i serdecznie uścisnął jego dłoń.

– Wspaniałe zwycięstwo, panie Munro. W przyszłym roku będziemy musieli bardziej się postarać.

Wieczorem, gdy Giles i Hamish Munro raczyli się pintą miejscowego piwa w Fenwick Arms, kapitan Wioski zauważył:

– Pański chłopak świetnie się spisał. Podejrzewam, że już niedługo wiele drużyn znacznie lepszych od naszej mocno ucierpi z jego ręki.

– To nie mój chłopak – odparł Giles. – A szkoda.

41

– Wiesz, że Jessica ma nowego chłopaka?

Sebastian zawsze rezerwował ten sam stolik w narożniku sali Le Caprice. Trudno było podsłuchać prowadzone tam rozmowy, a widok na pozostałych gości był znakomity. Zawsze bawiło go to, że dzięki wysokim lustrom umocowanym do filarów pośrodku lokalu mógł niezauważenie obserwować innych.

Gwiazdy filmowe, których z reguły nie poznawał, prawie go nie interesowały, podobnie jak politycy, którzy nade wszystko pragnęli rozpoznawalności, czy nawet księżna Diana, którą rozpoznawali wszyscy. Lubił natomiast mieć na oku innych bankierów i biznesmenów – chciał się orientować, z kim zasiadają do stołu. Często bowiem transakcje, o których warto było wiedzieć, zawierano właśnie przy kolacji.

– Na kogo tak patrzysz? – spytała Samantha, gdy nie odpowiedział.

– Na Victora – odparł szeptem.

Rozejrzała się, ale nie dostrzegła najdawniejszego z przyjaciół Seba.

– Podglądacz – orzekła, gdy dopiła kawę.

– A najlepsze jest to, że oni nie mogą podglądać nas – odparł Seb.

– Oni? Victor przyszedł na kolację z Ruth?

– Nie, chyba że udało jej się zgubić ładnych parę centymetrów w talii i przybrać w biuście.

– Zachowuj się, Seb. To pewnie klientka.

– Nie, wkrótce zapewne się przekonasz, że to on jest klientem.

– Odziedziczyłeś po ojcu bujną wyobraźnię. To pewnie całkiem niewinne spotkanie.

– Jesteś jedyną osobą w tej sali gotową w to uwierzyć.

– Teraz mnie zaintrygowałeś – przyznała Sam. Rozejrzała się raz jeszcze, ale nie dostrzegła Victora. – Powtarzam: podglądacz z ciebie.

– A jeśli się nie mylę – rzekł Seb, ignorując krytykę – to mamy problem.

– Raczej Victor ma problem, nie ty.

– Możliwe. Mimo to wolałbym wyjść stąd niezauważony – dodał, wyjmując portfel.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– W odpowiednim momencie.

– Może wytniesz jakiś numer, żeby odwrócić ich uwagę? – zakpiła.

– Nie trzeba nam tak dramatycznych środków. Zaczekamy, aż jedno z nich pójdzie do toalety. Jeśli to będzie Victor, wyjdziemy bezpiecznie. Jeśli kobieta – trzeba będzie ulotnić się dyskretnie, nie dając mu powodu do podejrzeń, że ich zauważyliśmy.

– Ale jeśli nas pozdrowi, będziesz wiedział, że to niewinna kolacja – dodała Sam.

– Poczułbym wtedy ulgę, z niejednego powodu.

– Niezły jesteś w tych podchodach – zauważyła. – Czyżby doświadczenie?

– Niezupełnie. Ale możesz znaleźć podobną sytuację w jednej z powieści taty, gdy William Warwick uświadamia sobie, że świadek morderstwa kłamał, i musi wydostać się niepostrzeżenie z restauracji, by dowieść prawdy.

– A jeśli żadne z nich nie pójdzie do toalety?

– To utkniemy tu na długo. Poproszę o rachunek – dodał Seb, unosząc rękę – na wypadek, gdybyśmy musieli nagle lecieć. I jeszcze jedno: przepraszam cię, Sam, ale czy ty mnie o coś pytałaś, zanim się zapatrzyłem?

– Owszem. Zastanawiałam się, czy już wiesz, że Jessica ma nowego chłopaka.

– Skąd pewność, że ma? – zdziwił się Seb. Zerknął na rachunek, nim podał kelnerowi kartę kredytową.

– Wcześniej absolutnie nie przejmowała się swoim wyglądem.

– A czy nie tak powinna się zachowywać studentka uczelni artystycznej? Na mój gust, zawsze wyglądała tak, jakby ubierał ją Oxfam, i nie powiedziałbym, że zaszła jakaś zmiana.

– To dlatego, że nie widujesz jej wieczorami, gdy przestaje być studentką, a staje się młodą kobietą – i to z całkiem niezłym skutkiem.

– Córeczka mamusi – stwierdził Seb, chwytając żonę za rękę. – Miejmy nadzieję, że ten nowy okaże się lepszy od brazylijskiego playboya. Nie wydaje mi się, żeby u Slade'a po raz drugi mieli się wykazać równą wyrozumiałością – powiedział, podpisując kwit odbity z karty.

– Myślę, że takie problemy raczej nas ominą. Przyjechał po nią volkswagenem polo, nie ferrari.

– I ty masz czelność nazywać mnie podglądaczem? Powiedz lepiej, kiedy będę miał okazję go poznać.

– Pewnie nieprędko, skoro Jessie jeszcze się nie przyznała, że ma chłopaka, ale zamierzam...

– Uwaga. Cel się zbliża.

Seb i Sam kontynuowali pogawędkę, gdy wysoka i elegancko ubrana młoda kobieta minęła ich stolik.

– Podoba mi się jej styl – przyznała Sam.

– To znaczy?

– Wszyscy faceci są tacy sami: oceniają nogi, figurę i twarz, jak na targu mięsnym.

– A niby co interesuje kobiety? – odparł wyzywająco Seb.

– Przede wszystkim zwróciłam uwagę na jej sukienkę – prostą i elegancką, zdecydowanie niekupioną prosto z wieszaka. Torebkę też miała stylową, niebijącą po oczach metką znanego projektanta. Buty idealnie pasowały do reszty. Przykro mi więc, Seb, że cię rozczaruję, ale jak mawiamy w Stanach, to klasowa damulka.

– W takim razie co tu robi z Victorem?

– Nie mam pojęcia. Ale ty, jako typowy facet, oczywiście gdy tylko zobaczysz przyjaciela z piękną kobietą, zakładasz najgorsze.

– Mimo wszystko uważam, że byłoby najlepiej, gdybyśmy stąd wyszli niezauważeni.

– Ja natomiast wolałabym przywitać się z Victorem, ale jeśli...

– O czymś ci nie powiedziałem. Chodzi o to, że ostatnio nie rozmawiam z Victorem. Wyjaśnię ci wszystko w samochodzie.

Seb wstał i ruszył okrężną drogą w głąb sali, z daleka omijając stolik Victora.

– O czym to miałam się dowiedzieć? – spytała Sam, gdy zajęła miejsce obok męża w samochodzie.

– Victor ma mi za złe, że nie wybrałem go na dyrektora naczelnego.

– Przykro mi to słyszeć – odparła Sam – ale doskonale rozumiem, jak się poczuł. Komu powierzyłeś stanowisko?

– Johnowi Ashleyowi. – Seb skręcił w Piccadilly i włączył się w nocny strumień wozów.

– Dlaczego?

– Dlatego, że najlepiej się nadaje na to stanowisko.

– Za to Victor zawsze był dobrym, lojalnym przyjacielem, zwłaszcza gdy ty byłeś w dołku.

– Wiem o tym, ale to niewystarczający powód, by powierzyć komuś kierowanie dużym bankiem. Zaproponowałem mu posadę mojego zastępcy, ale obraził się i zrezygnował.

– To też mogę zrozumieć – powiedziała Sam. – Co więc planujesz zrobić, żeby zatrzymać go w firmie?

– Hakim przyleciał z Kopenhagi specjalnie po to, żeby go namówić do zmiany decyzji.

– I co, udało mu się? – spytała Sam w chwili, gdy zatrzymali się na czerwonym świetle.

Giles biegiem opuścił salę, by nie spóźnić się na spotkanie, i nawet nie zwolnił, zobaczywszy Archiego Fenwicka u drzwi swego gabinetu.

– Jeśli chodzi o proponowane subsydia rządowe dla producentów zbóż, Archie, to może umówimy się na później? Już

jestem spóźniony na spotkanie z szefem do spraw dyscypliny partyjnej.

– Nie, nie z tym przychodzę – odparł Archie. – Przyjechałem dziś rano ze Szkocji w nadziei, że znajdziesz chwilę na prywatną rozmowę. – To hasło oznaczało, że chodzi o Freddiego.

– Naturalnie – odpowiedział Giles. Wchodząc do gabinetu, rzucił w stronę sekretarki: – Dopilnuj, żeby mi nikt nie przeszkadzał w rozmowie z lordem Fenwickiem – i zamknął drzwi za swym gościem. – Napijesz się whisky, Archie? Mam nawet twoją – pochwalił się, unosząc butelkę Glen Fenwick. – Dostałem całą skrzynkę od Freddiego, na święta.

– Nie, dziękuję. Ale pewnie nie zdziwisz się, jeśli powiem, że właśnie o Freddiem chciałem z tobą pogadać – odparł Archie, siadając po przeciwnej stronie biurka. – Oczywiście pamiętam, jak bardzo jesteś zajęty, więc postaram się nie ukraść ci zbyt wiele czasu.

– Gdybyś chciał przedyskutować ze mną problemy szkockiego rolnictwa, poświęciłbym ci może pięć minut, ale skoro chodzi o Freddiego – nie musisz się spieszyć.

– Dziękuję. Mimo to od razu przejdę do rzeczy. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie dyrektor szkoły z informacją, że chłopak nie zdał egzaminu powszechnego do Fettes.

– Przecież kiedy czytałem ostatnie oceny semestralne, zastanawiałem się nawet, czy Freddie nie dostanie stypendium!

– Podobnie jak dyrektor – przytaknął Archie. – I właśnie dlatego poprosił o przesłanie formularzy egzaminacyjnych. Wygląda na to, że chłopak nawet nie próbował zdać.

– Ale dlaczego? Przecież Fettes to jedna z lepszych szkół w Szkocji.

– Możliwe, że kluczem są właśnie słowa „w Szkocji” – odrzekł Archie. – Tydzień później Freddie zdawał bardzo podobny egzamin do Westminster i uzyskał wynik w czołowej szóstce.

– Myślę, że nie musimy wołać na pomoc Freuda, żeby rozwiązać tę zagadkę – stwierdził Giles. – Chciałbym jeszcze tylko wiedzieć, czy ma zamiar być uczniem dochodzącym, czy woli internat.

– W formularzu zakreślił „dochodzący”.

– Traciłby mnóstwo czasu, dojeżdżając tam codziennie z Fenwick Hall i z powrotem, za to od naszego domu do Westminsteru miałby ledwie rzut kamieniem. Zdaje się, że chłopak próbuje dać nam coś do zrozumienia.

Archie pokiwał głową.

– Tak czy owak, wybrał już sobie pokój – dodał Giles i w tym momencie zadzwonił telefon na jego biurku.

Giles słuchał przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Przykro mi, szefie, coś mi wypadło, ale będę za chwilę. – Odłożywszy słuchawkę, dorzucił: – Może dołączyłbyś do mnie i Karin dziś wieczorem? Przy kolacji na Smith Square możemy omówić szczegóły.

– Nie wiem, jak ci dziękować – odparł Archie.

– To ja jestem ci winien wdzięczność. – Giles wstał i ruszył w stronę drzwi. – To bodaj jedyna dobra wiadomość tego dnia. Do zobaczenia koło ósmej.

– A możemy kiedy pogadać o proponowanych subsydiach rządowych? – spytał Archie, ale Giles już nie odpowiedział,

w pośpiechu opuściwszy gabinet.

– Jak stoją tego ranka akcje Cunarda? – spytał Seb.

– Cztery funty dwanaście. Dwa pensy w górę od wczoraj – odparł John Ashley.

– Świetne wieści.

– Sądzisz, że twoja matka czasem żałuje sprzedaży Linii Żeglugowej Barringtona?

– Każdego dnia. Na szczęście w Ministerstwie Zdrowia jest tak przepracowana, że nie ma wiele czasu na podobne refleksje.

– A Giles?

– Wiem, że jest bardzo wdzięczny za to, jak rozporządziłeś majątkiem rodziny, bo dzięki temu może się oddać bez reszty swej pierwszej miłości.

– Wojowaniu z twoją matką?

– Mniej więcej.

– A ciocia Grace?

– Uważa cię za pospolitego kapitalistę, a przynajmniej tak wypowiada się o mnie i nie sądzę, żeby o tobie miała lepsze mniemanie.

– Przecież uczyniłem z niej multimilionerkę – zaprotestował Ashley.

– W rzeczy samej, ale to jej wcale nie przeszkadza w sprawdzaniu klasówek do późnej nocy, z kanapką z serem w dłoni. Jednakże w jej imieniu powiem: dobra robota, John. Mamy coś jeszcze do omówienia?

– Tak. Przykro mi, że muszę o tym wspomnieć i nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać... – Ashley otworzył teczkę z napisem „Prywatne” i przełożył kilka dokumentów.

Seb zdziwił się mocno, widząc, że były zawodnik pierwszego szeregu drużyny Harlequins, który nigdy nie obawiał się starć z żadnym członkiem rady nadzorczej, teraz wygląda na mocno zażenowanego.

– Wykrztuś to wreszcie, John.

– Niejaka panna Candice Lombardo niedawno otworzyła u nas rachunek, którego gwarantem jest wiceprezes.

– Zatem tak się nazywa – mruknął Seb.

– Znasz ją?

– Powiedzmy, że kiedyś ją widziałem. W czym problem?

– Wczoraj wypłaciła pięć tysięcy funtów przy zerowych środkach na koncie, by kupić u Harrodsa futro z norek.

– Dlaczego przepuściłeś ten czek?

– Victor zagwarantował spłatę debetu, a ja nie mam uprawnień do zatrzymania takiego czeku bez konsultacji z nim.

– Cedric Hardcastle pewnie przewraca się w grobie – stwierdził Seb, spoglądając na portret założyciela i pierwszego prezesa banku. – Pamiętam jego ulubione powiedzenie: „Nigdy nie mów nigdy, chyba że proszą cię, żebyś został gwarantem".

– Mam porozmawiać z Victorem?

Seb odchylił się w fotelu i przez kilka chwil zastanawiał się nad odpowiedzią. Hakim zdołał przekonać Victora do pozostania w zarządzie, a nawet przyjęcia stanowiska wiceprezesa. Ostatnią rzeczą, której Seb teraz sobie życzył, było danie mu pretekstu do zmiany zdania.

– Nic nie rób – rzekł wreszcie. – Ale daj mi znać, jeśli panna Lombardo zechce zrealizować więcej czeków.

Ashley skinął głową, ale niczego nie zanotował.

– Pomyślałem, że może chciałbyś wiedzieć i o tym – odezwał się po chwili – że na koncie twojej córki powstał debet wysokości stu czterech funtów i sześćdziesięciu pensów. Wiem, to niewiele, ale miałem trzymać rękę na pulsie po tym, jak...

– Rzeczywiście, miałeś – przyznał Seb. – Ale prawdę mówiąc, John, ja właśnie zapłaciłem jej tysiąc funtów za siedem rysunków.

Ashley otworzył drugą teczkę i zerknął na inny wyciąg z konta.

– Nie zanotowaliśmy takiego wpływu. Widzę tylko wpłatę z czeku wystawionego przez niejakiego Richarda Langleya, na kwotę dwustu pięćdziesięciu funtów.

– To nazwisko nic mi nie mówi – stwierdził Seb – ale informuj mnie na bieżąco.

Ashley zmarszczył brwi.

– Co ma znaczyć ta mina?

– Tylko to, że jeśli chodzi o bilans na rachunku, wolałbym mieć do czynienia z prezesem Cunarda niż z twoją córką.

42

Usiedli we czworo w salonie i żadne z nich nie czuło się swobodnie.

– Jak miło, że w końcu cię poznaliśmy – powiedziała Samantha, nalewając Richardowi herbaty.

– I wzajemnie, pani Clifton – odparł młody i mocno zdenerwowany człowiek, siedzący naprzeciwko.

– Jak się poznaliście? – spytał Seb.

– Wpadliśmy na siebie w szkole Slade'a, podczas wystawy laureatów Founder's Prize – wyjaśniła Jessica.

– Chodzę na wszystkie wystawy na uczelniach artystycznych – dodał Richard – w nadziei, że wypatrzę młody talent, zanim porwie go któryś z marszandów z West Endu, co z reguły kończy się tak, że nie stać mnie na jego prace.

– Bardzo rozsądnie – stwierdziła Samantha, gestem proponując gościowi kanapkę z ogórkiem.

– Kupił pan może ostatnio coś wartościowego? – spytał Sebastian.

– Och, to była prawdziwa gratka – odparł Richard. – Cykl niezwykłych rysunków nieznanej artystki, zatytułowany *Siedem*

etapów życia kobiety. Pierwsza nagroda w konkursie. Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście, gdy usłyszałem cenę.

– Proszę wybaczyć – rzekł Seb – ale jestem zaskoczony, że stać pana na wydatek tysiąca funtów z nauczycielskiej pensji.

– Ależ nie zapłaciłem tysiąca, tylko dwieście pięćdziesiąt funtów. Zostało mi na koncie akurat tyle pieniędzy, że mogłem jeszcze zaprosić artystkę na kolację.

– A ja myślałem... – zaczął Seb i urwał, widząc surowe spojrzenie Samanthy i zakłopotanie córki. Postanowił zmienić plan. – Pomyślałem, że zaproponuję panu dwa tysiące za te rysunki. Będzie pan mógł regularnie zapraszać autorkę na kolacje.

– Nie są na sprzedaż – odparł Richard. – I nigdy nie będą.

– Trzy tysiące?

– Dziękuję panu, ale nie.

– Zawrzyjmy zatem układ, Richardzie. Jeśli pan kiedykolwiek rozstanie się z moją córką, sprzeda mi pan te rysunki za dwa tysiące funtów.

– Sebastianie! – ofuknęła go Samantha. – Richard jest przyjacielem Jessiki, nie twoim klientem, a poza tym o tej porze bank już nie pracuje.

– Nic z tego, panie Clifton – odparł Richard. – Nie zamierzam się rozstawać ani z pańską córką, ani z rysunkami.

– Nie zawsze się wygrywa, tato – wtrąciła z uśmiechem Jessica.

– A gdyby to Jessie zerwała z panem? – drążył Seb, jakby chodziło o transakcję wartą milion funtów. – Wtedy by się pan zastanowił?

– Zapomnij o tym, tato. Nic z tego. Pożegnaj się z rysunkami, tak jak wkrótce pożegnasz się z córką, bo zamierzam zamieszkać z Richardem – powiedziała Jessica, ujmując go za rękę.

Sebastian właśnie miał zasugerować, że być może... gdy Samantha wpadła mu w słowo.

– Wspaniałe nowiny. Gdzie was znajdziemy?

– Mam mieszkanie w Peckham – odparł Richard. – Blisko do pracy.

– Ale szukamy czegoś większego – dorzuciła Jessica.

– Żeby wynająć czy kupić? – spytał Seb. – Bo w obecnej sytuacji rynkowej radziłbym...

– A ja radziłabym – przerwała mu znowu Samantha – żebyś pozwolił im samodzielnie podejmować decyzje.

– O wiele rozsądniej jest kupić – stwierdził Seb, ignorując sugestię żony. – Z moimi dwoma tysiącami mielibyście dosyć, żeby wpłacić depozyt.

– Ignorujcie go – poradziła Samantha.

– Zawsze to robię – odrzekła Jessica, wstając. – Musimy lecieć, tato. W Institute of Contemporary Art jest wystawa ceramiki; Richard uważa, że obiecująca.

– I jeszcze w rozsądnej cenie – dodał Richard. – Gdyby jednak miał pan dwa tysiące na zbyciu, radziłbym...

Samantha parsknęła śmiechem, ale wyglądało na to, że Richard już żałuje swoich słów.

– Cześć, tato – powiedziała Jessica, a potem pochyliła się i ucałowała ojca w czoło, dyskretnie wsuwając kopertę do wewnętrznej kieszeni jego marynarki, w nadziei, że Richard nie zauważy.

Jej chłopak wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Do widzenia. Miło było państwa poznać.

– Do zobaczenia, Richardzie. Mam nadzieję, że wystawa ci się spodoba.

– Dziękuję panu.

Samantha odprowadziła młodych do drzwi.

Czekając na nią, Seb wyjął z kieszeni kopertę. Znalazł w niej czek na tysiąc funtów. Pierwszy raz w życiu został pokonany przez licytującego, który zaoferował niższą cenę.

– Zdaje się, że mogłem to lepiej rozegrać – powiedział, gdy Samantha wróciła do salonu.

– Grube niedopowiedzenie, nawet wedle brytyjskich standardów. Ale o wiele bardziej ciekawi mnie, co sądzisz o Richardzie.

– Miły gość. Ale żaden nie będzie nigdy dostatecznie dobry dla Jessie. – Seb umilkł i dodał po chwili: – Zastanawiam się, co jej podarować na dwudzieste pierwsze urodziny. Może dom?

– To ostatni prezent, jaki chciałbyś jej dać.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jedynie przypomniałbyś Richardowi, jaki jest ubogi, a na dodatek uczyniłbyś go swoim dłużnikiem. Poza tym Jessica jest równie uparta jak ty; odrzuciłaby taki dar, podobnie jak odrzuciła twoje dwa tysiące.

Seb podał Samancie czek, a wtedy roześmiała się jeszcze głośniej.

– Może po prostu pozwólmy im żyć własnym życiem? – zaproponowała. – Niewykluczone, że jeszcze się zdziwimy, jak dobrze sobie radzą bez nas.

– Ja tylko chciałem...

– Wiem, co chciałeś, kochanie, ale obawiam się, że córka cię przebiła – odpowiedziała.

Zadzwonił telefon.

– Przeczuwam, że to Richard chciałby spytać, czy byłbym skłonny podwyższyć ofertę do czterech tysięcy.

– Prędzej twoja matka chce nas spytać o wrażenia. Powiedziałam jej, że spotykamy się dziś po raz pierwszy z nowym chłopakiem Jessiki.

Samantha podniosła słuchawkę.

– Dobry wieczór, pani Clifton. Mówi John Ashley.

– Cześć, John. Bank się spalił?

– Jeszcze nie, ale pilnie muszę porozmawiać z Sebem.

– Bank się spalił – powiedziała Samantha, oddając słuchawkę mężowi.

– Chciałabyś. Co mogę dla ciebie zrobić, John?

– Przepraszam, że zawracam głowę o tej porze, ale prosiłeś, żebym meldował, gdyby panna Lombardo chciała spieniężyć kolejne czeki.

– Ile tym razem?

– Czterdzieści dwa tysiące.

– Czterdzieści dwa tysiące funtów? – powtórzył Seb. – Wstrzymaj wypłatę. Jeśli Victor się jutro nie pojawi, będę musiał pogadać z prawnikami. I jeszcze jedno: idź do domu, John. Żona wciąż mi przypomina, że o tej porze banki już nie pracują, więc nic więcej nie zdziałasz.

– Jakiś problem, kochanie? – spytała Samantha z autentyczną troską.

– Obawiam się, że tak. Pamiętasz tę kobietę, którą widzieliśmy na kolacji z Victorem w Caprice? – spytał. Nacisnął widełki telefonu, po czym zaczął wybierać nowy numer.

– Jak mogłabym zapomnieć?

– Otóż myślę, że właśnie próbuje go oskubać.

– Dzwonisz do Victora?

– Nie, do Arnolda Harcastle'a.

– Jest aż tak źle?

– Jest.

– Cześć, Jessie. Tak się cieszę, że przyszłaś – powiedział, ściskając ją na powitanie.

– Nie mogłabym przepuścić takiej okazji, Grayson.

– Gratuluję zdobycia Founder's Prize. Założę się, że wkrótce będzie można zobaczyć twoje prace w którejś z galerii na West Endzie.

– Mów tak dalej, a Bóg usłyszy – odpowiedziała Jessica, lecz artysta w tej samej chwili odwrócił się, by zagadnąć inną studentkę.

– I co o tym wszystkim myślisz? – spytał Richard, gdy spacerowali po galerii.

– Świetna wystawa, chociaż nie mam przekonania do tego misia.

– Nie o to mi chodzi. Co myślisz o spotkaniu z twoimi rodzicami? Jak poszło?

– Już ci mówiłam: mama uważa, że jesteś świetny. „Szczęściara z ciebie", tak mi powiedziała.

– Nie jestem pewny, czy twój ojciec jest tego samego zdania.

– O tatę się nie martw – powiedziała Jessica, przyglądając się wspaniałej wazie. – Nawróci się, gdy tylko mama weźmie go w obroty.

– Mam nadzieję, bo już niedługo będziemy musieli mu powiedzieć.

Następnego ranka, równo o ósmej, prezes, dyrektor naczelny i radca prawny banku zasiedli wokół owalnego stołu w gabinecie Sebastiana.

– Victor się odezwał? – spytał na początek Seb.

– Od piątkowego wieczoru nikt go nie widział – odparł John Ashley. – Powiedział sekretarce, że wyjeżdża w interesach, ale zdąży wrócić na zebranie rady nadzorczej.

– Czyli dopiero za dziesięć dni – zauważył Seb. – Carol nie ma pojęcia, gdzie on może być?

– Nie. Nie zostawił numeru kontaktowego.

– To do niego niepodobne.

– Carol twierdzi, że nigdy tak się nie zachowywał.

– Ciekawe... i coraz ciekawsze.

– Myślisz, że już czas wezwać Barry'ego Hammonda? – spytał Ashley. – Jestem pewny, że szybko namierzyłby Victora. Przy okazji mógłby się dowiedzieć o pannie Candice Lombardo wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć.

– Nie, nie możemy pozwolić, żeby prywatny detektyw śledził wiceprezesa banku – odparł Seb. – Czy to jasne?

– Tak jest. Tyle że panna Lombardo przyniosła wczoraj kolejny czek do natychmiastowej wypłaty – odparł Ashley, otwierając jakby grubszą teczkę.

– Ile tym razem? – spytał Arnold.

– Czterdzieści dwa tysiące.

– Wiesz może, po co jej tyle pieniędzy?

– Niestety nie – odparł Ashley.

Seb przyjrzał się z uwagą wyciągowi z rachunku, na którym ani przez moment nie było dodatniego salda. Miał wielką ochotę jednym słowem dać swym współpracownikom do zrozumienia, co dokładnie czuje w tym momencie, ale wiedział, że nie powinien.

– Jak wyglądamy od strony prawnej? – spytał, zwracając się do radcy.

– Jeżeli na rachunku są środki albo gwarant dysponuje kwotą nie mniejszą niż wartość czeku, to nie mamy wyboru – musimy dokonać wypłaty w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– Zatem miejmy nadzieję, że Victor niebawem wróci albo przynajmniej skontaktuje się z nami w ciągu tych dwóch dni.

– A nie zostawił nam żadnych papierowych śladów? – spytał Arnold. – Żadnych telefonów, wypłat z kart kredytowych, rachunków z hoteli, biletów lotniczych, czegokolwiek?

– Na razie nie – odparł Ashley. – Jego sekretarka dostała polecenie, by zadzwonić do mnie, gdy tylko Victor się odezwie, ale nie liczyłbym na to zbytnio. Czuję za to, że jeśli go namierzymy, to i pannę Lombardo znajdziemy gdzieś w pobliżu.

– Jeszcze jedna osoba może wiedzieć, gdzie go szukać – zauważył Arnold.

– Kto taki? – spytał Seb.

– Jego żona.

– Wykluczone. Pod żadnym pozorem nie wolno nam kontaktować się z Ruth.

– W takim razie, panie prezesie – rzekł Arnold – nie mamy wyboru: w ciągu czterdziestu ośmiu godzin musimy dokonać wypłaty. No chyba że każe mi pan przekazać sprawę Bankowi Anglii i zapytać, czy zostaniemy upoważnieni do wstrzymania dalszych operacji do czasu powrotu Victora.

– Nie. Gdybyśmy pozwolili Starej Damie z Threadneedle Street publicznie prać nasze brudy, byłoby jeszcze gorzej, niż gdybyśmy odezwali się do Ruth. Puścimy ten czek i będziemy mieli nadzieję, że panna Lombardo nie zgłosi się z następnym przed powrotem Victora.

– Co takiego?! – spytał Sebastian.

– Jest w ciąży – powtórzyła Samantha.

– Zabiję go.

– Nic podobnego. Powiem więcej: gdy tylko spotkasz Richarda, serdecznie mu pogratulujesz.

– Pogratuluję?

– Tak. I dasz obojgu do zrozumienia, że jesteś zachwycony.

– Dlaczego, u licha, miałbym to zrobić?

– Bo o innym rozwiązaniu nawet nie chcę myśleć. Moglibyśmy na przykład stracić córkę na zawsze i nigdy nie zobaczyć wnuka. Na wypadek gdyby pamięć ci szwankowała, przypominam, że doświadczyłeś już czegoś podobnego i nie chciałbyś przeżyć tego po raz drugi.

– Zamierzają wziąć ślub? – spytał Sebastian, zmieniając taktykę.

– Nie pytałam.

– Dlaczego?

– Bo to nie moja sprawa. Gdy będą gotowi, sami nam powiedzą, jakie mają plany.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, zachowujesz zadziwiający spokój.

– Jasne, że zachowuję. Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę babcią.

– O mój Boże – jęknął Seb. – A ja będę dziadkiem.

– I pomyśleć, że „Financial Times" nazwał cię jednym z najbystrzejszych umysłów w City!

Sebastian uśmiechnął się szeroko, wziął żonę w ramiona i rzekł:

– Czasem zapominam, moja droga, jakie to szczęście, że cię mam. – Włączył lampkę po swojej stronie łóżka i usiadł. – Powinniśmy zadzwonić do mojej matki i uprzedzić ją, że zostanie prababcią.

– Już wie.

– Zatem to ja dowiedziałem się jako ostatni?

– Niestety. Musiałam wezwać pod broń wszystkich żołnierzy, zanim wtajemniczyłam i ciebie.

– To nie był mój najlepszy tydzień. – Seb westchnął i wyłączył światło.

– Już wiem, po co wypłaciła czterdzieści dwa tysiące funtów – powiedział John Ashley.

– Zamieniam się w słuch – odparł Seb.

– To zaliczka na poczet zakupu budynku przy South Parade, w którym dawniej mieściła się agencja towarzyska.

– Tego mi było trzeba. Kto pośredniczy?

– Savills.

– O, przynajmniej znamy prezesa.

– Już rozmawiałem z panem Vaughanem. Powiedział, że jeszcze dziś dostarczy kolejny czek podpisany przez pannę Lombardo, na kwotę będącą dopełnieniem łącznej ceny nieruchomości. Uprzejmie mi przypomniał, że jeśli będzie problem z realizacją, panna Lombardo straci swoją zaliczkę.

– Miejmy nadzieję, że Victor wróci na zebranie zarządu. Bo jeśli nie, to nie minie tydzień, a ona zdąży przejąć i Klub Playboya.

43

– Co znaczy „martinet”? – spytał Freddie, unosząc głowę znad testu.

– To służbista, ktoś ściśle przestrzegający dyscypliny – odpowiedziała Karin. – Zdaje się, że to słowo pochodzi z francuskiego.

– Jak to możliwe, Karin, że tak świetnie znasz angielski, skoro dorastałaś w Niemczech?

– Już w szkole lubiłam uczyć się języków, dlatego potem także studiowałam języki nowożytne i zostałam tłumaczką. Tym sposobem poznałam Gilesa.

– A ty, Freddie? Zastanawiałeś się już, co chciałbyś studiować, gdy pójdziesz na uniwersytet? – spytał Giles znad wieczornej gazety.

– PFK – odparł chłopak.

– Słyszałam o kierunku „polityka, filozofia i ekonomia” – powiedziała Karin – ale o PFK – nigdy.

– Polityka, filozofia i krykiet. Bardzo popularny kierunek na Oksfordzie.

– Owszem, ale nie dla służbistów – zauważył Giles. – Podejrzewam, że gdybyś zechciał sprawdzić definicję w słowniku oksfordzkim, przekonałbyś się, że z etymologii tego słowa znikła postać podpułkownika Martineta, a zastąpiła ją wzmianka o Margaret Thatcher.

– Nie słuchaj go – odezwała się Karin. – Wykorzysta każdy pretekst, żeby dołożyć pani premier.

– A w gazetach piszą, że ona całkiem nieźle sobie radzi – odpowiedział Freddie.

– O wiele lepiej, niżbym sobie życzył – przyznał Giles. – Prawda jest taka, że mieliśmy ją już prawie na deskach, lecz właśnie wtedy Argentyńczycy zajęli Falklandy. Od tamtej pory, choć kule śmigają ku niej ze wszystkich stron, unika ich z wprawą Jamesa Bonda – zawsze w odpowiedniej chwili.

– A co z panią wiceminister zdrowia? – spytał Freddie. – Będzie musiała uważać teraz, gdy wróciłeś do pierwszej ławy.

– Kule wkrótce jej dosięgną – odparł Giles nie bez satysfakcji.

– Giles, zachowuj się. Mówimy o twojej siostrze, nie o jakimś wrogu.

– Ona jest gorsza od wroga. Nie zapominaj, że Emma to wierna uczennica błogosławionej Margaret z Grantham. Gdy będzie prezentowała w Izbie Wyższej rządowy projekt ustawy o państwowej służbie zdrowia, zamierzam punkt po punkcie dowieść jego słabości, aż w końcu nie pozostanie mojej siostrze nic innego, jak tylko zrezygnować.

– Na twoim miejscu, Giles, byłabym ostrożna – odparła Karin. – Przypuszczam, że jako doświadczona szefowa dużego szpitala Emma może wiedzieć o państwowej służbie zdrowia więcej niż ty.

– Zapominasz, że debata nie odbędzie się w pokoju zarządu szpitala, ale w audytorium Izby Lordów, gdzie czekam na nią przyczajony od dłuższego czasu.

– Mimo to powinieneś chyba wykazać się rozsądkiem i posłuchać ostrzeżenia Grace – nie ustępowała Karin. – Emma może cię pokonać znajomością szczegółów, bo w przeciwieństwie do większości polityków, ona przez lata poznawała służbę zdrowia, działając na pierwszej linii frontu.

– Nabieram przekonania, że jesteś ukrytą toryską – rzekł Giles.

– Nic podobnego – odparła Karin. – Z ukrycia to ja wyszłam lata temu, a nawróciła mnie właśnie Emma.

– Zdrajczyni.

– I znowu się mylisz. Przecież pokochałam ciebie, nie Partię Pracy.

– Na dobre i na złe.

– W tym przypadku – na złe.

– Przepraszam, że się wtrąciłem – odezwał się Freddie – ale naprawdę chciałem tylko wiedzieć, co znaczy „martinet".

– Ignoruj Gilesa – poradziła mu Karin. – Zawsze taki jest na krótko przed ważną debatą, zwłaszcza gdy bierze w niej udział jego siostra.

– Będę mógł przyjść i popatrzeć? – spytał Freddie.

– To zależy od tego, którą partię zamierzasz popierać – odparł Giles.

– Tę, która przekona mnie do swojej polityki.

– To coś nowego – mruknęła Karin.

– Możliwe, że to nie najlepszy moment, żeby o tym wspomnieć, ale zapisałem się do Młodych Konserwatystów – oznajmił Freddie.

– Że co? – spytał z niedowierzaniem Giles. Odchylił się jak uderzony i chwycił się kominka.

– Będzie jeszcze gorzej.

– Jak to możliwe, żeby było gorzej?

– Właśnie mieliśmy w szkole miniwybory i wystąpiłem jako kandydat torysów.

– Z jakim rezultatem? – spytał Giles.

– Nie chcesz wiedzieć.

– Nie tylko wygrał z łatwością – odpowiedziała Karin – ale na dodatek postanowił, że pójdzie w twoje ślady: zostanie parlamentarzystą. Szkoda tylko, że nie zasiądzie w Izbie po tej samej stronie co ty.

W pokoju zapadło głębokie milczenie. Bardzo niewielu ministrom udało się równie skutecznie uciszyć czcigodnego lorda Barringtona z okręgu Bristol Docklands.

– Tom, gdy przyjdzie pan Kaufman, czy mógłbyś go poprosić, żeby wpadł do mojego gabinetu, zanim pójdzie na spotkanie?

– Oczywiście, panie prezesie – odpowiedział portier, salutując.

Seb energicznym krokiem przemierzył hol w stronę wind. Choć nie było jeszcze ósmej, John Ashley i Arnold Hardcastle już czekali na niego na korytarzu, gdy wysiadał na ostatnim piętrze.

– Dzień dobry panom – powiedział, mijając ich w drodze do swego gabinetu. – Usiądźmy, proszę. Pomyślałem, że warto przedyskutować taktykę, zanim przyjdzie Victor – jeśli w ogóle przyjdzie. Zacznijmy od ciebie, John. Jakieś nowiny?

Ashley otworzył puchnącą z każdym dniem teczkę.

– Zgodnie z zapowiedzią, przedstawiono nam czek na kwotę trzystu dwudziestu tysięcy funtów, ale pan Vaughan zgadza się,

że zgodnie z regulaminem rozliczeń nie musimy dokonywać natychmiastowej wypłaty.

– To pięknie – odparł Seb – ale z drugiej strony, to nasz solidny klient od wielu lat. Jak sądzisz, John, co powinniśmy zrobić, jeśli Victor się nie pojawi?

– Wezwać Barry'ego Hammonda i zlecić mu wytropienie Victora, gdziekolwiek jest. Nie mam wątpliwości, że znajdziemy przy nim i dziewczynę.

– Wiąże się z tym pewne ryzyko – zauważył Arnold.

– Pomijalne, moim zdaniem – odparł John – w porównaniu z ewentualnymi konsekwencjami wydojenia Victora do cna przez pannę Lombardo.

– Niefortunne porównanie – mruknął Seb, zerkając na zegarek. – Nie zostało mu wiele czasu.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i wszyscy trzej spojrzeli na nie wyczekująco. Otworzyły się po chwili i Rachel wkroczyła do gabinetu prezesa.

– Niektórzy z członków rady nadzorczej już są; czekają na panów w sali narad – powiedziała sekretarka, podając Sebowi plan spotkania.

– Jest z nimi pan Kaufman?

– Nie, panie prezesie. Jeszcze go nie widziałam.

– W takim razie proponuję, byśmy dołączyli do naszych kolegów – rzekł Seb, przejrzawszy pobieżnie plan. – I nie wspominajmy o pannie Lombardo, póki nie odbędziemy prywatnej rozmowy z Victorem.

– Zgoda – odpowiedzieli zgodnie dyrektor naczelny i radca prawny banku.

Wstali bez słowa, opuścili gabinet i udali się do sali posiedzeń.

– Dzień dobry, Giles – powiedział Seb, który nie ważył się zwracać po imieniu do swego wuja, póki nie został prezesem. – Słusznie się domyślam, że ty i moja matka nie rozmawiacie ze sobą od czasu pierwszego czytania projektu ustawy o państwowej służbie zdrowia?

– Bardzo słusznie, prezesie. A w przyszłości będziemy dyskutować wyłącznie przez mównicę.

Seb uśmiechnął się, ale kolejny raz mimowolnie zerknął w stronę drzwi. Pozostali członkowie rady nadzorczej zajęli miejsca wokół stołu i tylko jedno krzesło, przy przeciwległym jego krańcu, pozostało wolne. Podobnie jak jego matka, Seb zawsze uważał, że zebrania rady powinny zaczynać się o czasie. Spojrzał na zegarek. Za minutę dziewiąta. Zajął miejsce u szczytu stołu i przemówił:

– Dzień dobry, panowie. Poproszę sekretarza o odczytanie notatek z ostatniego spotkania.

Pan Whitford wstał z miejsca po prawicy prezesa i odczytał swoje zapiski tonem kaznodziei z prowincjonalnego kościoła.

Seb próbował się skupić, ale uparcie zerkał w stronę drzwi, chociaż nie miał już nadziei, bo jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by Victor spóźnił się na posiedzenie rady nadzorczej. Gdy pan Whitford usiadł, rozkojarzony Seb zapomniał zapytać dyrektorów, czy mają pytania. Wymamrotał tylko:

– Punkt pierwszy... – i właśnie miał poprosić dyrektora naczelnego o zaprezentowanie comiesięcznego raportu, gdy drzwi

otworzyły się gwałtownie i do sali wpadł wyraźnie zdenerwowany wiceprezes.

– Przepraszam, panie prezesie – odezwał się, zanim jeszcze dotarł na swoje miejsce. – Mój lot miał opóźnienie z powodu mgły. Przelecieliśmy nad tym budynkiem chyba z tuzin razy, zanim dostaliśmy pozwolenie na lądowanie.

– Nie ma sprawy, Victorze – odparł spokojnie Seb. – Straciłeś jedynie czytanie protokołu z poprzedniego zebrania. Właśnie miałem przejść do punktu pierwszego, czyli do nowych regulacji prawnych w zakresie bankowości. John?

Ashley otworzył teczkę i spojrzał na obszerne notatki, którymi zamierzał podzielić się z kolegami.

– Wydaje się, że bankierzy – zaczął – będą od tej pory traktowani jako najmniej godni zaufania członkowie społeczeństwa, na równi z pośrednikami w handlu nieruchomościami oraz parlamentarzystami.

– W takim razie został mi już tylko handel nieruchomościami – wtrącił Giles – i będę miał zaliczone wszystkie trzy profesje.

– Czego konkretnie możemy się spodziewać? – spytał Seb, gdy ucichł śmiech.

– Przede wszystkim zwiększonego nadzoru nad codzienną działalnością banku, bardziej drobiazgowych inspekcji ze strony organów kontrolnych oraz całego szeregu nowych przepisów. Geoffrey Howe koniecznie chce uchodzić za nową miotłę, która zaprowadzi porządek w City.

– Zawsze tak bywa z rządami konserwatystów. Zwykle jednak zapominają o deklaracjach po paru dobrze przygotowanych

kazaniach kanclerza, wygłoszonych podczas bankietu u burmistrza.

Seb znowu nie mógł się skupić. Członkowie rady kolejno wygłaszali swoje dość przewidywalne opinie – z wyjątkiem Gilesa, którego jak zawsze trudno było rozgryźć. Powrócił do rzeczywistości dopiero w chwili, gdy sobie uświadomił, że zebrani spoglądają w jego stronę.

– Punkt drugi? – powtórzył sekretarz.

– Punkt drugi – oparł Seb. – Lord Barrington właśnie wrócił z Rzymu i o ile mi wiadomo, przywiózł nader ciekawe wieści. Giles?

Giles wprowadził radę w szczegóły swej niedawnej wyprawy do Wiecznego Miasta, podczas której spotkał się z panem Menegattim, prezesem banku Cassaldi. Tematem rozmowy była wizja trwałego, bliskiego partnerstwa między obiema instytucjami. Gdy relacja dobiegła końca, rozpoczęła się dyskusja, którą Seb podsumował rekomendacją dla Gilesa, by ten, z pomocą wąskiej grupy doradców, przeniósł rozmowy na nowy poziom i spróbował wybadać, czy uda się doprowadzić wręcz do połączenia banków, na zasadach akceptowalnych dla obu rad nadzorczych.

– Gratuluję, Giles – dodał Seb. – Będziemy niecierpliwie wyczekiwali kolejnego raportu. A teraz zajmijmy się może punktem trzecim.

I znowu nie mógł się skupić. W istocie pochłaniała go tylko jedna sprawa: ta, którą miał omówić w prywatnej rozmowie ze swym zastępcą. Obserwując Victora, musiał przyznać w duchu, że denerwuje się znacznie bardziej niż on.

Z ulgą przyjął pytanie sekretarza:

– Czy są jeszcze jakieś sprawy?

– Tak – odezwał się Victor z przeciwległego końca stołu. Seb uniósł brew. – Niektórzy z kolegów zapewne zastanawiali się, gdzie zniknąłem na ostatnich dziesięć dni. Czuję, że należy im się kilka słów wyjaśnienia.

Co najmniej trzech mężczyzn w milczeniu przyznało mu rację.

– Gdy zostałem wiceprezesem – ciągnął Victor – prezes powierzył mi między innymi zadanie dokonania analizy przedsięwzięć dobroczynnych, w które angażuje się nasz bank. Wyznam, że z początku uważałem tę misję za niezbyt wymagającą, ale szybko zrozumiałem, w jakim jestem błędzie. Odkryłem bowiem, że polityka banku w kwestii dobroczynności po prostu nie istnieje. Konkurencja nie tylko wyprzedziła nas pod tym względem, ale wręcz zmiażdżyła. Nie dowiedziałbym się zapewne, jak fatalna jest sytuacja, gdyby nie lady Barrington, która zwróciła się do nas o wsparcie dla biegu maratońskiego, w którym miała wziąć udział. Poczułem wstyd, gdy pokazała mi listę sponsorów. Jak zauważyła, więcej pieniędzy zaoferowali Barclays, Nat West i doktor Grace Barrington niż bank Farthings Kaufman. Od tamtej chwili żywo zainteresowałem akcją dobroczynną, w którą się zaangażowała.

Wszyscy obecni w skupieniu przysłuchiwali się relacji wiceprezesa.

– Akcja ta polega na wysyłaniu misji do Afryki, gdzie wybitny kardiochirurg, doktor Magdi Yacoub, operuje dzieci, które w przeciwnym razie nie miałyby najmniejszych szans na przeżycie.

– Jak dokładnie wygląda taka misja? – spytał pan Whitford, który starał się zapisać każde słowo wiceprezesa.

– Misja składa się z pięciu osób: chirurga, lekarza innej specjalizacji, dwu pielęgniarek oraz kierownika. Wszyscy oni oferują swe usługi za darmo, zwykle poświęcając na ten szczytny cel swoje urlopy. Lady Barrington zasugerowała, bym spotkał się z panną Candice Lombardo, aktywną członkinią zarządu tejże akcji dobroczynnej. Umówiłem się z nią na kolację – dodał Victor, uśmiechając się do prezesa.

– Skąd ja znam to nazwisko? – spytał półgłosem sekretarz.

– Panna Lombardo – poinformował go Clive Bingham – została wybrana najseksowniejszą kobietą na Ziemi w głosowaniu czytelników pisma „GQ". Jeśli można wierzyć brukowcom, obecnie romansuje z Omarem Sharifem.

– Nie mam pojęcia, czy to prawda – przyznał Victor. – Mogę jedynie zapewnić panów, że podczas kolacji szybko przekonałem się, jak głęboko panna Lombardo zaangażowała się w tę słuszną sprawę. Zaprosiła mnie do udziału w podróży do Egiptu, podczas której miałem okazję zobaczyć doktora Yacouba i jego zespół przy pracy. To tam spędziłem ostatnich dziesięć dni. Szczerze mówiąc, spędziłem je, na przemian mdlejąc i walcząc z mdłościami.

– Pan wiceprezes mdlał? – zdumiał się Clive.

– Niejeden raz. Zapewniam, że widok dziecka z otwartą klatką piersiową jest trudny do zniesienia dla osób o słabych nerwach. Tak czy owak, wsiadłem do samolotu i ruszyłem w drogę powrotną z mocnym postanowieniem, że mogę zrobić więcej dla dobra tej sprawy, znacznie więcej. To, co widziałem w podróży do Egiptu, każe mi zarekomendować radzie nadzorczej przyjęcie

przez nas roli oficjalnego banku tej akcji dobroczynnej, bez żadnych opłat za transakcje. Zgodziłem się już objąć funkcję honorowego skarbnika.

– Więcej, znacznie więcej, że użyję twoich słów, Victorze – odezwał się Seb. – W jaki jeszcze sposób możemy pomóc?

– Na początek moglibyśmy zaoferować znaczącą darowiznę na rzecz funduszu dobroczynnego Marsdena, by jego pracownicy nie musieli żyć z dnia na dzień.

– O jakiej sumie mówimy? – spytał Giles.

– Pół miliona rocznie przez kolejnych pięć lat. – W krótkiej pauzie dało się usłyszeć jedno lub dwa głośne sapnięcia. – Wiem, że rada z radością przyjmie wiadomość, iż kwota ta podlegać będzie czterdziestoprocentowemu zwolnieniu od podatku.

– Jak sądzisz, jak zareagują nasi udziałowcy, gdy zaoferujemy tak wielką kwotę organizacji dobroczynnej? – spytał John Ashley.

– Gdyby pan Kaufman zwrócił się osobiście do zgromadzenia akcjonariuszy – zasugerował Seb – to podejrzewam, że zaproponowaliby jeszcze hojniejszy datek.

Kilku członków rady nadzorczej pokiwało głowami, inni tylko się uśmiechnęli.

– Mimo to należałoby im wyjaśnić, w jaki sposób pieniądze zostaną wydane – zastrzegł sekretarz. – To nasz obowiązek, jako powierników ich majątku.

– Zgoda – odparł Victor. – Jeśli wolno mi będzie zwrócić się do akcjonariuszy podczas walnego zgromadzenia, z pewnością nie będę musiał im przypominać, że nie tak dawno bank zarobił jedenaście milionów funtów na przejęciu Harrodsa przez pana Al Fayeda. Tymczasem jednak muszę przyznać, że bez zgody rady

nadzorczej pozwoliłem sobie na zakup nieruchomości przy South Parade, za szpitalem Royal Marsden, gdzie mieścić się będzie kwatera główna organizacji. To prawdziwa okazja – cena była wyjątkowo atrakcyjna z uwagi na przeszłość tego miejsca: to dawna agencja towarzyska.

– Ale dlaczego nie uprzedziłeś rady nadzorczej o swoich zamiarach? – spytał Seb. – Wystarczyłby telefon; członkowie rady zdążyliby przedyskutować twoją propozycję przed dzisiejszym zebraniem. Stawiasz nas przed faktem dokonanym.

– Przepraszam, prezesie, ale zapomniałem wspomnieć, że księżna Diana, przyjaciółka doktora Yacouba, także uczestniczyła w wyprawie do Egiptu. Jej ochrona poprosiła nas, żebyśmy nikomu nie ujawniali naszych nazwisk ani miejsca pobytu.

– Całkiem słusznie – ocenił Giles. – Nie musimy ułatwiać życia IRA.

– Ponadto założyłem – ciągnął Victor, spoglądając na Seba – że gdyby naprawdę coś się działo, ktoś z rady po prostu zadzwoniłby do mojej żony, jedynej osoby, która wiedziała, dokąd się wybrałem.

Trzej z członków rady pokiwali głowami.

– I wreszcie: z pewnością ucieszy wszystkich tu zebranych wiadomość, że profesor Yacoub organizuje w czwartek konferencję prasową w szpitalu Marsdena, podczas której ogłosi, że księżna Diana zgodziła się objąć patronat nad akcją.

– Brawo – odezwał się Clive. – Wizerunek banku może na tym tylko zyskać.

– Ale nie tylko dlatego uznałem, że warto wesprzeć tę wspaniałą sprawę – odparł ostro Victor.

– Możliwe – powiedział Arnold – ale póki kanclerz skarbu szaleje, nie zaszkodzi nam odrobina dobrej prasy.

– Może napisałbyś oficjalną propozycję działania, którą moglibyśmy przegłosować na zebraniu rady w przyszłym miesiącu? – zasugerował Seb. – Tylko roześlij ją dostatecznie wcześnie, żeby każdy zdążył się zastanowić.

– Szkic już powstał – tego ranka, gdy krążyłem nad miastem. Gdy tylko tekst będzie gotowy, roześlę kopie do wszystkich członków rady nadzorczej.

Kilku mężczyzn kiwało z uznaniem głową, gdy Victor zamykał teczkę leżącą przed nim na stole.

– Dziękuję – powiedział Seb. – Pozostaje nam jeszcze wyznaczyć datę kolejnego spotkania.

Pochylili się nad terminarzami, a gdy data została uzgodniona, Seb zakończył zebranie.

– Znajdziesz dla mnie chwilę, Victorze? – zagadnął, zbierając papiery.

– Naturalnie, prezesie.

Victor podążył za Sebem w głąb korytarza i dalej, do gabinetu prezesa. Właśnie miał zamknąć za sobą drzwi, gdy zauważył, że poszli za nimi John Ashley i Arnold Hardcastle.

Gdy wszyscy czterej zasiedli za owalnym stołem, Seb odezwał się z wahaniem:

– Niektórzy z nas mocno się zaniepokoili, Victorze, gdy pod twoją nieobecność panna Lombardo, o której ani Arnold, ani John, ani ja nigdy nie słyszeliśmy, przedstawiła do rozliczenia trzy czeki.

– Nie słyszeliście o niej? – zdumiał się Victor. – Na jakiej planecie wy żyjecie?

Widząc, że nawet nie próbują się bronić, zrozumiał.

– Ach – rzekł z miną gracza, który trzyma w dłoni pokera – więc widząc ją, uznaliście, że ja...

– Spróbuj spojrzeć na sprawę z naszej perspektywy – wpadł mu w słowo Arnold.

– Szczerze mówiąc – odparł Victor – nie przypuszczam, żeby panna Lombardo często trafiała na pierwszą stronę „Financial Timesa".

Trzej pozostali wybuchnęli śmiechem.

– To prawda, nie miałem zgody rady nadzorczej na zakup tego budynku, ale pozwoliłem pannie Lombardo na otwarcie rachunku gwarantowanego przeze mnie tylko dlatego, że bałem się stracić wyjątkową okazję.

– To jednak nie wyjaśnia nam, dlaczego kupiła w Harrodsie futro z norek za pięć tysięcy funtów – wtrącił niepewnie John Ashley.

– To prezent urodzinowy dla Ruth, o którym miała nie wiedzieć. A przy okazji, czy to dlatego usilnie staraliście się ze mną skontaktować?

– Ależ skąd – zaoponował Seb. – Chcieliśmy cię zawiadomić, jak świetnie poszło Gilesowi w Rzymie, zanim przeczytałbyś o tym w gazetach.

– Niezła próba – pochwalił go Victor – ale zbyt długo cię znam, Seb, żeby się na to nabrać. Powiem ci, co teraz zrobię: nie wspomnę o tej sprawie ani jednym słowem, jeśli poprzesz moją

propozycję pomocy dla tej akcji dobroczynnej podczas najbliższego zebrania rady nadzorczej.

– Brzmi to jak szantaż.

– Tak, to chyba właściwa nazwa.

– Powinienem był posłuchać żony – mruknął Seb.

– Całkiem możliwe, zważywszy na okoliczności – odpowiedział mu Victor. – Nie zamierzałem wspominać wszystkim o tym, że Samantha mrugnęła do mnie, gdy tak idiotycznie próbowaliście się ulotnić z Caprice.

HARRY I EMMA CLIFTONOWIE
1986–1989

44

Gdy Harry się ocknął, spróbował przypomnieć sobie sen, który, jak mu się zdawało, ciągnął się w nieskończoność. Czyżby znowu był kapitanem reprezentacji Anglii w krykiecie i właśnie miał zdobyć zwycięski punkt w meczu z Australią na stadionie Lorda? Nie, o ile nie myliła go pamięć, po prostu biegł za autobusem, który uparcie utrzymywał niewielki dystans. Był ciekaw, co powiedziałby Freud o takim śnie. Harry nie dowierzał teorii, jakoby faza marzeń sennych trwała zawsze tylko kilka chwil. Niby skąd naukowcy mieliby wiedzieć, jak jest naprawdę?

Zamrugał intensywnie, przewrócił się na drugi bok i spojrzał na zielonkawe, fluorescencyjne znaki na cyferblacie budzika stojącego przy łóżku: 5.07. Miał aż za wiele czasu, by wymyślić pierwsze zdania powieści, zanim trzeba będzie wstać.

Pierwszy poranek przed rozpoczęciem nowej książki był zawsze chwilą, w której Harry zadawał sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego nie miałby jeszcze pospać, zamiast po raz kolejny wykonywać serię rutynowych działań, mającą potrwać co najmniej rok i niekoniecznie zakończoną sukcesem? Przecież dawno już osiągnął wiek, w którym większość ludzi odbiera pamiątkowy

złoty zegarek i zaczyna mieć czas na to, by cieszyć się – jak to nazywano w reklamach towarzystw ubezpieczeniowych – jesienią życia. Na Boga, przecież nie brakowało mu pieniędzy. Jeśli jednak alternatywą miało być spoczęcie na laurach, to wybór nowej przygody nie był trudną decyzją. Emma mawiała, że jest zdyscyplinowany. Seb ujmował to równie prostym słowem: obsesja.

Przez kolejną godzinę Harry leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami, raz jeszcze układając w myślach wydarzenia pierwszego rozdziału. Choć zastanawiał się nad fabułą od ponad roku, wiedział doskonale, że gdy tylko pióro dotknie pierwszej kartki, opowieść zacznie się rozwijać w zupełnie niespodziewanym kierunku.

Wymyślił już i porzucił co najmniej kilka wersji pierwszego zdania, nim w końcu znalazł to właściwe – a przecież i ono mogło bez trudu zostać zmienione w kolejnej wersji tekstu. Miał nadzieję, że raz jeszcze zdoła zawładnąć wyobraźnią czytelników, przenieść ich w inny świat. Wiedział, że ich uwagę musi przykuć pierwszy akapit, a w najgorszym razie pierwsza strona.

Swego czasu Harry pochłonął biografie wielu innych pisarzy, by ustalić, w jaki sposób parali się swoim rzemiosłem. Doszedł do wniosku, że tylko jedno łączyło ich wszystkich: każdy twierdził, że nic nie zastąpi ciężkiej pracy. Niektórzy tworzyli w pamięci kompletną fabułę, nim jeszcze sięgnęli po pióro czy zasiedli do maszyny. Inni, ukończywszy pierwszy rozdział, przystępowali do sporządzenia dość szczegółowego konspektu pozostałej części powieści. Harry zaś uważał się za szczęściarza, jeśli udało mu się

zaplanować choćby pierwszy akapit, nie wspominając nawet o całym pierwszym rozdziale. Gdy każdego ranka o szóstej chwytał za pióro, nie miał pojęcia, dokąd zaprowadzą go słowa. To dlatego Irlandczycy mawiali, że nie jest pisarzem, tylko *seannachie* – opowiadaczem.

Jedną z kwestii, które zdecydowanie należało rozstrzygnąć jeszcze przed wyruszeniem w kolejną literacką podróż, był dobór imion głównych bohaterów. Harry wiedział już, że akcja rozpocznie się w kuchni niewielkiego domu w zacisznej uliczce Kijowa, gdzie piętnasto-, może szesnastoletni chłopiec obchodzić będzie z rodzicami urodziny. Potrzebne było dlań imię z łatwo wpadającym w ucho zdrobnieniem, tak by czytelnicy śledzący dwie niejako równoległe opowieści od razu wiedzieli, czy w danej chwili znajdują się w Kijowie, czy w Londynie. Harry wziął pod rozwagę kilka kombinacji: Józef/Joe – zbyt oczywiste skojarzenie z okrutnym dyktatorem; Maksym/Max – dobre dla generała; Nikołaj/Nick – zbyt królewskie. W końcu postanowił nadać bohaterowi imię Aleksander/Sasza.

Nazwisko musiało natomiast być przede wszystkim łatwe do odczytania, tak by czytelnicy nie marnowali połowy czasu, usiłując spamiętać, kto jest kim. Harry miał taki problem, gdy zabrał się do *Wojny i pokoju*, a przecież czytał ją po rosyjsku! Może więc Krawiec? Dziuba? Bielenski? W końcu zadecydował: Karpienko.

Jako że ojciec chłopaka miał zostać brutalnie zamordowany przez tajną policję już w pierwszym rozdziale, bardziej istotne było imię matki. Musiało być kobiece, ale zarazem dostatecznie mocne, by łatwo było uwierzyć, że to osoba, która

samodzielnie wychowała syna, wbrew wszelkim przeciwnościom losu. To ona miała ukształtować charakter bohatera powieści. Harry postanowił, że ojciec będzie miał na imię Dmitrij, a matka – Jelena. Brzmiało to, jego zdaniem, godnie i mądrze zarazem. Uporawszy się z tym problemem, zaczął rozmyślać o pierwszym zdaniu.

W końcu o piątej czterdzieści odrzucił kołdrę, przełożył nogi za krawędź łóżka i zdecydowanym ruchem postawił stopy na dywanie. Zaraz potem wypowiedział słowa, które padały z jego ust każdego ranka, nim udał się do biblioteki:

– Proszę, pozwól mi znowu tego dokonać.

Był boleśnie świadomy faktu, że umiejętność opowiadania ciekawych historii to dar, którego nie wolno lekceważyć. Modlił się, by dane mu było tak, jak jego bohaterowi, Dickensowi: w pół zdania.

Poczłapał do łazienki, zrzucił piżamę i wziął zimny prysznic. Włożył T-shirt, portki od dresu, tenisowe skarpety i bluzę z napisem Liceum Bristolskie 2 XI. Przed snem zawsze układał ubranie na krześle, w odpowiednim porządku.

W końcu wsunął stopy w znoszone, skórzane kapcie, wyszedł z sypialni i ruszył schodami w dół, mamrocząc pod nosem:

– Powoli i w skupieniu, powoli i w skupieniu...

W bibliotece podszedł prosto do masywnego, dębowego biurka, stojącego w wykuszu z oknami, za którymi widać było trawnik. Zasiadł w prostym fotelu krytym czerwoną skórą i zerknął na zegar podróżny stojący na blacie. Nigdy nie zaczynał pisać wcześniej niż za pięć szósta.

Spojrzał w prawo, na zdjęcia w ozdobnych ramkach. Emma grająca w squasha. Sebastian i Samantha na wakacjach w Amsterdamie. Jake usiłujący trafić do bramki. I Lucy, najmłodsza pociecha w rodzinie, leżąca w ramionach matki – przypomniała mu, że jest teraz pradziadkiem. Na przeciwległym końcu biurka czekała bateria siedmiu piór kulkowych, które miały przetrwać najwyżej tydzień. Przed sobą zaś miał notatnik formatu A4 w trzydzieści dwie linie, który zamierzał zapełnić przed końcem dnia tekstem liczącym 2500, może 3000 słów – czyli szkicem pierwszego rozdziału nowej książki.

Zdjął zatyczkę z pióra, odłożył ją na bok, spojrzał na czystą kartkę i zaczął pisać.

> *Czekała ponad godzinę, lecz nikt nie odezwał się choćby słowem.*

Emma przestrzegała swego napiętego rozkładu zajęć z równą dyscypliną jak jej mąż – tyle że był to rozkład zgoła odmienny, w dużej mierze dlatego, że nie była panią własnego czasu. Gdy Margaret Thatcher rozpoczęła drugą kadencję, w uznaniu zasług z pierwszej awansowała Emmę na ministra zdrowia.

Podobnie jak Harry, Emma często wspominała słowa Maisie o tym, że trzeba starać się być zapamiętanym za coś więcej niż bycie pierwszą kobietą prezesem dużej firmy. Gdy jednak przyjmowała nowe wyzwanie, nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej przeciwnikiem będzie brat, którego Neil Kinnock sprytnie uczynił jej odpowiednikiem w Gabinecie Cieni. Nie pomogło i to, że „Daily Telegraph” nazwał Gilesa jednym z najwybitniejszych polityków swoich czasów i bodaj najlepszym mówcą obu izb.

Pogodziła się z tym, że jeżeli chce go pokonać na parlamentarnym ringu, to na pewno nie za pomocą inteligentnych ripost czy zapadających w pamięć bon motów. Należało użyć bardziej tępych narzędzi: głębokiej znajomości tematu i orientacji w szczegółach, bo tylko one mogły zwabić lordów do Holu Zgody[*], gdy w Izbie Wyższej nadejdzie chwila głosowania.

Poranek Emmy rozpoczynał się o szóstej, a już o siódmej siedziała za biurkiem w gmachu ministerstwa – znanym wówczas jako Alexander Fleming House – podpisując listy, które szefowa personelu przygotowała dla niej poprzedniego dnia. Tym, co różniło ją od większości kolegów parlamentarzystów, był fakt, że zawsze czytała je wszystkie i nie wahała się dodać czegoś od siebie albo zażyczyć sobie zmian, gdy nie zgadzała się z proponowaną treścią listu.

Mniej więcej o ósmej przychodziła jej dyrektor gabinetu, Pauline Perry, by zapoznać ją z programem dnia. Tym razem okazało się, że tekst przemówienia w Królewskim Kolegium Chirurgów, które miała wygłosić wieczorem, wymaga pewnych poprawek, nim można będzie przekazać go mediom.

O 8.55 miała pomaszerować korytarzem do gabinetu sekretarza stanu na codzienne „spotkanie modlitewne” z wiceministrami. Potrzebowali godziny na omówienie polityki rządu, aby mieć pewność, że wszyscy śpiewają ten sam psalm. Niekiedy jedna nieprecyzyjna uwaga któregoś z ministrów, wychwycona przez czujnego reportera, już następnego dnia stawała się nagłówkiem na pierwszej stronie ogólnokrajowej gazety.

Emma wiedziała o tym doskonale, bo wciąż jeszcze drwiono z tytułu „Minister popiera burdele”, który pojawił się zaraz po

tym, jak pozwoliła sobie na szczere wyznanie: „Wspieram niedolę kobiet zmuszanych do prostytucji". Zdania oczywiście nie zmieniła, ale nauczyła się ostrożniej formułować swoje wypowiedzi.

Tego ranka mieli dyskutować przede wszystkim o proponowanej ustawie o przyszłości państwowej służby zdrowia oraz o roli, jaką poszczególni urzędnicy mieli odegrać w procesie przepychania jej przez obie izby parlamentu. Sekretarz stanu miał przedstawić nowy akt prawny w Izbie Gmin, Emma zaś, w imieniu całego rządu, w Izbie Lordów. Wiedziała, że to jak dotąd największe wyzwanie w jej politycznej karierze, w dużej mierze przez wzgląd na brata, który, jak sam powiedział, „czekał na nią przyczajony od dłuższego czasu".

O jedenastej przejechała mostem Westminsterskim do Biura Rządu, by wziąć udział w spotkaniu na temat implikacji finansowych rozlicznych deklaracji, które partia złożyła w toku kampanii wyborczej. Niektórzy z jej kolegów musieli przygotować się na poświęcenie swych ulubionych projektów na ołtarzu oszczędności; wszyscy mieli świadomość, że tym razem nie wystarczy „zwiększenie efektywności" i proste „cięcie kosztów" w resorcie. Opinia publiczna miała dość deklaracji o tym, że może uda się zaoszczędzić na spinaczach.

Lunch z Larsem van Hasselem, holenderskim ministrem zdrowia, odbył się w zaciszu gabinetu Emmy, bez udziału innych urzędników. Jej gość okazał się nadętym, aroganckim typem, do bólu świadomym własnej, niezaprzeczalnej inteligencji. Emma pogodziła się jednak z faktem, że nauczy się od niego więcej

w ciągu godziny spędzonej przy winie i kanapkach niż przez miesiąc rozmów ze swymi kolegami.

Po południu stawiła się w parlamencie, jako że nadeszła kolej jej ministerstwa w udzielaniu odpowiedzi na interpelacje w Izbie Lordów. Choć kilka ciosów zadał jej także brat, obyło się bez rozlewu krwi. Czuła, że Giles zostawia ciężką artylerię na kluczowy moment prezentacji ustawy o państwowej służbie zdrowia.

Po interpelacjach była umówiona na spotkanie z Bertiem Denhamem, szefem od dyscypliny partyjnej. Rozmawiali o deputowanych, którzy choć zasiadali w ławach rządowych, wyrazili wątpliwości, gdy opublikowano projekt ustawy. Niektórzy uczynili to w dobrej wierze, inni zaś – choć przysięgali dozgonną lojalność wobec partii, jeśli tylko dostaną szansę zasiadania w tak szacownym gronie – odkryli nagle, że posiadają własne mózgi, bo oznaczało to przychylne dla nich artykuły w ogólnokrajowej prasie.

Emma ustaliła z szefem dyscypliny, którego z nich można zastraszyć, którego namówić, a którego pochlebstwami skłonić do zmiany zdania. W jednym lub dwóch przypadkach za właściwe rozwiązanie uznali obietnicę udziału w delegacji parlamentarnej, która w dniu głosowania miała się udać do jakiegoś egzotycznego kraju. Bertie uprzedził Emmę lojalnie, że mimo to liczba „pewnych” głosów jest niebezpiecznie bliska granicy.

Opuściwszy jego biuro, udała się z powrotem do swojego ministerstwa, gdzie wysłuchała raportu o problemach, które pojawiły się w ciągu dnia. Norman Berkinshaw, sekretarz generalny Królewskiego Kolegium Pielęgniarstwa – Emma od

dawna się zastanawiała, ile jeszcze czasu minie, zanim szefem tego ciała zostanie kobieta – domagał się czternastoprocentowej podwyżki dla swych podopiecznych. Zgodziła się na spotkanie z nim specjalnie po to, by mu uświadomić, że gdyby rząd zechciał ustąpić przed jego żądaniami, oznaczałoby to bankructwo państwowej służby zdrowia. Wiedziała jednak doskonale, że puści jej słowa mimo uszu.

O 16.30 – zapewne z lekkim poślizgiem – była umówiona na drinka w Carlton Club przy St James's Street, gdzie zamierzała przycisnąć najwierniejszych z wiernych konserwatystów, by z uśmiechem i w głębokim skupieniu wysłuchać ich opinii o tym, jak powinien funkcjonować rząd. Zaraz potem: kolacja w Królewskim Kolegium Chirurgów i kilka chwil w samochodzie na ostatni przegląd tekstu przemówienia. Kolejne skreślenia, kolejne poprawki, a potem zaznaczenie kluczowych słów, które należało wypowiedzieć z odpowiednim naciskiem.

W przeciwieństwie do Harry'ego Emma bez względu na to, jak była wyczerpana, musiała być wieczorem w jak najlepszej formie. Czytała kiedyś, że Margaret Thatcher wystarczają ledwie cztery godziny snu na dobę i że zawsze pojawia się za biurkiem o piątej rano, by pisać notatki do ministrów, szefów okręgów wyborczych, liderów służby cywilnej i starych przyjaciół. Nigdy nie zapomina o urodzinach i rocznicach oraz – jak ostatnio przekonała się Emma – o wysłaniu kartki z gratulacjami z okazji narodzin prawnuczki.

„Nigdy nie zapominaj", napisała pani premier w postscriptum, „że dzięki Twemu oddaniu i ciężkiej pracy zyska pokolenie małej Lucy".

Emma dotarła do domu przy Smith Square krótko po północy. Zadzwoniłaby wcześniej do Harry'ego, ale nie chciała go obudzić, wiedząc, że będzie musiał wstać o szóstej, by zabrać się do pracy nad rozdziałem drugim. Po cichu poszła do gabinetu i otworzyła kolejny czerwony kuferek z dokumentami, dostarczony w czasie, gdy jadła kolację z szefem Królewskiego Kolegium Chirurgów. Usiadła wreszcie i zabrała się do pracy nad szkicem wystąpienia, które mogło zadecydować o jej losach w świecie polityki.

„Czcigodni lordowie, mam przywilej przedstawić Izbie Wyższej drugie czytanie rządowego projektu ustawy o państwowej służbie zdrowia. Pozwolę sobie zacząć od..."

---

[*] Hol Zgody (Content Lobby) i Hol Niezgody (Not Content Lobby) to korytarze odpowiednio po prawej i lewej stronie sali obrad Izby Lordów brytyjskiego parlamentu, będące miejscem spotkania głosujących „za" oraz „przeciw".

45

– Dlaczego o tym rozmawiamy? – spytała Emma, gdy wyszli z domu na wieczorny spacer po Chew Magna.

– Wiesz, że niedawno byłem na dorocznych badaniach – odparł Harry. – Dziś rano dostałem wyniki.

– Mam nadzieję, że nie ma powodu do obaw? – Postarała się, by w jej głosie nie pobrzmiewał niepokój.

– Nie ma. Zdaje się, że odfajkowałem wszystkie punkty programu poza jednym, a doktor Richards, choć przestałem biegać, jest bardzo zadowolony, że nadal co wieczór wychodzę na godzinny spacer.

– Szkoda, że ja nie mogę – odpowiedziała Emma.

– Twoja osobista sekretarka bardzo się stara, żebyś nigdy nie miała za wiele czasu. Dobrze, że przynajmniej w weekend próbujesz to nadrobić.

– Powiedziałeś: wszystkie punkty programu poza jednym? – przypomniała sobie Emma, gdy szli alejką w stronę głównej drogi.

– Lekarz wspomniał, że mam parę małych guzków na prostacie. Nic niepokojącego, ale być może w niezbyt odległej przyszłości warto by się nimi zająć.

– Zgadzam się. W końcu w tych czasach możesz pójść na operację albo na radioterapię i wrócić do normalnego życia parę tygodni później.

– Najpierw potrzebny mi rok.

– Co masz na myśli? – spytała Emma, zatrzymując się.

– Tyle czasu potrzebuję na skończenie *Ty wygrywasz*, zgodnie z warunkami umowy.

– Już ja cię znam, kochanie. Gdy minie termin, będziesz miał pół tuzina nowych pomysłów w głowie. Mogę spytać, jak idzie praca?

– Każdy pisarz wierzy, że jego najnowsza książka jest tą najlepszą – a ja nie należę do wyjątków. Niestety trudno to stwierdzić obiektywnie, póki nie ukażą się recenzje albo, jak mawia Aaron Guinzburg, trzy tygodnie później, gdy stanie się jasne, czy kasy nadal dzwonią, mimo iż urok nowości przeminął i książka sprzedaje się już tylko dzięki pozytywnym opiniom.

– Do diabła z Aaronem Guinzburgiem. Co ci mówi przeczucie? – naciskała Emma.

– To najlepsza książka w mojej karierze – odparł Harry, bojowo bijąc się w pierś, lecz zaraz dodał: – Kto to może wiedzieć? A czy ciebie stać na realistyczną ocenę mowy, którą wygłaszasz?

– Tylko jednego mogę być pewna: że koledzy odrą mnie ze złudzeń, gdy tylko usiądę. Nie będą zwlekali trzy tygodnie.

– Może mógłbym ci jakoś pomóc?

– Najlepiej zdobądź kopię wystąpienia Gilesa, żebym była świadoma, z czym przyjdzie mi się zmierzyć.

– Pogadaj z Karin. Jestem pewny, że mogłaby to załatwić.

– To samo sugerował mi Seb, a ja mu odpowiedziałam, że gdyby Giles kiedyś się o tym dowiedział, nie tylko ze mną przestałby rozmawiać.

– Mowa Gilesa – rzekł Harry – będzie jak monolog Falstaffa: pełna wielkich idei, w większości niepraktycznych i ponad wszelką wątpliwość niemożliwych do sfinansowania, ale wśród nich znajdą się może jedna, dwie bryłki złota, które powinnaś ukraść i jeśli się uda – wykorzystać przed kolejnymi wyborami.

– Harry Clifton, podstępny z ciebie dziadek. Byłbyś nader groźnym politykiem.

– Byłbym fatalnym politykiem. Przede wszystkim wcale nie jestem pewny, którą partię popieram. Zwykle tę, która jest w opozycji. A na samą myśl o tym, że musiałbym mieć do czynienia z pismakami – nie wspominając o wyborcach – budzi się we mnie pęd do kariery pustelnika.

– Ciekawe, jakie to wstydliwe sekrety masz do ukrycia? – spytała drwiąco Emma, gdy zawrócili ku wiosce.

– Jestem skłonny przyznać się jedynie do tego, że zamierzam pisać i pisać, aż padnę trupem. Bądźmy szczerzy: dość mamy polityków w tej rodzinie. À propos – jak typowy polityk, nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Jak idzie pisanie przemówienia?

– Nie najgorzej, tylko martwię się, czy nie będzie zbyt nudne i przepełnione fachowym językiem. Myślę, że z zastrzeżeniami kolegów z partii już sobie poradziłam; zostało może dwóch nie do końca przekonanych. Prawdę mówiąc, mojemu przemówieniu potrzeba jeszcze czegoś: jednego fantastycznego pomysłu, który usadzi Gilesa na miejscu. Miałam nadzieję, że

znajdziesz chwilę, żeby przeczytać szkic, i powiesz mi szczerze, co myślisz.

– Jasne, że tak. Choć podejrzewam, że Giles jest równie niespokojny jak ty, i pewnie o niczym nie marzy bardziej niż o tym, żeby zdobyć kopię twojej mowy. I dlatego nie martwiłbym się zbytnio.

– A czy mogę jeszcze o coś cię poprosić?

– O cokolwiek, kochanie.

– Obiecaj, że pójdziesz do specjalisty; inaczej będę niespokojna – poprosiła Emma, chwytając męża pod ramię.

– Obiecuję – odparł Harry. Minęli kościół i skręcili na ścieżkę wiodącą przez łąki wprost do Manor House. – Ale oczekuję czegoś w zamian.

– Złowróżbnie to zabrzmiało.

– Chodzi o to, że spałbym spokojniej, gdybyśmy oboje uaktualnili nasze testamenty.

– A skąd masz takie myśli?

– Po pierwsze, uświadomiłem sobie, że w przyszłym roku skończę siedemdziesiąt lat i wypełnię mój kontrakt ze Stwórcą, a po drugie – urodziła nam się prawnuczka. Bylibyśmy nieodpowiedzialni, gdybyśmy nie uporządkowali naszych spraw.

– Ponurak z ciebie, Harry.

– Możliwe, ale nie wolno nam czynić uników. Moja ostatnia wola nie jest zresztą problemem, bo przecież poza paroma darowiznami na cele dobroczynne i pamiątkami dla przyjaciół wszystko zostawiam tobie. Zdaniem Seba jest to nie tylko rozsądne, ale i korzystne ze względów podatkowych. Myślę jednak, że oboje powinniśmy zacząć obdarowywać dzieci naszym

majątkiem, bo jeśli tylko pożyjemy jeszcze siedem lat, w ogóle nie zapłacą podatku. Problemem jest według Seba twój testament.

– Chyba że umrę przed tobą, mój drogi, bo wtedy twoje starannie poukładane plany...

– To bardzo mało prawdopodobne. Zechciej zauważyć, że notariusze, podobnie jak bukmacherzy, znają się na rachunku prawdopodobieństwa. Poniekąd z tego żyją. Firmy ubezpieczeniowe działają dziś w oparciu o założenie, że kobiety żyją o siedem lat dłużej niż ich mężowie. Przeciętny mężczyzna żyje siedemdziesiąt cztery lata, a jego żona – osiemdziesiąt jeden.

– Harry, w tobie nie ma absolutnie nic przeciętnego, a jeśli o mnie chodzi, to postanowiłam, że umrę dwa tygodnie po tobie.

– Dlaczego akurat dwa tygodnie?

– Nie chciałabym, żeby pastor zastał bałagan w domu.

Harry nie umiał powstrzymać uśmiechu.

– Bądź choć przez chwilę poważna, moja droga. Załóżmy, że jesteśmy przeciętną parą. Jestem o rok starszy od ciebie, więc powinnaś przeżyć mnie o osiem lat.

– Cholerne statystyki.

– Niemniej jednak chyba nadszedł czas, byś wprowadziła poprawki do testamentu. Trzeba ograniczyć obciążenie podatkowe potencjalnego spadku, które – mimo obietnic pani Thatcher – sięga na dziś czterdziestu procent.

– Ty naprawdę głęboko to wszystko przemyślałeś, prawda, Harry?

– Myśl o raku działa jak budzik, którego nie da się zignorować. Tak czy inaczej, poczytałem sobie to, co Prudential zapisał

drobnym drukiem w naszych polisach i powiem ci, że nie ma tam ani słowa o nieśmiertelności ubezpieczonych.

– Mam nadzieję, że nie będziemy zbyt często wracać do tej rozmowy.

– Raz do roku powinno wystarczyć. Ale naprawdę poczuję się lepiej, gdy będę pewny, że twoje papiery są w najlepszym porządku.

– Manor House zapisałam już Sebastianowi, a większość biżuterii dostaną Samantha, Jessica i Lucy.

– A co z Jakiem?

– Nie wydaje mi się, żeby z perłowym naszyjnikiem było mu do twarzy. Zresztą przeczuwam, że odziedziczył wszystkie najgorsze cechy ojca, w związku z czym zostanie multimilionerem.

Harry chwycił żonę za rękę. Byli coraz bliżej domu.

– I jeszcze coś z przyjemniejszych spraw – odezwał się po chwili. – Gdzie chciałabyś spędzić tegoroczne wakacje?

– Na małej wysepce na Oceanie Indyjskim, gdzie nie znalazłby mnie żaden z partyjnych kolegów.

– Od tygodni nie widzieliśmy się z Harrym i Emmą – powiedziała Karin. – Może zaprosimy ich na lunch w niedzielę?

– Nie mam zamiaru bratać się z wrogiem – odparł Giles, chwytając bojowo klapy szlafroka – póki nie odbędzie się ostatnie głosowanie i torysi nie polegną.

– Na miłość boską, Giles. Przecież to twoja siostra.

– O ile wierzyć rodzicom na słowo.

– Kiedy więc będziemy mogli się z nimi zobaczyć?

– Dopiero gdy odejdą kapitanowie i królowie.

– Co ty wygadujesz?

– Czy naprawdę sądzisz, że Wellingtonowi przyszłoby do głowy zjeść kolację z Napoleonem w przededniu bitwy pod Waterloo?

– Przypuszczam, że gdyby na to wpadł, wszyscy zainteresowani wyszliby na tym bez porównania lepiej – odparowała Karin.

Giles parsknął śmiechem.

– Mam wrażenie, że Napoleon przyznałby ci rację.

– Długo to jeszcze potrwa, zanim odkryjemy, że jedno z was ma zostać zesłane na Wyspę Świętej Heleny?

– Niedługo. Wstępną datę debaty ustalono w kalendarzu parlamentarnym na następny czwartek.

– A wolno spytać, jak sobie radzisz z przemową?

– Lepiej niż kiedykolwiek. Mogę skromnie wyznać, że spodziewam się radosnego wymachiwania papierami oraz gromkich, niekończących się oklasków. – Giles umilkł na moment. – A tak naprawdę, kochanie, to nie mam pojęcia. Powiem tylko, że jeszcze nigdy nie pracowałem tak ciężko, przygotowując się do wystąpienia.

– Nawet jeśli wygrasz ten spór – czy będziesz miał realną szansę zwycięstwa nad większościowym rządem?

– Jak najbardziej realną. Jeżeli uda się przeciągnąć niezależnych i liberałów na naszą stronę, wynik do końca pozostanie niepewny. Ponadto namierzyłem mniej więcej tuzin torysów, którzy wcale nie są zachwyceni projektem ustawy i nadal się wahają. Jeżeli zdołam niektórych przekonać do zmiany stron albo przynajmniej wstrzymania się od głosu, szanse będą praktycznie równe.

– Z pewnością się domyślasz, że szef dyscypliny u konserwatystów właśnie robi nadgodziny, przekonując,

przekupując i zastraszając potencjalnych buntowników?

– W Izbie Lordów nie jest to aż takie proste, jak ci się wydaje. Tu szefowie od dyscypliny partyjnej nie mogą zaoferować zbyt wielu atrakcyjnych posad, awansów ani honorów młodym, ambitnym politykom. Ja zaś mogę odwołać się do ich wrodzonej próżności, trąbiąc o tym, jakimi są odważnymi, niezależnymi i społecznie wrażliwymi facetami, gotowymi przedłożyć dobro narodu ponad dobro partii.

– A co z kobietami?

– Kobiety znacznie trudniej przekupić.

– Gilesie Barringtonie, jesteś łajdakiem.

– Wiem, kochanie. Ty zaś musisz nareszcie pojąć, że bycie łajdakiem należy do żelaznego pakietu obowiązków każdego polityka.

– Czy gdybyście zwyciężyli w głosowaniu – spytała Karin, poważniejąc po raz pierwszy – Emma musiałaby zrezygnować?

– Na wojnie i w miłości wszystkie chwyty są dozwolone.

– Mam nadzieję, że do swojego przemówienia wybrałeś lepsze banały.

– Zdrajczyni – syknął Giles, po czym włożył kapcie, wkroczył do łazienki i puścił gorącą wodę. Spojrzał w szybko znikające pod warstwą pary lustro i wyrecytował: – „Jakim prawem pani minister śmie udawać, że rozumie niedolę młodej matki z...” Darlington, Doncaster czy Durham? Co mam wybrać? – dokończył normalnym tonem.

– Darlington – odpowiedziała Karin. – Nie sądzę, żeby Emma kiedykolwiek tam była.

– „..albo trud górnika z południowej Walii, który pół życia spędza w kopalni; albo rolnika dzierżawiącego poletko gdzieś na szkockich wyżynach, który wstaje do pracy codziennie o czwartej rano? Albowiem ci właśnie ludzie liczą na opiekę zdrowotną w pobliskim szpitalu, gdy dopadnie ich choroba. I to właśnie oni pocałują tam klamkę, bo nasi szanowni, jakże troskliwi oponenci z Partii Konserwatywnej nie liczą się z ich zdrowiem ani życiem; liczą za to każdego pensa".

– Żeby zbudować w pobliżu większy, lepiej wyposażony szpital? – dopowiedziała Karin.

– „Jak czcigodna pani minister może pojąć..." – kontynuował Giles, ignorując zaczepkę żony.

– Długo będziesz tam siedział?

– Przestań dręczyć człowieka, kobieto. Dopiero zacząłem perorę!

– A ja muszę do toalety, i to już.

Giles wyszedł z łazienki.

– I ty śmiesz mnie oskarżać o nieuczciwą taktykę – stwierdził z wyrzutem, wymachując groźnie pędzlem do golenia.

Karin bez słowa spojrzała na nie do końca ogolonego męża i zniknęła za drzwiami.

Giles sięgnął po najświeższą wersję swej mowy, leżącą na stoliku nocnym, i zamienił Durham na Darlington.

– „Jak czcigodna pani minister może mieć nadzieję, że pojmie... – pochylił się i właśnie wykreślał „mieć nadzieję, że pojmie", gdy otworzyły się drzwi łazienki.

– Pani minister mogłaby przypomnieć czcigodnemu lordowi, że pojmuje doskonale, ponieważ miała zaszczyt przez siedem lat

kierować jednym z największych szpitali publicznej służby zdrowia.

– Po czyjej ty jesteś stronie? – spytał Giles.

– Nie podejmę decyzji, póki nie wysłucham obu stron – odparła Karin. – Jak dotąd wysłuchałam tylko jednej, za to kilkakrotnie.

– Miłość, szacunek i posłuszeństwo – przypomniał Giles, wracając do łazienki, by dokończyć golenie.

– Posłuszeństwa nie obiecywałam – odpowiedziała mu, zanim zatrzasnął drzwi.

A potem usiadła na końcu łóżka i zaczęła czytać szkic przemówienia. Musiała przyznać, że było całkiem niezłe. Po chwili drzwi łazienki znowu się otworzyły i stanął w nich gładko ogolony Giles.

– Pora omówić znacznie ważniejsze sprawy – oznajmił. – Dokąd pojedziemy w tym roku na wakacje? Myślałem o paru dniach na południu Francji. Moglibyśmy zatrzymać się w La Colombe d'Or, odwiedzić muzeum Matisse'a, przejechać się szosą wzdłuż morza, a nawet spędzić weekend w Monte Carlo.

– Do Berlina.

– Do Berlina? – powtórzył Giles, siadając obok Karin.

– Tak – odpowiedziała z powagą. – Mam przeczucie, że ten barbarzyński mur wkrótce nareszcie runie. Tysiące moich rodaków każdego dnia stają po zachodniej stronie w niemym proteście. Chciałabym tam pojechać, dołączyć do nich.

– I tak się stanie – odparł Giles, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Gdy tylko dotrę do biura, zadzwonię do Waltera Scheela. Jeżeli ktokolwiek wie coś o kulisach tego, co się tam dzieje, to właśnie on.

– Ciekawe, dokąd Emma się wybierze – rzuciła przez ramię Karin, wracając do łazienki.

Giles poczekał, aż zamkną się drzwi, zanim wyszeptał:

– Jeśli będę miał prawo głosu w tej sprawie, to na Wyspę Świętej Heleny.

46

– Muszę wyznać, sir Harry, że nigdy nie czytałem żadnej z pańskich książek – rzekł chirurg z Harley Street, spoglądając ponad biurkiem na swego pacjenta. – Za to mój kolega, pan Lever, jest ich zagorzałym miłośnikiem. Był więc zawiedziony, gdy wybrał pan operację zamiast radioterapii, która jest jego specjalnością. Czy mogę zacząć od pytania, czy podtrzymuje pan tę decyzję?

– Z całą pewnością, panie Kirby. Przedyskutowałem sprawę dogłębnie z moim lekarzem ogólnym, doktorem Richardsem, a także z żoną. Oboje są zdania, że powinienem wybrać operację.

– Wobec tego zadam kolejne pytanie, choć myślę, że znam już odpowiedź: czy wolałby pan być operowany prywatnie, czy w placówce państwowej?

– Akurat w tej sprawie nie miałem wiele do powiedzenia – odparł Harry. – Moja żona kierowała państwowym szpitalem przez siedem lat, a teraz została ministrem zdrowia – gdybym zdecydował się na prywatne leczenie, uznałaby to za oczywisty powód do rozwodu.

– W takim razie pozostaje nam tylko ustalić termin. Zapoznałem się z wynikami badań i zgadzam się z pańskim lekarzem, że choć poziom antygenu PSA istotnie sięga sześciu, nie ma powodu do niepokoju. Prawdą jest jednak, że z roku na rok ten poziom rośnie, zatem rozsądek nakazuje nie zwlekać dłużej z operacją. Dlatego też chciałbym zarezerwować dla pana termin w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Będzie to korzystne także dlatego, że nikomu nie przyjdzie do głowy sugerować, iż z racji rodzinnych koneksji wskoczył pan na wysokie miejsce w kolejce oczekujących.

– Prawdę mówiąc, nawet mi to pasuje. Właśnie skończyłem szkic kolejnej powieści i przed Bożym Narodzeniem zamierzam oddać wydawcy gotowy tekst.

– Zatem jeden problem mamy z głowy – rzekł Kirby i zabrał się do wertowania sporego biurkowego terminarza. – Może jedenastego stycznia o dziesiątej? I proponuję, żeby od razu zarezerwował pan sobie kolejne trzy tygodnie.

Harry zaznaczył datę w kalendarzu, dodał trzy gwiazdki u szczytu strony i ukośną linią skreślił resztę miesiąca.

– Większość zabiegów finansowanych przez państwową służbę zdrowie wykonuję w szpitalach Guy's i St Thomas's – ciągnął Kirby. – Zdaje się, że do Tommy's będą państwo mieli bliżej, ledwie przez most Westminsterski, więc chyba tak wygodniej?

– W rzeczy samej, dziękuję.

– Wypada mi jeszcze wspomnieć o drobnej komplikacji, która ujawniła się od czasu pańskiej ostatniej wizyty u doktora Richardsa. – Kirby obrócił się z krzesłem i wskazał na ekran zawieszony na ścianie. – Jeśli przyjrzy się pan temu zdjęciu

rentgenowskiemu – mówiąc to, skierował palec ku cieniutkiej, jasnej linii – dostrzeże pan, że komórki nowotworowe są w tej chwili skupione na niewielkim obszarze. Jednakże bliższa analiza wykazuje – ciągnął, jednocześnie powiększając obraz – że mamy tu paru małych niegodziwców, którzy próbują uciec. Zamierzam ich stamtąd usunąć, zanim dotrą do innych narządów, w których mogliby poczynić znacznie poważniejsze szkody. Wprawdzie od niedawna dysponujemy lekiem na raka prostaty, ale nie mogę powiedzieć tego samego o nowotworach kości czy wątroby, a właśnie tam kierują się ci mali dranie.

Harry skinął głową.

– A teraz, jak mniemam, chciałby pan zadać mi kilka pytań, sir Harry.

– Jak długo potrwa operacja? I jak szybko wrócę do sił?

– Zazwyczaj operujemy przez trzy do czterech godzin. Pierwsze dwa tygodnie rekonwalescencji zapewne będą dla pana nieprzyjemne, ale typowy pacjent wraca do normalnego funkcjonowania najpóźniej po trzech tygodniach. Na pańskim brzuchu pozostawimy kilka niewielkich blizn, które szybko zblakną. Przypuszczam, że po miesiącu od operacji znowu będzie pan tworzył.

– Pokrzepiające wieści – odparł Harry, a po chwili spytał z lekkim wahaniem: – Ile razy przeprowadzał pan tego typu zabiegi?

– Ponad tysiąc, więc wydaje mi się, że pomału zaczynam rozumieć, o co chodzi – odparł gładko Kirby. – A ile książek pan napisał?

– Trafiony, zatopiony – przyznał Harry, po czym wstał, by podać chirurgowi rękę. – Dziękuję. I już wyczekuję ponownego spotkania w styczniu.

– Nikt nie wyczekuje ponownego spotkania ze mną – odrzekł Kirby. – Ale w tym przypadku mogę powiedzieć, że to dla mnie zaszczyt, że wybrał pan właśnie mnie. Może i nie czytuję pańskich książek, ale właśnie zaczynałem pierwszą pracę jako rejestrator w szpitalu uniwersyteckim, gdy pan przemawiał przed Komitetem Noblowskim w Sztokholmie w imieniu Anatolija Babakowa. – Kirby wyjął z kieszeni pióro i uniósł je wysoko. – „Pióro to oręż potężniejszy od miecza".

– Pochlebia mi pan i zarazem przeraża mnie – przyznał Harry.

– Przeraża? – zdumiał się lekarz.

– Pochlebia mi to, że zapamiętał pan moje wystąpienie, a przeraża to, że był pan w owym czasie młodym rejestratorem. Czy ja jestem aż tak stary?

– Ależ skąd – odparł Kirby. – A gdy z panem skończę, pożyje pan w dobrym zdrowiu kolejnych dwadzieścia lat.

– I co ty na to? – spytała szeptem Emma.

– Nie będę udawał, że to byłby mój pierwszy wybór spośród prac Jessie, gdyby zależało mi na złotym medalu Akademii Królewskiej – przyznał Richard.

– Ani mój. I pomyśleć, że mogła zgłosić któryś z tradycyjnych portretów. Miałaby przynajmniej szansę na zwycięstwo.

– Ależ to jest portret, mamo – wtrącił Sebastian.

– Seb, to jest olbrzymi kondom – odpowiedziała szeptem Emma.

– Racja, ale jeśli przyjrzysz się bliżej, dostrzeżesz jego prawdziwe znaczenie.

– O tak, przyznaję się bez bicia: nie dostrzegłam jego prawdziwego znaczenia – odparowała Emma. – Może więc będziesz uprzejmy mi je naświetlić?

– To komentarz Jessie na temat rodzaju ludzkiego – pospieszyła z pomocą Sebastianowi Samantha. – W kondomie ukryty jest portret współczesnego mężczyzny.

– Ależ to...

– Tak – nie wytrzymał Harry. – To penis w stanie erekcji, w zastępstwie ludzkiego mózgu.

– I uszu – dodała Emma.

– Brawo, mamo. Cieszę się, że w końcu to rozgryzłaś.

– Spójrzcie uważnie na oczy – powiedziała Samantha. – Dostrzeżecie w nich zarys dwu nagich kobiet.

– Rzeczywiście, widzę je. Tylko dlaczego facet wystawia język?

– Nie mam pojęcia, matko – odparł Seb.

– Ale czy ktoś to kupi za trzy tysiące funtów? – spytała Emma bez przekonania.

– Ja zamierzam.

– Seb, jak zawsze jesteś lojalny, ale gdzie, na miłość boską, chciałbyś powiesić coś takiego?

– W holu głównym banku, żeby każdy mógł podziwiać.

– Sebastianie, przecież to olbrzymi kondom!

– W rzeczy samej, matko. Podejrzewam nawet, że któryś z naszych bardziej oświeconych klientów też może na to wpaść.

– Nie wątpię, że i tytuł potrafisz mi wyjaśnić – powiedziała Emma. – *Co siedem sekund*?

Przybycie dystyngowanego dżentelmena ocaliło Sebastiana.

– Dobry wieczór, pani minister – zwrócił się ów dżentelmen do Emmy. – Ogromnie się cieszę, widząc panią z małżonkiem w siedzibie Akademii Królewskiej.

– Dziękuję, sir Hugh. Za nic nie przepuścilibyśmy takiej okazji.

– Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego oderwała się pani od pilnych zajęć, by do nas dołączyć?

– Moja wnuczka – odparła Emma, z nieskrywanym zażenowaniem wskazując na *Co siedem sekund*.

– Zapewne jest pani z niej bardzo dumna – stwierdził były rektor Akademii Królewskiej. – Wnuczkę zaś wypada mi pochwalić za to, że ani słowem nie wspomniała, jak wyjątkowych ma dziadków.

– Podejrzewam, że kto ma ojca bankiera i babcię z Partii Konserwatywnej, ten nie chwali się tym zbytnio w gronie przyjaciół-artystów. Choć z drugiej strony, pewnie nie wspomniała panu i o tym, że w wiejskim domu mamy dwie pańskie akwarele?

– To dla mnie zaszczyt – odparł sir Hugh. – Muszę jednak przyznać, że wolałbym urodzić się z takim talentem, jaki posiada państwa wnuczka.

– Bardzo pan uprzejmy, ale jeśli łaska, chciałabym usłyszeć pańską szczerą opinię o jej najnowszym dziele.

Były rektor zamyślił się na chwilę, wpatrzony w *Co siedem sekund*.

– Oryginalne, innowacyjne. Rozciąga granice wyobraźni widza. Powiedziałbym, że widać wpływ Marcela Duchampa.

– Zgadzam się z panem w zupełności, sir Hugh – wtrącił Sebastian. – I właśnie dlatego zamierzam kupić ten obraz.

– Obawiam się, że już został sprzedany.

– Naprawdę, ktoś go kupił? – spytała z niedowierzaniem Emma.

– Tak jest. Gdy tylko otworzyliśmy wystawę, skusił się nań pewien amerykański marszand. Zaraz potem kilkoro innych klientów, podobnie jak państwo, z rozczarowaniem przyjęło wiadomość o tym, że obraz już znalazł nabywcę.

Emma nie wiedziała, co powiedzieć.

– Państwo pozwolą, że ich opuszczę. Pora ogłosić, kto zdobył w tym roku złoty medal.

Sir Hugh skłonił się lekko, po czym oddalił się w stronę sceny wzniesionej na końcu sali.

Emma nadal milczała, gdy dwaj fotoreporterzy zaczęli fotografować ją na tle obrazu. Po chwili reporter przewrócił kartkę w notesie i zagadnął:

– Pani minister, jeśli wolno spytać – co pani sądzi o portrecie namalowanym przez wnuczkę?

– Oryginalny, innowacyjny. Rozciąga granice wyobraźni widza. Powiedziałabym, że widać wpływ Marcela Duchampa.

– Dziękuję, pani minister – odpowiedział dziennikarz, pilnie zapisując jej słowa, po czym zniknął.

– Mamo, mało powiedziane, że jesteś bezwstydna: twoje zuchwalstwo rozciąga granice wyobraźni widza. Założę się, że do dziś nawet nie słyszałaś o Duchampie.

– Bądźmy szczerzy – odezwał się Harry. – Twoja matka nigdy tak się nie zachowywała, póki nie została politykiem.

Rozległo się dyskretne pukanie w mikrofon i wszyscy odwrócili się ku scenie.

– Dobry wieczór paniom, dobry wieczór panom. Nazywam się Hugh Casson i pragnę powitać państwa na wystawie w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jako przewodniczący jury mam zaszczyt ogłosić wynik tegorocznych zmagań. Zazwyczaj poprzedzam swoje wystąpienie wzmianką o tym, jak trudna była decyzja i jak niewiele zabrakło pechowym konkurentom – ale nie tym razem, albowiem jury podjęło jednogłośną decyzję o przyznaniu złotego medalu...

– Pewnie jest pani bardzo dumna z wnuczki – powiedziała dyrektor gabinetu, gdy następnego ranka zamknęła za sobą drzwi pokoju pani minister. – Dołączyła do znakomitego towarzystwa.

– Rzeczywiście, znam szczegóły z porannych gazet. Wiem też, jak jest interpretowana jej praca, ale powiedz mi, Pauline, co ty w niej dostrzegasz?

– Jest oryginalna, innowacyjna. Rozciąga granice wyobraźni widza.

– Tego mi było trzeba – mruknęła Emma, nie próbując nawet ukryć sarkazmu. – Ale chyba nie muszę ci przypominać, że to tylko wielki kondom, który zresztą „Sun" umieścił na pierwszej stronie ostatniego numeru?

– W dodatku jest to kondom, który wzbudził znacznie większe zainteresowanie niż cała kampania na rzecz bezpiecznego seksu, którą pani minister poprowadziła w zeszłym roku. Pamięta ją pani jeszcze?

– O, tak. Zwłaszcza, że i o mnie pisano tu i tam, gdy pozwoliłam sobie wyrazić nadzieję na „głęboką penetrację" problemu – odpowiedziała z uśmiechem Emma. – Coś jeszcze, Pauline?

– Właśnie przeczytałam najnowszą wersję przemówienia, z którym wystąpi pani podczas czwartkowej debaty.

– I zasnęłaś?

– Wydało mi się odrobinę prozaiczne.

– No proszę, jak grzecznie udało ci się przekazać, że jest nudne.

– Powiem tak: nie zaszkodziłaby mu mała dawka humoru.

– Zwłaszcza że humor to specjalność mojego brata.

– Kto wie, czy taki dodatek nie przesądzi o wyniku głosowania, jeśli media mają rację, sugerując, że walka będzie bardzo wyrównana.

– A czy suche fakty nie wystarczą, żeby przekonać wątpiących?

– Nie liczyłabym na to, pani minister. I chyba powinna pani wiedzieć, że pani premier pytała o nasze plany na wypadek przegranej.

– Naprawdę? W takim razie w ten weekend jeszcze raz przeanalizuję tekst. Ironia losu polega na tym, że gdybym miała stanąć przeciwko komuś innemu, to właśnie brata poprosiłabym o dorzucenie do tej mowy paru bon motów.

– A on z pewnością chętnie by to zrobił – odrzekła Pauline – ale też niewątpliwie właśnie dlatego Kinnock dał mu miejsce w Gabinecie Cieni.

– Mało to subtelne – oceniła Emma. – Coś jeszcze?

– Tak, pani minister. Może mogłybyśmy porozmawiać chwilę o sprawie osobistej?

– Brzmi to poważnie, Pauline, ale tak, oczywiście.

– Czy śledzi pani wyniki badań nad DNA prowadzonych w Stanach?

– Niestety nie – odparła Emma. – Czerwone kuferki dostarczają mi wystarczająco obszernej lektury.

– Rzecz w tym, że ostatnie, przełomowe odkrycie może panią bardzo zainteresować.

– Dlaczego? – spytała Emma, szczerze zdziwiona.

– Otóż uczeni mogą teraz ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, czy dwoje ludzi jest ze sobą spokrewnionych.

– Skąd wiedziałaś? – spytała cicho Emma.

– Gdy ktoś zostaje ministrem, mamy obowiązek przygotować dossier na jego albo jej temat, tak abyśmy nie dali się zaskoczyć, gdyby ktoś z mediów zgłosił się z jakimiś rewelacjami.

– I ktoś się zgłosił?

– Nie, ale tak się składa, że byłam młodą dziewczyną, gdy w Izbie Lordów trwała debata, która miała rozstrzygnąć o tym, czy pierworodnym, a zatem i pełnoprawnym dziedzicem tytułu i włości Barringtonów jest pani brat, czy Harry Clifton. My, uczennice Berkhamsted High, uważałyśmy wtedy zgodnie, że to bardzo romantyczna historia, i z zachwytem przyjęłyśmy rozstrzygnięcie – pani brat został dziedzicem, a pani mogła poślubić ukochanego.

– A teraz nareszcie mam szansę ustalić, czy czcigodni lordowie się nie pomylili – dopowiedziała Emma. – Daj mi trochę czasu do namysłu, ale z pewnością nie uczynię nic w tej sprawie bez błogosławieństwa Harry'ego.

– Naturalnie, pani minister.

– W takim razie coś lżejszego na koniec, Pauline: powiedziałaś, że posiadacie dossier na mój temat. Czy to znaczy, że macie wgląd do teczek wszystkich innych ministrów?

– Ależ oczywiście. To jednak nie oznacza, że chciałabym się z panią podzielić informacjami o tym, który z jej kolegów jest transwestytą, który został przyłapany na paleniu marihuany w pałacu Buckingham, a który z lordów lubi przebierać się za policjanta i nocą patrolować miasto.

– Jeszcze jedno pytanie, Pauline: czy wśród wymienionych jest któryś z naszych niezdecydowanych?

– Niestety nie, pani minister.

47

Choć większość z ich lordowskich mości podjęła decyzję w sprawie głosowania na długo przed tym, nim Izba Wyższa zebrała się na kluczową debatę, Emma i Giles pogodzili się z faktem, że los nowej ustawy spoczywa w rękach nie więcej niż tuzina ludzi, których można było jeszcze nakłonić do zmiany zdania.

Tego ranka Emma wstała wcześniej i raz jeszcze przejrzała tekst wystąpienia, zanim wybrała się do ministerstwa. Kilkakrotnie przećwiczyła na głos kluczowe akapity. Słuchał jej jedynie Harry, i choć podrzucił jej kilka znakomitych sugestii, niechętnie musiała pogodzić się z faktem, iż występując w imieniu rządu, nie może sobie pozwolić na pełną swobodę retorycznych hiperboli, w których celował Giles w ławach opozycji. Lecz przecież jemu przyświecał tylko jeden cel: ośmieszyć rząd na chwilę przed głosowaniem. Jej zadaniem było zaś sprawowanie władzy.

Gdy przybyła do swego biura w gmachu Alexandra Fleminga, z satysfakcją przekonała się, że jej terminarz na ten dzień jest pusty – urzędnicy zadbali, by mogła się skupić na najistotniejszej misji. Niczym niespokojny sportowiec sposobiący się do

olimpijskiego finału wyczuwała, że sposób, w jaki spędzi ostatnie godziny przed wielkim wyścigiem, może zadecydować o jego wyniku. Różnica polegała na tym, że w polityce nie ma nagród za drugie miejsce.

Przez ostatni tydzień starała się przewidzieć każde podchwytliwe pytanie, które mogło paść podczas debaty, tak by ani razu nie dać się zaskoczyć. Czy słowa marszałka Montgomery'ego miały okazać się prawdą? Twierdził wszak, że zwycięstwo w bitwie w dziewięćdziesięciu procentach zależy od przygotowań prowadzonych na długo przed tym, nim padnie pierwszy strzał.

Emma drżała mimowolnie, gdy wsiadała do służbowego samochodu, który miał ją zawieźć na drugą stronę rzeki, do Pałacu Westminsterskiego. Gdy tam przybyła, zamknęła się w swoim gabinecie z filiżanką czarnej kawy i kanapką z szynką. Raz jeszcze przejrzała tekst, wprowadziła kilka nieznacznych poprawek i udała się na posiedzenie Izby Wyższej.

Gdy Big Ben zadzwonił dwukrotnie, lord spiker zajął miejsce na swym siedzisku zwanym Woolsackiem[*] na znak, że obrady mogą się rozpocząć.

Wielebny biskup Worcester powstał z ławy biskupiej, by poprowadzić tradycyjną modlitwę. Podobnie jak inni zgromadzeni, był w pełni świadomy znaczenia tej debaty, a także faktu, iż choć w procedowaniu miało prawo uczestniczyć ponad tysiąc dziedzicznych parów oraz sześciuset dożywotnich, sala mogła pomieścić co najwyżej pięciuset. Nikogo nie dziwił więc fakt, że w ławach panował wielki ścisk.

Pierwszym punktem obrad były interpelacje do przedstawiciela Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale jego odpowiedzi prawie nikogo nie obchodziły. W oczekiwaniu na gwóźdź programu dało się słyszeć w Izbie coraz głośniejszy gwar rozmów.

Giles wkroczył do sali pod koniec interpelacji, ciepło witany przez swych kolegów, niczym bokser wagi ciężkiej idący w stronę ringu. Zajął jedyne wolne miejsce w pierwszym rzędzie.

Emma zjawiła się kilka chwil później i zgotowano jej równie miłe powitanie, gdy szła wzdłuż ławy rządowej, by zająć miejsce obok przywódcy Izby.

Gdy padła odpowiedź na ostatnie zapytanie, lord spiker ogłosił, że można przystąpić do najważniejszej części posiedzenia. Wtedy wstał niespiesznie lord Belstead i położył tekst swego wystąpienia na mównicy, pewnym gestem człowieka, który przetrwał niejedną kadencję w służbie państwa. To on miał wystrzelić pierwszą salwę w imieniu strony rządowej.

Gdy wygłosił swą zwięzłą mowę, lord Cledwyn, polityk równie doświadczony, powstał z ław opozycji i zajął jego miejsce.

Tak rozpoczęła się seria wystąpień parów z dalszych szeregów partyjnych, którym Emma i Giles, podobnie jak reszta zgromadzenia, przysłuchiwali się ze zmiennym zainteresowaniem. Widać było, że wszyscy czekają na to, co będą mieli do powiedzenia czcigodny lord Barrington z Bristol Docklands, który miał podsumować stanowisko opozycji, oraz czcigodna baronessa Clifton z Chew Magna, która miała bronić projektu ustawy w imieniu rządu.

Emma i Giles ani na chwilę nie opuścili sali podczas debaty, rezygnując nawet z przerwy na kolację – słuchali kolejnych

wystąpień, od czasu do czasu notując co istotniejsze punkty.

Choć między godziną dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą w ławach pojawiły się czerwone plamy wolnych miejsc, oboje wiedzieli, że zanim rozpocznie się drugi akt parlamentarnego dramatu, rzędy siedzisk zapełnią się na nowo. Tylko John Gielgud, gdy po raz ostatni grał na West Endzie w *Najlepszych z przyjaciół*, mógł liczyć na równie pełną salę.

Zanim z tylnych ław powstał ostatni mówca, jedynym wolnym miejscem był tron, na którym zasiadała wyłącznie królowa, a i to tylko podczas mowy inaugurującej kolejną kadencję parlamentu. Na stopniach poniżej tronu i w przejściach między szeregami ław pełno było parów, dla których zabrakło miejsc. W głębi sali zebrało się nawet kilku przedstawicieli Izby Gmin, z sekretarzem stanu, który osobiście obiecał pani premier, że uczyniono wszystko, by ustawa została przyjęta, a rząd mógł się zająć realizacją pozostałych elementów bogatego programu legislacyjnego, na którą torysi mieli coraz mniej czasu. Sądząc po zatroskanych obliczach członków Izby Niższej, w głębi serca żaden z nich nie był pewny wyniku.

Emma spojrzała na galerię dla gości i dostrzegła w pierwszym rzędzie swych bliskich. Zaraz jednak przypomniała sobie, że to także rodzina Gilesa, zapewne równie mocno podzielona jak Izba Lordów. Harry, Sebastian i Samantha bez wątpienia popierali ją, Karin, Grace i Freddie stali zaś po stronie Gilesa. Wydawało się, że decydujący głos należy do Jessiki. Emma czuła, że podobnie kształtuje się jej poparcie wśród parów.

Gdy lord Samuels, były prezes Królewskiego Kolegium Lekarzy, usiadł, wygłosiwszy ostatnie słowa swego wystąpienia, w sali

zapanował pełen wyczekiwania gwar przyciszonych głosów.

Jeżeli Giles czuł zdenerwowanie, podnosząc się ze swego miejsca, to nie dał tego po sobie poznać. Chwycił obiema rękami pulpit mównicy i zaczekał, aż szmer rozmów ucichnie, nim wypowiedział pierwsze zdanie.

– Czcigodnie lordowie, staję przed wami dziś wieczór boleśnie świadom faktu, iż w naszych rękach spoczywa los państwowej służby zdrowia. Chciałbym, by te słowa były przesadą, ale obawiam się, że nie są, a to dlatego, że to właśnie wy, parowie, i nikt inny, zadecydujecie o tym, czy ta fatalna ustawa – tu pomachał plikiem papierów wysoko nad głową – stanie się prawem, czy tylko pamiątką dla kolekcjonerów zainteresowanych ślepymi zaułkami historii.

Nie muszę wam przypominać, milordowie, że to Partia Pracy, pod wodzą Clema Attlee, nie tylko stworzyła państwową służbę zdrowia, ale także broniła jej od pierwszego dnia. Za każdym razem, gdy kraj cierpiał pod jarzmem konserwatywnej władzy, to laburzyści dbali o to, by państwowa służba zdrowia przetrwała ataki ze strony niewiernych szturmujących jej święte bramy.

Za plecami mówcy wybuchły nagle gromkie wiwaty. Giles skorzystał z okazji, by przewrócić kartkę i zerknąć na kolejne zdania.

– Milordowie, przyznaję ze wstydem – ciągnął, wzdychając przy tym teatralnie – że w szeregach owych niewiernych znalazła się i moja krewna, baronessa Clifton z Chew Magna.

Tym razem obie strony wybuchły śmiechem. Emma żałowała w duchu, że nie ma takiego daru, że nie potrafi płynnie

przechodzić od śmiertelnej powagi do lekkich żartów, jednocześnie porywając słuchaczy.

Giles poświęcił dwadzieścia minut na to, by wers po wersie poddać projekt ustawy miażdżącej krytyce, skupiając się zwłaszcza na tych punktach, które budziły wątpliwości w „niepewnych" torysach. Emma mogła jedynie podziwiać zręczność, z jaką jej brat wychwalał pod niebiosa „godne mężów stanu" dokonania owych kilkorga niezdecydowanych parów, by dodać na koniec:

– Możemy tylko mieć nadzieję, że owi mężczyźni i kobiety wrażliwego sumienia okażą równą odwagę i niezależność myślenia, gdy przyjdzie pora głosowania. Że nie odrzucą w ostatniej chwili swych najgłębszych przekonań, kryjąc się za fałszywą maską partyjnej lojalności.

Nawet jak na wysokie standardy Gilesa, było to druzgocące wystąpienie. I sojusznicy, i przeciwnicy słuchali go w napięciu, on zaś, niczym Merlin, hipnotyzował Izbę Lordów swymi zaklęciami. Emma wiedziała, że jeśli ma go pokonać, będzie musiała zburzyć ów czar i przywołać swych partyjnych kolegów z powrotem do rzeczywistości.

– Pozwolę sobie zakończyć – rzekł wreszcie Giles niemal szeptem – przypominając wam, milordowie, o wielkiej odpowiedzialności, która spoczywa na was tego wieczoru. Macie szansę odrzucić wadliwy, oszukańczy projekt nowej ustawy, która – gdyby stała się prawem – mogłaby unicestwić państwową służbę zdrowia taką, jaką ją znamy, i na zawsze skalać pamięć jej wspaniałej przeszłości, złotych dni chwały. – To rzekłszy, pochylił się nad mównicą i niespiesznym spojrzeniem omiótł twarze

siedzących w ławie rządowej. – Ta ustawa dowodzi jednego, milordowie: dinozaury można znaleźć nie tylko w Muzeum Historii Naturalnej. – Odczekał chwilę, by śmiechy umilkły, nim dodał znacznie ciszej: – Ci z was, którzy podobnie jak ja przestudiowali jej projekt słowo po słowie, z pewnością zauważyli, że jest i takie, którego w niej zabrakło. Szukałem bez końca, ale nigdzie nie znalazłem słowa „współczucie". Ale czy to powinno nas dziwić, skoro pani minister, którą tu widzicie, a która za chwilę oficjalnie przedstawi projekt ustawy, osobiście odmówiła udzielenia ciężko pracującym pielęgniarkom podwyżki?

Z ław opozycji dobiegły okrzyki: „Hańba!", a Giles spojrzał spode łba na swą siostrę.

– Nie trzeba czytać między wierszami, by pojąć, że prawdziwym celem tego rządu jest narzucenie nam prawa, które zamieni słowo „państwowa" na „prywatna", albowiem jego priorytetem jest służyć tym, których stać na chorowanie. Ci, którzy nie udźwigną takich kosztów, skończą na śmietniku. Taka bowiem jest – i zawsze była – naczelna filozofia tego rządu.

Milordowie – ciągnął Giles, stopniowo zwiększając natężenie głosu – namawiam was do zdecydowanego głosowania przeciwko tej niesprawiedliwej ustawie, tak aby wszyscy obywatele mogli nadal cieszyć się bezpieczeństwem, korzystając z prawdziwie państwowej opieki medycznej. Wierzę bowiem, że gdy chodzi o ochronę zdrowia, wszyscy ludzie, i mężczyźni, i kobiety – tu spojrzał w stronę siostry – są równi. Dlatego nie proszę was, ale błagam, czcigodni lordowie, abyście pokazali dziś wszystkim rodakom, co naprawdę leży wam na sercu, gdy w zgodnym głosowaniu odrzucicie ten haniebny projekt.

Giles spoczął przy wtórze głośnych wiwatów i furkotu papierów, którymi wymachiwali członkowie opozycji. W ławach torysów panowała głęboka cisza. Gdy i laburzyści wreszcie umilkli, Emma wstała powoli, ułożyła tekst przemówienia na pulpicie i mocno zacisnęła dłonie na jego brzegach w nadziei, że nikt nie zauważy jej zdenerwowania.

– Milordowie – zaczęła lekko drżącym głosem – grubiaństwem byłoby nie przyznać, że mój czcigodny krewny, lord Barrington, odegrał swoją rolę znakomicie. A przecież była to tylko rola, bo podejrzewam, że gdy jutro przeczytacie w „Hansardzie" jego wystąpienie, przekonacie się, że choć była to mowa długa i efektowna, to treści i faktów było w niej jak na lekarstwo.

Z ław partii rządzącej dobiegło kilka stłumionych okrzyków „Racja, racja!"; opozycja siedziała cicho.

– Poświęciłam siedem lat życia na kierowanie dużym publicznym szpitalem, więc nie muszę nikomu udowadniać, że los państwowej służby zdrowia jest mi co najmniej tak samo drogi, jak jej najzagorzalszym zwolennikom w tej sali. Jednakże, choć mój przedmówca włożył w swoje wystąpienie tyle pasji, prawda jest taka, że pasja nie wystarczy – ktoś musi płacić rachunki i pilnować, żeby bilans się domknął. Państwową służbę zdrowia trzeba finansować prawdziwymi pieniędzmi, a te pochodzą z podatków prawdziwych ludzi.

Emma z zadowoleniem spostrzegła, że coraz więcej parów kiwa potakująco głowami. Przemówienie Gilesa zostało bardzo dobrze przyjęte, ale to na niej spoczywała odpowiedzialność za wytłumaczenie zgromadzonym wszystkich detali proponowanego prawa. Poprowadziła więc czcigodnych lordów przez kolejne

paragrafy ustawy, ale nie zauważyła, by precyzyjne informacje wzbudziły w zebranych równie gorące emocje jak gładkie zdania jej brata.

Przewracając kolejną kartkę, przypomniała sobie słowa dziadka, lorda Harveya, o tym, co nazywał „utratą uwagi Izby" – o owej chwili, w której zgromadzeni kolejno się wyłączają i zaczynają z sobą rozmawiać. Był to moment o wiele bardziej przygnębiający niż szydercze nawoływania czy okrzyki „Hańba!".

Emma dostrzegła w tłumie jednego z sędziwych parów, który właśnie przysnął. Chwilę później zaczął nawet chrapać, a siedzący obok ani myśleli go zbudzić – zbyt dobrze się bawili, obserwując narastające zdenerwowanie pani minister. Emma uświadomiła sobie, że minuty mijają i już za chwilę usłyszy wezwanie do podziału Izby, a potem rozpocznie się liczenie głosów. Spojrzała na kolejną stronicę tekstu.

– A teraz chciałabym wyrazić uznanie dla prawdziwego kręgosłupa państwowej służby zdrowia, naszych wspaniałych pielęgniarek, które...

Giles zerwał się na równe nogi, by jej przerwać. Wkroczył na nieprzyjacielskie terytorium, a Emma bez słowa ustąpiła mu miejsca przy mównicy.

– Serdecznie dziękuję szanownej pani za ten miły gest, ale jeśli wolno, chciałbym spytać: skoro uważa pani, że pielęgniarki tak wspaniale się spisują, to dlaczego mają dostać ledwie trzyprocentową podwyżkę? – To rzekłszy, wrócił na miejsce w przekonaniu, że właśnie rzucił siostrę na liny, z wielu stron bowiem dobiegły okrzyki: „Racja, racja!".

Emma znowu stanęła przy mównicy.

– Czcigodny lord, o ile dobrze pamiętam jego słowa, domagał się podwyżki czternastoprocentowej, czy nie tak? – Giles energicznie pokiwał głową. – Wypada mi zatem spytać, gdzie jego zdaniem rząd miałby znaleźć dodatkowe środki na tak radykalne zwiększenie wydatków?

Giles znowu wstał, gotów zadać cios ostateczny.

– Na początek podniósłbym opodatkowanie najlepiej zarabiających, którzy bez trudu mogliby dołożyć do budżetu nieco więcej, by pomóc gorzej uposażonym.

Usiadł, nagrodzony jeszcze głośniejszym aplauzem. Emma cierpliwie czekała na ciszę, wciąż stojąc przy pulpicie.

– Pięknie dziękuję czcigodnemu lordowi za podpowiedź, od czego należałoby zacząć – odezwała się wreszcie, unosząc czerwoną teczkę, którą dostała rano od przedstawiciela Skarbu – jako że taki początek byłby zarazem końcem. Skoro każe Izbie Wyższej wierzyć, że Partia Pracy byłaby gotowa zaoferować czternastoprocentową podwyżkę dla pielęgniarek i sfinansować ją, po prostu podnosząc podatki obywatelom zarabiającym powyżej czterdziestu tysięcy funtów rocznie, to moja odpowiedź brzmi tak: musiałby zażądać natychmiastowego podniesienia owego podatku do dziewięćdziesięciu trzech procent. Przyznaję – dodała, pozwalając sobie na sarkazm w stylu brata – że nie wiedziałam, iż wprowadzenie dziewięćdziesięciotrzyprocentowego podatku dochodowego jest oficjalną strategią Partii Pracy, nie ma bowiem o nim wzmianki w jej programie wyborczym, który przeczytałam od deski do deski.

Emma nie widziała swych kolegów, wskazujących palcami jej brata, ale wyraźnie słyszała ich śmiechy oraz powtarzane wielokrotnie: „Dziewięćdziesiąt trzy procent, dziewięćdziesiąt trzy procent!”.

Podobnie jak wcześniej Giles, odczekała chwilę, a gdy w sali zapanował spokój, dodała:

– Może czcigodny lord zechciałby podzielić się z Izbą innymi pomysłami na pokrycie dodatkowych wydatków?

Giles nie ruszył się z miejsca.

– Może w takim razie zrobię to sama. Na pewno znajdzie się jakiś sposób na to, by dociągnąć do postulowanych czternastu procent.

Zgromadzenie słuchało jej teraz z niepodzielną uwagą. Świadoma tego, spokojnie otworzyła czerwoną teczkę i przewróciła kartkę.

– Na dobry początek mogłabym wstrzymać budowę trzech nowych szpitali, które miały powstać w Strathclyde, Newcastle i Coventry. To by rozwiązało problem. Naturalnie w kolejnym roku fiskalnym trzeba by zamknąć kolejne trzy. Prawdę mówiąc, nie jestem gotowa na tak radykalne kroki, może więc powinniśmy wejrzeć w budżety innych ministerstw i zobaczyć, co mogą zaproponować moi koledzy?

Kolejna kartka od kanclerza Skarbu.

– Może spróbujmy wstrzymać plany otwarcia nowych uniwersytetów albo anulujmy trzyprocentową podwyżkę emerytur? To także rozwiązałoby problem. Albo zredukujmy liczebność sił zbrojnych – po co nam tyle pułków? Nie, nie, nie możemy tego zrobić – ciągnęła ironicznie – bo przecież czcigodny

lord z taką emfazą przekonywał nas ledwie miesiąc temu, że cięcia w wojsku są niedopuszczalne!

Giles zapadł się jakby głębiej w swoje siedzisko.

– Nie zapominajmy też o wybitnym dorobku czcigodnego lorda w roli ministra spraw zagranicznych – może zamkniemy z pół tuzina ambasad? Wspaniała sztuczka, czyż nie? Może niech sam zdecyduje, które są niepotrzebne. W Waszyngtonie? Paryżu? Może w Moskwie? Pekinie? Tokio? Pozwolę sobie spytać, jeśli wolno: czy to jeszcze jeden element strategii, o której Partia Pracy zapomniała napisać w swoim programie wyborczym?

Sala ożyła. Ze wszystkich stron dobiegały głośne śmiechy i brawa.

– Nie, lordzie spikerze – kontynuowała Emma, gdy parowie ucichli. – Prawda jest taka, że słowa nic nie kosztują, w przeciwieństwie do czynów. Obowiązkiem odpowiedzialnego rządu jest właściwe dobieranie priorytetów, tak by w budżecie panowała równowaga. Z takim programem wyborczym zwyciężyli torysi i nie zamierzam za to przepraszać. – Emma pamiętała, że zostały jej najwyżej dwie minuty, a wiwaty zachwyconych kolegów kradły jej bezcenny czas. – Pragnę zapewnić Izbę, że uważam edukację, emerytury i obronność oraz naszą pozycję w świecie za sprawy równie istotne jak działalność mojego ministerstwa. Z drugiej jednak strony fakty są takie, że walczyłam ze Skarbem kłami i pazurami o to, by trzech nowych szpitali nie wykreślono z budżetu. – Umilkła, by po krótkiej pauzie dodać nieco głośniej: – Tego ranka zaś kanclerz Skarbu wyraził zgodę, by przyznać pielęgniarkom sześcioprocentową podwyżkę.

Ławy za jej plecami wręcz eksplodowały zgiełkiem wiwatów.

Emma odpuściła sobie ostatnie strony przemówienia i spojrzawszy prosto w oczy brata, dodała:

– Wszystko to jednak nie będzie możliwe, jeśli tego wieczoru zgromadzeni podążą za czcigodnym lordem do Holu Niezgody i oddadzą głos przeciwko nowej ustawie. Skoro, jak sam insynuował, jestem niewierną szturmującą święte bramy państwowej służby zdrowia, to wypada mi odpowiedzieć tak: zamierzam otworzyć owe bramy przed pacjentami w potrzebie. Tak, milordowie. Za darmo, jak sobie tego życzył idol mego czcigodnego przedmówcy, Clement Attlee. I właśnie dlatego nie waham się namawiać tu zebranych: dołączcie do mnie w realnym świecie i poprzyjcie naszą ustawę, abym mogła, powróciwszy jutro rano do biura, rozpocząć przygotowania do wprowadzenia niezbędnych zmian, które zapewnią sprawniejsze funkcjonowanie państwowej służby zdrowia w przyszłości i nie pozwolą, by utknęła w przebrzmiałej chwale, jak to się przytrafiło memu drogiemu krewnemu, lordowi Barringtonowi. On bowiem, jak przypuszczam, zamierza poprzestać na wspominaniu dawnych, dobrych czasów, podczas gdy ja, milordowie, będę opowiadać moim wnukom i niedawno narodzonej prawnuczce o dobrych, nowych czasach. To jednak będzie możliwe tylko pod warunkiem, że spotkamy się w Holu Zgody – my wszyscy, którzy popieramy nową ustawę. A teraz, milordowie, przejdźmy do drugiego czytania.

Gdy Emma wracała na swoje miejsce, towarzyszył jej aplauz głośniejszy od wszystkiego, co tej nocy słyszano w Izbie Lordów. Giles siedział zgarbiony, boleśnie świadom faktu, że nie należało się wychylać w nieodpowiednim momencie, tylko udając

znudzonego, pozwolić, by Emma sama wykopała sobie grób. Kiedy jednak siostra spojrzała na niego z daleka, uniósł rękę, dotknął palcami czoła i bezgłośnie powiedział: „Czapki z głów". Miło było dostać taki dowód uznania, lecz oboje wiedzieli, że liczenie głosów dopiero się zacznie.

Gdy zabrzmiał dzwonek podziału, parowie ruszyli w stronę wybranych korytarzy. Wkraczając do Holu Zgody, Emma dostrzegła jednego lub dwóch dotąd niezdecydowanych parów, którzy właśnie oddawali głos. Nie była jednak pewna, czy to wystarczy.

Gdy i ona podała nazwisko urzędnikowi siedzącemu za wysokim biurkiem, powróciła do ławy rządowej i przyłączyła się do niezobowiązującej rozmowy z partyjnymi kolegami. Gwar był nieodłączną częścią nerwowego oczekiwania na wynik głosowania.

Cisza zapanowała w Izbie Wyższej dopiero wtedy, gdy czterech woźnych podeszło niespiesznie do stołu pośrodku sali.

Szef dyscypliny uniósł formularz i dwukrotnie sprawdziwszy obliczenia, obwieścił:

– Za po lewej, czterysta dwadzieścia dwa.

Emma wstrzymała oddech.

– Przeciw po prawej, czterysta jedenaście. Zwolennicy wygrywają. Zwolennicy wygrywają.

W ławach partii rządzącej wybuchła radosna wrzawa. Emma ruszyła w stronę wyjścia, otoczona rozentuzjazmowanymi kolegami, którzy naturalnie zapewniali ją, że ani przez chwilę nie wątpili w jej zwycięstwo. Dziękowała im z uśmiechem.

W końcu udało jej się wyrwać i dołączyć do bliskich w pokoju dla gości. Z zadowoleniem spostrzegła, że jest tam i Giles, który

właśnie otwierał butelkę szampana. Napełnił najpierw jej kieliszek, a potem swój.

– Za Emmę – zawołał – która nie tylko wygrała spór, ale i całą bitwę – tak jak to przewidziała nasza matka.

Gdy reszta rodziny odjechała, Harry, Giles, Emma, Karin i Freddie, który po raz pierwszy spróbował szampana, ruszyli pieszo w stronę domu przy Smith Square. Wyczerpana Emma szybko wskoczyła do łóżka, ale mieszanina adrenaliny i zwykłego poczucia triumfu długo nie pozwoliła jej zasnąć.

Następnego ranka obudziła się już o szóstej; brutalny zegar biologiczny najwyraźniej ignorował jej pragnienie snu.

Gdy wzięła prysznic i ubrała się, pospiesznie zeszła na dół, by poczytać w porannej prasie relacje z wczorajszej debaty, racząc się herbatą, a może nawet drugą grzanką z marmoladą. Gazety już czekały na stole w jadalni. Emma przeczytała nagłówek z „Timesa" i opadła na najbliższe krzesło, kryjąc twarz w dłoniach. Nie to było jej zamiarem.

LORD BARRINGTON REZYGNUJE
PO UPOKARZAJĄCEJ KLĘSCE W IZBIE LORDÓW

Wiedziała doskonale, że „rezygnuje" to parlamentarny eufemizm. Giles został zwolniony.

---

[*] Woolsack – dosł. „worek wełny" – nie jest zwykłym fotelem. W XIV w. lord kanclerz zasiadał na wełnianej beli, symbolizującej znaczenie tego surowca dla gospodarki kraju. Dziś Woolsack ma postać rozległego siedziska z niewielkim oparciem pośrodku.

48

KONIEC

Harry odłożył pióro, podskoczył w miejscu i wykrzyknął:

– Alleluja!

Zawsze tak czynił, gdy w końcu napisał owo upragnione słówko. Usiadł znowu w fotelu, spojrzał w sufit i rzekł cicho:

– Dziękuję.

Kolejny rytuał dopełniony.

Rankiem zamierzał wysłać trzy kopie skryptu do osób, które jako pierwsze miały poznać treść *Ty wygrywasz*. Potem zaś czekała go doroczna nerwica – trudny czas oczekiwania na ich opinie. Wiedział, że podobnie jak on, oni także mają swoje utarte procedury.

Pierwszy z recenzentów, Aaron Guinzburg, jego amerykański wydawca, miał opuścić redakcję i udać się do domu, gdy tylko rękopis wyląduje na jego biurku, udzieliwszy wcześniej instrukcji, by nikt nie ważył się przeszkadzać mu w lekturze, póki nie skończy. Po przeczytaniu książki miał zwyczaj dzwonić do Harry'ego, niekiedy zapominając o tym, że istnieje różnica czasu między Ameryką a Anglią. Jego opinie nie zawsze można było

traktować poważnie, zwykle bowiem przejawiał niesłychany entuzjazm.

Drugim recenzentem był Ian Chapman, angielski wydawca, który zazwyczaj czekał do weekendu, nim zabrał się do lektury. Dzwonił następnie w poniedziałek z rana, by podzielić się z Harrym wrażeniami. Jako Szkot nie potrafił ukrywać prawdziwych uczuć, co tylko potęgowało nerwowość autora.

Trzecią osobą, obdarzoną zdecydowanie najlepszą intuicją, była jego szwagierka Grace – cenny nabytek, bo nie poprzestawała na obiektywnej opinii i gotowa była napisać dziesięciostronicowy raport o świeżo przeczytanym tekście, a od czasu do czasu zapominała, że nie ma do czynienia z pracą klasową jednego ze swoich uczniów, i poprawiała błędy gramatyczne.

Harry nie uważał Grace za oczywistą fankę Williama Warwicka, póki w chwili szczerości nie wyznała mu, że ma słabość do pikantnych powieści. Wypada jednak nadmienić, że pikantnymi autorami byli w jej mniemaniu Kingsley Amis i Graham Greene (ich twórczość uważała za rozrywkową), a jej ulubieńcem był Ian Fleming.

Wdzięczny za jej recenzję Harry zapraszał ją zwykle na lunch do Garricka, a potem na popołudniowy spektakl, w miarę możliwości autorstwa jej ulubionego pikantnego dramaturga, Terence'a Rattigana.

Gdy kurier zabrał trzy egzemplarze, rozpoczął się morderczy okres wyczekiwania. Odbiorcy zostali uprzedzeni, że *Ty wygrywasz* to odstępstwo od dotychczasowej formuły – i tym większy był niepokój Harry'ego.

Zastanawiał się, czy nie wręczyć kopii najnowszej książki Gilesowi, który ostatnio miał znacznie więcej czasu, a także Sebastianowi, zagorzałemu miłośnikowi Warwicka, doszedł jednak do wniosku, że nie ma sensu zmieniać dotychczasowej procedury. Postanowił, że obaj dostaną tekst na Boże Narodzenie, po poprawkach redakcyjnych.

Harry podejrzewał, że Eileen Warburton, stara panna z jego parafii, mieszka samotnie w piwnicznej izbie i niczym bajkowy pan Kret nie wychodzi z domu przed nastaniem wiosny. Zimowe miesiące spędzała zaś, trudząc się poprawianiem błędów popełnionych przez współpracujących z nią autorów. Wynajdowała i nic nieznaczące pomyłki, których i tak nikt by nie zauważył, i tak zwane „wyjce", których przepuszczenie sprowokowałoby lawinę tysięcy listów od oburzonych czytelników, wytykających mu piramidalną głupotę. Panna Warburton nigdy nie pozwalała Harry'emu zapomnieć, że Genewa nie jest stolicą Szwajcarii, a *Titanic* zatonął piętnastego, a nie czternastego kwietnia.

Pewnego razu niesiony szaloną fantazją Harry pozwolił sobie przypomnieć pannie Warburton, że w *Pani Bovary* Flauberta kolor oczu bohaterki zmienia się od czarnego, przez brązowy i niebieski z powrotem do czarnego na przestrzeni niespełna stu stron.

– Nigdy nie komentuję książek, których nie redagowałam – odpowiedziała mu wtedy, bez cienia ironii w głosie.

Emma była zwykle jedną z ostatnich osób, którym pozwalał przeczytać rękopis, już po poprawkach. Wszyscy inni musieli zaczekać aż do dnia publikacji, by poznać najnowszą powieść.

Teraz, gdy praca dobiegła końca, Harry zamierzał pozwolić sobie na wyjątkowo odprężający weekend. W sobotnie popołudnie wybierał się z Gilesem na Memorial Ground, by popatrzeć na mecz Bristolu z odwiecznym rywalem, drużyną Bath. Na wieczór zaplanował wyjście z Emmą do bristolskiego Old Vic – chcieli zobaczyć Patricię Routledge w monodramie *Come for the ride* – oraz kolację u Harveya.

Na niedzielę byli zaproszeni przez Gilesa i Karin na lunch w Barrington Hall. Potem czekało Harry'ego wieczorne nabożeństwo, a wtedy podczas kazania zapewne rozmyślałby głównie o tym, do której strony tekstu dotarło troje recenzentów. Co się zaś tyczy spokojnie przespanych nocy, to nie miał ich w planie, póki nie otrzyma kompletu opinii o nowej książce.

Gdy zadzwonił telefon, w pierwszym odruchu Harry pomyślał, że jest o wiele za wcześnie na to, by ktokolwiek uporał się już z lekturą. Nie zdziwił się więc zbytnio, gdy w słuchawce rozległ się głos Gilesa.

– Przepraszam za zamieszanie, Harry, ale nie będę mógł wybrać się z tobą na rugby w tę sobotę. Musimy też przełożyć niedzielny lunch. – Harry nie musiał pytać o powód, bo odpowiedź pojawiła się sama. – Dzwonił Walter Scheel. Wschodni Niemcy w końcu otworzyli granicę i rzeka obywateli płynie na zachód. Dzwonię z Heathrow. Za chwilę wsiadamy z Karin do samolotu i lecimy do Berlina. Mamy nadzieję, że zdążymy, zanim zacznie się burzenie muru, bo mamy szczery zamiar wziąć w tym udział.

– Fantastyczne nowiny – odpowiedział Harry. – Karin pewnie jest zachwycona. Powiedz jej, że zazdroszczę, bo gdy ludzie będą kiedyś pytać: „Gdzie byłeś, gdy walił się berliński mur?", będziecie

mogli odpowiedzieć, że właśnie tam. Jeśli się uda, przywieźcie mi kawałek.

– Będę musiał kupić dodatkową walizkę – stwierdził Giles. – Mnóstwo ludzi złożyło podobne zamówienie.

– Pamiętaj tylko, że będziecie świadkami historycznych wydarzeń. Musisz codziennie przed snem notować wszystko, czego doświadczyłeś, inaczej szczegóły umkną ci z pamięci, zanim się obudzisz.

– Nie jestem pewny, czy w ogóle będziemy tam spać – odparł Giles.

– Mogę spytać, po co panu młotek w bagażu? – spytał czujny funkcjonariusz podczas kontroli na Heathrow.

– Zamierzam zburzyć mur – odpowiedział uprzejmie Giles.

– Żałuję, że nie mogę do pana dołączyć – przyznał funkcjonariusz, zapinając zamek torby podróżnej.

Gdy pół godziny później Giles i Karin weszli na pokład samolotu Lufthansy, poczuli się tak, jakby nieoczekiwanie znaleźli się na przyjęciu. Wokół siebie mieli rozradowanych pasażerów, którzy zamiast zapinać pasy i wysłuchiwać pogadanki o zasadach bezpieczeństwa od stewardesy-służbistki, zaraz po starcie zaczęli otwierać butelki szampana i gawędzić z sąsiadami, jakby znali ich od lat.

Przez cały lot Karin trzymała Gilesa za rękę i bodaj tuzin razy powtórzyła:

– Nie mogę w to uwierzyć.

Wciąż jeszcze obawiała się, że gdy wylądują w Berlinie, impreza dobiegnie końca i sprawy wrócą do ponurej normalności.

Po dwóch godzinach, które ciągnęły się jak wieczność, samolot wreszcie przyziemił, a gdy tylko zatrzymał się na placu parkingowym, pasażerowie wyskoczyli ze swych foteli. Idealnie równa i karna kolejka, której utworzenia można się było spodziewać po zdyscyplinowanych Niemcach, załamała się w mgnieniu oka i już po chwili wszyscy zbiegali po schodach na płytę lotniska i dalej, w stronę budynku terminala. Tego wieczoru nikt nie zamierzał stać w miejscu.

Przeszedłszy odprawę celną, Giles i Karin opuścili terminal w poszukiwaniu taksówki, ale znaleźli się w wielkiej gromadzie podróżnych, którzy nosili się z dokładnie takim samym zamiarem. Ku zaskoczeniu Gilesa, kolejka przesuwała się jednak błyskawicznie, bo do każdego wozu wsiadało po trzy, cztery, a nawet pięć osób – wszyscy zmierzali przecież w tym samym kierunku. Znalazłszy się na czele kolejki, Giles i Karin dołączyli do niemieckiej rodziny, która nawet nie musiała informować taksówkarza, dokąd ma jechać.

– Anglik, po co do Berlina? – spytał młody mężczyzna ściśnięty obok Gilesa na tylnej kanapie.

– Jestem żonaty z Niemką ze wschodu – wyjaśnił, otaczając Karin ramieniem.

– Jak uciekła?

– To długa historia.

Karin przyszła mu z pomocą. Mieli do pokonania kilka kilometrów w korkach i przez cały czas mówiła po niemiecku. Gdy dotarła do finału, słuchacze nagrodzili ją głośnym aplauzem. Młodzieniec spoglądał teraz z uznaniem na Gilesa, który nie zrozumiał ani słowa z wywodu żony.

Niedaleko celu kierowca w końcu się poddał i zatrzymał taksówkę pośrodku ulicy, najwyraźniej służącej teraz za plac do tańca. Giles wysiadł jako pierwszy i wyjął portfel, ale taksówkarz powiedział tylko: „Nie tym razem", po czym zawrócił i ruszył z powrotem w stronę lotniska. Był jeszcze jednym z ludzi, którzy pragnęli opowiadać kiedyś wnukom o tym, jaką rolę odegrali w ową noc, gdy runął mur.

Trzymając się za ręce, Giles i Karin kluczyli w rozbawionym tłumie, posuwając się w kierunku Bramy Brandenburskiej, której nie wiedzieli od niemal dwudziestu lat – od owego popołudnia, kiedy Karin uciekła z Berlina Wschodniego.

Im bliżej byli monumentalnej budowli, wzniesionej z rozkazu króla Fryderyka Wilhelma II Pruskiego i jak na ironię będącej symbolem pokoju, tym wyraźniej widzieli szeregi uzbrojonych żołnierzy po wschodniej stronie granicy. Giles przypomniał sobie sugestię Harry'ego o tym, że powinien notować swoje wrażenia, by nie umknęły mu żadne szczegóły, i ciekaw był, czy jego szwagier znalazłby odpowiednie słowo, by opisać wyraz twarzy owych wartowników. Nie był to ani gniew, ani strach, ani smutek – byli raczej... ogłupiali. Ich życie właśnie odmieniło się raz na zawsze, całkiem tak samo jak życie ludzi, którzy tańczyli wokół nich radosnym korowodem.

Karin przypatrywała się żołnierzom z oddali, zastanawiając się jeszcze, czy to wszystko nie jest aby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Może któryś z nich zaraz ją rozpozna i spróbuje zaciągnąć na tamtą stronę?

Zjednoczeni rodacy świętowali wokół niej, a ona wciąż nie była pewna, czy o wschodzie słońca sytuacja nie powróci do normy.

Giles jakby czytał w jej myślach – wziął ją w ramiona i powiedział:

– Już po wszystkim, kochanie. Pora przewrócić kartkę. Koszmar nareszcie dobiegł końca.

Oficer wschodnioniemieckiej armii pojawił się nagle jakby znikąd i szczeknął krótki rozkaz. Żołnierze zarzucili broń na ramię i odmaszerowali przy wtórze głośnych okrzyków aprobaty. Wszyscy dookoła tańczyli, pili i śpiewali w ekstazie, a Giles i Karin wolno brnęli przez tłum w kierunku pokrytej malowidłami betonowej ściany, na której szczycie tańczyły już setki Niemców jak na grobie znienawidzonego wroga.

Karin przystanęła i dotknęła ramienia Gilesa, gdy spostrzegła starszego mężczyznę tulącego młodą kobietę. Było jasne, że to jedna z niezliczonych par, które tej niezapomnianej nocy po dwudziestu ośmiu latach rozłąki nareszcie spotkały się ponownie. Śmiech, radość, świąteczny nastrój – wszystko to mieszało się ze łzami, gdy dziadek ściskał wnuczkę, której, jak sądził, miał już nigdy nie zobaczyć.

– Chcę stanąć na szczycie muru – oznajmiła Karin.

Giles spojrzał na wysoką na sześć metrów pamiątkę upadłego systemu, na której wierzchołku imprezowały setki młodych ludzi. Przyszło mu na myśl, że to nie najlepszy moment, by przypomnieć żonie, że ma prawie siedemdziesiąt lat. Tej nocy należało czuć się młodszym.

– Świetny pomysł – odpowiedział.

Gdy dotarli do podnóża muru, zrozumiał nagle, jak musiał się czuć Edmund Hillary, gdy stanął przed ostatnią stromą ścianą Everestu. Na szczęście dwóch młodych Szerpów, którzy właśnie

zeskoczyli na ziemię, zaplotło dłonie, tworząc pierwszy szczebel drabiny, by mógł zająć ich miejsce na wierzchołku muru. Jeszcze nie sięgał celu, ale dwaj inni młodzi imprezowicze podali mu ręce i wciągnęli go na szczyt.

Karin dołączyła do niego chwilę później i stanęli ramię w ramię, spoglądając na wschód, za granicę. Nadal nie wierzyła, że nie obudzi się zaraz z tego cudownego snu. Z drugiej strony muru kilkoro Niemców ze wschodu próbowało się wspinać; Karin przykucnęła, by podać rękę dziewczynie. Giles zrobił im zdjęcie – dwu nieznajomym Niemkom, które padły sobie w ramiona, jakby były starymi przyjaciółkami. Fotografia trafiła potem na kominek w domu przy Smith Square, jako pamiątka dnia, w którym stosunki między Wschodem a Zachodem wróciły do normalności.

Giles i Karin przyglądali się z wysoka ludzkiej rzece płynącej w stronę wolności. Wartownicy, którzy ledwie poprzedniej nocy gotowi byli strzelić do każdego, kto choćby zbliżył się do granicy, teraz tylko stali i patrzyli, nie rozumiejąc, co się wokół nich dzieje.

Karin potrzebowała jeszcze chwili, by zacząć wierzyć, że dżinn naprawdę uciekł z komunistycznej lampy, ale dopiero po godzinie odważyła się przemówić do Gilesa:

– Chcę ci pokazać, gdzie mieszkałam.

Zejście z muru okazało się dla Gilesa niemal tak trudne jak wejście, ale z pomocą kilku wyciągniętych rąk jakoś się udało, choć gdy wreszcie stanął obiema nogami na ziemi, przez chwilę nie mógł złapać tchu.

Karin chwyciła go za rękę i razem ruszyli pod prąd nieskończonego potoku ludzi, kierując się ku posterunkowi granicznemu. Tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci niosących torby

i walizki, a nawet pchających wózki wyładowane dorobkiem życia, posuwały się na zachód, zostawiając za sobą dawną egzystencję i najwyraźniej nie dopuszczając do siebie myśli o powrocie do komunistycznej pułapki.

Gdy minąwszy biało-czerwoną zaporę, zostawili za sobą Zachód, Giles i Karin dołączyli do skromnego strumyka obywateli wędrujących w tym samym kierunku. Karin zawahała się jeszcze, ale tylko na chwilę, gdy mijali drugą zaporę i naprawdę znaleźli się po wschodnioniemieckiej stronie.

Nie ujrzeli tu ani pograniczników, ani warczących owczarków alzackich, ani urzędasów o wąskich wargach, gotowych sprawdzić, czy mają aktualną wizę. Czekała na nich osobliwa cisza, jak na dzikim pustkowiu.

Nie było kolejek na postojach taksówek; nie było też taksówek. Przeszli obok grupki Niemców modlących się w milczeniu za dusze tych, którzy stracili życie, by przełom, którego byli świadkami, doszedł wreszcie do skutku.

Wędrowali dalej, napotykając z każdym krokiem coraz mniej ludzi. Minęła ponad godzina, nim Karin wreszcie przystanęła i wskazała na kolonię identycznych szarych wieżowców stojących w ponurym szeregu jak pamiątka przeszłości, o której niemal zdołała zapomnieć.

– Tam mieszkałaś?

Zadarła głowę.

– Dziewiętnaste piętro, drugie okno od lewej. To tam spędziłam pierwsze dwadzieścia cztery lata mojego życia.

Giles policzył i zatrzymał wzrok na maleńkim oknie bez zasłon, drugim od lewej, na dziewiętnastym piętrze. Mimowolnie

przypomniał sobie pierwsze dwadzieścia cztery lata własnego życia: Barrington Hall, kamienicę w Londynie, zamek w Szkocji, w którym spędzał kilka tygodni każdego lata, a także, rzecz jasna, willę w Toskanii, którą odwiedzał, gdy potrzebował wytchnienia.

– Chcesz zajrzeć na górę, zobaczyć, kto tam teraz mieszka? – spytał.

– Nie – odpowiedziała stanowczo Karin. – Chcę wrócić do domu.

To rzekłszy, w milczeniu odwróciła się plecami do betonowych bloków i dołączyła do rodaków idących na zachód, by doświadczyć wolności, której ona po dziś dzień nie nauczyła się uznawać za coś oczywistego.

Nie obejrzała się ani razu, gdy szli w kierunku granicy, i tylko gdy mijali posterunek, znowu poczuła lekki niepokój. Uspokoiła się, widząc wartowników w rozpiętych kurtkach i poluzowanych kołnierzykach, tańczących z ludźmi, którzy właśnie stali się ich przyjaciółmi – już nie zachodnimi ani wschodnimi, ale po prostu Niemcami.

Gdy minęli ostatnią zaporę i wkroczyli na powrót do zachodniego świata, młodzi i starzy już pracowali młotami, łomami, dłutami – a nawet pilnikami do paznokci – nad rozbiórką długiego na 156 kilometrów monstrum, fizycznego symbolu tego, co Winston Churchill nazwał żelazną kurtyną.

Giles otworzył torbę, wyjął młotek i podał go Karin.

– Ty pierwsza, kochanie.

EMMA CLIFTON
1990–1992

49

– To ta pora roku... – powiedziała Emma, wznosząc kieliszek grzanego wina.

– Kiedy wyrzucamy z wózeczka wszystkie nasze zabawki – wpadł jej w słowo Giles – i odmawiamy udziału w twoich gierkach?

– To ta pora roku – powtórzyła Emma, ignorując zaczepkę brata – kiedy trzeba nam wznieść kielichy i wspomnieć Joshuę Barringtona, założyciela Linii Żeglugowej Barringtona.

– Który w pierwszym roku wypracował zysk w wysokości trzydziestu funtów, czterech szylingów i dwóch pensów, ale obiecał zarządowi, że w przyszłości będzie więcej – przypomniał wszystkim Sebastian.

– Trzydziestu trzech funtów, czterech szylingów i dwóch pensów – poprawiła Emma. – A potem rzeczywiście było więcej, dużo więcej.

– Pewnie przewrócił się w grobie – dodał Sebastian – gdy sprzedaliśmy firmę Cunardowi za czterdzieści osiem milionów.

– Kpij sobie – odrzekła Emma – ale wszyscy powinniśmy być wdzięczni za to, co Joshua uczynił dla dobra tej rodziny.

– Zgadzam się – rzekł Harry. Wstał, uniósł kieliszek i zawołał: – Za Joshuę!

– Za Joshuę – powtórzyli pozostali członkowie rodziny.

– A teraz do rzeczy – powiedziała Emma, odstawiając szkło.

– Przecież to sylwester – zaprotestował Giles. – Zapominasz chyba, że jesteśmy w moim domu, więc ja zarządzam: w tym roku odpuszczamy.

– Wykluczone – odparła Emma. – Tylko Lucy zostaje zwolniona.

– Ale uważaj, młoda damo – wtrącił Harry, uśmiechając się do prawnuczki, śpiącej słodko w ramionach mamy – to tylko tymczasowa dyspensa.

– Zgadza się – przytaknęła Emma, jakby nie wiedziała, że Harry żartuje. – Zaczynamy: niech każdy wypowie swoje noworoczne postanowienie.

– A najdzielniejsi – dorzucił Harry – przypomną nam, co sobie obiecywali w zeszłym roku.

– Choć i tak wszystko jest zapisane w tej małej, czerwonej książeczce – uzupełniła Emma – na wypadek gdyby ktoś postanowił zapomnieć.

– Ależ oczywiście, przewodnicząca Mao – odezwał się Giles, dolewając sobie wina.

– Kto pierwszy? – spytała Emma, ponownie ignorując brata.

– Znajdę nową pracę – powiedziała Samantha.

– Nadal w świecie sztuki? – spytał Harry.

– Tak. Wallace Collection poszukuje wicedyrektora. Już złożyłam papiery.

– Brawo – pochwaliła ją Grace. – Co straci Courtauld, to zyska Wallace.

– To tylko kolejny szczebel bardzo długiej drabiny – wtrącił Sebastian. – Obstawiam, że za rok postanowieniem noworocznym Samanthy będzie objęcie prezesury w Tate Gallery.

– A co z tobą, Seb? Co zamierzasz osiągnąć przed końcem kolejnego roku?

– Postanowiłem szczęśliwie kontynuować wkurzanie cioci Grace, zarabiając dla niej coraz więcej i więcej pieniędzy.

– Które z przyjemnością przeznaczę na coraz więcej i więcej zbożnych celów – odparowała Grace.

– O to się nie martw; Victor już się zajął wydawaniem. Karin może potwierdzić.

– Czytałam raport pana Kaufmana – odpowiedziała Grace – i trzeba przyznać, że przynosi chlubę nie tylko wam dwóm, Sebastianie, ale i całemu bankowi.

– Pochwalam – odezwała się Emma i zanotowała coś, zanim spojrzała na siostrę. – Grace, jako że jesteś jedną z nielicznych w tej rodzinie, którzy regularnie wywiązują się z obietnic, mów: co planujesz na najbliższych dwanaście miesięcy?

– Siedmioro z moich młodych podopiecznych ma nadzieję dostać się w tym roku na uniwersytet. Postaram się, żeby wszystkim się udało.

– A jakie mają szanse? – spytał Harry.

– Jestem pewna, że dziewczęta dostaną się w komplecie. Co do chłopców – niekoniecznie.

Roześmiali się wszyscy prócz Grace.

– Teraz ja, teraz ja! – zawołał Jake.

– O ile dobrze pamiętam – odpowiedziała mu Emma – w zeszłym roku zamierzałeś rzucić szkołę. Nadal masz taki plan?

– Nie – odparł stanowczo Jake. – Chcę, żeby mama dostała tę pracę.

– Dlaczego? – spytała Samantha.

– Bo wtedy przestanę co rano spóźniać się do szkoły.

– Czego to człowiek nie usłyszy od własnych dzieci – powiedział Harry, uśmiechając się mimowolnie.

Samantha poczerwieniała, a reszta rodziny wybuchnęła śmiechem.

– W takim razie ja będę mieć dwa postanowienia – stwierdziła po chwili. – Jedno za siebie, a drugie za Jake'a.

– Jako że tym razem Giles najwyraźniej nie zamierza przyłączyć się do nas – powiedziała Emma – spytam o postanowienie Karin. Myślisz o kolejnym maratonie?

– Nigdy w życiu. Ale dołączyłam do komitetu sterującego funduszem dobroczynnym Marsdena i mam nadzieję, że nasza rodzina sfinansuje jedną misję. Sebastiana nie liczymy.

– Czy to znaczy, że w tym roku mi się upiecze?

– O, nie – odrzekła Karin. – Przekonałam Victora, że bank powinien sfinansować własną misję. Misję Farthingsa Kaufmana.

– Ile będzie mnie to kosztowało?

– Bank będzie musiał wyłożyć dwadzieścia pięć tysięcy funtów – wyjaśniła Karin – ale oczywiście oczekuję, że ty dasz pieniądze na własną misję.

Sebastian właśnie miał zaprotestować, gdy odezwała się Grace:

– Giles i ja także sfinansujemy jedną misję, Misję Barringtonów.

Giles uśmiechnął się do siostry i skinął głową.

– Podobnie jak Emma i ja – dorzucił Harry, a odpowiedziały mu gromkie brawa.

– Boję się pomyśleć, co wykombinujesz w przyszłym roku – rzekł Sebastian.

– Jeszcze nie skończyłam z tym najbliższym – odpowiedziała Karin.

– Sebastian, Jessica, Richard, Lucy i ja z przyjemnością do was dołączymy – obwieściła Samantha. – Sfinansujemy własną misję.

Sebastian wzniósł oczy ku niebu i mruknął:

– Joshua, będziesz się z tego gęsto tłumaczył.

– Dobra robota, Karin – pochwaliła Emma, zapisując szczegóły w czerwonej książeczce. – Teraz ty, Jessica – dodała, uśmiechając się do wnuczki.

– Mam nadzieję wskoczyć chociaż na listę nominowanych do nagrody Turnera.

– Nie mam pojęcia dlaczego – przyznała Grace. – Turner w życiu nie zdobyłby nagrody Turnera.

– To byłoby nie lada osiągnięcie, młoda damo – zauważył Harry.

– Jeśli się uda – wtrącił Richard – Jessie będzie najmłodszą artystką w historii, która wskoczyła na krótką listę nominowanych.

– To akurat warto osiągnąć – stwierdziła Grace. – A nad czym teraz pracujesz?

– Właśnie zaczęłam serię zatytułowaną *Drzewo życia*.

– Och, uwielbiam drzewa – rozmarzyła się Emma. – A ty zawsze miałaś dobrą rękę do pejzaży.

– Nie o takie drzewo chodzi, babciu.

– Nie rozumiem. Drzewo to drzewo.

– Chyba że chodzi o symbol – zasugerował Harry, uśmiechając się do wnuczki.

– A jakie jest twoje postanowienie, dziadku? Chcesz, żeby twoja książka zdobyła Bookera?

– Nie ma szans – odpowiedziała jej Grace. – Niestety, nie rozdają tych nagród tym, którzy jak nikt inny potrafią opowiadać ciekawe historie. Ale powiem wam wszystkim – jako że jestem tu jedyną osobą, która miała okazję ją przeczytać – że najnowsza powieść Harry'ego to jego absolutnie najlepsze dzieło. Więcej niż spełnił nadzieje, które pokładała w nim matka. Zasłużył na rok urlopu.

Harry dał się zaskoczyć. Właśnie zamierzał oznajmić rodzinie, że w styczniu wybiera się na poważną operację, a jednocześnie zapewnić, że nie ma powodu do obaw, bo będzie wyłączony z życia ledwie na kilka tygodni.

– A ty, Emmo? – spytał Giles. – Planujesz za rok nadal tkwić w parlamencie?

– Raczej nie – odpowiedziała. – Ale obiecuję, że będę w tym roku niewierną w jeszcze większym stopniu niż do tej pory – dodała, odstawiając kieliszek i wylewając przy tym odrobinę wina.

– Kto to jest niewierny? – spytał Jake.

– Ktoś, kto głosuje na konserwatystów – pospieszył z odpowiedzią Giles.

– W takim razie chcę być niewiernym. Ale tylko jeśli Freddie też nim będzie.

– Ależ jestem – zapewnił go Freddie.

„Często dość ze śmiechu pękam,

Że Natura tak los plecie,
Iż gdy chłopak lub panienka
Się pojawia na tym świecie,
Liberałów jest to pomiot
Lub Konserwatystów dziecię".

– Autor? – spytała Grace.

– W.S. Gilbert.

– Która operetka?

– *Iolanthe* – odparł Freddie. – I naprawdę jestem już niewiernym, a na dowód tego powiem wam, jakie jest moje postanowienie.

– Jak dotąd nie wypełniłeś poprzedniego: gdzie sto punktów zdobytych na stadionie Lorda? – przypomniał mu Giles.

– To nadal aktualne, ale w tym roku przede wszystkim będziecie mnie inaczej nazywać.

Niespodziewana deklaracja Freddiego odebrała mowę wszystkim, nawet Jake'owi.

– Ale ja zawsze lubiłam twoje imię, Freddie – odezwała się wreszcie Emma. – Uważam, że pasuje do ciebie.

– To nie imię chcę zmienić. Od pierwszego stycznia chcę być znany jako Freddie Barrington.

Brawa, które się teraz rozległy, utwierdziły chłopaka w przekonaniu, że rodzina zaakceptowała jego noworoczne postanowienie.

– Procedura jest dość prosta – zauważyła jak zawsze praktyczna Grace. – Wystarczy, że podpiszesz oświadczenie woli i „Fenwick" przejdzie do historii.

– Ja musiałem podpisać znacznie więcej papierów, żeby tego dokonać – powiedział Giles, ściskając dłoń syna.

Zadzwonił telefon i zaraz potem w salonie pojawił się Markham.

– Lord Waddington na linii – zaanonsował.

– Książę niewiernych – rzucił z przekąsem Giles. – Może odbierzesz w moim gabinecie, Emmo?

– Sprawa musi być poważna, skoro dzwoni w sylwestra – zauważyła Emma.

– Ależ nie z panią chce rozmawiać, pani minister – wtrącił prędko Markham. – Pytał o lorda Barringtona.

– Jesteś pewny, Markham?

– Absolutnie, pani minister.

– W takim razie idź, dowiedz się, czego chce – ponagliła brata Emma.

O ile Jessica i Freddie zdołali wcześniej uciszyć rodzinę na kilka chwil, to telefon od przywódcy Izby Lordów wywołał wręcz odwrotny skutek: wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. I nie umilkli, póki drzwi się nie otworzyły i nie powrócił gospodarz wieczoru. Spojrzeli na niego wyczekująco.

– I już wiem, jakie będzie moje noworoczne postanowienie. – Tylko tyle usłyszeli od Gilesa.

– W końcu będziesz musiał im powiedzieć – stwierdziła Emma, gdy następnego ranka wracali spacerem do Manor House.

– Zamierzałem to zrobić wczoraj po południu, ale Grace mnie zaskoczyła, a potem jeszcze Freddie i Giles...

– Giles nie umiał ukryć, jak bardzo go ucieszyła decyzja Freddiego.

– Powiedział ci, czego chciał lord Waddington?

– Ani słowa.

– Nie sądzisz chyba, że Giles byłby skłonny zmienić drużynę, dołączyć do niewiernych?

– Nigdy. To nie w jego stylu. Czy teraz, gdy oddałeś gotowy tekst do wydawnictwa, musisz jeszcze coś zrobić, zanim pójdziesz do szpitala?

– Jaka szkoda, że ja tak nie mogę.

– Czego nie możesz?

– Zmieniać tematu, nie wtrącając choćby jednej linii łączącej wątki. W powieści coś takiego po prostu nie przejdzie. W prawdziwym życiu, gdy dwoje ludzi ze sobą rozmawia, bez zastanowienia przeskakują z tematu na temat, czasem nawet w pół zdania. Scott Fitzgerald napisał kiedyś opowiadanie, które było w istocie zapisem prawdziwej rozmowy – nie dało się tego czytać.

– Ciekawe. A teraz odpowiedz na pytanie.

– Nie – odparł Harry. – Teraz, gdy redaktor i korektor zrobili swoje, do momentu wydania książki nie mam właściwie nic do roboty.

– Na czym tym razem przyłapała cię straszliwa panna Warburton?

– Kazałem nowojorskiemu detektywowi przeczytać aresztowanemu prawa Mirandy na trzy lata przed ich wprowadzeniem.

– Ups. Co jeszcze?

– Osobliwie polubiłem stawianie dwukropków zamiast średników, a także nadużywałem słówka „niewątpliwie”.

Naturalnie każdy robi coś takiego w prawdziwym życiu, ale w książce nie wolno.

– Wybierasz się tym razem na tournée?

– Tak sądzę. Większość czytelników spodziewa się kolejnej typowej powieści o Williamie Warwicku, więc muszę rozwiać ich złudzenia. Poza tym Aaron już planuje dla mnie trasę po Stanach, a londyński wydawca naciska, żebym się wybrał na Festiwal Książki w Bombaju.

– Uda się zgrać to w czasie? Rysuje się dość napięty terminarz.

– Akurat całkiem nieźle się to wszystko ułoży. Za dwa tygodnie przyjmą mnie w St Thomas's, a zanim książka trafi na półki, powinienem być znowu w formie.

– Nie wydaje mi się, żeby powrót tutaj zaraz po wyjściu ze szpitala był dobrym pomysłem. Zostań w Londynie, gdzie Karin, Giles i ja możemy się tobą zająć. Już zapowiedziałam w ministerstwie, że nie będzie mnie co najmniej przez dwa tygodnie.

– Przypuszczam, że Giles zniknie na znacznie dłuższy czas.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Krążą plotki, jakoby wiosną miał ustąpić nasz ambasador w Waszyngtonie.

50

Gabinet był mniejszy, niż się spodziewał, ale imponujące drewniane panele na ścianach oraz znakomite olejne portrety jego poprzedników nie pozwoliły mu wątpić w historyczne znaczenie jego nowej roli.

W nowe obowiązki wprowadził go z wielką starannością komandor Rufus Orme, jego sekretarz. Podobnie jak monarcha, nie miał wielkiej rzeczywistej władzy na swym nowym stanowisku, za to ogromne wpływy. Podczas ważnych uroczystości państwowych szedł tuż za królową, a przed arcybiskupem Canterbury i premierem.

Wspomagał go niewielki, ale doskonale wyszkolony zespół, gotów zatroszczyć się o wszelkie jego potrzeby. Zastanawiał się tylko, jak długo to potrwa, nim przyzwyczai się, że ktoś pomaga mu włożyć ubranie. Jego kamerdyner, Croft, przychodził każdego dnia o tej samej godzinie, by odprawić ceremoniał wymagający wręcz sekundowej precyzji.

Na początek trzeba było zrzucić ubranie, aż do koszulki i majtek. Czuł się wtedy idiotycznie. Croft pomagał mu włożyć białą koszulę, uprasowaną tego samego ranka. Wykrochmalony

biały kołnierz mocowany był z tyłu na zatrzask, a pod nim, zamiast krawata, trzeba było ułożyć coś w rodzaju koronkowego żabotu. Nie musiał spoglądać w lustro; Croft był jego lustrem. Kamerdyner skupiał się teraz na właściwym udrapowaniu długiej czarno-złotej szaty, czekającej na drewnianym manekinie w kącie pokoju. Na początek unosił ją tak, by ubierany mógł wsunąć ramiona w długie złote rękawy. Wtedy odstępował na krok, by przyjrzeć się swemu panu, po czym klękał, by zapiąć na jego stopach lśniące, mosiężne klamry trzewików. Znowu wstawał i z drewnianej głowy manekina ściągał długą perukę, by następnie umieścić ją na głowie lorda kanclerza. Tego ranka cofnął się o krok raz jeszcze i minimalnie przesunął ją w lewo.

Ostatnim zadaniem Crofta było zawieszenie wielkiego łańcucha, symbolu urzędu kanclerskiego od 1643 roku, na szyi Gilesa. Nie wypuszczał go z rąk aż do ostatniej chwili. I właśnie wtedy Giles przypomniał sobie szkolną wiedzę o tym, że trzech jego poprzedników stracono w Tower of London.

W pełni ubrany, nareszcie mógł przejrzeć się w wysokim lustrze. Wyglądał niedorzecznie, ale musiał przyznać w głębi serca i tylko przed sobą, że to mu się podoba. Kamerdyner ukłonił się. Wykonał swoje zadanie; wyszedł bez słowa.

Miejsce Crofta zajął komandor Orme. W jego głowie nigdy nawet nie zakiełkowała myśl o tym, by wejść do gabinetu, nim lord kanclerz będzie w pełni ubrany.

– Czytałem dzisiejszy porządek obrad, Orme – powiedział Giles. – Czy któryś z punktów powinien mnie szczególnie niepokoić?

– Nie, milordzie. Na interpelacje będzie odpowiadała minister zdrowia. Można się spodziewać gorącej dyskusji na temat AIDS,

ale tym nie musi się pan przejmować.

– Dziękuję.

Spojrzał na zegarek, świadomy, że siedem minut przed równą godziną musi opuścić gabinet w Wieży Północnej i pokonać dystans dzielący go od Komnaty Książęcej.

Drzwi znowu się otworzyły i stanął w nich młody paź. Chłopak skłonił się nisko, stanął za lordem kanclerzem i uchwycił brzeg jego długiej szaty.

– Trzydzieści sekund, milordzie – zameldował Orme, a po chwili otworzył drzwi, by lord kanclerz mógł po raz pierwszy pokonać siedmiominutową drogę przez Pałac Westminsterski ku Izbie Lordów.

Wstąpił na czerwony dywan i nieśpiesznie ruszył szerokim korytarzem. Członkowie parlamentu, odźwierni i gońcy stali pod ścianą i kłaniali się, gdy ich mijał – lecz nie kłaniali się jemu, tylko monarchini, którą tu reprezentował. Starał się iść równym krokiem, który przećwiczył poprzedniego dnia, gdy Izba Wyższa nie obradowała. Komandor Orme podkreślał, że nie może to być marsz ani zbyt wolny, ani zbyt szybki, jeśli lord kanclerz chce dotrzeć do Komnaty Książęcej kilka chwil przed dwoma uderzeniami Big Bena.

Idąc korytarzem północnym, nie mógł przestać myśleć – i trudno się temu dziwić – o tym, ilu z jego kolegów czeka teraz w sali i będzie świadkami tego, jak po raz pierwszy zasiądzie na Woolsacku. Wiedział, że dopiero gdy ich zobaczy, przekona się naprawdę, jak odebrali jego niespodziewaną nominację.

Na co dzień w sali obrad zastałby ledwie garstkę parów. Powstaliby z miejsc, by powitać lorda kanclerza, ukłoniliby się

lekko i pozostaliby w pozycji stojącej w oczekiwaniu na modlitwę prowadzoną przez jego starego druha, biskupa Bristolu.

Czuł narastające zdenerwowanie i coraz trudniej było mu utrzymać rytm kroków. Jego tętno sięgnęło nowego maksimum w chwili, gdy wkroczył na niebiesko-złoty dywan w Komnacie Książęcej, mając w zapasie jeszcze dziewięćdziesiąt sekund. Skręcił w prawo i dotarł wąskim korytarzem wyłożonym czerwonym chodnikiem w okolice dalekiego krańca sali obrad – to tam miał dokonać swego wielkiego wejścia. W Holu Parów, gdzie w milczeniu oczekiwała go publiczność, usłyszał pierwsze uderzenie Big Bena.

Po drugim dwaj wartownicy w galowych mundurach otworzyli masywne drzwi i nowy lord kanclerz wkroczył do Izby Wyższej. Próbował nie uśmiechać się zbytnio, widząc przed sobą coś, co zadowolony producent teatralny niewątpliwie nazwałby pełną salą. Kilku z jego kolegów musiało nawet zadowolić się miejscem pomiędzy sektorami; inni przysiedli na stopniach poniżej tronu.

Lordowie powstali, gdy przekroczył próg sali, i powitali go głośnymi okrzykami akceptacji, jak zawsze wymachując przy tym programami obrad. Giles wyznał potem Freddiemu, że owo powitanie było najwspanialszą chwilą w jego życiu.

– Przebiło nawet ucieczkę z obozu jenieckiego?

– Ale było równie przerażające – przyznał Giles.

Podczas modlitwy prowadzonej przez biskupa Bristolu Giles zerknął na galerię dla gości. Jego żona, syn i najstarszy przyjaciel spoglądali na niego z góry i żadne z nich nie umiało zamaskować dumy, która ich rozpierała.

Gdy biskup wreszcie pobłogosławił zgromadzenie, lordowie zaczekali, aż lord kanclerz po raz pierwszy spocznie na swym siedzisku, po czym zajęli miejsca w ławach. Giles starannie ułożył fałdy ozdobnej szaty i nie mógł sobie odmówić krótkiej pauzy, nim skinął ku czcigodnej baronessie Clifton, zezwalając jej na udzielenie odpowiedzi na pierwszą interpelację.

Emma wstała, by zwrócić się do Izby Wyższej.

– Lordzie kanclerzu – zaczęła – wiem, że cała Izba pragnie dołączyć się do gratulacji z okazji pańskiej nominacji i życzyć wielu szczęśliwych lat kierowania jej pracą.

Giles ukłonił się siostrze, słuchając przychylnych okrzyków dobiegających ze wszystkich zakątków sali.

Pierwsza interpelacja.

Emma odwróciła się ku ławie parów niezależnych.

– Mogę zapewnić czcigodnego lorda Prestona, że rząd traktuje zagrożenie AIDS z należną powagą. Moje ministerstwo właśnie przeznaczyło milion funtów na badania nad tą straszną chorobą i już zaczynamy dzielić się naszymi odkryciami z czołowymi naukowcami i lekarzami na całym świecie, a wszystko to w nadziei, że wkrótce uda się znaleźć lekarstwo. Warto dodać, że w przyszłym tygodniu udaję się do Waszyngtonu na spotkanie z naczelnym lekarzem kraju. Gwarantuję, że kwestia AIDS jest jednym z najważniejszych punktów programu tej wizyty.

Starszy dżentelmen z jednej z ostatnich ław wstał, by zadać dodatkowe pytanie.

– Dziękuję pani minister za odpowiedź, ale chciałbym wiedzieć, jak nasze szpitale radzą sobie z nagłym napływem pacjentów.

Giles usadowił się wygodniej, słuchając z zainteresowaniem, jak jego siostra kolejno udziela odpowiedzi na niełatwe pytania. Dobrze pamiętał, jak to było, gdy sam zasiadał w pierwszej ławie. Emma niekiedy jeszcze się wahała, ale już nie musiała nieustannie zerkać do notatek przygotowanych przez jej urzędników. Był pod wrażeniem tego, jak panuje nad Izbą, bo tej sztuki wielu ministrów nigdy nie posiadło.

Przez kolejnych czterdzieści minut Emma odpowiadała na pytania z przeróżnych dziedzin: od finansowania badań nad nowotworami po napaści na personel oddziałów ratunkowych po meczach piłki nożnej i szybkość reagowania jednostek medycyny ratunkowej.

Giles zastanawiał się, ile prawdy jest w plotkach, które słyszało się w korytarzach parlamentu – o tym, że jeśli konserwatyści wygrają kolejne wybory, Margaret Thatcher powierzy Emmie przywództwo w Izbie Lordów. Uważał, że nikt w tej sali nie będzie specjalnie zdziwiony, jeśli tak właśnie się stanie. Słyszał jednak i inne plotki: podobno ktoś z tylnych ław konserwatystów sposobił się do rzucenia wyzwania Thatcher – zapragnął kierować partią. Giles uważał, że to nie może być prawdą, bo choć metody działania pani premier bywały drakońskie, a czasem wręcz dyktatorskie, trudno było wyobrazić sobie, by torysi wpadli na pomysł usunięcia urzędującej szefowej rządu, która na dodatek jeszcze nigdy nie przegrała wyborów.

– Mogę tylko zapewnić czcigodnego lorda – ciągnęła Emma w odpowiedzi na ostatnią interpelację – że moje ministerstwo nie zaprzestanie wydawania zezwoleń na sprzedaż leków generycznych, naturalnie zawsze po poddaniu ich rygorystycznym

badaniom. Naszym celem jest dopilnowanie, by pacjenci nie musieli płacić kosmicznych cen koncernom farmaceutycznym, dla których zyski liczą się znacznie bardziej niż ludzie.

Gdy siadała, w sali rozbrzmiewało gromkie „Racja, racja!", lecz gdy tylko minister spraw zagranicznych wstał, by zająć jej miejsce i otworzyć debatę na temat Wysp Falklandzkich, w pośpiechu zebrała papiery i wymknęła się z sali. Nie chciała się spóźnić na spotkanie z walczącym o prawa gejów Ianem McKellenem, który miał dość radykalne poglądy na to, w jaki sposób rząd powinien radzić sobie z kryzysem AIDS. Prywatnie zaś miała wielką ochotę powiedzieć mu, jak bardzo podobał jej się ostatnio w roli Ryszarda III w National Theatre.

Wychodząc z sali, potknęła się i upuściła kilka dokumentów; zebrał je i podał jej szef dyscypliny, który akurat ją mijał. Podziękowała mu i już miała ruszyć w dalszą drogę, gdy za jej plecami rozległ się znajomy głos:

– Pani minister, czy mógłbym panią prosić na słowo?

Odwróciła się i ujrzała lorda Samuelsa, prezesa Królewskiego Kolegium Lekarzy, który właśnie ją doganiał. Pomyślała, że jeśli palnęła jakieś głupstwo, udzielając odpowiedzi na interpelacje, to ktoś taki jak on z pewnością nie wytknąłby jej tego przy świadkach. To nie było w jego stylu.

– Naturalnie, lordzie Samuels. Mam nadzieję, że nie popełniłam dziś żadnej żenującej gafy?

– Ależ skąd – odparł Samuels, uśmiechając się ciepło. – Chodzi o to, że chciałbym z panią chwilę porozmawiać, jeśli tylko dysponuje pani czasem...

– Naturalnie – powtórzyła Emma. – Poproszę osobistą sekretarkę, żeby skontaktowała się z pańskim biurem. Jakoś się umówimy.

– Obawiam się, pani minister, że sprawa jest dość pilna.

– Wobec tego może wpadłby pan do mojego gabinetu jutro rano, koło ósmej?

– Wolałbym, żeby to było prywatne spotkanie, z dala od ciekawskich, urzędniczych oczu.

– W takim razie to ja pana odwiedzę. Proszę tylko powiedzieć, kiedy i gdzie.

– Jutro rano, o ósmej, w gabinecie, w którym udzielam konsultacji, przy Harley Street 47A.

Emma doskonale wiedziała o głębokim i, jak twierdzili niektórzy, osobistym konflikcie między prezesem Królewskiego Kolegium Lekarzy a prezesem Królewskiego Kolegium Chirurgów. Jego przyczyną było ponoć planowane połączenie szpitali Guy's, St Thomas's i King's w jeden organizm państwowej służby zdrowia. Lekarze byli za, a chirurdzy przeciw. I jedni, i drudzy deklarowali: „Po moim trupie".

Usilnie się starała nie zajmować stanowiska w tym sporze, ale na wszelki wypadek poprosiła swoich ludzi o sporządzenie notatek na jego temat, by odpowiednio się przygotować do spotkania z lordem Samuelsem. Niestety, z powodu zbyt licznych spotkań zaplanowanych na ten dzień nie zdążyła ich przeczytać, nim dobrze po północy położyła się do łóżka. Harry chrapał donośnie i miała nadzieję, że dzięki temu nie zaśnie, ale zmęczenie wzięło górę. Nie mogła skupić się na szczegółach i wkrótce zapadła w głęboki sen.

Rankiem, zanim jeszcze zaparzyła sobie herbatę, ponownie sięgnęła do czerwonego kuferka.

Notatka zatytułowana „Tommy's, Guy's, King's" leżała na tuzinie teczek oznaczonych jako pilne. Był wśród nich poufny raport z badań DNA, wykonanych przez dwóch wybitnych naukowców z Ameryki. O wstępnych wynikach wiedziała już wcześniej, ale dopiero teraz poczuła, że może podzielić się dobrą nowiną z Harrym.

Poderwała się raźno z krzesła, podniosła słuchawkę telefonu stojącego na kredensie i wybrała numer Manor House.

– Lepiej niech to będzie coś dobrego – powiedział Harry – bo Aleksander właśnie ma podjąć decyzję, czy wyruszyć do Ameryki, czy do Anglii.

– Coś dobrego? Nawet bardzo – odparła. – Z badań DNA wynika, że Arthur Clifton był bez wątpienia twoim ojcem.

Po dłuższej pauzie Harry wykrzyknął:

– Alleluja! To zaiste dobra wiadomość. Zaraz wrzucę do lodu butelkę szampana; gdy przyjedziesz wieczorem do domu, będziemy świętować.

– Do Ameryki – rzuciła Emma, zanim odłożyła słuchawkę.

Jedząc śniadanie, odbyła jeszcze kilka rozmów telefonicznych i wciąż nie znalazła chwili, by zapoznać się z argumentami za i przeciw połączeniu szpitali. O 7.25 przed dom zajechał służbowy samochód. Znowu zaczynało jej brakować czasu.

Jadąc ulicami Londynu, przeczytała przynajmniej pełne szczegółów pisma obu prezesów, ale gdy wóz skręcał w Harley Street, nadal nie była pewna, który z nich ma rację. Odłożyła dokumenty z powrotem do czerwonego kuferka i spojrzała na

zegarek: 7.57. Miała nadzieję, że dyskusja nie potrwa zbyt długo; musiała wrócić do ministerstwa na spotkanie z nowym przewodniczącym Brytyjskiego Towarzystwa Medycznego, wyjątkowym gorliwcem, o którym usłyszała w sekretariacie, że najchętniej topiłby wszystkich torysów zaraz po urodzeniu. Pauline nazwała to metodą Heroda.

Emma właśnie miała nacisnąć guzik dzwonka oznaczony numerem 47A, gdy drzwi otworzyła przed nią młoda kobieta.

– Dzień dobry, pani minister. Zaprowadzę panią do lorda Samuelsa.

Prezes Królewskiego Kolegium Lekarzy wstał, gdy weszła do gabinetu. Zaczekał, aż usiadła, nim zaproponował jej kawę.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Emma. Nie chciała marnować więcej czasu, niż to konieczne, a jednocześnie próbowała nie sprawiać wrażenia, że działa w wielkim pośpiechu.

– Jak wspomniałem wczoraj, pani minister, sprawa ma charakter osobisty. To dlatego nie chciałem, byśmy się spotkali w pani biurze.

– Doskonale to rozumiem – odrzekła Emma, czekając na pierwsze argumenty za połączeniem szpitali Guy's, St Thomas's i King's w jeden organizm.

– Podczas wczorajszych interpelacji... – Ach, pomyślała Emma, więc jednak musiałam się wygłupić, a on uprzejmie nie wypomniał mi tego podczas sesji. – ...zauważyłem, że gdy umilkła pani na chwilę, żeby się napić, rozlała pani trochę wody na dokumenty. Potem zaś odpowiadała pani na pytania, nie zaglądając do papierów, więc nikt tego nie zauważył, ale wiem, że to nie był pierwszy raz.

Emma zastanawiała się, dokąd ma prowadzić ten wywód, ale nie przerywała.

– Chwilę później, wychodząc z sali, potknęła się pani i upuściła parę kartek.

– Rzeczywiście – przyznała, myśląc coraz bardziej gorączkowo. – Ale żaden z tych incydentów nie wydał mi się istotny.

– Mam nadzieję, że takie nie były – zapewnił ją Samuels. – Pozwolę sobie jednak spytać, czy w ostatnim czasie miewała pani kłopoty z chwytaniem przedmiotów takich jak kubki, teczka, a nawet pióro, którym podpisuje pani listy?

Emma zawahała się, zanim odpowiedziała.

– Tak, przypominam sobie, że tak, skoro pan o to pyta. Ale wyznam, że matka zawsze uważała mnie za niezdarę.

– Zauważyłem też, że może dwa razy pozwoliła pani sobie na pauzę podczas wczorajszego wystąpienia przed Izbą. Czy to dlatego, że zastanawiała się pani nad odpowiedzią, czy może pojawił się problem z mówieniem?

– Uznałam, że to wpływ stresu. Brat zawsze mnie ostrzegał: nigdy nie pozwalaj sobie na odprężenie, gdy stoisz przy mównicy.

– Czy czuje pani czasem słabość w nogach, nagłą potrzebę spoczynku?

– Tak, ale mam siedemdziesiąt lat, lordzie Samuels. Pierwsza chętnie przyznam, że przydałoby mi się trochę ćwiczeń.

– Możliwe, ale czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym przeprowadził teraz krótkie badanie neurologiczne? Choćby po to, żeby rozwiać moje wątpliwości.

– Oczywiście – odparła Emma, mimo że miała wielką ochotę odmówić i czym prędzej pojechać do biura.

Krótkie badanie trwało ponad godzinę. Lord Samuels zaczął od prośby, by Emma zapoznała go z historią swych co ważniejszych chorób. Potem osłuchał jej serce i młoteczkiem sprawdził odruch rzepkowy. Gdyby te proste badania wypadły satysfakcjonująco, zapewne przeprosiłby za kłopot i odesłał ją do pracy, ale tak się nie stało. Już po chwili zabrał się do oceny stanu nerwów czaszkowych, a gdy skończył, zaczął wnikliwie badać usta Emmy, skupiając się zwłaszcza na fascykulacji języka. Usatysfakcjonowany mało satysfakcjonującym wynikiem tej próby lord Samuels rzekł:

– Badanie, które za chwilę przeprowadzę, będzie bolesne. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że takie będzie.

Emma nie skomentowała tego ostrzeżenia; milczała też, gdy sięgnął po igłę. Dopiero gdy wbił ją w jej ramię, krzyknęła odruchowo, co najwyraźniej go ucieszyło. Gdy jednak powtórzył zabieg z prawą dłonią, nie zareagowała.

– Auu! – jęknęła, czując ból w udzie, ale kiedy ukłuł ją w łydkę, równie dobrze mógłby dziurawić poduszeczkę do igieł. Gdy zabrał się do nakłuwania jej pleców, często nawet nie czuła, że jej dotyka.

Gdy na powrót wkładała bluzkę, lord Samuels zasiadł za swym biurkiem, otworzył teczkę i zaczekał, aż pacjentka do niego dołączy. W końcu uniósł głowę i zobaczył, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Emmo – rzekł łagodnie – obawiam się, że mam pani do przekazania złe wieści.

51

Gdy minister rezygnuje ze stanowiska z powodu skandalu, pismacy maczają pióra w jego krwi i starają się wyciągnąć z tej historii tyle, ile się da. Kiedy jednak przychodzi czas, by zdać urząd z powodu choroby, przeważa zgoła odmienne podejście – zwłaszcza gdy chodzi o ministra powszechnie lubianego i szanowanego.

Z powodu rezygnacji Emmy doszło, rzecz jasna, do tradycyjnej wymiany pism z panią premier, ale nikt nie mógł przeoczyć faktu, że w korespondencji tej pojawiła się szczera nuta obustronnego, autentycznego żalu.

„To najbardziej ekscytująca praca, jaką dane mi było wykonywać w całym życiu, a służbę w Pani rządzi poczytuję sobie za zaszczyt".

Pani premier odpowiedziała w podobnym tonie:

„Pani wyjątkowy wkład w życie publiczne oraz wierna służba krajowi nigdy nie zostaną zapomniane".

Ani pani premier, ani odchodząca pani minister nie wspomniały słowem o przyczynie nagłej rezygnacji.

Naczelny lekarz kraju nigdy w swej karierze nie spotkał pacjentki, która tak straszne wieści przyjęłaby z większą godnością i spokojem. Emma pozwoliła sobie tylko na jedną, jedyną chwilę słabości – gdy lord Samuels odprowadzał ją do samochodu, na moment wsparła się na jego ramieniu. Poprosiła też o przysługę, a on zgodził się bez wahania.

Pozostał na chodniku, aż służbowy wóz pani minister zniknął mu z oczu, po czym wrócił do gabinetu i zgodnie z jej życzeniem zadzwonił do trzech osób, z którymi nigdy wcześniej nie rozmawiał: do lorda kanclerza, do pani premier oraz do sir Harry'ego Cliftona.

Pierwszy załamał się i zapłakał, nie mogąc wykrztusić choćby jednego słowa. Druga natychmiast wykreśliła z terminarza wszystkie spotkania zaplanowane na ten dzień, wyjaśniając swemu sztabowi, że pragnie odwiedzić przyjaciółkę. Lord Samuels uznał, że to osoby ulepione z tej samej gliny co wspaniała dama, która właśnie opuściła jego gabinet. Najgorszą próbą była dlań jednak rozmowa, którą zostawił sobie na koniec.

Najdelikatniej jak potrafił, lord Samuels powiadomił Harry'ego, że jego żona cierpi na stwardnienie boczne zanikowe i można jedynie mieć nadzieję, iż przeżyje jeszcze rok, w najlepszym razie osiemnaście miesięcy. Łagodny człowiek pióra długo nie mógł znaleźć słów, którymi zdołałby wyrazić to, co poczuł. Po długiej chwili milczenia zdobył się jedynie na krótkie:

– Dziękuję, lordzie Samuels, że mnie pan zawiadomił.

Potem odłożył słuchawkę i potrzebował jeszcze sporo czasu, by się pozbierać i uświadomić sobie, że w tej sytuacji jedno z nich musi pozostać silne.

Harry porzucił *Ty wygrywasz* dosłownie w pół zdania i czym prędzej pojechał na stację. W domu przy Smith Square był na długo przed powrotem Emmy.

Gdy po raz ostatni wyszła z gmachu ministerstwa i odwieziono ją do domu, zastała tam Harry'ego, który czekał na nią na progu. Bez słowa wziął ją w ramiona. Jakże niewiele potrzeba słów, gdy spędziło się razem ponad pięćdziesiąt lat.

Wcześniej zdążył zadzwonić do wszystkich członków rodziny i przekazał im fatalną nowinę, by nie musieli dowiadywać się o chorobie Emmy z mediów. Napisał też pół tuzina listów, wyjaśniając w nich, że z przyczyn osobistych jest zmuszony wycofać się ze wszystkich zaplanowanych imprez i nie będzie przyjmował nowych zaproszeń, ani na gruncie towarzyskim, ani zawodowym.

Następnego ranka Harry zawiózł Emmę do domu w Somerset, gdzie mieli zacząć zupełnie nowe życie. Ustawił dla niej łóżko w salonie, by nie musiała wspinać się po schodach. Wyniósł wszystkie swoje rzeczy z biurka w bibliotece, by miała dość miejsca do odpowiadania na worki listów, które odbierali co dzień. Harry otwierał każdy z nich i rozdzielał na kupki: osobno te od rodziny, osobno od przyjaciół, kolegów, pracowników państwowej służby zdrowia. Osobno układał też listy od młodych kobiet z całego kraju, których Emma nigdy nie spotkała, a które nie tylko pragnęły jej podziękować, ale także nieodmiennie używały słów „wzór do naśladowania".

Z czasem powstała jeszcze jedna, wyjątkowo duża sterta listów – te jak żadne inne podnosiły Emmę na duchu. Przysyłali je koledzy parlamentarzyści, którzy nigdy nie podzielali jej

poglądów politycznych, ale pragnęli wyrazić podziw i szacunek dla sposobu, w jaki ich traktowała: zawsze umiała wysłuchać ich racji, a od czasu do czasu była nawet skłonna zmienić zdanie.

Przez kilka tygodni listy napływały szerokim strumieniem, a Emma odpowiadała każdemu, kto zechciał poświęcić czas, by do niej napisać. Przestała dopiero wtedy, gdy nie mogła już utrzymać w dłoni pióra. Od tego dnia dyktowała odpowiedzi Harry'emu, który nie miał nic przeciwko temu, że mimo rozlicznych obowiązków jest teraz nadwornym skrybą swej żony. Emma uparcie twierdziła, że musi przeczytać każdą odpowiedź, zanim się pod nią podpisze. Gdy i stawianie parafki stało się dla niej zbyt trudne, Harry podpisywał listy w jej imieniu.

Doktor Richards zaglądał do nich dwa razy w tygodniu i starał się informować Harry'ego, czego powinien się spodziewać w najbliższym czasie. Stary lekarz musiał jednak przyznać, że czuje się bezradny, ponieważ nie mógł zaoferować pacjentce niczego poza wyrazami sympatii i kolejnymi receptami na pigułki, które, jak wierzył, mogły ukoić coraz silniejsze bóle dręczące Emmę.

Przez pierwszych kilka tygodni małżonkowie mogli jeszcze cieszyć się spacerami po posiadłości. Dość szybko jednak Emma zaczęła wspierać się na ramieniu Harry'ego, potem na lasce, aż wreszcie poddała się i korzystała z wózka inwalidzkiego, który Harry nabył bez jej wiedzy.

W owych pierwszych miesiącach to ona odzywała się znacznie częściej. Odważnie komentowała wydarzenia ze świata, choć po latach współuczestnictwa teraz dowiadywała się o nich z drugiej ręki – z porannych gazet i wieczornych wiadomości telewizyjnych.

Z zadowoleniem patrzyła, jak prezydent Bush i pani Thatcher podpisują Paryską Kartę Nowej Europy z przewodniczącym Gorbaczowem w Paryżu, oficjalnie kończąc czas zimnej wojny. Lecz ledwie kilka dni później ogarnęła ją zgroza na wieść o tym, że jej dawni koledzy partyjni spiskują w Londynie, chcąc odsunąć panią premier od władzy. Czy naprawdę musiała osobiście przypomnieć im, że Żelazna Dama zwyciężyła w trzech kolejnych wyborach?

Sprawa wzburzyła Emmę na tyle, że postanowiła podyktować Harry'emu długi list do Margaret. Bardzo konkretnie wyraziła w nim swoją opinię o byłych kolegach, a potem ze zdumieniem przyjęła jeszcze dłuższą odpowiedź, która nadeszła pocztą. Przeczytawszy ją, tym bardziej żałowała, że nie przemierza już korytarzy Pałacu Westminsterskiego, dając zbuntowanym torysom jasno do zrozumienia, co o nich myśli.

Jej umysł nadal był bystry, lecz stan ciała pogarszał się szybko. Z każdym tygodniem narastały problemy z mówieniem, ale to nie przeszkadzało Emmie okazywać radości za każdym razem, gdy ktoś z rodziny zaglądał na wieś i zabierał ją w wózku na spacer po ogrodzie.

Mała Lucy prawie nie milkła, ochoczo informując prababcię o wszystkim, co ostatnio porabiała. Była jedynym członkiem rodziny, który nie rozumiał w pełni tego, co się dzieje, a to czyniło ich więź wyjątkową.

Jake nosił już długie portki i udawał bardzo dorosłego. Jej bratanek Freddie, student pierwszego roku Cambridge, stał się cichym i wrażliwym młodzieńcem. Dyskutował z Emmą o sprawach państwowych tak, jakby nadal sprawowała swoją

funkcję. Pragnęła pożyć wystarczająco długo, by zobaczyć go w ławach Izby Gmin, ale wiedziała doskonale, że tak się nie stanie.

Jessica pochwaliła się babci podczas jednego ze spacerów po ogrodzie, że wystawa prezentująca jej cykl *Drzewo życia* zostanie wkrótce otwarta i że nadal jest nadzieja na nominację do nagrody Turnera. Zaraz jednak dodała:

– Tylko nie czekaj z zapartym tchem!

Sebastian i Samantha przyjeżdżali do Somerset w każdy weekend. Seb dzielnie próbował zachować dobry nastrój w obecności Emmy, ale swemu wujowi Gilesowi zwierzył się, że zaczyna w równym stopniu martwić się o ojca, jak o matkę. „Harry się zadręcza" – takich słów użył Giles w liście, który tego samego wieczoru napisał do swej siostry Grace.

Giles i Karin spędzali w Manor House tyle czasu, ile mogli, i regularnie dzwonili do Grace, rozdartej między zobowiązaniami wobec uczniów a miłością do chorej siostry. Gdy tylko rok szkolny dobiegł końca, pierwszym pociągiem pojechała do Bristolu. Giles, który odebrał ją z dworca Temple Meads, uprzedził ją zawczasu, jak bardzo pogorszył się stan Emmy od jej ostatniej wizyty. Grace była więc przygotowana na to, jak może wyglądać jej siostra, ale prawdziwy szok przeżyła na widok Harry'ego, który nagle stał się starcem.

Zaczęła pielęgnować oboje małżonków najlepiej jak umiała, lecz gdy Giles przybył z kolejną wizytą, uprzedziła go, że nie przypuszcza, by Emma doczekała jesieni.

Premiera *Ty wygrywasz* nie miała wielkiego wpływu na codzienne życie rodziny Cliftonów. Harry nie pojechał na tournée

po Ameryce, gdzie miał odwiedzić jedenaście miast. Nie wybrał się też do Indii na Festiwal Książki w Bombaju.

Przez wszystkie te miesiące tylko raz wyrwał się do Londynu, ale nie po to, by odwiedzić wydawcę albo przemówić podczas lunchu z literaturą w księgarni Foyle'a, tylko po to, żeby zawiadomić Rogera Kirby'ego, że rezygnuje z operacji nowotworu prostaty, ponieważ nie może sobie pozwolić na tygodnie rekonwalescencji.

Chirurg okazał mu zrozumienie, lecz jednocześnie ostrzegł:

– Jeżeli rak rozprzestrzeni się na inne organy – jelito grube albo wątrobę – pańskie życie będzie w niebezpieczeństwie. Proszę mi powiedzieć, Harry, czy odczuwał pan ostatnio ostre bóle w plecach?

– Nie – skłamał Harry. – Porozmawiamy o tym kiedy indziej, gdy...

Przed powrotem do Manor House zamierzał wykonać jeszcze jedno zadanie. Obiecał Emmie, że kupi w Hatchards jej ulubioną powieść i będzie ją czytał na głos, po jednym rozdziale każdego wieczoru. Gdy wysiadł z taksówki przy Piccadilly, nawet nie spojrzał na witrynę, w której eksponowano tylko jedną książkę, pod transparentem z napisem:

WYDAWNICZA SENSACJA ROKU

Wszedł do księgarni, szybko znalazł egzemplarz *Młyna nad Flossą* i wręczył dziesięciofuntowy banknot młodej kobiecie stojącej za kontuarem. Włożyła książkę do torebki, a gdy klient odwracał się, by wyjść na ulicę, zdążyła przyjrzeć mu się bliżej i przez krótką chwilę zastanawiała się, czy to możliwe.

Podbiegła do stołu w centralnej części sali, sięgnęła po *Ty wygrywasz* i spojrzała na fotografię autora z tyłu obwoluty, a potem znowu na mężczyznę, który właśnie wsiadał do taksówki. Przez moment sądziła, że to naprawdę Harry Clifton, lecz im dłużej wpatrywała się w zdjęcie, tym mocniejsze było w niej przekonanie, że ów nieogolony, nieuczesany, siwowłosy mężczyzna, który właśnie opuścił księgarnię, był zdecydowanie starszy od autora bestsellerowej powieści. Fotografię wykonano przecież najwyżej rok wcześniej.

Odłożyła książkę na stół z hitami sprzedaży, na którym *Ty wygrywasz* spędziła już jedenaście tygodni.

Gdy Emma nie mogła już wstać z łóżka, doktor Richards uprzedził Harry'ego, że zostało jej ledwie kilka tygodni życia.

Harry rzadko zostawiał ją samą na dłużej niż kilka minut, lecz coraz trudniej było mu obcować z nieznośnym bólem, który dręczył ją każdego dnia. Jego żona ledwie przełykała cokolwiek poza płynami. Nie mogła już mówić, zaczęła więc komunikować się z nim, mrugając powiekami. Jedno mrugnięcie – tak. Dwa mrugnięcia – nie. Trzy mrugnięcia – proszę. Cztery mrugnięcia – dziękuję. Harry powiedział Emmie, że trzy i cztery mrugnięcia to zbędny wysiłek, ale zaraz przypomniał sobie jej słowa o tym, że dobre maniery nigdy nie są zbędne.

Każdego wieczoru, gdy ciemność wpełzała do pokoju, Harry włączał lampkę nocną i czytał kolejny rozdział w nadziei, że jego żona szybko zaśnie.

Po jednej z porannych wizyt doktor Richards wziął Harry'ego na stronę.

– Już niedługo.

Od pewnego czasu Harry martwił się tylko tym, jak długo jeszcze Emma będzie musiała cierpieć.

– Miejmy nadzieję, że ma pan rację – odpowiedział.

Tego wieczoru usiadł na skraju łóżka i kontynuował czytanie. „Zadziwiający ten świat, a stary Harry dobrze go rozumiał".

Emma uśmiechnęła się.

Gdy skończył rozdział, zamknął książkę i spojrzał w oczy kobiety, z którą dzielił życie, a która nie chciała już żyć. Pochylił się nad nią i wyszeptał:

– Kocham cię, najdroższa.

Cztery mrugnięcia.

– Czy ból jest nie do zniesienia?

Jedno mrugnięcie.

– Już niedługo.

Trzy mrugnięcia i błagalne spojrzenie.

Czule pocałował ją w usta.

– Kochałem w życiu tylko jedną kobietę – wyszeptał.

Cztery mrugnięcia.

– Modlę się, abyśmy wkrótce znowu się spotkali.

Jedno mrugnięcie. Potem trzy, potem cztery.

Ujął jej dłoń, zamknął oczy i poprosił o wybaczenie Boga, którego istnienia nie był już pewny. A potem, nie czekając, aż zabraknie mu odwagi, chwycił poduszkę i spojrzał na Emmę po raz ostatni.

Jedno mrugnięcie. I trzy.

Zawahał się.

Jedno mrugnięcie, powtarzane co kilka sekund.

Delikatnie opuścił poduszkę na twarz Emmy.

Jej ramiona i nogi zadygotały nieznacznie, zanim znieruchomiała, ale nadal naciskał. Gdy wreszcie uniósł poduszkę, ujrzał uśmiech na twarzy Emmy, jakby po raz pierwszy od miesięcy zaznała wytchnienia.

Gdy Harry tulił ją w ramionach, za oknem pierwsze jesienne liście poszybowały ku ziemi.

Doktor Richards wpadł następnego ranka i jeśli nawet zdziwił się tym, że pacjentka zmarła właśnie tej nocy, to nie wspomniał o tym Harry'emu ani słowem. W akcie zgonu napisał tylko: „Umarła we śnie w następstwie stwardnienia bocznego zanikowego". Był w końcu nie tylko lekarzem rodzinnym, ale i starym przyjacielem rodziny.

Emma jednoznacznie domagała się cichego pogrzebu, z udziałem rodziny i bliskich przyjaciół. Żadnych kwiatów; zamiast nich – darowizny na rzecz Królewskiego Szpitala Bristolskiego. Jej życzenia zostały spełnione co do joty, choć raczej trudno przypuszczać, by była do końca świadoma tego, jak wielu ludzi uważało ją za bliską przyjaciółkę.

W wiejskim kościele zebrał się tłum miejscowych i niezbyt miejscowych, o czym Harry przekonał się naocznie, gdy przeciskając się w stronę pierwszej ławki, gdzie miał dołączyć do rodziny, minął byłą panią premier siedzącą w trzecim rzędzie.

Niewiele zapamiętał z owego nabożeństwa – był myślami gdzieś indziej – ale starał się uważać, gdy pastor wygłaszał poruszające słowa pożegnania.

Gdy opuszczono trumnę do grobu i zasypano grudami piachu, Harry był jednym z ostatnich żałobników, którzy opuścili

cmentarz. Powrócił w końcu do Manor House, do rodziny, lecz jeszcze przez dłuższą chwilę nie mógł sobie przypomnieć imienia małej Lucy.

Grace obserwowała go bacznie, gdy usiadł w salonie, dokładnie tam, gdzie po raz pierwszy spotkał Emmę – no, może niezupełnie spotkał.

– Wszyscy już pojechali – powiedziała wreszcie, ale on dalej tam siedział, spoglądając w okno.

Gdy słońce zniknęło za najwyższym dębem, wstał wreszcie, wyszedł na korytarz i wspiął się po schodach do sypialni. Rozebrał się i położył do pustego łóżka. Świat już go nie obchodził.

Lekarze twierdzą, że nie można umrzeć z rozpaczy, ale Harry umarł dziewięć dni później.

W akcie zgonu pojawiła się notatka o śmierci z powodu choroby nowotworowej, ale jak zauważył doktor Richards, gdyby Harry tylko tego chciał, mógł pożyć jeszcze dziesięć, a może nawet dwadzieścia lat.

Instrukcje, które pozostawił, były równie jasne jak życzenia Emmy. Podobnie jak ona, chciał cichego pogrzebu. Tak naprawdę marzył tylko o jednym: by pochowano go u boku żony. Tak też się stało, a po pogrzebie, gdy rodzina wróciła do Manor House, Giles zebrał wszystkich w salonie i poprosił o wspólny toast za swego najdawniejszego i najdroższego przyjaciela.

– Mam nadzieję – dodał – że pozwolicie mi na to, czego Harry by ponad wszelką wątpliwość nie zaakceptował.

Bliscy w milczeniu wysłuchali jego propozycji.

– Nie zaakceptowałby, to absolutnie pewne – stwierdziła Grace. – Ale Emma tak, bo sama mi o tym mówiła.

Giles spojrzał kolejno po twarzach swych krewnych, ale nie musiał szukać w ich oczach przyzwolenia, ponieważ czuł bardziej niż kiedykolwiek, że są jednością.

HARRY ARTHUR CLIFTON
1920–1992

52

Zalecenia, które otrzymał, chyba nie mogły być jaśniejsze, lecz przecież wydawano je od 1621 roku.

Czcigodny lord Barrington z Bristol Docklands miał przybyć do katedry Świętego Pawła 10 kwietnia 1993 roku o godzinie 10.50. O 10.53 miał mu wyjść na spotkanie przy północno-zachodnim wejściu wielebny kanonik tejże świątyni, Eric Evans. O 10.55 kanonik miał wprowadzić lorda kanclerza do katedry, a następnie towarzyszyć mu w drodze na czoło nawy głównej, gdzie mieli dotrzeć – wedle słów duchownego – równo o 10.57.

Gdy zegar na wieży wybije jedenastą, organista miał zagrać pierwsze akordy hymnu *Wszyscy ludzie, co ziemię zamieszkują*. Na ten znak wierni mieli powstać i, zdaniem kanonika, gremialnie przyłączyć się do śpiewu. Od tej pory, aż po ostatnie błogosławieństwo kanonika, nad przebiegiem nabożeństwa miał czuwać wielebny Barry Donaldson, biskup Bristolu i jeden z najdawniejszych przyjaciół Harry'ego. Giles miał odegrać na kościelnej scenie tylko jedną rolę.

Spędził długie tygodnie, przygotowując się właśnie na tę jedną godzinę, ponieważ czuł, że musi ona być godna jego

najwierniejszego druha i – co najważniejsze – właśnie tego życzyłaby sobie Emma. Zorganizował sobie nawet próbny przejazd ze Smith Square do Świętego Pawła, ledwie tydzień wcześniej, dokładnie o tej samej porze, by mieć pewność, że się nie spóźni. Podróż zajęła mu 24 minuty, uznał więc, że trzeba będzie wyjść z domu o 10.15. Lepiej przyjechać parę minut za wcześnie, powiedział swemu kierowcy, niż się o parę minut spóźnić. Zwolnić zawsze można, za to zdarza się tak, że londyńskie korki nie pozwalają nikomu przyspieszyć.

Rankiem w dniu uroczystości Giles obudził się po piątej i od razu wiedział, że już nie zaśnie. Zarzucił szlafrok na ramiona, zszedł do gabinetu i raz jeszcze przeczytał swoją mowę pożegnalną. Podobnie jak Harry, gdy pracował nad swymi powieściami, tak i Giles stworzył bodaj czternaście „szkiców" – a może ten był piętnasty? Tym razem zmian było niewiele – jakieś słowo tu i tam, jedno dodane zdanie. Był pewny, że nie zdziała nic więcej, ale musiał jeszcze sprawdzić, ile czasu potrzebuje na wygłoszenie tego tekstu.

Przeczytał go bez pauz – niespełna piętnaście minut. Winston Churchill kiedyś mu powiedział: „Na każdą minutę ważnego przemówienia powinna przypadać godzina pisania, lecz jednocześnie, drogi chłopcze, musisz wzbudzić w słuchaczach przekonanie, że improwizowałeś". Zdaniem Churchilla na tym polegała różnica między zwykłym mówcą, a oratorem.

Giles wstał, odsunął fotel i zaczął wygłaszać elegię tak, jakby przemawiał do tysięcznego tłumu, choć, prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, ilu wiernych przyjdzie na nabożeństwo. Kanonik wspominał, że katedra swobodnie pomieści i dwa tysiące ludzi, ale

takie tłumy bywały tam niezmiernie rzadko – na przykład podczas pogrzebu kogoś z rodziny królewskiej albo mszy żałobnej po śmierci premiera – a i takie okazje nie zawsze wystarczały, by zapełnić świątynię.

– Ale bez obaw – dodał duchowny – niech przyjdzie choćby sześć setek, to zapełnimy nawę główną, oddzielimy boki i będziemy mieli pełną salę. Tylko stali bywalcy zorientują się, jak jest.

Giles modlił się jednak, by katedra naprawdę była pełna, bo nie chciał sprawić zawodu swemu przyjacielowi. Gdy po czternastu minutach odłożył skrypt i wrócił do sypialni, Karin była jeszcze w podomce.

– Powinniśmy się zbierać – powiedział.

– Ależ oczywiście – zgodziła się Karin – o ile masz zamiar iść pieszo do katedry. Bo jeśli wyjdziesz teraz, to spacerkiem zdążysz na spotkanie z kanonikiem – dodała, zanim zniknęła w łazience.

Gdy Giles pracował na dole nad skryptem, ona wyłożyła dla niego białą koszulę, krawat z emblematem Liceum Bristolskiego oraz ciemny garnitur, który poprzedniego dnia wrócił z pralni. Ubierał się bez pośpiechu, ostatecznie wybierając złote spinki do mankietów, które Harry podarował mu w dniu ślubu. W końcu przejrzał się w lustrze i zaczął nerwowo krążyć po sypialni, powtarzając na głos całe akapity tekstu i raz po raz spoglądając na zegarek. Jak długo jeszcze będzie się szykowała?

Dwadzieścia minut później Karin wyszła z łazienki, ubrana w prostą, granatową sukienkę, którą Giles widział po raz pierwszy, ozdobioną zębatą złotą broszką. Harry byłby z niej dumny.

– Czas na nas – oznajmiła spokojnie.

Gdy wyszli z domu, Giles z ulgą spojrzał na Toma, który już czekał przy tylnych drzwiach samochodu.

– W drogę, Tom – powiedział, siadając z tyłu i raz jeszcze spoglądając na zegarek.

Kierowca prowadził wóz w dość sennym tempie – stosownie do okazji. Minęli Pałac Westminsterski i Parliament Square, zanim skręcili w Victoria Embankment.

– Mam wrażenie, że ruch jest dziś wyjątkowo duży – stwierdził Giles i znowu zerknął na zegarek.

– Mniej więcej taki sam jak tydzień temu – odparł Tom.

Giles wolał nie komentować faktu, iż praktycznie wszystkie światła zmieniały się na czerwone, gdy się do nich zbliżali. Był praktycznie pewny, że się spóźnią.

Dopiero gdy mijali gryfy strzegące londyńskiego centrum, nieco się odprężył. Wyglądało na to, że dotrą na miejsce dziesięć minut przed czasem. I pewnie tak by się stało, gdyby nie zaszło coś nieprzewidzianego.

Mniej więcej na pół kilometra przed celem, gdy widzieli już kopułę katedry, Tom zauważył zaporę ustawioną w poprzek drogi, której nie było tam tydzień wcześniej, podczas próbnego przejazdu. Policjant uniósł rękę, dając im znak, by się zatrzymali. Tom otworzył okno i powiedział:

– Lord kanclerz.

Funkcjonariusz zasalutował i skinął na swego kolegę, który czym prędzej uniósł szlaban, by przepuścić wóz.

Giles cieszył się, że mają jeszcze trochę czasu – teraz musieli jechać naprawdę wolno, bo tłum pieszych wylewał się z chodnika

na jezdnię na tyle skutecznie, że w końcu niemal musieli się zatrzymać.

– Stań tutaj, Tom – powiedział Giles. – Ostatnich pięćset metrów możemy przecież przejść.

Tom zatrzymał samochód pośrodku ulicy i podbiegł do tylnych drzwi, ale zanim tam dotarł, Giles i Karin zdążyli wysiąść i zniknąć w tłumie. Ci, którzy rozpoznali lorda kanclerza, rozstępowali się na boki; niektórzy zaczęli nawet klaskać.

Giles właśnie miał podziękować za aplauz, gdy Karin szepnęła:

– Nie zapominaj, że klaszczą Harry'emu, nie tobie.

Wreszcie dotarli do schodów i rozpoczęli wspinaczkę ku drzwiom katedry, korytarzem wśród uniesionych piór i ołówków. Wielu ludzi pragnęło pamiętać Harry'ego nie tylko jako pisarza, ale i bojownika o prawa obywatelskie.

Giles zadarł głowę i zobaczył kanonika Erica Evansa, który już na nich czekał na najwyższym stopniu.

– Myliłem się, nieprawdaż? – rzekł z uśmiechem duchowny. – przecież tu chodzi o pisarza; oni zawsze są popularniejsi od polityków.

Giles zaśmiał się nerwowo, wchodząc w ślad za kanonikiem przez północno-zachodnie drzwi i krocząc dalej w głąb katedry. Ci, którzy przybyli zbyt późno, nawet jeśli posiadali zaproszenie, zmuszeni byli stać pod ścianami; ci, którzy nie mieli zaproszeń, tłoczyli się na tyłach niczym fani futbolu na przepełnionej galerii stadionu.

Karin wiedziała, że śmiech Gilesa to wypadkowa działania adrenaliny i nerwów. Chyba nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie.

– Spokojnie – szepnęła, maszerując za kanonikiem długą marmurową ścieżką między rzędami ławek.

Minęli sarkofag Wellingtona i przedarłszy się przez kolejną grupę wiernych, dotarli do swoich miejsc w pierwszej ławce. Idąc wolniutko dalej, w stronę ołtarza, Giles rozpoznawał coraz więcej znajomych twarzy. Aaron Guinzburg siedział obok Iana Chapmana, doktora Richardsa i lorda Samuelsa. Hakim Bishara i Arnold Hardcastle reprezentowali bank Farthings. Sir Alan Redmayne zajął miejsce obok sir Johna Renniego, a Victor Kaufman i jego dawny przyjaciel z lat szkolnych, profesor Algernon Deakins, usiedli w drugiej ławce.

Jednakże prawdziwą niespodzianką była obecność dwu samotnych kobiet. Elegancka starsza pani, która skłoniła głowę, gdy przechodził obok, trzymała się na uboczu i najwyraźniej wolała, by nie zwracano na nią uwagi – co trudno osiągnąć, gdy jest się księżną-wdową – a w ławce tuż za rodziną zmarłego usiadła inna niemłoda już kobieta, która przybyła aż z Moskwy, by uczcić pamięć drogiego przyjaciela swego nieżyjącego męża.

Kiedy zajęli miejsca w pierwszej ławce, Giles sięgnął po program nabożeństwa przygotowany przez Grace. Okładkę zdobił prosty portret sir Harry'ego Cliftona, rycerza Orderu Imperium Brytyjskiego, narysowany przez ostatnią zdobywczynię nagrody Turnera.

Porządek uroczystości równie dobrze mógł powstać z woli Harry'ego, był bowiem odbiciem jego osobistych upodobań: po trosze tradycyjnych, po trosze pospolitych, z całą pewnością niepozbawionych nuty romantyzmu. Jego matka na pewno byłaby zadowolona.

Wiernych powitał wielebny Barry Donaldson, lord biskup Bristolu, który, jak zapowiedział, prowadził nabożeństwo za duszę Harry'ego. Pierwsze czytanie należało do Jake'a, którego głowa ledwo wystawała ponad pulpit.

– Czytanie z pierwszego listu do Koryntian. Gdybym mówił językami ludzi i aniołów...[*]

Chór St Mary Redcliffe, w którym Harry niegdyś się udzielał, zaśpiewał *Radujcie się, zmartwychwstał Pan!*

Sebastian, jako nowa głowa rodziny Cliftonów, wolno podszedł do północnej ambony. Przypadło mu w udziale drugie czytanie – Apokalipsa św. Jana 21–37 – ale słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

– I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową, bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły, i morza już nie ma...

Kiedy wrócił na swoje miejsce w pierwszej ławce, Giles zauważył mimowolnie, że włosy jego siostrzeńca zaczynają siwieć na skroniach – i słusznie, pomyślał, tak przystoi człowiekowi, którego niedawno wybrano do zarządu Banku Anglii.

Wierni powstali, by dołączyć do zebranych przed katedrą, którzy zaczęli śpiewać ulubioną piosenkę Harry'ego z musicalu *Faceci i laleczki*, *Sit Down, You're Rockin' the Boat*. Być może po raz pierwszy w dziejach katedry z tłumu raz po raz dobiegały okrzyki „Encore!". W środku rozśpiewała się Armia Zbawienia, jako panna Adelaide (symbolizująca Emmę), a z zewnątrz partnerował jej Sky Masterson na tysiąc głosów (odgrywający rolę Harry'ego).

Wreszcie kanonik skinął głową, a wtedy dyrygent chóru ponownie uniósł batutę. Możliwe, że Giles był jedyną osobą

w całej świątyni, która nie przyłączyła się do śpiewu, gdy zabrzmiały słowa: „A czy te stopy, w czasy dawne...”. Nerwy zżerały go z każdą chwilą coraz bardziej. Odłożył program i chwycił się brzegu ławki w nadziei, że nikt nie dostrzeże, jak mocno drżą mu dłonie.

Przy słowach „Nim zbudujemy Jeruzalem...” odwrócił się i ujrzał kanonika stojącego tuż obok. Eric Evans skinął głową. Najwidoczniej minęła 11.41.

Giles wstał i podążył za duchownym w stronę stopni wiodących na ambonę. Wielebny skinął głową raz jeszcze i pozostawił go samego, przy wtórze głośnego *Pośród zielonych Anglii błoni*. Giles odwrócił się, by wspiąć się po trzynastu schodkach, i w tym momencie wydało mu się, że słyszy Harry’ego: „Powodzenia, stary; dobrze, że to ty, a nie ja”.

Wreszcie stanął przed pulpitem, położył skrypt na małej, metalowej podpórce i spojrzał w dół, na pełną świątynię. Ani jednego wolnego miejsca. Teraz, gdy wybrzmiał ostatni wers arcydzieła Blake’a, wierni wrócili do ławek. Giles zerknął w lewo, na pomnik Nelsona, który jednym okiem spoglądał wprost na niego, i zaczekał, aż wszyscy umilkną, nim odczytał pierwsze zdanie:

To najzacniejszy z nich wszystkich Rzymianin[**].

– Na przestrzeni lat wielu ludzi pytało mnie, czy gdy poznałem Harry’ego Cliftona, od razu stało się dla mnie oczywiste, że oto obcuję z osobnikiem absolutnie wyjątkowym. Odpowiadam więc: nie, nie stało się. Prawdę mówiąc, zbliżył nas do siebie przypadek, a ściślej: alfabet. Jako że moje nazwisko brzmi Barrington, trafiło

mi się łóżko tuż obok niejakiego Cliftona, gdy przyszło nam spędzić pierwszą noc w dormitorium Szkoły Świętego Bedy. I tak z przypadku zrodziła się przyjaźń na całe życie. Od początku miałem świadomość, że to ja jestem istotą wyższą – w końcu położyli obok mnie chłopca, który nie tylko przepłakał całą noc, ale w dodatku zmoczył łóżko.

Giles rozluźnił się nieco, słysząc, że fala śmiechu objęła nie tylko zgromadzonych na zewnątrz, ale i z małym opóźnieniem dotarła do wnętrza katedry.

– Moje naturalne poczucie wyższości trwało w najlepsze, gdy powędrowaliśmy do umywalni. Clifton nie posiadał ani szczoteczki, ani pasty do zębów – musiał pożyczyć ode mnie. Następnego ranka dołączyliśmy do reszty chłopców podczas śniadania, a wtedy moje poczucie wyższości tylko się umocniło, albowiem stało się jasne, że Clifton oraz łyżka nigdy nie zostali sobie przedstawieni; poznałem to po tym, że wylizał miskę owsianki do czysta. Uznałem zresztą, że to całkiem niezły pomysł i uczyniłem to samo. Po śniadaniu wszyscy pomaszerowaliśmy do auli na pierwszy apel, by posłuchać dyrektora. Lecz i wtedy nie uważałem, by Clifton był mi równy – on przecież był synem dokera, a mój ojciec właścicielem doków. Jego matką była kelnerka, a moją – lady Barrington. Jakim cudem mielibyśmy być sobie równi? Mimo wszystko nadal pozwalałem mu siadać obok mnie.

Gdy apel dobiegł końca, udaliśmy się na pierwszą lekcję – i Clifton znowu został usadzony obok Barringtona. Niestety, zanim dzwonek zaprosił nas na przerwę, moja mityczna wyższość zdążyła wyparować niczym mgła w porannym słońcu. Nie minęło

wiele czasu, a ja już rozumiałem, że do końca życia będę kroczył w cieniu Harry'ego, gdyż jego przeznaczeniem było dowodzenie przed całym światem – znacznie większym niż ten malutki, w którym nas wtedy umieszczono – że pióro istotnie jest potężniejsze od miecza.

Ten stan rzeczy trwał w niezmienionej postaci, gdy opuściliśmy Świętego Bedę i przenieśliśmy się w szacowne mury Liceum Bristolskiego. I znowu zostaliśmy sąsiadami, choć wypada mi przyznać, że mnie przyjęto tylko dlatego, iż szkoła potrzebowała nowego pawilonu na boisku do krykieta, a mój ojciec zań zapłacił.

Ci, którzy stali przed katedrą Świętego Pawła, wybuchnęli śmiechem i zaklaskali, a zawtórował im uprzejmy chichot zgromadzonych pod dachem.

– Zostałem kapitanem pierwszej szkolnej jedenastki. Harry tymczasem wygrał konkurs z angielskiego i miejsce w Oksfordzie. O tak, i ja zdołałem się tam dostać, ale dopiero po tym, jak zdobyłem sto punktów na stadionie Lorda, w meczu o juniorskie mistrzostwo.

Raz jeszcze Giles zaczekał, aż śmiechy umilkną.

– I wtedy wydarzyło się coś, na co nie byłem przygotowany: Harry zakochał się w mojej siostrze, Emmie. Nie ukrywam, że w pierwszej chwili pomyślałem: mógł trafić lepiej. Na swoją obronę dodam: niby skąd miałem wiedzieć, że już wkrótce Emma zdobędzie stypendium w oksfordzkim Kolegium Somerville, zostanie pierwszą kobietą-prezesem dużej spółki, prezesem państwowego szpitala, a następnie ministrem zdrowia? Nie po raz pierwszy i nie ostatni Harry dowiódł, że się myliłem. Nie byłem już nawet tym najlepszym z Barringtonów. Może nie jest to dobra

chwila, by wspomnieć o mojej małej siostrzyczce Grace, która wtedy chodziła jeszcze do szkoły, a potem została profesorem literatury angielskiej w Cambridge. Dziś jestem na trzecim miejscu w hierarchii Barringtonów.

Tak czy owak, pogodziłem się z tym, że to Harry jest istotą wyższą, i w związku z tym postarałem się, byśmy razem chodzili na zajęcia. Mój plan polegał na tym, że Harry będzie pisał moje wypracowania, podczas gdy ja będę ćwiczył cover drive'y. Niestety, Adolf Hitler, człowiek, który nigdy w życiu nie zagrał w krykieta – a resztę sami sobie dopowiedzcie – sprawił, że nasze drogi się rozeszły.

On jeden tylko ze wszystkich spiskowych
Nie podniósł ręki zazdrością popchnięty

Harry zawstydził mnie ponownie, gdy opuścił Oksford i zaciągnął się do wojska, zanim jeszcze wypowiedziano wojnę. Nim podążyłem jego śladem, niemiecki U-Boot zatopił jego okręt. Wszyscy uznali go za zaginionego na morzu, ale nie tak łatwo jest pozbyć się Harry'ego Cliftona. Ocalony przez Amerykanów, resztę swej wojny spędził za linią wroga, ja zaś trafiłem do niemieckiego obozu jenieckiego. Mam przeczucie, że gdyby porucznik Clifton spał na sąsiedniej pryczy w Weinsbergu, uciekłbym stamtąd znacznie prędzej.

Harry nigdy nikomu nie opowiadał o swojej wojnie, choć wiedzieliśmy, że dostał prestiżowe odznaczenie, Srebrną Gwiazdę, za służbę w stopniu młodego kapitana Armii Stanów Zjednoczonych. Kto by jednak przeczytał uzasadnienie wniosku

o nadanie owego odznaczenia – a ja przeczytałem, gdy tylko jako minister spraw zagranicznych udałem się z pierwszą wizytą do Waszyngtonu – ten by się dowiedział, że Harry, z pomocą pewnego irlandzkiego kaprala, jeepa i dwóch pistoletów nakłonił feldmarszałka Kertla, dowódcę znamienitej dywizji pancernej, by rozkazał swym ludziom złożyć broń i się poddać. Wkrótce potem, w drodze do macierzystego batalionu, jeep Harry'ego najechał na minę. Kierowca zginął, a Harry drogą lotniczą trafił do Królewskiego Szpitala Bristolskiego. Niewielu wierzyło, że przeżyje podróż. A przecież bogowie mieli inne plany względem Harry'ego Cliftona. Nawet ja nie sądziłem, że kiedykolwiek się ziszczą.

Gdy wojna dobiegła końca, a Harry wrócił do zdrowia, ożenił się z Emmą i przeprowadził do sąsiedniego domu – no dobrze, dzieliło nas kilka akrów ziemi. Ja, żyjący w realnym świecie, zapragnąłem zostać politykiem. Harry umyślił sobie, że będzie pisarzem. Znowu podążyliśmy osobnymi ścieżkami.

Gdy zostałem parlamentarzystą, poczułem, że nareszcie jesteśmy sobie równi. Niestety, wkrótce odkryłem, że znacznie więcej ludzi czyta książki Harry'ego, niż głosuje na mnie. Jedynym pocieszeniem była dla mnie oczywista prawda, iż fikcyjny bohater powieści mego przyjaciela, William Warwick, syn lorda, przystojny, wielce inteligentny, a do tego chłop na schwał, to postać wzorowana na mnie.

Zgromadzenie zatrzęsło się ze śmiechu, a Giles spokojnie przewrócił kartkę.

– Z czasem było coraz gorzej. Z każdą książką przybywało mu czytelników, ja zaś w kolejnych wyborach zyskiwałem coraz mniej

i mniej głosów.

Ale w szlachetnej i uczciwej myśli
Związał się z nimi dla ojczyzny dobra.

I wtedy, bez ostrzeżenia – jak to zwykle bywa z kaprysami losu – życie Harry'ego potoczyło się nowym kursem, gdy poproszono go, by został prezesem angielskiego PEN Clubu. W nowej roli, rzecz jasna, znowu wykazał się sprawnością, której mogła mu pozazdrościć większość tak zwanych mężów stanu.

Ten, kto zapewniał Harry'ego, że to tylko honorowe stanowisko, które nie powinno wymagać wielkich nakładów pracy, najwyraźniej nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. Już na pierwszym spotkaniu prezes Clifton dowiedział się o niewesołym losie człowieka, o którym większość z nas w ogóle nie słyszała, a który właśnie gnił w syberyjskim łagrze. Dzięki poczuciu sprawiedliwości Harry'ego Anatolij Babakow stał się znany na całym świecie i dziś jest nieodłącznym towarzyszem w życiu każdego z nas.

Tym razem brawa i we wnętrzu, i na zewnątrz katedry trwały znacznie dłużej. Ludzie znowu dobyli piór i unieśli je wysoko.

– Dzięki niestrudzonej determinacji Harry'ego wolny świat zainteresował się losem wielkiego rosyjskiego pisarza i zmusił despotyczny reżim do ustępstw. Twórca w końcu został uwolniony.

Giles umilkł, by spojrzeć na zgromadzonych, nim dodał:

– A dziś żona Anatolija Babakowa, Jelena, przyleciała z Moskwy specjalnie po to, by do nas dołączyć, by uczcić pamięć człowieka, który miał dość odwagi, by rzucić Rosjanom wyzwanie

na ich własnym podwórku. Który sprawił, że mąż Jeleny odzyskał wolność, zdobył Nagrodę Nobla i dołączył do grona gigantów literatury, którzy pozostaną żywi na długo po tym, jak świat o nas zapomni.

Tym razem aplauz wygasał ponad minutę. Giles zaczekał, aż w świątyni zapadnie idealna cisza.

– Jak wielu z was, tu obecnych, wie o tym, że Harry odrzucił tytuł szlachecki, ponieważ nie życzył sobie żadnych honorów, póki Anatolij Babakow nie odzyska wolności? Dopiero żona, Emma, kilka lat później, gdy Pałac odezwał się po raz drugi, przekonała go, by przyjął tytuł – nie jako dowód uznania dla jego pisarskich osiągnięć, ale jako nagrodę dla działacza walczącego o prawa człowieka.

Spytałem kiedyś tego skromnego, łagodnego człowieka, co uważa za swoje największe życiowe osiągnięcie: królowanie na listach książkowych bestsellerów, uzyskanie tytułu szlacheckiego czy może odkrycie przed światem geniuszu i odwagi kolegi po piórze, Anatolija Babakowa. „Małżeństwo z twoją siostrą", padła natychmiastowa odpowiedź. „Ona nigdy nie przestała podnosić mi poprzeczki. To dlatego czuję motywację, by osiągać wciąż więcej i więcej". Jeżeli Harry kiedykolwiek czymś się chwalił, to tylko dumą z osiągnięć Emmy. W jego myślach nie było choćby cienia zazdrości. Sukcesy innych przynosiły mu radość.

Cały tok jego życia był łagodny:
Wszystkie żywioły tak się w nim skleiły,
Że na ten widok wstać mogła natura

Jest w naszej rodzinie taka tradycja. Spotykamy się w sylwestra i każdy z nas ujawnia swoje noworoczne postanowienie, na którego realizację poświęci najbliższych dwanaście miesięcy. Parę lat temu Harry przyznał nieśmiało, że spróbuje napisać powieść, którą podziwiałaby nawet jego matka, najsurowszy z krytyków. „A ty, Giles?", spytał. „Co postanowiłeś tym razem?" Odpowiedziałem: „Schudnę sześć kilogramów".

Czekając, aż śmiech ucichnie, Giles położył jedną rękę na brzuchu, a drugą uniósł egzemplarz *Ty wygrywasz*, tak by wszyscy mogli go zobaczyć.

– Ja przytyłem dwa i pół kilograma, a książka Harry'ego sprzedała się w milionie egzemplarzy w ciągu pierwszego tygodnia od premiery. Dla niego jednak znacznie ważniejsze było to, że jego szwagierka Grace, była profesor literatury angielskiej w Cambridge, nazwała jego powieść arcydziełem fabuły.

Giles umilkł na chwilę, zamyślony.

– Ludzie mi mówią, że Harry Clifton umarł. Proponuję, żeby każdy, kto ośmieli się powtórzyć tę potwarz, zajrzał na listy bestsellerów na całym świecie, a przekona się, że Harry żyje i ma się doskonale. Lecz właśnie teraz, gdy nadeszła pora, żeby nagradzać jego niesamowite życiowe osiągnięcia, bogowie wmieszali się w jego sprawy i przypomnieli nam, że był tylko człowiekiem. Odebrali mu osobę, którą ukochał najbardziej.

Gdy Harry dowiedział się o śmiertelnej chorobie Emmy i musiał stawić czoło ponurej prawdzie, że jego żonie został najwyżej rok życia, postąpił tak jak zawsze: zmierzył się z wyzwaniem z wysoko podniesioną głową, choć dobrze wiedział, że tej bitwy wygrać nie może. Rzucił wszystko, rzucił nawet pióro,

by poświęcić całego siebie Emmie, czyniąc, co tylko mógł, by ulżyć jej w bólu. Nikt z nas, którzy towarzyszyliśmy im w owych ostatnich tygodniach, nie rozumiał w pełni, jak wysoką cenę płaci Harry za swe oddanie. Minęło ledwie kilka dni od śmierci Emmy, gdy odszedł – w stylu godnym najlepszych swoich powieści.

Czuwałem przy nim, gdy umierał. Miałem nadzieję, że ów czarodziej słów pożegna mnie jeszcze jednym zdaniem, którego nigdy nie zapomnę. I nie zawiódł mnie. „Giles – powiedział, chwytając mnie za rękę – właśnie wpadł mi do głowy pomysł na nową powieść". Poprosiłem, żeby powiedział mi więcej. „Będzie o chłopcu, który przyszedł na świat w bristolskim zaułku, jako syn dokera, a zakochał się w córce właściciela doków". I co będzie dalej? – spytałem wtedy. „Nie mam pojęcia – odparł – ale rano, gdy sięgnę po pióro, będę miał w głowie cały pierwszy rozdział".

Giles wzniósł oczy ku niebu i dodał:

– Nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam tę książkę.

Starał się ze wszystkich sił zapanować nad emocjami, ale słowa już nie płynęły. Odwrócił ostatnią kartkę z mocnym postanowieniem, że nie zawiedzie przyjaciela. Ignorując skrypt, powiedział cicho:

– To prawda, że Harry prosił o skromne zejście ze sceny życia, a ja zignorowałem jego życzenie. Nie jestem Markiem Antoniuszem. – Giles spojrzał na zgromadzonych. – Wierzę jednak, że słowa Barda pasują do Harry'ego równie dobrze, jak do szlachetnego Brutusa.

Po krótkiej pauzie pochylił się nieco i dodał niemal szeptem:

Cały tok jego życia był łagodny:

Wszystkie żywioły tak się w nim skleiły,
Że na ten widok wstać mogła natura,
Rzec ziemi całej śmiało: „To był człowiek”!

---

[*] 1 Kor 13,1; cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia.

[**] Wszystkie cytaty z *Juliusza Cezara* Williama Shakespeare'a w przekładzie Leona Ulricha.

To był człowiek

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Dedykacja
Podziękowania
***
Prolog 1978
HARRY I EMMA CLIFTONOWIE 1978–1979
1
2
3
4
5
GILES BARRINGTON 1979–1981
6
7
8
9
10
SEBASTIAN CLIFTON 1981
11
12
13
14
15

16
17
18
19
20
LADY VIRGINIA FENWICK 1981–1982
21
22
23
JESSICA CLIFTON 1982–1984
24
25
26
27
28
29
LADY VIRGINIA FENWICK 1983–1986
30
31
32
33
34
35
36
37
38
SEBASTIAN CLIFTON 1984–1986
39

40
41
42
43
HARRY I EMMA CLIFTONOWIE 1986–1989
44
45
46
47
48
EMMA CLIFTON 1990–1992
49
50
51
HARRY ARTHUR CLIFTON 1920–1992
52
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *This Was a Man*

Copyright © Jeffrey Archer 2016
The right of Jeffrey Archer to be identified as the author of this work has been asserted by him in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.
All rights reserved

First published 2016 by Macmillan, an imprint of Pan Macmillan, a division of Macmillan Publisher Limited

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Prolog, rozdziały 1-38 przełożyła Danuta Sękalska
Rozdziały 39-52 przełożył Maciej Szymański

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografie na okładce
© Kamenetskiy Konstantin / Shutterstock – postać mężczyzny
© Dave Cavill / Getty Images Poland – park
© Mukul Banerjee Photography / Getty Images Poland – posiadłość

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
To był człowiek!, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-859-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl